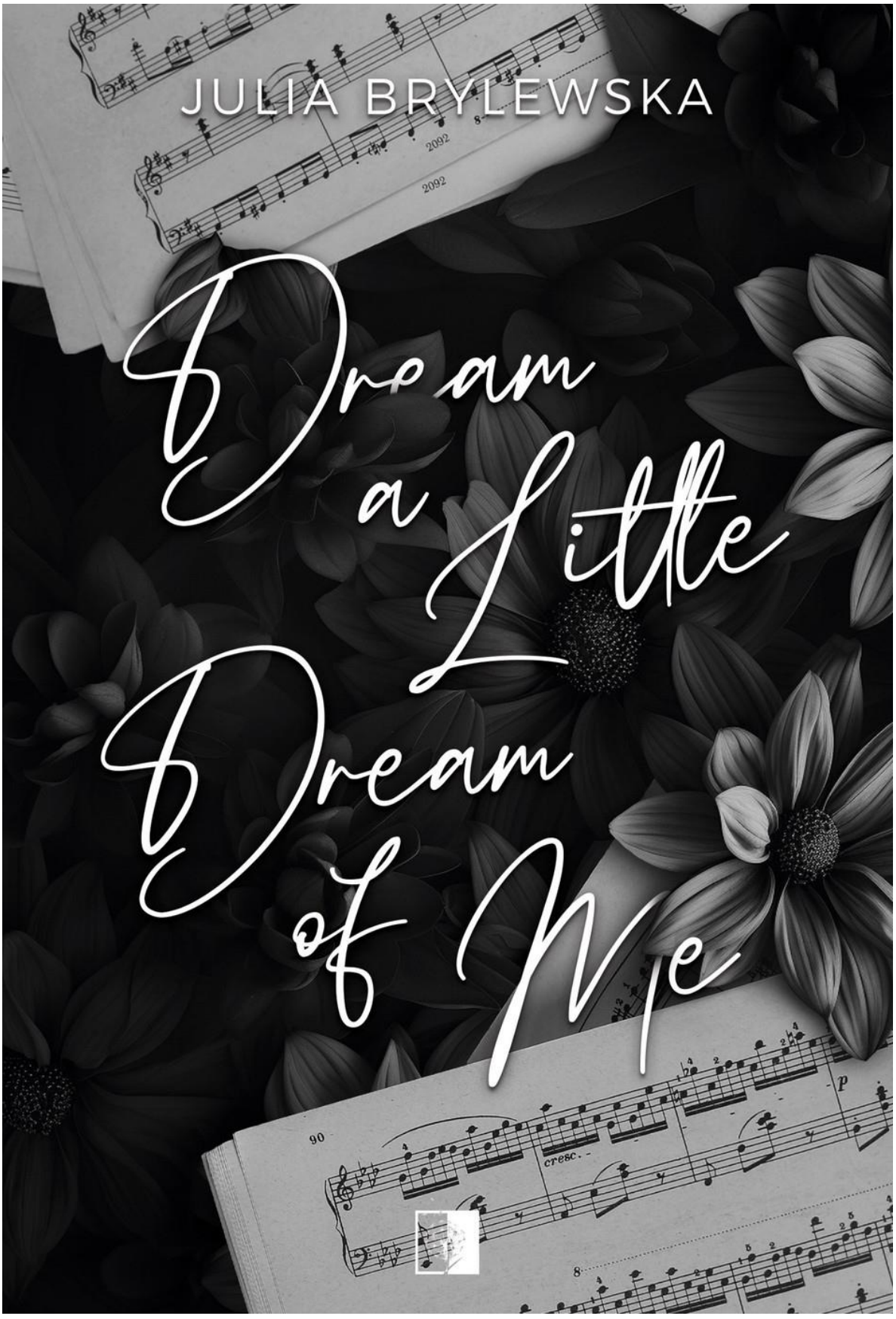
JULIA BRYLEWSKA
Dream a Little Dream of Me

JULIA BRYLEWSKA

DREAM A LITTLE DREAM OF ME

OŚWIĘCIM 2024

Dream a Little Dream of Me

Yiruma
김현영 편곡

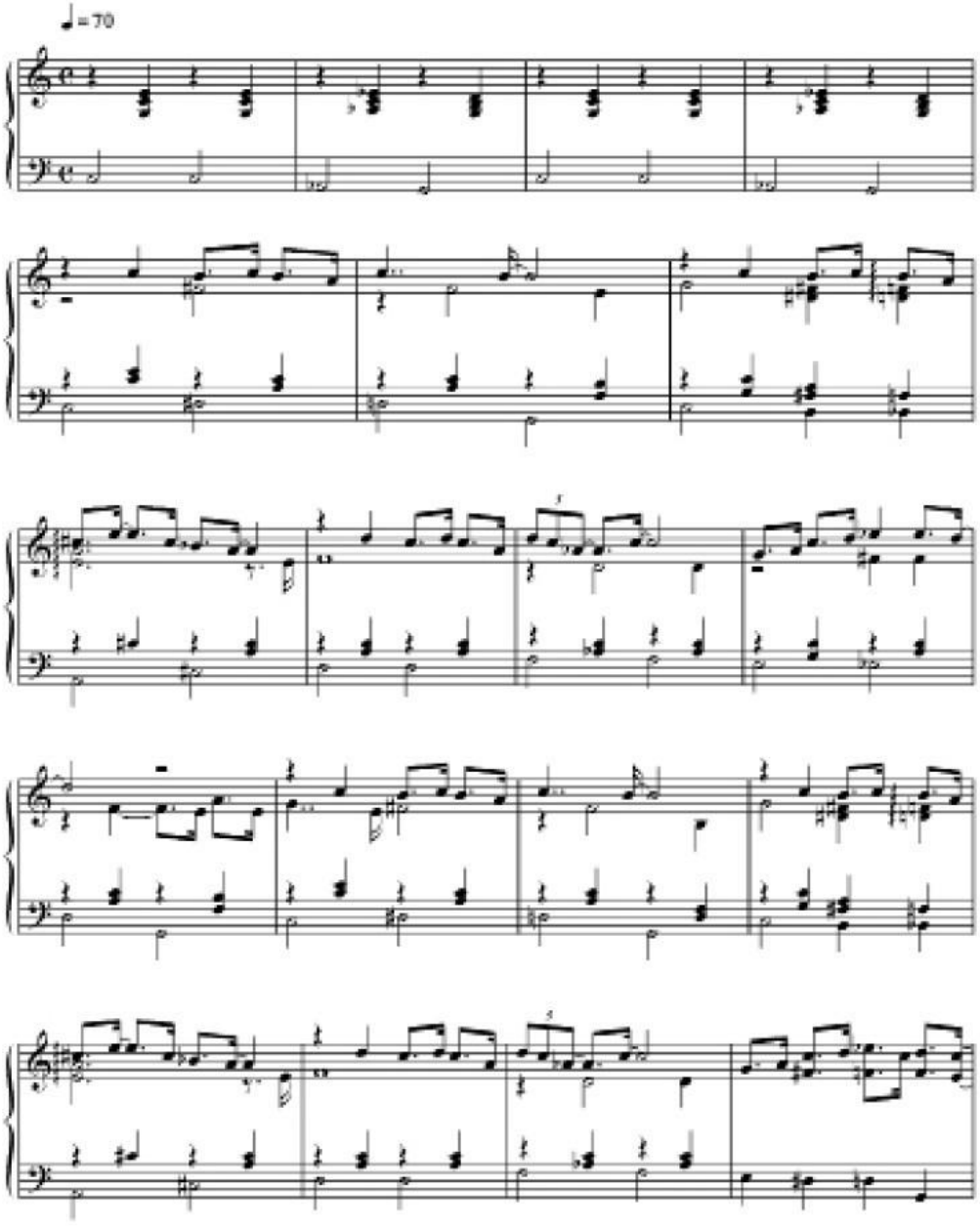

Copyright © 2024

Julia Brylewska

Wydawnictwo NieZwykłe

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Anna Strączyńska

Korekta:

Karina Przybylik

Karolina Piekarska

Maria Klimek

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

ISBN 978-83-8362-294-1-999

Spis treści

Od Autorki

I

Prolog. O tym, jak mały chłopiec zakochał się w fortepianie

II

Rozdział 1. Smutny los Małego Księcia

Rozdział 2. Niebo pozbawione gwiazd

Rozdział 3. Pierwszy dzień reszty twojego życia

Rozdział 4. Obietnice i dobre rady

Rozdział 5. Profesor Sanclair

Rozdział 6. Marzenia i wszystkie ich wady

Rozdział 7. Jedno nie całkiem zepsute serce

III

Rozdział 8. Ktoś znacznie gorszy

Rozdział 9. Słodki smak mrocznego koszmaru

Rozdział 10. Sztuka milczenia

Rozdział 11. Cudze marzenia

Rozdział 12. Zapomniany pokój na końcu korytarza

Rozdział 13. Złodziejka skrzypiec

Rozdział 14. Steinway and Sons

Rozdział 15. Mężczyzna, który bał się dorosnąć

Rozdział 16. Smutny los chopinowskiego serca

Rozdział 17. Cukierek albo psikus!

Rozdział 18. I’ll be there for you

Rozdział 19. Cena wszystkich moich kłamstw

Rozdział 20. Mleko i miód

Rozdział 21. Kolacja z diabłem

Rozdział 22. Przecież nikt nie patrzy

Rozdział 23. Pomiędzy mrokiem a ciszą, gdzie wszystko

Rozdział 24 Świat nie potrzebuje drugiego Chopina

IV

Rozdział 25. Miejsce w pierwszym rzędzie

Rozdział 26. Melodie nigdy nie umierają

Rozdział 27. Niebo pełne gwiazd

Epilog

DODATEK

Siedem minut po północy

Podziękowania

Playlista

Przypisy

Dla wszystkich zagubionych dusz,

które w mroku tego okrutnego świata

nieustannie starają się odnaleźć odrobinę szczęścia.

Od Autorki

Drogi Czytelniku!

Dream A Little Dream Of Me jest sequelem, który łączy dwie wcześniej napisane przeze mnie serie – Trylogię „Inferno” (w jej skład wchodzą następujące książki: *Devil, Angel* oraz *Sinner*) a także dylogię „Gods Of Law” (*Angry God* oraz *Angry Goddess*).

Dream A Little Dream Of Me **można czytać bez znajomości wyżej wymienionych tytułów,** lecz jeżeli masz w planach zabrać się również za którąś z moich serii, polecam zacząć właśnie od nich, aby uniknąć ewentualnych spoilerów, na które natrafisz w tej historii.

Przyjemnej zabawy!

Julia ♪

I

The right music at the right time can change your life.

– Eric Christian

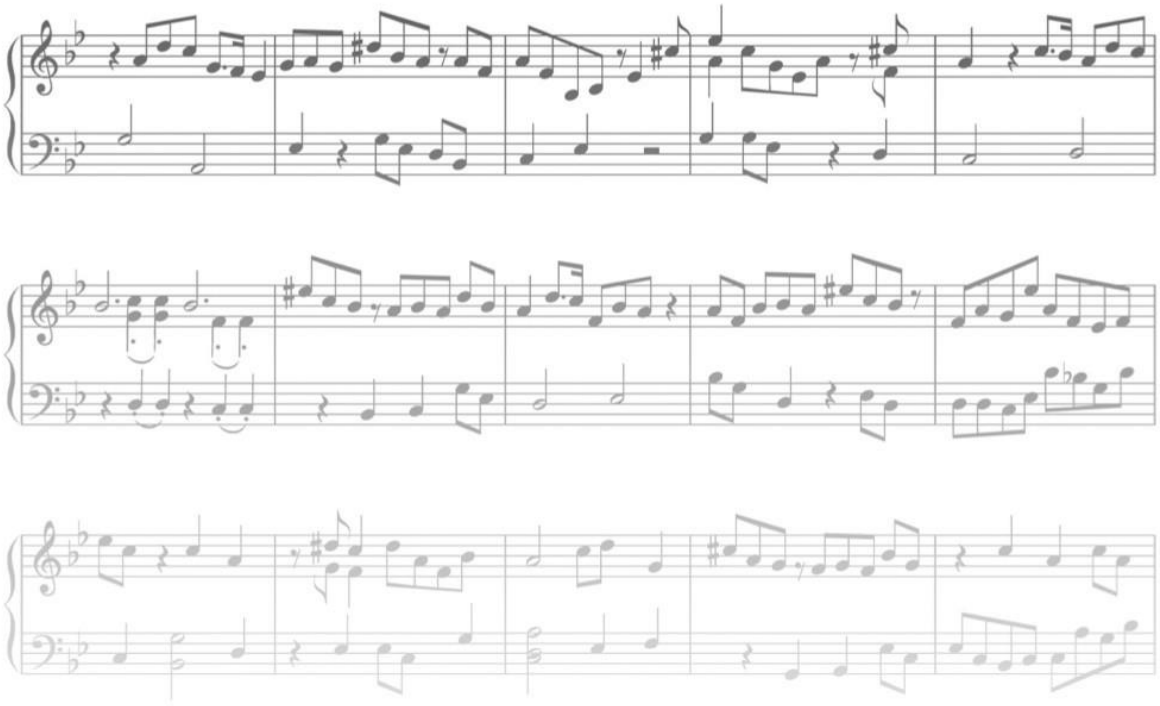

Prolog

O tym, jak mały chłopiec zakochał się w fortepianie

16 lat wcześniej

Hayden, jak większość siedmiolatków, marzył o tym, aby pójść z tatą na mecz amerykańskiego futbolu. Chciał zjeść przesolony popcorn na Sid Luckman Field[1] i na własne oczy zobaczyć pierwszy występ Aarona Rodgersa pod skrzydłami Jetsów[2].

Potem mógłby opowiadać o tym kolegom ze szkoły, podobnie jak robił to Charlie Evans z trzeciej klasy, którego tata zabierał na mecze praktycznie w każdy weekend, dając mu kolejne tematy do przechwałek. Dzięki nim Charlie uchodził w szkole za kogoś fajnego.

Hayden jednak doskonale wiedział, że jego tata bardzo różnił się od taty Charliego Evansa. Różnił się właściwie od wszystkich ojców jego kolegów. Nie chodziło tylko o fakt, że niemal nigdy nie pokazywał się bez ulubionego czarnego garnituru, ani o to, że praktycznie na każdej wywiadówce wdawał się w kłótnie z nauczycielami, zawsze stając po stronie syna, jakby nie chciał uwierzyć, że ten był w stanie włamać się do dziennika i wpisać sobie kilka dobrych ocen. Hayden zrobił to tylko raz i wcale nie żałował.

Oliver Sanclair tak bardzo różnił się od innych ojców, bo w sobotni wieczór zamiast zabrać syna na mecz futbolu, o którym ten tak marzył, wziął go do filharmonii. Do miejsca pełnego ciszy, eleganckich strojów i starszych ludzi, którzy posyłali Haydenowi pełne oburzenia spojrzenia za każdym razem, gdy ośmielił się po raz kolejny zapytać: *Za ile stąd pójdziemy?*

Chłopiec odwiedził filharmonię raptem dwa lub trzy razy – starał się wyrzucić te traumatyczne przeżycia z pamięci. I każdy z tych wieczorów wspominał z grymasem na twarzy.

Nigdy nie rozumiał, dlaczego rodzice tak lubili spędzać tam czas.

Może bycie nudnym po prostu leżało w naturze każdego dorosłego? To by wyjaśniało, dlaczego przed snem tata wolał oglądać seriale dokumentalne, a nie kreskówki. I dlaczego mama co ranek piła czarną kawę zamiast soku pomarańczowego.

Hayden nie krył rozczarowania, gdy zza samochodowej szyby dostrzegł oświetlony żółtym światłem budynek. Kształtem przypominał klocek Lego, który chłopiec zgubił kilka tygodni temu – był kwadratowy, a ogromny dach z każdej strony wsparto dziesięcioma filarami. Wyróżniał się na tle innych budowli okalających Lincoln Center[3] – błyszczał o wiele bardziej niż szare wieżowce, czy pobliskie bary i lokale usługowe, których właściciele zapewne wydawali fortunę, by przebić się przez blask serca nowojorskiej dzielnicy sztuki. Kompleks budynków przyćmiewał wszystkie z nich, jakby w tej niewypowiedzianej bitwie nawet na moment nie pozwalał dojść im do głosu.

– Nie rób takiej naburmuszonej miny, Haydenie.

Chłopiec oderwał wzrok od okna, odwrócił wspartą na rączce głowę i obdarzył ojca spojrzeniem, ciężko wzdychając, jakby chciał dać upust rozczarowaniu.

Oliver Sanclair miał na sobie czarny garnitur. Hayden czasami zastanawiał się, czy tata także w nim sypiał, ale dotąd nie pokusił się, by o to zapytać.

– Nie chcę jechać do filharmonii – odburknął, krzyżując ramiona. – Tam jest strasznie nudno i nie ma popcornu.

– To nie potrwa zbyt długo – zapewnił tata. – Porozmawiam z klientem, a potem zabiorę cię…

– Na lody? – wtrącił chłopiec, odzyskując dobry humor.

Oliver obdarzył syna lekkim uśmiechem. Nie wiedział, czy był dobrym ojcem, choć ze wszystkich sił się o to starał. Wychowywał się w domu dziecka, więc nie miał wzoru, jakim mógłby się kierować. Błądził na ślepo, niekiedy popełniając błędy, jak wszyscy ojcowie.

Spędzał całe dnie w kancelarii lub w sądzie. Często pracował także w weekendy. I w każdej wolnej chwili – choć takie w ostatnim czasie zdarzały się wyjątkowo rzadko – próbował być takim ojcem, jakiego sam zawsze pragnął mieć. Nawet jeżeli czasami musiał naginać niepisane, rodzicielskie zasady jak ta, że nie powinno się dawać dzieciom lodów w środku zimy.

– Tak – odpowiedział, dając za wygraną. – Lody brzmią całkiem dobrze.

Hayden znów wyjrzał przez okno, tym razem z delikatnym uśmiechem na dziecięcej twarzy.

Choć nie zdawał sobie z tego sprawy, był kopią taty, gdy ten był w jego wieku – te same ciemne, gęste włosy, bystre spojrzenie i wręcz zadziwiające zamiłowanie do zadawania pytań, na które większość dorosłych nie potrafiła udzielić odpowiedzi. *Dlaczego głowa jest na górze, a nogi na dole? Po co nam brzydkie słowa, skoro nie możemy ich wypowiadać? Czy ludzie mieszkający po drugiej stronie Ziemi chodzą do góry nogami?*

Istniało jednak coś, w czym Hayden bardzo różnił się od ojca – ostatnim, czego pragnął, było zostanie prawnikiem. Chwile, kiedy chłopiec myślał o przyszłości, zdarzały się niezwykle rzadko. Wciąż był dzieckiem i jedynym, co zaprzątało jego głowę, było zaimponowanie kolegom lub ukrycie przed rodzicami kolejnej kiepskiej oceny.

Bywało, że takie chwile jednak się zdarzały – zwykle w czasie, kiedy z grymasem obrzydzenia przesuwał groszek po talerzu. Hayden unosił wtedy głowę, zerkał na puste miejsce przy krańcu stołu, które powinien zajmować jego ojciec, i myślał o tym, jak bardzo nie chciał wieść podobnego życia. Pełnego obowiązków, pracy i tych smętnych czarnych garniturów.

Pragnął zostać kimś innym. Nie wiedział jeszcze kim, ale miał sporo czasu, aby to odkryć.

Na razie liczyło się tylko to, że mimo panującego na zewnątrz zimna będzie mógł zjeść ulubione lody, nawet jeśli najpierw musiał przetrwać wycieczkę do filharmonii. Wiedział, że mama by się na to nie zgodziła. Pod względem przesadnej nadopiekuńczości nie miała sobie równych.

Przez resztę drogi w ciągnącym się na prawie dwa kilometry korku Hayden myślał o tym, na jaki smak się zdecyduje – czekolada czy może guma balonowa?

W radiu mężczyzna o ochrypłym głosie zapowiadał, że tej nocy Nowy Jork miała nawiedzić kolejna fala opadów śniegu. Od ponad tygodnia z nieba nieprzerwanie sypał biały puch i wszyscy zdawali się już zaakceptować taki stan rzeczy. Wycieraczki spychały śnieg z przedniej szyby białego porsche. Gdzieś w oddali zniecierpliwiony kierowca zatrąbił, dając upust irytacji.

Choć umykało to dziecięcym oczom Haydena, sobotnie wieczory w sercu Manhattanu miały w sobie coś magicznego. Zatłoczone ulice tętniły życiem nawet teraz, gdy temperatura na zewnątrz była bliska zera. Na chodnikach można było spotkać muzyków, którzy dbali o to, aby przy Lincoln Center nawet na moment nie zagościła cisza. Dźwięki skrzypiec mieszały się z nawoływaniami mężczyzny starającego się złapać jedną ze stojących w korku żółtych taksówek. Nieco dalej kobieta z gitarą pięknym głosem śpiewała jeden z hitów Whitney Houston – *I Have Nothing.*

Nowy Jork był miastem, które nigdy nie kładło się spać.

Chłopiec milczał, gdy auto wjechało na podziemny parking, a także chwilę później, kiedy z tatą wsiedli do windy. Wnętrze filharmonii nie było dla niego niczym zachwycającym. Czerwone, misternie zdobione dywany i błyszczące żyrandole wydawały mu się niemal babcine. Jego trampki ślizgały się po starannie wypolerowanej, marmurowej posadzce, przez co trudno mu było nadążyć za stawianymi przez ojca krokami.

U szczytu szerokich i nieznośnie długich schodów czekał na nich Andre Brown, dyrektor nowojorskiej filharmonii. Był człowiekiem niezwykle pogodnym i zawsze witał Haydena tymi samymi słowami:

– Ależ wyrosłeś, chłopcze!

Pan Brown przypominał George'a Wilsona – miał podobne do niego gęste, czarne wąsy, głębokie zmarszczki na twarzy i tak jak bohater filmu *Dennis Rozrabiaka* lubił do szarych garniturów dobierać kolorowe krawaty.

– Pan też trochę się postarzał – odpowiedział chłopiec.

Oliver posłał synowi karcące spojrzenie.

– Haydenie.

– Nie szkodzi – zapewnił z ciepłym uśmiechem dyrektor. – Nie możemy odebrać mu racji, w końcu nie młodnieję, prawda? – Zaśmiał się. – Przejdziemy do mojego gabinetu? Chciałbym załatwić tę sprawę przed pierwszym koncertem.

– Oczywiście.

„Ta sprawa" była, jak przypuszczał chłopiec, kłopotami dyrektora filharmonii, o których rodzice wspominali kilka razy podczas śniadania. Zwykle nie słuchał, gdy mówili o pracy, ale tego poranka skończyły się jego ulubione płatki czekoladowe i wszystko wydawało się ciekawsze niż owsianka.

Gabinet pana Browna mieścił się na pierwszym piętrze. Aby się do niego dostać, należało pokonać nieznośnie długi korytarz wyłożony tym samym czerwonym dywanem, co schody, które witały gości po wejściu do filharmonii.

Podczas trwającej kilka minut wędrówki można było usłyszeć dobiegające zza drzwi dźwięki skrzypiec, wiolonczeli, równe rytmy puzonów, a także przebijający się przez nie

piskliwy głos operowej śpiewaczki, który sprawił, że na twarzy Haydena zagościł grymas.

Kiedy w końcu dotarli do gabinetu, dyrektor zwrócił się do sekretarki:

– Cindy, zajmiesz się Haydenem?

Starsza kobieta w eleganckiej białej koszuli i ołówkowej spódnicy posłała chłopcu uśmiech podobny do tych widywanych na twarzach przesadnie miłych nauczycielek, które zachowują się tak, jakby urodziły się tylko po to, aby zajmować się dziećmi.

– Z przyjemnością.

Hayden zerknął na tatę. Chciał obiecać, że nie będzie przeszkadzał podczas rozmowy, byle tylko nie zostawiał go samego z tą straszną kobietą. Ale było już za późno – zarówno Oliver Sanclair, jak i pan Brown zniknęli za drzwiami opatrzonymi złotą tabliczką z napisem: *Dyrektor*.

Tymczasem Cindy wstała zza biurka.

– Chcesz zobaczyć, jak niszczymy tu stare dokumenty? – zapytała, odwracając się w stronę niszczarki.

Na twarzy Haydena odznaczył się kolejny grymas. Jego ramiona nieznacznie opadły, gdy z płuc wyrwało się pełne irytacji westchnienie. Pomyślał o lodach, które obiecał mu tata, i po raz pierwszy w jego umyśle narodziło się pytanie, z jakim przez następne lata nieustannie się mierzył. Być może niektóre nagrody nie były warte aż takich poświęceń?

Chłopiec powiódł wzrokiem za kobietą, gdy ta z uśmiechem chwyciła plik kartek i wsunęła je do niszczarki.

– To całkiem wciągające, wiesz? Jeżeli chcesz, pozwolę ci spróbować. Mam jeszcze sporo dokumentów do… – rzuciła przez ramię.

Hayden już jednak nie słuchał. Korzystając z okazji, że kobieta stała odwrócona do niego tyłem, bezszelestnie wymknął się na korytarz. Następnie ruszył wzdłuż rzędu podobnych do siebie drzwi, zza których dobiegały stłumione dźwięki instrumentów.

Idąc przed siebie, z dłońmi głęboko wepchniętymi w kieszenie spodni i ze spuszczoną głową, pomyślał o Charliem Evansie, o meczu Jetsów i o przesolonym popcornie. Znów poczuł tak dobrze mu znane uczucie niesprawiedliwości.

Hayden kochał rodziców, ale czasami chciał, by byli trochę mniej… niezwykli. Aby nie pracowali do późna, nie udzielali wywiadów w telewizji i nie pojawiali się na pierwszych stronach nowojorskich gazet. No i nie zabierali go do filharmonii, kiedy Aaron Rodgers debiutował na Sid Luckman Field.

Chłopiec skręcił w lewo i przystanął, gdy na końcu kolejnego korytarza dostrzegł automat z wodą i przekąskami. Poczuł się jak szczęściarz, który po długiej wędrówce po pustyni wreszcie odnalazł źródło wody i odrobinę cienia.

Nie myśląc zbyt wiele, podbiegł do automatu. Przesunął spojrzeniem po rzędzie czekoladowych batoników, a jego szeroki uśmiech odbił się w szybie. Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej pięciodolarowy banknot. Wygładził jego zmięte brzegi, wsunął podobiznę Abrahama Lincolna do automatu, po czym wybrał odpowiedni numer. Niemal przyciskając czoło do szyby, z uśmiechem patrzył, jak paczka niebieskich Takisów[4] przesuwa się w przód, a następnie zatrzymuje się tuż przed jego nosem.

Uśmiech spłynął z twarzy Haydena równie szybko, jak się na niej pojawił.

– Co za szajs! – jęknął.

Odwrócił się, oparł plecy o automat i ze zmarszczonymi w złości brwiami po raz kolejny pomyślał o tym, że Charlie Evans siedział na stadionie, zajadając się popcornem i pijąc obrzydliwie słodką colę z dużego papierowego kubka.

Robił wszystko, o czym Hayden mógł tylko marzyć.

Niespodziewanie ciszę przerwał dziwaczny i obcy dźwięk. Nie byłoby w tym niczego

nadzwyczajnego, bo w miejscu takim jak to nieustannie roznosiły się melodie, krążyły odgłosy rozmów czy barytony i soprany śpiewaków.

W tym dźwięku kryło się jednak coś, czego pośród tych niekończących się korytarzy nie spotykało się z taką łatwością – stłumiona przez ściany melodia wydawała się nie tyle czarująca, co po prostu… ludzka. Żywa. Nieidealna. Nie wyćwiczona do perfekcji.

Chłopiec odepchnął się od automatu z przekąskami i podążył za tym dźwiękiem. Niezwykle rzadko coś zdołało zaciekawić go na tyle, by z taką łatwością zapomniał o słodyczach. Już po chwili znalazł się w kolejnym korytarzu. Jego trampki z każdym krokiem zatapiały się głębiej w miękkim, szkarłatnym dywanie. Chłopiec szedł jednak uparcie przed siebie.

Nie wiedział, w którym skrzydle budynku się znalazł. Filharmonia wydawała mu się niekończącym się labiryntem. Z całą pewnością oddalił się od głównego wejścia, przy którym kręciło się najwięcej ludzi. Tutaj nie spotkał nikogo oprócz kilku zakurzonych rzeźb przedstawiających ludzi zastygłych w groteskowych pozach.

Melodia przybrała na sile. Nie była już tylko niewyraźnym echem, a czymś, czego położenie mógł określić i odnaleźć. Po dotarciu do dwuskrzydłowych drzwi, które stanowiły zwieńczenie korytarza, delikatnie je popchnął, pozwalając, by stare zawiasy wydały zduszony jęk.

Z natury był ciekawskim dzieckiem, co już nie raz wpakowało go w kłopoty. Jak wtedy, kiedy po usłyszeniu hałasów z sypialni rodziców postanowił do niej zajrzeć. Potem bardzo tego żałował.

Wsunął głowę do pomieszczenia zadziwiająco dużego i… pustego. Z trudem można było doszukać się tu czegoś poza masą zakurzonych kartonów. W jego sercu, za ogromnym, błyszczącym w słabym blasku żółtych lamp instrumentem siedział starszy człowiek, którego wygląd nie pasował do pełnego przepychu wnętrza filharmonii. Wątłe ramiona starca pokrywała szara koszula, nieco za duża jak na jego mizerną posturę. Na pomarszczonej twarzy widniał lekki uśmiech.

Hayden miał okazję odwiedzić filharmonię kilka razy, co w zupełności wystarczyło, aby zauważył, że w tym miejscu ludzie się nie uśmiechali, jakby po przekroczeniu progu ktoś odebrał im radość i zastąpił ją przerysowaną powagą.

Mężczyzna, na którego patrzył, uśmiechał się jednak z zadziwiającą szczerością, jakby nie istniało inne miejsce, w jakim pragnąłby być. Pochylony nad rzędem czarno-białych klawiszy, z na wpół przymkniętymi powiekami, grał melodię, za sprawą której chłopiec trafił do jednego z najbardziej zapomnianych zakamarków tego budynku.

Czysty dźwięk roznosił się w przestrzeni. Zdawał się dotykać ścian, muskać zawieszone na suficie czerwone płótna i sunąć po podłodze. Był wszędzie, wirując i krążąc bez umiaru, by niespodziewanie zniknąć. Zdawało się, że jego echo jeszcze przez kilka sekund pobrzmiewa między pustką a ciemnością.

Gdy Hayden zerknął w kierunku starca, ten patrzył na niego małymi, ciemnymi oczami.

Chłopiec przełknął głośno ślinę i cofnął się o pół kroku, mając wrażenie, że nie powinno go tu być.

– Zgubiłeś się? – zapytał mężczyzna.

– Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Uciekłem.

Na twarzy starca pojawił się ciepły uśmiech.

– Jeżeli mowa o uciekaniu, zapewniam, że nie ma lepszego miejsca niż to, do którego trafiłeś, chłopcze. – Z lekkim grymasem bólu powoli wstał. – Od lat praktycznie nikt tu nie zagląda.

– Oprócz pana.

– Tak – zgodził się. – Oprócz mnie. Podobało ci się, jak gram?

Hayden wzruszył ramionami. Wcześniejsza obawa ustąpiła miejsca ciekawości.

– Nie znam się na muzyce.

– Och, ależ nie musisz się na niej znać, żeby móc stwierdzić, czy przypadła ci do gustu.

– Była okej. Chyba.

– Uznam to zatem za komplement. – Zaśmiał się, po czym pochylił i sięgnął po skrzynkę z narzędziami.

Hayden nie spuszczał z niego wzroku. W końcu kompletnie zapomniał o obawach, otworzył drzwi nieco szerzej i wsunął się do środka. W pomieszczeniu pachniało kurzem i drewnem, a zalegające w nim powietrze wydawało się nieznośnie ciężkie i wilgotne.

– Jest pan muzykiem? – zapytał.

– Nie. Zajmuję się strojeniem instrumentów.

– Strojeniem? – powtórzył z zaciekawieniem.

– To trochę jak lekarz. Dbam o to, by każdy instrument w tym budynku wydawał z siebie dźwięk najwyższej jakości.

Stare deski podłogi zaskrzypiały, kiedy chłopiec zatrzymał się nieopodal instrumentu. Przyjrzał mu się uważnie, co nie umknęło uwadze mężczyzny.

– Jak ci na imię?

– Hayden, proszę pana – odparł.

– Ja jestem Richard. Grałeś kiedyś na fortepianie, Haydenie?

– Czy to nie jest instrument dla dorosłych? – zapytał, wywołując kolejny uśmiech na twarzy starca.

– Chopin skomponował pierwszy utwór, gdy miał zaledwie siedem lat.

Hayden zmarszczył brwi. Z trudem umiał spamiętać tabliczkę mnożenia, a większość jego kolegów z klasy wciąż miała problem z przeczytaniem kilku stron książki, więc śmiał sądzić, że historia o siedmioletnim geniuszu była zmyślona.

Dorośli nie mieli sobie równych w wymyślaniu niestworzonych opowieści.

– Chcesz spróbować? – zaproponował Richard.

– Nie wiem. Tata będzie zły, jeżeli coś tutaj popsuję.

No i nici z lodów, pomyślał.

– Tylko jeżeli się o tym dowie. Masz moje słowo, że będę milczał jak grób. – Mężczyzna przyłożył jedną dłoń do serca, a drugą rękę oparł na drewnianej klapie instrumentu. – Jeżeli natomiast chodzi o ten fortepian… – Zawiesił na moment głos, przesuwając palcami po drewnie. – Trafił tutaj zaraz po drugiej wojnie światowej, chłopcze. Nie wiemy, co działo się z nim wcześniej. Więc jak sam widzisz, przeszedł naprawdę wiele. Raczej nie jesteś w stanie mu zaszkodzić.

Hayden zerknął niepewnie na starca. Wahał się tylko przez chwilę.

– Naprawdę mogę? – spytał.

– Śmiało.

Chłopiec wdrapał się na podest. Obszedł fortepian, uważnie mu się przyglądając. Obudowa z ciemnego drewna wiele lat temu straciła blask. Niektóre klawisze były zapadnięte, inne odcieniem przypominały bardziej szarość betonu niż biel. Niegdyś dumnie błyszczące złote litery układające się w napis Petrof[5] wyblakły tak bardzo, że były już niemal niewidoczne.

Hayden usiadł niezgrabnie na obitym czarnym welurem stołku. Przesunął spojrzeniem po rzędzie czarno-białych klawiszy, zastanawiając się, ile ich jest.

Richard, jakby był w stanie usłyszeć zadane w myślach pytanie, powiedział:

– Osiemdziesiąt osiem. Pięćdziesiąt dwa białe i trzydzieści sześć czarnych. Zdarzają się także fortepiany z mniejszą liczbą klawiszy, ale w filharmonii zwykle z nich nie korzystamy. Raczej nie znajdziesz tutaj instrumentu, który nie ma koncertowych rozmiarów.

Chłopiec spojrzał na starca. W półmroku jego przyozdobiona zmarszczkami twarz wydawała się dziwnie niewyraźna. Był jednym z tych ludzi, obok których inni przechodzili obojętnie, nawet ich nie dostrzegając.

– Co to za miejsce? – zapytał chłopiec.

Richard się rozejrzał. W pomieszczeniu nie było okien, a blask padający z zawieszonej na suficie lampy z trudem oświetlał coś prócz fortepianu i kawałka podłogi.

– Wszyscy nazywają to graciarnią. Właśnie tu trafiają stare instrumenty, które nie nadają się do używania podczas koncertów.

Hayden zmarszczył brwi.

– Czy nie lepiej się ich pozbyć, skoro i tak są martwe?

Na szarej twarzy Richarda znów zagościł ten rodzaj uśmiechu, który pewni szczęśliwcy mają okazję ujrzeć tylko kilka razy w życiu. Było w nim wiele zrozumienia i tyle samo szczerości, co zwykłej, tak rzadko spotykanej życzliwości.

– Fortepiany nie umierają – odrzekł. – A ten tutaj, mój drogi, ma w sobie o wiele więcej życia, niż mógłbyś przypuszczać. Sam spróbuj. Zagraj coś na nim.

– Nie potrafię – odparł chłopiec.

– Skąd możesz to wiedzieć, skoro nigdy nie próbowałeś?

Hayden przeniósł wzrok ze starca na rząd klawiszy. Kiedy miał ich dotknąć, wydały mu się o wiele bardziej przerażające niż chwilę wcześniej.

– Śmiało, chłopcze – zachęcił pogodnie Richard. – Co złego może się wydarzyć? W najgorszym wypadku zagrasz coś tak okropnego, że Mozart przewróci się w grobie. Nic ponadto.

Chłopiec wziął głęboki wdech, po czym uniósł drobne dłonie i wreszcie opuszkami palców dotknął kilku białych klawiszy. Ten pełen nieśmiałości i niepewności ruch wystarczył, aby ściany pomieszczenia ponownie wypełniły dźwięki. Nie układały się w melodię i przypominały niepasujące do siebie połączenie kilku nut, ale zdołały wywołać na jego twarzy szeroki uśmiech.

Było coś niebywale magicznego w tym, że za sprawą kilku ruchów palców udało mu się przepędzić nużącą ciszę i wypełnić pokój brzmieniem. Jego echo trwało jeszcze przez chwilę, nawet gdy Hayden odsunął dłonie od fortepianu, zamknął oczy i z drżeniem wypuścił powietrze.

Zupełnie jakby muzyka nie chciała odejść. Jakby raz zaproszona, pragnęła zagościć tu na dobre.

Kiedy chłopiec powoli uniósł powieki i spojrzał na Richarda, ten po raz kolejny obdarzył go łagodnym uśmiechem.

– Widzisz? Nie trzeba grać jak Chopin czy Beethoven, żeby czerpać z tego radość. Wystarczy… – Zawiesił głos i powiódł dookoła wzrokiem. – Odrobina ciszy, trochę samotności i stary fortepian.

Hayden nie odrywał spojrzenia od starca.

Dopiero wiele lat później miał przekonać się, jak niewielu ludzi podobnych do Richarda uchowało się jeszcze w tym zepsutym świecie. Nikt nie potrafił już doszukiwać się piękna w rzeczach najprostszych i najbardziej przyziemnych.

Mężczyzna zastukał palcami w drewnianą obudowę instrumentu.

– I jak? Podobało ci się? – zapytał.

– Tak – odpowiedział bez wahania chłopiec.

– W takim razie obawiam się, że już nie ma dla ciebie ratunku, mój drogi.

– Słucham?

– Gdy fortepian raz skradnie twoje serce, już nigdy nie będziesz w stanie mu się oprzeć. Kto wie? Może właśnie mam przed sobą drugiego Chopina.

Na twarz Haydena wkradł się kolejny uśmiech.

Nagle zza drzwi oddzielających to zapomniane pomieszczenie od bogatych korytarzy filharmonii dobiegł stłumiony głos:

– Hayden!

Siedmiolatek westchnął.

– To mój tata – odparł, zeskakując ze stołka. – Muszę już iść. Dziękuję, że pozwolił mi pan zagrać na fortepianie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, chłopcze.

Idąc w stronę drzwi, Hayden zawahał się kilka kroków przed wyjściem. Odwrócił głowę i po raz ostatni zerknął na Richarda, który pakował narzędzia do skrzynki.

W tamtej chwili nie mógł wiedzieć, że wiele lat później pewnego deszczowego dnia znów przyjdzie mu stanąć w tym opuszczonym i dawno zapomnianym pokoju. Wówczas odnajdzie w nim to, czego będzie mu trzeba – ciszę, samotność i kilka niewypowiedzianych słów.

– Jak się nazywała? – zapytał.

Mężczyzna uniósł wzrok.

– Melodia, którą pan grał – wyjaśnił chłopiec.

– Och, no tak. – Wytarł dłonie o materiał koszuli. – To *Dream A Little Dream Of Me*. Spodobała ci się?

– Była okej – odpowiedział.

Richard znów się uśmiechnął.

Hayden odwrócił się, nie podejrzewając, że spotkanie z tym człowiekiem miało na zawsze odmienić jego życie, po czym popchnął drzwi i wyszedł na korytarz.

Minął automat z przekąskami, nie poświęcając mu spojrzenia, i wrócił do głównego holu, gdzie natknął się na tatę.

– Szukałem cię – poinformował typowym dla siebie ojcowskim tonem. – Cindy o mało nie dostała zawału, kiedy się zorientowała, że zniknąłeś.

– Chciałem znaleźć toaletę – skłamał.

– Dlaczego nie poprosiłeś jej o pomoc?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Wydawała się bardzo zajęta niszczeniem dokumentów.

Oliver pokręcił głową.

– Chodźmy. – Skierował się w stronę schodów. – Wybrałeś już smak lodów?

Hayden z zaskoczeniem odkrył, że zapomniał nie tylko o obiecanych lodach, ale także o meczu Jetsów i o Aaronie Rodgersie.

*

– Tylko nie mów o tym mamie, dobrze? Gdyby dowiedziała się, że w taką pogodę dałem ci się namówić na lody, przez następny tydzień musiałbym spać na kanapie. Powiedzmy, że to będzie nasz mały sekret.

Chłopiec odebrał od ojca lody. Po kilku minutach bicia się z myślami – które zirytowały sprzedawczynię i paru czekających w kolejce klientów – stanęło na gumie balonowej.

Niekiedy najprostsze rozwiązania były tymi najwłaściwszymi.

– Jasne, tato.

Hayden był mistrzem w dochowywaniu sekretów. Wciąż nie zdradził tacie, że w poprzedni weekend podczas zakupów mama kupiła sukienkę, która „była zbyt droga, by mogła powiedzieć o tym tacie". Jak jej wówczas obiecał, nie pisnął o tym słowem.

Ruszyli w drogę powrotną do zaparkowanego kilkanaście metrów dalej samochodu.

Śnieg padał z ciemnego nieba drobnymi, ledwie widocznymi płatkami, które połyskiwały w świetle ulicznych lamp. Mimo że stosunkowo późna pora i pogoda nie sprzyjały opuszczaniu ciepłego mieszkania, minęli wielu spacerowiczów.

Mężczyzna ze skrzypcami i kobieta śpiewająca piosenki Whitney Houston stali obok siebie i ze śmiechem popijali gorącą herbatę z tekturowych kubków.

– Tato? – zapytał Hayden.

– Tak?

– Od zawsze wiedziałeś, że zostaniesz prawnikiem?

Oliver spojrzał na syna z góry. Marszcząc ciemne brwi w zamyśleniu, odpowiedział:

– Tak sądzę.

– Mhm.

Mężczyzna znał syna zbyt dobrze, by nie domyślić się, że za tym pytaniem kryło się coś więcej niż zwykła dziecięca ciekawość.

– To w porządku, jeżeli jeszcze nie wiesz, kim chcesz być w przyszłości. Nie dorastaj zbyt szybko, Haydenie.

– Dlaczego nie?

– Bo gdy dorośniesz, ja się zestarzeję. No i nie będę już tak łatwo dawał się namówić na lody w środku zimy.

Chłopiec zareagował grymasem niezadowolenia, który wywołał u Olivera lekki uśmiech. W sercu mężczyzny zrodził się zalążek bólu. Sam był dzieckiem zbyt krótko i nie chciał, aby Haydena spotkał podobny los.

– Wiem, kim chcę zostać, tato – oznajmił nagle.

– Doprawdy?

Oliver spodziewał się, że jego syn zapragnie związać przyszłość z prawem lub zostać piłkarzem jednej z drużyn piłkarskich, których plakaty zdobiły ściany jego pokoju. Nie krył więc zdziwienia, gdy chwilę później nadeszła odpowiedź:

– Zostanę fortepianistą!

Mężczyzna nie zdołał powstrzymać pełnego rozbawienia uśmiechu, który zagościł na jego zwykle poważnej i niewzruszonej twarzy.

– Fortepianistą? – powtórzył.

– Tak. Będę grał na fortepianie.

– Więc zostaniesz pianistą – poprawił go.

– Przecież właśnie to powiedziałem. Nie słuchasz mnie, tato! – oburzył się.

Oliver Sanclair skrzyżował dłonie za plecami. Niekiedy dostrzegał w Haydenie o wiele więcej samego siebie, niż mógłby podejrzewać.

Zbliżali się do zaparkowanego przy ulicy białego porsche. Śnieg zaczynał sypać z nieba coraz mocniej, okalając pobliskie ławki białym puchem.

– W takim razie, gdy zagrasz pierwszy koncert, zajmę miejsce w rzędzie najbliżej sceny i będę klaskał najgłośniej ze wszystkich.

Hayden spojrzał na tatę.

– Obiecujesz? – zapytał.

– Tak, Haydenie. Obiecuję.

Po tych słowach ruszyli w dalszą drogę przez zaśnieżone ulice Nowego Jorku.

Żaden z nich nie miał pojęcia, że kilka złożonych pochopnie obietnic kryło w sobie nieprawdopodobnie wielką moc, która miała pociągnąć za sobą nie tylko żal i smutek, ale przede wszystkim skryte głęboko w sercu chłopca pełne śmiałości marzenie.

II

You write to become immortal, or because the piano happens to be open, or because you've looked into a pair of beautiful eyes.

– Robert Schumann

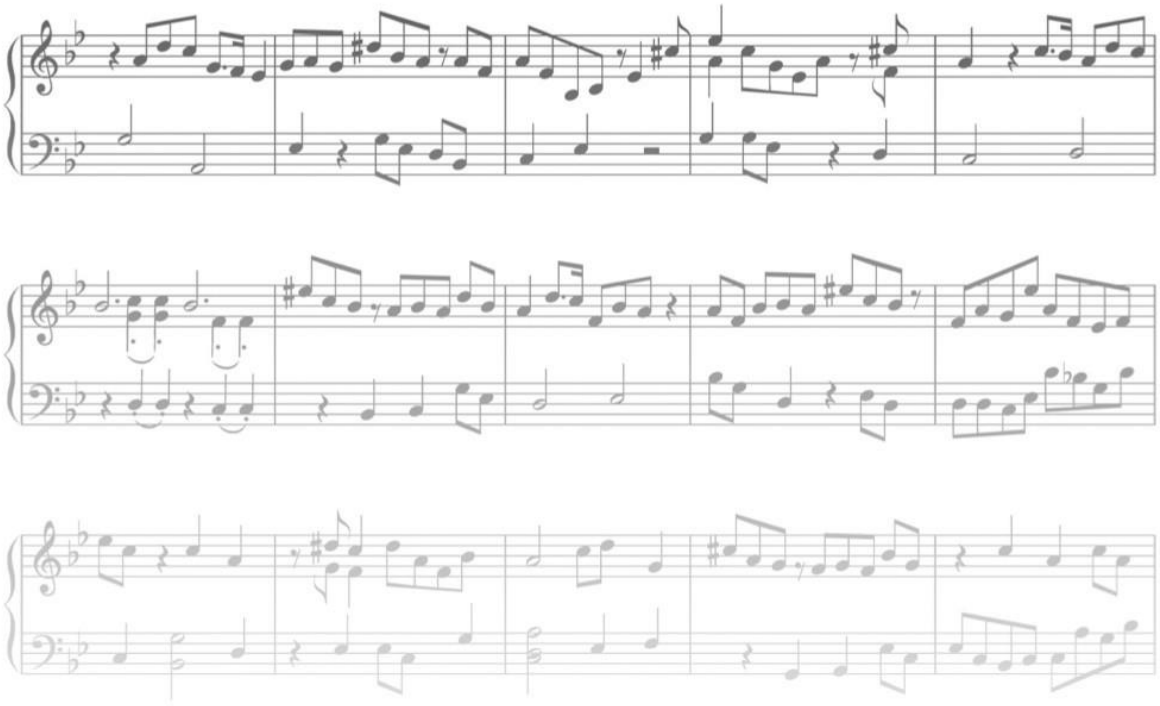

Rozdział 1

Smutny los Małego Księcia

Kiedy w pewien słoneczny poniedziałek o ósmej rano zadzwonił stojący na szafce nocnej budzik, Flora Sharman już nie spała. Wciąż ubrana w piżamę, siedziała na parapecie jednego z okien w swoim pokoju i nie odrywała spojrzenia od ulicy, głaszcząc głowę drzemiącego na jej kolanach psa.

W myślach odliczała sekundy, z każdą minutą coraz bardziej się niecierpliwiąc.

No dalej, pomyślała z irytacją, *przecież on nigdy się nie spóźnia.*

Nerwowo przygryzła dolną wargę, zerkając na wiszący nad drzwiami zegar. Dostrzegła, że był kwadrans po ósmej, po czym znów wyjrzała przez okno. Ulica była niemal pusta, nie licząc pana Danielsa, który jak co ranek podlewał swoje ukochane hortensje zdobiące idealnie przystrzyżony trawnik.

Flora z rezygnacją zamknęła oczy i oparła głowę o ścianę. Z jej płuc wyrwało się ciężkie westchnienie, które było mieszanką smutku i zrezygnowania. Cóż, być może wielkie marzenia niekiedy niosły równie duże rozczarowania?

To nic, pomyślała, starając się zachować optymizm, *przecież za tydzień też jest poniedziałek.*

Do końca wakacji zostały ich aż trzy. Czy był to więc odpowiedni moment, aby już się stresować? Flora wiedziała, że podobnie jak większość nastolatków stojących u progu dorosłości powinna wykorzystać ostatnie dni wolności najlepiej, jak potrafiła – spotykać się ze znajomymi, chodzić późno spać i przede wszystkim nie myśleć o przyszłości, nawet jeśli ta czaiła się tuż za rogiem.

Problem polegał jednak na tym, że bez względu na to, jak bardzo się starała, nie była w stanie odpuścić. Nawet na moment.

Nagle poczuła, że Książę poruszył się niespokojnie. Otworzyła oczy i dostrzegła, że poderwał pokryty siwizną pyszczek, uniósł czarne uszy i zerknął w kierunku okna. W następnej chwili pies zeskoczył na podłogę i zniknął w korytarzu, merdając krótkim ogonem.

Flora jeszcze raz wyjrzała przez okno. Na widok idącego w kierunku skrzynki na listy listonosza na twarzy dziewczyny pojawił się szeroki uśmiech.

Pośpiesznie zsunęła z siebie kolorowy koc i pobiegła w stronę holu. Ignorując wołającą jej imię mamę, wypadła przez drzwi na drewniany ganek. Następnie popędziła przez zielony trawnik. Jej kolorowa piżama kontrastowała z szarością poranka.

Znajomy listonosz obdarzył dziewczynę uśmiechem, wyjął z torby plik listów i rzucił radośnie:

– Mam coś dla ciebie.

Flora odebrała od niego listy. Oddychając ciężko, przejrzała każdy z nich, aż w końcu natrafiła na ten opatrzony jej imieniem i nazwiskiem: *Flora Sharman.* Palce dziewczyny nieznośnie drżały, gdy rozrywała papier.

Pan Daniels przestał podlewać kwiaty i spojrzał w jej kierunku z drugiej strony ulicy. Listonosz przestąpił nerwowo z nogi na nogę, poprawiając torbę, która zsunęła mu się ze szczupłego ramienia. Każdy z mężczyzn w milczeniu patrzył, jak dziewczyna sunie wzrokiem po tekście. Gdy chwilę później uniosła szare oczy, wyraz jej twarzy nie zdradzał, czy ten kawałek papieru niósł pozytywną nowinę.

Pan Daniels jako pierwszy przerwał tę zgubną ciszę:

– Nie trzymaj nas dłużej w niepewności! Jeżeli zaraz nie wydusisz z siebie choćby słowa, przysięgam, że dostanę trzeciego zawału!

Flora po raz kolejny zatopiła wzrok w liście. Okryte zbyt dużym T-shirtem ramiona dziewczyny opadły, podobnie jak jej drobne dłonie. Choć wciąż kurczowo zaciskała palce na papierze, jakby ta kartka i zapisane na niej kilka zdań były najcenniejszym, co posiadała.

– Ja…

Niespodziewanie ogarnął ją tak przejmujący smutek, że pogubiła myśli. Nie potrafiła tego zrozumieć. Trzymała w rękach nagrodę za lata ciężkiej pracy, za wszystkie zarwane noce spędzone nad książkami. Dlaczego nie była w stanie wypowiedzieć tych kilku słów?

Cholera, dlaczego nagle wizja spełnienia jednego z największych marzeń wydawała jej się tak przerażająca? Czekała na to tak długo, lecz teraz nie miała pojęcia, co powinna z tym zrobić.

Gdy wreszcie zdała sobie sprawę z tego, że od dłuższego czasu stała w miejscu, jedynie poruszając bezgłośnie ustami, poderwała głowę. Wkładając w to zdanie wszystkie siły, jakie udało jej się zgromadzić, wybełkotała cicho:

– Udało się.

Na twarzy listonosza pojawił się szeroki uśmiech.

– Udało się! – powtórzył na tyle głośno, by stojący kilka metrów dalej pan Daniels również zdołał usłyszeć tę radosną nowinę.

– Udało się! – zawtórował wesoło starszy sąsiad, niemal wypuszczając z rąk konewkę pełną wody.

Flora z trudem przełknęła i w odruchu grzeczności zdobyła się na coś, co z oddali mogło wyglądać jak uśmiech.

Nie chodziło o to, że się nie cieszyła. Było wręcz przeciwnie – od tygodni nie czekała na nic tak bardzo, jak na ten list. Ale teraz, kiedy w końcu trzymała go w dłoniach, wyraźniej niż

kiedykolwiek wcześniej pojęła, jak wiele konsekwencji niosło spełnianie marzeń. Ich wizja malowała się przed nią wyraźniej niż jeszcze kilka minut wcześniej, gdy z nadzieją wypatrywała listonosza.

Wtedy to wszystko było jeszcze zbyt odległe.

– Twoi rodzice muszą być z ciebie bardzo dumni.

Na dźwięk tych wypowiedzianych z zadziwiającą lekkością słów Flora zesztywniała.

Rodzice, przebiegło jej przez myśl.

– Przepraszam, muszę już… – Nie dokończywszy tego, co zamierzała powiedzieć, odwróciła się i pośpiesznie ruszyła w kierunku ganku.

Wpadła do domu i stanęła w przejściu między jasną kuchnią a długim korytarzem, ignorując drepczącego za nią psa. Spojrzała na mamę, która krzątała się przy kuchence, mrucząc pod nosem jakąś melodię.

Gdy dziewczyna rozchyliła usta, jej słowa utkwiły gdzieś pomiędzy ciężkimi uderzeniami serca a przejmującym pragnieniem, by zaszyć się w pokoju aż do wieczora.

– Mamo – powiedziała w końcu, głosem tak niewyraźnym, że sama z trudem zdołała go rozpoznać.

– Tak, kochanie?

– Dostałam list.

Hailey Sharman zamarła, a w następnej chwili gwałtownie się odwróciła. Jej długie, czarne włosy wyrwały się z luźnego koka, w który zwykle je spinała, i opadły pasmami na delikatnie umalowaną twarz.

Zanim Flora zdołała powiedzieć coś więcej, mama pojawiła się tuż przy niej i bez słowa wyrwała jej z dłoni list. Pośpiesznie przesunęła wzrokiem po jego treści, a na jej usta wkradł się promienny uśmiech, kiedy ponownie spojrzała na córkę.

– Och, nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę! To przecież świetna wiadomość, prawda?

– Tak, ale… – Flora zamilkła, napotykając spojrzenie mamy.

Nie chciała niepotrzebnie jej zamartwiać, bo przecież nie istniał powód do zmartwień, prawda? Wszystko układało się tak, jak powinno.

– Po prostu jestem zaskoczona – dokończyła, nakładając na twarz ten sam uśmiech, co chwilę wcześniej.

– Och, kochanie. – Hailey oddała córce list. – Zasłużyłaś na to bardziej niż ktokolwiek inny. Nie znam bardziej ambitnej osoby niż ty. I nie mówię tego tylko dlatego, że jesteś moją córką i mam do ciebie nadzwyczajną słabość.

Twarz Flory odrobinę się rozpromieniła.

– Tak lepiej – skomentowała jej mama.

W tej samej chwili dotarł do nich swąd spalenizny.

– Mamo, czy to…

– Cholera, moja pieczeń! – Hailey Sharman z grymasem odwróciła się w kierunku piekarnika. Gdy go otworzyła, kuchnię wypełnił duszący dym. – Cóż – westchnęła. – Wygląda na to, że kolacja z dziadkami trochę się opóźni.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytała dziewczyna.

– Nie, skarbie. Sama muszę ogarnąć ten bałagan. Nie zaprzątaj sobie tym głowy. Zawołam cię, kiedy śniadanie będzie gotowe. Przygotuję twoje ulubione naleśniki.

Flora skinęła głową. Lepiej niż ktokolwiek inny – może nie licząc jej taty – wiedziała, że z Hailey Sharman w pewnych kwestiach lepiej było nie dyskutować. Szczególnie gdy w grę wchodziło coś spalonego.

– Pójdę wziąć prysznic – poinformowała, odwracając się w kierunku korytarza. Zanim

zdołała postawić kolejny krok, zatrzymał ją głos mamy:

– Floro.

Dziewczyna zerknęła przez ramię. Na widok uśmiechu widniejącego na twarzy kobiety poczuła ucisk w żołądku.

– Tak?

– Jestem z ciebie bardzo dumna – powiedziała łagodnie, z tą rozbrajającą szczerością, która przez lata nie uległa zmianie. – Razem z tatą jesteśmy z ciebie dumni.

– Wiem, mamo – odparła, starając się odwzajemnić ten pełen ciepła gest.

Trzymając w dłoniach list z uczelni, wróciła do swojego pokoju. Książę wskoczył na łóżko chwilę przed tym, jak Flora opadła na nie z westchnieniem. Układając głowę na stosie poduszek, wypuściła z płuc głębokie westchnienie.

Być może największą wadą wszystkich marzycieli był fakt, iż niekiedy rzeczywistość napawała ich lękiem do tego stopnia, że pogrążeni w przerażeniu woleli skryć się w marzeniach na tak długo, jak tylko było to możliwe? Ale przecież nie można ukrywać się w nich przez wieczność.

Flora doskonale o tym wiedziała.

Nerwowo przygryzła dolną wargę, uniosła list i pomyślała o następstwach tego z pozoru niewinnego zdania, którym był zwieńczony.

Będzie musiała wyjechać z Filadelfii.

Opuścić rodzinę.

I, co gorsza, powiedzieć o tym tacie.

Z przyjemnością pragniemy poinformować, że została Pani przyjęta na pierwszy rok studiów na Wydziale Prawa Uniwersytetu Columbia.

*

Poniedziałkowe kolacje z dziadkami były w domu Sharmanów tradycją, o którą skrupulatnie dbała pani domu. Zazwyczaj panowała na nich swobodna i przyjemna atmosfera. Tego wieczoru jednak po raz pierwszy miało to ulec zmianie.

Flora pomagała mamie nakrywać do stołu, gdy z korytarza dobiegł trzask drzwi. Drzemiący dotychczas pies poderwał głowę ze swojego ulubionego miejsca na jasnej kanapie, a w następnej chwili popędził w kierunku wejścia. Jego czarny ogon merdał w oznace radości. Istniały tylko dwie osoby, na które zwierzak reagował w taki sposób – jedną z nich była Flora, drugą natomiast jej tata.

Victor Sharman pojawił się w jadalni. W przedpokoju pozbył się płaszcza oraz marynarki ulubionego garnituru. Rękawy białej koszuli podwinął na wysokość łokci i zdjął krawat, jak miał w zwyczaju robić zawsze, kiedy po pracy wracał do domu. Zupełnie jakby ten fragment materiału wiązał go z obowiązkami nieustannie ciążącymi mu na ramionach. Wyraz twarzy mężczyzny wyraźnie wskazywał, że dzień, który miał za sobą, nie należał do najłatwiejszych. Na widok córki i żony zdobył się jednak na szczery uśmiech. Nic nie działało na niego lepiej niż powrót do domu. Do rodziny.

– Dochodzi siódma. – Hailey skrzyżowała ramiona na piersi. – Obiecałeś, że wrócisz dzisiaj wcześniej…

Victor podszedł do żony i pochylił się, aby złożyć krótki pocałunek na jej ustach, nie pozwalając jej powiedzieć ani słowa więcej.

– Ciebie również miło widzieć, kochanie – odparł, prostując się.

Pani Sharman nie potrafiła zbyt długo walczyć z uśmiechem, który ostatecznie i tak zagościł na jej twarzy. Gest ten podszyty był jednak troską i zmartwieniem.

– Wyglądasz na zmęczonego – przyznała, ciepłą dłonią dotykając policzka męża.

– Miałem ciężki dzień – odpowiedział, nie wdając się w szczegóły.

– Może powinnam zadzwonić do rodziców i przełożyć kolację na inny dzień?

– To nie będzie konieczne – zapewnił. – Szybki prysznic postawi mnie na nogi. Daj mi piętnaście minut. – Znów się pochylił, by pocałować żonę.

Flora odchrząknęła.

– Nie przy ludziach.

Tata spojrzał na nią z pełnym rozbawienia uśmiechem.

– Pewnego dnia też się zakochasz, skarbie – napomknęła mama.

Flora wyraźnie się skrzywiła. Stracenie głowy dla jakiegoś chłopaka było ostatnim, czego potrzebowała. Z niepohamowaną tendencją dziewczyny do zamartwiania się praktycznie wszystkim miłość nie była czymś, co mogło się dobrze skończyć.

– Obiecaj, że poczekasz z tym przynajmniej do mojej śmierci – wtrącił tata.

– Jasne, pójdę do ołtarza z balkonikiem – mruknęła, sięgając po leżące na środku stołu sztućce.

Hailey pokręciła głową, po czym zwróciła się do męża:

– Rodzice wpadną przed ósmą. – Delikatnym ruchem smukłej dłoni poprawiła kołnierzyk jego koszuli. – Przygotowałam twoją ulubioną pieczeń.

– Nawet dwa razy – dodała Flora.

Jej mama przewróciła oczami i wyjaśniła:

– Pierwsza trochę się przypaliła. Ale to wszystko przez…

– Łyżeczki! – wtrąciła dziewczyna. – Zapomniałam o łyżeczkach – dodała już nieco ciszej.

Pani Sharman zmarszczyła brwi.

– Są w kuchni, w…

– …w trzeciej szufladzie. Tak, wiem. – Flora pośpiesznie opuściła jadalnię.

Victor powiódł za nią wzrokiem.

– Wszystko w porządku? – zapytał, gdy zostali w pomieszczeniu we dwoje. Zachowanie córki wydało mu się niecodzienne.

– Lepiej, niż myślisz – zapewniła Hailey, sprawiając, że mąż obdarzył ją pytającym spojrzeniem. Zanim zdołał coś powiedzieć, kobieta stanęła na palcach i cmoknęła go pośpieszenie w usta. Podobnie jak on chwilę wcześniej, chciała odwrócić jego uwagę. – Weź prysznic i odpocznij przed przyjazdem rodziców. Ja i Flora zajmiemy się resztą.

Gdy zostawiła go w pustej jadalni, Victor Sharman pomyślał o tym, jak bardzo kochał żonę i córkę. I czasami równie mocno nie potrafił ich zrozumieć. Może był za stary? A może po prostu kobiety wciąż stanowiły jedną z tych zagadek, których nikt nigdy nie będzie w stanie rozwikłać? Z tą myślą udał się do łazienki. Pies dreptał wytrwale tuż obok niego, jakby i on doszedł do wniosku, że mężczyźni powinni trzymać się razem.

Hailey odnalazła Florę w kuchni. Przystanęła w progu, po czym obdarzyła córkę zatroskanym spojrzeniem.

– Nie możesz wiecznie tego przed nim ukrywać – stwierdziła.

– Wiem, mamo – rzuciła Flora, zamykając szufladę. – Po prostu czekam na odpowiedni moment.

– Gdy się na niego czeka, z reguły nigdy nie nadchodzi.

Dziewczyna z westchnieniem oparła się o szafki.

– Po prostu nie chcę, żeby przeze mnie dostał zawał i trafił do szpitala.

Mama obdarzyła ją uśmiechem.

– Floro… – zaczęła, zatrzymując się naprzeciwko córki. – Twój ojciec szalenie cię kocha i choć momentami bywa odrobinę nadopiekuńczy…

– Odrobinę? – powtórzyła.

– Może bardziej niż odrobinę – sprostowała. – Chodzi mi o to, że chcemy dla ciebie tylko tego, co najlepsze. Fakt, że wyjedziesz na studia z dala od domu, jest trudny, bo dotychczas zawsze byliśmy we trójkę. Ale to niczego nie zmienia, kochanie. Musisz spełniać marzenia za wszelką cenę. W życiu istnieje niewiele rzeczy wartych więcej niż to.

– Po prostu nie chcę was zostawiać – wyszeptała, nie ufając swojemu głosowi na tyle, aby wypowiedzieć te słowa głośniej.

– Och, skarbie… Twój dziadek powiedział mi kiedyś bardzo ważną rzecz, o której staram się nie zapominać. I chcę, żebyś ty też o niej pamiętała, dobrze? – Pochyliła się i ściszyła głos: – Życie jest wyjątkowo krótkie i zanim się obejrzysz, przeleci ci przez palce. Dlatego lepiej jest niczego nie żałować. Nie martw się mną i tatą. – Wzruszyła ramionami, po czym dodała z radością: – Może gdy zostaniemy sami, w końcu uda mi się namówić go na lekcje tańca?

Flora uśmiechnęła się, słysząc te słowa.

– Prędzej ktoś zdoła udowodnić, że Ziemia jest płaska, niż to się stanie, mamo.

– Tak. Pewnie masz rację. – Obdarzyła córkę kolejnym promiennym uśmiechem. – Chodźmy. Dziadkowie powinni zaraz przyjechać, a musisz jeszcze wyprowadzić psa, żeby znowu nie nasikał nikomu do butów.

*

Babcia Kris miała w zwyczaju przytulać Florę o wiele dłużej, niż dziewczyna była w stanie znieść. Dziadek Edward natomiast na powitanie puszczał wnuczce oczko i rzucał zabawną uwagę na temat pogody albo aktualnej sytuacji na świecie.

Tym razem postanowił skomentować niedawną koronację króla Karola:

– Biedaczek, tak długo czekał, żeby zostać królem, a i tak pewnie długo się tym nie nacieszy.

– Edwardzie! – Kris Warren zgromiła go spojrzeniem.

– Nikt z nas nie żyje wiecznie, kruszynko – odpowiedział, kręcąc głową, i posłał wnuczce kolejne oczko.

Przy stole w jadalni Sharmanów każdy członek rodziny miał swoje miejsce. Nie były one co prawda do nikogo oficjalnie przypisane, ale podczas kolacji wszyscy zawsze zajmowali te same krzesła. Przy przeciwnych krańcach stołu niezmiennie zasiadali pan domu i jego teść. Flora zajmowała miejsce u boku dziadka. Bardzo lubiła gawędzić z nim podczas posiłku. Dziadek zawsze miał coś zabawnego i błyskotliwego do powiedzenia. Naprzeciw dziewczyny siadały mama i babcia, które przez znaczną część kolacji wymieniały się najświeższymi plotkami, na przykład tą, że panią Roberts z drugiego końca ulicy latem odwiedziło kilku młodych mężczyzn. Z pewnością żaden z nich nie był jej mężem, co skłaniało do zadawania wielu pytań, które pozostawały bez odpowiedzi.

Nagle z kuchni dobiegł charakterystyczny dźwięk przypominający odgłos windy, która dotarła do celu.

– Pieczeń jest już gotowa. – Hailey opuściła jadalnię.

Dziadek pochylił się w stronę Flory i dyskretnie szepnął:

– Nie uwierzę, jeżeli powiesz, że udało jej się niczego nie spalić. Kocham twoją matkę całym sercem, ale nie ma za grosz daru do gotowania. Obyś nie odziedziczyła tego po niej.

Flora zaśmiała się pod nosem.

– Jestem całkiem dobra w przyrządzaniu tostów z serem.

– To niezły początek – stwierdził, obdarzając ją uśmiechem.

– Edwardzie, czy możesz mówić nieco głośniej? – wtrąciła się babcia. – Przecież doskonale wiesz, że nie mam już słuchu dwudziestolatki i nie rozumiem, co bełkoczesz pod nosem.

– Może to i lepiej – westchnął, prostując się na krześle. – To nic, czym warto byłoby zaprzątać sobie głowę, najdroższa – dodał na tyle głośno, aby pani Warren usłyszała. – Rozmawiałem z Florą o pogodzie.

– Z każdym kolejnym rokiem coraz gorszy z ciebie kłamca. – Machnęła dłonią, po czym zwróciła się do zięcia: – Jak radzi sobie firma, Victorze?

Mężczyzna obdarzył spojrzeniem każdego z obecnych, a następnie odpowiedział:

– Bez zmian.

– Och, nie bądź tak skromny! Maria powiedziała mi, że widziała cię na okładce jednego z tych biznesowych magazynów. Podobno podpisałeś jakiś kontrakt w Azji.

Maria, jak podejrzewała Flora, była jedną z koleżanek babci, z którymi ta spotykała się na popołudniowych herbatkach.

– W Europie – poprawił.

– Maria musiała coś źle przeczytać – napomknęła kobieta.

– Albo ty źle usłyszałaś – mruknął pod nosem dziadek.

– Co powiedziałeś?

– Ależ nic, kochanie. Tak tylko sobie bredzę. – Czule dotknął wierzchu jej dłoni, a następnie podjął wcześniej rozpoczęty temat: – Inwestycja w Europie to spory krok w dobrym kierunku, Victorze.

– Spory i ryzykowny. Przez obecną sytuację tamtejszy rynek jest niepewny, ale jestem dobrej myśli – odparł, zdobywając się na nieznaczny uśmiech.

Nie przepadał za rozmowami o pracy, w szczególności podczas rodzinnej kolacji, gdy jedynym, o czym marzył, było spędzenie spokojnego wieczoru z najbliższymi.

Pojawienie się Hailey zakończyło wszystkie dyskusje.

– Po kolacji będę miała dla was niespodziankę – zdradziła, odkładając pieczeń na środek stołu. – Upiekłam tort.

– A cóż to za okazja? – zdziwił się pan Warren. – Czyżby zdarzył się cud i doczekamy się drugiego wnuka?

– Edwardzie, ich czas przeminął już dobre dziesięć lat temu – stwierdziła pani Warren. – Dziecko w tym wieku to z całą pewnością…

– Dostałam się na studia – wtrąciła niespodziewanie Flora, zaskakując tymi słowami nie tylko swoich bliskich, ale także samą siebie.

Nie wiedziała, dlaczego zdecydowała się wyznać to właśnie teraz. Może mama miała dużo racji? Może odpowiedni moment nigdy nie nadchodził, bez względu na to, jak długo byśmy na niego czekali?

Przy stole zapadła cisza. Okazała się znacznie gorsza, niż Flora sobie wyobrażała. Zdawało się, że te kilka nieznośnie długich sekund trwa bez końca. Jednak o wiele trudniejsze do zniesienia okazało się to, co wydarzyło się chwilę później.

– Za trzy tygodnie wyjeżdżam do Nowego Jorku – dodała, czując na sobie ciężar spojrzeń. Jedno z nich wydawało się znacznie cięższe od pozostałych.

Dziadek dziewczyny odezwał się jako pierwszy:

– To przecież wspaniała wiadomość! Dlaczego mówisz nam o tym dopiero teraz?

– Dostałam list dzisiaj rano… – Flora niepewnie przeniosła wzrok na tatę.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, mężczyzna odchrząknął i wstał od stołu.

– Wybaczcie mi na moment – powiedział.

Flora w milczeniu patrzyła, jak tata wychodzi z jadalni. Chciała zerwać się z miejsca i pójść za nim, ale zatrzymała ją mama:

– Pozwól mi się tym zająć.

Dziewczyna ponownie usiadła, jak z oddali słysząc słowa babci:

– Maria nie uwierzy, kiedy jej o tym powiem! Moja wnuczka będzie studiować w Nowym Jorku!

*

Hailey odnalazła męża na ganku przed domem. Stał przy drewnianej barierce i z dłońmi schowanymi w kieszeniach garniturowych spodni, wpatrywał się w opustoszałą ulicę. Wysokie lampy zaczęły rzucać na nią pierwsze blade promienie światła. Był koniec lata, więc w powietrzu wyczuć można było pierwsze powiewy chłodnego, jesiennego wiatru.

Kobieta przytuliła go od tyłu. Poczuła, jak rozluźnił się pod wpływem dotyku. Nie musiała patrzeć, by wiedzieć, że zamknął oczy. Sama uczyniła podobnie, wtulając policzek w jego bark. Pachniał mocnymi perfumami, których woń tak uwielbiała.

Przez chwilę tkwili w takiej pozycji, w ciszy, pośród wielu niewypowiedzianych słów, jakie ciążyły im na sercach. Bo przecież byli rodzicami, którzy właśnie pojęli, jak szybko dorosło ich ukochane dziecko.

– Wiedzieliśmy, że to w końcu nadejdzie – szepnęła.

– Tak – zgodził się. – Ale nie podejrzewałem, że aż tak szybko. Czasami zapominam, że ona nie ma już pięciu lat.

Hailey objęła Victora odrobinę mocniej.

Ona także o tym zapominała. A może po prostu za wszelką cenę starała się o tym nie pamiętać?

– Wiem, że chciałbyś jak najdłużej mieć ją przy sobie, ale czasu nie da się zatrzymać. Nieważne, jak mocno byśmy tego pragnęli, Flora nie jest już dzieckiem. Te studia od zawsze były jej największym marzeniem.

– Wiem. – Odnalazł dłoń Hailey, a następnie uniósł ją do swoich ust i złożył na jej wierzchu pełen czułości pocałunek. Potem dodał odrobinę ciszej: – Wiem…

Już jako mała dziewczynka Flora nieustannie powtarzała, że pewnego dnia zostanie prawniczką. Podczas jednej ze szkolnych wycieczek do Nowego Jorku kupiła nawet bluzę z logo wymarzonego uniwersytetu. Miała ją w szafie aż do tej chwili.

Victor wiedział, że jego córka mierzyła wysoko. Przecież sam nieustannie powtarzał jej, że zasługiwała na wszystko, co najlepsze. Dlaczego więc czuł smutek, gdy nie tylko odważyła się po to sięgnąć, ale także to zdobyła?

Może pragnął zatrzymać czas o wiele bardziej, niż chciałby się do tego przyznać?

– Nowy Jork, dasz wiarę?

Mężczyzna odwrócił się, wciąż pozostając w ciepłych objęciach żony. Spojrzał na nią z góry i odgarnął jej z policzka kosmyk włosów, opuszkami palców delikatnie muskając miękką skórę.

– Tak. – Uśmiechnął się. – Nasza córka bezapelacyjnie wdała się w ciebie, skarbie.

Hailey również studiowała w Nowym Jorku, więc lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, jak ekscytująca podróż malowała się przed Florą. To miasto było magiczne w każdym znaczeniu tego słowa. Kobieta cieszyła się, że jej córka będzie miała okazję, by przekonać się o tym na własnej skórze.

– Uznam to za komplement. – Powoli odsunęła się od Victora. – Porozmawiaj z nią,

proszę. Cały ranek zamartwiała się tym, jak zareagujesz.

– Zrobię to – obiecał.

Kobieta zareagowała na te słowa uśmiechem.

– Powinnam wracać do rodziców. Nie siedź tutaj zbyt długo, robi się coraz chłodniej. – Potarła dłońmi nagie ramiona.

– Kochanie?

Hailey zatrzymała się tuż przed drzwiami. Odwróciła głowę i obdarzyła męża spojrzeniem niebieskich oczu. Na jego twarzy dostrzegła lekki uśmiech.

– Tak?

– Mówiłem ci już, że jesteś moją lepszą połową? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała. – Powtarzasz to każdego ranka, zanim wyjedziesz do pracy.

– I zamierzam robić to codziennie, byś nigdy o tym nie zapomniała.

– To obietnica?

– Tak, Hailey. To obietnica.

*

Po kolacji Flora pożegnała się z dziadkami i odprowadziła ich do samochodu. Machała im na pożegnanie, aż ich stare kombi zniknęło w mroku ulicy, wydając charakterystyczne warknięcia. Potem przez dłuższy czas stała na chodniku, pozwalając, aby chłodny wiatr muskał jej policzki.

Z domu pana Danielsa dobiegały stłumione dźwięki skrzypiec. Mężczyzna grał na nich każdego wieczoru. Zawsze wybierał tę samą melodię. Gdy kilka lat wcześniej, będąc jeszcze dzieckiem, które nie potrafiło zapanować nad ciekawością, Flora zapytała, dlaczego nigdy nie zagrał innego utworu, mężczyzna obdarzył ją pełnym zrozumienia uśmiechem i odpowiedział:

– Bo to była ulubiona melodia mojej żony. Gdy gram ją wieczorami, czuję się odrobinę mniej samotny.

Flora nigdy nie miała okazji poznać pani Daniels, ale była pewna, że by ją polubiła.

Na końcu ulicy grupka dzieciaków ścigała się na rowerach. Gdzieś w oddali słychać było szczekanie psa.

Przedmieścia Filadelfii wbrew pozorom skrywały w sobie wiele uroku. Trzeba było jednak zatrzymać się na moment w tym szaleńczym biegu i dojrzeć go pośród podobnych do siebie białych domków, spokoju i ciszy.

Flora pomyślała o tym, jak bardzo będzie za tym wszystkim tęsknić.

Pierwszym miejscem, w jakie udała się po powrocie do domu, była jej sypialnia. Zatrzymała się przy upchniętym w kącie pomieszczenia regale na książki i wyjęła jedną z nich – tę najstarszą, najbardziej zniszczoną i zarazem najbardziej sentymentalną. Zgarnęła z łóżka kolorowy koc i przeszła do jadalni, gdzie natknęła się na mamę.

– Pomóc ci posprzątać po kolacji? – zapytała.

Kobieta pokręciła z uśmiechem głową, dostrzegłszy starą książkę w rękach córki.

– Wygląda na to, że masz ważniejsze rzeczy do zrobienia. Poradzę sobie.

Flora wyszła na taras, korzystając ze szklanych drzwi. Tata siedział na ławce, którą w ubiegłe wakacje przywieźli od dziadków, pomalowali na biało i ustawili pod wierzbą płaczącą na końcu ogrodu. Na najniższych gałęziach zawiesili światełka choinkowe, aby dodać temu skrawkowi raju nieco więcej magii.

– Mogę? – zapytała, zatrzymując się kilka kroków przed ławką.

Victor skinął głową i poklepał miejsce obok siebie. Flora je zajęła, kładąc książkę i koc na kolanach. Gdy spojrzała na tatę, zorientowała się, że jego wzrok był utkwiony w wiszącym nad

ich głowami niebie. Teraz, choć pokryte niemal złowieszczą czernią, było ozdobione pojedynczymi gwiazdami.

– Wiesz, że w Nowym Jorku nie widać gwiazd? – zaczął. – Jest tam zbyt jasno, by mogły być widoczne.

Flora również uniosła wzrok.

– Tato, posłuchaj…

– Jestem z ciebie bardzo dumny – wyznał, kiedy spojrzała mu w oczy. – Nie masz pojęcia, jak bardzo. W całym życiu nie byłem z niczego ani z nikogo tak dumny jak z ciebie, Floro. Jesteś najcenniejszym, co posiadam. I może właśnie dlatego tak bardzo nie chcę cię stracić…

– Nie znikam, tato – zapewniła. – Po prostu…

– …dorastasz – dokończył, po czym nabrał w płuca powietrza. – Czasami zapominam, że nie jesteś już moją małą Florą.

Nastolatka w milczeniu patrzyła, jak tata znów spogląda w niebo. Chciała powiedzieć, że brak gwiazd na nowojorskim niebie był w tej chwili jej najmniejszym zmartwieniem. Od zawsze była bardzo związana z rodzicami. I to właśnie ich będzie brakować jej najbardziej.

Wizja przebywania tak daleko od rodzinnego domu cholernie ją przerażała.

– Musisz mi coś obiecać, zanim wyjedziesz – przerwał trwającą od chwili ciszę. – Obiecaj mi, że… że będziesz dorastać odrobinę wolniej.

Flora podniosła wzrok.

– Czy to znaczy, że nie masz nic przeciwko mojemu wyjazdowi?

– Mógłbym wymienić przynajmniej tuzin rzeczy, które mam przeciwko, kochanie, ale nie zrobię tego. Jak już mówiłem, jestem z ciebie bardzo dumny. Zapracowałaś na miejsce na tej uczelni i bez względu na to, jak bardzo chciałbym cię tu zatrzymać, nie zrobię tego. Zasługujesz, żeby tam pojechać…

Flora zerwała się z miejsca i niespodziewanie wpadła w ramiona taty. Ten objął ją ze śmiechem.

– Nieważne, jaką decyzję podejmiesz, ja i mama zawsze będziemy cię wspierać. Chyba że będziesz chciała wstąpić do sekty albo ogolić głowę… – Uśmiechnął się, kiedy córka posłała mu znaczące spojrzenie. – Żartuję. Ale, gwoli ścisłości, lepiej nie rób żadnej z tych rzeczy.

– Nie musisz się o mnie martwić.

– Wiem. – Odetchnął głęboko. – Wiem, że świetnie sobie ze wszystkim poradzisz, ale i tak będę się martwił. To nieodłączna część bycia rodzicem.

– Dziękuję, tato. – Odsunęła się od niego. – Och. – Przypomniała sobie o czymś. – Pamiętasz… – Wyjęła spod koca książkę o tak wyblakłej okładce, że tytuł był już praktycznie niewidoczny. – To? Czytałeś mi ją, kiedy byłam mała.

Victor wziął książkę w dłonie. Z tymi kilkudziesięcioma pożółkłymi już stronami, dla których czas nie okazał się łaskawy, wiązało się wiele wspomnień z jego dzieciństwa. Bardzo dawno temu dostał tę książkę od brata, aby wiele lat później podarować ją ukochanej córce.

– Jak mógłbym zapomnieć? – Głos miał cichszy nawet od szeptu.

Otworzył książkę na pierwszej stronie, gdzie nawet pomimo upływu dekad wciąż dostrzec można było wypisaną pochyłym pismem dedykację:

Dla najlepszego brata

– Mikael Sharman

Victor niezwykle rzadko wracał do przeszłości. Zostawił ją daleko za sobą, gdy

zorientował się, że zbyt długo była dla niego niczym kula u nogi. Ale tęsknił za bratem i oddałby wiele, aby ten mógł tu teraz być. Aby mógł poznać Florę. Z pewnością by ją pokochał.

– Mógłbyś poczytać mi jeszcze raz, tato? – zapytała.

Mężczyzna zerknął na nią z uśmiechem.

– Oczywiście.

Nastolatka okryła ich kolorowym kocem, po czym rozsiadła się wygodniej na drewnianej ławce i oparła głowę na ramieniu taty.

– „Gdy miałem sześć lat, zobaczyłem pewnego razu wspaniały obrazek w książce opisującej puszczę dziewiczą. Książka nazywała się *Historie prawdziwe*. Obrazek przedstawiał węża boa, połykającego drapieżne zwierzę".

Wsłuchując się w słowa książki *Mały Książę*, Flora jeszcze raz spojrzała w górę, na usypane gwiazdami niebo, jakby w przytłaczającej świadomości, że być może nie zobaczy go przez bardzo długi czas. Za wszelką cenę starała się je zapamiętać...

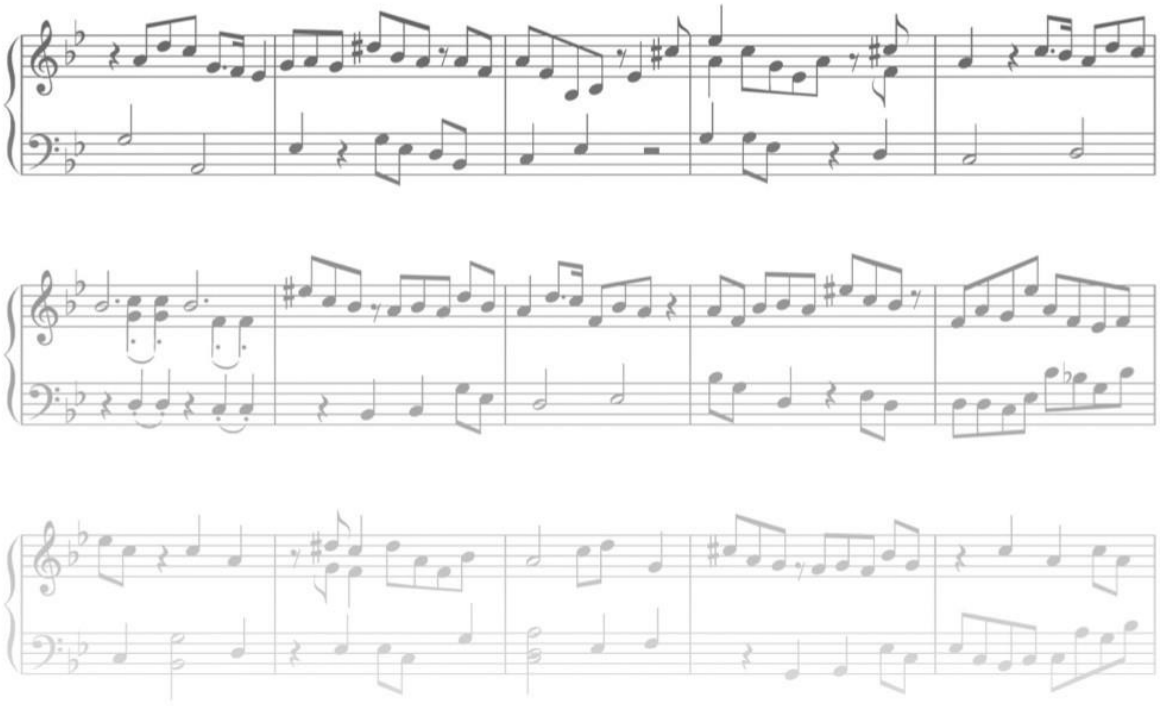

Rozdział 2

Niebo pozbawione gwiazd

Jak się miało niebawem okazać, istniały rzeczy o wiele gorsze niż samotny, trwający ponad godzinę lot w zupełnie obce miejsce. Jedną z nich były pożegnania – w szczególności takie, jakie Florze Sharman zgotowali bliscy.

Gdy wieść o jej wyprowadzce do Nowego Jorku rozniosła się echem wśród rodziny, dziewczyna poprosiła rodziców, aby wybili sobie z głowy przyjęcie pożegnalne, na które tak nalegała babcia. Flora uważała ten pomysł za niepotrzebną okazję do łez, a także do zadawania pytań, na które nie chciała odpowiadać. *Dlaczego wybrałaś uczelnię tak daleko od domu? Dlaczego prawo? Z twoimi wynikami dostałabyś się na najlepsze uczelnie w kraju, dlaczego Nowy Jork?*

Ostatnim, czego potrzebowała, był dodatkowy stres i nadmierne rozmyślanie nad kwestiami, na które i tak nie miała większego wpływu. Drugą połowę sierpnia w większości spędziła z mamą i tatą, wykorzystując wspólny czas najlepiej, jak była w stanie. Kilka dni zajęło jej spakowanie potrzebnych rzeczy, które firma transportowa przewiozła już do Nowego Jorku. Na lotnisku pojawiła się więc tylko z jedną małą walizką i dwójką zdenerwowanych rodziców.

W niedzielne popołudnie główny port lotniczy w Filadelfii nie świecił pustkami, ale przedostanie się do miejsca, gdzie odbywała się odprawa, nie stanowiło większego wyzwania.

Flora nie dostrzegła ich od razu. Pierwszym, co przykuło jej uwagę, były kolorowe balony unoszące się nad głowami pasażerów. Nie wydało jej się to niczym nadzwyczajnym. Na ulicach Filadelfii można było dostrzec o wiele bardziej niecodzienne zjawiska. Dopiero chwilę później jej oczom ukazała się uśmiechnięta twarz cioci Meggie, która trzymała w dłoniach

transparent z ogromnym napisem: **Będziemy za tobą tęsknić!** Właśnie wtedy Flora zrozumiała, że bez względu na to, jak mocno by o to prosiła, jej rodzina nie mogłaby zrezygnować z pożegnania. Warrenowie po prostu tacy byli. I właśnie za to kochała ich najbardziej.

– Wybacz, kochanie – szepnął do niej tata. – Próbowaliśmy z mamą odwieźć ich od tego pomysłu, ale ciocia Meggie i babcia Kris miały większą siłę przebicia.

– Nie szkodzi. – Uśmiechnęła się.

Na widok dziewczyny ciocia Meggie wcisnęła transparent w ręce wuja Thomasa i porwała Florę w objęcia.

– Chyba nie myślałaś, że pozwolimy ci wyjechać bez ostatniego słowa i tony wylanych łez, co? – Odsunęła się od niej z drżącym uśmiechem na promiennej twarzy. Jej policzki okalały jasne loki.

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej – odpowiedziała Flora, zerkając na wysokiego, piegowatego mężczyznę, który pojawił się tuż obok. Kolor jego oczu był niemal tak samo błękitny, jak kolor oczu Flory i jej mamy.

Wuj Thomas również ją objął i szepnął jej przy tym do ucha:

– Pamiętasz o tym, co ci ostatnio mówiłem?

– Nigdy nie mieszaj tequili z białym rumem – powtórzyła słowa, które usłyszała od niego kilka dni wcześniej podczas rodzinnej kolacji. – I pamiętaj, że w Nowym Jorku nie wszystko jest tym, czym się wydaje.

Wujek Thomas był mistrzem w dawaniu rad. Pewnego wieczoru uraczył Florę opowieścią o tym, jak w jednym z nowojorskich klubów poznał piękną dziewczynę, która ostatecznie okazała się… Cóż, bardziej męska, niż wuj Thomas by sobie tego życzył.

– Dopiero w jej mieszkaniu okazało się, że tak naprawdę ma na imię Robert – powiedział wówczas. – Dlatego pamiętaj. W Nowym Jorku nie wszystko jest tym, czym się wydaje.

Spojrzał na siostrzenicę z dumą, jakby był spokojny, że przekazał jej wiedzę, którą sam chciałby wcześniej posiadać.

– Zuch dziewczyna.

Po pożegnaniu z ciocią Meggie i wujem Tomem nadszedł czas na babcię. Kris objęła wnuczkę, po czym zapłakała tak głośno i dramatycznie, że kilkoro mijających ich pasażerów odwróciło ku nim zaciekawione spojrzenia.

– To tylko Nowy Jork, babciu – zapewniła Flora. – Nie wyjeżdżam na drugi koniec kraju. Będę was często odwiedzać.

Babcia zaczęła płakać jeszcze mocniej. Dopiero wujek Thomas zdołał ją uspokoić.

– Już dobrze, mamo. – Objął ją i odprowadził na bok, puszczając Florze oczko.

Właśnie wtedy do dziewczyny podszedł dziadek. Na jego twarzy widniał spokojny uśmiech. Tak samo jak chwilę wcześniej jego żona objął wnuczkę. Przytrzymał ją w uścisku odrobinę dłużej, wyjaśniając z typowym dla siebie rozbawieniem pobrzmiewającym w ciepłym głosie:

– Bądź wyrozumiała dla babci. Gdy twoja mama wyjeżdżała na studia, płakała tak bardzo, że ktoś wezwał ochronę, by się upewniła, że Kris nie jest ofiarą handlu ludźmi.

Flora wciąż nie potrafiła pojąć, jakim cudem dziadek potrafił rozładować napięcie w nawet najtrudniejszej sytuacji. Zazwyczaj nie potrzebował do tego więcej niż kilku słów. Emanujący od niego spokój wydawał się niezwykle kojący i pokrzepiający.

– Będę za wami bardzo tęsknić – szepnęła.

– Och, to oczywiste, ale z pewnością nie tak, jak my za tobą. Co do tego nie mam absolutnie żadnych wątpliwości! – Pochylił się z groteskową miną, jak robił w czasach, gdy Flora była bardzo mała. Zwykle powierzał jej wówczas jeden ze swoich sekretów. – Bardzo mi ją

przypominasz.

– O kogo…

– Twoją matkę – wyjaśnił. – Jesteś tak samo – omiótł wzrokiem jej twarz – niesamowita jak ona, Floro. I masz równie wielkie serce. Dlatego musisz być ostrożna, moja droga. – Uśmiechnął się. – Ludzie o wielkich sercach prędzej czy później spotykają na swojej drodze kogoś, kto pragnie je złamać. Nie pozwól na to, dobrze?

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli, dziadku?

– Po prostu nie staraj się za wszelką cenę dostrzec dobra tam, gdzie może go nie być. Nie wszyscy ludzie, których spotkasz, będą warci tego, by przekonać się, jak czyste masz serce.

Flora czujnie zmrużyła oczy.

– Ale…

Z głośników dobiegł stłumiony przez lekkie zakłócenia głos:

– Pasażerowie lotu numer dziewięćdziesiąt siedem do Nowego Jorku proszeni są o podejście do bramki numer siedem.

Hailey stanęła za córką i położyła ciepłe dłonie na jej ramionach.

– Już czas, kochanie – szepnęła.

Flora odwróciła się w stronę rodziców. Tuż za nimi stała reszta jej rodziny – wuj Thomas obejmował ciocię Meggie, która z uśmiechem trzymała transparent. Dziadek zatrzymał się tuż za babcią i oparł ręce na jej drżących od płaczu ramionach.

Byli tutaj. Wszyscy. Dla niej.

Właśnie wtedy Flora Sharman zrozumiała, że nie istniało nic gorszego od pożegnań. Nawet jeżeli nie opuszczała rodzinnego miasta na zawsze, czuła się, jakby tak właśnie było – jakby już nigdy miała tu nie wrócić.

Uśmiechnęła się przez łzy, które zgromadziły się w jej oczach. Potem pokonała kilka kroków dzielących ją od rodziców i objęła ich najmocniej, jak była w stanie to zrobić. Choć żaden uścisk nie wydawał się dostatecznie silny.

Wówczas na lotnisku znów rozbrzmiały te same słowa:

– Pasażerowie lotu numer dziewięćdziesiąt siedem do Nowego Jorku…

– To brzmi jak idealny moment, by zmienić zdanie – mruknął Victor Sharman.

Flora odsunęła się od rodziców i pokręciła głową.

– Nie mogę – powiedziała. – Nie mogę zostać.

– Wiemy, kochanie – szepnęła ze łzami wzruszenia jej mama i wtuliła się w bok męża.

Dziewczyna chwyciła walizkę, odwróciła się i zdołała postawić zaledwie kilka kroków, zanim jej sprane czarne conversy z piskiem zatrzymały się na śliskiej podłodze. Wzięła drżący oddech, a jej ramiona opadły, przygniecione niewyobrażalnym ciężarem.

Przecież nie wyjeżdżam na zawsze, pomyślała.

– Pasażerowie lotu numer dziewięćdziesiąt siedem…

Odrobinę mocniej zacisnęła palce na rączce walizki, gdy w końcu odwróciła się z policzkami mokrymi od łez. Na jej twarzy widniał jednak uśmiech. Była szczęśliwa, że bliscy nie posłuchali jej próśb. Cieszyła się, że mogła teraz na nich wszystkich popatrzeć.

– Kocham was! – zawołała, ignorując fakt, że mijający ją obcy ludzie posyłali jej pełne oburzenia spojrzenia.

A potem ruszyła w kierunku bramki numer siedem, gotowa spełnić swoje największe marzenie.

*

Port lotniczy imienia Johna F. Kennedy'ego w porównaniu do lotniska w Filadelfii nawet w niedzielny wieczór tętnił życiem. Zanim Flora odebrała walizkę i przepchnęła się przez tłum krążących w pośpiechu pasażerów, niebo nad Nowym Jorkiem spowiły ciemne, gęste chmury. Nawet blask neonów, bilbordów i reklam nie był w stanie ich przepędzić.

Dziewczyna złapała jedną ze słynnych żółtych taksówek i podała kierowcy karteczkę z adresem, który dostała od taty. Choć Victor Sharman ostatecznie pogodził się z wyjazdem córki – zajęło mu to kilka bezsennych nocy – postawił kilka warunków, z którymi Florze nie udało się wygrać nawet w trakcie godzinnych rozmów.

Jedną z nich była kwestia mieszkania. Tata absolutnie nie zgodził się, aby skorzystała z miejsca w akademiku. Nie chciał też słyszeć o wynajęciu pokoju i dzieleniu mieszkania z innymi studentami. Był w tej kwestii tak nieugięty, że Flora w końcu zgodziła się, aby rodzice kupili dla niej mieszkanie. Wiedziała tylko, że znajdowało się blisko uczelni. Dostała klucze i karteczkę z adresem. Reszta stanowiła dla niej niespodziankę, która w równym stopniu napawała ją ekscytacją, co niepokojem. Wiedziała, że jej tata lubił przesadzać. Szczególnie gdy w grę wchodziło jej bezpieczeństwo.

Taksówka ruszyła przez zakorkowane ulice miasta, a Flora miała okazję, by podziwiać Nowy Jork w całej okazałości. Wcześniej odwiedziła to magiczne miejsce tylko kilka razy, podczas wycieczek szkolnych i kilku podróży służbowych taty, gdy zdołała go namówić, aby zabrał ją ze sobą.

Za każdym razem Nowy Jork zachwycał ją jeszcze bardziej, choć zwykle miejsca odwiedzone wiele razy wydawały się coraz bledsze. Traciły urok, skrawek tajemniczości, który wydawał się najbardziej ekscytujący.

Na twarzy Flory pojawił się uśmiech, gdy przez szybę żółtej taksówki dostrzegła na ulicy grupkę ludzi przebranych za bohaterów *Gry o tron*. Nikt inny nie zwracał na nich większej uwagi, jakby nie wyróżniali się z tłumu. Może właśnie to czyniło Nowy Jork tak niesamowitym? Niezwykłość była tutaj czymś najbardziej normalnym.

Taksówka, którą jechała Flora, gwałtownie zahamowała. Gdy dziewczyna wyjrzała przez przednią szybę, dostrzegła rząd samochodów. Kierowca z trudem zdołał dobrać słowa i poinformował, że ze względu na protesty kilka głównych ulic zostało wyłączonych z użytkowania.

Flora zaproponowała, by wybrał inną drogę, lecz mężczyzna nie znał zbyt dobrze angielskiego. Kręcił jedynie głową i rzucał słowa w obcobrzmiącym języku. Ostatecznie dziewczyna zapłaciła za przejechaną trasę, zabrała walizkę oraz karteczkę z adresem i wylądowała na jednej z zatłoczonych ulic Nowego Jorku.

Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyjęła z niej telefon. Zamierzała wpisać numer ulicy i budynku, a potem dotrzeć do mieszkania na nogach. Odblokowała urządzenie, jednak ekran zaświecił się na zaledwie kilka sekund, po czym zalał się czernią. Bateria padła.

– Nie, nie, nie. – Flora skrzywiła się, uderzając palcami w szybkę.

Kiedy zrozumiała, że to nic nie da, z jękiem opuściła ramiona, a następnie się rozejrzała. Jeszcze raz spojrzała na kartkę z adresem i niewiele myśląc, ruszyła przed siebie. Ostatecznie było to lepsze wyjście niż bezczynne stanie w miejscu i użalanie się nad tym, że los jak zawsze niczego nie ułatwiał.

Po chwili minęła grupkę przyjaciół, których widziała z taksówki, a potem skręciła w prawo i dotarła do Central Parku. Przy głównej bramie zaczepiła starszą kobietę, która sprzedawała gorącą czekoladę w papierowych kubkach.

– Przepraszam, czy może mi pani wskazać drogę do tego budynku? – zapytała, pokazując nieznajomej kartkę.

Kobieta z uśmiechem wytłumaczyła, dokąd powinna się udać, aby dotrzeć pod odpowiedni adres. Flora w formie podziękowania kupiła kubek gorącej czekolady i ruszyła parkową ścieżką, ciągnąc za sobą walizkę.

W pewnym momencie spojrzała w górę. Przez rozłożyste korony wysokich drzew przedzierał się blask bilbordów. Przystanęła, zamknęła oczy i głęboko wypuściła powietrze. Nie odszukała tego, co z taką łatwością odnajdowała w domu – ciszy. Bezkresnej i kojącej. Tutaj wszystko było… głośne i żywe. I tak bardzo inne od tego, co znała i do czego przywykła.

W chwili, w której na twarz Flory wpłynął uśmiech, na jej policzek spadła pierwsza kropla chłodnego deszczu. Był to jednak tylko początek ulewy, jaka tego wieczoru miała nawiedzić Nowy Jork.

Gdy dziewczyna rozchyliła powieki, jedna kropla zmieniła się w kilka. Mijający ją ludzie przyśpieszyli kroku lub wyciągnęli parasolki, chcąc schronić się przed deszczem. Flora stała pośrodku ścieżki i nagle poczuła się dziwnie niewidzialna. Nikt na nią nie zerknął, jakiś chłopak uderzył ją ramieniem, po czym odszedł, nie poświęcając jej przelotnego spojrzenia, nie wspominając nawet o zwykłym „przepraszam".

Wszyscy ci ludzie śpieszyli się w tylko sobie znanych kierunkach, podczas gdy ona stała w miejscu, z każdą chwilą coraz bardziej moknąc. Uśmiech powoli spłynął z jej twarzy. Nie potrafiła się ruszyć. Nowy Jork był z pewnością magicznym miejscem, ale miał w sobie także coś niepokojącego.

Może pośpiech? Flora bała się, że nie zdoła za nim nadążyć.

Nagle wróciła wspomnieniami do słonecznego weekendu podczas wakacji, które spędziła z rodzicami na północy kraju. Miała wówczas pięć lat i jak większość dzieci w tym wieku nie przejmowała się konsekwencjami własnych wyborów. Liczyło się dla niej tylko to, aby za wszelką cenę zobaczyć wodospad Niagara z bliska. Przepchnęła się więc przez tłum turystów, wyrywając rączkę z uścisku mamy. Choć udało jej się spełnić dziecięce marzenie, po chwili poczuła na policzkach zimne krople. Szybko pojęła, że została kompletnie sama wśród zupełnie obcych ludzi.

W tym momencie czuła się podobnie. Z tą drobną różnicą, że nikt jej nie szukał. Musiała poradzić sobie sama.

Ktoś znowu na nią wpadł, wyrywając ją z transu. Już całkiem przemoczona, potrząsnęła głową. Dopiero wtedy poczuła, jak zimno jej było. Pociągając nosem, ruszyła przed siebie, jedną ręką ciągnąc ciężką walizkę, a w drugiej trzymając rozmokły kubeczek z czekoladą.

Za wszelką cenę starała się nie myśleć o tym, że być może wszechświat próbował dać jej znak, iż podjęła złą decyzję. W chwilach takich jak ta jej pesymistyczna, zwykle uśpiona strona lubiła budzić się do życia i dawać o sobie znać.

Gdy dziewczyna dotarła do wschodniej bramy, kartka z adresem nie przypominała już tego, czym była wcześniej. Co gorsza, zdawało się, że ulewa przybiera na sile.

Flora wiedziała, że nie zdoła dotrzeć do mieszkania na nogach. Złapanie taksówki też nie wchodziło w grę. Deszcz padał tak mocno, że dla mknących po ulicy samochodów była praktycznie niewidoczna.

Zmuszona była więc podjąć decyzję, która – choć w tamtej chwili wydawała się niepozorna i nic nieznacząca – ostatecznie miała zaważyć na tym, że Flora Sharman nie przetrwa studiów tak, jak zamierzała to zrobić: jako bystra, pracowita i nierzucająca się w oczy studentka.

Zepchnięta przez tłum czarnych parasolek, skręciła w jedną z bocznych uliczek i popchnęła drzwi lokalu opatrzonego szyldem *Sleepy Hollow*[6]. Przekraczając próg tego miejsca, Flora Sharman poczuła nie tyle wypełniające je ciepło, lecz przede wszystkim unoszący się wszędzie zapach drewna. Był tak intensywny, że zakłuł ją w nos.

Drzwi zamknęły się za nią z przeciągłym, złowieszczym skrzypnięciem, które rozmyło się w szmerze rozmów, przyciszonych śmiechów i dźwięków stykających się ze sobą szklanek.

Jeżeli w Nowym Jorku istniały jeszcze miejsca, w których czas zatrzymał się kilka dekad temu – mniej więcej w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku – *Sleepy Hollow* było tego idealnym odzwierciedleniem. Unoszący się pod sufitem dym wskazywał, że przetrwały także niektóre obyczaje z tego okresu. Teraz w większości barów i restauracji obowiązywał całkowity zakaz palenia.

Flora przesunęła wzrokiem po kilku okrągłych stolikach. Gośćmi lokalu w większości byli mężczyźni po pięćdziesiątce. Grali w karty, paląc i popijając whisky ze starych, wyszczerbionych szklanek. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, gdy stanęła w wejściu. Wciąż ciągnąc walizkę, bezgłośnie podeszła do baru. Na jego końcu siedział mężczyzna w zbyt dużej brązowej marynarce. Głowę miał spuszczoną, a wzrok utkwiony w drinku, jakby nic innego nie miało dla niego znaczenia.

Barmanka i zarazem pierwsza kobieta, którą Flora ujrzała w tym lokalu, przywitała ją wyćwiczonym uśmiechem i rzuciła żartobliwie:

– Zanim cokolwiek zamówisz, złociutka, będziesz musiała pokazać mi swój dowód. Nie sprzedajemy alkoholu nieletnim.

– Nie chcę niczego zamawiać – odparła. – Mogłabym skorzystać z telefonu? Mój się rozładował, a nie mogę złapać taksówki.

– Och, w taką pogodę?! – Machnęła pokrytą tatuażami dłonią. – Zdziwiłabym się, gdyby jakiś kierowca się dla ciebie zatrzymał. Bardziej od kilku zarobionych dolarów wolą, by nikt nie zmoczył im tapicerki. – Omiotła ją oceniającym i badawczym wzrokiem, marszcząc przy tym ciemne brwi, które kontrastowały z rudością jej krótkich włosów. – Nie jesteś stąd, prawda? – W tych słowach kryło się więcej stwierdzenia niż pytania.

Flora pokręciła głową.

– Będę tutaj studiować – wyjaśniła. – Ale dotąd mieszkałam w Filadelfii.

– Rozumiem. – Sięgnęła po ścierkę, aby wytrzeć w nią dłonie. – Poczekaj tu chwilę, skoczę na zaplecze po telefon.

– Świetnie, bardzo pani dziękuję…

– Loren – wtrąciła. – Wszyscy mówią mi tutaj Loren.

Flora obdarzyła kobietę uśmiechem.

– Dziękuję, Loren.

Barmanka zniknęła za zrobioną z drewnianych koralików zasłoną, która z szelestem zamknęła się tuż za jej plecami.

Flora rozejrzała się i napotkała wzrok mężczyzny z końca baru. Posłał jej uśmiech i uniósł szklankę z drinkiem na znak toastu. Dziewczyna również się uśmiechnęła. Potem znów spojrzała na rozmokłą karteczkę w dłoni. Na adres swojego nowego domu.

Pomyślała o rodzicach. Nie zdążyła do nich zadzwonić, zanim bateria w telefonie padła. Musieli niewyobrażalnie się martwić. Tata zapewne był już w drodze na lotnisko i zakładał każdy najgorszy scenariusz.

Uśmiechnęła się na tę myśl. Nie sądziła, że tak szybko za nimi zatęskni.

Jej myśli, a także pobrzmiewające w tle odgłosy rozmów nagle zagłuszył dźwięk, którego Flora nie spodziewałaby się usłyszeć w podobnym miejscu. W pierwszej chwili uznała to za zwykłe przesłyszenie, lecz gdy poderwała głowę, zorientowała się, że melodia była prawdziwa. Podobnie jak fortepian i siedzący za nim chłopak.

Zostawiwszy walizkę przy barze, powoli ruszyła w stronę głównej sali małego lokalu. W jej kącie na niewielkim podwyższeniu stał stary, drewniany instrument. Jego wypolerowana

powierzchnia błyszczała w słabym świetle zawieszonej na suficie lampy. Jej blask oświetlał twarz pianisty.

Choć zapewne był niewiele starszy od Flory, grał tak pięknie, jakby miał za sobą całe lata ćwiczeń i wiele tysięcy godzin spędzonych przed fortepianem. Z zamkniętymi oczami sunął palcami po czarno-białych klawiszach. Na jego twarzy widniało coś, co nie było uśmiechem ani też grymasem.

Flora pomyślała o tym, że właśnie tak musieli wyglądać ludzie, którzy powierzyli muzyce całe serce. Tak wyglądał ktoś bez reszty zakochany w utworze, jaki grał. Ta ciężka, powolna melodia przypomniała dziewczynie dom, za którym tak tęskniła. Była tak niewyobrażalnie podobna do utworu, który każdego wieczoru rozbrzmiewał z okien domu pana Danielsa. Miała w sobie coś mrocznego i niepokojącego, a zarazem była tak fascynująca i piękna, że trudno było skupić się na czymś innym.

Flora, podobnie jak chłopak, spod którego palców wydobywały się te urzekające dźwięki, zamknęła oczy. Po raz pierwszy, odkąd znalazła się w Nowym Jorku, poczuła spokój. Zapomniała o tym, jak przemoczona, zmarznięta i zagubiona była. W tamtej chwili nie liczyło się nic więcej niż ciężar dźwięków, który osiadał jej na ramionach, koił nerwy i łamał serce. Kawałek po kawałku.

Istniał taki rodzaj bólu, który nawet mimo całej logiki wydawał się kusząco słodki. Zupełnie jak zimny prysznic, łyk zbyt gorącej kawy o poranku lub ostatnie słowa ukochanej piosenki. Właśnie tak w tej chwili czuła się Flora – jakby ktoś chwycił jej serce i zacisnął na nim palce tak mocno, że nie była w stanie nabrać tchu.

Było w tym jednak coś pięknego.

– Jest niesamowity, prawda? – Głos rozbrzmiał tuż obok niej i był równie niespodziewany jak to, co ujrzała, gdy zdecydowała się rozchylić powieki.

Nikt inny nie słuchał melodii płynącej z fortepianu.

Pozostali goście baru skupiali się na kartach, które trzymali w dłoniach, i stojących przed nimi drinkach. Zdawało się, że wszystko inne nie ma dla nich większego znaczenia. Mimo to chłopak nie przestawał grać. Czarne włosy osunęły się na jego skronie, gdy pochylił się, marszcząc brwi. Ciemny płaszcz okrywający jego ramiona niemal zlewał się z otaczającym go mrokiem.

Nawet na ułamek sekundy nie otworzył oczu. Nie miał więc pojęcia, że tego wieczoru po raz pierwszy znalazł się ktoś, kto zechciał posłuchać jego muzyki. Dla pianisty nie istniało nic piękniejszego niż świadomość, że melodia, którą gra, zdołała do głębi poruszyć zagubione serce.

– To nasza główna atrakcja.

Flora odwróciła głowę i spojrzała na barmankę stojącą tuż obok niej.

– I bierze tylko pięć dolców za godzinę – dodała z rozbawieniem. – Przyniosłam telefon, o który prosiłaś, złociutka.

Dziewczyna odebrała od kobiety urządzenie.

– Dziękuję.

Jeszcze raz spojrzała na siedzącego za fortepianem chłopaka. Odwróciła się na moment przed tym, jak utwór dobiegł końca, przez co gdy Hayden Sanclair przy ostatnich dźwiękach uniósł powieki, jak to miał w zwyczaju, nie mógł dostrzec, że tym razem ktoś zapragnął posłuchać jego gry.

*

Flora nie była zaskoczona, kiedy kierowca taksówki wysadził ją przed ogromnym oświetlonym budynkiem, który zdawał się sięgać aż do chmur wiszących na nocnym,

nowojorskim niebie.

Starszy, bardzo miły ochroniarz wskazał jej drogę do windy. Dotarła na jedno z ostatnich pięter i na końcu niemiłosiernie długiego korytarza wyłożonego szkarłatnym dywanem odnalazła drzwi opatrzone numerem, który widniał na karteczce, zanim ta kompletnie przemokła – 377.

Zatrzymała się w wejściu do mieszkania, które przez najbliższe lata studiów miało stanowić dla niej namiastkę domu. Na ścianie odnalazła włącznik i nacisnęła go, sprawiając, że pomieszczenie zalała fala ciepłego światła.

Tak, jak podejrzewała, tata zadbał o to, aby niczego jej nie brakowało. Mieszkanie było o wiele większe, niż tego potrzebowała. Z całą pewnością tych kilka pokoi pomieściłoby czteroosobową rodzinę.

Na ciemnej podłodze w ogromnym salonie stały kartony z jej rzeczami. Flora minęła je, przeszła obok żółtej kanapy i podeszła do rzędu okien, które zajmowały całą zachodnią ścianę mieszkania. Z wysokości dwudziestego trzeciego piętra wszystko, co znajdowało się na dole, wydawało się tak śmiesznie małe. Czarne parasolki przypominały tylko ciemne kropki na błyszczącym od deszczu chodniku.

Wciąż padało i nie wyglądało na to, aby w ciągu najbliższych godzin miało to ulec zmianie.

Flora rozejrzała się po mieszkaniu. Salon łączył się z utrzymaną w ciemnych kolorach kuchnią. Tuż obok znajdował się korytarz zwieńczony łazienką oraz dużą sypialnią. Wszystko było jednak zupełnie puste i przede wszystkim – bardzo ciche.

Brakowało jej charakterystycznego tupotu łapek jej ukochanego psa, dobiegających z kuchni trzasków talerzy, gdy mama znów przesoliła zupę lub zapomniała wyjąć ciasto z piekarnika. Brakowało jej dźwięku samochodu, kiedy tata wracał z pracy i parkował na podjeździe.

Choć nie miała pojęcia, jak długo zajmie jej nauka życia wśród owej ciszy, była pewna jednego – nigdy nie przestanie brakować jej wszystkich dźwięków, dzięki którym czuła się jak w domu.

Ale może właśnie na tym polegała dorosłość? Na zaakceptowaniu faktu, że goniąc za marzeniami, musieliśmy także coś poświęcić?

Flora jeszcze raz wyjrzała przez okna. Zerknęła na niebo. Nie dostrzegła na nim ani jednej gwiazdy.

*

Hayden Sanclair wrócił do domu krótko przed północą. W wejściu bezszelestnie pozbył się przemoczonego płaszcza oraz butów. Następnie bez zapalania światła ruszył korytarzem w kierunku drzwi do swojego pokoju. Miał nadzieję, że uda mu się położyć do łóżka tak, by nikogo nie zbudzić, lecz zdołał postawić zaledwie kilka kroków, kiedy nagle w progu kuchni pojawiła się jego mama.

Na twarzy Violet McMillan widniał grymas, który Hayden doskonale znał. Pojawiał się zawsze wtedy, gdy mama próbowała udawać, że była na niego zła.

– Masz pojęcie, która jest godzina, młody człowieku? – zapytała, krzyżując ramiona na piersi. Miała na sobie ulubiony czarny szlafrok z połyskującej satyny. Nawet bez makijażu nie wyglądała na kobietę zbliżającą się do pięćdziesiątki. – To, że możesz legalnie kupować alkohol, nie znaczy, że masz wracać do domu po północy. Zapomniałeś chyba, że jutro jest rozpoczęcie roku akademickiego, prawda?

– Zasiedziałem się u Henry'ego – skłamał.

Istniało wiele rzeczy, w których Hayden nie miał sobie równych. Wymyślanie

wiarygodnych kłamstw z całą pewnością było jedną z nich.

Ramiona jego matki opadły. Nie potrafiła zbyt długo zgrywać „złego gliny".

– Jesteś zupełnie jak twój ojciec. On też jeszcze nie wrócił do domu. – Pokręciła głową. – Odgrzać ci kolację?

– Nie jestem głodny, mamo. – Podszedł do niej, po czym pocałował ją w policzek. – Powinnaś się położyć. Rano masz spotkanie w sądzie – przypomniał.

Violet z lekkim uśmiechem dotknęła policzka syna.

– No tak – westchnęła. – Ale przecież wiesz, że nie zasnę, dopóki nie będę miała pewności, że wszyscy są w domu.

Hayden o tym wiedział. Wiele razy na własnej skórze miał okazję poczuć nadopiekuńczość Violet McMillan.

– Masz pozdrowienia od cioci Jodie.

– Koniecznie muszę znaleźć czas, żeby wybrać się z nią na kawę. Albo na lampkę dobrego wina, jeżeli twój ojciec jeszcze raz nie uprzedzi mnie, że pojechał na drugi koniec miasta, żeby spotkać się z klientem. – Pokręciła głową. – Gdy następnym razem będziesz wracał do domu tak późno, daj mi o tym znać albo przynajmniej odbieraj telefon, żebym nie musiała przez dwie godziny siedzieć i się zamartwiać, czy przypadkiem ktoś cię nie napadł, nie okradł i…

– Mamo – wtrącił.

Violet odetchnęła głęboko.

– No dobrze. Idź już do siebie. Musisz jutro rano jakoś wyglądać na uczelni, prawda? To w końcu twój ostatni rok.

Hayden zdobył się na uśmiech. Była to kolejna rzecz, którą opanował do perfekcji.

– Jasne. Dobranoc, mamo.

– Dobranoc, Haydenie.

W chwili, w której chłopak zamknął za sobą drzwi sypialni i oparł się o ich powierzchnię, uśmiech zdobiący jego twarz ustąpił miejsca grymasowi. Na jego ramiona opadł nieopisany ciężar. Być może były to wyrzuty sumienia.

Nie zapalając światła, dotarł do łóżka i z ciężkim westchnieniem opadł na twardy materac. W kieszeni jego spodni wciąż leżało dwadzieścia pięć dolarów, które udało mu się zarobić tego wieczoru.

Nie potrzebował pieniędzy. Mógłby grać nawet za darmo, Loren uparła się jednak, że będzie mu płacić, choć wiedziała, że w Nowym Jorku nie istniała ani jedna osoba, która zechciałaby odwiedzić *Sleepy Hollow*, aby posłuchać gry Haydena. Wszyscy wpadali tam tylko po to, by pograć w karty albo napić się taniego piwa.

– O czym myślisz?

Hayden drgnął.

– Cholera, Julie. – Odwrócił głowę i w mroku dostrzegł bladą twarz siostry.

Julie Sanclair z pewnością miała w sobie coś niepokojącego. Hayden czasami myślał, że jego siostrę być może opętał demon. Momentami bywała naprawdę nieznośna. Szczególnie wtedy, gdy chowała się w jego szafie.

– Czekam na ciebie od godziny – mruknęła, po czym odsunęła wieszaki z ubraniami i przeszła do pokoju.

– Jesteś stuknięta – stwierdził.

– Dziękuję – odpowiedziała, najwyraźniej uznając to za komplement.

Stanęła na środku pokoju, ubrana w kolorową piżamę, która nie pasowała do ponurego wyrazu jej twarzy. Długie, czarne włosy opadały wzdłuż jej policzków. Julie nie wyglądała jak normalna jedenastolatka. Bardziej przypominała dorosłego uwięzionego w ciele dziecka.

– Nie powinnaś już spać? – zapytał, zakładając ręce za głowę. – Jutro zaczynasz szkołę.

– Masz na myśli instytucję, która w latach, gdy nasz mózg jest w najlepszej kondycji, próbuje młodym ludziom wpajać zasady i wiedzę, jaka ani trochę nie przyda nam się w przyszłości, przez co jesteśmy skazani na niepowodzenie w dorosłości i głosowanie na Donalda Trumpa?

Hayden zmarszczył brwi.

– Jesteś stuknięta – powtórzył.

Kącik ust Julie nieznacznie drgnął. Choć z wyglądu była kopią matki, charakter z pewnością odziedziczyła po ojcu, co stanowiło wybuchową mieszankę.

– Spadaj do siebie, Julie.

Dziewczynka przewróciła oczami, po czym sięgnęła po klamkę od drzwi i rzuciła przez ramię:

– Słodkich koszmarów, braciszku.

Hayden z uśmiechem pokręcił głową.

– Dobranoc, Julie.

Gdy siostra wyszła, chłopak na moment zamknął oczy. Za wszelką cenę starał się nie myśleć o tym, że już za kilka godzin miał wrócić na uczelnię, ale ta świadomość nie chciała tak łatwo dać się przepędzić.

Kiedy uniósł powieki i wyjrzał przez okno, w przeciwieństwie do Flory Sharman nie był zaskoczony, kiedy na niebie nie dostrzegł ani jednej gwiazdy.

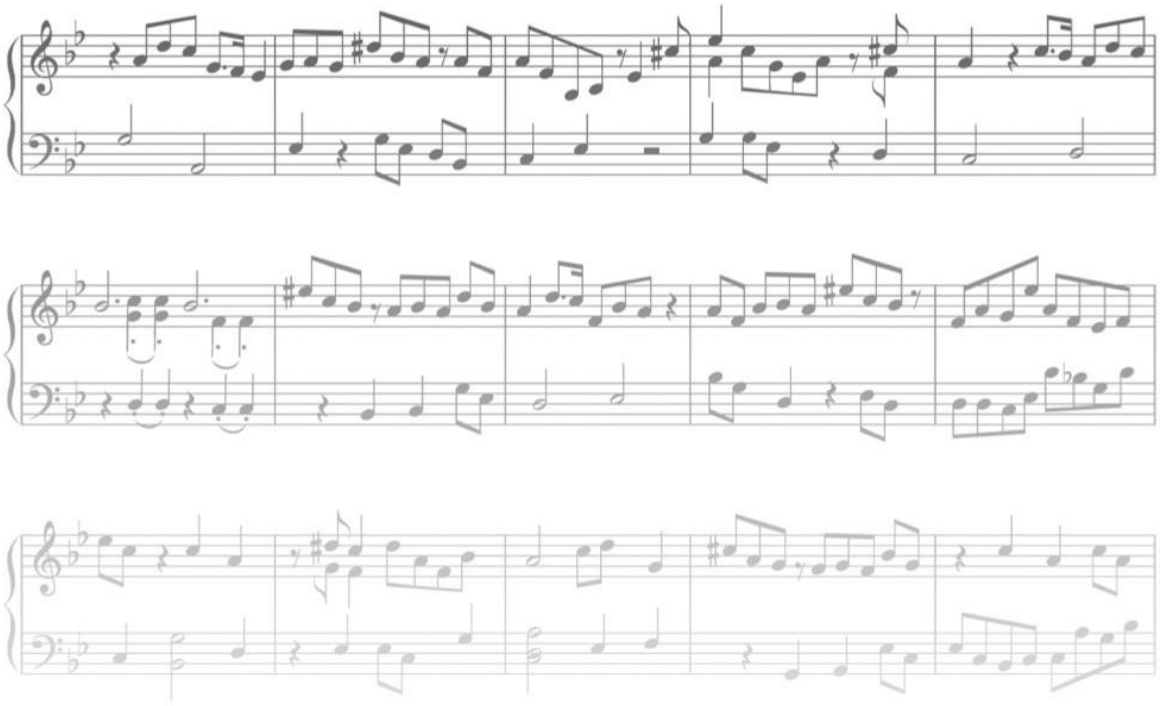

Rozdział 3

Pierwszy dzień reszty twojego życia

Pierwszy dzień nowego roku akademickiego z pewnością nie zaczął się dla Flory Sharman tak, jak by sobie tego życzyła. Tego poranka jeszcze zanim otworzyła oczy, nie mogła pozbyć się przeczucia, że coś było nie tak, jak być powinno.

– Cholera! – jęknęła, gdy chwilę później dostrzegła na telefonie godzinę 8:27.

Na ekranie widniał także SMS od mamy:

Powodzenia pierwszego dnia studiów, kochanie!

Flora zerwała się z łóżka i popędziła do łazienki, gdzie wzięła bardzo szybki prysznic i związała ciemne włosy w wysokiego kucyka. Choć bardzo chciała, nie mogła poświęcić im więcej czasu.

W kartonach, które wciąż stały nierozpakowane na podłodze w salonie, odnalazła krótką czarną spódniczkę oraz biały sweterek. Chwilę później z ciepłą grzanką w dłoni i z płaszczem narzuconym tylko na jedno ramię wyszła z mieszkania, starając się odnaleźć w małej torebce pęk kluczy. Kiedy w końcu jej się to udało, odetchnęła z ulgą. Wciąż miała kilka minut do odjazdu metra, więc wyglądało na to, że poranna seria niefortunnych zdarzeń miała dobiec końca.

Zaledwie sekundę później Flora boleśnie przekonała się o tym, jak mocno się pomyliła. Gdy odwróciła się w stronę windy, niemal wpadła na stojącego kilka kroków za nią mężczyznę.

– Boże, ale mnie pan przestraszył. – Cofnęła się, przykładając dłoń do serca.

Nieznajomy obdarzył ją uśmiechem. Z pewnością był starszy od niej, choć jego platynowych włosów nie zdobił jeszcze ani jeden siwy kosmyk. Mógł mieć trzydzieści kilka lat.

Czerwona satynowa koszula okrywająca jego szerokie ramiona zlewała się z odcieniem ścian w korytarzu. Wyglądał, jakby miał na sobie piżamę.

– Och, słoneczko, żaden pan. Jestem Ralph! – Wyciągnął ku dziewczynie dłoń, którą ta niepewnie uścisnęła. – Mieszkam pod 378.

– Flora – przedstawiła się. – Jest pan moim… To znaczy… – Potrząsnęła głową. – Jesteś moim…

– Sąsiadem – dokończył z promiennym uśmiechem. – Chciałem przywitać cię już wczoraj, ale przyjechałaś dość późno, więc pomyślałem, że musisz być wykończona podróżą i postanowiłem dać ci spokój. – Zaśmiał się perliście.

Jego śmiech przypominał Florze śmiech ciotki. Tej samej, która zawsze zostawiała na policzku dziewczyny odcisk szminki i nie potrafiła zapamiętać jej imienia.

– Powinnam już iść. – Wskazała na windę. – Jestem trochę spóźniona.

– Koniecznie wpadnij do mnie wieczorem na martini! – zawołał za nią.

Flora obdarzyła go zakłopotanym uśmiechem, wcisnęła odpowiedni numer na panelu, po czym ruszyła w drogę na parter. Ten sam starszy ochroniarz, który poprzedniego dnia wskazał jej drogę do windy, powitał ją ukłonem głowy i krótkim:

– Udanego dnia, panienko Sharman!

– Wzajemnie! – rzuciła, po czym popchnęła szklane drzwi i wyszła na ulicę.

Nagle znalazła się wśród tłumu ubranych w czarne płaszcze ludzi. Niczym fala pędzili w stronę metra z twarzami pozbawionymi wyrazu, kubkami kawy w dłoniach i telefonami przyciśniętymi do policzków. Słowa opuszczające ich usta nikły w porannych odgłosach miasta.

Wchodząc do metra, w którym znalezienie o tej porze wolnego miejsca graniczyło z cudem, Flora była pełna nadziei, że choć dzień nie zaczął się najlepiej, nie wszystko było jeszcze stracone.

Kampus uniwersytecki znajdował się w sercu Manhattanu. Kompleks składający się z kilku budynków już z odległości kilkuset metrów wprawiał w zachwyt. Choć nie był to pierwszy raz, kiedy Flora miała możliwość ujrzeć to miejsce na własne oczy, teraz czuła się zupełnie inaczej niż podczas wycieczki w szkole średniej. Nie była już tylko gościem, a jednym ze studentów.

Jej serce biło szybko z ekscytacji, gdy pokonywała wykute z jasnego kamienia schody, mijając innych studentów. Niektórzy zerkali na dziewczynę z zaskoczeniem, widząc na jej twarzy szeroki uśmiech, ale Flora Sharman była w tej chwili tak szczęśliwa, że nikt ani nic nie mogło jej tego szczęścia odebrać.

Cóż, przynajmniej pragnęła w to wierzyć.

Popchnęła szklane drzwi i przystanęła, czując szaleńcze bicie serca. Wiele razy wyobrażała sobie ten moment, ale gdy wreszcie nastał, nie była w stanie…

Ktoś trącił ją w ramię, mrucząc wściekle pod nosem:

– Długo zamierzasz tak jeszcze stać i gapić się na ściany?

Dziewczyna pośpiesznie odsunęła się na bok.

– Och, przepraszam, ja tylko… – Zamilkła, kiedy wysoki chłopak, który rzucił w jej stronę ten komentarz, odszedł, jakby w jednej sekundzie zapomniał o jej istnieniu.

Flora pragnęła przeżyć studia w taki sam sposób, w jaki udało jej się przetrwać szkołę średnią – zamierzała dawać z siebie wszystko, nie rzucając się przy tym w oczy. Ostatecznie nic prócz wyników egzaminów końcowych nie miało znaczenia. Studenckie imprezy, dramaty i popularność mogły zaprzepaścić wszystko, na co tak długo i ciężko pracowała.

Przeszła przez główny hol uczelni i stanęła w jego centrum. Rozejrzała się, czując, jak z każdą sekundą kąciki jej ust wędrują wyżej. Wszystko było tu takie, jakim to sobie wymarzyła.

Nowoczesność przeplatała się z elementami stylu gotyckiego – ogromne, sięgające sufitu okna, które sprawiały, że wnętrze wydawało się nieprawdopodobnie jasne, tworzyły spójną całość z kolumnami i sklepieniami na suficie.

– Niezłe, prawda?

– Tak – odpowiedziała. Dopiero kilka sekund później odwróciła głowę i spojrzała na właścicielkę głosu.

Była nią niska dziewczyna o włosach rudych niczym płonący ogień i uśmiechu tak przyjaznym, że Flora poczuła się odrobinę mniej samotna wśród tłumu wypełniającego uczelnię, jeszcze zanim w pełni zdała sobie z tego sprawę.

– Jestem Jocelyn – przedstawiła się. – A ty to…

– Flora – odparła. – Jestem…

– …nowa – dokończyła. Okrągłe okulary zsunęły się na czubek jej nosa. – Wiem. Wszystkie pierwszaki wyglądają tak samo. Nie miej mi tego za złe, ale przypominacie zagubione dzieci. Uwierz mi, też taka byłam. – Zaśmiała się bez cienia kpiny czy drwiny. – Niech zgadnę… prawo?

Flora skinęła głową.

– To aż tak oczywiste?

– Nie, ale to najpopularniejszy kierunek na tej uczelni. Tuż obok medycyny i psychologii.

– A ty… – Flora zmarszczyła brwi. – Dziennikarstwo?

– Pudło. – Jocelyn się uśmiechnęła. – Teologia.

– Och.

– Nie wyglądam, prawda? – Nie wydawała się urażona zdziwieniem, które zagościło na twarzy dziewczyny.

Flora nie była pewna, jak powinni wyglądać teolodzy czy studenci. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że ten kierunek był ściśle związany z religią, kolorowe tatuaże zdobiące przedramiona Jocelyn oraz kolczyk w jej nosie ani trochę do tego nie pasowały.

– Jeżeli mam być szczera, ani trochę – zgodziła się.

– Nie martw się, na tej uczelni nikt nie zwraca uwagi na to, jak wyglądasz. – Wzruszyła ramionami. – Połowa studentów przychodzi na wykłady w piżamach, a druga na kacu. Do tego też z czasem przywykniesz. Jak my wszyscy.

Flora jeszcze raz się rozejrzała.

Jocelyn dodała:

– Gdybyś potrzebowała pomocy, możesz śmiało łapać mnie na korytarzu. Jestem członkiem rady studenckiej, więc…

Zdawało się, że słowa płynące z ust dziewczyny przycichły, gdy pośród tłumu studentów Flora, ku własnemu zaskoczeniu, dostrzegła znajomą twarz. W pierwszej chwili uznała to za przywidzenie, lecz kiedy chłopak nieznacznie pochylił głowę, aby dosłyszeć to, co mówiła stojąca tuż obok blondynka, zyskała pewność, iż się nie pomyliła.

Mimo że poprzedniego wieczoru, gdy za sprawą zbiegu niefortunnych zdarzeń trafiła do *Sleepy Hollow,* w lokalu panował tak gęsty półmrok, że z trudem mogła dostrzec nawet czubki własnych butów, udało jej się uchwycić twarz chłopaka. Jak mogłaby ją zapomnieć, skoro w chwili największego zwątpienia i zagubienia grana przez niego melodia pozwoliła jej poczuć się mniej obco w tym zatłoczonym mieście?

A teraz ten człowiek stał kilkanaście metrów dalej i wydawał się dziwnie nierealny. Zupełnie jak aktor, którego dotychczas widziało się jedynie na ekranie telewizora. Gdy pojawia się okazja, by ujrzeć go na żywo, nie jest się w stanie uwierzyć w jego prawdziwość.

– To on – szepnęła.

Jocelyn zmarszczyła brwi i powiodła wzrokiem do miejsca, w którym Flora utkwiła spojrzenie.

– Ach, tak, to…

– Muszę z nim porozmawiać – stwierdziła, ruszając przed siebie.

– Co?! – Jocelyn zastąpiła Florze drogę, wyrastając przed nią w ekspresowym tempie. – Postradałaś zmysły? – zapytała.

– Nie rozumiesz. – Flora zerknęła ponad jej ramieniem. – Widziałam go wczoraj. Muszę mu powiedzieć, że…

– Hej, hej, zwolnij, okej? – Uniosła dłonie. – Po pierwsze, oddychaj. Po drugie… Masz zaćmienie mózgu, czy co? Wiesz, kim on jest? To Hayden Sanclair. Ten Sanclair. No wiesz, jego rodzice prowadzą najlepszą kancelarię w mieście. Jeszcze zanim się urodził, ludzie nazywali go złotym dzieckiem prawniczego świata.

– Ale wczoraj…

– Na dodatek jest na ostatnim roku. Tutaj, jak w każdym innym miejscu, obowiązują zasady. Jedną z nich jest to, że pierwszoroczniaki nie rozmawiają ze studentami ostatniego roku. To elita, rozumiesz? A Hayden Sanclair stoi na jej czele, więc wybij sobie z głowy zaczepianie go, jeżeli chcesz bez problemów przetrwać te studia, okej?

Ramiona Flory opadły.

– Daj spokój. Chcę mu tylko powiedzieć, że słyszałam, jak grał. Nic więcej.

Jocelyn znów zmarszczyła brwi.

– Jak co? – Odwróciła się, lecz było już za późno, bo Flora wyminęła ją i zniknęła w tłumie. – Cholera!

Istniało kilka rzeczy, które można było powiedzieć o Florze Sharman, ale nikt z pewnością nie mógł zarzucić jej braku odwagi. Ta z kolei już wiele razy wpakowała dziewczynę w kłopoty. Tym razem Flora nie podejrzewała, że słowa Jocelyn nie były przesadą. Były przestrogą, a ona nie miała zamiaru jej posłuchać.

Przepchnęła się przez tłum, co jakiś czas mrucząc pod nosem ciche: „przepraszam". Z każdym krokiem przybliżającym ją do chłopaka upewniała się, że był tym samym człowiekiem, którego poprzedniego wieczoru spotkała w *Sleepy Hollow*.

Nie miał jednak na sobie czarnego płaszcza, a garnitur w odcieniu bardzo ciemnej szarości. Pod marynarką odznaczała się biała koszula, pod której kołnierzykiem zwisał niedbale zawiązany krawat.

Flora nałożyła na twarz uśmiech, zatrzymała się tuż za chłopakiem i powiedziała:

– Hej…

Nie zwrócił na nią nawet najmniejszej uwagi. Stał z dłońmi w kieszeniach garniturowych spodni, mówiąc coś do swojej towarzyszki.

Flora wzięła głęboki wdech, po czym uniosła rękę i delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Hej… – powtórzyła.

Hayden Sanclair zamilkł w pół słowa. Nie odwrócił głowy od razu. Zrobił to dopiero po kilku sekundach, które wydawały się niemiłosiernie długie. Niska ciemnowłosa dziewczyna nie była pierwszym, na co spojrzał, zupełnie jakby była niewidzialna.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale…

Słowa zamarły w połowie drogi do ust Flory, gdy chłopak w końcu ją dostrzegł. Spojrzał na nią bez cienia emocji na surowej twarzy. Na moment straciła całą pewność, przez którą zdecydowała się do niego podejść. Nie przypominał człowieka, który w zaciemnionym kącie dawno zapomnianego lokalu powierzył serce i duszę staremu fortepianowi.

W ciemnych oczach – które miała okazję ujrzeć po raz pierwszy – Flora nie odnalazła

niczego prócz pustki i budzącego się do życia zalążka irytacji. Przypominały dno jeziora w wyjątkowo ponurą noc: im głębiej człowiek w nie patrzył, tym straszniejsze się wydawały.

– Ja…

Stojąca tuż obok blondynka wychyliła się zza ramienia Haydena i zmierzyła Florę oceniającym wzrokiem. Na jej twarzy zagościł grymas zniesmaczenia, jakby uznała, że miała przed sobą kogoś niegodnego uwagi i czasu.

Inni studenci też na nią spojrzeli. Czuła na sobie ciężar ich wzroku. Słyszała za plecami ich przyciszone szepty. Wiedziała, że znalazła się w centrum uwagi. Choć ani trochę jej się to nie podobało, nie mogła tak po prostu odwrócić się i odejść. Uznaliby ją za skończoną wariatkę. Cóż, jeżeli jeszcze tego nie zrobili.

Nagle Hayden Sanclair uniósł ciemną brew i zapytał:

– Znamy się?

– Nie. Tak. Nie. – Zaśmiała się nerwowo. – Widziałam cię wczoraj w *Sleepy Hollow* i chciałam…

W ciemnych oczach chłopaka coś błysnęło. I, dobry Boże, nie wyglądało to jak przejaw sympatii czy tym bardziej radości. Przypominało raczej płomień zapałki – pojawiło się nagle i równie szybko przygasło.

Blondynka wtrąciła się do rozmowy i prychnęła:

– W tej spelunie?

– Tak. To znaczy… – Flora głęboko odetchnęła. – Słyszałam, jak grałeś, i chciałam tylko powiedzieć, że…

– Grał? – powtórzyła dziewczyna. – Masz pojęcie, do kogoś mówisz, dzieciaku?

– Tak. Wczoraj wieczorem – zwróciła się do chłopaka – grałeś na fortepianie w *Sleepy Hollow,* prawda? Trafiłam tam przez przypadek i cię zobaczyłam. Boże, w życiu nie słyszałam czegoś równie pięknego.

Twarz Haydena pozostała tą samą pozbawioną emocji maską. Ale jego oczy… Nie przypominały już martwego dna jeziora. Flora nie była pewna, co takiego w nich ujrzała, ale z całą pewnością dostrzegła coś więcej niż pustkę.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł.

Uśmiech spłynął z ust Flory.

– Ale… widziałam cię…

Blondynka pełnym gracji ruchem stanęła tuż przed Haydenem. Była od niego niższa o prawie głowę. Zacmokała, uśmiechając się z kpiną, a potem powiedziała na tyle głośno, aby każdy, kto oglądał tę scenę, mógł usłyszeć jej słowa:

– Popatrzcie, nasza koleżanka chyba wczoraj za dużo wypiła i wciąż nie wytrzeźwiała.

Wśród studentów rozniosły się śmiechy.

Flora nagle poczuła się nieprawdopodobnie mała. Jak zwierzę zapędzone w róg ciasnej klatki.

– Nie, ja… – Spojrzała na Haydena, który nawet na moment nie oderwał od niej wzroku. – Ja naprawdę…

Blondynka gwałtownie się ku niej pochyliła. Słodki zapach jej perfum otoczył Florę z każdej strony.

– Masz przywidzenia, kochanie. Nie wiedziałaś, że alkohol nie jest dla dzieci?

– Bree. – Twardy głos Haydena zdołał uciszyć nie tylko samą dziewczynę, ale także wciąż pobrzmiewające śmiechy studentów. Gdy ucichły, Flora odniosła wrażenie, że każdy mógł usłyszeć, jak szybko biło jej serce. – Wystarczy.

Blondynka wykrzywiła twarz w grymasie, jednak cofnęła się posłusznie, niczym

skarcony pies.

Flora po raz ostatni pochwyciła spojrzenie ciemnych oczu Haydena, zanim chłopak odwrócił się i odszedł, zostawiając ją samą. Jego wysoka sylwetka rozmyła się w tłumie. I choć po jego zniknięciu wydawało się, że wszystko wróciło do normy, ona i tak wciąż czuła na sobie wzrok innych studentów. Wciąż słyszała, jak między sobą szeptali.

W tamtej chwili Flora Sharman nie miała jeszcze pojęcia, że tym nagłym aktem odwagi bez powrotu zaprzepaściła swój plan na studia – od teraz dla nikogo nie miała pozostać niezauważoną.

Gdy Jocelyn stanęła tuż obok niej, Flora poruszyła bezgłośnie ustami, po czym wyszeptała:

– Nie przywidziało mi się.

– Wiesz, w Nowym Jorku mieszka ponad osiem milionów ludzi. Może po prostu zobaczyłaś kogoś bardzo podobnego.

– Nie. – Pokręciła głową. – To naprawdę był on.

Jocelyn westchnęła.

– Cóż. Jedno jest pewne. To pierwszy dzień reszty twojego życia, Floro, i jeżeli mam być z tobą szczera, nie zapowiada się ono zbyt kolorowo.

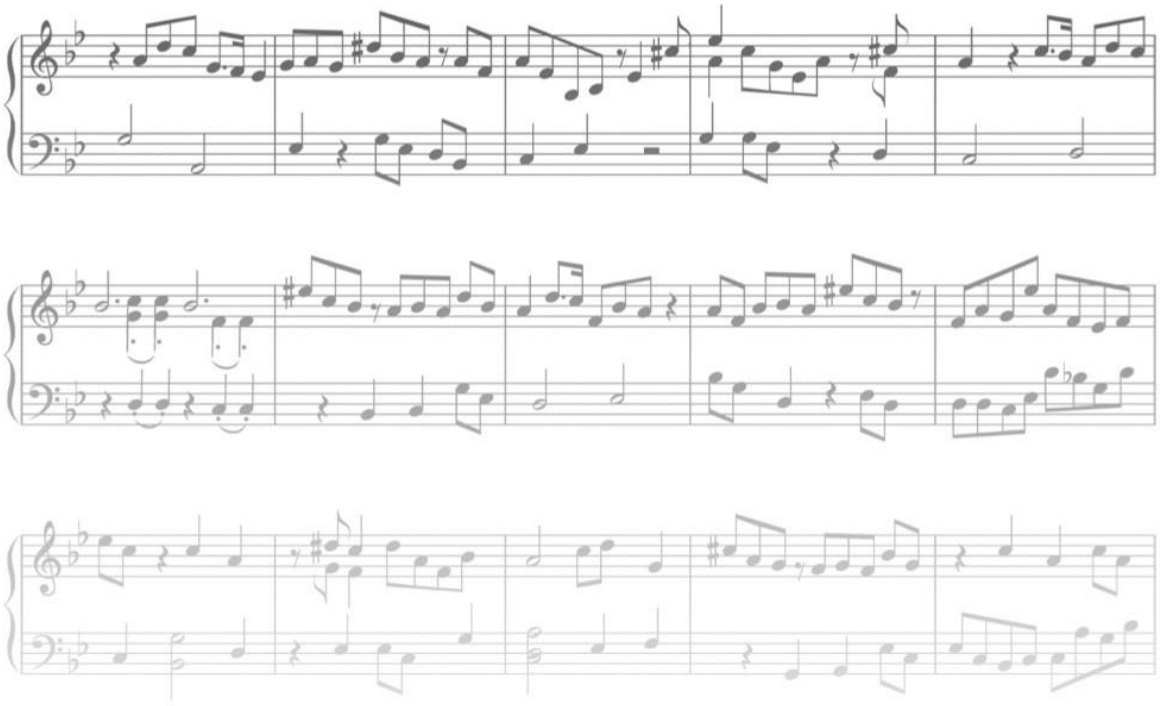

Rozdział 4

Obietnice i dobre rady

Flora wpadła na pierwsze zajęcia jako ostatnia ze studentów, na dodatek zdyszana i spóźniona o ponad dziesięć minut, przez co straciła resztki nadziei, że ten dzień mógł jeszcze przynieść coś dobrego.

W sali zapadła głucha cisza. Dziewczyna uśmiechnęła się z zakłopotaniem, ruszyła w kierunku wolnych miejsc i mruknęła:

– Przepraszam.

Zdołała postawić zaledwie kilka kroków, zanim dobiegł do niej głos profesora:

– Proszę się zatrzymać.

Dziewczyna posłusznie przystanęła, w duchu przeklinając własne nieszczęście. Zmusiła się do uśmiechu, spychając z twarzy grymas, i odwróciła się do profesora. Pierwszą myślą, która przyszła jej do głowy, gdy na niego spojrzała, był fakt, że wyraz jego twarzy idealnie pasował do głosu – był równie surowy i obojętny.

Poza tym mężczyzna nie wyglądał jak żaden z profesorów, których mijała, biegnąc w kierunku sali. Z pewnością był po czterdziestce, ale w jego czarnych włosach nie sposób było dostrzec siwego kosmyka. Miał na sobie idealnie skrojony, czarny garnitur, w którym jego postawna, smukła sylwetka prezentowała się nienagannie. Jego wąski nos zdobiły okulary w eleganckich, czarnych oprawkach.

Flora nie mogła pozbyć się wrażenia, że kogoś jej przypominał.

– Zajęcia zaczęły się dziesięć minut temu – zauważył.

– Tak. Wiem. Ale musiałam zanieść papiery i…

– Mogę wiedzieć, dlaczego nie zrobiłaś tego wcześniej, panno…

– Sharman – podpowiedziała.

– Panno Sharman. – Wypowiedział jej nazwisko w taki sposób, jakby starał się je zapamiętać. – Czy na salę rozpraw także w przyszłości zamierzasz się spóźniać?

Wśród studentów rozniosły się pojedyncze śmiechy.

Flora poczuła się tak samo jak kilkanaście minut wcześniej, gdy na korytarzu zaczepiła Haydena i towarzyszącą mu Bree – jakby odgrywała główną rolę w kiepskiej komedii. Niestety komedią było jej życie.

– Nie. Oczywiście, że nie. Przepraszam, to się więcej nie powtórzy.

Profesor na moment zawiesił na niej przenikliwe spojrzenie. W końcu westchnął, jakby uznał, że tracenie na dziewczynę cennego czasu nie miało sensu.

– Usiądź, Sharman – polecił.

Flora bez słowa zajęła pierwsze wolne miejsce, które zobaczyła. Chciała jak najszybciej przestać być głównym obiektem zainteresowania studentów.

Tymczasem profesor podjął:

– Zanim panna Sharman tak obcesowo wpadła do sali i mi przerwała, mówiłem o formie prowadzonych przeze mnie zajęć. – Odetchnął głęboko. – Przed wami najgorsze trzy lata waszego życia. Moim zadaniem jest zgotowanie wam takiego koszmaru, że gdy pewnego dnia dostąpicie zaszczytu, aby stanąć w sądzie, żaden cholerny, upierdliwy prokurator nie będzie mógł sprawić, że poczujecie się słabi. – Mężczyzna przesunął spojrzeniem po twarzach siedzących przed nim studentów, po czym zatrzymał się na Florze Sharman i dokończył: – Z pewnością mnie znienawidzicie, ale zapewniam, że nienawiść zmieni się we wdzięczność, gdy pojmiecie, że wszystko, co wam zgotowałem, uczyniło z was najlepszych prawników stąpających po tej ziemi. Mam nadzieję, że jesteście świadomi, iż kierunek studiów, który wybraliście, nie będzie łatwą przeprawą. W przyszłości, jeżeli będziecie wytrwali, ludzie będą powierzali wam swój los. Staniecie się obrońcami słabszych. Nie możecie popełniać błędów. Nie możecie się bać. I, co gorsza, nie możecie się spóźniać.

Flora poczuła na sobie kilka spojrzeń. Osunęła się odrobinę na krześle, jakby dzięki temu mogła stać się niewidzialna.

– Od dzisiaj żadnych spóźnień, żadnych wymówek, żadnych gorszych dni i nieprzygotowań. Na następne zajęcia każdy z was ma mieć kodeks karny w małym palcu. Macie znać go tak dobrze, że jeśli ktoś obudzi was w środku nocy, będziecie w stanie wyrecytować go lepiej niż własne imię i nazwisko.

Profesor zatrzymał się, skrzyżował ręce za plecami i jeszcze raz powiódł wzrokiem po sali. Nikt nie odważył się odezwać, poruszyć, czy choćby zaczerpnąć głębiej powietrza. W pomieszczeniu panowała tak niewzruszona cisza, że Flora była w stanie usłyszeć ciężkie bicie własnego serca.

– Jest was dokładnie sześćdziesięcioro siedmioro. Połowa z was nie wytrzyma do końca tego roku. Wówczas zostanie was mniej niż czterdzieścioro. W ciągu kolejnych sześciu miesięcy odpadnie kolejne piętnaście osób. Zostanie was garstka, z czego tylko trójka pewnego dnia wyjdzie na salę sądową, by reprezentować klienta… – Zawiesił głos i spojrzał na Florę. – Jeżeli po moich słowach nie pomyśleliście, że będziecie w tym nielicznym gronie, istnieje duża szansa, że odpadniecie jako pierwsi. Pewność siebie w tym zawodzie to jedna z najcenniejszych wartości.

*

Hayden Sanclair kłamał, odkąd skończył szesnaście lat. Nie pamiętał więc już, czy na

początku odczuwał wyrzuty sumienia, czy po prostu od pierwszej chwili zżył się z kłamstwem tak bardzo, iż właściwie nie potrafił odróżnić go od prawdy.

Dotychczas istniała tylko jedna osoba, która znała skrywany przez niego sekret. Aż do tego nieszczęsnego wieczoru, kiedy Flora Sharman zabłądziła i trafiła do *Sleepy Hollow*. Starał się o tym nie myśleć, ale wspomnienie dziewczyny z zachwytem opowiadającej o tym, że słyszała jego grę, powracało do niego nieustannie, jak koszmar, z którego nie potrafił się wybudzić.

– Na co patrzysz?

Hayden drgnął, wyrwany z zamyślenia. Oderwał wzrok od deszczowego obrazu malującego się za oknami jego pokoju i spojrzał na stojącą tuż obok Julie.

– Co ci mówiłem o wchodzeniu do mojego pokoju bez pukania? – zapytał.

– Pukałam. – Wzruszyła ramionami. – Nie słyszałeś?

Nie. Nie usłyszał.

– Czego chcesz, Julie?

– Wpadłam tylko powiedzieć, że Henry przyszedł. No i przy okazji zapytać, czy mogę skorzystać z twojego komputera.

– Gdy ostatnim razem ci na to pozwoliłem, skończyłem z dwoma wirusami. Jesteś za mała, żeby grać w pokera online.

Julie przewróciła oczami.

– Straszny z ciebie sztywniak, wiesz?! – zawołała za nim, gdy wyszedł na korytarz.

Hayden stanął w wejściu do kuchni, gdzie jego mama postawiła przed Henrym szklankę soku pomarańczowego. Chłopak posłał jej popisowy uśmiech, którym potrafił oczarować niemal każdą dziewczynę. Jego azjatyckie korzenie z pewnością też miały w tym swój udział. No i fakt, że w opowiadaniu zmyślonych historii nie miał sobie równych. Właśnie dlatego był idealnym powiernikiem każdego sekretu.

Dla Haydena Henry był niczym brat. Wychowali się razem, razem dorośli, a teraz byli dla siebie idealną przykrywką. Gdy kilka razy w tygodniu wychodzili z domu, ich rodzice nawet nie podejrzewali, że wieczorów praktycznie nigdy nie spędzali razem.

Podczas gdy on grał w *Sleepy Hollow*, Henry spotykał się z Margot. Choć Sanclair nie miał okazji jej poznać – jak większości dziewczyn Henry'ego, które znikały szybciej, niż się pojawiały – kilka opowiedzianych przez kuzyna historii wystarczyło, by zrozumiał, dlaczego ten nie chciał przedstawić jej rodzicom.

Margot nie przypominała definicji idealnej żony dla jedynego syna cioci Jodie i wuja Jerry'ego. Ale Henry ją kochał. A przynajmniej tak mówił.

Hayden oparł się ramieniem o ścianę i odchrząknął, sprawiając, że mama i kuzyn zwrócili ku niemu spojrzenia.

– Rozsiadłeś się na dobre, czy możemy już iść? – zapytał.

Henry przewrócił oczami, po czym puścił cioci oczko i z uśmiechem wstał na równe nogi.

– Mówił ci już ktoś, że jesteś strasznym zrzędą?

W korytarzu Hayden chwycił płaszcz i narzucając go na ramiona, odpowiedział:

– Słyszę to przynajmniej raz dziennie. – Zerknął na mamę, która pojawiła się w wejściu do kuchni. – Wrócę przed dziesiątą.

Violet McMillan skinęła głową, jednak na jej twarzy malowała się troska.

– Uważajcie na siebie. I nie dajcie się sprowokować, jeżeli ktoś będzie was zaczepiał…

– Mamo, nie mamy po pięć lat – przypomniał Hayden, sięgając po leżące na stoliku klucze.

– Nie martw się, ciociu, w szkole policyjnej uczą nas technik samoobrony – zwrócił się

do niej z uśmiechem Henry.

Te słowa jednak nie uspokoiły kobiety.

– Pozdrów ode mnie rodziców, Henry.

Chłopak obdarzył ją uśmiechem.

– Jasne.

Hayden i Henry wyszli z mieszkania i windą zjechali na podziemny parking, gdzie czekał na nich stary chevrolet, którego Henry kilka lat temu odziedziczył po tacie. Samochód nie był co prawda szczytem marzeń, ale w Nowym Jorku posiadanie auta było raczej kwestią drugorzędną. Większość mieszkańców wolała korzystać z metra, aby nie spędzać połowy dnia w ciągnących się w nieskończoność korkach.

Margot mieszkała jednak na drugim końcu Nowego Jorku, więc w tej sytuacji samochód wydawał się najlepszą opcją. Problem polegał na tym, że Henry nie był najlepszym kierowcą, choć za takiego się uważał.

Gdy przy wyjeżdżaniu z parkingu nie ustąpił pierwszeństwa, właściciel srebrnego sedana wściekle na niego zatrąbił.

– Co za kutas! – mruknął z irytacją Henry.

Hayden zerknął na niego i choć na usta cisnęło mu się wiele słów, uznał, że milczenie będzie lepszym wyborem.

– Loren prosiła, żebyś tym razem nie uderzył w jej śmietnik, gdy będziesz parkować przed barem.

– To był wypadek – przypomniał. – Cholernie tam ciemno. Swoją drogą… to idealna kryjówka dla porywaczy. Zanim się obejrzysz, założą ci worek na głowę, a dwie godziny później obudzisz się w tym samym miejscu, tylko że bez nerki.

Sanclair z lekkim uśmiechem pokręcił głową.

– Julie dziwnie na mnie patrzyła, gdy wpuściła mnie do waszego mieszkania. Zupełnie jakby…

– Rzucała na ciebie klątwę? – dokończył Hayden.

– To nie jest zabawne. Twoja siostra to mała wiedźma. Przysięgam, że kurewsko mnie przeraża, a przecież ma tylko jedenaście lat i waży tyle, co jedna moja noga. Ale nie to miałem na myśli. Po prostu wydaje mi się, że… no wiesz, że ona wie.

– Gdyby Julie znała prawdę, już dawno wykorzystałaby to przeciwko mnie. Uwierz mi, wiem, co mówię. Zaszantażowałaby mnie, że powie wszystko rodzicom, jeżeli nie będę jej płacił albo nie kupię jej własnego komputera.

– Demon w skórze małej dziewczynki – rzucił pod nosem Henry.

Hayden wyjrzał przez boczną szybę. Deszcz przestał padać tylko na moment. Ciemne chmury wciąż wisiały nad szczytami wieżowców. Wyglądało na to, że jesień na dobre rozgościła się w Nowym Jorku, racząc jego mieszkańców wszystkimi swoimi urokami.

Henry nigdy nie zapytał, dlaczego kuzyn za wszelką cenę ukrywał prawdę przed rodziną. Raz rzucił tylko krótki komentarz: „Przecież nie robisz niczego złego, prawda? Nie handlujesz narkotykami, nie włóczysz się po klubach i nie zadajesz się z podejrzanymi typami. Ty po prostu… grasz".

Niektóre sekrety, nawet jeżeli nie miały w sobie nic mrocznego, po prostu musiały pozostać sekretami.

W *Sleepy Hollow* Haydena powitała znajoma cisza. To miejsce stanowiło właściwie jej idealną definicję. W deszczowe, jesienne dni takie jak ten z trudem można było doszukać się tu czegoś więcej niż odgłos tłukących się szklanek, przyciszonych rozmów i smętnych melodii płynących ze starego fortepianu.

Hayden traktował ten instrument niczym najwierniejszego kompana, choć brakowało mu kilku strun, klawisze kolorem przypominały bardziej wyblakłą żółć niż biel, a starej klapy właściwie nie dało się domknąć. Nie miało to jednak większego znaczenia. Fortepiany, nawet te najbardziej leciwe, były piękne. Czas tylko dodawał im uroku. Sprawiał, że instrumenty opowiadały własne historie, ilekroć ktoś do nich zasiadł.

Loren jak zawsze stała za barem. Powitała chłopaka promiennym uśmiechem, dla którego do *Sleepy Hollow* przychodziła większość klientów. Dla uśmiechu Loren i dla starej whisky, którą sprowadzała na zamówienie z Irlandii.

– Ktoś o ciebie pytał – poinformowała. – Jakaś młoda dziewczyna. Była tutaj też wczoraj.

Hayden zamarł na dźwięk tych słów.

– Co jej powiedziałaś? – zapytał.

– Właściwie nic. – Wzruszyła ramionami. – Wyglądała, jakby bardzo jej zależało, więc kazałam jej na ciebie poczekać.

Kurwa, pomyślał.

Loren, dostrzegłszy grymas na jego twarzy, zaproponowała:

– Jeżeli chcesz, mogę pójść i powiedzieć jej, że dzisiaj cię nie będzie…

– Nie. – Hayden westchnął. – Gdzie ona jest?

Loren podbródkiem wskazała główną salę.

Flora Sharman siedziała na tym samym miejscu, w którym on spędzał większość samotnych wieczorów. Pierwszym, o czym pomyślał Hayden, gdy zobaczył ją za fortepianem, był fakt, jak bardzo nie pasowała do tego miejsca. Jej jasny sweter odznaczał się na tle ciemności, ale czarne włosy dziewczyny zdawały się z nią zlewać. Za ogromnym instrumentem wydawała się dziwnie drobna. Przypominała nieśmiały blask lampy na wyjątkowo mrocznej ulicy.

Na dźwięk kroków poderwała głowę. Gdy obdarzyła chłopaka spojrzeniem niebieskich oczu, jej szczupłe ramiona opadły.

Było jeszcze zbyt wcześnie, by *Sleepy Hollow* stanowiło dla kogoś atrakcyjną propozycję spędzenia wieczoru. W pomieszczeniu byli więc zupełnie sami.

Na bladej twarzy dziewczyny zagościł lekki uśmiech.

– Miałam naprawdę fatalny dzień – przyznała głosem niewiele głośniejszym od panującej tu ciszy. – Najpierw prawie zaspałam na swój pierwszy dzień na uczelni. Potem zostałam upokorzona przed resztą studentów i spóźniłam się na zajęcia z profesorem, który szczerze mnie nie znosi. Gdy wracałam do domu, w metrze jakiś facet złapał mnie za tyłek. Na dodatek zaczęło padać, a ja nie miałam parasolki. – Przesunęła wzrokiem po fortepianie. – Na koniec miło jest dowiedzieć się, że nie zrobiłam z siebie debilki na darmo. Po prostu to ty skłamałeś – zwróciła się do chłopaka.

Sanclair głęboko odetchnął.

– Jeżeli przyszłaś tutaj po przeprosiny…

– Słowa są niewiele warte – wtrąciła. – Chciałam po prostu się upewnić, że wcale się nie pomyliłam. Wiesz, na początku pomyślałam, że może po prostu masz brata bliźniaka albo coś w tym stylu, ale ty po prostu jesteś dupkiem.

Wstała na równe nogi. Mimo że znajdowała się na podwyższeniu, na którym ustawiono fortepian, wciąż była niższa od chłopaka o kilkanaście centymetrów. Hayden nie odrywał od niej wzroku, gdy sięgnęła po płaszcz dotychczas leżący na zamkniętej klapie instrumentu.

– Nie wiem, dlaczego skłamałeś – kontynuowała, w półmroku odnajdując jego spojrzenie. – Właściwie chyba nie powinno mnie to obchodzić, ale nie musisz się martwić. Już nigdy więcej nikomu o tym nie powiem…

– Nie zamierzałem się tym przejmować – przerwał jej.

Jego głos, podobnie jak wyraz twarzy, pozostawał obojętny, przez co Flora znów odniosła wrażenie, że nie był tym chłopakiem, którego widziała poprzedniego wieczoru. Tym, który utonął w melodii granej przez własne palce. Zupełnie jakby teraz i wtedy miała przed sobą dwie zupełnie inne osoby.

Zdobyła się na blady uśmiech.

– Jasne. Pewnie i tak nikt by mi nie uwierzył. Tak jak dzisiaj rano. – Zerknęła na swój płaszcz. Wciąż był kompletnie przemoczony.

Mimowolnie wróciła wspomnieniami do słów, którymi pożegnał ją dziadek: „Nie wszyscy ludzie, których spotkasz, będą warci tego, by przekonać się, jak czyste masz serce".

– Powinnam już iść. – Zeszła z podestu, a deski starej podłogi zaskrzypiały, gdy dziewczyna ruszyła w stronę wyjścia. Zatrzymała się zaledwie chwilę po tym, jak znalazła się obok chłopaka. Być może powinna odejść, nie mówiąc nic więcej, lecz tak mocno pragnęła, by usłyszał te kilka słów mimo wszystkiego, co przez niego przeszła. – Wiesz, co chciałam ci powiedzieć, gdy rano podeszłam do ciebie na uczelni? – zapytała. – Wiem, że pewnie cię to nie obchodzi i nie ma to dla ciebie większego znaczenia, ale…

Hayden odwrócił głowę i spojrzał na Florę z góry.

– Pięknie wczoraj grałeś – wyznała. – Jakimś cudem zdołałeś sprawić, że poczułam się tu mniej obco. Rano chciałam tylko ci za to podziękować.

Sanclair ściągnął wargi w cienką linię, a mięśnie jego szczęki wyraźnie się napięły. Jego oczy pozostawały jednak czarnym, mrocznym jeziorem, w którym nie sposób było ujrzeć dna.

Flora odwróciła wzrok i skierowała kroki w stronę drzwi. W pewnej chwili zatrzymał ją jednak głos chłopaka:

– Sharman.

Przystanęła, wzięła głęboki wdech, po czym zerknęła na niego przez ramię. Stał tam, ubrany w czarny płaszcz, z twarzą bez konkretnego wyrazu i z fortepianem za plecami.

– Nigdy więcej tu nie przychodź – powiedział. – To nie miejsce dla dziewczyny takiej jak ty.

– To ostrzeżenie? – zapytała.

Chłopak uniósł podbródek.

– To dobra rada.

Dziewczyna posłała mu kolejny słaby uśmiech, po czym odwróciła się i opuściła *Sleepy Hollow*. Zapewne nawet nie wiedziała – tak samo jak Hayden – że te kilka wypowiedzianych przez nią słów znaczyło dla chłopaka więcej, niż ośmieliliby się podejrzewać.

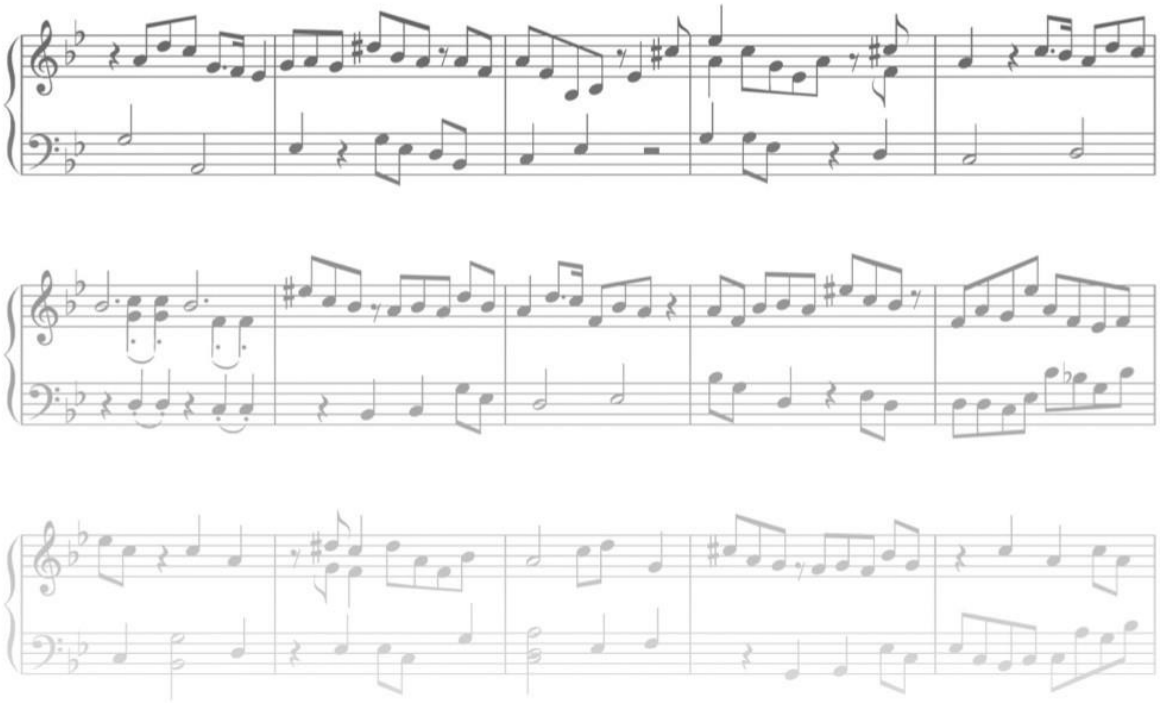

Rozdział 5

Profesor Sanclair

Kiedy we wtorkowy poranek w mieszkaniu numer 377 zadzwonił budzik, Flora obudziła się na kanapie w salonie, z policzkiem przyciśniętym do pierwszej strony czterdziestego drugiego działu *Kodeksu Stanów Zjednoczonych*. Na szklanym stoliku stał kubek z zimną herbatą oraz opakowanie po pizzy, którą zamówiła na kolację.

Poprzedni wieczór i większą część nocy spędziła nad książkami, więc gdy usiadła na brzegu kanapy, oczy zapiekły ją od sztucznego światła. Potrzebowała zimnego prysznica, kubka mocnej kawy i odrobiny chęci do życia.

Krótko po ósmej wyszła z mieszkania. Starszy ochroniarz o imieniu Edwin z promiennym uśmiechem życzył jej udanego dnia.

Gdy Flora dotarła do sali, z papierowym kubkiem karmelowej kawy w jednej ręce i z podręcznikiem w drugiej, do rozpoczęcia zajęć pozostały jeszcze dwie minuty. Zajęła miejsce, wyjęła z torby laptopa i z uśmiechem powiodła wzrokiem dookoła. Obiecała sobie, że ten dzień będzie lepszy od poprzedniego.

Profesor wszedł do pomieszczenia w tej samej chwili, w której zegar wybił godzinę dziewiątą. Mężczyzna podszedł do biurka, nie patrząc na studentów. Postawił na blacie kubek z parującym napojem, po czym powiedział na tyle głośno, że to słowo uciszyło szepty:

– Sharman. – Odwrócił się i odszukał dziewczynę wśród innych młodych ludzi. – Wstań.

Flora poczuła ukłucie niepokoju w sercu, ale posłusznie wypełniła polecenie profesora.

– Pamiętasz, o czym mówiłem wczoraj podczas zajęć? O zasadach, których należy przestrzegać.

– Nie spóźniłam się – odparła.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Wiem, Sharman. Nie o tym mówię.

– Oczywiście. Przepraszam, panie profesorze. – Flora przełknęła z trudem. Strach zacisnął się wokół jej gardła niczym niewidzialna, zimna dłoń.

– Zacytuj pierwsze trzy zdania czterdziestego drugiego działu *Kodeksu Stanów Zjednoczonych.*

– To… – Zamilkła, nie odnajdując w głowie niczego prócz pustki. Sekundę później przypomniała sobie wczorajszy wieczór. Zasnęła po przerzuceniu ostatniej strony czterdziestego pierwszego działu.

– Doczekam się odpowiedzi dzisiaj czy może powinniśmy wrócić tu jutro, kiedy już zechcesz coś z siebie wydusić? – zapytał.

Flora poruszyła bezgłośnie ustami.

Profesor westchnął.

– Siadaj, Sharman – polecił. – Czy ktoś inny zechce udzielić odpowiedzi na moje pytanie?

Dziewczyna powoli opadła na miejsce.

Jak wielkie szanse istniały na to, że profesor zapyta ją o dział, którego się nie nauczyła? Jak się okazało… całkiem spore.

Do końca zajęć Flora starała się nie rzucać w oczy. Gdy w końcu wybiła upragniona godzina, pozbierała swoje rzeczy i ruszyła w kierunku drzwi, mając zamiar opuścić salę jako jedna z pierwszych.

Profesor zatrzymał ją jednak, mówiąc:

– Zaczekaj, Sharman.

Odwróciła się ku niemu, przycisnęła ciężki podręcznik do piersi i stanęła tuż przed biurkiem.

– Chciałbym zamienić z tobą kilka słów – oznajmił, unosząc wzrok znad zagraconego książkami blatu.

Bałagan, jakim się otaczał, zdawał się nie pasować do jego eleganckiego, nienagannego wyglądu.

– Jeżeli chodzi o to, że nie potrafiłam odpowiedzieć na pańskie pytanie, chcę tylko powiedzieć, że znam na pamięć każdy poprzedni dział, ale po prostu wczoraj zasnęłam i nie zdążyłam…

– Sharman – przerwał jej, po czym z westchnieniem zdjął okulary i dotknął opuszkami palców nasady nosa, jakby rozbolała go głowa. – Zawsze tak dużo mówisz?

Dziewczyna przestąpiła nerwowo z nogi na nogę.

– Nie. Zwykle nie, panie profesorze.

– Widziałem twoje wyniki z egzaminów – poinformował. – Są jednymi z lepszych, z jakimi kiedykolwiek się spotkałem.

– Dziękuję…

– Nie będę więc krył rozczarowania – zmierzył ją wzrokiem – tym, co widzę. Spóźnienie już pierwszego dnia? Na dodatek nie nauczyłaś się tego, co określiłem jako podstawy. Tłumaczysz się, choć wyraźnie mówiłem, że wymówki nie mają dla mnie znaczenia.

– Ja… Obiecuję, że to się nie powtórzy.

– Wczoraj usłyszałem z twoich ust to samo. Skoro nie radzisz sobie na samym początku, być może prawo nie jest najlepszym kierunkiem dla ciebie? – zasugerował. – Przemyśl to. Od dzisiaj każde zajęcia będę zaczynał przepytywaniem ciebie, jasne?

Flora nagle poczuła się tak, jakby zapadł na nią nieodwracalny wyrok.

– Oczywiście, profesorze.

– Idź już – westchnął. – Masz sporo materiału do nadrobienia.

Zdobyła się na uśmiech, bo co innego mogła w tej chwili zrobić? Następnie odwróciła się i wyszła na korytarz, czując, jak z każdym oddechem jej serce biło coraz mocniej. Miała ochotę się rozpłakać albo zacząć krzyczeć.

– Flora!

Dziewczyna zerknęła za siebie i wśród tłumu studentów dostrzegła rude włosy oraz uśmiechniętą twarz Jocelyn.

– Wszędzie cię szukałam – powiedziała, zrównując z nią kroku. – Chciałam zapytać, jak minął ci pierwszy dzień.

– Miałam ochotę się rozpłakać tylko jakieś siedem razy – odparła.

Jocelyn zaśmiała się, jakby nie wzięła tych słów na poważnie albo jakby przechodziła przez coś podobnego tak wiele razy, że już nie wydawało się to jej czymś ważnym.

– Nie martw się. Pierwsze dwa tygodnie zawsze są ciężkie. Z czasem przywykniesz do presji, załamań nerwowych i chęci rzucenia się pod samochód.

– Jeden z profesorów się na mnie uwziął – westchnęła, gdy dotarły do schodów.

– Który?

– Wysoki brunet w okularach i…

– …czarnym garniturze? – dokończyła.

– Tak – odpowiedziała, sprawiając, że na twarzy Jocelyn pojawił się grymas. – Co? O czym pomyślałaś?

– To Oliver Sanclair.

Słysząc to nazwisko, Flora zmarszczyła brwi. Jocelyn, jakby czytała jej w myślach, wyjaśniła:

– To ojciec Haydena. Jest najsurowszym z profesorów. Nawet ci z trzeciego roku się go boją. Zabił chęci i pasję u większości młodych studentów. Niektórzy żartują nawet, że gdyby nie on, w Nowym Jorku byłoby o połowę więcej prawników niż obecnie. Mówię poważnie, ten facet czerpie przyjemność z oblewania, kogo tylko się da. Co roku wybiera jednego studenta i uprzykrza mu życie. Przykro mi, że padło akurat na ciebie.

– Co stało się… no wiesz… z tym, na kogo uwziął się rok temu? – zapytała.

– Nazywał się chyba Joey. Pewnego dnia wybiegł z sali z płaczem i już nigdy nie wrócił.

Flora dopiero teraz zorientowała się, że Jocelyn nie żartowała. W tej chwili naprawdę zapragnęła pod coś się rzucić.

– Muszę już lecieć. Jeżeli nie uda mi się dopchać do bufetu przed następnymi zajęciami, wykupią mój ulubiony jogurt. Ach, prawie zapomniałam. Co roku w pierwszy piątek po rozpoczęciu studenci spotykają się w opuszczonym teatrze na obrzeżach miasta. To taka tradycja. Chodzi głównie o picie i takie tam. Powinnaś wpaść. To świetna zabawa. Praktycznie zawsze ktoś upija się tak, że potem biega nago po ulicy.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. Już i tak wszyscy mają mnie tu za wariatkę.

– Więc może spraw, żeby zobaczyli, że nią nie jesteś? – Jocelyn wzruszyła ramionami. – Gdybyś zmieniła zdanie, daj mi znać. Ja i kilku znajomych z roku wybieramy się tam samochodem. Możemy zabrać cię po drodze.

– Jasne. Dzięki. – Sharman zdobyła się na coś, co widziane z oddali mogło przypominać uśmiech. W rzeczywistości było jednak niewyraźnym grymasem, marną resztką nadziei, która z każdą chwilą coraz mocniej przygasała.

Przez resztę zajęć Flora siedziała z nosem głęboko zanurzonym w *Kodeksie Stanów*

Zjednoczonych, starając się słuchać innych wykładowców, robić notatki i nie zasnąć. Gdy wybiła godzina piąta po południu, dziewczyna z ulgą opuściła mury uczelni. Choć spędziła w nich niespełna osiem godzin, odniosła wrażenie, jakby nie wychodziła stamtąd od tygodnia. A może była to jedna z konsekwencji trzech marnych godzin snu?

Mijając zatłoczoną stację metra, postanowiła wrócić do mieszkania na piechotę. Miała nadzieję, że spacer zdoła ją rozbudzić. Edwin przywitał ją tym samym szerokim uśmiechem, jaki widziała na jego twarzy tego ranka.

Gdy Flora wsiadła do windy, w kieszeni jej płaszcza zawibrował telefon.

– Próbowałam dodzwonić się do ciebie od trzech godzin. – Głos mamy rozbrzmiał tuż przy uchu dziewczyny, gdy przyłożyła komórkę do policzka.

– Dopiero przed chwilą skończyłam zajęcia.

– Och. – Pani Sharman westchnęła. – Musisz być głodna. Masz w domu coś ciepłego do jedzenia?

– Tak, mamo. – Wydawało jej się, że gdy obudziła się na kanapie, w kartonie na stole wciąż znajdował się jeszcze kawałek pizzy.

– Tata bardzo chciał z tobą porozmawiać, ale musiał wrócić do firmy. Jego nowa asystentka znów pomieszała coś w papierach.

Mimo że Flora nie mogła widzieć teraz mamy, była pewna, że kobieta przewróciła oczami w typowy dla siebie sposób.

– Zadzwonię do niego jutro – obiecała, a następnie wyszła na korytarz, kiedy winda dotarła na jej piętro. – Muszę kończyć. Właśnie wchodzę do mieszkania.

– Zjedź coś i odpocznij, kochanie – przypomniała.

– Jasne. Kocham cię, mamo.

– Ja ciebie też, Floro.

Dziewczyna odsunęła telefon od policzka, zerknęła na ekran i zatrzymała się tuż przed drzwiami do mieszkania. Wiedziała, że za nimi nie czekało na nią nic prócz ciszy, nierozpakowanych pudeł i kawałka nieświeżej pizzy.

Wsunęła klucz do zamka i zamarła, czując, jak na jej ramionach coraz mocniej osiada ciężar zmęczenia i presji. Następne zajęcia z profesorem Sanclairem miały odbyć się w czwartek. Flora nie miała pojęcia, jak do tego czasu zdoła uporać się z materiałem, którego znajomości mężczyzna wymagał.

Może był szaleńcem? Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie czerpie przyjemności ze znęcania się nad innymi, prawda?

Po chwili namysłu podążyła dalej korytarzem, aż odnalazła drzwi opatrzone numerem 378. Ralph nie krył radości, kiedy zobaczył dziewczynę przed swoim mieszkaniem.

Flora zdobyła się na uśmiech i zapytała:

– Czy zaproszenie na martini wciąż jest aktualne?

– Och, słońce, istnieją tylko trzy rzeczy, których za żadne skarby świata bym nie odmówił. Drink w dobrym towarzystwie jest jedną z nich.

*

Hayden już wiele lat temu zaakceptował to, że jego rodzina z pewnością nie była jedną z typowych amerykańskich rodzin. Jako dziecko niejednokrotnie wykorzystywał fakt, iż jego rodzice byli jednymi z najsłynniejszych ludzi w mieście, gdy próbował zaimponować kolegom z klasy. Z czasem jednak zaczął dostrzegać w tym więcej wad niż zalet.

Puste miejsce na trybunach, kiedy rozgrywał pierwszy mecz w szkolnej drużynie. Brak prezentu, gdy rodzice zapomnieli o jego jedenastych urodzinach. Pełen rozbawienia uśmiech,

kiedy w wieku dwunastu lat po raz pierwszy wspomniał przy kolacji o zajęciach z fortepianu.

Jedną z kwestii, do których przywykł, był brak wspólnych posiłków.

Gdy we wtorkowy wieczór jak niemal codziennie narzucił na ramiona czarny płaszcz i ruszył w stronę drzwi, aby udać się do *Sleepy Hollow*, gdzie zamierzał zagrać kilka utworów Claude'a Debussy'ego[7], nie podejrzewał, że jego rodzina zapragnie przynajmniej stwarzać pozory normalności.

– Dokąd idziesz?

Zatrzymał się na dźwięk głosu mamy i zerknął na nią przez ramię.

– Umówiłem się z Henrym… – odpowiedział.

– Napisz do niego, że masz plany na wieczór. Ugotowałam twój ulubiony krem z kukurydzy. Zjemy dzisiaj razem kolację. – Kobieta zniknęła w kuchni.

Hayden ruszył za nią.

– Ale… – Zamilkł, kiedy przy stole w połączonym z kuchnią salonie dostrzegł Julie i ojca.

Oliver Sanclair zajmował miejsce, które zwykle pozostawało puste. Dziwnie było znów widzieć, że ktoś na nim siedział. Mężczyzna musiał niedawno wrócić z pracy, wciąż bowiem miał na sobie białą koszulę. Jej rękawy podwinął na wysokość łokci i z okrągłymi okularami na nosie wczytywał się w papiery tkwiące w jego dłoni. Zapewne były to akta jednej ze spraw, nad którą pracowała kancelaria *Sanclair & McMillan.*

– Jestem pewien, że Henry zrozumie, jeżeli powiesz mu, iż zamierzasz spędzić wieczór z rodziną – mruknął, nie unosząc wzroku znad tekstu. – Kto wie, może nawet weźmie z ciebie przykład? Jerry nieustannie skarży się, że praktycznie nie widuje własnego syna.

Hayden zacisnął wargi.

Mama wyminęła go i delikatnie dotykając jego ramienia, poleciła:

– Usiądź, skarbie.

Chłopak zajął miejsce przy stole, a siedząca po drugiej stronie blatu Julie zmierzyła go przenikliwym wzrokiem. Niezwykle rzadko miało się okazję ujrzeć na twarzy dziewczynki uśmiech – podobnie jak w przypadku ich ojca.

Violet McMillan postawiła zupę na środku stołu.

Pan Sanclair zwrócił się do kobiety:

– Masz rację. To typowa sprawa rozwodowa. Nie wiem, czy powinniśmy tracić czas na kłótnie niezrównoważonych psychicznie małżonków.

– To dla nich ważne – westchnęła, w końcu również siadając przy stole. – Dla nas to może wyglądać jak zwykły rozwód, ale dla Margot to walka o to, by mąż nie zabrał jej tego, na co tak długo pracowała.

– Masz zbyt dobre serce, najdroższa.

– Lepiej mieć je za duże, niż nie posiadać go wcale – odparła, po czym spojrzała na Haydena i Julie. – Smacznego, kochani.

Julie sięgnęła po jedzenie jako pierwsza. Gdy Hayden spojrzał na swój talerz i poczuł ciężar wzroku ojca, nagle stracił apetyt.

– Jak studia? – zapytał mężczyzna.

– Znośnie – odpowiedział.

Przy stole na moment zapadła cisza. Cóż, wspólne posiłki z pewnością nie były mocną stroną rodziny Sanclair.

– To twój ostatni rok. Myślałeś już o tym, gdzie zgłosisz się na staż?

Pierwszy rok stażu po studiach dla świeżo upieczonych prawników stanowił „być albo nie być". Jeżeli ktoś miał tyle szczęścia, by znaleźć pracę w dobrej kancelarii, mógł liczyć na

mnóstwo sukcesów i jeszcze więcej pieniędzy. Jednak dla tych, którym szczęścia zabrakło, był to właściwie koniec wielkich marzeń o prawniczym świecie.

Hayden nie mógł odbyć stażu w rodzinnej kancelarii. Przepisy co do tego były jasne. Choć nawet gdyby nie istniały, chłopak podejrzewał, że ojciec nie chciałby niczego mu aż tak bardzo ułatwiać. Zawsze trzymał się zasady, że do sukcesu należało dojść wyłącznie ciężką pracą.

– Nie – odparł.

Oliver Sanclair zwrócił się do syna:

– Może Kancelaria Bundy'ego? – zaproponował. – Mógłbym porozmawiać z Gregiem. On zatrudniłby ciebie, a ja Bree.

Greg Bundy z pewnością mógłby być jednym z potworów, którymi w dzieciństwie rodzice straszyli Haydena przed snem, gdy był niegrzeczny. Mężczyzna był nie tylko dziadkiem Bree, ale przede wszystkim – lub co gorsza – jednym z prawniczych przyjaciół jego ojca. Za każdym razem patrzył na Haydena jak na paskudną plamę na ukochanym czerwonym sedanie.

– Masz przed sobą jeszcze cały rok. – Mama posłała mu pokrzepiający uśmiech. – To ważna decyzja. Lepiej się z nią nie śpieszyć.

Hayden obiecał ojcu, że przemyśli jego propozycję, poczuł jednak nieprzyjemny ucisk w żołądku. Staż w jednej z najlepszych kancelarii prawniczych w mieście miał niemal na wyciągnięcie ręki, podobnie jak pełną sukcesów przyszłość. Wszyscy jego znajomi o tym marzyli, podczas gdy on na samą myśl dostawał mdłości.

Czy nie powinien być wdzięczny, że znalazł się w gronie szczęśliwców, którym od urodzenia pisane są wielkie rzeczy?

*

Mieszkanie Ralpha okazało się takie jak on sam – kolorowe, nieco zabałaganione i wręcz nieprawdopodobnie radosne. Ściany były intensywnie czerwone, podobnie jak blat połączonej z salonem kuchni, do której mężczyzna zaprowadził Florę. Posadził ją na wysokim stołku przy kuchennej wyspie i obszedł ją energicznym krokiem, aby wyjąć z lodówki butelkę alkoholu.

– Z lodem? – zapytał.

– Chyba wystarczy mi tylko woda albo sok.

Ralph wzruszył okrytymi satynowym materiałem ramionami.

– Jak wolisz. Choć wyglądasz jak ktoś, kto potrzebuje solidnej dawki procentów.

– Spałam tylko trzy godziny – westchnęła dziewczyna.

Mężczyzna odwrócił się ku niej z wysoko uniesionymi brwiami. Stawiając przed nią szklankę z sokiem pomarańczowym, pokręcił głową.

– Brak snu przyśpiesza pojawianie się zmarszczek – stwierdził.

– W takim razie jeżeli tak dalej pójdzie, za miesiąc będę wyglądała, jakbym skończyła pięćdziesiąt lat.

– Studia są aż tak trudne? – zaciekawił się, unosząc w szczupłej dłoni kieliszek z martini.

– Nie, ale profesorowie już tak. Jeden z nich szczerze mnie nienawidzi, na dodatek jego syn upokorzył mnie przed prawie całą uczelnią.

Ralph rozsiadł się wygodnie przy stole.

– To brzmi zdecydowanie jak coś, o czym chciałbym posłuchać – rzucił z pełnym entuzjazmu uśmiechem.

Flora opowiedziała mężczyźnie o wszystkim, co spotkało ją w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. O taksówkarzu, z którym nie mogła się porozumieć. O ulewie, *Sleepy Hollow* i chłopaku przy fortepianie. O pierwszym dniu na uczelni, o Haydenie, Bree i profesorze

Sanclair. O wszystkich nieszczęściach, które zdawały się nie mieć końca.

Kiedy skończyła mówić, kieliszek mężczyzny był już niemal pusty.

– Dać ci radę? – zapytał.

– Tak.

Ralph wstał iście teatralnym ruchem.

– Swego czasu występowałem w chórze. Dawaliśmy pokazy na Broadwayu, ale to bez znaczenia. Pewnego razu jeden ze śpiewaków specjalnie zamknął mnie w garderobie, bym nie zdążył na występ. Zrobił to, żeby grać główne skrzypce. Piosenkarze to cholerne hieny. Za odrobinę atencji byliby skłonni sprzedać duszę samemu diabłu. Następnego dnia przyłapałem tego człowieka obściskującego się z żoną naszego dyrektora. Wiesz, co zrobiłem? – Spojrzał na dziewczynę. Gdy ta pokręciła głową, dodał: – Nic. Mogłem, rzecz jasna, na niego donieść, ale niewiele by to dało. Dwa tygodnie po całym zajściu przez przypadek spóźniłem się na kolejny występ. Tym razem z własnej winy. Dyrektor opery się wściekł i mnie wyrzucił.

Flora zmarszczyła brwi, nie doszukując się w tej historii morału ani tym bardziej nawiązania do tego, przez co sama przechodziła.

– Jaki z tego wniosek? – zapytał. – Nie bądź jak ja. – Rozłożył ręce, wylewając z kieliszka resztkę martini. – Zemścij się, Floro, póki masz ku temu okazję. Wykorzystaj wiedzę, którą zdobyłaś, dopóki ma ona jakąś wartość.

– Sugerujesz, że powinnam…

– Zaszantażować tego chłopaka, aby przekonał ojca, żeby dał ci spokój, bo w innym wypadku zdradzisz wszystkim jego sekret.

– Nie. To… Nie mogłabym.

– Ja też nie mogłem. I widzisz, gdzie skończyłem? – Rozejrzał się dookoła. – Dzisiaj już nikt nie rzuca mi kwiatów na scenę ani nie klaszcze i śpiewać mogę już tylko pod prysznicem. To brutalny świat. Ci, którym okazujesz litość, nie byliby tak samo litościwi względem ciebie. Istnieje tylko jedna zasada. Zjedz, zanim ktoś zje ciebie.

*

Flora z pewnością nie zamierzała nikogo zjeść, ani tym bardziej szantażować. Pojawiła się w *Sleepy Hollow* z głupią nadzieją, że Hayden zgodzi się jej pomóc, jeśli zwyczajnie go o to poprosi. Długo walczyła z tym pomysłem, lecz wreszcie uznała, że nie miała zbyt wiele do stracenia. Mogła nic nie robić i liczyć, że profesor Sanclair w końcu nieco jej odpuści – nie wierzyła, że w ogóle było to możliwe – albo poprosić o pomoc kogoś, kto mógłby z nim porozmawiać.

Loren posłała jej zza baru współczujący uśmiech.

– Haydena dzisiaj nie będzie. Zatrzymały go sprawy rodzinne, ale mogę przekazać mu, że tu byłaś…

– Nie – wtrąciła Flora. Nagle uznała to, co zamierzała zrobić, za kompletną głupotę. Może przez niewyspanie, a może przez zły nastrój. Niby dlaczego Hayden Sanclair miałby w czymkolwiek jej pomóc? – To nie będzie konieczne. Przepraszam za kłopot.

– Och, ależ nic się nie stało.

Dziewczyna odwróciła się w stronę wyjścia, po czym wsunęła dłonie w kieszenie płaszcza. Temperatura na zewnątrz spadła poniżej dziesięciu stopni.

– Wiesz, że jesteś pierwszą jego przyjaciółką, którą poznałam?

Zamarła na dźwięk słów Loren, a następnie odwróciła się ku niej.

– Nie jestem jego przyjaciółką. Właściwie… wcale go nie znam.

Kobieta posłała jej kolejny uśmiech. Kryło się w nim coś, czego Flora nie potrafiła

nazwać.

– Słyszałaś, jak gra. Myślę, że znasz go znacznie lepiej niż większość ludzi, którymi się otacza.

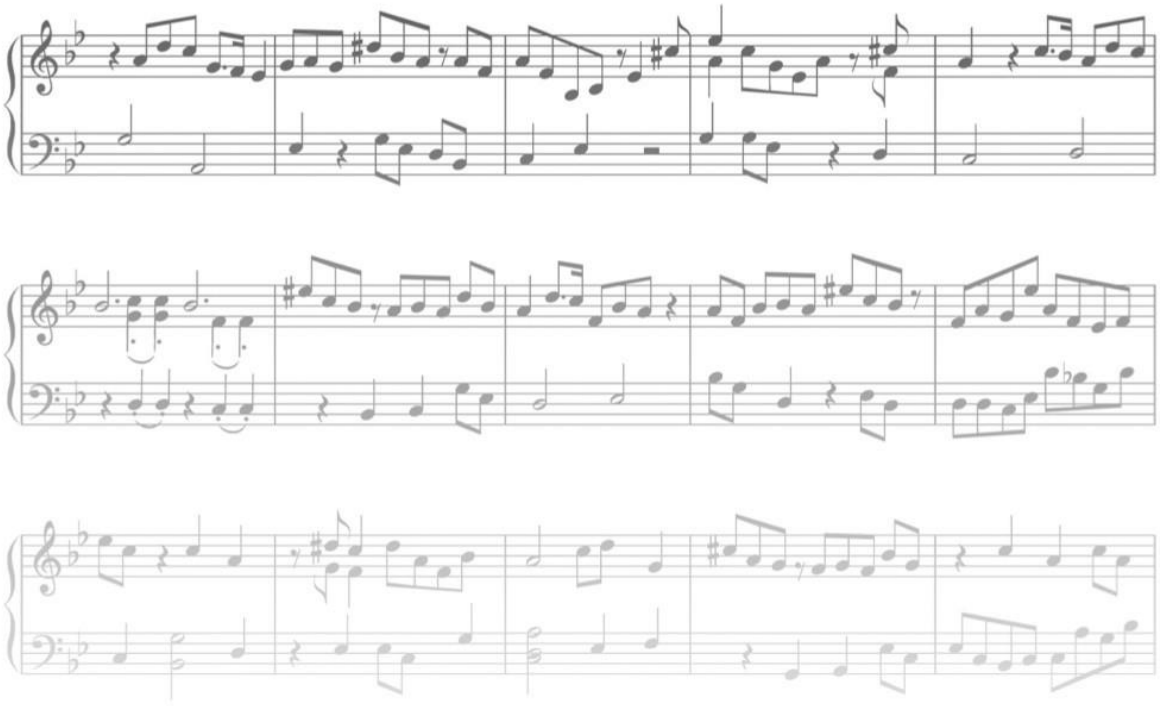

Rozdział 6

Marzenia i wszystkie ich wady

– „Sharman”, nie „Sherman”.

Bibliotekarka obdarzyła Florę zmęczonym spojrzeniem. Na jej twarzy malował się grymas irytacji, który zdawał się dodawać jej lat.

Gdy Flora przekroczyła próg biblioteki i dostrzegła kobietę za ciężkim, dębowym biurkiem, w pierwszej chwili uznała, że wygląda ona przyjaźnie i miło. Miała nie więcej niż sześćdziesiąt lat, a siwe włosy upięła w elegancki kok. Kilka kosmyków opadało na jej wąskie ramiona, muskając bordowy sweter.

Pierwsze wrażenie, jak w tym przypadku, bywa niekiedy zwodniczo mylne.

– Nazywam się Flora Sharman – powtórzyła mniej pewnie niż chwilę wcześniej.

Kobieta wzięła głęboki wdech, po czym podarła wniosek na dwie części, wrzuciła go do kosza na śmieci i sięgnęła po nowy. Tym razem wypełniła rubrykę „imię i nazwisko” poprawnie, na co dziewczyna odetchnęła z ulgą, nie musząc ponownie zwracać jej uwagi.

Bibliotekarka przesunęła kartkę w stronę Flory po biurku i wskazała końcówką długopisu dwa miejsca.

– Podpis tutaj i tutaj. – Następnie niemal wyrwała jej sprzed nosa wniosek i dodała: – Jutro przed zajęciami przyjdź odebrać stałą kartę. Dzisiaj możesz skorzystać z biblioteki bez niej.

– Dziękuję.

Mimo że Flora odwiedziła Uniwersytet Columbia kilka razy przed dołączeniem do grona jego studentów, dotąd nie miała okazji przekroczyć progu jego słynnej biblioteki. Dostęp do niej mieli tylko profesorowie i studenci. Nikt z zewnątrz nie mógł się tu dostać, co czyniło to miejsce

niezwykle przyciągającym.

Choć Flora nigdy tutaj nie była, wiedziała naprawdę sporo o bibliotece. A raczej o bibliotekach, bo budynek, w którym się znajdowała, był tylko fragmentem systemu bibliotecznego, mimo że stanowił jego serce.

Przeszła przez szklane drzwi do głównego pomieszczenia i niemal natychmiast jej uwagę przyciągnęły zawieszone na suficie kryształowe żyrandole. Ich żółte światło rzucało ciepły blask na długie stoły i odbijało się od wyłożonej jasnym marmurem posadzki.

Na prawo od wejścia rzędami ciągnęły się ogromne regały. Był to jednak tylko niewielki fragment zasobów biblioteki, która liczyła aż trzy piętra. Przez wysokie okna do środka z trudem przedzierało się słońce, więc przebywając tutaj, nieustannie odnosiło się wrażenie, że tak właściwie był wieczór.

Na dodatek ten zapach… Nic nie pachniało równie dobrze jak stare książki, drewno i zimowa herbata, którą można było kupić w sklepiku.

Flora przesunęła wzrokiem po stołach. Kiedy nieopodal dostrzegła wolne miejsce, ruszyła w jego kierunku. Zdołała postawić zaledwie dwa kroki, zanim nagle czyjaś dłoń zacisnęła się na jej nadgarstku. Dotyk był tak zimny i niespodziewany, że dziewczyna mimowolnie drgnęła, jakby poraził ją prąd.

Kiedy spojrzała za siebie, pierwszym, co ujrzała, był czarny płaszcz. Dopiero gdy przesunęła spojrzeniem w górę, natrafiła na zaciśnięte wargi i ciemne oczy. Hayden Sanclair stał tak blisko, że niemal była w stanie wyczuć bijący od niego chłód.

– Co…

– Musimy porozmawiać, Sharman – wtrącił, po czym pociągnął ją za sobą.

Flora zdążyła tylko zerknąć przez ramię i zobaczyć, że kilka osób podniosło głowy znad książek i powiodło za nimi wzrokiem. Sekundę później znalazła się pomiędzy dwoma wysokimi regałami.

Kiedy chłopak wreszcie puścił jej rękę, przyciągnęła ją do siebie i rozmasowała obolały nadgarstek.

– Normalni ludzie zwykle pytają, czy mogą gdzieś mnie zabrać – napomknęła. – Wiesz, że to podchodzi pod porwanie?

Sanclair spojrzał na nią w taki sposób, jakby powiedziała coś w obcym języku. Następnie jego surową twarz przyozdobił grymas.

– Po co byłaś wczoraj w *Sleepy Hollow*? – zapytał.

Och, pomyślała, *a więc Loren mu powiedziała.*

Flora wzruszyła ramionami. Gdy przypomniała sobie pomysł, który poprzedniego dnia zrodził się w jej głowie, miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Sharman, do cholery, przecież mówiłem ci, że masz tam nigdy więcej nie przychodzić. – Zmarszczył brwi. – Co chciałaś mi powiedzieć?

– Skąd pomysł, że zjawiłam się tam z twojego powodu? – odparła.

– Loren powiedziała, że mnie szukałaś. Nie zgrywaj idiotki.

Dziewczyna oderwała wzrok od jego oczu i westchnęła.

– To i tak nie ma znaczenia. Przez moment zrodziła się we mnie nadzieja, że jednak masz resztki serca, ale nie martw się, umarła szybciej, niż zdążyłam zrobić coś głupiego. – Znów odnalazła jego spojrzenie. – Po prostu o tym zapomnij.

Ramiona Haydena uniosły się i opadły. Wyglądał, jakby chciał coś dodać, lecz w ostatniej chwili z tego zrezygnował. Przeczesał palcami ciemne włosy, przez co kilka kosmyków osunęło się mu na skronie.

– Po prostu nie wchodź mi w drogę, Sharman – westchnął.

Kiedy się odwrócił, aby odejść, Flora poczuła nieprzyjemne ukłucie w piersi. Zanim zdołała zrozumieć, co robi, gwałtownie postawiła krok przed siebie i powiedziała:

– Twój ojciec się na mnie uwziął.

Sanclair przystanął, jednak się nie odwrócił. Nie spojrzał na nią.

– Chyba nie widzi we mnie zbyt obiecującego materiału na prawnika, a ja zaczynam myśleć, że ma rację, choć ze wszystkich sił próbuję udowodnić mu, że jest inaczej.

Był to pierwszy raz, kiedy wypowiedziała te słowa na głos. Mimo że dręczyły ją od kilku dni, wcześniej nie miała w sobie dość odwagi, by się z nimi zmierzyć. Aby przyznać, że być może to, o czym tak długo marzyła i na co tak ciężko pracowała, nie było dla niej. A może po prostu nie była dość silna, by temu sprostać?

– Wczoraj przyszłam do *Sleepy Hollow*, bo myślałam, że mi pomożesz. Chciałam… – Urwała, gdy Hayden się ku niej odwrócił i obarczył ją ciężarem swojego spojrzenia.

– Chciałaś mnie zaszantażować, że jeżeli nie przekonam ojca, by ci odpuścił, powiesz wszystkim prawdę? – dokończył. Flora zdążyła tylko pokręcić głową, zanim dodał: – No proszę. Mała Sharman jednak nie jest tak grzeczna, na jaką wygląda.

– Nie. To nie tak, jak myślisz…

Cofnęła się o krok, gdy Hayden ruszył w jej kierunku, lecz nagle jej plecy zetknęły się z regałem. Poczuła za sobą grube brzegi ciężkich ksiąg.

– Ja…

– Dam ci dobrą radę. – Wsunął dłonie do kieszeni płaszcza. – I mam nadzieję, że tym razem będziesz na tyle mądra, by jej nie zignorować.

Zatrzymał się tak blisko, że gdy Flora uniosła podbródek, aby spojrzeć mu w oczy, była w stanie dostrzec w nich niemal każdą plamkę. Każdą iskierkę złości i rozdrażnienia. Pochylił się, robiąc to tak nieznośnie powoli, jakby czerpał przyjemność z dręczenia innych podobnie jak jego ojciec.

Następnie głęboko zaczerpnął powietrza i spokojnie oznajmił:

– Ze wszystkich głupich decyzji, jakie mogłaś podjąć, próba zaszantażowania mnie była najgorszą.

– Ja wcale…

– Dla twojej wiadomości, nikt ci nie uwierzy, Sharman. Podobnie jak wtedy, gdy przy innych studentach zrobiłaś z siebie skończoną kretynkę.

Flora przełknęła z trudem. Wciąż żałowała, że wtedy zdecydowała się do niego podejść. Gdyby tego nie zrobiła, być może jej życie nie przypominałoby pasma niekończących się nieszczęść i pechowych zdarzeń.

Sanclair pachniał mieszanką piołunu, tytoniu i mięty. To połączenie było niezwykle gorzkie, wytrawne i aromatyczne zarazem. Na dodatek tak intensywne, że Flora ledwie była w stanie skupić się na czymś innym.

Jego oczy natomiast… były niczym dno mrocznego jeziora. Mimo że przerażające, patrząc prosto w nie, odczuwało się niepokojącą chęć, aby dowiedzieć się, co kryło się tuż za ciemnością.

– Nikt, Sharman – powtórzył, sprowadzając dziewczynę na ziemię tak brutalnie, że się skrzywiła. – Zapamiętaj te słowa, gdybyś jeszcze raz wpadła na podobny pomysł. A jeżeli chodzi o mojego ojca… – Pochylił się, by ich twarze znalazły się na tej samej wysokości. – Jeśli na nową ofiarę wybrał właśnie ciebie, już po tobie.

Flora zacisnęła wargi, a następnie wyprostowała nieco zgarbione plecy i powiedziała mu prosto w twarz:

– Wiesz, czym jest przestrzeń osobista? Bo właśnie naruszasz moją.

Hayden zmarszczył brwi, jednak po chwili się odsunął, jakby wcześniej nie spostrzegł, jak blisko siebie się znaleźli.

– Nie martw się. – Odgarnęła kosmyki długich włosów z policzka. – Nawet gdybym tonęła, a na brzegu stałbyś jedynie ty, nie poprosiłabym cię o pomoc.

Sanclair uśmiechnął się kpiąco.

– A teraz wybacz, ale trochę się śpieszę. – Wyminęła go i ruszyła w stronę wyjścia, nie patrząc za siebie. Gdy tylko znalazła się za szklanymi drzwiami, przyśpieszyła kroku i niemal biegiem wypadła z biblioteki.

*

Piątek minął zadziwiająco szybko. Gdy po południu Flora wróciła do mieszkania, niosąc w ramionach papierową torbę z zakupami – w końcu nie mogła nieustannie żywić się pizzą, kubkiem kawy i batonikiem zbożowym – marzyła o długiej kąpieli i całym opakowaniu popcornu. Nie wiedziała, jakim cudem udało jej się przetrwać pierwszy tydzień studiów, jednak uznała, że musiała się za to wynagrodzić. Nawet jeżeli nagrodą miał być wieczór na kanapie, z czymś niezdrowym do jedzenia i z odcinkiem *Miasteczka Twin Peaks*.

Rozpakowała zakupy, wzięła gorący prysznic, a potem z włosami obwiązanymi ręcznikiem i z miską popcornu usiadła w salonie. Nierozpakowane kartony stały przy ścianie. Flora przesunęła je tam, aby nie zagracały przejścia do sypialni. Kiedy już miała włączyć telewizor, zadzwoniła jej mama.

Uśmiechnięta twarz Hailey Sharman pojawiła się na ekranie telefonu.

– Hej, skarbie.

– Hej, mamo.

– Nie przeszkadzam ci? – zapytała kobieta i odstawiła telefon na toaletkę, aby w lusterku założyć kolczyki.

– Nie. Wychodzisz?

– Tak. Razem z tatą mamy pierwsze zajęcia w szkole tańca. Nie masz pojęcia, jak długo musiałam go na to namawiać. – Zaśmiała się.

W tle rozbrzmiał głos taty Flory:

– Dwanaście minut wystarczyło. Twoja mama bywa naprawdę przekonująca.

Flora uśmiechnęła się, lecz kąciki jej ust szybko opadły, co nie umknęło uwadze jej mamy.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała z troską.

Dziewczyna jedynie pokręciła głową. Wówczas pani Sharman poprosiła męża:

– Wyprowadzisz psa, zanim wyjdziemy? – Gdy zostały same, kobieta usiadła na brzegu łóżka. – Nie musisz nic mówić. Wiem, że jest ci ciężko. Studia są trudne. To coś zupełnie innego niż szkoła średnia.

– Nie chodzi tylko o studia. – Flora przyciągnęła kolana do klatki piersiowej. – Chodzi o… właściwie o wszystko, mamo. Mam wrażenie, że nic nie układa się tak, jak sobie zaplanowałam.

– W życiu planowanie na niezbyt wiele się zdaje, Floro. Pamiętasz, jak zaplanowaliśmy wycieczkę pod namiot, a gdy dotarliśmy na miejsce, zaczęło padać, choć w prognozie pogody nie wspomnieli o deszczu?

– Tak, pamiętam.

– Co wtedy zrobiliśmy? – zapytała.

– I tak rozstawiliśmy namiot.

– I świetnie się bawiliśmy – dodała. – To, że widzisz ciemne chmury, nie oznacza, iż tuż

za nimi nie chowa się słońce. Przed tobą trzy lata, kochanie. Spraw, żeby były najlepszym czasem w twoim życiu, dobrze? Spróbuj nie zamartwiać się wszystkim aż tak bardzo. Większość nie jest tego warta.

Flora pociągnęła nosem.

– Chciałabym być teraz z wami w domu.

– Och, ja też bardzo bym tego chciała. Ale jeżeli człowiek nie wyruszy w drogę, nie dostrzeże, że świat ma do zaoferowania o wiele więcej niż to, co już zna. Dać ci dobrą radę od byłej studentki z Nowego Jorku?

– Mhm.

– To miasto zaczyna żyć dopiero po zmroku. Skorzystaj z tego, ale żadnego alkoholu.

Dziewczyna uśmiechnęła się przez łzy, które napłynęły jej do oczu.

– Jasne, mamo. Idź już, tata na ciebie czeka. I koniecznie daj mi znać, jak poszło wam na lekcji tańca.

– Twój ojciec ma dwie lewe nogi. To będzie istna tragedia.

Flora wcisnęła czerwoną słuchawkę i utkwiła wzrok w ekranie wiszącego na ścianie telewizora. W czarnej tafli dostrzegła własne odbicie. Widziała, jak po jej policzku spływa samotna łza. Starła ją wierzchem dłoni, po czym sięgnęła po telefon i wybrała numer.

Jocelyn odebrała po drugim sygnale.

– Tak?

Flora zdjęła z głowy ręcznik, a mokre włosy opadły jej na ramiona.

– Hej. Nie jest jeszcze za późno, żebym zabrała się z wami na imprezę?

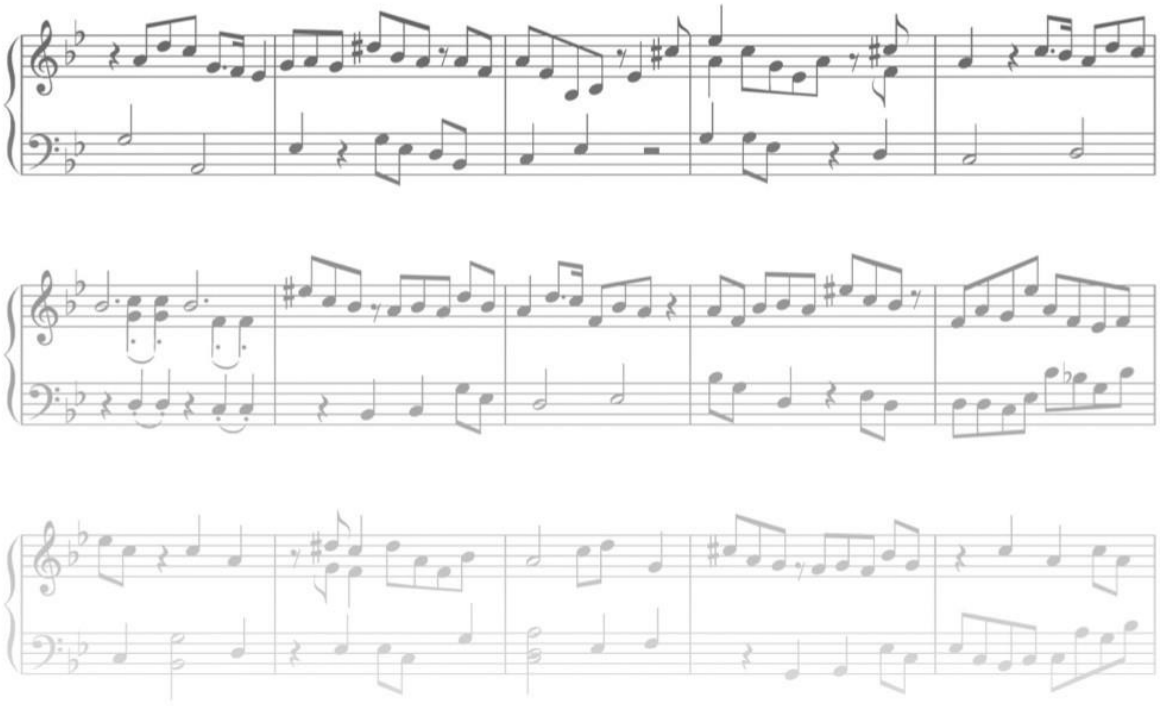

Rozdział 7

Jedno nie całkiem zepsute serce

Kiedy Flora stanęła na chodniku przed wejściem do budynku z narzuconą na ramiona nieco za dużą kurtką z czarnego dżinsu, po raz pierwszy pomyślała o tym, że nigdy nie była na imprezie. Nie licząc balu halloweenowego w przedszkolu, kiedy przebrała się za niezbyt straszną księżniczkę Disneya, aby po zaledwie godzinie wrócić do domu z płaczem, bo Ted Herleys ze starszej klasy pociągnął ją za włosy.

W liceum, choć nie lubiła się do tego przyznawać, była typem kujonki z nosem wiecznie utkwionym w książkach i z podręcznikiem w dłoni. Wieczory spędzała w towarzystwie notatek, definicji i zagadnień. Nie miała zbyt wielu znajomych, ale samotność nie stanowiła dla niej problemu.

Dlaczego więc tym razem zrezygnowała ze spokojnego wieczoru z serialem i czymś niezdrowym do jedzenia? Bo wiedziała, że mama miała rację. Mogła tkwić na kanapie i użalać się nad sobą albo wykorzystać ten czas i sprawić, że po raz pierwszy, odkąd zjawiła się w Nowym Jorku, nie będzie niczym się zamartwiać.

Na widok dziewczyny Edwin zdjął czapkę i skinął głową na znak powitania.

– Pracuje pan tutaj dwadzieścia cztery na dobę? – zapytała. – Gdy wychodziłam rano na uczelnię, też pan tu był.

Mężczyzna z powrotem umieścił czapkę na głowie.

– Nie, panienko. Wziąłem dodatkową zmianę, bo zbieram na skrzypce dla wnuka. Wyrósł już z poprzednich, a rodzice uważają to za niepotrzebny wydatek. Chyba nie dostrzegają, jak wielki ma talent.

Choć na twarzy Flory zagościł uśmiech, w jej sercu zatlił się ból. Nie mogła zrozumieć, jak rodzice byli w stanie odwrócić się od własnego dziecka i nie pomóc mu spełniać marzeń. W takich chwilach uświadamiała sobie, jak wielkie miała szczęście. Zawsze mogła liczyć na rodziców.

– Pana wnuk ma szczęście, że jest pan jego dziadkiem – odpowiedziała, sprawiając, że Edwin uśmiechnął się z wdzięcznością.

Przy chodniku zatrzymał się stary, zielony range rover. Przednia szyba opadła, ukazując uśmiechniętą twarz Jocelyn.

– Muszę już iść. – Flora zwróciła się do mężczyzny.

– Udanego wieczoru, panienko Sharman.

– Wzajemnie, panie… – zamilkła, uświadamiając sobie, że nie poznała jego nazwiska.

– Mów mi po prostu Edwin – powiedział.

– Wzajemnie, Edwinie.

Flora wsiadła do samochodu i niemal natychmiast została wciśnięta pomiędzy dwie niezwykle podobne do siebie istoty – te same jasne włosy, niebieskie oczy, pełne usta i identyczne sukienki, z tą drobną różnicą, że jedna była czerwona, a druga granatowa. Obie dziewczyny w tej samej chwili pochyliły się w stronę Flory i uniosły kosmyki jej długich włosów.

– Wcale nie wygląda na wariatkę, no nie? – zapytała jedna.

– Ani trochę – odparła druga.

Jocelyn zza kierownicy zerknęła na brunetkę.

– To bliźniaczki Olsen, tylko w nieco uboższej wersji. Zwykle nie są aż tak bezpośrednie. Po prostu bardzo chciały cię poznać, gdy usłyszały, że to ty w poniedziałek…

– …napadłaś na młodego Sanclaira – dokończyła dziewczyna w czerwonej sukience.

– Na nikogo nie napadłam – odpowiedziała Flora, marszcząc brwi. – Po prostu…

– Nie musisz nic mówić. Cała szkoła już o tym słyszała. – Machnęła dłonią. – Ale nie martw się, wszyscy zaraz o tym zapomną. Kiedy tylko ktoś inny zrobi z siebie idiotę.

– Zamknij się – warknęła bliźniaczka w granatowej sukience, po czym dotknęła ramienia Flory. – Izzy to idiotka. Czasami jej mózg nie nadąża za słowami, które opuszczają jej usta. Jestem Imogen.

– Flora – mruknęła. – Naprawdę wszyscy o mnie mówią?

– Tak – odparła ze współczuciem. – Ale Izzy ma rację. Na uczelni średnio co tydzień wybucha afera. Zanim się obejrzysz, nikt nie będzie pamiętał o twojej małej wpadce.

Flora zdobyła się na uśmiech. Sama do końca nie wierzyła, że to będzie tak proste.

– Dokąd właściwie jedziemy? – zapytała.

Jocelyn spojrzała na nią w lusterku i uśmiechnęła się tajemniczo. Zdążyły ominąć nowojorskie korki i skierować się w stronę Manhattan Bridge, który nawet z oddali zapierał dech w piersi.

– Byłaś kiedyś na West Village[8], Sharman? – zapytała.

– Nie. Nigdy.

Izzy i Imogen spojrzały po sobie. Druga z nich pośpieszyła z wyjaśnieniem:

– Jeżeli w tym mieście istnieją miejsca, w których studenci mogą grzeszyć do woli, West Village z pewnością jest jednym z nich.

Flora odnalazła w lusterku spojrzenie Jocelyn i po raz pierwszy pomyślała o tym, że być może tego wieczoru powinna zostać w mieszkaniu.

– Nie martw się, Sharman. Jestem pewna, że to miejsce skradnie twoje serce.

– Tak – zgodziły się jednogłośnie bliźniaczki.

Jocelyn dodała z uśmiechem:

– A potem już nigdy więcej go nie odzyskasz.

*

Kilkanaście minut później Flora na własne oczy przekonała się, jak mocno West Village różniło się od zatłoczonego i gwarnego Manhattanu. We wciśniętej między ustawione w szeregu kamienice wąskiej uliczce, w której zaparkowała Jocelyn, nie sposób było spotkać żywego ducha.

Dziewczynie aż trudno było uwierzyć, że wciąż znajdowała się w Nowym Jorku.

– To tutaj? – zapytała, wysiadając z auta.

W tej samej chwili pojęła, że krótka spódniczka i cienki sweterek nie były dobrym pomysłem. W ciągu kilkudziesięciu minut, jakie spędziła w aucie, temperatura znacznie spadła. A może po prostu to miejsce – zapomniane, puste i tajemnicze – sprawiało wrażenie dziwnie chłodnego?

– Nie, ale resztę musimy pokonać na nogach – oznajmiła Jocelyn, po czym wrzuciła kluczyki do małej torebki. – Tam, dokąd idziemy, wiedzie tylko jedna droga. – Dziewczyna ruszyła wąską uliczką.

Flora podążyła za nią, słysząc jedynie chlupot wody, gdy w mroku jej buty natrafiały na kałuże, oraz przyciszone głosy Izzy i Imogen, które nieustannie o coś się spierały:

– Od początku mówiłam, że czerwień to mój kolor, a nie twój.

– Wyglądasz w nim jak niedojrzała truskawka.

– Więc ty też tak wyglądasz, kretynko. Zapomniałaś, że jesteśmy identyczne?

Idąc za Jocelyn, Flora zerkała w puste okna starych kamienic. Tylko w kilku z nich, jakby nieśmiało i bojaźliwie, paliły się światła małych lampek. Pozostała część mieszkań była porzucona albo niezamieszkana.

Sharman pomyślała o tym, jak różne oblicza miało to miasto. Na Manhattanie każda ulica zdawała się tętnić życiem. W metrze z trudem można było natrafić na wolne miejsce, nawet poza godzinami szczytu. Wszędzie krążyli ludzie, wiecznie zabiegani, spóźnieni i zajęci. Ale tutaj… tutaj wszystko było takie spokojne. Ciche i wolne.

Flora przystanęła i spojrzała na nocne niebo. Niczym plama czarnego atramentu wisiało nad szczytami kamiennych budynków. Wśród tej czerni, nawet gdy wytężyła wzrok, nie dostrzegła ani jednej gwiazdy. Nawet tu ich nie było.

– Pośpiesz się, Sharman! – zawołała do niej Jocelyn, która, ku zaskoczeniu Flory, stała przy wyciętym w płocie z metalowej siatki otworze. Był na tyle duży, że dorosły człowiek bez problemu zdołałby przedostać się na drugą stronę.

Izzy i Imogen zdążyły już przez niego przejść.

Jocelyn przytrzymała kawałek siatki, gdy Flora zbliżyła się do płotu.

– Śmiało – zachęciła ją.

Sharman spojrzała na czekające po drugiej stronie pustkę i ciemność. Co złego właściwie mogło ją tam spotkać?

Nie chcąc tracić czasu na analizowanie pytania, na które i tak nie znała odpowiedzi, schyliła głowę i przeszła przez ogrodzenie. Zaledwie sekundę po tym, jak poczuła, że stanęła w wysokiej trawie, Jocelyn chwyciła jej nadgarstek i pociągnęła za sobą.

Z każdym kolejnym krokiem Flora była w stanie dostrzec coś więcej niż mrok. Gdy jej wzrok częściowo przywyknął do ciemności, zobaczyła zarysy wysokich drzew. Po chwili minęła spróchniałą ławkę.

Została przyprowadzona do… parku?

– Jocelyn…

– Ciii… – Zerknęła na nią przez ramię, przykładając palec do ust. – Chcesz, żeby duchy nas usłyszały?

– Duchy? – Flora zmarszczyła brwi.

– Nawiedzony stary teatr to doskonałe miejsce dla zbłąkanych dusz. Studenci stanowią ich idealną definicję.

– O czym… – Słowa utkwiły w połowie drogi do jej ust, gdy dostrzegła w oddali ogromny budynek.

Nagle miała przed oczami kadr żywcem wyjęty z jednej z upiornych powieści Stephena Kinga – mroczny, zapierający dech w piersiach i tak nieprawdopodobnie fascynujący. Budowla przypominała gotycki kościół połączony z zabytkowym pałacem. Jedna z dwóch wysokich wieżyczek zachowała się jednak tylko w połowie. Większość okien była powybijana, nie licząc tych na wyższych piętrach.

– Wiele lat temu to miejsce nie było tak martwe jak teraz – wyjaśniła Jocelyn, trzymając nadgarstek Flory i prowadząc ją w kierunku wejścia. Minęły je, bo główne drzwi były zaryglowane deskami. – W latach osiemdziesiątych jakiś cholernie bogaty stary człowiek prowadził tu teatr. Podobno najbogatsi ludzie z miasta zjeżdżali się tutaj w każdy weekend, by oglądać wystawiane przez niego przedstawienia.

Dostały się do wnętrza budynku przez jedno z wybitych okien na piętrze. To właśnie wtedy spotkały pierwszą żywą duszę w tym upiornym miejscu. Wysoki chłopak, którego twarz z trudem można było dostrzec, najwidoczniej rozpoznał Jocelyn i przepuścił dziewczyny dalej.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym wybuchł pożar. Nikt nie zginął, ale podobno właściciel poprzysiągł, że nikt więcej nie przestąpi progu tego budynku. Legenda głosi, że pewnej nocy rzucił się z jednej z wież. Od tamtego czasu to miejsce powoli umiera.

– To straszne.

– Nie martw się, Sharman. – Posłała jej uśmiech w mroku. – To przecież tylko legenda. Przerażająca, ale tylko legenda. – Wzruszyła ramionami, prowadząc Florę szerokimi korytarzami. – Co roku, w każdy pierwszy weekend zimowego semestru, studenci kilku uczelni spotykają się tu, by wspólnie rozpocząć kolejny rok studiów. Trzecioklasiści ze szkoły aktorskiej przez całe wakacje przygotowują spektakl, by wystawić go tej nocy. Wybierają jeden ze znanych literackich utworów, a potem zmieniają większość wydarzeń i zakończenie. – Uśmiechnęła się. – To tutaj.

Flora przeszła za Jocelyn przez czerwoną kotarę, z zaciemnionych korytarzy trafiając do ogromnej sali teatralnej. Scenę oświetlono prowizorycznymi świecami ustawionymi na połamanych krzesłach.

Większość siedzeń na widowni już kompletnie wyblakła. Znaczna część z nich miała w sobie dziury i gąbka, którymi były wypełnione, wypływała na powierzchnię.

– Tędy. Widzę Izzy i Imogen.

Jocelyn pociągnęła Florę w kierunku trzeciego rzędu.

– Wybrałyśmy idealne miejsca. – Imogen zabrała torebkę z siedzenia, aby Flora mogła je zająć.

– Jak zawsze – mruknęła Izzy, sprawiając, że jej siostra przewróciła oczami.

– Co wystawiają w tym roku? – zapytała szeptem Flora.

– To tajemnica – odpowiedziała Imogen. – Nikt aż do samego końca nie wie.

Flora rozejrzała się dookoła. Jedynym względnie oświetlonym punktem sali była scena. Poza nią wszędzie panował mrok.

Gdy na deski teatru wszedł ubrany w długą, czarną szatę człowiek o poważnej twarzy,

wszystkie szepty zamilkły. Chłopak spokojnym spojrzeniem powiódł po widowni, po czym donośnym głosem zaczął:

– W pięknej Weronie, w czasach tak odległych, iż większość ludzi myślała jeszcze, że Ziemia jest płaska, żyły dwa miłujące się rody. Łącząca je przyjaźń była tak wielka i trwała, iż pewnego dnia przy odrobinie taniego wina doszli do porozumienia, z którego jasno wynikało, że ich najmłodsze i najmniej bystre dzieci powinny związać swą przyszłość. Tak oto, Julia Kapulet i Romeo Monteki pobrać się zmuszeni zostali. A wiedzieć musicie tylko tyle, że od zawsze szczerze się ta dwójka nienawidziła.

Ciężka czerwona kurtyna na powrót się zasunęła. Jej poły rozsunęły się kilka sekund później, ukazując dwie postacie – Julię i Romea.

– Romeo! Czemuż ty jesteś Romeo! – zawołała śpiewnie Julia. – Ze wszystkich poczciwych kandydatów do ożenku akurat ciebie wybrać dla mnie musieli! Jeżeli to nie pech, nie wiem, czymże to jest! – załkała, chowając piękną twarz w drżących dłoniach.

Romeo postawił ku niej niepewny krok, jednak zamarł z dłonią wyciągniętą w stronę dziewczyny, jakby pojął, że rzeczywiście chciał jej dotknąć. Deski zaskrzypiały upiornie pod naciskiem jego buta.

– Och, Julio! – zawtórował. – I ja radością nie pałam, iż to właśnie ty mą żoną wybraną zostałaś! – Odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał w górę, mrużąc powieki. Potem teatralnym gestem przyłożył dłoń do piersi i ciężko westchnął. – Tyle pięknych panien – rozłożył ręce i objął jednym ruchem pierwsze rzędy – przed sobą widzę. Oczy me niepocieszone, iż z najbrzydszą począć mi pozostanie.

Julia przewróciła oczami.

– Och, Romeo, cóż my poczniemy!

– Zaakceptować nasz los okrutny musimy!

– Ale nie, nie musimy! – zawołała.

Romeo odwrócił głowę i spojrzał na Julię.

– Nie? – powtórzył. – Jak to? Rodziny nasze przecież już zdecydowały.

– Sposób jeden istnieje, aby od tej decyzji uciec. Umrzeć musimy, Romeo!

– Umrzeć?! Czyżbyś oszalała, Julio?!

Julia postawiła ku niemu krok, a jej długa suknia zafalowała.

– Nie naprawdę. Nieprawdziwą truciznę przyjmiemy, a gdy w grobie nas pochowają, nocą się z niego wydostaniemy i rozchodząc się na dwie strony świata, już nigdy widzieć się nie będziemy musieli.

– Och, Julio! Plan obmyśliłaś genialny! Ale skąd truciznę fałszywą weźmiemy? – zapytał.

– Na moich barkach odpowiedzialność tę pozostaw, Romeo. Spotkajmy się nocą, w tym dokładnie miejscu, gdzie teraz stoimy, aby życie nasze wspólnie zakończyć.

Kurtyna znów opadła, by unieść się po niespełna minucie.

Tym razem Romeo i Julia mieli na sobie podobne czarne płaszcze.

– Zdobyłaś truciznę? – zapytał.

Dziewczyna wyciągnęła dwie fiolki zza płaszcza, po czym wręczyła jedną z nich swojemu narzeczonemu.

– Wiedz, droga Julio, że umrzeć z tobą, nawet nieprawdziwie, to moje największe przekleństwo.

– I mi dokonać żywota przy tobie, mój Romeo, nie jest miło. Ale nie mówmy tyle, czas nagli! Zaraz zacznie świtać, znaleźć nas muszą rankiem!

– Kiedy ze snu się zbudzimy? – zapytał pośpiesznie.

– W nocy. Wtedy uciekniemy.

Romeo skinął głową, po czym podobnie jak Julia wyjął korek z fiolki i opróżnił ją do dna. Po chwili oboje osunęli się na ziemię.

W sali zapadła cisza. Nikt nie odważył się jej przerwać przez długie sekundy. I gdy zdawało się, że przedstawienie dobiegło końca, Julia gwałtownie się poderwała. Wyglądała, jakby przebudziła się z drzemki. Potem wstała z uśmiechem i otrzepała sukienkę z kurzu.

Spojrzała na leżącego Romea i, kręcąc głową, wypowiedziała ostatnie zdania spektaklu:

– Idiota – prychnęła. – Czy naprawdę, mój Romeo, sądziłeś, że przez ciebie porzucę własną rodzinę? Przez rozum swój niewielki nie pojąłeś wnet, że prawdziwą truciznę w swej fiolce miałeś.

Rozległy się oklaski.

Dopiero wtedy Flora zorientowała się, że nawet na moment nie oderwała wzroku od sceny. Z uśmiechem rozbawienia spojrzała na Jocelyn.

– To było świetne.

– A nie mówiłam? Rok temu wystawili *Mistrza i Małgorzatę.* Żałuj, że tego nie widziałaś. – Chwyciła nadgarstek dziewczyny. – Chodźmy, teraz czas na najlepsze…

– To nie było najlepsze? – zapytała.

– Och, Sharman. To tylko przedsmak.

*

Hayden nie dostrzegł jej od razu. Stało się to dopiero krótko po tym, jak Julia zabiła Romea. Odwrócił wzrok od sceny, nie słuchając terkoczącej tuż obok jego ucha Bree, która jak zwykle nie miała niczego mądrego do powiedzenia.

Właśnie wtedy zobaczył Florę Sharman. Siedziała w jednym z pierwszych rzędów, więc blask ustawionych na krzesłach świec nieśmiało oświetlał jej twarz. Gdy przedstawienie dobiegło końca, przyozdobił ją uśmiech tak szczery i beztroski, że Sanclair mimowolnie się skrzywił.

Wiedział, że nie powinien zawracać sobie nią głowy, ale ilekroć tracił czujność, jego myśli powracały do słów wypowiedzianych przez nią tamtego dnia, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Wspominał uśmiech, który dostrzegł na jej twarzy, kiedy się odwrócił. Powracał pamięcią do pięknych rzeczy, jakie mówiła o jego grze. Mimo że nie miały one większego znaczenia, nie potrafił pozbyć się ich z pamięci.

Choć były to tylko słowa, Hayden nigdy nie usłyszał niczego podobnego. Nikt nigdy nie skomentował jego gry. Nikt nigdy nie chciał jej słuchać. Nawet w smętne wieczory w *Sleepy Hollow*, gdy stoliki były zapełnione, wśród gości nie znalazła się przynajmniej jedna osoba, która przystanęłaby na moment, by posłuchać granej przez niego melodii.

Aż do dnia, w którym Flora Sharman pojawiła się w Nowym Jorku.

– Idziemy?

Głos Bree przedarł się przez plątaninę jego myśli. Hayden zmarszczył brwi. Flora zniknęła, podobnie jak towarzyszące jej trzy dziewczyny, których imion nie znał.

Kiedy odwrócił głowę, blondynka stała tuż nad nim, poprawiając materiał obcisłej sukienki.

– Pytałam, czy idziemy. Zaraz zaczyna się impreza. Nie słuchałeś mnie?

Hayden nigdy jej nie słuchał.

Wstał bez słowa i ruszył za Bree w kierunku podscenia[9]. Imprezy organizowane na początku każdego roku akademickiego zawsze wyglądały tak samo – zaczynały się przedstawieniem, a kończyły przyjazdem policji albo bójką. Sanclair nie lubił brać w nich udziału i uważał je za niepotrzebną stratę czasu, lecz Bree za każdym razem jakimś cudem zdołała go namówić.

Mimo wszystko lubił to miejsce. W czasach swojej świetności musiało być świadkiem nieprawdopodobnie pięknych scen i widowisk. Nawet teraz, martwe i zapomniane, wciąż skrywało w sobie odrobinę magii.

Ktoś wcisnął w rękę Haydena butelkę piwa, poklepał go po plecach i życzył mu dobrej zabawy. Chłopak nie znał większości z tych, którzy posyłali mu uśmiechy, gdy przedzierał się przez tłum. Ale wszyscy znali jego.

Noszenie nazwiska Sanclair wiązało się z masą przywilejów. Nigdy nie musiał o nic prosić, by to dostać. Profesorowie na uczelni traktowali go łagodniej niż innych studentów. Nie musiał martwić się o przyszłość. Nie musiał szukać przyjaciół ani znajomych. Gdziekolwiek by się nie obejrzał, zawsze znalazł się ktoś, kto rozmawiał z nim tak, jakby znali się od lat, mimo że on nie potrafił przypomnieć sobie imienia osoby, którą miał przed sobą.

Wszyscy go znali, a jednocześnie nikt nie miał pojęcia, kim był Hayden Sanclair.

– Och, czy to nie nasza mała Sharman?

Na dźwięk słów, które opuściły usta Bree, Hayden odwrócił wzrok. Minęła chwila, zanim odnalazł Florę w tłumie. Stała kilka metrów dalej i dla zachowania pozorów trzymała w dłoni butelkę piwa.

– Od kiedy pierwszaki mają tutaj wstęp? – prychnęła, marszcząc brwi w typowy dla siebie sposób, co nigdy nie zwiastowało niczego dobrego. – Może przekonajmy się, jak mocną ma główkę?

– Odpuść, Bree.

– Nie bądź taki sztywny, Sanclair – rzuciła i jakimś cudem w mgnieniu oka udało jej się zdobyć nową butelkę.

Wolną dłonią wyjęła z kieszeni nieopisaną buteleczkę. Hayden wiedział, że wypełniający ją przezroczysty płyn był w istocie wódką. Bree praktycznie zawsze miała ją przy sobie. Czasami sięgała po nią nawet podczas zajęć, nie przejmując się tym, że ktoś mógłby ją przyłapać.

Nazwisko Bundy, które dziewczyna odziedziczyła po dziadku, jednym z najbardziej cenionych prawników w Nowym Jorku, niosło wiele przywilejów.

W przeciwieństwie do Haydena, Bree nie krępowała się, by korzystać z nich do woli. Była niezwykle bystra i gdyby odrobinę się wysiliła, aby tę bystrość wykorzystać, z pewnością w przyszłości stałaby się niesamowitym prawnikiem. Jednak Hayden nie wróżył jej świetlanej kariery. Znane nazwisko było w stanie wiele ułatwić, ale w sądzie nie miało większego znaczenia.

– Nie patrz tak na mnie – fuknęła pod nosem.

– Po prostu dziwię się, że marnujesz czas na nic nieznaczących pierwszoroczniaków – rzucił bez cienia emocji w aksamitnym głosie.

– A ja dziwię się, że tak łatwo jej odpuściłeś…

– Nie odpuściłem – wtrącił. – Nie lubię zaprzątać sobie głowy ludźmi, którzy nie mają znaczenia. I tobie radzę zrobić to samo.

Bree przewróciła oczami.

– Nie martw się, nasza mała Sharman skończy z kacem, być może nawet moralnym. – Wlała wódkę do butelki, po czym spojrzała na Haydena z uroczym uśmiechem. – Nic jej się nie stanie.

Sanclair zerknął na Florę w tej samej chwili, w której dziewczyna głośno się zaśmiała. Jak przez mgłę dostrzegł, że Bree gestem ręki przywołała jednego z chłopaków z drugiego roku i, wykorzystując swój urok osobisty, poleciła:

– Dopilnuj, żeby tamta dziewczyna to wypiła, jasne?

*

Jocelyn miała rację – to miejsce skradło serce Flory. Odkąd przeszła przez dziurę w płocie, ani razu nie pomyślała o tragicznym tygodniu, jaki miała za sobą. O tęsknocie za rodziną. O tym, jak daleko od domu się znajdowała. O samotności i marzeniach, które skonfrontowane z rzeczywistością nie wydawały się już tak samo piękne.

Jocelyn wcisnęła w jej dłoń butelkę piwa, wyjaśniając:

– Najtańsze, jakie można gdziekolwiek kupić, ale ujdzie.

– Nie piję – odpowiedziała Flora.

– Większość z nas nie piła, gdy zaczynała studia. – Rozłożyła ręce. – Rozejrzyj się.

Sharman przesunęła wzrokiem po stojących w pobliżu osobach. Nie dostrzegła nikogo bez butelki z piwem. Nie natrafiła też na żadną znajomą twarz. W ciągu ostatnich dni nie miała okazji poznać nikogo prócz Jocelyn i bliźniaczek, które teraz gdzieś przepadły.

– Widzisz tamtego chłopaka w niebiesko-białej bejsbolówce? – Jocelyn przystanęła tuż obok starych, drewnianych schodów, które chyba prowadziły na scenę. – To Dan.

Flora dopiero po kilku sekundach odnalazła chłopaka. Stał kilka metrów dalej, swobodnie opierając ramię o ścianę. Przez szerokie barki, jasne włosy i hollywoodzki uśmiech wyglądał jak większość stereotypowych dzieciaków, które w szkole średniej są kapitanami drużyny bejsbolowej, na studiach poznają przyszłą żonę, a potem otwierają firmę i kupują duży dom na przedmieściach.

– Dan Simmons. Siedzę za nim na angielskim. Od jakiegoś czasu próbuję do niego zagadać.

– Od jak dawna?

– Od… – Jocelyn zmarszczyła brwi. – Od roku.

Flora otworzyła nieco szerzej oczy, nie próbując ukryć zdziwienia. Jocelyn nie wyglądała na kogoś, kto miałby problem, by rozpocząć rozmowę. Zawsze sprawiała wrażenie, jakby doskonale wiedziała, co powinna powiedzieć lub jak się zachować.

– Powinnaś do niego podejść.

– Teraz?

Sharman skinęła głową.

– Mój dziadek powtarza, że jeżeli zbyt długo czeka się na odpowiedni moment, nawet nie zorientujemy się, gdy on przemknie nam tuż przed nosem.

Jocelyn się uśmiechnęła.

– Twój dziadek wydaje się super gościem. Koniecznie muszę go poznać.

– Tak. Jest świetny. – Ruchem głowy wskazała miejsce, w którym stał Dan Simmons. – Śmiało. Być może to twój odpowiedni moment.

Dziewczyna nabrała w płuca powietrza i uniosła podbródek, jakby przygotowywała się do bitwy. Następnie podała Florze swoje piwo.

– Potrzymaj. – I ruszyła pewnym krokiem przed siebie.

Nagle stało się to, przez co Flora nie chodziła na imprezy – została zupełnie sama, na dodatek z dwoma butelkami piwa, i kompletnie nie wiedziała, co powinna zrobić. Stanie w miejscu wydawało jej się dziwaczne, a podejście do kogoś i zaczęcie rozmowy – cholernie trudne i krępujące.

Najpierw postanowiła pozbyć się alkoholu – odstawiła butelki na stopień starych schodów i niemal natychmiast poczuła się odrobinę lepiej. Potem zerknęła w kierunku Jocelyn i uśmiechnęła się, widząc, że koleżanka rozmawia z Danem Simmonsem.

Tak, to zdecydowanie był jej odpowiedni moment.

– Hej, piękna.

Istniał taki rodzaj duszącego uczucia, dla którego określenie „zażenowanie” zdawało się niewypowiedzianie śmieszne i marne. Stanowiło mieszankę skrępowania, obrzydzenia i rozbawienia jednocześnie. Właśnie tak poczuła się Flora, gdy zorientowała się, że te słowa były skierowane do niej.

Odwróciła głowę i napotkała spojrzenie chłopaka, który stał tuż obok. Był niewiele wyższy od niej i miał na sobie skórzaną kurtkę oraz jasne dżinsy. Brązowe, długie mniej więcej do linii szczęki włosy założył niedbale za prawe ucho. Żuł gumę w nonszalancki, bardzo głośny sposób.

Flora z trudem powstrzymała chęć skrzywienia się.

– Stoisz tutaj sama? – zapytał.

– Nie – odparła. – Z przyjaciółką, ale ona stoi teraz na drugim końcu pomieszczenia, bo lubimy do siebie krzyczeć, kiedy rozmawiamy.

Chłopak parsknął udawanym śmiechem.

– To żart, co nie? – Pociągnął nosem. – Jestem Jared, a ty jesteś…

– Niezainteresowana – wtrąciła.

Chłopak zmierzył ją oceniającym wzrokiem. Wydawało się, że nie zrozumiał zawartej w jej słowach aluzji. Był idiotą albo pewność siebie zaćmiła mu mózg.

– Posłuchaj, Niezainteresowana. Zobaczyłem, że stoisz tu zupełnie sama, a ja nie jestem typem gościa, który zostawia damy w opałach.

– Nie wyglądasz na księcia z bajki – mruknęła, podobnie jak on chwilę wcześniej mierząc go wzrokiem od góry do dołu.

Chłopak zmarszczył brwi. Nagle nie był już tak pewny siebie jak chwilę wcześniej.

– Dla ciebie mogę zostać, kimkolwiek chcesz.

Flora nie zdołała powstrzymać grymasu, który cieniem rzucił się na jej twarz. Nic nie obrzydzało jej bardziej niż sok jabłkowy, gorące letnie poranki i mężczyźni, których ktoś wychował w przekonaniu, że na każdą kobietę działały podobne tanie sztuczki.

– Przyniosłem dla ciebie piwo – rzucił, zanim zdołała po raz kolejny dać mu do zrozumienia, że nie była jedną z dziewczyn, które uda mu się oczarować prostackim humorem.

– Dzięki, ale nie piję alkoholu.

– Daj spokój. – Wzruszył ramionami. – Każdy tutaj pije.

– Ale ja nie…

Jared podsunął jej butelkę niemal pod nos.

– To pomoże ci się rozluźnić. Jesteś strasznie spięta.

Flora cofnęła się o krok, gdy chłopak się do niej przybliżył, coraz nachalniej podsuwając jej butelkę. Nieprzyjemnie mocny zapach chmielu przyprawił ją o mdłości.

– Ja naprawdę…

– To tylko piwo, mała…

– Powiedziała: „nie”. – Głos, który wdarł się pomiędzy nich, przypominał powiew chłodnego wiatru. W jednej chwili ostudził atmosferę i sprowadził wszystkich na ziemię.

Flora dostrzegła, że stojący przed nią chłopak zmarszczył brwi i zerknął przez ramię na człowieka, z którego ust padły te słowa. Od góry do dołu ubrany w czerń, niczym upiór czyhający w ciemnościach, wydawał się nienaturalnie wysoki i szczupły. W pierwszej chwili go nie rozpoznała. Być może przez otaczający ich mrok, a może przez fakt, że w najgorszym koszmarze nie ośmieliłaby się sądzić, że Hayden Sanclair przyjdzie jej z pomocą.

Jared za to rozpoznał go niemal od razu. Cofnął się o krok, a ręka, w której trzymał butelkę piwa, swobodnie opadła.

– Zluzuj, Sanclair. – Podniósł obie dłonie w obronnym geście. – Tylko rozmawiamy.

Hayden powoli uniósł wzrok.

Serce Flory zabiło mocniej, gdy spojrzał na nią pociemniałymi ze złości oczami. Jego twarz wciąż pozostawała bez wyrazu, choć w półmroku sprawiała wrażenie surowszej niż za dnia.

– To prawda, Sharman? – zapytał.

Flora powoli pokręciła głową, przełykając suchość w gardle.

– Nawet go nie znam.

Tych kilka słów wystarczyło, by Sanclair przeniósł wzrok na Jareda. Ten wydawał się jeszcze mniejszy, niż był w rzeczywistości. Cała pewność siebie, jaka tak niedawno od niego biła, teraz gdzieś uciekła.

Tymczasem Hayden postawił krok w przód, skrzyżował dłonie za plecami i się pochylił.

– Zastanawiam się, w jaki sposób powinienem wytłumaczyć ci, co oznacza słowo: „nie". – Omiótł wzrokiem bladą twarz Jareda. – Mam kilka pomysłów i zapewniam, że żaden z nich ci się nie spodoba.

Flora przyglądała się tej scenie, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że gdzieś już ją widziała. Być może w przerażającym horrorze Stephena Kinga albo w jednej z powieści Brama Stokera. Jednak ten obraz nie był fikcją literacką. Był prawdziwy i tak dziwnie nierzeczywisty zarazem.

Hayden Sanclair, od góry do dołu ubrany w czerń, niczym postać żywcem wyjęta z literatury grozy, z obojętną miną, spokojem w niewzruszonym głosie i z groteską kryjącą się w czarnych oczach i Jared, przestraszony niczym bezbronne stworzenie zapędzone w róg klatki.

Flora nie potrafiła zdecydować, czy ten widok bardziej ją przerażał, czy fascynował.

Jared zaśmiał się nerwowo.

– Spokojnie, Sanclair. Chciałem tylko przywitać się z nową koleżanką…

– Sam odejdziesz, czy w tym też mam ci pomóc? – przerwał mu.

– Nie. Właściwie i tak miałem już spadać. – Zerknął przez ramię na Florę. – Sorry.

Dziewczyna zdobyła się na blady uśmiech.

Jared jeszcze raz spojrzał na Haydena, zanim nieporadnie wyswobodził się spod ciężaru jego bliskości. Zaledwie sekundę później rozpłynął się wśród tłumu studentów.

Sanclair powiódł za nim wzrokiem.

– Nie potrzebuję księcia na białym koniu…

– Tak – wtrącił i odwrócił ku Florze twarz. – Widziałem, jak świetnie sobie radziłaś, Sharman.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, wyczuwając w jego głosie kpinę.

– Nie musiałeś mnie ratować.

– Nie jestem twoim księciem na białym koniu – odpowiedział.

– Wiem. Przypominasz raczej… – Zmierzyła go spojrzeniem. Dopiero wtedy dostrzegła, że miał na sobie czarny golf, czarne spodnie i czarny płaszcz. Wyglądał jak reklama zakładu pogrzebowego. – …Chodzący koszmar pięciolatków straszonych przez rodziców panem, który ich porwie, gdy będą niegrzeczni.

Sanclair prychnął, a kącik jego ust nieznacznie drgnął ku górze.

– Czy to… – Flora postawiła ku niemu spory krok. Zrobiła to tak gwałtownie i niespodziewanie, że Hayden zdążył tylko się lekko odchylić, gdy dziewczyna stanęła na palcach i uważnie przyjrzała się jego twarzy, przekrzywiając głowę. – Nie. – W jej głosie rozbrzmiało rozczarowanie. – Już myślałam, że się uśmiechnąłeś, ale to tylko grymas. Czasami zapominam, że ludzie twojego pokroju nie potrafią się uśmiechać.

– Masz doprawdy dziwny sposób okazywania wdzięczności – zauważył.

Flora, wciąż się nie odsuwając, spojrzała mu prosto w oczy.

Czarne jezioro pozbawione dna. Bezgwiezdna, ponura noc. Atrament, który wydostał się z pióra. Nie była pewna, czym właściwie były.

Jej pełne wargi rozchyliły się, jakby zamierzała coś powiedzieć, lecz zamarły, zanim zdołało się przez nie wydostać jakiekolwiek słowo.

– Czyżby zabrakło ci…

– Jaki miał tytuł? – zapytała.

Hayden zmarszczył brwi.

– Co?

– Utwór, który grałeś tamtego wieczoru w *Sleepy Hollow*. Jaki ma tytuł?

Choć jej głos był niewiele głośniejszy od ciszy, Sanclair usłyszał każde z wypowiedzianych przez nią słów.

Nikt nigdy wcześniej nie zapytał go o nic podobnego. Goście *Sleepy Hollow* mieli gdzieś to, jakie piękne utwory danego wieczoru zdecydowały się zagrać jego dłonie. Większość z nich zapewne nawet nie wiedziała, kim byli Chopin, Mozart czy Liszt.

Hayden przełknął z trudem, a potem rozchylił usta, aby odpowiedzieć na zadane pytanie. Zanim jednak wymówił te dwa słowa, ktoś z oddali krzyknął:

– Gliny!

Ostatnim, co zdołał zobaczyć, zanim porwał go rozszalały tłum uciekających studentów, było przerażenie w oczach Flory Sharman.

*

Wszystko zadziało się zbyt szybko, aby Flora zdążyła w porę zareagować. Ktoś ją popchnął, sprawiając, że wpadła na stojącą obok dziewczynę. Ta krzyknęła coś, chwyciła jej ramię i szarpnięciem wepchnęła za siebie. Ci sami ludzie, którzy kilka minut wcześniej bawili się i śmiali, teraz przypominali rozszalałe zwierzęta za wszelką cenę szukające ucieczki.

A ona nawet nie pamiętała, z której strony znajdowało się wyjście. Rozglądając się, próbowała odszukać Jocelyn albo którąś z bliźniaczek. Nie powinny były się rozdzielać. Flora miała teraz pewność, że nie powinna znajdować się w tym miejscu.

Ktoś krzyknął tuż obok jej ucha:

– Z drogi!

Odwróciła się, chcąc zejść na bok, jednak ktoś znowu ją popchnął. Runęła na brudną podłogę, wydając zduszony strachem krzyk. W plątaninie mijających ją ludzi, pośród echa wrzasków, zdołała usłyszeć skierowane do niej słowo:

– Sharman.

Odwróciła głowę i zauważyła wyciągniętą ku niej męską dłoń o długich, smukłych palcach. Chwyciła ją bez namysłu i już sekundę później stała na własnych nogach. Hayden Sanclair znajdował się tak blisko, że niemal czuła, jak szybko biło jego serce.

– Jesteś cała? – zapytał.

Skinęła głową. Ściśnięte przerażeniem gardło nie pozwoliło jej wydobyć z siebie słowa.

Hayden pociągnął dziewczynę za sobą.

– Jocelyn – zdołała wydukać, zerkając przez ramię. – Nie mogę jej zostawić…

– Nic jej nie będzie – zapewnił. – Tobie też, jeżeli się ruszysz.

Flora odwzajemniła spojrzenie, którym ją obdarzył, a potem znów przytaknęła.

– Nieważne, co by się stało, nie możesz mnie puścić. Jasne, Sharman?

– Tak.

– Świetnie.

Nie protestowała, gdy zaczął prowadzić ją w kierunku przeciwnym do tego, w którym biegła większość studentów. Nie wydusiła z siebie nawet słowa. Tylko raz zerknęła przez ramię. Dostrzegła światła policyjnych latarek przecinające mrok.

Wraz z Haydenem przecisnęła się przez niewielką przestrzeń pomiędzy schodami. Tuż za nią kryło się coś, co dawniej musiało być garderobą. W rogu niewielkiego pomieszczenia stała toaletka z ozdobnym lustrem oraz wyblakły parawan. Deski podłogi skrzypiały złowieszczo, gdy biegli wąskim korytarzem. Na jego końcu znajdowało się wybite okno, którym wydostali się na zewnątrz.

– Tędy. – Hayden odrobinę mocniej ścisnął drobną dłoń Flory.

Gdzieś w oddali rozbrzmiały krzyki policjantów. Światła latarek omiatały drzewa w parku, czyniąc go jeszcze bardziej przerażającym niż wtedy, gdy Flora przemierzała go w całkowitych ciemnościach.

Co jakiś czas zerkała za siebie, mając nadzieję, że wśród rozbiegających się studentów zdoła dostrzec jasne włosy Jocelyn. Ale z każdym kolejnym krokiem widziała coraz mniej. W końcu nie potrafiła doszukać się już nawet policyjnych latarek ani niewyraźnych zarysów wysokich drzew.

Hayden wyprowadził ją na ulicę. Nie było to jednak to samo miejsce, w którym Jocelyn zostawiła samochód. Znajdowali się po przeciwległej stronie. Wysokie kamienice zastąpiło kilka wciąż czynnych restauracji oraz bar, z którego wnętrza wypływał jazz.

– Wsiadaj, Sharman – polecił chłopak, gdy zatrzymali się przy czarnym chevrolecie.

– Ale… – wydyszała z trudem. Hayden posłał jej twarde spojrzenie, przez co nagle uświadomiła sobie, że nie powinna się spierać. – Okej. – Zajęła miejsce w obitym skórą fotelu i drżącymi dłońmi sięgnęła po pas. Natrafiła jednak tylko na fragment urwanego materiału.

– To stary samochód – wyjaśnił Hayden.

Silnik wydał z siebie zduszone warknięcie, kiedy Sanclair przekręcił kluczyk w stacyjce. Samochód zjechał z krawężnika i ruszył kamienną ulicą.

Flora oddychała tak głośno, że zagłuszała nawet płynące z radia dźwięki.

– Cholera, Sharman. Uspokój się.

– Jak… – Zerknęła na niego, poruszając bezgłośnie ustami. – Najpierw włamałam się do zabytkowej posiadłości, potem uciekałam przed policją, a teraz wsiadłam do samochodu z zupełnie obcym człowiekiem.

– Brzmi jak całkiem udany wieczór – skomentował.

– Jak możesz być taki spokojny? – Zmarszczyła brwi. – To nie pierwszy raz, prawda?

– To zdarza się co roku. – Wzruszył ramionami. – Większość studentów uważa, że uciekanie przed policją to najlepsza część. Jeżeli uda im się kogoś złapać, zwykle wypuszczają go po godzinie.

Flora osunęła się w fotelu.

Dlaczego Jocelyn o niczym jej nie powiedziała?

– Gdzie mieszkasz?

– Co? – Odwróciła ku niemu wzrok.

– Gdzie mieszkasz, Sharman? – powtórzył. – Może nie jestem księciem na białym koniu, ale nie każę ci wracać do domu zupełnie samej.

Och.

– Na Greenwich Street.

W kieszeni jej płaszcza zawibrował telefon, a na jego ekranie pojawiła się wiadomość.

Jocelyn: *Błagam, Sharman, powiedz mi, że cię nie zgarnęli.*

Flora: *Nic mi nie jest. Uciekłam. A co z tobą i bliźniaczkami?*

Odpowiedź nadeszła niespełna minutę później.

Jocelyn: *Zgarnęłam je po drodze. Gdzie jesteś? Podjedziemy po ciebie.*

Opuszki palców Flory zatrzymały się tuż nad ekranem. Przygryzła wnętrze policzka, po czym zdecydowała się odpisać:

Flora: *Znajomy podrzuci mnie do domu.*

Następnie wsunęła telefon do kieszeni, wzięła głęboki wdech i zamknęła oczy. Czuła, jak rytm jej serca zaczyna wracać do normalności. Oddech także powoli się uspokajał.

Gdy po chwili uniosła powieki, pierwszym, co ujrzała, był Hayden Sanclair. Kosmyki jego czarnych włosów pod wpływem deszczu, na jaki natrafili po wyjściu z posiadłości, zakręciły się na końcach i opadły mu na czoło oraz skronie.

– Schlebiasz mi, Sharman – przerwał ciszę.

Flora drgnęła.

– Co?

– Przyglądałaś mi się.

– Nie.

Dziewczyna utkwiła wzrok w przedniej szybie. Nie mogła więc dostrzec, że wbrew temu, co sądziła, Hayden Sanclair potrafił się uśmiechać. Patrzyła na rozświetlony w oddali Manhattan Bridge, na samochody, które mijali, na światła w mieszkaniach. Na ludzi pod parasolami na ulicach. I zrozumiała, że jej mama miała rację – Nowy Jork zaczynał żyć dopiero po zmroku.

– *Valse Sentimentale No. 2.*

Flora oderwała spojrzenie od obrazu rozciągającego się za pokrytą kroplami deszczu szybą.

– Utwór, który grałem w tamten wieczór, to *Valse Sentimentale No. 2* – powiedział i popatrzył prosto w jej oczy. – Podobał ci się?

– Tak – odparła. – Chyba nigdy nie słyszałam czegoś równie – zamilkła, szukając odpowiedniego słowa – chłodnego, poruszającego i smutnego.

Kącik ust Haydena drgnął. Spodobał mu się sposób, w jaki to opisała.

– To ten budynek po prawej – wskazała.

Sanclair zaparkował tuż przy chodniku. Przekręcił kluczyk w stacyjce, gasząc silnik. Gdy odwrócił wzrok, Flora obdarzyła go uśmiechem. Boleśnie szczerym i łagodnym.

– Dziękuję za… za wszystko.

– Sharman – zatrzymał ją, kiedy sięgnęła do klamki.

Dziewczyna spojrzała na niego przez ramię.

– Tak?

Hayden wiedział, że słowa, które zamierzał wypowiedzieć, nie były zbytnio przemyślane ani tym bardziej nie mogły przynieść niczego dobrego. Jednak i tak zdecydował się je wypowiedzieć. Być może był po prostu egoistą.

– Pomogę ci. – Zmarszczył brwi.

Ramiona Flory opadły.

– Porozmawiasz ze swoim ojcem? – zapytała.

– Nie, Sharman. Ma zasady, którymi się kieruje. Musisz udowodnić mu, że nie znalazłaś się tam przez przypadek, że zasługujesz, by być w gronie studentów. Pomogę ci w tym.

– Nie zamierzałam cię szantażować – wyznała. – Nigdy bym tego nie zrobiła…

– Wiem.

– Więc dlaczego?

Hayden wzruszył ramionami.

– Być może nie jestem aż tak zepsuty, jak sądzisz.

Flora znów się do niego uśmiechnęła.

– Nie. Nie jesteś. – Ponownie sięgnęła do klamki, a następnie otworzyła drzwi.

– Jutro. O szóstej wieczorem. W bibliotece. Nie spóźnij się, Sharman.

– Mam na imię Flora – poprawiła go i wysiadła na chodnik.

– Wiem, Sharman.

Kąciki jej bladych ust ponownie zadrżały.

– Dobranoc, Haydenie. – Były to ostatnie słowa, jakie tamtego wieczoru do niego wypowiedziała. Potem zamknęła drzwi i ruszyła w stronę wejścia do budynku.

Hayden nie odjechał, dopóki nie zniknęła za szklanymi drzwiami.

W tamtej chwili żadne z nich nie myślało o tym, że każda przysługa miała odpowiednią cenę.

III

I have nothing to give but a melody.

– Eric Christian

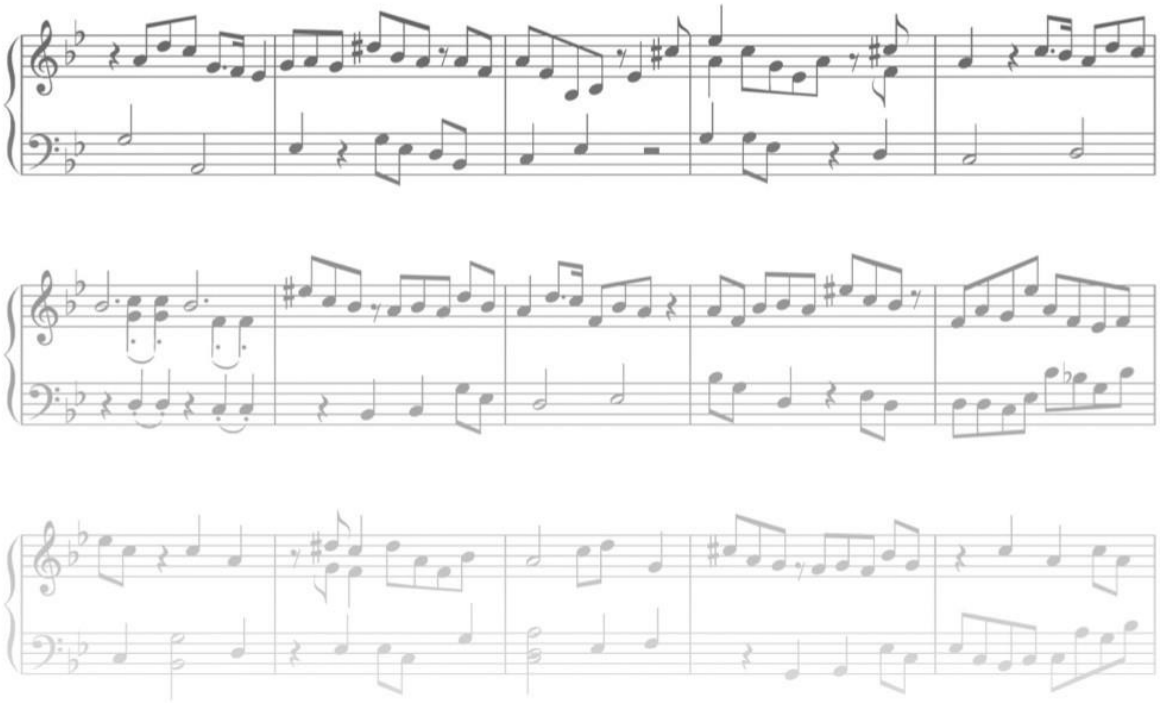

Rozdział 8

Ktoś znacznie gorszy

Sobota była pierwszym dniem, kiedy Flora obudziła się bez dręczącego przeczucia, że tuż za drzwiami czekało na nią nieszczęście. Ze zdziwieniem odkryła, że dopisywał jej dobry humor. Nawet kawa, którą wypiła do późnego śniadania, zdawała się smakować tego poranka o wiele lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

Powodem tego nagłego przypływu chęci do życia bez wątpliwości był Hayden Sanclair. Chłopak jakimś cudem zdołał rozbudzić w niej nadzieję, choć Flora poprzedniego dnia była pewna, iż ta już dawno umarła.

Obudziła się jednak z dziwnym przeczuciem, które podpowiadało jej, że odtąd wszystko miało potoczyć się tak, jak to sobie wyobrażała. Postanowiła pochwycić się tej myśli, uparcie wierząc, że trudne początki nie musiały oznaczać, że cała droga będzie ciężka.

Po tym, jak w spokoju zjadła śniadanie, rozkoszując się widokiem rozciągającym się z okien salonu, wzięła długą, ciepłą kąpiel i zmieniła piżamę na czarne dżinsy oraz luźny sweter. Przed wyjściem związała włosy w kok, narzuciła na ramiona płaszcz i wyjęła z jednego z kartonów kraciasty szal.

Na korytarzu natknęła się na Ralpha, który odbierał paczkę od ubranego w czarny uniform kuriera. Gestem ręki poprosił, aby zaczekała.

– Niezły jest, co? – zapytał z uśmiechem, wiodąc wzrokiem za ciemnowłosym kurierem, gdy ten ruszył w stronę windy. Następnie spojrzał na małą paczkę, którą trzymał w dłoniach. – Drugi raz w tym tygodniu zamówiłem coś z Amazona, żeby ten boski Adonis stanął w moich drzwiach.

Flora uśmiechnęła się z rozbawieniem.

– Jak ma się twój problem, moja droga? – Spojrzał na nią.

– Wygląda na to, że wszystko idzie chyba w dobrym kierunku – odparła.

– Och. Pomysł z szantażem zadziałał?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie posłuchałam twojej rady. To chyba nie w moim stylu.

Ralph wzruszył ramionami. Nie wyglądał jednak na rozczarowanego.

– Czasami zapominam, że nie wszyscy są aż tak zepsuci i niemoralni jak ja. – Uniósł paczkę. – Idę rozpakować kolejny toster.

– Ralph?

Mężczyzna przystanął w drzwiach mieszkania, odwrócił głowę, po czym obdarzył Florę spojrzeniem.

– Dać ci dobrą radę? – zapytała. – Kiedy następnym razem kurier przyniesie ci paczkę, po prostu zaproś go na kawę. Dzięki temu uda ci się zaoszczędzić kilka dolarów i… sporo miejsca w kuchni.

Ralph zareagował na jej słowa lekkim uśmiechem.

*

W sobotnie późne popołudnie, szczególnie gdy na zewnątrz padał deszcz i wiał nieprzyjemny wiatr, biblioteka uniwersytecka świeciła pustkami. Krocząc pomiędzy korytarzami oraz wysokimi, zapełnionymi książkami regałami, trudno było napotkać coś oprócz ciszy, zapachu drewna i subtelnego żółtego blasku rzucanego na marmurową posadzkę przez stojące na stołach stare lampy.

Flora odnalazła Haydena niemal od razu. Zajmował miejsce przy stole na końcu długiego pomieszczenia. On natomiast nie mógł jej dostrzec, ponieważ siedział tyłem do wejścia, pochylony nad książką, którą czytał. Ubrany w czarny golf i spodnie w tym samym odcieniu znów przypominał kogoś nikczemnego.

– Spóźniłaś się, Sharman – powiedział, nie podnosząc głowy ani nawet nie zerkając przez ramię.

Flora zmarszczyła brwi. Jakim cudem wiedział, że się zjawiła?

– Brzmisz zupełnie jak twój ojciec – odparła, przechodząc na drugą stronę długiego stołu. Pozbyła się płaszcza i odwiesiła go na oparcie drewnianego, obszytego czerwonym materiałem krzesła.

Hayden powoli podniósł głowę znad książki i obdarzył dziewczynę spojrzeniem – chłodnym, ciężkim i nieprzyjemnym.

– Wow, nawet zabijasz wzrokiem tak jak on – zażartowała, lecz sekundę później zrozumiała, że chłopak raczej nie był w odpowiednim nastroju. – Przepraszam, chyba wciąż nie przywykłam do nowojorskich korków. W Filadelfii nie ma ich aż tak…

– Zawsze tak dużo mówisz? – wtrącił, unosząc ciemną brew.

Flora znów nie mogła pozbyć się wrażenia, że Hayden był odzwierciedleniem ojca. Podobne pytanie usłyszała z ust profesora Sanclaira zaledwie kilka dni wcześniej. Tym razem postanowiła jednak zachować te przemyślenia dla siebie.

– Nie, zwykle nie. Tylko wtedy, gdy… – Zamilkła, dostrzegając wymowny wyraz jego twarzy. – Okej. – Opadła na krzesło. – Przepraszam.

– Przestań przepraszać.

– Przepraszam.

Hayden westchnął, a Flora się skrzywiła.

– Słyszałam, że w bufecie mają świetną korzenną herbatę – przerwała trwającą od chwili kłopotliwą ciszę. – Mogłabym…

– Nie pijam herbaty.

– No tak. Pewnie wolisz wypijać z ludzi szczęście i… – Urwała. – To był żart. Drugi. Przepraszam, już nie będę. Ani żartować, ani przepraszać.

– Przejdźmy do rzeczy, Sharman. – Sięgnął po leżący na sąsiednim krześle stos kartek, arkuszy oraz zeszytów i z impetem położył go na blacie tuż przed dziewczyną.

Trzask rozniósł się echem po ogromnym pomieszczeniu.

Oprócz Flory i Haydena w bibliotece znajdowały się jeszcze dwie osoby – jasnowłosa dziewczyna, ze słuchawkami na uszach i z grymasem zmęczenia na twarzy pochylająca się nad laptopem, oraz starszy mężczyzna z okrągłymi okularami na nosie i z kubkiem parującej kawy stojącym obok kilku starych ksiąg, w których treści się zagłębiał.

– To notatki – wyjaśnił Hayden.

– Z wszystkich trzech lat? – zapytała głosem pełnym nadziei, choć przeczuwała, że rzeczywistość okaże się dużo mniej optymistyczna.

– Z pierwszego semestru pierwszego roku – odpowiedział.

– Och. – Flora zmierzyła wzrokiem pokaźny stos. Gdyby ktoś zechciał zrobić z tego książkę, chyba uzbierałoby się stron na co najmniej dwie grube trylogie.

– Jeżeli mój ojciec się na ciebie uwziął, mógł zrobić to tylko z dwóch powodów – zaczął, sprawiając, że po raz pierwszy tego wieczoru spojrzała w jego ciemne oczy. Nawet teraz, w ciepłym blasku lamp, przypominały mroczne jezioro tak głębokie, że żadna istota nie odważyłaby się tam zapuścić. – Widzi, że kompletnie nie nadajesz się do tego, by zostać prawnikiem albo, co gorsza dla ciebie, Sharman, dostrzega w tobie coś, dzięki czemu masz szansę stać się świetnym prawnikiem.

– Biorąc pod uwagę zaistniałe wcześniej okoliczności, jestem prawie absolutnie pewna, że opcja numer dwa raczej nie wchodzi w grę. Twój ojciec mnie nienawidzi.

– Jak większości ludzi, których spotyka – mruknął pod nosem. – Nie czuj się wyjątkowa, Sharman.

– Czuję się raczej przeklęta, a nie wyjątkowa.

– Nieważne, co widzi w tobie mój ojciec, musisz pokazać mu, że nie ma to dla ciebie znaczenia.

Flora zmarszczyła brwi.

– Ale ma.

Nie chodziło tylko o fakt, że Oliver Sanclair dla niemal wszystkich młodych ludzi marzących o karierze prawniczej był wzorem do naśladowania. Chodziło przede wszystkim o to, że Flora nie była już pewna, czy nadaje się do tego świata. Bardzo chciała stać się jego częścią, lecz z drugiej strony tak mocno się tego obawiała. Skoro ledwie dawała radę teraz, jak miała poradzić sobie później?

– Więc udawaj, że jest inaczej – stwierdził, jakby było to najprostsze rozwiązanie na świecie. – Dobry prawnik musi być równie dobrym aktorem, Sharman. Sala sądowa jest jak teatr. Czasami wygrywa na niej właśnie ten, kto potrafi najmniej być sobą.

– To okrutne – przyznała ze smutkiem w cichym głosie. – Nie móc być dla świata tym, kim jest się dla własnego lustrzanego odbicia w pustym pokoju.

Hayden odwzajemnił jej spojrzenie. Czerń jego oczu zdawała się nienaturalnie złagodnieć, jakby nagle stała się mniej nieodgadniona. Bardziej ludzka. Nie trwało to jednak dłużej niż przez uderzenie serca, po którym jego twarz znów stała się pozbawiona wyrazu.

– Przywyknij do okrucieństwa. W tym świecie nie spotkasz niczego więcej.

Miała wrażenie, że za tymi słowami kryło się coś jeszcze. I tak bardzo pragnęła to zrozumieć.

– Wtedy w bibliotece naprawdę nie chciałam cię szantażować. – Głos wydobył się z jej gardła, zanim zdała sobie z tego sprawę. Choć był nieco pewniejszy od szeptu, wciąż wydawał się dziwnie cichy.

Prawda była taka, że Flora przez moment naprawdę zamierzała się do tego posunąć. Może był to wynik desperacji, może bezsilności lub głupiej naiwności. Ta myśl zniknęła jednak z jej głowy równie szybko, jak się w niej pojawiła.

Choć nie znała Haydena zbyt dobrze… nie znała go właściwie wcale… była bardziej niż pewna, że sekret, który skrywał przed niemal całym światem, miał dla niego ogromne znaczenie. Nawet jeżeli nie potrafiła zrozumieć, dlaczego człowiek o tak wielkim talencie nie chciał się do niego przyznać, ostatecznie nie miało to znaczenia.

Nie potrafiłaby powiedzieć nikomu prawdy, nawet jeśli popchnęłaby ją do tego desperacja, bezsilność, czy nienawiść.

– Nie powiem nikomu, że…

– Wiem – wtrącił, nie pozwalając jej wypowiedzieć tych słów na głos.

Choć znajdowali się niemal zupełnie sami w opustoszałej bibliotece i nie słuchał ich nikt prócz ciszy, starych książek i zalegającego na nich kurzu. Jakby tych kilka słów było czymś więcej niż połączonymi ze sobą literami.

Było tajemnicą. Piękną i skrywaną tak długo, że gdy tylko zbliżała się do powierzchni, jej właściciel za wszelką cenę próbował z powrotem zepchnąć ją w otchłań ciemności.

– Wiem, Sharman. – Omiótł wzrokiem jej twarz. Dotyk jego spojrzenia był zimny i szorstki. – Nie wyglądasz na kogoś, kto potrafi grać nieczysto. Być może właśnie dlatego mój ojciec uznał, że się nie nadajesz.

– Bo jestem…

– …zbyt dobra – dokończył. – Od początku wiedziałem, że nie mogłabyś użyć tego, co o mnie wiesz, by mi zaszkodzić. To nie w twoim stylu.

– Więc dlaczego? – zapytała. To jedno od poprzedniego wieczoru nie chciało dać jej spokoju. Przywarło do jej myśli, przypominając o sobie za każdym razem, kiedy na twarzy Flory pojawiał się uśmiech. – Dlaczego zgodziłeś się mi pomóc? Z dobroci serca?

– Daj spokój, Sharman. Chyba oboje wiemy, że to ostatnie, czym kieruję się w życiu, prawda?

– Więc dlaczego? – powtórzyła.

Hayden delikatnie się ku niej pochylił.

– Może po prostu lubię mieć świadomość, że ktoś jest moim dłużnikiem? Daję, żeby potem odebrać z nadwyżką to, co ofiarowałem.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie. To nie to. – Zmrużyła powieki, również się pochylając. – Wydaje mi się, że od dawna pragnąłeś mieć kogoś, kto będzie chciał cię słuchać. A może po prostu się we mnie zakochałeś?

Sanclair prychnął, a ten dźwięk był mieszanką śmiechu, suchego rozbawienia i kpiny.

Flora również się uśmiechnęła.

– Nie musisz odpowiadać. – Wzruszyła ramionami, wracając na miejsce. – Nieważne, czy kierują tobą dobre, czy złe intencje. Po prostu dziękuję.

Hayden przez chwilę się jej przyglądał. Wyraz jego twarzy nie zdradzał, o czym mógł myśleć.

– Notatki – przerwał ciszę. – Dasz radę przejrzeć je do poniedziałku?

– Jasne, jeżeli tylko będę spała dwie godziny na dobę, powinnam się wyrobić.

– Świetnie – rzucił, jakby nie doszukał się w jej głosie sarkazmu albo jakby postanowił go zignorować. Następnie wstał, chwycił czarny płaszcz i narzucił go na ramiona. – O której kończysz zajęcia?

– O piątej – odpowiedziała.

– W takim razie spotkamy się tu o szóstej. Nie spóźnij się. Nie lubię tracić czasu.

Pochylił się i chwycił leżącą na stole książkę. Tę samą, którą czytał, gdy Flora pojawiła się w bibliotece. Dziewczyna zdołała dostrzec widniejący na okładce tytuł. Był to stary egzemplarz *Opowieści o Dwóch Miastach*[10] z wyblakłym rysunkiem dwóch wież na okładce.

– „To, co czynię teraz, jest o tyle piękniejsze od tego, co czyniłem dotychczas. A tam, dokąd idę teraz, znajdę spokój o wiele większy, niż kiedykolwiek doznałem". – Wypowiedziała te zdania cicho, jednak na tyle głośno, że Hayden zdołał usłyszeć każde słowo. – Dickens. – Oderwała wzrok od trzymanej przez niego książki i natrafiła na spojrzenie ciemnych oczu.

– Nie wyglądasz na miłośniczkę literatury historycznej – skomentował.

– A ty nie wyglądasz na kogoś, kto potrafi z zamkniętymi oczami zagrać utwory Chopina – odparła. – Mogę wiedzieć, jak zamierzasz sprawić, że uda mi się udowodnić twojemu ojcu, że nie jestem aż tak beznadziejna, jak sądzi?

– To proste, Sharman. – Wzruszył ramionami. – Po prostu będę gorszy od niego. I z całą pewnością mnie za to znienawidzisz.

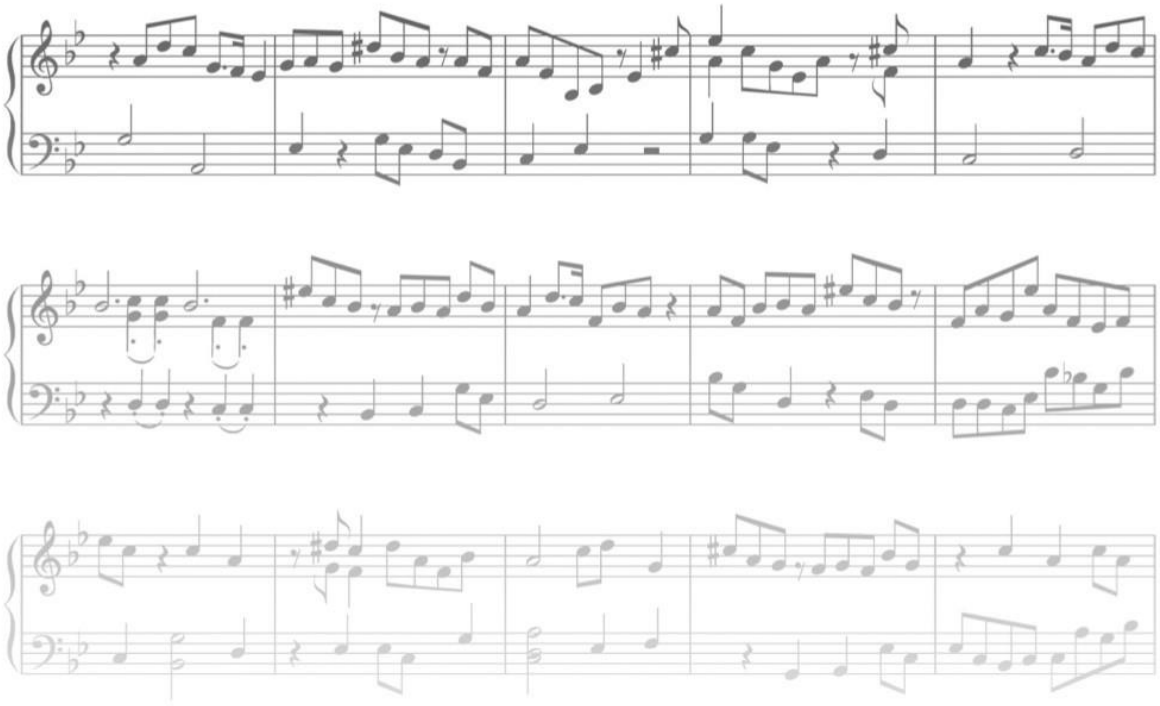

Rozdział 9

Słodki smak mrocznego koszmaru

Miejsce, w którym się znalazła, przypominało ciągnący się bez końca ciemny korytarz. Żadnych drzwi. Żadnych okien. Jedynie bezdenny mrok, zimna woda muskająca bose stopy i oblepiający zaróżowione policzki chłód.

Czuła na ustach smak własnego oddechu, który był jedynym dźwiękiem przerywającym zalegającą wokół ciszę. Zimny dreszcz przeszył jej ciało, przebiegł wzdłuż kręgosłupa i sprawił, że dziewczyna się wzdrygnęła. Następnie spojrzała w dół. Woda dotykała już nie tylko stóp, ale także kostek i w niebezpiecznie szybkim tempie wspinała się w kierunku łydek i kolan.

Flora zerwała się z miejsca. Być może pod wpływem impulsu, a może strachu lub pukającej do umysłu świadomości, że powinna uciekać, nawet jeżeli nie wiedziała, dokąd. Zaczęła biec przed siebie, uderzając stopami o taflę zimnej wody, która zalewała podłogę. Drżącymi dłońmi dotykała ściany, szukając drogi ucieczki. Nie natrafiła jednak na nic prócz zimnej, ciemnej powierzchni.

Pragnęła coś powiedzieć, krzyknąć lub zapłakać, lecz gdy otworzyła usta, pojęła, że nie była w stanie wydobyć z nich głosu ani żadnego innego dźwięku. Mogła jedynie brnąć przez wodę, kurczowo trzymając się ściany.

I kiedy była już niemal pewna, że utonie, pomiędzy nieprzerwaną ciszą niespodziewanie rozległ się dźwięk. Był niczym ledwo dostrzegalne światełko pośród otaczającego ją mroku. Kilka sekund później dłonie dziewczyny natrafiły na drzwi. Popchnęła je bez chwili zwłoki i wpadła do ciepłego, wypełnionego zapachem drewna pomieszczenia.

W słabym świetle wysokiej lampy stał stary fortepian, za którym siedział młody

mężczyzna od stóp do głów ubrany w nienaganną czerń. Jego smukłe palce sunęły po czarno-białych klawiszach, grając melodię tak piękną, że serce Flory ścisnęło się w rozpaczy, gdy pojęła, że być może nie zdąży na tyle dobrze jej zapamiętać, aby później móc odtworzyć ją w pamięci.

Choć nie widziała twarzy tego człowieka, wiedziała, kim był.

Postawiła krok w stronę fortepianu, puściła klamkę, której kurczowo się trzymała, i otworzyła usta, by wypowiedzieć jego imię. Zanim jednak zdołała to zrobić, inny dźwięk pochwycił ją w objęcia i wyrwał z bezpiecznego miejsca.

Poczuła pod policzkiem chłód poduszki, kiedy z cichym jękiem przewróciła się na drugi bok. Nie rozchylając powiek, odszukała telefon. Przycisnęła urządzenie do ucha, wciąż nie otwierając oczu.

– Pobudka, Sharman. – Męski głos wdarł się do jej umysłu, pieszcząc go przyjemnym brzmieniem.

– Czy musisz dręczyć mnie nawet we śnie? – mruknęła bełkotliwie.

– Czyżbyś nie potrafiła o mnie zapomnieć nawet wtedy, kiedy śpisz?

Flora uniosła powieki, zmarszczyła brwi, a następnie odsunęła od siebie telefon, by spojrzeć na ekran. Padający z niego blask zakłuł ją w oczy i otrzeźwił splątane myśli na tyle, by zdołała rozumieć, że już nie śniła.

– Jest czwarta rano – zaznaczyła. – I skąd właściwie masz mój numer?

– To słodka tajemnica, której nigdy nie poznasz. Wstawaj i załóż coś wygodnego. Czekam na ciebie przed budynkiem.

Dziewczyna poderwała się do pozycji siedzącej, zerkając w stronę okien. Tuż za nimi rozciągała się nocna ciemność.

– Co?

Tuż obok ucha usłyszała, jak Hayden Sanclair westchnął.

– Dres i buty do biegania. Masz pięć minut. – Rozłączył się, nie dając jej możliwości, by znów wspomniała, że była cholerna czwarta nad ranem.

Flora z kolejnym jękiem opadła na poduszki i utkwiła wzrok w suficie. Przez moment zastanawiała się, czy po prostu żartował, czy naprawdę stał przed budynkiem, w którym mieściło się jej mieszkanie.

Telefon, który trzymała w dłoni, zawibrował, a na ekranie pojawiła się wiadomość od nieznanego numeru:

Cztery minuty, Sharman.

Niechętnie wygramoliła się z ciepłego łóżka, w duchu przeklinając Haydena Sanclaira. Ze stojących na korytarzu kartonów wyjęła ciemnozielony dres i parę grubych skarpetek. Wciąż na wpół przytomna, zdjęła piżamę. W przedpokoju wsunęła na stopy sprane trampki z ledwie widocznym logo firmy Nike. Zawiązując włosy w wysoki kucyk, wyszła z mieszkania. Nawet gdy dotarła do windy, wciąż miała wrażenie, jakby nie była w stanie w pełni się rozbudzić.

Hayden nie żartował. Czekał na nią przed szklanymi drzwiami, w ciemnoszarym dresie, z kapturem narzuconym na głowę i z dłońmi schowanymi w kieszeni luźnej bluzy.

Edwin przywitał Florę tym samym uśmiechem, którym witał ją każdego ranka, choć o tak wczesnej porze nawet on wydawał się zaspany.

– Nie wiedziałem, że jest pani rannym ptaszkiem, panno Sharman.

– Uwierz mi, nie jestem – odparła, po czym popchnęła drzwi i wyszła na chodnik.

Chłód niemal od razu zapiekł dziewczynę w policzki. Podobnie jak delikatna mżawka – nie sposób było ją dostrzec, ale bez problemu można było wyczuć ją na skórze.

– Siedem minut. – Hayden rzucił zamiast powitania.

Flora posłała mu jedynie niewyraźny grymas. Marzyła tylko o tym, aby jak najszybciej wrócić do łóżka.

– Jest czwarta rano – zauważyła.

– Więc musisz przestać się ociągać, jeżeli mamy zdążyć przed zajęciami – odpowiedział.

– Zdążyć z czym… – Zamilkła, kiedy rozbudziła się na tyle, aby w końcu zrozumieć, co miał na myśli. – Będziemy… biegać?

Hayden posłał jej wymowne spojrzenie, po czym poprawił kaptur okrywający jego głowę i ruszył wzdłuż chodnika.

– Postaraj się nie zostawać w tyle, Sharman – rzucił przez ramię.

Flora zamrugała. Nie była pewna, czy zdołała wybudzić się z koszmaru, czy właśnie trafiła do kolejnego. W końcu jednak ruszyła z miejsca, bardziej z przymusu i przez fakt, że chciała, by przestało być jej tak nieznośnie zimno, niż z rzeczywistej chęci, aby spełnić polecenie chłopaka.

Od zawsze uważała osoby, które wstawały wcześniej, żeby przebiec kilka kilometrów, za skrajnych masochistów. Czy istniało coś piękniejszego niż choćby godzina więcej spędzona w ciepłym, miękkim łóżku? W tym momencie Flora była pewna, że nie.

Zdołała przebiec zaledwie kilometr, zanim straciła oddech, płuca zapiekły ją od bólu, a żołądek wywrócił się na drugą stronę.

– Potrzebuję przerwy – wydyszała, zatrzymując się we wschodniej bramie Central Parku.

Chodniki świeciły pustkami, choć zdawało się, że to miasto nigdy nie śpi. Wyglądało jednak na to, że nawet w Nowym Jorku nie istniało zbyt wielu szaleńców, którzy zechcieliby wyjść z domu w tak paskudną pogodę.

Hayden zwolnił, po czym zatrzymał się i zerknął na dziewczynę, unosząc ciemną brew. Nie wyglądał, jakby się zmęczył. Cholera, nie miał nawet zadyszki, podczas gdy Flora musiała oprzeć się o zimny mur i zgiąć wpół, aby zaczerpnąć tchu. Odniosła wrażenie, że zaraz zwymiotuje wczorajszą kolację.

– Nie wymiękaj. Zostało nam jeszcze dziesięć kilometrów do przebiegnięcia.

– Co? – wydyszała i posłała mu błagalne spojrzenie. Miała nadzieję, że tylko żartował.

– Poranne bieganie kształtuje charakter, Sharman. Zapewniam, że będzie ci on bardzo potrzebny.

Chryste, wyglądało na to, że naprawdę nie żartował, gdy mówił, że będzie gorszy od swojego ojca. Jeszcze kilka godzin wcześniej Flora nie sądziła, że to w ogóle było możliwe.

– Ranek zaczyna się dla mnie od siódmej, nie czwartej. – Wyprostowała się, wykrzywiając usta w grymasie bólu. – Zasnęłam dwie godziny temu. Cały wieczór spędziłam nad notatkami, które mi dałeś.

– Żadnych wymówek – uciął, sprawiając, że znów się skrzywiła. Widząc niechęć malującą się na twarzy dziewczyny, odetchnął głęboko, po czym bez słowa zaczął iść w jej kierunku.

Flora wyprostowała się tak bardzo, że jej plecy przylgnęły do zimnego, mokrego muru otaczającego Central Park. Gdy chłopak zatrzymał się kilka kroków przed nią, wypuściła z płuc drżący wydech. Gardło wciąż nieznośnie ją piekło.

– Może wyspałabyś się bardziej, gdybyś nie śniła o mnie nieprzyzwoitych snów, co, Sharman? – Uniósł brew, przez co jego twarz na moment stała się mniej chłodna.

Flora pochyliła się odrobinę, przybliżając twarz do twarzy chłopaka. Dzielące ich centymetry nagle stały się praktycznie niewyczuwalne.

– Każdy sen z twoim udziałem to najprawdziwszy koszmar – odpowiedziała,

odwzajemniając jego spojrzenie.

– Więc było ich więcej? – zapytał. – Powiedz mi, Sharman… – Omiótł wzrokiem jej twarz. – Jak często o mnie śnisz? – Ściszył głos niemal do szeptu.

Posłała mu kpiący uśmiech. Tak bardzo pragnęła stać się odrobinę wyższa. Fakt, że Sanclair patrzył na nią z góry, wprawiał dziewczynę w irytację. Już nawet to, że wciąż nie potrafiła w pełni zaczerpnąć tchu, nie wydawało się aż tak denerwujące. Zadarła podbródek tak wysoko, jak była w stanie, po czym pewnym głosem powiedziała:

– Jesteś naprawdę…

– Jaki, Sharman? – przerwał jej, przybliżając się tak bardzo, że poczuła na ustach ciepło jego oddechu.

Wiedziała, co robił – osaczał ją, mając nadzieję, że dzięki temu skuli się niczym wystraszone zwierzę i pokaże, że miał nad nią przewagę. Jednak Flora nie była malutkim, zagubionym zwierzakiem zapędzonym w róg klatki.

Była… Cóż, z pewnością o wiele twardsza, niż mogłaby podejrzewać. Cały poprzedni tydzień dobitnie jej to pokazał.

Zamiast się cofnąć, pomyślała o tym, że stojąc z nim twarzą w twarz, w półmroku rozświetlonym uliczną lampą, w towarzystwie deszczu, który natarczywymi kroplami spływał na ich policzki, po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach coś ludzkiego. Być może było to tylko przywidzeniem, może wyczerpanie podsunęło jej taki obraz, ale w tej chwili Hayden Sanclair wydawał się niczym otwarta księga – przejrzysty i tak prosty do zrozumienia.

I, co gorsza, on chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wiele odważył się jej pokazać.

– Wiem, dlaczego zgodziłeś się mi pomóc. – Słowa uciekły z jej ust tak niespodziewanie, że rozbrzmiały, zanim zdołała je dobrze przemyśleć.

Sanclair zmarszczył brwi.

– Możesz wmawiać sobie i mi, że kierowałeś się wyłącznie nieczystymi intencjami i pragnieniami, ale oboje doskonale wiemy, że chcesz tylko jednego, Haydenie. Chcesz, by ktoś cię słuchał. – Nie odrywała spojrzenia od jego oczu, które z każdym słowem opuszczającym jej usta sprawiały wrażenie coraz ciemniejszych. – Pragniesz ujrzeć uśmiech na twarzy choć jednego człowieka, gdy uniesiesz powieki i rozejrzysz się dookoła po skończonej grze. I bez względu na to, jak mocno się nie znosimy, ja potrzebuję ciebie, a ty w jakiś pokręcony sposób potrzebujesz mnie…

Zamilkła, gdy dłoń Haydena z impetem uderzyła o mur tuż obok jej głowy. Poczuła bijącą od niego wściekłość. Czuła chłód na rozpalonej skórze, co jedynie utwierdziło ją w przekonaniu, że ani trochę się nie pomyliła.

Ale nie odczuwała strachu. Choć właściwie był dla niej kimś zupełnie obcym, nawet nie brała pod uwagę tego, że mógłby zrobić jej krzywdę. Być może podobnie jak jej mama Flora posiadała tę szlachetną cechę, która jednocześnie stanowiła najgorszą z wad – nieustannie doszukiwała się w ludziach choć odrobiny dobra.

Nawet jeżeli miała być jedyną osobą, która chciała w to wierzyć, jakimś cudem odnalazła w ciemnych oczach Haydena coś więcej prócz złości i irytacji. Ujrzała w nich smutek. I zapragnęła zrobić wszystko, aby się go pozbyć.

Twarz Sanclaira zatrzymała się tuż przed jej twarzą. Przypominała obraz obojętności i chłodu. Przypominała maskę, za którą musiało skrywać się coś więcej.

– Śnij dalej, Sharman – powiedział głosem tak zimnym, że Flora mimowolnie zadrżała.

Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział. Potem odsunął się i wciąż nie odrywając od dziewczyny spojrzenia, cofnął się o kilka kroków, aż w końcu odwrócił się i ruszył biegiem

w kierunku jednej z głównych ścieżek Central Parku. Mrok pochłonął go zaledwie kilka sekund później.

Zniknął, podobnie jak zjawa, która nawiedziła ją we śnie.

*

– Jeżeli wypijesz jeszcze jedną kawę, wysiądzie ci serce. Masz tego świadomość, prawda? – zapytała Jocelyn.

Flora się skrzywiła, po czym z grymasem opadła na krzesło i postawiła na stoliku papierowy kubek z ciepłym napojem.

Była późna pora lunchu, więc uniwersytecki bufet nie był tak zapełniony jak pół godziny wcześniej.

– Miałam koszmar – wyjaśniła, mrużąc powieki. – A potem ten koszmar stał się rzeczywistością. Nie śpię od czwartej.

– Dam ci radę jako starsza koleżanka, okej? Śpij, kiedy tylko możesz. W przerwach pomiędzy zajęciami, w metrze, nawet wtedy, kiedy w nim stoisz. Na studiach każda minuta snu jest cenna.

– Nie masz pojęcia, jak świetnie zdaję sobie z tego sprawę – mruknęła sennie, po czym sięgnęła po kawę.

Jocelyn zabrała jej kubek sprzed nosa.

– Ani grama kofeiny więcej, jasne, Sharman? – Spojrzała na nią w sposób, w jaki nadopiekuńcza matka patrzy na dziecko, które zjadło zbyt dużo słodyczy.

Flora w tej chwili potrzebowała kawy bardziej niż powietrza. Wciąż nie była pewna, jakim cudem zdołała przetrwać prawie czterogodzinny wykład o historii prawa i demokracji, a potem przez trzy godziny nie usnąć, gdy profesor Dobrowsky opowiadał o podstawach psychologii, co jakiś czas wtrącając mniej lub bardziej zabawną opowiastkę ze swojego życia.

– Sanclair aż tak bardzo daje ci w kość? – zapytała Jocelyn.

Flora poderwała głowę. To nazwisko rozbudziło ją bardziej niż solidna dawka kofeiny.

– Co? – Pokręciła głową. – My nie… Właściwie tylko…

– O wilku mowa – wtrąciła cicho Jocelyn, zerkając ponad ramieniem młodszej koleżanki.

– Co…

– Panno Sharman. – Męski głos spadł na nią niczym chłodna ulewa. – Cóż za zaskoczenie.

Flora zrozumiała, że Jocelyn nie mówiła o Haydenie, a o jego ojcu, który był w tej chwili jej największym utrapieniem.

Co gorsza, stał tuż za nią, zbyt blisko, aby mogła uciec.

Dziewczyna zrobiła więc jedyne, co jej w tej sytuacji pozostało – przybrała na twarz uśmiech, odwróciła głowę i spojrzała na profesora. Był ubrany tak, jak zwykle – w czarny, elegancki garnitur dobrej firmy, idealnie wyprasowaną, białą koszulę i kamizelkę w odcieniu bardzo ciemnej szarości.

– Nie pojawiłaś się na dwóch ostatnich wykładach – odezwał się, krzyżując dłonie za plecami. – Muszę przyznać, że zaczynałem się o ciebie martwić. Jeszcze nikt nie zrezygnował tak szybko. Byłabyś… cóż, rekordzistką, o ile się nie mylę.

– Nie zrezygnowałam – odparła. – Po prostu… – Jej głos stał się odrobinę cichszy. Musiała odchrząknąć, by nadać mu więcej siły.

Jocelyn postanowiła przybyć jej na ratunek:

– Flora musiała załatwić kilka formalności związanych z przeprowadzką do Nowego Jorku.

Oliver Sanclair przechylił głowę, wciąż nie odrywając spojrzenia do Flory.

– Liczba dozwolonych opuszczonych zajęć, które prowadzę, to dwa, Sharman. Jeżeli nie zjawisz się jeszcze raz, będę zmuszony złożyć wniosek do władz uczelni o wykreślenie cię z listy studentów. Jesteś tego świadoma?

Flora skinęła głową. Do końca semestru zimowego nie mogła więc opuścić ani jednej godziny.

– Oczywiście, panie profesorze – odpowiedziała.

– W takim razie widzimy się w czwartek – przypomniał.

Dziewczyna znów zdobyła się na coś, co nie mogło przypominać uśmiechu, lecz w tej chwili nie potrafiła wykrzesać z siebie niczego więcej.

Oliver Sanclair odszedł, pozostawiając po sobie chłód wypowiedzianych słów i coś nieprzyjemnego, co zdawało się wisieć w powietrzu.

– Wow. – Jocelyn wsparła podbródek na dłoni i westchnęła rozmarzona. – Rzeczywiście jest przerażający i w tym wszystkim też nieco… pociągający.

Flora posłała jej grymas.

– Mógłby być twoim ojcem. Zresztą… myślałam, że wolisz młodszych, jasnowłosych i bardziej… wysportowanych.

– Wiem, co masz na myśli. – Jocelyn zmarszczyła brwi. – Dan był boski, gdy mogłam na niego ukradkiem zerkać podczas zajęć, ale gdy otworzył usta i zaczął mówić, czar prysł, pozostawiając po sobie tylko zawód i niesmak. – Zgarnęła pustą tacę po jedzeniu z blatu i wstała na równe nogi. – Pierwszy raz w życiu spotkałam człowieka, który w krótkim zdaniu potrafi zrobić trzy błędy i nie wie, jak poprawnie wymówić „Kazachstan", mimo że to kraj, w którym się urodził.

Flora pozbierała swoje rzeczy i ruszyła z Jocelyn w kierunku wyjścia.

– Poprawnej wymowy można się nauczyć, ale charakteru nie da się tak łatwo zmienić. – Wzruszyła ramionami. – Może powinnaś dać mu drugą szansę? Na piątkowej imprezie wyglądało, jakbyś dobrze się z nim bawiła.

Popychając dwuskrzydłowe drzwi, przeszły do głównego holu uczelni.

– Momentami bywa zabawny, no i całkiem ładnie się śmieje. Zaprosił mnie na kawę w ten wtorek. Może masz rację. Chyba nie powinnam tak łatwo go skreślać.

– Kto wie, może dzięki tobie nauczy się poprawnie wymawiać nazwę kraju, z którego pochodzi? – zażartowała Flora.

Zatrzymały się na schodach prowadzących do głównego budynku. Wiszące nad ich głowami niebo zaczęło powoli przybierać wieczorne kolory.

– To tylko kawa – dodała. – Jeżeli poczujesz, że to nie to, po prostu odpuścisz.

– Tak. Masz rację. – Uśmiechnęła się. – Jeżeli już mówimy o kawie… Jestem umówiona z bliźniaczkami w kawiarni nieopodal. Nie pozwolę ci wypić więcej kofeiny, ale mają tam całkiem niezłą herbatę zimową. Nie chcesz się przyłączyć?

– Nie dzisiaj. Mam randkę z prawem karnym.

– Brzmi… kusząco.

Flora cicho się zaśmiała.

– Bawcie się dobrze.

– Ty też – odpowiedziała Jocelyn. – Jeżeli poczujesz, że nadciąga kryzys, wyobraź sobie Sanclaira bez koszulki. Na mnie by to podziałało.

Flora z uśmiechem pokręciła głową, po czym pożegnała się z Jocelyn, wsunęła dłonie do kieszeni płaszcza i ruszyła w stronę biblioteki. W jej wysokich oknach paliło się żółte światło, a w środku było przyjemnie ciepło i cicho, nie licząc pracującej niemal bezgłośnie drukarki.

Ta sama starsza bibliotekarka, którą Flora poznała kilka dni wcześniej, obdarzyła ją zmęczonym i nieco rozdrażnionym spojrzeniem.

– Chciałabym odebrać kartę biblioteczną – wyjaśniła dziewczyna.

– Nazwisko?

– Sharman.

Kobieta z grymasem niezadowolenia poprawiła zsuwające się z nosa okulary i otworzyła pierwszą szufladę dębowego biurka. Pomarszczonymi palcami odnalazła kopertę, po czym wręczyła ją dziewczynie.

– Bardzo dziękuję. Miłego wieczoru.

– Będzie miły, gdy tylko stąd wyjdę – mruknęła pod nosem.

Flora zdobyła się na kolejny uśmiech, po czym ruszyła w kierunku wyjścia, po drodze rozrywając kopertę. Na małej plastikowej karcie oprócz jej niewyraźnego zdjęcia widniało nazwisko: **Sherman.**

Westchnęła, ale postanowiła odpuścić. Kiedy już miała popchnąć drzwi i wyjść na wieczorne powietrze, zerknęła w kierunku głównej sali biblioteki. Przez szklane drzwi ujrzała Haydena. Siedział przy stoliku na końcu pomieszczenia. Czytał książkę. Zapewne *Opowieść o Dwóch Miastach.*

Flora wiedziała, że po tym, co zaszło rano, najlepiej by było, gdyby zostawiła go w spokoju. Z drugiej strony był to jednak powód, dla którego nie mogła tak postąpić. Porzuciła chęć jak najszybszego powrotu do domu, schowała kartę do kieszeni płaszcza, a potem popchnęła szklane drzwi i ruszyła w stronę ostatniego stołu.

– Możemy porozmawiać? – zapytała, przystając naprzeciw chłopaka.

Hayden, nie odrywając wzroku od książki, którą była *Opowieść o Dwóch Miastach* Charlesa Dickensa, westchnął ciężko i bez słowa przerzucił kolejną stronę.

– Dzisiaj rano nie chciałam… – Urwała, nie wiedząc, jak powinna ubrać myśli w słowa. – Nie chciałam cię zdenerwować. Przepraszam, okej? Może się myliłam. Może wcale mnie nie potrzebujesz, ale prawda jest taka, że ja potrzebuję ciebie. Twojej pomocy.

– Mów dalej, Sharman – rzucił, wciąż na nią nie patrząc.

Rozejrzała się dookoła. Kilkoro siedzących nieopodal studentów zerknęło w jej kierunku.

– Twój ojciec… W czwartek muszę pojawić się na wykładzie, który prowadzi. Jeżeli do tego czasu jakimś cudem nie opanuję całego materiału, mogę pożegnać się ze studiami i… zdrowiem psychicznym.

Hayden zamknął książkę, sprawiając, że dziewczyna zamilkła. Następnie w końcu na nią spojrzał.

– Wygląda na to, że twoja sytuacja maluje się raczej nieciekawie – rzucił, a po chwili sięgnął po torbę, ciemny płaszcz i wstał na równe nogi.

Flora poruszyła bezgłośnie ustami, patrząc, jak chłopak omija najpierw stół, a potem ją i kieruje się do wyjścia. Przez kilka sekund biła się z myślami, lecz w końcu odwróciła się i powiedziała na tyle głośno, że niemal każdy, kto przebywał w odległości kilku metrów, był w stanie usłyszeć słowo, które z takim oporem przeszło jej przez gardło:

– Proszę.

Sanclair przystanął. Minął moment, zanim odwrócił się i spojrzał na nią ciemnymi oczami. Potem westchnął.

– Na twoim miejscu już teraz kupiłbym bilet powrotny do domu – powtórzył, po czym zmierzył ją wzrokiem, bez słowa odwrócił się i odszedł, zostawiając ją samą z tym nieprzyjemnym uciskiem w żołądku.

Dziewczyna nie drgnęła, dopóki jego sylwetka nie zniknęła za drzwiami, przez które

sama przeszła zaledwie chwilę wcześniej.

Dopiero wtedy wypuściła powietrze z płuc.

Zanim zdążyła postawić krok w stronę wyjścia, dostrzegła, że coś leżało na blacie stołu. Gdy odwróciła głowę, ujrzała stary egzemplarz najsłynniejszej powieści Charlesa Dickensa.

Niewiele myśląc, chwyciła książkę w dłonie i popędziła za Haydenem. Wypadła przez szklane drzwi, ignorując pełne dezaprobaty spojrzenie bibliotekarki, i wydostała się przed budynek. Oddychając ciężko, przystanęła na najwyższym stopniu kamiennych schodów i rozejrzała się dookoła.

Hayden Sanclair zniknął.

*

Niegroźna mżawka, która rankiem nawiedziła Nowy Jork, popołudniem zmieniła się w deszcz, a wieczorem w prawdziwą ulewę. Gdy Hayden dotarł do *Sleepy Hollow*, jego płaszcz był już całkowicie przemoczony.

Prócz parnego powietrza i woni dymu papierosowego w lokalu chłopaka przywitały głośne śmiechy klientów i uśmiech Loren.

– Wygląda na to, że masz dzisiaj prawdziwy tłum do nakarmienia muzyką.

Hayden posłał kobiecie lekki grymas. Wiedział, że nikt nie przyszedł tu dla niego. Kiedy do miasta docierała jesień, a dni stawały się krótsze, dużo zimniejsze i o wiele bardziej mokre, w *Sleepy Hollow* zawsze pojawiały się tłumy. Było o wiele głośniej, tłoczniej i parniej niż podczas letnich wieczorów.

Wraz z liczbą gości rósł hałas, przez który coraz trudniej było się przedrzeć Haydenowi.

Na zapleczu pozbył się przemoczonego płaszcza i wyjął nuty, które trzymał w pustej szafce obok zakurzonych kufli do piwa i porcelanowych popielniczek wyjmowanych przez Loren na specjalne okazje. Wyminął kilka okrągłych stolików, wszedł na niewielki podest i usiadł przy wciśniętym w kąt starym fortepianie.

Choć minęły zaledwie dwa dni, odkąd grał na nim po raz ostatni, białe klawisze zdążyły pokryć się kurzem. Wytarł je rękawem czarnego golfu, a następnie przejrzał nuty, mimo że niezwykle rzadko na nie zerkał.

Ostatecznie nie liczyło się, co zagra. Dla klientów lokalu płynące z fortepianu dźwięki były równie istotne co odgłos deszczu uderzającego o dach budynku. Stanowiły tło, na które nikt nie zwracał uwagi.

Hayden zdecydował się na Liszta. Od zawsze uważał, że jego utwory miały w sobie coś… nostalgicznego i radosnego zarazem. Stanowiły idealną mieszankę smutku i rozpaczy.

Już chwilę później pierwsze dźwięki *Liebestraum no. 3* zmieszały się z panującym w *Sleepy Hollow* gwarem. Były niczym akompaniament dla śmiechu i rzucanych gdzieniegdzie przekleństw.

Choć nikt nie zwracał uwagi na niego ani na fortepian, Hayden nie zamieniłby tych wieczorów na nic innego. Tylko tu mógł skryć się w mroku i niezauważony pozwolić, by muzyka bez reszty pochłonęła jego zepsute serce. Aby ożywiła je na kilka cennych minut, kiedy jego palce tańczyły po zapadniętych klawiszach.

Zamknął oczy, otworzył serce i po prostu robił to, co potrafił robić najlepiej – grał. Dla wszystkich ludzi, którzy zapewne nawet nie zdawali sobie sprawy z jego obecności. Dla ciszy. Dla zaspokojenia własnego pragnienia.

I dla Flory Sharman, która tego wieczoru po raz kolejny stanęła w progu *Sleepy Hollow,* trzymając w dłoni jego zgubę.

Nie zorientował się od razu. Stało się to dopiero niemal na końcu utworu – Hayden

z zaskoczeniem pojął, że ten raz był inny niż jakikolwiek poprzedni. Mniej samotny, mniej zimny i pusty.

Uniósł powieki, choć nie zwykł tego robić, zanim nie skończył grać. I ujrzał ją pomiędzy dymem papierosowym a ciemnością. Na początku przypominała zjawę – nierzeczywistą i nieobecną. Jednak była tam i Hayden wiedział, że słuchała. Jako jedyna. A on grał właśnie dla niej.

Tylko dla niej.

Utwór dobiegł końca powoli, jak ulewa, która kiedyś w końcu musi minąć. Pozostawił po sobie niemal niesłyszalne echo i dwa bijące w jego rytmie serca.

Palce Haydena zawisły nad klawiszami. Nie dotykał ich. Zaledwie muskał je lekko drżącymi opuszkami. Oddech miał wyraźnie przyśpieszony, jakby zatrzymał się po wyjątkowo długim i wyczerpującym biegu, by wreszcie odpocząć.

Oderwał wzrok od łagodnych oczu Flory Sharman, po czym spojrzał w dół, na własne dłonie. Miał wrażenie, że palce nieznośnie go piekły. Jego ręce drżały o wiele bardziej, niż mógłby podejrzewać. Wziął głęboki wdech, a potem wstał i niczym cień przemknął przez główną salę.

Flora czekała na niego przy barze.

– Nie potrafisz odpuszczać, prawda, Sharman? – zapytał. – Mówiłem ci już, że to nie jest miejsce dla ciebie.

Wyjęła książkę, która tkwiła za połami jej płaszcza. Hayden rozpoznał ją niemal natychmiast.

– Zostawiłeś ją w bibliotece – wyjaśniła, oddając mu zgubę. – Wybiegłam zaraz za tobą, ale już zdążyłeś odejść.

– Mogłaś oddać mi ją jutro.

– Tak, mogłam, ale… – Wzruszyła ramionami. – Sama nie wiem, może po prostu miałam nadzieję, że jeszcze skłonię cię do zmiany zdania? Ale to już nieważne. Chciałam tylko ci to oddać. – Zerknęła na książkę. – Powinnam już iść.

Zatrzymał ją, gdy tylko się odwróciła:

– Sharman.

– Tak? – Popatrzyła na niego przez ramię.

– Notatki, które ci dałem…

– Przejrzałam je – wtrąciła. – Wszystkie.

– Masz mieć je w małym palcu. Spotkamy się w środę o siódmej, w bibliotece.

Uśmiech, który po tych słowach pojawił się na jej twarzy, zdawał się tak bardzo nie pasować do tego miejsca.

Ona do niego nie pasowała, pomyślał Hayden.

Zupełnie jak piękny kwiat, który pod wpływem wiatru wyrwał się z bukietu i upadł na brudny chodnik.

– Dziękuję – odpowiedziała.

Loren wyłoniła się z zaplecza i rozpromieniła się na widok dziewczyny.

– Flora! Wiedziałam, że jeszcze kiedyś tutaj przyjdziesz. *Sleepy Hollow* ma to do siebie, że kradnie serce każdemu, kto choć raz przekroczy jego próg. Miło znów cię widzieć.

Dziewczyna zareagowała na te słowa promiennym uśmiechem.

Loren zwróciła się do Haydena:

– Mógłbyś wpaść jutro godzinę wcześniej? Moja siostra przyjeżdża z wizytą. Chciałabym sprawić, że przestanie patrzeć na to miejsce jak na przytułek dla pijaków.

– Muszę zająć się siostrą – odparł.

– Ja mogę to zrobić – wtrąciła Flora, sprawiając, że Hayden obdarzył ją spojrzeniem. – I tak nie mam planów na wieczór i kiedyś opiekowałam się dziećmi sąsiadów.

– Moja siostra nie jest zwykłym dzieckiem, Sharman – wyjaśnił. – To diabeł w skórze małej dziewczynki.

– Chyba nie może być gorsza od ciebie, co? – zażartowała.

Loren zaśmiała się pod nosem.

– Poradzę sobie – zapewniła dziewczyna. – To tylko dziecko, prawda?

Hayden posłał jej krzywy uśmiech.

Flora Sharman nie miała pojęcia, w co się wpakowała.

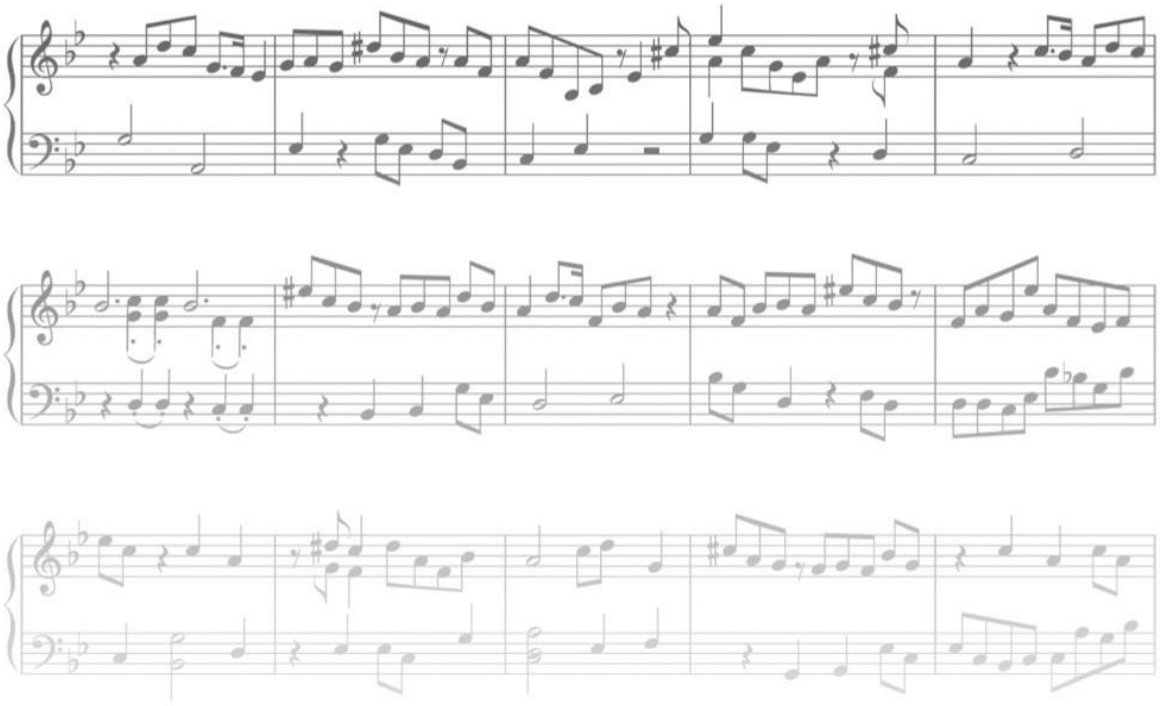

Rozdział 10

Sztuka milczenia

Choć Hayden wiedział, że to pytanie musiało paść – przecież znał Julie lepiej niż ktokolwiek inny – kiedy w końcu padło, nie zdołał zapanować nad dreszczem, który przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa, ani tym bardziej nad grymasem, jaki odznaczył się na jego twarzy.

– To twoja dziewczyna?

Spojrzał na Julie. Był nieco zdziwiony, że zapytała o to dopiero teraz. Przez całą drogę w samochodzie nie odezwała się słowem nawet wtedy, gdy Hayden wspomniał o tym, że musiał pomóc w czymś Henry'emu i nie mógł zabrać jej ze sobą.

– Nie – odpowiedział.

Stali w wyłożonej ciemnym drewnem windzie, która w nieznośnie wolnym tempie wdrapywała się na wyższe piętra budynku. Płynąca z głośników smętna melodia zdawała się idealnie akompaniować niewypowiedzianym słowom. A tych, jak podejrzewał Hayden, było całkiem sporo.

W przypadku Julie Sanclair milczenie nigdy nie zwiastowało niczego dobrego.

Kiedy drzwi windy rozsunęły się z charakterystycznym krótkim dźwiękiem, Sanclair wyszedł na długi, szeroki korytarz. Zerknął przez ramię, jednak zorientował się, że jego siostra nawet nie drgnęła.

– Nie mam całego wieczoru, Julie – przypomniał.

Dziewczynka przechyliła głowę w prawo, mrużąc przy tym ciemne oczy, które były lustrzanym odbiciem oczu ich ojca. Julie przypominała jego kopię – o wiele mniejszą i odrobinę bardziej nieprzewidywalną.

– Rodzice raczej nie będą zadowoleni, gdy dowiedzą się, że podrzucasz mnie do swoich nie-dziewczyn, podczas kiedy miałeś się mną opiekować, prawda? – Skrzyżowała szczupłe ramiona na piersi. Przez fakt, że mierzyła niespełna półtora metra, wyglądała jak rozzłoszczony york. Hayden nie mógł pozbyć się wrażenia, że zaraz rzuci mu się do kostek. – Moje milczenie ma swoją cenę – dodała.

Chłopak westchnął i z kieszeni płaszcza wyjął portfel.

– Nie chcę pieniędzy – odparła.

W ostatniej chwili zdołał zatrzymać drzwi windy, nim się zamknęły. Posłał siostrze pełne zniecierpliwienia i irytacji spojrzenie.

– Więc czego chcesz? – zapytał.

– Pozwolisz mi korzystać ze swojego laptopa przez dwa tygodnie.

– Tydzień.

– Miesiąc.

Sanclair wykrzywił wargi w grymasie.

– Trzy tygodnie.

Julie dała za wygraną.

– Niech będzie. Znaj moje dobre serce, w końcu jesteśmy rodziną, prawda? – Wzruszając ramionami, wreszcie wyszła z windy, a jej sprane trampki zatopiły się w miękkim, czerwonym dywanie. – Mam być dla niej miła? – zapytała, krocząc tuż obok niego.

Hayden aż dotąd nie był pewien, dlaczego zgodził się na propozycję Flory. Czy chodziło tylko o to, by zagrać tego wieczoru w *Sleepy Hollow*? Nie. O wiele bardziej niż tego pragnął, aby dziewczyna przekonała się, w jak wielkim była błędzie, ośmielając się sądzić, że poradzi sobie z opieką nad jego siostrą.

Chryste, oddałby naprawdę wiele, by zobaczyć, jak uśmiech spłynie z jej twarzy, gdy w końcu pojmie, w co się wpakowała.

– Po prostu bądź sobą, Julie – odpowiedział, posyłając siostrze łagodne spojrzenie.

Chwilę później zatrzymali się przed drzwiami o numerze 377.

*

Kiedy panującą w mieszkaniu ciszę przerwał dźwięk dzwonka, Flora zerwała się z miejsca. Wychodząc z kuchni, nerwowo poprawiła materiał szarej bluzy, po czym w kilku krokach pokonała korytarz i podeszła do drzwi, aby otworzyć je z szerokim uśmiechem.

Pierwszym, co ujrzała, była pozbawiona wyrazu twarz Haydena. Dopiero gdy zerknęła w dół, zobaczyła jego siostrę. Sięgała mu zaledwie do połowy tułowia. Ubrana w sukienkę z czarnego dżinsu, jasny sweter i sprane trampki wyglądała uroczo.

Flora się pochyliła.

– Cześć, jestem…

– Flora – wtrąciła Julie głosem niepasującym do jej dziecięcego wyglądu. – Nie-dziewczyna mojego brata – dodała. – Możemy darować sobie zbędne formalności?

– Och… Jasne. – Starając się otrząsnąć z zaskoczenia, wskazała za siebie. – Na stole w kuchni czekają na ciebie ciasteczka.

Dziewczynka wyminęła ją bez słowa. Gdy zniknęła w panującym w mieszkaniu półmroku, Flora wyprostowała się i powtórzyła:

– Nie-dziewczyna?

– Julie ma w zwyczaju zadawać zbyt wiele pytań. – Wzruszył ramionami.

– Jest… urocza.

Ciemna brew Haydena powędrowała ku górze.

– Przyjadę po nią za trzy godziny. Gdyby coś było nie tak…

– Poradzimy sobie – zapewniła. – I jestem pewna, że będziemy się świetnie bawić.

Kącik ust chłopaka drgnął w nikłym uśmiechu, który ledwie dostrzegalnie rozświetlił jego ciemne oczy.

– Tak. Na pewno. Z Julie nie sposób się nudzić. – Odwrócił się i rzucił przez ramię: – Powodzenia, Sharman.

Flora nie mogła dostrzec, że Sanclair uśmiechnął się pod nosem. Wróciła do mieszkania, zamknęła drzwi i głęboko odetchnęła. Potem przybrała na usta lekki uśmiech i weszła do kuchni.

Dziewczynkę odnalazła dopiero w salonie. Siedziała na kanapie, machając wiszącymi nad podłogą nogami. Na jej kolanach leżał talerz z ciastkami, które Flora kupiła tego ranka specjalnie dla niej.

– Chcesz pooglądać jakieś bajki albo…

– Nie oglądam bajek – mruknęła, marszcząc brwi. – Wolę seriale dokumentalne o seryjnych mordercach. Możesz mi to włączyć?

– Nie wiem, czy powinnam…

– Boisz się, że mój brat się dowie i przestanie cię lubić? – zapytała, sięgając po kolejne ciastko z kawałkami czekolady.

Flora oparła ramię o ścianę oddzielającą kuchnię od salonu.

– Twój brat i ja już i tak za sobą nie przepadamy – odparła. – Ale nie, nie chodzi o niego, po prostu… Nie wiem, czy seriale o mordercach to coś odpowiedniego dla jedenastolatki.

– Nie musisz się martwić, patrzę na to z czysto psychologicznego aspektu. Można właściwie powiedzieć, że to seriale naukowe. O ludzkiej psychologii, *modus operandi* i *modus vivendi*. Wiesz, że Ted Bundy[11] schudł dziesięć kilogramów, dzięki czemu był w stanie przecisnąć się przez niewielki otwór, który przez dwa tygodnie piłką do metalu wycinał w suficie celi?

Flora zmarszczyła brwi.

– Rodzice pozwalają, żebyś oglądała takie rzeczy? – zapytała.

– Nie, ale nie pozwalają mi też jeść słodyczy przed kolacją, a jednak dałaś mi ciastka. Obiecuję, że o niczym im nie powiem.

Brunetka pokręciła głową.

Nie dało się zaprzeczyć temu, że Julie należała do rodziny Sanclair. Podobnie jak Hayden i ich ojciec miała w sobie coś, co sprawiało, że ludzie czuli się w ich towarzystwie… cóż, inaczej. Flora nie potrafiła tego nazwać ani skategoryzować. Może chodziło o bijący od nich chłód? Nie był on nieprzyjemny. Niezupełnie.

– Skoczę do kuchni po coś do picia, a potem poszukamy czegoś, co mogłybyśmy obejrzeć, okej?

Julie wzruszyła ramionami.

Flora odepchnęła się od ściany i przeszła do kuchni. Zdążyła wyjąć z szafki dwa kubki na herbatę, gdy nagle w mieszkaniu rozbrzmiał dzwonek. Tuż za drzwiami stał zniecierpliwiony Ralph.

Na jej widok mężczyzna rozłożył szeroko ramiona i zapytał:

– Jak wyglądam?

Sharman zmierzyła go wzrokiem. Miał na sobie idealnie wyprasowane spodnie od zielonego garnituru i koszulę w odcieniu tak ciemnej czerwieni, że w panującym na korytarzu bladym świetle wydawała się właściwie burgundowa.

– Cóż…

– Jak rozjechana żaba – rozległ się trzeci głos. Julie pojawiła się na końcu korytarza,

trzymając w dłoni ostatnie ciastko.

Ralph zerknął ponad ramieniem Flory, zmarszczył brwi i zapytał szeptem:

– Co to małe, upiorne stworzenie robi w twoim mieszkaniu?

– To Julie. Opiekuję się nią – wyjaśniła. – I z przykrością muszę stwierdzić, że ma rację. Wyglądasz… nie najlepiej.

Ramiona mężczyzny opadły, a na jego twarzy odznaczyła się bezsilność.

– Za godzinę mam randkę…

– Z przystojnym kurierem? – zapytała.

– Tak. Posłuchałem twojej rady. Szkoda, że zamiast tosterów, nie zamówiłem na Amazonie lepszej koszuli. – Skrzywił się.

Flora zmarszczyła brwi w zamyśleniu, a potem z uśmiechem oznajmiła:

– Wygląda na to, że dzisiaj dopisało ci szczęście. Masz przed sobą dwie kobiety.

– Z o wiele lepszym gustem niż twój. – Julie pojawiła się tuż obok niej.

*

– Uprzedzam, że nie mam zbyt wielu ubrań. – Ralph rzucił tych kilka słów tak, jakby uparcie w nie wierzył, choć Flora i Julie już chwilę później przekonały się, że nie zawierały one w sobie grama prawdy.

Garderoba ukryta za niepozornie wyglądającymi drzwiami w sypialni metrażem przypominała bardziej średnie mieszkanie w centrum Nowego Jorku niż zwykłą szafę. Wszystkie ubrania były ułożone według kolorów i zawieszone w idealnych odstępach. Właśnie tak musiało wyglądać marzenie niemal każdej kobiety.

– Jaka ilość to dla niego „wiele”? – zapytała Julie.

Flora posłała dziewczynce pełen rozbawienia uśmiech i pokręciła głową. Przy tym wszystkim jej cztery pary dżinsów, kilka swetrów i tyle samo bluz, wydawało się komicznie śmieszną ilością.

– Większość tego, co tu widzicie, to pozostałości po mojej upadłej karierze. – Gestem dłoni wskazał wiszące na wieszakach kolorowe stroje. – W czasach mojej świetności co weekend bywałem kimś innym: Makbetem, Don Kichotem czy nawet słynnym Upiorem opery!

– Dzisiaj wystarczy, że będziesz po prostu sobą. – Flora zajęła miejsce na obitej czerwonym welurem kanapie. Julie usiadła tuż obok niej, trzymając w dłoniach opakowanie ciastek, które dał jej Ralph. – Masz tutaj coś… – Rozejrzała się dookoła.

– Mniej paskudnego? – podsunęła Julie.

– Mniej zielonego – poprawiła ją, a następnie zwróciła się do mężczyzny: – To raczej nie jest twój kolor.

Ralph powiódł spojrzeniem po wnętrzu garderoby. Po chwili w kilku krokach pokonał niemal całą jej długość i chwycił jedną ze starannie wyprasowanych koszul.

Na widok czerwonego materiału w dziwaczne żółte wzorki Flora mimowolnie się skrzywiła. W przeciwieństwie do niej, Julie nie zamierzała silić się na zbędną dobroduszność.

– Nie założyłabym tego nawet na pogrzeb mojego największego wroga – stwierdziła.

Ralph posłał jej urażone spojrzenie.

– Dałem ci całe opakowanie moich ulubionych ciastek.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– To była cena za moją pomoc, a nie za to, że będę udawać, że nie ubierasz się jak klaun w cyrku.

Mężczyzna otworzył szeroko usta i przyłożył dłoń do serca w przerysowanym geście.

Flora postanowiła nieco rozluźnić atmosferę.

– Julie ma chyba na myśli, że ubrania, które wybierasz, są za bardzo… kolorowe. Masz tutaj coś bardziej stonowanego?

– Chodzi ci o fiolet albo…

– Czerń, Ralph – przerwała mu łagodnie. – Chodzi mi o czerń, szarość albo biel.

– To randka. Nie pogrzeb.

– Jeżeli założysz tę koszulę – Julie ruchem podbródka wskazała na jaskrawy materiał tkwiący w jego dłoniach – bliżej temu będzie do pogrzebu niż do randki.

Flora nie mogła się z nią nie zgodzić.

– Tak. – Wstała na równe nogi. – Wiem, że chcesz dobrze wypaść, ale uwierz mi, oczarujesz go swoją osobowością, a nie teatralnym przebraniem. – Przesunęła opuszkami palców po miękkich materiałach, aż odnalazła to, czego szukała. – Spróbuj tego.

Ralph z lekkim dystansem spojrzał na to, co wybrała. W końcu uznał, że nie miał innego wyboru, więc bez słowa odebrał ubrania i zniknął za zasłoną z ciemnej satyny.

Flora odwróciła się w kierunku Julie. Dziewczynka właśnie sięgała po ostatnie ciasteczko.

– Nie mów o tym swoim rodzicom, okej?

– Bez obaw. Jestem świetna w dochowywaniu sekretów – zapewniła.

Kiedy kilka minut później Ralph pojawił się w garderobie, na jego widok na twarzy Flory pojawił się uśmiech.

Czy istniał na tym świecie ktoś, kto nie wyglądałby dobrze w czarnej koszuli?

– Wyglądam… – Mężczyzna rozłożył ręce, zerkając na siebie z góry.

– Znośnie – mruknęła Julie.

– Idealnie – powiedziała Flora. Stanęła tuż przed nim, po czym poprawiła wygnieciony kołnierzyk jego koszuli. – Jestem absolutnie pewna, że skradniesz dzisiaj przynajmniej jedno serce.

Ralph się uśmiechnął.

– Dziękuję. – Zerknął ponad ramieniem dziewczyny i zwrócił się do Julie: – Tobie też, paskudo.

Dziewczynka posłała mu mordercze spojrzenie, na co zareagował cichym śmiechem.

– O której jesteście umówieni? – zapytała Flora.

– Ma tutaj być o… – Podwinął rękaw i zerknął na zegarek. – Teraz.

– Wygląda na to, że na nas już czas. – Sharman odezwała się do Julie.

Jedenastolatka zeskoczyła z kanapy, a następnie otrzepała sukienkę z resztek jedzenia. Okruszki wylądowały w miękkim dywanie.

– Mogę dostać więcej ciastek? – zapytała, gdy Ralph odprowadził je do drzwi.

– To dziecko to wrodzone zło – szepnął. – Z tą drobną różnicą, że żywi się cukrem i olejem palmowym, a nie ludzkimi duszami.

Flora posłała mu rozbawione spojrzenie.

– To tylko mała dziewczynka.

– Uważaj na nią. Mówię poważnie. Jak tylko stracisz czujność, zajdzie cię od tyłu, a potem…

– To nie teatr – wtrąciła, zatrzymując się w drzwiach. – Skup się na randce, jasne? Spróbuj za dużo nie myśleć i po prostu świetnie się bawić.

Mężczyzna wyglądał na odrobinę zdenerwowanego. Choć za wszelką cenę starał się to ukrywać, chyba nie radził sobie z prawdziwymi emocjami tak dobrze jak na teatralnych deskach.

– Tak. Masz rację. – Obdarzył ją uśmiechem. – Jeszcze raz dziękuję. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

– Nie wyglądałbyś najlepiej. Nic gorszego. – Wzruszyła ramionami.

– No tak.

– Udanego wieczoru.

Po tym, jak pożegnała się z Ralphem, Flora dołączyła do czekającej na nią Julie. Razem ruszyły w stronę jej mieszkania. Dochodziła ósma, a przez otwarte okno na końcu korytarza do budynku wdzierało się chłodne powietrze.

Cisza nie trwała jednak zbyt długo. Jeszcze zanim dotarły do drzwi opatrzonych numerem 377, Julie powiedziała:

– Wiesz, że jesteś pierwszą koleżanką mojego brata, którą poznałam? Oczywiście nie licząc Bree, ale ona jest zbyt głupia, bym uwierzyła, że Hayden nie zadaje się z nią z czystej litości.

– Nie jestem jego koleżanką – odparła.

– Nie? – Julie zmarszczyła brwi.

W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek przypominała ojca. Malujący się na dziecięcej buzi grymas był lustrzanym odbiciem wyrazu, który Flora kilka razy miała okazję ujrzeć na twarzy profesora.

– Więc jesteście… przyjaciółmi?

Flora pokręciła głową, zatrzymała się przy drzwiach do mieszkania, po czym wyjęła klucz z kieszeni dżinsów. Przepuściła dziewczynkę jako pierwszą, odpowiadając na pytanie:

– Nie, Julie. Twój brat pomaga mi w nauce, a ja, chcąc się odwdzięczyć, zaproponowałam, że dzisiaj się tobą zaopiekuję, gdy on będzie…

– …grał – dokończyła Julie.

Flora zamarła. Jedną dłonią wciąż dotykała klamki, drugą natomiast trzymała tkwiący w zamku klucz. Coś zacisnęło się wokół płuc dziewczyny, uniemożliwiając jej zrobienie większego wdechu. Miała wrażenie, że się przesłyszała, choć w głębi serca wiedziała, że było odwrotnie. Usłyszała wypowiedziane przez Julie słowo wyraźniej niż własne myśli. Przełknęła z trudem ślinę i w końcu puściła te przeklęte drzwi, a potem odwróciła się w kierunku dziewczynki.

– Co powiedziałaś? – Zmarszczyła brwi.

Julie stała na końcu korytarza, który prowadził w głąb mieszkania. W uroczej sukience, długich, czarnych włosach zaplecionych w dwa warkocze i z tymi samymi ciemnymi oczami, którymi na Florę patrzył Hayden.

– Nie musisz wymyślać kolejnych kłamstw, żeby go kryć. – Wzruszyła ramionami z niespotykaną swobodą. – Wiem, dlaczego mój brat każdego wieczoru wymyka się z domu.

*

Tego wieczoru Hayden wybrał Schumanna.

Zaczął od *Wilder Reiter*, którego melodia przypominała mu deszczowy poranek w wyjątkowo ciepłe lato. Dźwięki w łagodny i energiczny sposób zarazem muskały skórę, niosąc świeżość nawet tutaj – w zatłoczonym, dusznym wnętrzu *Sleepy Hollow*. Były dziwną odmianą od echa męskich śmiechów, krzyków Loren, czy trzasków tłukącego się szkła, gdy któryś z pijanych klientów przegrał partię pokera i ze złości strącił szklankę z resztką taniej whisky.

Na koniec zagrał *Traumerei.*

Gdy jego palce dotykały zapadniętych klawiszy, rozpoczynając nowy utwór, Hayden zwykł zamykać oczy i udawać, że nie znajdował się między zatłoczonymi stolikami, z unoszącym się nad głową dymem papierosowym. Nie siedział upchnięty w zaciemnionym kącie baru. Był gdzieś indziej. Gdziekolwiek tylko chciał się znaleźć.

Kiedy grał sonaty Beethovena, było to zapomniane, skryte w głębi lasu jezioro

bezchmurną nocą, gdy księżyc odbijał się w jego czarnej, niewzruszonej tafli.

Kiedy wybierał Mozarta – zimna, ciemna noc zmieniała się w wiosenny wieczór pośród rozległych łąk, natura budziła się do życia, a zachodzące słońce nieśmiało dotykało pomarańczowymi promieniami rozkwitłych niedawno kwiatów.

W tej chwili trafił jednak w zupełnie inne miejsce. Nie przypominało mrocznego lasu ani pięknej łąki. Było zimne, ciche i zadziwiająco puste. Piękne w prostocie, ale też w niewytłumaczalny sposób nieprzyjemne.

Hayden zmarszczył brwi, nawet na moment nie przestając grać. Jego palce płynnie poruszały się po klawiszach, nadając ciszy wyrazu i kształtu. Wypełniając ją melodią, rysując niebo, ziemię pod stopami i chłodny wiatr, który wdzierał się pod materiał płaszcza.

Chłopak poczuł, że kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

Lecz każdy utwór w pewnym momencie dobiegał końca… A kiedy koniec nadchodził, Hayden zmuszony był wrócić do miejsca, z którego uciekł – do ponurego wnętrza *Sleepy Hollow*, do hałasu, do zaciemnionego kąta, gdzie stał stary fortepian.

Wypuścił z płuc powietrze. Kiedy odsunął dłonie od instrumentu, jego palce wciąż lekko drżały.

Nie znosił tego momentu. Przypominał chwilę, gdy człowiek wychodzi spod ciepłego prysznica i czuje na skórze zimno czekające na zewnątrz.

Sanclair otworzył oczy, uniósł głowę i niemal natychmiast natrafił na znajome spojrzenie.

W pierwszej chwili uznał to za przywidzenie, bo rozum podpowiadał mu, że Flory Sharman nie mogło tu teraz być. Zaledwie ułamek sekundy później ujrzał stojącą u jej boku Julie i zrozumiał, że nawet rozum nie mógł przewidzieć niektórych wypadków.

Mimo wszystko Hayden nie był zaskoczony. Nie poczuł strachu ani przerażenia. Zamiast tego zrobił to, co robił zawsze, gdy jego wieczór w *Sleepy Hollow* zbliżał się ku końcowi – zamknął fortepian, zgarnął nuty, wstał na równe nogi i schodząc z podestu, po raz ostatni opuszkami palców dotknął chropowatej powierzchni instrumentu.

Idąc pomiędzy stolikami, zerknął na Florę. Na jej twarzy malował się lekki grymas, choć nie była to jej wina.

Hayden zatrzymał się tuż obok baru, przy którym stały.

– Zostawię was samych – powiedziała cicho Sharman.

– Od jak dawna wiesz? – odezwał się, gdy dziewczyna odeszła.

Julie wzruszyła ramionami z typową dla siebie obojętnością. Choć była jedenastoletnim dzieckiem, zdawała się dziwnie pasować do panującej w *Sleepy Hollow* atmosfery.

– Zorientowałam się rok temu – wyjaśniła. – Tego dnia, kiedy spóźniłeś się na kolację, kilka dni przed świętami. Twój płaszcz śmierdział papierosami, a w kieszeni miałeś kilka wygniecionych dolarów. Reszta była właściwie prosta. Następnego dnia powiedziałam mamie, że mam korepetycje z matematyki i po prostu poszłam za tobą, gdy wyszedłeś z domu. I trafiłam – rozejrzała się po wnętrzu – tutaj. Przez okno zobaczyłam, jak grasz. Jesteś całkiem dobrym kłamcą, ale mnie nie zdołasz oszukać.

– Wiem, Julie.

Wiedział też, że jeżeli skrywany przez niego sekret miał w końcu wyjść na jaw, Julie pozna go jako pierwsza. Chyba już dawno pogodził się z tym faktem.

– Skoro wiedziałaś… – Zmarszczył brwi, bo jedno nie mogło dać mu spokoju. – Dlaczego…

– Nie wykorzystałam tego przeciwko tobie? – dokończyła. – To oczywiste. – Znów wzruszyła ramionami. – Jesteś moim bratem i chociaż czasami naprawdę bardzo mnie wkurzasz, nie mogłabym zrobić ci czegoś takiego. No i pomyślałam, że ta wiedza może mi się przydać

nieco później.

Hayden zareagował na słowa dziewczynki lekkim uśmiechem, po czym zmierzwił jej włosy.

Julie posłała mu mordercze spojrzenie.

– Wracajmy do domu, mała.

*

Flora drgnęła, gdy stare drzwi prowadzące do *Sleepy Hollow* skrzypnęły tuż za jej plecami. Kiedy się odwróciła, Hayden i jego siostra stanęli na chodniku, na którym od kilku minut czekała.

– Poczekaj na mnie w samochodzie – polecił Sanclair.

Julie odeszła w kierunku stojącego nieopodal zielonego range rovera.

Flora nie pozwoliła, by cisza panowała między nimi zbyt długo.

– Przepraszam. Próbowałam jej powiedzieć, że się myli, ale nie chciała mnie słuchać…

– Sharman.

– Upierała się, że wie i…

– Floro.

Dziewczyna zamilkła.

Hayden Sanclair po raz pierwszy wymówił na głos jej imię. Uciekające z jego ust, zdawało się brzmieć nieprawdopodobnie obco, jakby nie należało do niej.

Kiedy odnalazła jego wzrok, chłopak powiedział coś, czego nie spodziewała się od niego usłyszeć:

– To nie twoja wina. Mogę oszukiwać wszystkich innych, ale Julie jest zbyt bystra. Nic dziwnego, że w końcu się domyśliła. – Wsunął dłonie do kieszeni płaszcza. – Ale dziękuję, że mimo wszystko do samego końca próbowałaś mnie kryć.

Flora przełknęła z trudem.

Nie potrafiła oderwać od niego spojrzenia. Nie potrafiła przestać patrzeć w te ciemne, nieprzeniknione oczy, które tego ponurego wieczoru po raz pierwszy nie wydawały się całkowicie nieczułe.

– Przecież obiecałam, że nie zdradzę nikomu twojego sekretu – przypomniała. – A Julie? Nie powie o niczym waszym rodzicom?

– Nie. – Zerknął w kierunku samochodu. – Przynajmniej dopóki jej czymś nie zdenerwuję.

Dziewczyna uśmiechnęła się pod nosem, a Hayden znów na nią zerknął. Ciężar jego spojrzenia sprawił, że Flora poczuła osaczający ją chłód. Rozchyliła usta, chcąc coś powiedzieć, lecz Sanclair ją uprzedził:

– Ustalmy jedną zasadę.

– Tak?

– Ja odpuszczę poranne bieganie, a ty nigdy więcej nie będziesz udawać, że wiesz, kim tak naprawdę jestem. Nie znasz mnie. Widzisz jedynie to, co pozwalam ci ujrzeć. Nie potrzebuję smętnych, motywacyjnych gadek i psychologicznych analiz, jasne? Pomogę ci, tak jak powiedziałem, ale to nie znaczy, że sam potrzebuję twojej pomocy.

Flora skinęła głową.

– Jasne.

– Jutro…

– …o siódmej – dokończyła. – Pamiętam.

– Nie spóźnij się, Sharman – rzucił przez ramię. Były to ostatnie słowa, jakie

wypowiedział, zanim odszedł.

Flora odprowadziła go wzrokiem, a w końcu również się odwróciła, by ruszyć w kierunku widocznego w oddali szczytu budynku, w którym mieściło się jej mieszkanie.

Tymczasem Hayden wsiadł do samochodu. Zdążył zamknąć za sobą drzwi, gdy dotarł do niego głos Julie:

– Lubię ją.

Spojrzał na siostrę, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że się przesłyszał.

– Ty nikogo nie lubisz – przypomniał.

– To prawda. – Przechyliła głowę w bok. – Ale ją tak. Gdybyś postanowił się w niej zakochać, masz moje błogosławieństwo.

Sanclair uśmiechnął się kpiąco kącikiem ust.

– Zapnij pasy – polecił. – I przestań gadać głupoty, Julie.

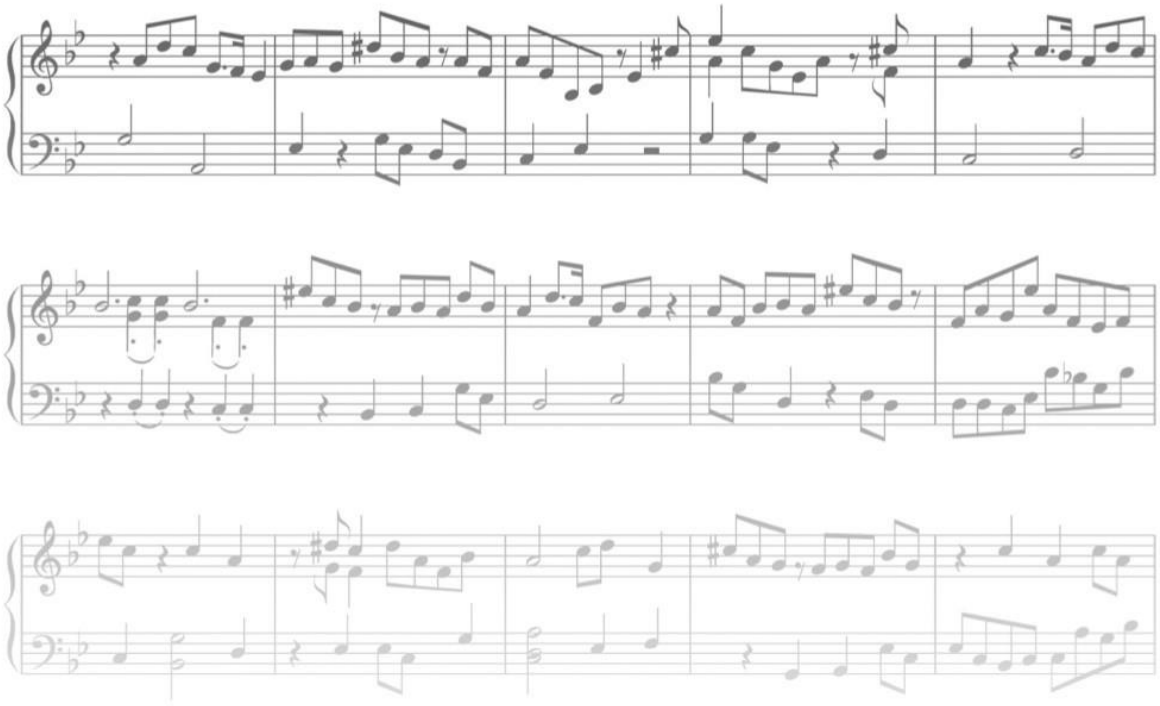

Rozdział 11

Cudze marzenia

– Reguła 601 FRE[12].

– Każda osoba jest uprawiona do występowania jako świadek w procesie, chyba że reguły dowodowe przewidują odmienne – wyrecytowała.

– Do odmiennych zaliczamy między innymi… – Hayden zawiesił głos, chcąc, by dokończyła tę myśl.

– Osoby małoletnie, jeżeli nie przejdą procedury *voir dire*[13], osoby psychicznie chore, uzależnione bądź znajdujące się pod wpływem alkoholu lub narkotyków, a także obrońców, sędziów i ławników, którzy biorą czynny udział w procesie.

– Reguła 605.

– Sędzia nie może być świadkiem w postępowaniu, które prowadzi.

– Reguła…

– Potrzebuję przerwy – wtrąciła.

Sanclair uniósł wzrok znad grubej książki. Okrągłe okulary z eleganckimi czarnymi oprawkami zsunęły się niemal do połowy nosa. Spod wachlarza ciemnych rzęs obdarzył dziewczynę wymownym spojrzeniem.

Choć oddzielał ich od siebie szeroki na metr stół, Flora poczuła dotyk irytacji Haydena, ale nie mogła już dłużej udawać, że wciąż potrafiła się skupić. Czuła się tak, jakby mózg miał wypłynąć jej przez uszy. Skronie pulsowały od nadmiaru informacji, które musiała zapamiętać, zrozumieć, a potem wyrecytować, nie popełniając przy tym nawet najmniejszego błędu.

– Siedzimy nad tym od trzech godzin.

– Tak, a ty wciąż nic nie potrafisz – odpowiedział.

– Umiem powtórzyć z pamięci każdą regułę dowodową.

– Mój ojciec nie zapyta cię o żadną z nich – poinformował.

Flora zmarszczyła brwi.

– Chcesz powiedzieć, że nie spałam przez całą noc, żeby nauczyć się czegoś, co nie jest mi potrzebne? – Jej głos zadrżał z bezsilności i zmęczenia.

Od co najmniej doby nie zmrużyła oka, w jej żyłach zamiast krwi płynęły litry kawy, którą w siebie wlała, by nie zasnąć na zajęciach, a oczy nieznośnie piekły od małych literek. Nawet gdy z całych sił zaciskała powieki, widziała spis reguł dowodowych i kodeks stanowy.

Hayden nie zwrócił na jej słowa większej uwagi i wyjaśnił niewzruszonym głosem:

– Powiedziałem, że cię o to nie zapyta, a nie, że nie będzie ci to potrzebne, Sharman. Ojciec stawia na praktykę. Nie uczy studentów podstaw prawa. Wychodzi z założenia, że gdy przychodzicie na jego zajęcia, powinniście już znać je wszystkie. Uczy was tylko tego, jak dobrze je wykorzystywać albo odpowiednio naginać, by wygrać. Jeżeli chodzi o przerwę… – Podwinął rękaw czarnego golfa i rzucił okiem na zegarek. – Masz cztery minuty.

– Ale to za mało…

– Udowodniono naukowo, że na każde dziewięćdziesiąt minut skupienia powinno przypadać dokładnie dwadzieścia minut przerwy, by mózg odpowiednio wypoczął – wtrącił.

– Według tego, co mówisz, zapracowałam na czterdziestominutową przerwę.

– Dziesięć procent to i tak więcej niż zero. Doceń moją łaskawość, Sharman. Czas ci ucieka.

Flora skrzywiła się pod nosem, w myślach rzucając pod adresem Sanclaira kilka nieprzyjemnych słów. Choć była mu wdzięczna za pomoc, jego metody nauczania wyssały z niej resztki chęci do życia. A tych i tak wcześniej nie miała już zbyt wiele.

Nie chcąc tracić czasu, który zdawał się cenniejszy niż kiedykolwiek, osunęła się na niewygodnym krześle, zamknęła oczy i spróbowała się rozluźnić. Kilka stołów dalej jeden ze starszych studentów udzielał korepetycji koleżance. Niepoprawne odpowiedzi, których udzielała na zadawane przez niego pytania, wytrącały Florę z równowagi.

Z ciężkim westchnieniem i z kolejnym grymasem uniosła ciężkie powieki i się rozejrzała. Kilka miejsc przy ustawionych w rzędzie stołach było zajętych, ale w jesienne, deszczowe wieczory uniwersytecka biblioteka nie cieszyła się popularnością.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyszedłby dobrowolnie z ciepłego domu, gdy temperatura na zewnątrz z każdą godziną malała.

Flora przeniosła wzrok na Haydena, który zajmował miejsce naprzeciw niej. Delikatnie marszcząc ciemne brwi, czytał jeden z ostatnich rozdziałów opowieści Dickensa. Kilka kosmyków czarnych włosów niedbale osunęło mu się na skronie.

Sharman wciąż nie mogła zrozumieć, jak różnił się od chłopaka, którego widziała tamtego wieczoru, gdy los po raz pierwszy zaprowadził ją do *Sleepy Hollow*. Był dokładnie tą samą osobą, jednak patrząc na niego, odnosiła zupełnie odmienne wrażenie.

Że on był kimś zupełnie innym.

– Czy wpatrywanie się we mnie to jakaś nowa forma relaksu, z której korzystasz? – odezwał się, nie odrywając oczu od tekstu.

– Mogę o coś spytać?

– Nie.

Flora przygryzła wewnętrzną stronę policzka.

– Twój ojciec… – zaczęła, ignorując to, co powiedział. – Uczył też ciebie?

Hayden westchnął, po czym zamknął książkę i obdarzył dziewczynę chłodnym

spojrzeniem.

– Nie – zaprzeczył. – Został profesorem rok po tym, jak zacząłem studia.

– Musi być z ciebie bardzo dumny. No wiesz, w końcu poszedłeś w jego ślady.

Hayden odpowiedział beznamiętnym głosem:

– Z pewnością jest dumny.

– Mój tata chciał, żebym studiowała zarządzanie tak jak mama i pewnego dnia przejęła jego firmę. Kiedyś nawet zapisał mnie na kurs, żeby mnie do tego przekonać. – Uśmiechnęła się, na moment wracając do tych wspomnień. Mimo że były odległe, wciąż sprowadzały do jej serca niewytłumaczalne ciepło. Bardzo tęskniła za rodzicami.

– Więc dlaczego wybrałaś prawo? – zapytał.

Flora wzruszyła ramionami.

– Bo zarządzanie było marzeniem mojego taty, a nie moim. Ja musiałam posłuchać serca i pójść za własnym. – Uśmiechnęła się lekko. – Nawet jeżeli wiedziałam, że trochę go rozczaruję, chyba o wiele grosze byłoby rozczarowanie samej siebie.

Hayden odwrócił wzrok, gdy Flora spojrzała mu prosto w oczy. Odłożył książkę na stół, ponownie zerknął na zegarek i poinformował:

– Czas minął. Wracamy do nauki. Czego dotyczy Reguła 104 (a)?

– Ogólnych zasad związanych z dopuszczalnością dowodów. Tylko dowody z zeznań tych osób, które posiadają w danej sprawie wiedzę opartą na własnych obserwacjach, mogą stanowić dowód w postępowaniu.

– Załóżmy, że twoja lubiąca plotki koleżanka na babskim wieczorze zdradziła ci, że widziała, jak jej sąsiad krzyczy na żonę. Czy możesz zeznawać, gdy ta kobieta wytoczy mężowi proces o przemoc domową? – zapytał.

– Tak, ale moje zeznania bazowałyby wyłącznie na zasłyszanej plotce, a nie na tym, co rzeczywiście widziałam, więc nie mogłyby stanowić dowodu.

– W przeciwieństwie do…

– Mojej lubiącej plotki koleżanki, która była naocznym świadkiem małżeńskiej kłótni – dokończyła.

– Widzisz różnicę pomiędzy wiedzą a wykorzystaniem jej w praktyce? Na sali sądowej nikomu nie zaimponujesz, recytując prawo co do słowa. Ale musisz znać je na pamięć, by móc wykorzystać je na swoją korzyść. I właśnie tego wymagać będzie od ciebie mój ojciec. Jego metody są może nieco…

– Okrutne? Barbarzyńskie? Nieludzkie?

– Tak – zgodził się. – Ale mają sens i jeżeli głęboko w tobie kryje się naprawdę dobry prawnik, ojciec z pewnością go z ciebie wydobędzie. Nawet jeżeli musiałby tym samym odebrać ci kilka godzin snu i przyprawić o tuzin załamań nerwowych.

Nagle do głowy Flory wpadła pewna myśl. Zanim zdołała dostatecznie dobrze to przemyśleć, słowa wydostały się z jej ust wbrew rozsądkowi, którego powinna posłuchać:

– Prawo… było marzeniem twojego ojca czy twoim?

Hayden ponownie na nią spojrzał, ale w sposób inny niż chwilę wcześniej. Dziewczyna nie mogła pozbyć się wrażenia, że znów miała przed sobą kogoś, kogo widziała po raz pierwszy.

W momentach takich jak ten bardzo żałowała, że czasami mówiła wszystko, co podsunęły jej myśli, i w porę nie gryzła się w język. Wiedziała, że nie powinna była o to pytać. Dostrzegła to w jego oczach, z pozoru niewzruszonych i pozbawionych emocji. W sposobie, w jaki zacisnął smukłe palce na brzegach grubego Spisu Reguł Federalnych. W tym, jak mięśnie jego ramion napięły się pod czarnym materiałem.

– Ja…

– Wystarczy na dzisiaj – przerwał jej i zaczął zbierać swoje rzeczy ze stołu. – Powinnaś odpocząć. Wyśpij się. Jeżeli jutro pokażesz się przed moim ojcem półżywa, wyrzuci cię z sali, zanim zdążysz zabłysnąć wiedzą.

Flora nie odrywała od niego spojrzenia, gdy wstał na równe nogi i przerzucił torbę przez ramię.

– Powtórz to wszystko jeszcze raz przed snem, a potem rano, zanim wyjdziesz na uczelnię, jasne?

– Tak. Oczywiście. Ja tylko… – Nie zdążyła dokończyć, bo odwrócił się i ruszył pomiędzy stołami w kierunku głównych drzwi. Ich trzask rozniósł się echem po pomieszczeniu, sprawiając, że kilka osób z zaciekawieniem podniosło głowy.

Sharman przeklęła pod nosem. Nagle zapragnęła dać sobie w twarz, lecz szybko pojęła, że była zbyt zmęczona, aby to zrobić. Niewiele myśląc, pozbierała notatki, wcisnęła je do plecaka, po czym narzuciła na ramiona płaszcz i wyszła z biblioteki. Zdołała postawić zaledwie krok za drzwiami, gdy poczuła, jak zimne krople deszczu atakują policzki.

Mieszkała w Nowym Jorku już ponad dwa tygodnie, deszcz padał tu niemal każdego wieczoru, więc jakim cudem wciąż nie kupiła sobie parasola?

Nie była pewna, czy mogła zacząć płakać już teraz, czy powinna poczekać przynajmniej do chwili, aż znajdzie się w mieszkaniu.

Przez moment stała bez ruchu na najwyższym stopniu kamiennych schodów prowadzących do biblioteki i myślała o tym, jaki zbieg niefortunnych zdarzeń zaprowadził ją właśnie w to miejsce. Była niewyspana, przebodźcowana i tak cholernie mocno zmęczona, że dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że deszcz już na nią nie padał.

Marszcząc brwi, spojrzała za siebie.

Hayden trzymał czarną parasolkę, którą osłaniał dziewczynę przed deszczem. Stał tak blisko, że Flora mogła dostrzec krople spływające wzdłuż jego kości policzkowych.

Zapragnęła go przeprosić, lecz szybko uznała, że rozsądniej było po prostu nie wracać do słów wypowiedzianych w bibliotece.

– Odwiozę cię – oznajmił.

– Nie musisz. – Nie chciała sprawiać mu niepotrzebnego kłopotu. – Mieszkam niedaleko…

Sanclair wzruszył ramionami.

– Skoro wolisz moknąć – rzucił, po czym zabrał parasol znad jej głowy i ruszył w dół schodów.

Flora drgnęła, gdy deszcz znów ją zaatakował. Początkowa mżawka zamieniła się w ulewę, więc wystarczyło kilka sekund, aby długie włosy dziewczyny kompletnie przemokły, podobnie jak płaszcz, który okrywał jej ramiona.

– Poczekaj! – zawołała.

Chłopak się zatrzymał, jednak nie odwrócił się ani nie zerknął przez ramię. Po prostu czekał, aż Flora pokona kilka stopni i schowa się pod parasolem. Dopiero wtedy zerknął na nią z góry.

Musieli stać bardzo blisko siebie, aby czarny materiał mógł ochronić ich oboje. Tak blisko, że Hayden czuł bijące od dziewczyny ciepło, ona z kolei znów poczuła intensywny zapach jego perfum.

– Dziękuję – szepnęła.

– Postaraj się nie zostawać w tyle, Sharman – powiedział, po czym zaczął pokonywać schody.

Dziewczyna musiała niemal biec, by nadążyć za stawianymi przez niego krokami.

– Mam na imię Flora – przypomniała. – Jeszcze wczoraj pamiętałeś moje imię.

– Fakt, że je pamiętam, nie znaczy, że mnie ono obchodzi – rzucił przez ramię.

– Czy ktoś już kiedyś mówił ci, że jesteś dupkiem?

Hayden przystanął, sprawiając, że Flora niemal na niego wpadła. Zdążyła zatrzymać się w ostatniej chwili. Nie zdołała się jednak cofnąć, gdy chłopak niespodziewanie się pochylił, zmniejszając dzielącą ich odległość do tego stopnia, że jego ciepły oddech otarł się o jej zmarznięty policzek.

– Gdybym nim był, zostawiłbym cię tu zupełnie samą i pozwoliłbym, żebyś wracała do domu w deszczu, Sharman. I dla jasności, wciąż mogę to zrobić.

Flora zacisnęła wargi w wąską linię. Miał rację, nawet jeżeli za żadne skarby świata nie chciała tego przyznać.

– Kiedy wsiądziemy do samochodu, możesz łaskawie milczeć przez następne dziesięć minut? – zapytał, na co z lekkim oporem skinęła głową. Dopiero wtedy się odsunął i otworzył drzwi od strony pasażera – Świetnie. Wsiadaj.

Usiadła w fotelu i przewróciła oczami, gdy Sanclair zamknął drzwi. Przez większość drogi nie odezwała się ani słowem. Siedziała na miejscu pasażera lekko skulona, bo przez przemoczony płaszcz wypełniające auto ciepło przebijało się tylko w niewielkim stopniu. Przez pokryte kroplami deszczu okno patrzyła na ludzi, których mijali. Było ich wielu, nawet o tak późnej porze. Pędzili w tylko sobie znanych kierunkach, skryci pod parasolami w ponurych odcieniach, z twarzami wykrzywionymi przez zmęczenie.

Właśnie w tamtej chwili przypomniała sobie, jak mocno była zdziwiona, gdy pierwszego dnia zobaczyła tych śpieszących się ludzi, z kubkami kawy w dłoniach, z twarzami bez wyrazu i z czasem, który przeciekał im przez palce.

A teraz była taka sama jak oni.

Oparła czoło o zimną szybę i przygryzła dolną wargę, czując ogarniający ją smutek. Nie próbowała z nim walczyć. Po prostu zaakceptowała go takim, jakim był.

Podczas gdy Flora z zaskoczeniem odkryła, że panująca w tym mieście nostalgia w końcu wkradła się do jej serca, Hayden żył z nią już od tak dawna, że nie zwracał na nią uwagi.

Nie zauważał, czy ludzie, których spotykał w metrze lub mijał na ulicy, się uśmiechali. Nie obchodziło go, jak byli ubrani, ani dokąd się śpieszyli. Byli tylko niewyraźnymi cieniami, które mijały go, a potem bezpowrotnie znikały. Po co właściwie miałby zawracać sobie nimi głowę?

Wycieraczki zaciekle pracowały, spychając z przedniej szyby nadmiar deszczu i zakłócając płynące z radia smętne dźwięki *Possibility* w wykonaniu Lykke Li. Panująca wewnątrz samochodu cisza nie przynosiła upragnionego ukojenia.

Hayden z zaskoczeniem odkrył, że chciał, by Flora nie posłuchała jego zakazu i coś powiedziała. Cokolwiek. Nawet jej głos wydawał się lepszy od myśli, które nie chciały przestać go dręczyć.

Odrobinę mocniej zacisnął palce na kierownicy, dusząc w sobie chęć, by odezwać się jako pierwszy. Skupił się na drodze, na rzędzie jaskrawych świateł i na migoczących neonach sklepów i barów, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Kilka minut później zaparkował przed wysokim budynkiem na Manhattanie. Nie gasząc silnika, odwrócił głowę.

– Jesteśmy na… – zamilkł.

Flora milczała nie dlatego, że zabronił jej mówić. Milczała, ponieważ zasnęła – ze skronią przyciśniętą do zimnej szyby, z lekko otwartymi ustami i z nosem schowanym głęboko w materiale mokrego płaszcza.

Sanclair omiótł wzrokiem jej nieco zbyt bladą twarz. Czarne kosmyki przywarły do lekko zaróżowionych policzków. Gdy spała, wyglądała na jeszcze bardziej zmęczoną niż wtedy, kiedy zerkał na nią ukradkiem w bibliotece.

Wiedział, że się starała, być może wkładając w to resztki sił, które jeszcze w sobie miała. Nie był jednak pewien, czy jego ojciec dostrzeże w niej determinację, którą widział on. Drgnął, nagle uświadamiając sobie, że wpatrywał się w nią o wiele dłużej, niż powinien.

– Sharman – przerwał ciszę, lecz dziewczyna nawet nie drgnęła. – Jesteśmy na miejscu.

Zmarszczył brwi, gdy na dźwięk jego słów Flora mocniej opatuliła się płaszczem i przycisnęła do szyby.

Wargi Haydena zacisnęły się w wąską kreskę. Kilka sekund później pochylił się w jej stronę.

– Sharman – powtórzył.

Zbudziła się gwałtownie, mrugnęła i odwróciła głowę, nie zdając sobie sprawy, że chłopak znajdował się tuż obok niej. Natrafiła na jego spojrzenie, mrucząc coś bełkotliwego sennym głosem. Nieświadomie omiotła ciepłym oddechem jego usta.

Hayden z trudem przełknął, czując, jak coś zacisnęło się wokół jego gardła. Nie odsunął się, choć powinien. Zamiast tego znów zerknął na jej mokre od deszczu policzki, zaspane oczy i lekko rozchylone usta, które nagle zdawały się irytować go odrobinę mniej.

– Dojechaliśmy pod twoje mieszkanie – poinformował.

Flora odwróciła głowę i wyjrzała przez boczną szybę. Kiedy znów skierowała wzrok na Sanclaira, ten wrócił już na miejsce.

– Och. No tak. – Uśmiechnęła się. – Dziękuję za podwózkę. – Sięgnęła po klamkę, a następnie otworzyła drzwi.

– Sharman, poczekaj. Nie odpięłaś… – Urwał, gdy plecy Flory uderzyły o oparcie fotela, a na jej twarzy zagościł grymas bólu. – …pasów – dokończył i sięgnął ręką w kierunku dziewczyny, aby uwolnić ją z więzów. – Powinienem odprowadzić cię do drzwi? – zapytał.

– Poradzę sobie – zapewniła, wychodząc na chodnik.

– Postaraj się nie zabić po drodze.

Znów obdarzyła go uśmiechem, choć odrobinę mniej entuzjastycznym niż wcześniej.

– Nie martw się, aż tak łatwo się mnie nie pozbędziesz – rzuciła, wzruszając ramionami.

Hayden pokręcił głową.

Nie odjechał, dopóki nie upewnił się, że Flora bezpiecznie weszła do budynku.

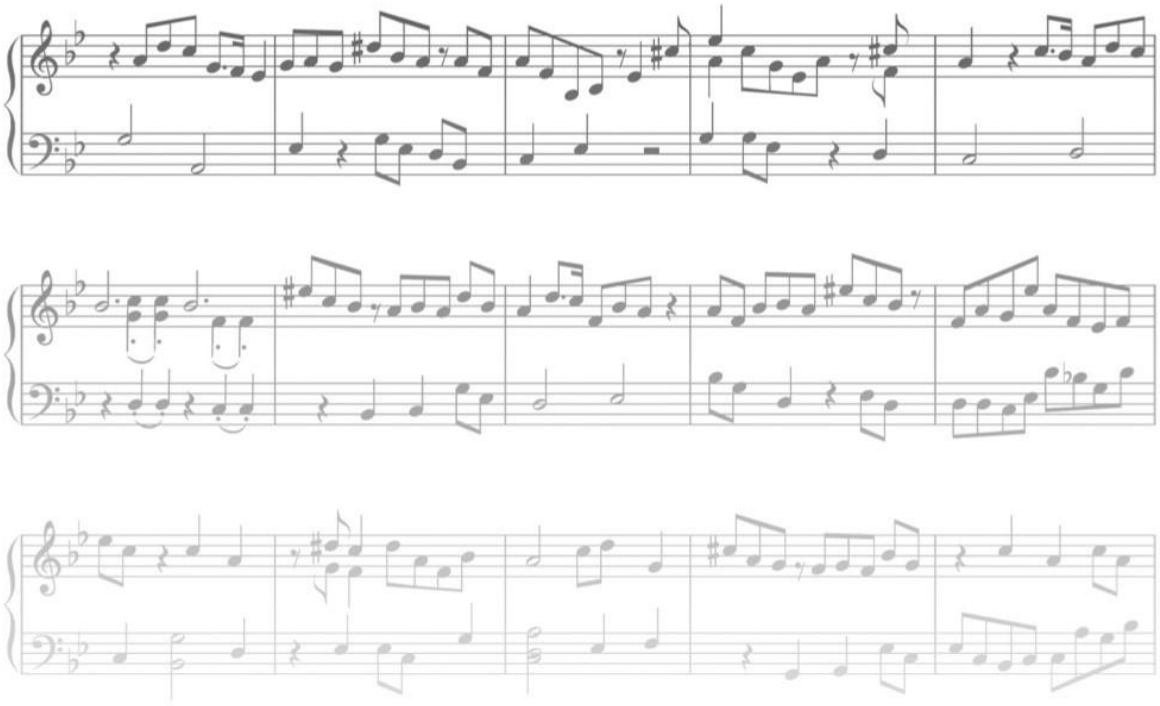

Rozdział 12

Zapomniany pokój na końcu korytarza

W czwartkowy poranek Flora nie zdołała przełknąć niczego prócz kilku łyków zimnej kawy, którą w pośpiechu chwyciła w drodze do drzwi. W windzie zorientowała się, że założyła na drugą stronę ciemny golf. Postanowiła jednak nie brać tego za zły znak. Nie miała też czasu, by wrócić do mieszkania i się przebrać.

Wychodząc z budynku, jak zwykle życzyła Edwinowi udanego dnia.

Zdołała zdążyć na metro, które ruszało ze stacji 191st Street punktualnie o siódmej trzydzieści, dzięki czemu dotarła na uczelnię niemal kwadrans przed rozpoczęciem zajęć. Uznała to za całkiem dobry początek.

Sala, w której odbywały się zajęcia prowadzone przez profesora Sanclaira, mieściła się na drugim piętrze budynku. Aby się do niej dostać, Flora musiała przejść przez niemiłosiernie długi korytarz i minąć co najmniej tuzin innych studentów. Kilka głów odwróciło się w jej kierunku, gdy szła przed siebie, z nosem wciśniętym w notatki Haydena. Wyglądało na to, że nie wszyscy zapomnieli teatralną scenę z jej udziałem, która rozegrała się pierwszego dnia roku akademickiego.

Jednak Flora nie zwracała na nich uwagi. W tej chwili wścibskie spojrzenia obcych ludzi nie znajdowały się nawet w pierwszej dziesiątce listy tego, co ją dręczyło.

Pierwsze miejsce na podium niezmiennie należało do Olivera Sanclaira.

Gdy dotarła do sali, większość miejsc była jeszcze pusta. Usiadła mniej więcej w połowie dziesiątego rzędu. Wybranie pierwszego byłoby ryzykowne, podobnie jak ostatniego – nie chciała, by profesor pomyślał, że próbowała się przed nim schować. Nawet jeżeli przez moment

rzeczywiście rozważała podobny scenariusz.

Na jasnym blacie położyła arkusz notatek, a następnie pochyliła się, by wyjąć laptopa z torby. I właśnie wtedy dostrzegła czerwony znacznik. Zapewne nie uznałaby go za nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że notatki, które dał jej Hayden, zadziwiały perfekcyjnym zapisem i wręcz nienaganną dbałością. Chłopak nie używał zakreślaczy, kolorowych długopisów ani zakładek.

Flora wyprostowała się na krześle, zmarszczyła brwi i otworzyła arkusz na zaznaczonej stronie. Znajdowała się na niej notatka dotycząca sprawy Tennessee v. Garner, o której nigdy wcześniej nie słyszała. Przesunęła wzrokiem po tekście, skupiając się na podkreślonych czerwonym długopisem zwrotach, takich jak: *Leslie Wright* i *Elton Hymon*, *Czwarta Poprawka* czy *Edward Garner*.

Kilka sekund przed tym, jak dotarła do ostatniej linijki tekstu, odgłosy rozmów innych studentów gwałtownie ucichły. Na dźwięk trzaśnięcia drzwiami Flora poderwała głowę.

Oliver Sanclair wszedł do sali bez słowa, towarzyszył mu jedynie akompaniament składający się z szeptów i otwieranych w pośpiechu podręczników. Mężczyzna stanął tuż przed biurkiem, po czym powiódł beznamiętnym spojrzeniem po twarzach młodych ludzi, którzy drżeli ze strachu, że jego wzrok zatrzyma się właśnie na nich.

– Wyobraźcie sobie, że… – Były to pierwsze słowa, jakie padły z jego ust. Żadnego przywitania, żadnych zbędnych formalności. – …że już jesteście prawnikami. Całkiem dobrymi, być może nawet jednymi z najlepszych. Prowadzicie dobrze prosperującą kancelarię na obrzeżach Manhattanu. Właśnie wygraliście dużą sprawę korupcyjną, nad którą pracowaliście przez ostatnie tygodnie. Jest sobota, późny wieczór. Zmęczeni zbieracie swoje rzeczy, wkładacie płaszcz i ruszacie do wyjścia, myśląc jedynie o tym, aby wrócić do domu, wziąć ciepłą kąpiel i zmienić niewygodną koszulę na ulubioną parę dresów. – Wsunął dłonie do kieszeni garniturowych spodni, na moment zawieszając głos. – Kiedy otwieracie drzwi, na ulicy w deszczu i zimnie stoi starsza kobieta. Zapłakana prosi was o pomoc. Co robicie? Rover?

Flora odetchnęła z ulgą, gdy zamiast jej nazwiska padło nazwisko chłopaka, który zajmował miejsce kilka rzędów wyżej.

– Prosimy, żeby wróciła w poniedziałek. Jest sobota, późny wieczór, i tak za dużo nie dałoby się zrobić. Potem wzywamy taksówkę, żeby nie wracała do domu w deszczu…

– Wyjdź – wtrącił Sanclair.

– Ale…

– Wyjdź – powtórzył spokojnym głosem. – I nie wracaj na moje zajęcia, dopóki nie zaczniesz poprawnie używać mózgu.

Rover rozejrzał się, jakby nie był pewien, czy profesor żartował. Nie odnajdując wsparcia u żadnego z kolegów, zaczął zbierać swoje rzeczy, a następnie odprowadzony przez ciszę opuścił salę.

Dopiero wtedy Sanclair podjął:

– Gdybyście postąpili tak, jak zasugerował wasz niewyedukowany kolega, ta kobieta nigdy więcej by do was nie przyszła. Ludzie proszą o pomoc tylko raz. Jeżeli jej nie otrzymają, szukają jej gdzie indziej. – Jeszcze raz się rozejrzał. – Jesteście tutaj, by w przyszłości pomagać ludziom, a nie być kolejnym Harveyem Specterem[14].

Gdy profesor ponownie zawiesił głos, Flora pochyliła się w kierunku notatek. To nie pomogło, bo już chwilę później z ust Sanclaira padło jej nazwisko:

– Sharman.

Dziewczyna przeklęła pod nosem, po czym powoli wstała.

– Co robisz? – zapytał.

– Zapominam o zmęczeniu, kąpieli i wygodnym dresie. Zapraszam kobietę do środka, oferuję jej coś ciepłego do picia, a potem zaczynam rozmowę, by dowiedzieć się, jakiej pomocy potrzebuje.

– Nieznajoma zaczyna płakać. Z trudem wydusza z siebie kolejne słowa. W końcu dowiadujesz się, że jej syn napadł na sklep jubilerski, a potem uciekając, został postrzelony przez policjanta. Kula niefortunnie uszkodziła jego kręgosłup, przez co do końca życia będzie jeździł na wózku. Kobiety nie stać na rehabilitację ani na leki dla syna. Prosi, byś jej pomogła. Błaga cię o to, oferując wszystkie swoje oszczędności. Co robisz, Sharman?

– Zgadzam się jej pomóc – odpowiedziała bez chwili zawahania.

– Dlaczego? – Sanclair rozłożył ręce. – Jej syn jest przestępcą. Złamał prawo, nie zatrzymał się, gdy policjanci kazali mu to zrobić. Jakich argumentów użyjesz, gdy sprawa trafi przed sąd?

– Ja…

– Co powiesz, Sharman?

Flora przełknęła z trudem. Miała wrażenie, że coś owinęło się wokół jej gardła i z każdą sekundą coraz mocniej je ściskało. Gorączkowo próbowała przypomnieć sobie wszystko, czego uczyła się w ciągu ostatnich dni. Wszystkie prawa, kodeksy, ale nic…

Zmarszczyła brwi i spojrzała w dół, na zaznaczony przez Haydena fragment notatek.

– Obawiam się, że sąd nie będzie miał względem ciebie aż tyle cierpliwości, Sharman. Może powinnaś poszukać odpowiedzi tam, gdzie Rover szuka swojej inteligencji? Za drzwiami mojej sali…

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty – wtrąciła, sprawiając, że profesor zamilkł, a następnie podniosła wzrok. – Sprawa Edwarda Garnera. Późnym wieczorem trzeciego października funkcjonariusze policji w Memphis zostali wezwani do włamania. Sprawcą był piętnastoletni chłopiec, który zaczął uciekać, gdy tylko zobaczył radiowóz. Kiedy dotarł do ogrodzenia z siatki, jeden z policjantów, używając latarki, mógł zobaczyć, że chłopiec nie był uzbrojony. Mimo to oddał strzał i śmiertelnie ranił go w głowę. Edward Garner zmarł chwilę po tym, jak trafił do szpitala.

Oliver Sanclair uniósł podbródek.

– Mów dalej – polecił.

– Rodzina chłopca wytoczyła proces najpierw policji, a potem całemu stanowi. Sąd orzekł, bazując na Czwartej Poprawce Konstytucji Stanów Zjednoczonych, na korzyść państwa Garnerów.

Profesor jej nie przerywał. Uważnie słuchał każdego słowa.

– Przytoczyłabym tę historię i porównała ją do tego, co spotkało syna mojej klientki, bo podobnie jak w sprawie Edwarda Garnera użycie śmiercionośnej siły jest nieuzasadnione w przypadku braku dowodów, że uciekający podejrzany stanowi fizyczne zagrożenie dla siebie lub dla kogokolwiek innego. Potem walczyłabym o odszkodowanie, które pokryłoby koszty rehabilitacji, a także potrzebnych leków.

Sanclair nie oderwał od niej spojrzenia nawet kilka sekund po tym, jak skończyła mówić. W końcu jednak skinął głową i powiedział:

– Usiądź, Sharman.

Flora opadła na krzesło.

Wówczas profesor dodał na tyle głośno, aby nawet stojący za drzwiami Rover był w stanie go usłyszeć:

– I właśnie tak postąpiłby prawdziwy prawnik.

*

Hayden w życiu najbardziej cenił święty spokój, ale ludzie, jak na złość, nieustannie go zakłócali. Najczęściej robiła to Flora Sharman, która niczym ciągnąca się za nim klątwa dopadała go zawsze wtedy, kiedy bardziej niż kiedykolwiek pragnął pozostać sam.

Gdy usłyszał jej głos jakiś czas po tym, jak późnym popołudniem opuścił mury uczelni, w pierwszej kolejności wziął to za wybryk zmęczonego umysłu. Nie spodziewał się jej tu spotkać.

– Zaczekaj!

Nie zatrzymał się. Szedł przed siebie, z dłońmi schowanymi w kieszeni płaszcza i z beznamiętnym wyrazem twarzy. Miał nadzieję, że jeżeli się nie odwróci, ona po prostu odpuści.

Problem polegał jednak na tym, że Flora Sharman nigdy nie odpuszczała. A on miał przekonać się o tym jeszcze nie raz.

Przystanął, gdy jej drobna sylwetka wyrosła przed nim niczym rzucona tuż pod nogi przeszkoda. Skrzywił się, dostrzegłszy promienny uśmiech na jej twarzy. Na tle panującej w mieście ponurej pogody wydawała się niemal nierzeczywista.

– Nie słyszałeś, jak cię wołałam? – zapytała.

– Słyszałem – odpowiedział. – Ale aż dotąd żywiłem nadzieję, że zdecydujesz się zostawić mnie w spokoju.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Chciałam tylko ci podziękować. No wiesz, za notatkę o sprawie Garnera.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Sharman.

– Nie zaznaczyłeś jej specjalnie? – zapytała.

Hayden spojrzał na nią z góry, po czym powtórzył:

– Nie wiem, o czym mówisz.

Flora powiodła za nim wzrokiem, gdy wyminął ją i ruszył dalej chodnikiem.

– Twoje notatki bardzo mi dzisiaj pomogły. Twój ojciec pochwalił mnie przed całą salą studentów.

– Gratulacje – rzucił przez ramię. – Pierwszy krąg piekielny masz za sobą. Przed tobą jeszcze pozostałych osiem.

Dziewczyna, niewiele myśląc, poszła jego śladem.

– Wiem, ale to chyba dobry początek, prawda? Nawet jeżeli twój ojciec miałby nienawidzić mnie choćby odrobinę mniej niż dotychczas, to i tak lepiej… – Urwała, gdy Hayden przystanął i gwałtownie się odwrócił, przez co Flora prawie na niego wpadła.

– Sharman… – zaczął, siląc się na spokój w głosie.

– Chciałabym jakoś ci się odwdzięczyć. Gdyby nie ty, pewnie płakałabym teraz w łazience jak Rover. Tylko damskiej, nie męskiej.

Hayden nie wiedział, kim, do cholery, był Rover, jednak ani trochę go to nie obchodziło.

– Zajęłaś się Julie. Jesteśmy kwita.

Zdążył tylko się odwrócić, zanim dodała:

– Może mogłabym zrobić coś jeszcze?

Sanclair zamknął oczy, uniósł podbródek i głęboko odetchnął. W jego skroniach zatlił się zalążek bólu. Mimowolnie pomyślał o tym, że Flora była niczym kamyk, który niepostrzeżenie wpada do buta, a potem dręczy człowieka przez resztę dnia.

– Jest jedna rzecz, którą mogłabyś dla mnie zrobić – zdradził, unosząc powieki.

Zwrócił się do niej, chcąc powiedzieć, by zostawiła go w spokoju. Zrobił przecież to, co obiecał – pomógł jej. Nie byli sobie już nic winni. Lecz kiedy spojrzał na błyszczące radością niebieskie oczy i na zdobiący jej twarz promienny uśmiech, z jego ust padły słowa inne od tych,

które zamierzał wypowiedzieć:

– Przestań się uśmiechać.

Kąciki warg Flory zadrżały, a jej brwi skrzywiły się w oznace konsternacji.

– Co?

Postawił krok w jej stronę. Gwałtowny. Szybki. Niespodziewany.

– Przestań się uśmiechać, Sharman – powtórzył. – Przestań…

Przestań być szczęśliwa, pomyślał.

Miał za sobą fatalny dzień, a patrzenie na jej uśmiech czyniło go jeszcze trudniejszym. Zupełnie jakby… jakby w głębi serca czuł zazdrość tak dotkliwą, że zapragnął ujrzeć na jej twarzy smutek podobny do tego, który sam odczuwał.

Flora się nie odsunęła, choć sądził, że tak właśnie postąpi. Zamiast tego zrobiła to, co on chwilę wcześniej – postawiła ku niemu krok, zadarła podbródek i spojrzała mu prosto w oczy.

W tej chwili bardziej niż jej uśmiechu Hayden nienawidził jej oczu. Pełnych łagodności, spokoju i zrozumienia, którym gardził.

– To ty zaznaczyłeś ten fragment w notatkach. Zrobiłeś to specjalnie. Wiem, że kłamiesz – stwierdziła, wkładając w tych kilka zdań tak wiele siły, jakby wierzyła w ich prawdziwość. – Nie mam tylko pojęcia, jakim cudem wiedziałeś, że właśnie tego będę dzisiaj potrzebować.

Sanclair omiótł wzrokiem jej twarz.

– Ale może to nie ma znaczenia? – Wzruszyła ramionami. – Uratowałeś mnie. I nieważne, jak bardzo chciałbyś, bym myślała inaczej, zrobiłeś to dlatego, że w głębi serca pragniesz, żeby ktoś dostrzegł, że nie jesteś do końca zły.

Hayden chciał zaprzeczyć, wyśmiać ją lub rzucić ciętą uwagę. Zanim słowa opuściły jego usta, dostrzegł, że uśmiech zniknął z twarzy Flory Sharman, jak sobie tego życzył. Stało się to jednak nie z jego powodu, lecz przez to, co ujrzała za jego plecami.

Zdawało się, że jej oczy rozbłysły. Dopiero chwilę później chłopak zrozumiał, że odbił się w nich blask budynku, przed którym stali.

– Czy to… – Uśmiech znów odnalazł drogę do jej twarzy.

Sanclair zerknął przez ramię. Spojrzał na to, na co z takim zachwytem patrzyła Flora – na widniejący w oddali, oświetlony łagodnym blaskiem budynek nowojorskiej filharmonii.

– Wow. Na żywo wygląda jeszcze piękniej niż na zdjęciach – wyszeptała, wymijając go. – Czy to prawda, że wszystkie klamki w środku są zrobione z prawdziwego złota? Nawet te w toaletach?

Hayden nie odpowiedział. W milczeniu wpatrywał się w ogromny budynek. Nawet tutaj, w sercu nowojorskiego Manhattanu, gdzie nocą świeciło tak wiele świateł, że trudno było dostrzec choć jedną gwiazdę, filharmonia zdawała się przyćmiewać wszystko inne.

– Zawsze chciałam odwiedzić to miejsce.

Na dźwięk głosu Flory potrząsnął głową. Gdy na nią spojrzał, dziewczyna oddaliła się od niego już na kilka metrów.

– Sharman! – zawołał za nią. Kiedy nie zareagowała, skrzywił się i niechętnie podążył jej śladem. – Wiesz, że nie możesz tak po prostu tam wejść, prawda?

– Dlaczego nie?

– Bo to najstarsza i najbardziej prestiżowa filharmonia w kraju, a nie pierwszy lepszy klub dla niespełnionych muzyków.

Dziewczyna zerknęła na niego z boku.

– Nie martw się. Przecież nikt nie musi wiedzieć, że tam jestem, prawda?

– Chcesz… Chcesz się tam włamać?

– Mniej więcej. – Wzruszyła ramionami.

Z chodnika przylegającego do jednej z głównych ulic przeszli na ogromny betonowy plac, który stanowił nieustannie bijące serce Lincoln Center. Z każdej strony otaczały go filharmonia, opera oraz siedziba New York City Ballet.

– Do reszty oszalałaś? – zapytał.

– Nie. Jestem po prostu szczęśliwa. Ty też powinieneś tego kiedyś spróbować.

Hayden się zatrzymał. Przez chwilę patrzył, jak Flora niestrudzenie brnie przed siebie. W tej chwili wyraźniej niż kiedykolwiek pomyślał o tym, że może była niespełna rozumu.

Wiedział, że o wiele rozsądniej byłoby odejść i pozwolić, by sama wpakowała się w kłopoty. Ale nawet mimo tej świadomości i rozumu, który nakazywał mu zapomnieć o Florze Sharman, nie ruszył się z miejsca.

– A niech cię, Sharman – syknął pod nosem, a potem poszedł za nią.

Minął ogromne, kamienne schody prowadzące do głównego wejścia, a następnie gwałtownie skręcił i zniknął za wschodnią ścianą budynku, jak chwilę wcześniej dziewczyna.

Dostrzegł otwarte drzwi, przez które w półmrok wypadał snop światła, podkreślając unoszące się drobinki kurzu. Stanął w wejściu, lecz rozciągający się przed nim szary korytarz był pusty.

– Sharman? – zawołał.

Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, znów przeklął ją w myślach. Potem zerknął przez ramię, po czym wszedł do budynku, w ślad za dziewczyną, której uśmiechu tak bardzo nie znosił.

Miejsce, w którym się znalazł, musiało być piwnicą, bo idąc przed siebie, natknął się na kilka zamkniętych, metalowych drzwi opatrzonych takimi nazwami jak: *elektrownia, magazyn sanitarny* czy *chłodnia.*

Wiszące nad jego głową podłużne lampy rzucające jaskrawe światło na betonową podłogę trzeszczały złowieszczo.

– Sharman? – powtórzył, docierając do końca korytarza.

Po jego prawej stronie znajdowały się kręte metalowe schody. Podążył nimi do starych, podrapanych drzwi, a kiedy je popchnął, obskurna piwnica zamieniła się w zapierający dech w piersi korytarz filharmonii. Wszędzie panowała cisza – ciężka i w niewytłumaczalny sposób rozkoszna.

Nigdzie nie było jednak śladu po Florze. Hayden uznał, że to nie mogło zwiastować niczego dobrego. W jednej chwili pożałował, że nie zdecydował się posłuchać intuicji i nie zostawił jej tu samej.

Nie był przecież księciem na białym koniu ratującym zagubione księżniczki.

Dlaczego więc za nią poszedł?

Nie po to, by uchronić ją od wpakowania się w kłopoty. Nie z dobroci serca, o jaką tak uparcie go posądzała. Zrobił to z ciekawości i może z odrobiny nostalgii. Bardzo dokładnie pamiętał dzień, w którym po raz ostatni przekroczył próg tego miejsca.

Wiele lat temu, gdy ojciec zabrał go tutaj w sobotni wieczór, kiedy Jetsi rozgrywali swój pamiętny mecz. Później Hayden już nigdy nie odwiedził filharmonii. Ani razu nie poszedł też na mecz amerykańskiego futbolu ani nie zjadł lodów w śnieżny wieczór.

Ale przede wszystkim – nigdy więcej nie był tak przepełniony nadzieją jak tamtego dnia.

Pomimo upływu tak wielu lat w tym miejscu czas zdawał się zatrzymać. Wszystko było tu takie jak dawniej – te same czerwone, aksamitne dywany na podłogach ciągnących się bez końca korytarzy. Identyczne zawieszone na sufitach szklane żyrandole z misternymi zdobieniami. I ten sam zapach – mieszanka drewna, kurzu oraz pasty do podłóg.

Tylko jedno wydawało się inne – teraz Hayden dostrzegał w tej ciszy o wiele więcej ukojenia niż dawniej, gdy był kilkuletnim dzieckiem. W tej chwili wydawała się niemal… jak

dom.

Skręcając z głównego korytarza w jeden z bocznych, po raz kolejny zawołał Florę:

– Shar… – Zamilkł. Słowa z niespodziewaną siłą zatrzymały się w połowie drogi do jego ust, zaplątane pomiędzy zaskoczeniem a brakiem wiary, iż to, co widzi, jest czymś więcej niż wynikiem zmęczenia.

Tuż przed sobą chłopak ujrzał stary automat ze słodyczami. Do pokrytej kurzem szyby ktoś przykleił kartkę z niestarannie zapisanym: *Nieczynne.* Choć maszyna liczyła sobie zapewne wiele lat i większość zdobiących ją kolorowych napisów była już praktycznie niewidoczna, Hayden rozpoznał ją od razu.

Jak mógłby zapomnieć coś, co zabrało mu kilka dolarów, nie dając nic w zamian?

Zaczerpnął głęboko powietrza, oderwał wzrok od automatu i spojrzał w kierunku skąpanego w mroku korytarza. Nie ruszył w jego stronę od razu. Przez kilka chwil nie był w stanie postawić kroku. Nie mógł zawrócić i nie mógł także iść przed siebie.

Być może odsunął wszystkie te wspomnienia tak bardzo, że gdy nagle musiał się z nimi zmierzyć, nie potrafił się wśród nich odnaleźć.

Przełknął z trudem, uświadamiając sobie, jak długo stał w miejscu, z dłońmi kurczowo zaciśniętymi w pięści.

Zaczął iść. Drewniana podłoga co krok skrzypiała pod naporem jego butów. Z każdym pokonanym centymetrem zapach kurzu wzbierał na sile, podobnie jak chłód, jakby to miejsce tkwiło w zapomnieniu od tak dawna, że nawet ciepło nie miało ochoty się tu zapuszczać.

Hayden wyciągnął przed siebie dłoń. Gdy po chwili poczuł pod palcami nierówności starych, dwuskrzydłowych drzwi, wypuścił z płuc drżący oddech. I znów się zawahał. Sparaliżowany nie strachem, lecz obawą, że jeśli wejdzie co środka, miejsce, które uchowało się w jego pamięci jako coś magicznego, okaże się rozczarowujące.

Zacisnął wargi w cienką linię, po czym w końcu popchnął drzwi. Te skrzypnęły z wysiłkiem, jakby od bardzo dawna nikt ich nie otwierał.

Jak się niebawem okazało, Hayden tkwił w błędzie. To, co raz zdołało porwać bez reszty ludzkie serce, nigdy nie miało zblednąć na tyle, by stracić dawny urok.

Pomiędzy wypłowiałymi kurtynami zwisającymi z sufitu i dawno zapomnianymi, popsutymi instrumentami, pozbawionymi blasku i życia, na niewielkim podwyższeniu, skryty w mroku, kurzu i ciemności, stał stary fortepian.

Ten sam, który szesnaście lat wcześniej skradł pewne chłopięce serce.

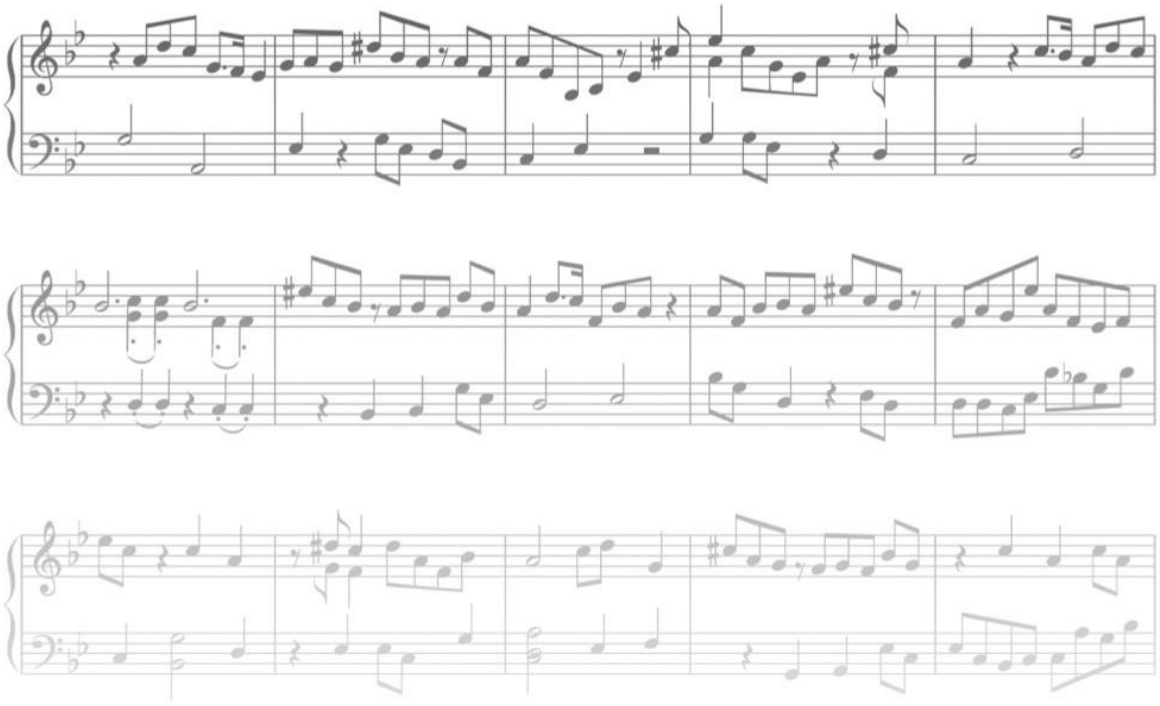

Rozdział 13

Złodziejka skrzypiec

Pierwszą myślą, jaka pojawiła się w głowie Flory, gdy dziewczyna znalazła się pomiędzy bezkresnymi korytarzami nowojorskiej filharmonii, było pytanie, które już niebawem miało doczekać się odpowiedzi. Jakim cudem miejsce, które z zewnątrz oczarowywało blaskiem, mogło być tak puste i martwe w środku?

W pewne piątkowe, słoneczne popołudnie, gdy Flora miała sześć lat, dziadek zabrał ją na pole golfowe. Była bardzo podekscytowana, kiedy dostała kij dobrany do swojego wzrostu, stylową czapkę, która co kilka sekund osuwała się na oczy, i zestaw okrągłych, białych piłeczek. Choć od tamtego czasu minęło ponad trzynaście lat, wciąż pamiętała gorzki smak rozczarowania, gdy odkryła, że golf był równie nudny, jak zagraniczne seriale, które każdego wieczoru oglądała jej babcia.

Mimowolnie pomyślała o tym, że filharmonia pod pewnymi względami przypominała pole golfowe. Jednak zamiast kilometrów idealnie przyciętej trawy podłogę zdobiły czerwone, obszyte złotą nicią dywany. Oprócz tego szczegółu wszystko inne było zadziwiająco podobne – ogromna, pusta przestrzeń i cisza tak rozległa i dokuczająca, że Flora nie miała odwagi głośniej zaczerpnąć powietrza.

Przez chwilę rozmyślała nad tym, czy nie powinna odwrócić się i wyjść stąd tak, jak się dostała – szybko, niezauważona przez nikogo. Zanim zdołała podjąć decyzję, w oddali rozbrzmiały stłumione rozmowy.

Flora zaklęła pod nosem, po czym niewiele myśląc, popchnęła pierwsze drzwi, które napotkała, i wpadła do zalanego ciemnością pomieszczenia. Opuszkami palców przesunęła po

wyłożonych miękkim materiałem ścianach, niemal potykając się o stopień, który pojawił się jakby znikąd.

Schody prowadzące na górę były wąskie i zadziwiająco miękkie. Dziewczyna nie była w stanie dostrzec niczego konkretnego, ale podejrzewała, że były przykryte czerwonym dywanem zdobiącym podłogi w korytarzach.

Ułamek sekundy przed tym, jak zorientowała się, dokąd przypadkowo zbłądziła, rozbrzmiał przepełniony irytacją męski głos:

– Na miłość Boską, to ostatnia próba przed jutrzejszym występem. Za kilkanaście godzin na tej widowni zasiądzie ponad trzysta osób i właśnie to zamierzacie im zaprezentować?!

Flora odsunęła ciężki materiał, który pojawił się przed nią równie niespodziewanie, jak kilkustopniowe schody. Jej oczom ukazała się ogromna, zbudowana na kształt koła przestrzeń. Większą jej część zajmowały puste w tej chwili miejsca, odrobinę mniejszą – scena, na której stał długowłosy mężczyzna z nienaturalnie wyprostowanymi plecami. Przed nim znajdowały się co najmniej dwa tuziny osób, a w ich dłoniach spoczywały instrumenty – skrzypce, klarnety, fagoty, puzony, a także dwie harfy i perkusja.

– Równie dobrze mogłem zaprosić do tego wystąpienia grupę przedszkolaków, choć podejrzewam, że nawet oni wykazaliby się większym zaangażowaniem niż wy! Zaczynamy od początku, jeszcze raz!

Na twarzach muzyków odmalowały się grymasy zmęczenia. Posłusznie jednak unieśli smyczki, gotowi po raz kolejny wypełnić martwą przestrzeń czymś innym niż cisza.

Kąciki ust Flory drgnęły ku górze na dźwięk pierwszych nut utworu *Time*[15] i na myśl, że mogła ujrzeć za darmo coś, za co ludzie zapewne zapłacą kilkadziesiąt dolarów.

Cofnęła się o krok, pozwalając, aby ciężka zasłona na powrót odcięła ją od światła. Ostrożnie pokonała schody, a kiedy dotarła do drzwi, w tle po raz kolejny rozbrzmiał pełen irytacji głos dyrygenta:

– Źle! Wszystko źle!

Dziewczyna wyszła na korytarz, upewniwszy się, że ten był pusty. Zamierzała dotrzeć do wyjścia tą samą drogą, którą dostała się do budynku. Kiedy jednak otworzyła drzwi, jej wzrok zatrzymał się na wiszącej na przeciwległej ścianie tablicy ogłoszeń. Wypełniały ją plakat zbliżającego się koncertu muzyki filmowej, ogłoszenie dotyczące korepetycji z gry na skrzypcach, a także…

Pokonała korytarz, nie odrywając spojrzenia od zawieszonej pomiędzy wyblakłymi plakatami kartki ze zdaniem napisanym elegancką, lekko pochyłą czcionką:

Egzaminy wstępne do Juilliard School![16]

Flora zerwała kartkę z tablicy, po czym wepchnęła ją na dno kieszeni płaszcza. Potem odwróciła się, gotowa jak najszybciej się stąd zmyć. Wtedy wydarzyło się coś, co miało zatrzymać ją w murach nowojorskiej filharmonii na wystarczająco długo, aby pojęła, że to miejsce w niczym nie przypominało nudnego pola golfowego.

Był to dźwięk.

Cała symfonia dźwięków, które pośród ciszy i pustki sprawiały wrażenie niemal nierealnych. Wdarły się do serca Flory tak dotkliwie, iż nie miała wątpliwości, że były czymś więcej niż wytworem jej wyobraźni.

Podążyła ich śladem, nie przejmując się tym, że ktoś mógł ją przyłapać. Pozwoliła, aby melodia prowadziła ją tam, dokąd zamierzała. Nie była głośna. Przypominała właściwie pełen nieśmiałości i powściągliwości szept.

Flora minęła nieczynny automat ze słodyczami. Kiedy wkroczyła do zalanego mrokiem

korytarza, zorientowała się, że ta namacalna rzeczywistość przypominała koszmar, który nawiedził ją kilka dni wcześniej.

Tak samo jak we śnie natrafiła na zimną klamkę starych drzwi. Melodia przybrała na sile, gdy dziewczyna je popchnęła, wkraczając do świata, który wydawał się nieprawdopodobnie nierealny i do bólu prawdziwy zarazem.

Pomiędzy blaskiem spadającym z zawieszonej na suficie lampy, tonami starych, wyblakłych kurtyn, duszącym zapachem kurzu, za dawno już zapomnianym fortepianem Flora ujrzała człowieka, którego miała okazję zobaczyć tamtego pamiętnego dnia, gdy ulewa zaprowadziła ją do *Sleepy Hollow*.

Człowieka oddanego muzyce do tego stopnia, jakby otaczający go świat właściwie nie istniał. Jakby nie był czymś więcej niż niewyraźne tło.

A muzyka, którą grał… Dobry Boże, Flora w całym życiu nie słyszała czegoś równie pięknego. Właśnie dlatego nie ruszyła się z miejsca. Skryta w przejściu pomiędzy korytarzem a tym opuszczonym pokojem, patrzyła, jak Hayden Sanclair sunął palcami po czarno-białych klawiszach. Miał zamknięte oczy, spokojny wyraz twarzy i…

Dziewczyna przechyliła głowę odrobinę w prawo, nie potrafiąc uwierzyć w to, co miała przed sobą. Kąciki ust Haydena drgnęły ku górze w czymś, co o wiele bardziej przypominało lekki uśmiech niż grymas. Nawet jeżeli był to tylko niewyraźny cień, w tamtej chwili Flora zrozumiała, że uśmiechy tych, którzy nie zdobywali się na nie zbyt często, skrywały w sobie najwięcej piękna.

Nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Bała się nawet mrugnąć z obawy, że mogłaby przegapić choćby fragment malującej się przed nią sceny. Pragnęła zachować ją w pamięci, mimo że wiedziała, iż nigdy nie będzie w stanie jej odtworzyć.

Ale to nie miało znaczenia.

W tej chwili nic nie wydawało się dość istotne, aby Flora miała ochotę zaprzątać sobie tym głowę.

Dlatego po prostu patrzyła. Patrzyła na drżenie kącików jego ust, gdy melodia płynnie zmieniała tempo. Na swobodne ruchy jego okrytych czarnym płaszczem ramion. Na kosmyki ciemnych włosów, które niedbale osuwały się mu na skronie, gdy pochylał się nad instrumentem.

Patrzyła na człowieka, do którego istnienia Hayden Sanclair tak bardzo nie chciał się przyznać.

Dziewczyna postawiła niewielki krok w przód.

Drzwi skrzypnęły, a muzyka gwałtownie ucichła, pozostawiając po sobie tylko mrukliwe echo.

Flora i Hayden poderwali głowy w tym samym momencie. Ich spojrzenia spotkały się gdzieś pomiędzy mrokiem a ciszą.

– Nie przestawaj – poprosiła.

Sanclair spojrzał na własne dłonie, których opuszki wciąż muskały klawisze. Jego palce delikatnie zadrżały, ramiona opadły, a z płuc uciekł urywany wydech. Nagle nie był w stanie wykonać ruchu.

– Proszę, nie przestawaj – powtórzyła głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

Chłopak zamknął oczy, zacisnął skostniałe z zimna dłonie w pięści, aby rozruszać zastygłe stawy, i znów zaczął grać, sprawiając, że na twarzy Flory pojawił się uśmiech. Wiedział, że podeszła bliżej. Słyszał deski podłogi uginające się pod naporem jej ciężaru, gdy szła ku niemu wolnym krokiem. Powoli i ostrożnie, jakby bała się, że ponownie mógłby przestać grać.

Dopiero wtedy Flora zrozumiała, że cisza, która w pierwszej chwili przyniosła jej tak wiele zawodu, istniała po to, aby być idealnym akompaniamentem dla granych w tym miejscu

utworów. Stanowiła tło, nie przeszkadzała.

Gdy rozbrzmiały ostatnie dźwięki melodii, Hayden odsunął dłonie od fortepianu, odetchnął głęboko, po czym spojrzał na Florę, która stała po drugiej stronie instrumentu.

– Przyłapałam cię. – Uśmiechnęła się do niego.

– Tak. Na to wygląda. – Ostatni raz zerknął na stare klawisze i ostrożnie zamknął klapę fortepianu.

– Co to za miejsce? – zapytała.

– To… – Rozejrzał się dookoła. – Wszyscy nazywają to graciarnią. Właśnie tutaj trafiają instrumenty, które nie są już dostatecznie dobre i sprawne, by brać udział w występach.

– Coś jak… umieralnia?

– Nie. – Znów spojrzał na fortepian. – Instrumenty nigdy nie umierają.

Flora powiodła wzrokiem po pomieszczeniu. W kącie dostrzegła stare, zapadnięte pianino. Dalej stała harfa bez strun, kilka bębnów i pęknięte skrzypce.

To miejsce napawało smutkiem. Było przepełnione nostalgią i wspomnieniami, do których być może już nikt nie wracał.

Gdy dziewczyna przeniosła wzrok na Haydena, dostrzegła, że opuszki jego palców sunęły po wyblakłym drewnie fortepianu. Z delikatnością, o jaką nie śmiałaby go podejrzewać.

Właśnie wtedy coś sobie uświadomiła.

– Byłeś tutaj już kiedyś, prawda?

– Raz – odpowiedział. – Tak dawno temu, że właściwie tego nie pamiętam.

Flora wiedziała, że było inaczej. Widziała to w wyrazie jego twarzy i w sposobie, w jaki patrzył na fortepian.

Nie zapomniał.

Niektóre wspomnienia, nawet po upływie czasu, nie blakną. Wręcz przeciwnie, wydają się coraz wyraźniejsze.

– Wiem, że tego nie lubisz… – zaczęła. – I wiem też, że ani trochę cię to nie obchodzi, ale… Lubię słuchać, jak grasz. Tamtego wieczoru, gdy po raz pierwszy trafiłam do *Sleepy Hollow*… W tamtej chwili bardzo potrzebowałam czegoś, co przypomniałoby mi o domu. A ty jakimś cudem zdołałeś sprawić, że poczułam się w tym mieście odrobinę mniej obco. Nawet jeżeli trwało to tylko kilka minut, dopóki nie odsunąłeś rąk od fortepianu i nie przestałeś grać. – Zawiesiła na moment głos. – Czasami, gdy tęsknota za rodzicami rozrywa mi serce, przypominam sobie utwór, który wtedy grałeś. Nie wiem dlaczego, ale to pomaga. – Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

Z każdym słowem, które opuszczało jej usta, Hayden czuł się coraz bardziej bezsilny. Zupełnie jakby Flora Sharman powoli kruszyła twardy kamień, którym obrosło jego serce.

– *Dream A Little Dream Of Me* – powiedział.

– Co?

– Melodia, którą przed chwilą grałem, to *Dream A Little Dream Of Me*. Podobała ci się?

– Tak – odparła, zdobywając się na uśmiech. – Bardzo.

Nagle zapragnął zagrać dla niej coś jeszcze. Zanim jednak zdołał rozchylić usta i zapytać, czy miała ochotę posłuchać jego gry, drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem, a do pomieszczenia wpadło światło latarki.

W wejściu pojawił się zarys sylwetki ochroniarki.

– Tu nie wolno wchodzić – poinformowała.

– My tylko… – powiedziała Flora.

Kobieta poświeciła latarką na ich twarze.

– Nie wyglądacie na złodziei, więc jeżeli grzecznie się stąd zmyjecie, obejdzie się bez

kłopotów, jasne?

– To właściwie moja wina… – Flora zamilkła, gdy Hayden niespodziewanie pojawił się tuż obok niej.

– Już nas nie ma. – Pochylił się, dodając ciszej: – Nie zgrywaj bohaterki, Sharman. – Chwycił jej nadgarstek, po czym pociągnął ją w stronę wyjścia.

Młoda ochroniarz odprowadziła ich czujnym spojrzeniem, kierując na nich światło latarki.

Hayden zatrzymał się po dotarciu do drzwi, gdy nagle do głowy wpadła mu pewna myśl.

– Kiedyś pracował tu pewien mężczyzna…

– Greyson – wtrąciła. – Richard Greyson. O niego pytasz, prawda?

– Tak.

– Zmarł rok temu. Pracował tutaj aż do ostatniego dnia – poinformowała. – Dobrze go znałeś?

Hayden pokręcił głową, ignorując nieprzyjemny ucisk w sercu.

– Nie – zaprzeczył. – Właściwie wcale go nie znałem.

Kobieta spojrzała na Florę, a potem znów na chłopaka.

– Wymknijcie się stąd, dopóki nikt was nie przyłapał, jasne? Macie sporo szczęścia, że trafiliście akurat na mnie. No już, pośpieszcie się!

Ruszyli pustym, ciemnym korytarzem. Flora z trudem nadążała za stawianymi przez Haydena krokami. Niemal biegła, aby nie zgubić go pośród otaczającego ich mroku.

Gdy w końcu wydostali się z zaułka, chłopak gwałtownie przystanął.

– Dlaczego…

– Choć przez moment nic nie mów, Sharman – uciął.

Właśnie wtedy Flora to usłyszała – dwa męskie głosy. Były tak wyraźne, że ten, kto szedł w ich kierunku, musiał znajdować się blisko. Zbyt blisko, by zdążyli dotrzeć do najbliższego zakrętu i dostać się na inny korytarz.

– Świetnie, już po nas – jęknęła. – Na dodatek to wszystko moja wina. Złapią nas, oskarżą o włamanie, potem trafimy do więzienia i….

– Przysięgam, że jeżeli wypowiesz jeszcze słowo, więzienie będzie twoim najmniejszym zmartwieniem – wtrącił. Bez ostrzeżenia znów chwycił jej nadgarstek i pociągnął ją za sobą.

– Dokąd…

Flora zamilkła, kiedy Hayden wcisnął ich w niewielką przestrzeń między starym automatem ze słodyczami a ścianą w kolorze wyblakłej brzoskwini. Jej plecy naparły na bok maszyny, klatka piersiowa natomiast zetknęła się z klatką piersiową chłopaka.

– Ciii… – szepnął.

Dziewczyna przełknęła z trudem.

Dwie osoby zbliżyły się na tyle, że Flora bez trudu rozpoznała głos dyrygenta:

– Te dzieciaki to idealny przykład tego, że młode pokolenie nie ma w sobie ani grama muzycznego wyczucia!

Drugi mężczyzna dodał ze znużeniem:

– Przesadzasz, Robercie.

– Jeżeli spędzę z nimi jeszcze minutę, będę zmuszony udać się na urlop zdrowotny. Moja dusza tego nie zniesie, panie dyrektorze!

– Moja cierpliwość nie zniesie dłużej twojego marudzenia…

– Słucham?

– Nic, nic. Tak tylko marudzę pod nosem.

Gdy się oddalili, Flora głęboko odetchnęła i oparła głowę o obudowę automatu. Właśnie

wtedy po raz pierwszy zorientowała się, jak niewielka odległość dzieliła ją i Haydena. Choć stwierdzenie, że w tej chwili cokolwiek ich dzieliło, było sporym niedopowiedzeniem.

Przestrzeń, w której się ukryli, była tak wąska, że gdy chłopak odwrócił głowę, jego usta zatrzymały się niebezpiecznie blisko ust Flory. Dziewczyna czuła na lekko rozchylonych wargach smak jego oddechu. Czuła siłę jego ciała, które przyciskało ją do maszyny. Czuła jego zapach, przez który tak trudno było jej zebrać myśli.

– Odeszli – stwierdziła w końcu.

– Wiem, Sharman. – Hayden głęboko odetchnął.

– Możemy już…

– Kłamałem – wtrącił.

Uniosła podbródek i odnalazła jego spojrzenie, lecz nie wypowiedziała ani słowa. Nie chciała mu przerywać.

– Zaznaczyłem fragment w twoich notatkach. Wczoraj, gdy na moment wyszłaś do toalety.

– Skąd wiedziałeś…

– Że ojciec zapyta cię właśnie o to? – dokończył. – Być może miałaś rację. Może przypominam go bardziej, niż chciałbym to przyznać…

– Nie. – Pokręciła głową. – Jesteś zupełnie inny, choć muszę przyznać, że marny z ciebie kłamca, Sanclair.

Kącik ust Haydena drgnął ku górze, sprawiając, że Flora znieruchomiała. Uśmiechnął się, a ona znajdowała się zbyt blisko, by mogła uznać to za zwykłe przywidzenie.

– Jakie to uczucie? – zapytała.

– Co?

– Jakie to uczucie być szczęśliwym? – powtórzyła.

Chłopak zmarszczył brwi. Pragnął zaprzeczyć, ale zanim się na to zdobył, jego wzrok omiótł twarz Flory i mimowolnie zatrzymał się na jej ustach. Przełknął z trudem, próbując zignorować dokuczliwe uczucie, które nagle zrodziło się w jego piersi.

Uniósł dłoń i oparł ją tuż obok głowy dziewczyny. Zdołał pochylić się zaledwie o marny milimetr, kiedy nagle poczuł, jak coś wbiło mu się w bok.

– Co, do… – Popatrzył w dół. – Sharman, powiedz mi, że to nie jest to, o czym myślę.

– To wcale nie są skrzypce, które ukradłam – stwierdziła, a Hayden spojrzał jej w oczy. – No co, sam tego chciałeś.

– Ukradłaś cholerne skrzypce – powtórzył, jakby musiał wypowiedzieć te słowa na głos, aby wydawały się mniej abstrakcyjne.

– I tak są popękane. Uznałam, że skoro ktoś je wyrzuci, mogę je zabrać.

Sanclair się cofnął, po czym oparł plecy o ścianę.

– Po co ci skrzypce, Sharman? – zapytał.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Znam kogoś, kto ich potrzebuje. Naprawię je. – Przycisnęła do siebie drewniany instrument. – Mam je odnieść?

Hayden się skrzywił.

Wiedział, że skrzypce i fortepian, o który tak dbał Richard, czekał ten sam los. Skoro nikt już ich nie potrzebował i o nich nie pamiętał, zostaną zniszczone, by nie zabierały miejsca.

– Nie – odpowiedział, wyciągając ku niej dłoń. – Po prostu stąd spadajmy, okej?

Flora znów schowała stare skrzypce pod płaszczem, obdarzyła chłopaka uśmiechem, po czym bez słowa chwyciła jego rękę.

– Jak szybko biegasz, Sharman? – zapytał.

– W szkole średniej byłam najgorsza w całej klasie…

– W takim razie będziesz musiała cholernie mocno się postarać, jasne?

– Ale…

Nie pozwolił jej dokończyć. Pociągnął ją za sobą i chwilę później pokonywali korytarze nowojorskiej filharmonii, trzymając się za ręce.

Złodziejka skrzypiec i mężczyzna, który jako chłopiec nie śmiałby podejrzewać, że pewnego dnia poczuje się w tym miejscu jak w domu.

*

Gdy wydostali się na zewnątrz, trafili w środek ulewy, która tego wieczoru po raz kolejny nawiedziła Nowy Jork.

Hayden schował się za jednym z marmurowych filarów podtrzymujących kwadratowy dach filharmonii.

– Sharman, zmokniesz… – Nie dokończył, gdy dostrzegł na jej twarzy uśmiech.

Stała w deszczu, otoczona szarymi betonowymi budynkami, oświetlona żółtym blaskiem wysokich lamp. Ze starymi, popękanymi skrzypcami w dłoni, z twarzą zwróconą ku czarnemu jak atrament niebu. Uśmiechała się, jakby nie pragnęła być w żadnym innym miejscu. Jakby nie czuła zimnych kropli, które atakowały policzki, ani wiatru próbującego wedrzeć się pod poły płaszcza.

Oddychała ciężko. Policzki miała nienaturalnie różowe od wysiłku, a drobne dłonie skostniałe z zimna.

– Sharman…

– Zamiast tak tam stać, po prostu spróbuj – wtrąciła.

– Mam… stać na deszczu i moknąć?

Posłała mu kolejny, tym razem pełen rozbawienia, uśmiech i pokręciła głową.

– Nie. Spróbuj nie myśleć. Niczym się nie zamartwiać. Udawać, że nic innego w tej chwili nie istnieje. – Zamknęła oczy i ponownie skierowała twarz ku górze.

Czyżby oszalała?, pomyślał, choć szybko przypomniał sobie, że Flora Sharman nigdy nie wydawała się do końca normalna. Przypominała zagubionego fiołka, który przez przypadek wyrósł pomiędzy pokrytymi przez kolce różami.

Nie pasowała do tego świata, choć zdawało się, że jakimś cudem czyniła go mniej… brutalnym i przerażającym.

Hayden się rozejrzał. Minęła dłuższa chwila, zanim w końcu wyszedł spod dachu chroniącego go przed deszczem. Stanął obok Sharman i po raz kolejny się zawahał.

– To nic strasznego – zapewniła, jakby była w stanie wedrzeć się do jego myśli. – Właściwie… to jedna z najlepszych rzeczy, jakie można dla siebie zrobić. Po prostu spróbuj.

Po prostu spróbuj.

Sanclair uniósł głowę i spojrzał na wieczorne niebo. Skrzywił się, gdy krople zaczęły opadać mu na policzki.

– Zamknij oczy – poleciła.

Zrobił to.

– I po prostu udawaj, że na ten moment świat przestał istnieć.

Nie poczuł tego od razu. Potrzebował czasu, aby uciszyć dręczące go myśli. Jednak kiedy w końcu to się stało, deszcz nagle wydał mu się przyjemnie ciepły. Dźwięki zamilkły. Nie słyszał szumu nowojorskich ulic, odgłosu ulewy uderzającej o brukowany chodnik, ani śmiechów idącej nieopodal grupki nastolatków.

Jedynym, co był w stanie usłyszeć, było bicie własnego serca – równomierne, spokojne,

kojące.

– Czasami mi ich brakuje – szepnęła niespodziewanie Flora.

Rozchylił powieki i zerknął na nią z góry.

– Rodziców? – zapytał.

– Gwiazd – wyjaśniła, odwracając głowę. – Odkąd tutaj przyjechałam, nie widziałam ani jednej gwiazdy. – Odetchnęła głęboko. – Zapomniałabym, mam coś dla ciebie. – Wsunęła dłoń do kieszeni płaszcza, by wyjąć z niej nieco przemoknięty kawałek papieru. Wręczyła go Haydenowi. – Gdy tylko to zobaczyłam, od razu pomyślałam o tobie.

Sanclair, zaciskając palce na brzegach papieru, nie odrywał spojrzenia od ulotki i widniejącego na niej pogrubionego napisu:

Zostań częścią naszej muzycznej przygody i studiuj na najlepszej muzycznej uczelni w kraju!

– To podobno całkiem niezłe miejsce. Przyjmują tylko najlepszych, ale wiem, że gdyby tylko usłyszeli, jak grasz…

– Nie.

Flora spojrzała na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

– Ale…

– Powiedziałem „nie", Sharman. – Znów nie pozwolił jej dokończyć.

Nagle na powrót stał się tym, kim był w oczach innych – zimnym, pozbawionym uczuć chłopakiem, który nigdy się nie uśmiechał. Nie było już śladu po człowieku, który wyszedł z cienia w zapomnianym pokoju na końcu korytarza.

– Myślałam, że…

– Właśnie na tym polega problem, rozumiesz? – Na jego twarzy błysnęła złość. – Nieustannie myślisz, że mnie znasz.

W jego głosie rozbrzmiał tak dotkliwy chłód, że dziewczyna cofnęła się o krok. Jej wargi zadrżały, gdy rozchyliła je, by coś powiedzieć.

– Chciałam tylko… – Nie dokończyła rozpoczętej myśli.

Dostrzegła w jego oczach coś, co sprowadziło do jej serca poczucie winy, choć wiedziała, że nie zrobiła niczego złego. Chciała tylko… Chciała, aby ktoś inny mógł usłyszeć jego grę. Chciała, by ludzie dostrzegli, jak wiele talentu kryło się pod tą obojętnością i zimnem.

Chciała, aby ktoś oprócz niej mógł czerpać przyjemność z melodii wygrywanych przez jego palce. Wierzyła całym sercem, że te piękne dźwięki nie zasługiwały na to, by tkwić w ciemności, skryte w kącie obskurnego baru, gdzie nikt nie potrafił cieszyć się ich pięknem tak, jak na to zasługiwały.

– Skąd mam wiedzieć, kim jesteś, skoro sam nie masz o tym pojęcia? – zapytała. Słowa wydostały się z jej ust niepostrzeżenie, wbrew woli rozumu.

Hayden wykrzywił twarz w grymasie, cofnął się o krok, a w końcu odwrócił się i odszedł.

Flora nie zdołała go zatrzymać.

Gdy jego sylwetka zniknęła w deszczu, dziewczyna spojrzała na ulotkę, którą ukradła z tablicy ogłoszeń, tonącą teraz w kałuży.

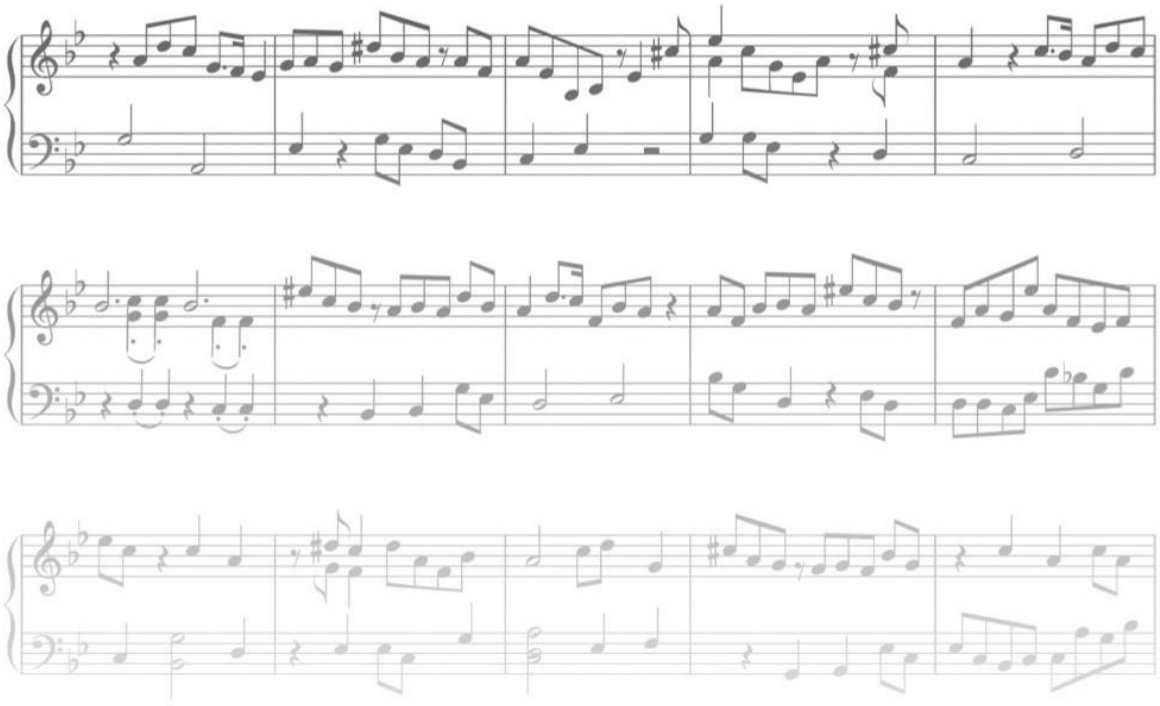

Rozdział 14

Steinway & Sons

– Wszystko w porządku?

Flora poderwała głowę i spojrzała na siedzącą po drugiej stronie stołu Jocelyn. Marszcząc brwi, starała się, aby zaskoczenie nie odznaczyło się na jej twarzy. Nie miała pojęcia, w którym momencie dziewczyna się do niej dosiadła.

– Nie musisz odpowiadać – dodała, sięgając po papierowy kubek z dietetyczną colą. – Od pięciu minut gapisz się na ten jogurt, jakby był podwójną kanapką z McDonald's. Niech zgadnę… Sanclair znów cię dręczy?

Sharman pokręciła głową.

– Nie. Właściwie… Wczoraj chyba nawet udało mi się mu zaimponować.

– I świętujesz to jogurtem proteinowym? Takie coś jest warte przynajmniej dobrego piwa. Korzystając z okazji, że jest piątek i obie zaraz kończymy zajęcia, co powiesz na wypad do pubu?

– Nie dzisiaj, Jocelyn.

– Jeżeli nie pójdziesz, będę skazana na bliźniaczki Olsen. Wierz mi, kocham je całym sercem, ale tylko wtedy, gdy są osobno. We dwie tworzą mieszankę wybuchową, której moja psychika nie jest w stanie znieść dłużej niż dwie godziny.

Flora posłała jej przepraszający uśmiech.

– Naprawdę mi przykro, ale chyba wrócę do domu i pooglądam jakiś serial. Ostatnio kiepsko sypiam.

Jocelyn wzruszyła ramionami.

– Jak wolisz, ale przynajmniej obiecaj, że na imprezę halloweenową wybierzemy się razem.

– Impreza halloweenowa? – powtórzyła.

– To tradycja, Sharman – wyjaśniła.

– Kiedy ostatni raz celebrowałam waszą tradycję, prawie złapała mnie policja.

Jocelyn zgarnęła ze stołu kubek z colą.

– W Nowym Jorku wszystkie imprezy kończą się przyjazdem policji. To wyznacznik tego, czy w ogóle warto tam być. – Wypowiedziała te słowa z lekkością, jakby naprawdę wierzyła, że było to czymś normalnym. – W Filadelfii jest inaczej?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – Uniosła brwi w zdziwieniu.

– W liceum nie byłam raczej… No wiesz, typem imprezowiczki.

Na twarzy Jocelyn rozkwitł promienny uśmiech.

– W takim razie masz szczęście, że spotkałaś mnie, Sharman. Zapewniam, że na tej uczelni nie ma nikogo, kto lepiej pokazałby ci, jak należy się bawić. – Puściła jej oczko. – W przyszłym tygodniu pójdziemy na zakupy i kupimy jakieś sexy przebrania.

– Nie wiem, czy to…

– Nawet nie chcę słyszeć wymówek, jasne? – wtrąciła, wstając na równe nogi. – Dzisiaj ci odpuszczę, ale corocznej imprezy halloweenowej nie możesz przegapić. Wyluzowanie na jeden wieczór jeszcze nikogo nie zabiło.

– Znając moje szczęście, mogę być pierwsza. – Skrzywiła się.

Jocelyn pokręciła głową.

– Cokolwiek cię dręczy, chyba nie może być gorsze niż Sanclair, prawda? – Wzruszyła ramionami.

Flora zdobyła się na blady uśmiech, bo nie mogła przyznać, że to właśnie Sanclair był tym, co ją dręczyło. Jednak nie ten Sanclair, którego Jocelyn miała na myśli.

*

Późnym popołudniem Flora z ulgą wsiadła do zatłoczonego metra. Stojąc ściśnięta pomiędzy tłumem wracających z pracy nowojorczyków, starała się nie przegrać nierównej walki ze zmęczeniem. Wizja powrotu do domu i wieczoru spędzonego w łóżku nie wydawała jej się pocieszająca.

Nawet Edwin, który jak zawsze przywitał ją nieprawdopodobnie zaraźliwym uśmiechem, nie był w stanie poprawić dziewczynie humoru.

– Ciężki dzień? – zapytał.

– Ciężki tydzień – odparła.

– W takim razie powinniśmy się cieszyć, że właśnie się kończy, prawda?

– Tak – zgodziła się, próbując odwzajemnić jego uśmiech. – Spokojnego wieczoru, Edwinie.

– Wzajemnie, panienko Sharman.

Flora przeszła szerokim holem i wsiadła do windy. Oparła się o wiszące w niej lustro i zamknęła oczy, wypuszczając z płuc powietrze. Dopiero wtedy pozwoliła, aby jej twarz ozdobił grymas. Wcześniej nie miała serca tego zrobić. Kiedy widziała, że Edwin pracował na dwie zmiany, by kupić nowe skrzypce dla wnuka, jej zmęczenie wydawało się dziwnie śmieszne.

Drzwi windy zaczęły się zamykać, po czym gwałtownie się zatrzymały, gdy wsunęła się pomiędzy nie męska dłoń.

Kiedy Flora rozchyliła powieki, ujrzała przed sobą twarz Ralpha. Nie sposób było

pomylić go z kimś innym. W końcu nie istniało zbyt wielu ludzi, którzy odważyli się wychodzić z domu w satynowym dresie.

– Dobry Boże, wyglądasz jak…

– Jak obraz zmęczenia, rozpaczy i załamania psychicznego? – dokończyła.

– Mniej więcej. – Nie próbował kłamać. – Spałaś w ogóle?

– Tak.

Ralph stanął tuż obok niej i na elektronicznym panelu wcisnął numer piętra, na którym mieściły się ich mieszkania. Potem z pełnym współczucia uśmiechem spojrzał na Florę.

– Chcesz o tym pogadać? – zapytał.

– Nie – odparła. – Tak. – Skrzywiła się. – Sama nie wiem. Chodzi o to, że… Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo się wściekł. Przecież nie zrobiłam nic złego, prawda? Chciałam tylko pokazać, że w niego wierzę i że moim zdaniem jest świetny, więc nie powinien ukrywać tego przed światem. Dałam mu tylko to ogłoszenie, sugerując, że może powinien spróbować. Mógł to przemyśleć, nie musiał od razu zachowywać się jak… – Zamilkła, gdy zabrakło jej tchu.

Ralph otworzył szeroko oczy.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale to brzmi jak coś, do czego potrzebne nam będzie martini. – Wyszedł na korytarz, kiedy drzwi windy się rozsunęły. – Chodźmy. – Uniósł papierową torbę, którą trzymał w dłoni. – Na nasze szczęście właśnie kupiłem nową butelkę.

Flora bez słowa ruszyła za Ralphem do jego mieszkania. Z zadziwiającą łatwością porzuciła myśl o wieczorze spędzonym samotnie w łóżku. Wiedziała, że gdyby została zupełnie sama z dręczącymi ją myślami, nie miałaby siły, aby stawić im czoła.

Po drodze opowiedziała Ralphowi o tym, co wydarzyło się w filharmonii, a także chwilę po tym, jak wspólnie z Haydenem się z niej wydostali.

– Z racji tego, że nie pijesz, mam dla ciebie koktajl bananowy. – Postawił przed nią szklankę z żółtym, gęstym płynem, który nie wyglądał zachęcająco. – Wiem, że przypomina wymiociny, ale smakuje o wiele lepiej, niż wygląda. Myślę, że smak banana całkiem dobrze pasuje do smutku i rozpaczy.

Na twarzy Flory pojawił się lekki uśmiech.

– Tak lepiej. – Ralph usiadł po drugiej stronie kuchennego blatu, w dłoni trzymając kieliszek martini. – Wracając do tego, co mówiłaś w windzie…

– Chciałam tylko mu pomóc – szepnęła.

– Och, skarbie.

– Nie chciałam zrobić nic złego.

– Wiem, ale czy choć przez moment pomyślałaś o tym, że on nie chce pomocy? – zapytał.

Flora odwzajemniła spojrzenie Ralpha i pokręciła głową.

– Nie. Ja… – Urwała, uświadamiając sobie, jak wielki błąd popełniła.

– Przyjechałaś do Nowego Jorku, by spełnić swoje marzenie. Masz rodziców, którzy cię w tym wspierają i kibicują ci na każdym kroku. Nie wszyscy mieli w życiu tak wiele szczęścia.

Ramiona dziewczyny się przygarbiły. Nie wiedziała, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała. Dlaczego tak oczywista kwestia przez cały czas jej umykała?

– Trudno jest podjąć walkę, gdy nie ma się nikogo u swojego boku – dodał Ralph.

Miał rację, a ona powinna była zrozumieć to dużo wcześniej.

Hayden Sanclair miał wielu przyjaciół. Gdy szedł korytarzami uczelni, śledziły go spojrzenia praktycznie wszystkich studentów. Każdy z nich znał jego nazwisko. Każdy znał jego ojca. Każdy wiedział, jak wspaniała i świetlana malowała się przed nim przyszłość. Każdy się do niego uśmiechał, witał się z nim, zamieniał kilka słów.

Nikt z nich jednak nie wiedział, że Hayden każdej nocy wymykał się z domu i wymyślał kolejne kłamstwo, aby przez kilka godzin grać na starym fortepianie melodie, których nikt nie słuchał. Skryty w cieniu, w kącie dawno zapomnianego nowojorskiego baru.

Nikt, oprócz niej.

Flora spojrzała na Ralpha i odpowiedziała:

– On nie jest sam.

Kąciki jego ust drgnęły, jakby właśnie to spodziewał się usłyszeć.

– Czy ktoś już kiedyś mówił ci, że masz zbyt dobre serce, Floro? – Wstał i podał jej dłoń. – Chodź. Chyba mam coś, co może ci pomóc. – Poprowadził ją przez salon, aż do drzwi, które mieściły się na końcu długiego korytarza. – Odziedziczyłem go po matce – zdradził, sięgając do klamki. – Aż do śmierci uparcie wierzyła, że porzucę aktorstwo dla muzyki. Teraz służy mi za stolik na kwiaty. – Otworzył drzwi. – Cóż, bardzo duży stolik. – Zerknął na Florę. – Tobie chyba bardziej się teraz przyda.

*

– Koniec na dzisiaj? – Loren zerknęła na stary zegar wiszący nad barem. Przez pęknięte szkło trudno było dostrzec godzinę. – Dopiero dziewiąta.

– W fortepianie zerwała się struna – wyjaśnił Hayden. – Kupię nową i jutro ją wymienię, ale dzisiaj nie dam rady zagrać nic więcej.

– To już drugi raz w tym miesiącu. – Pokręciła głową. – Nasz staruszek chyba powoli szykuje się na emeryturę, co?

– Fortepiany nie umierają, Loren.

– Moja cierpliwość do tego starocia wręcz przeciwnie.

Hayden zniknął na zapleczu, gdzie odłożył nuty. Wrócił chwilę później, narzucił na ramiona czarny płaszcz i zapewnił:

– Jutro wrócę z nową struną. Nie martw się. Ten fortepian zniesie znacznie więcej, niż podejrzewasz.

– Haydenie. – Loren zatrzymała Sanclaira, gdy ruszył w kierunku wyjścia.

Chłopak zerknął na nią przez ramię.

– Tak?

– Wiem, że jeżeli pozbędę się tego fortepianu, nie będziesz miał, gdzie grać, ale on nie będzie stał tu wiecznie. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jakim cudem potrafisz jeszcze coś z niego wykrzesać. To tylko kwestia czasu, aż zamilknie na dobre. Nic nie jest wieczne. Nawet fortepiany.

– Wiem.

– Przykro mi. Wiem, jak wiele on dla ciebie znaczy.

– To tylko fortepian. – Hayden wzruszył ramionami.

Loren wiedziała, że dla niego był czymś znacznie więcej.

– Dobranoc, Loren.

– Dobranoc, Haydenie.

Chłopak popchnął drewniane drzwi, pokonał kamienne trzystopniowe schody i wyszedł na zewnątrz, gdzie niemal od razu zaatakował go powiew wiatru, który przyniósł za sobą mżawkę.

Wiszące nad jego głową nocne niebo było tak czarne, że trudno było dostrzec na nim choć jedną deszczową chmurę. Wyglądało jednak na to, że deszcz znów nawiedził miasto.

Hayden odwrócił się w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu. Zdołał postawić zaledwie krok, zanim dostrzegł stojącą przy nim postać.

Westchnął, sprawiając, że Flora również go zauważyła.

– Przepraszam. – Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała, gdy do niej podszedł.

– Zbyt często przepraszasz, Sharman.

– Zbyt często mam ku temu powód – odparła.

Nie zaprzeczył.

– Wiesz, że nie musiałaś specjalnie tutaj przychodzić, prawda? – zapytał.

– Na początku chciałam wysłać do ciebie wiadomość i dołączyć zdjęcie smutnego kota, żeby zmiękczyć twoje serce, ale uznałam, że lepiej będzie, jeżeli załatwię to osobiście. Naprawdę mi przykro. Wczoraj… Czasami mówię coś, zanim dobrze to przemyślę.

Sanclair wsunął dłonie do kieszeni płaszcza i uniósł ciemną brew.

– Czasami?

– No, może częściej niż czasami. Przepraszam.

Omiótł wzrokiem jej twarz, lecz w końcu dał za wygraną.

– Wskakuj do samochodu, Sharman. Podrzucę cię do domu – zaproponował.

– Czy to znaczy, że już nie jesteś zły?

Nie odpowiedział, zamiast tego otworzył dla niej drzwi od strony pasażera i powtórzył:

– Wsiadaj.

Flora wgramoliła się na fotel, a Hayden zajął miejsce za kierownicą.

– Zapnij pasy – polecił.

Odpalił silnik i ruszył, dopiero gdy to zrobiła. Stary range rover już po chwili wcisnął się w korek, który w ślimaczym tempie ciągnął się Madison Ave w kierunku Galerii Lefebvre[17].

Flora wsunęła zmarznięte dłonie pomiędzy uda, co nie umknęło uwadze chłopaka.

– Jak długo tam stałaś? – zapytał.

– Jakieś dwa kwadranse.

– Dlaczego, do cholery, nie weszłaś do środka?

– Przecież sam powiedziałeś, że to nie jest miejsce dla mnie. – Wzruszyła ramionami.

Prychnął pod nosem.

– Od kiedy mnie słuchasz, co, Sharman?

Nie odpowiedziała, zamiast tego odwróciła głowę i wyjrzała przez boczną szybę. Choć na usta cisnęło jej się tak wiele ciętych słów, zachowała je dla siebie. Przynajmniej do czasu, aż nie przemyśli dobrze każdego z nich. Pociągnęła nosem, mocniej otulając się płaszczem.

Przez chwilę w samochodzie panowała cisza, którą przerywał tylko nierówny oddech dziewczyny.

Hayden próbował skupić się na drodze. Za każdym razem, kiedy był pewien, że już mu się to udało, do jego głowy powracała irytująca świadomość, że Flora Sharman siedziała tuż obok, drżąc z zimna. Skrzywił się nieznacznie i podkręcił ogrzewanie.

– Nie byłem zły – stwierdził, sprawiając, że odwróciła twarz od okna i niepewnie na niego spojrzała. – Nie na ciebie. Byłem zły na to, że miałaś rację. Ale Juilliard School nie jest dla takich jak ja. Nikt nigdy nie nauczył mnie, jak grać. Do wszystkiego, co potrafię, doszedłem sam.

– Chyba właśnie tak brzmi definicja talentu – szepnęła.

Pokręcił głową.

– Nie rozumiesz. – Popatrzył na drogę.

Flora mimowolnie przypomniała sobie słowa Ralpha: *Nie wszyscy mieli w życiu tak wiele szczęścia.*

– Chyba rozumiem – przyznała cicho, przenosząc wzrok na rozciągający się za przednią szybą obraz.

Pierwszy raz w życiu Flora Sharman poczuła wdzięczność. Za rodziców, którzy zawsze

stali za nią murem. Za miłość, jaką ją obdarzyli. Za wsparcie, które od nich otrzymała. Żałowała, że wcześniej nie doceniała tego tak, jak powinna.

– To na mnie nie działa. – Hayden niespodziewanie przerwał ciszę. – Smutne koty – dodał, gdy na niego spojrzała.

– Wow. – Pokręciła głową. – Ty naprawdę nie masz serca.

Uśmiechnął się kącikiem ust, praktycznie niezauważalnie. To jednak wystarczyło, aby twarz Flory ozdobił uśmiech.

Tak, uśmiechy tych, którzy nie zdobywali się na nie zbyt często, wydawały się odrobinę cenniejsze.

– Wejdziesz? – zapytała, gdy kilka minut później samochód zatrzymał się przed budynkiem, w którym mieściło się jej mieszkanie.

– Jest późno…

– Tylko na chwilę – wtrąciła. – Chciałabym ci coś pokazać. Obiecuję, że to nie zajmie zbyt wiele czasu.

Chłopak uważnie jej się przyjrzał i w końcu przystał na propozycję.

*

Flora wsunęła klucz do zamka, a następnie przekręciła go, sprawiając, że po korytarzu rozniósł się trzask metalu. Potem otworzyła drzwi i weszła do środka, upewniając się przez ramię, że Hayden szedł za nią.

Zatrzymała się dopiero na końcu korytarza. Odszukała włącznik światła, pozwalając, aby jasność przepędziła mrok i zalała salon blaskiem.

– Co chciałaś mi… – Sanclair zamilkł, dostrzegając to, co trudno było przeoczyć.

Na środku salonu, obok rzędu ogromnych okien, za którymi rozciągał się widok na nocną panoramę Central Parku, stał praktycznie nowy albo przynajmniej zachowany w świetnym stanie, błyszczący, czarny Steinway[18].

Ramiona Haydena opadły, przygniecione świadomością, że Flora Sharman być może rzeczywiście była tak szalona, jak podejrzewał.

– Kupiłaś… fortepian? – zapytał.

– Nie należy do mnie – wyjaśniła. – Od lat nikt na nim nie grał. Pomyślałam, że gdybyś zmienił zdanie, mógłbyś na nim ćwiczyć.

Sanclair nie odrywał wzroku od instrumentu. Nigdy wcześniej nie miał okazji grać na fortepianie podobnej klasy. Niewiele z nich także widział na własne oczy.

– Wiesz, nie znam się na fortepianach. Nie wiem nawet, do czego służą wszystkie te pedały ani co oznaczają te śmieszne wzorki na początku pięciolinii. Ale wiem, że wbrew temu, co sądzisz, bardziej niż ktokolwiek inny zasługujesz na miejsce w Juilliard School.

Hayden spojrzał na łagodny uśmiech widniejący na twarzy Flory.

– Miałeś rację – dodała. – Nie znam cię. Nie wiem, kim jesteś. Ale bardzo chciałabym poznać chłopaka, którym się stajesz, gdy siadasz za fortepianem i zaczynasz grać.

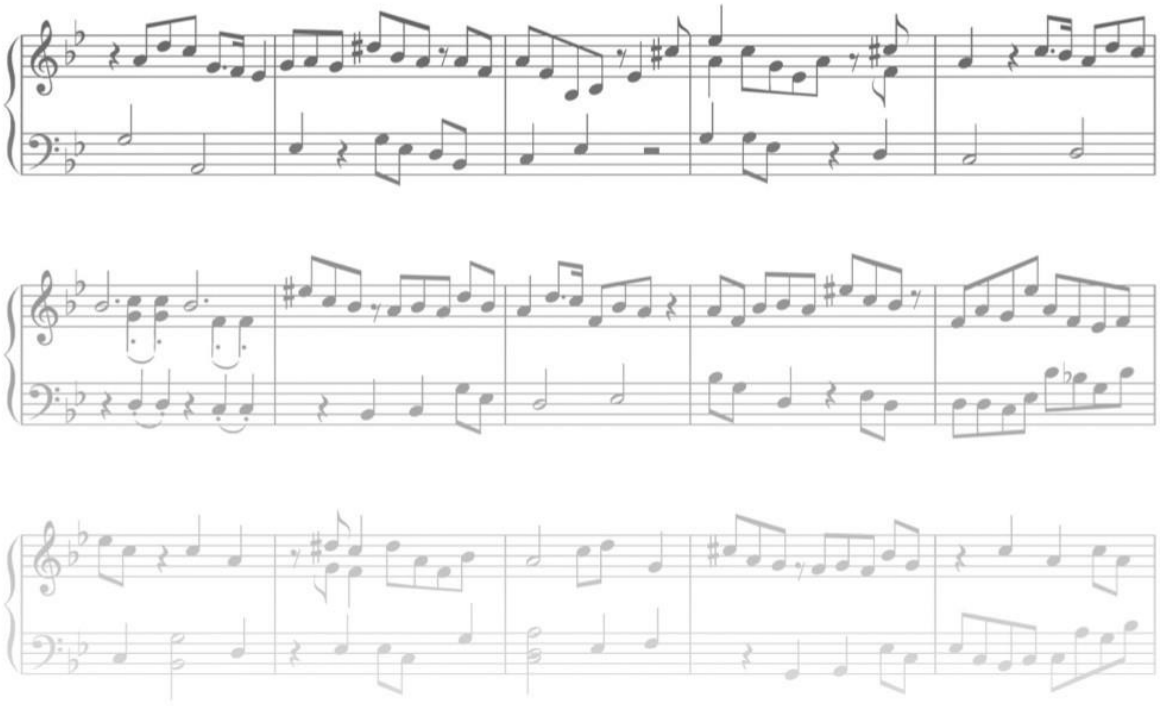

Rozdział 15

Mężczyzna, który bał się dorosnąć

Zniszczone skrzypce, które Flora ukradła z nowojorskiej filharmonii, według informacji, jakie udało jej się odnaleźć w internecie, przyleciały do Stanów z Europy i mogły liczyć nawet trzydzieści lat. Posiłkując się pozłacanym, choć nieco startym napisem umiejscowionym na prawym boku instrumentu, dowiedziała się, że był to model Andria 332 4/4 czeskiej firmy Strunal Schönbach.

Mimo że nie znała się na skrzypcach ani właściwie na żadnych instrumentach, cena tego modelu osiągająca nawet ponad siedemset dolarów kazała dziewczynie sądzić, że nie trafiły jej się pierwsze lepsze skrzypce. Niestety wpływało to także na koszt ich naprawy.

Postanowiła zająć się tym sama, uznawszy, że nie mogła doprowadzić ich do stanu gorszego niż ten, w którym już były.

W korytarzu rozbrzmiało pukanie do drzwi.

Flora uniosła wzrok, a po chwili ostrożnie odłożyła skrzypce na blat kuchennej wyspy. Być może obchodziła się z nimi delikatniej, niż było to konieczne. Zostały przecież stworzone z drewna, a nie z kruchego szkła. Z tyłu jej głowy tliła się jednak myśl, która nie dawała spokoju. Jak wielu niesamowitych, smutnych i wesołych zdarzeń świadkiem był ten instrument? Przez jak wiele utalentowanych rąk musiał przejść, by skończyć zakopany w kurzu, zapomniany i niepotrzebny?

Dziewczyna ominęła kartony, które od tygodni zajmowały miejsce w salonie, i podeszła do drzwi. Po ich otwarciu zauważyła wykrzywioną grymasem twarz Ralpha.

– Jestem w trakcie najlepszej randki w całym moim trzydziestoletnim życiu i, zupełnie

jakby Bóg się na mnie uwziął, skończyło mi się wino. Dlatego błagam, powiedz, że jakimś cudem masz w lodówce butelkę *Badine De La Patache*[19].

– Pata… co?

Ralph jęknął bezradnie.

– Jestem skończony.

– Spokojnie. Zobaczę, czy nie mam czegoś innego, jasne? Nie panikuj. Spróbuj oddychać głęboko, dopóki nie wrócę.

– W porządku.

Ralph zdążył wziąć trzy głębokie wdechy, zanim Flora ponownie stanęła w drzwiach mieszkania, trzymając w dłoniach butelkę, którą musiała zostawić jako prezent agentka nieruchomości sprzedająca to mieszkanie.

– Mam tylko… *Beyer Ranch*[20]? – odczytała niewyraźny napis widniejący na etykiecie.

– Dwadzieścia dolarów za butelkę. – Wzdrygnął się, a po chwili chwycił wino. – To i tak lepsze niż koktajl bananowy. W tym momencie nie mam nic innego w lodówce. Dzięki. Obiecuję, że jutro odkupię ci całą butelkę.

– Nie musisz. I tak nie piję.

– No tak. Jeszcze raz dziękuję. Ratujesz moją randkę.

– Przystojny pan kurier? – zapytała z uśmiechem.

– Tak. Jak się okazało, jest miłośnikiem musicali, a przecież od zawsze wiadomo, że ci, którzy doceniają sztukę, są też dobrzy w łóżku, prawda?

Flora z rozbawieniem pokręciła głową.

– Baw się dobrze. – Zanim zamknęła drzwi, o czymś sobie przypomniała. – Ralph?

Mężczyzna zerknął na nią przez ramię.

– Tak?

– Dziękuję za fortepian – powiedziała.

– Spełnił swoją rolę? – zapytał.

– Jeszcze nie wiem.

– W takim razie będę z całych sił trzymał za to kciuki. No, przynajmniej wtedy, kiedy nie będę otwierał wina.

Flora odprowadziła mężczyznę wzrokiem. Kiedy ciemna koszula Ralpha zniknęła w mroku spowijającym korytarz, zamknęła drzwi. Zamierzała wrócić do kuchni i do skrzypiec, które w ten niedzielny wieczór miały być jej jedynym towarzystwem.

Cóż, przynajmniej tak sądziła, dopóki kilka sekund później ciszy jej mieszkania ponownie nie zmąciło pukanie.

Wróciła do drzwi, pewna, że wrócił jej ulubiony, nieco zwariowany sąsiad. Sięgnęła do klamki, mówiąc:

– Jeżeli potrzebujesz czegoś jeszcze, by oczarować przystojnego pana kuriera, mogę po prostu… – Zamilkła, ponieważ za progiem nie ujrzała Ralpha.

Hayden Sanclair spoglądał na nią z góry, marszcząc ciemne brwi.

– Nie zamierzam nikogo oczarowywać, a z pewnością nie przystojnego kuriera, o którym mówisz, Sharman.

Flora poruszyła bezgłośnie ustami, starając się odpędzić zaskoczenie, które na moment zawładnęło jej myślami. Tego wieczoru chyba bardziej spodziewałaby się ujrzeć w drzwiach samego Brada Pitta niż jego.

– Przyszedłeś. – Gdy w końcu udało jej się wydobyć z siebie jakieś słowo, skrzywiła się, uznając je za dziwnie żałosne.

– Uwierz mi, że też jestem tym zdziwiony – odparł. – Po prostu… – Nie dokończył

rozpoczętej myśli, a ona nie zapytała, dlaczego zmienił zdanie.

Kiedy kilka dni wcześniej pokazała mu fortepian stojący w salonie, Hayden nie zareagował tak, jak się spodziewała. Nie zezłościł się, nie powiedział, by przestała udawać, że wie, czego tak naprawdę pragnął. Ale też nie podziękował i nie przyjął propozycji, jaką mu wówczas złożyła. Po prostu przez moment patrzył na instrument, przeniósł wzrok na nią, a potem odpowiedział na zdanie, które wtedy padło z jej ust: *Rozczarujesz się, Sharman.* I odszedł.

Flora po upływie kilku dni była pewna, że już nie wróci. Nawet teraz, kiedy stał przed drzwiami mieszkania, wciąż trudno było jej uwierzyć, że stało się inaczej, niż zakładała.

– Mogę…

– Ach, tak, jasne. – Odsunęła się, gestem zapraszając go do środka. – Wejdź. – Potrząsając głową, aby wyrzucić z niej resztki otępienia, Flora zamknęła za chłopakiem drzwi i dodała: – Możesz zostawić płaszcz w korytarzu.

Kiedy się odwróciła, Hayden stał już w salonie, w tym samym miejscu, w którym kilka dni wcześniej. I tak jak wtedy patrzył na fortepian z odległości kilku metrów, nie podchodząc o krok bliżej. Milczał, a jego twarz nie zdradzała cienia jakiejkolwiek emocji.

– Albo właściwie zostaw go, gdziekolwiek tylko chcesz – dodała. – Podać ci coś do picia? Mam wodę i… Właściwie tylko wodę. Miałam też wino, ale… – Skrzywiła się, pojmując, że znów zaczęła zbyt dużo mówić. – Nieważne. Po prostu czuj się jak u siebie. Gdybyś czegoś potrzebował, będę w kuchni.

Zostawiła go samego i wróciła do kuchni, gdzie na blacie wyspy czekały porzucone kilkanaście minut wcześniej skrzypce. Usiadła na wysokim stołku, utkwiła w nich spojrzenie i po raz pierwszy poczuła nieprzyjemnie dotkliwą bezradność, gdy przesunęła spojrzeniem po miejscach, gdzie kolor drewna był wytarty. Brakowało dwóch strun, a na dwóch pozostałych widniały pierwsze ślady rdzy.

Leżący nieopodal telefon rozświetlił panujący w pomieszczeniu półmrok, gdy na ekranie pojawiło się zdjęcie jej taty.

Flora przycisnęła urządzenie do policzka, sięgając po papierowy ręcznik, którym próbowała doczyścić skrzypce z oblepiającego je brudu.

– Znajdziesz trochę czasu, żeby pogadać ze staruszkiem? – zapytał Victor.

– Jasne, tato. Właśnie – spojrzała na skrzypce – mam przerwę w nauce. Coś się stało?

– Nie. Chciałem tylko upewnić się, że niczego ci nie trzeba. Pamiętasz, że miałaś dzwonić, gdy tylko…

– Pamiętam – wtrąciła. – Ale nie mam pięciu lat i uwierz, że mieszkanie samej idzie mi lepiej, niż zapewne to sobie wyobrażasz.

– Niedługo będę miał okazję przekonać się o tym na własne oczy.

Flora zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– W następnym tygodniu mam spotkanie w Nowym Jorku. Uznałem, że to świetna okazja, żeby cię odwiedzić.

– Od kiedy sam jeździsz na spotkania, zamiast wysyłać na nie Suzy?

Suzy od wielu lat była asystentką, a także prawą ręką ojca w prowadzonej przez niego firmie. I to właśnie ona podróżowała po całych Stanach, aby spotykać się z klientami. Fakt, że nie miała dzieci i postanowiła poświęcić się karierze, sprawiał, że w oczach Flory była kimś na miarę autorytetu.

– Odkąd moja jedyna córka postanowiła wyprowadzić się z domu, tym samym łamiąc moje stare, zmęczone serce – wyjaśnił.

– Oboje wiemy, że masz serce trzydziestolatka, tato – mruknęła. – Twój lekarz zawsze ci

to powtarza. Ale cieszę się, że przyjeżdżasz. Strasznie się za tobą stęskniłam. Mama też przyjedzie?

– Nie. Razem z ciocią Meggie organizują jakiś babski wypad do spa. Skoro jesteśmy już przy temacie twojej mamy… Nie mogłabyś przy następnej rozmowie wspomnieć jej o tym, że w naszym wieku lekcje tańca może nie są najlepszym pomysłem?

– Dlaczego nie? Aktywność fizyczna jest dobra w każdym wieku… – Urwała, domyślając się, co miał na myśli. – Och. Rozumiem. Przykro mi, tato, ale sam się w to wpakowałeś.

– Jak już wspominałem, twoja mama bywa naprawdę bardzo przekonująca…

– Może to ty masz do niej większą słabość, niż chciałbyś przyznać? – podsunęła.

– Tak, może masz rację, ale mogłabyś jej zasugerować, że…

– Myślę, że lekcje tańca dobrze podziałają na twoje stare, zmęczone serce, tato – stwierdziła.

Usłyszała, jak jej ojciec westchnął.

– Muszę kończyć, tato. Czekam na ciebie w Nowym Jorku.

– Odpocznij, skarbie.

– Ty też. – Dziewczyna odsunęła telefon od policzka. Kiedy przeniosła wzrok na skrzypce, uświadomiła sobie, że od kilku minut w mieszkaniu panowała absolutna cisza.

*

Na początku Hayden nie był w stanie się ruszyć. Nie był pewien, ile minęło czasu, nim w końcu udało mu się postawić pierwszy krok i zbliżyć się do fortepianu. Z każdym pokonanym centymetrem jego serce biło coraz mocniej.

Kiedy usiadł na obitym czarnym welurem stołku, podwinął rękawy czarnej koszuli i uniósł ciężką klapę instrumentu, z zaskoczeniem odkrył, że nie był w stanie dotknąć żadnego z czarno-białych klawiszy. Jego palce zatrzymały się nad dwukolorowym rzędem i zadrżały.

Potrafił grać na fortepianie, który stał w *Sleepy Hollow*, a także na tym, który znajdował się w filharmonii. Dlaczego więc nie mógł zagrać niczego na tym instrumencie? Dlaczego nie był w stanie nawet go dotknąć, czy choćby przybliżyć dłoni na tyle, by opuszki palców musnęły któryś z klawiszy?

Zacisnął zęby. Mięśnie jego szczęki się napięły, ale palce nie drgnęły. Tkwiły w tej dziwacznej pozie, niczym zaklęte w kamień. Właśnie wtedy Hayden po raz pierwszy pomyślał, że przychodząc do mieszkania Flory Sharman, popełnił błąd. Zamknął oczy, cofając dłonie. Dopiero wtedy był w stanie poruszyć obolałymi palcami.

– Wszystko w porządku?

Drgnął przez łagodne brzmienie tych słów. Gdy uniósł powieki i odwrócił głowę, dziewczyna, o której myślał, stała w przejściu pomiędzy salonem a kuchnią, patrząc na niego w sposób, którego tak nie znosił – jakby wiedziała, z czym się mierzył.

Chciał powiedzieć, że powinien już iść, ale zanim zdołał wymówić choć słowo, Flora dodała:

– Chodź. Chyba mam coś, co może pomóc. – Ruszyła przez salon w kierunku szklanych drzwi, popchnęła je, po czym wyszła na balkon.

Sanclair jeszcze raz spojrzał na swoje dłonie. Zacisnął je w pięści, gdy dostrzegł, że jego palce wciąż delikatnie drżały. Następnie, wbrew sobie, dołączył do Flory. Kiedy tylko wydostał się z mieszkania, zaatakowało go zimne, wieczorne powietrze.

Dziewczyna stała przy metalowej barierce. Opierając na niej dłonie, patrzyła w dół – na rozświetlony Central Park, na stojące w długim korytarzu żółte taksówki i tłum czarnych parasolek przesuwający się w kierunku metra.

Hayden zatrzymał się tuż obok niej.

– Gdy czasami zdarza mi się gorszy moment, a uwierz mi, że w ostatnim czasie było ich całkiem sporo. – Zerknęła na niego z uśmiechem. – Głównie przez twojego ojca. – Znów spojrzała w dół. – Lubię tutaj przychodzić, patrzeć na tych ludzi i wymyślać historie ich żyć. Na przykład on… – Ruchem podbródka wskazała na chodnik, gdzie mężczyzna w garniturze próbował w desperacji złapać taksówkę. – Myślę, że jest młodym stażystą w wielkiej firmie. Praca tam od zawsze była jego marzeniem, ale nie skończył dobrej uczelni, więc musi pracować ciężej, by udowodnić wszystkim, że zasługuje na to, żeby tam być. Dlatego zostaje dłużej i przychodzi do pracy nawet w weekendy. Próbuje złapać taksówkę, by po dwunastu godzinach w biurze wrócić do domu, zjeść odgrzewaną kolację, wziąć szybki prysznic i położyć się do łóżka z myślą, że jutro będzie musiał wstać o szóstej rano i znów pójść do pracy. Teraz twoja kolej.

– To nie…

– Po prostu spróbuj – zachęciła. – Opisz kogoś, kogo widzisz, a ja spróbuję zgadnąć, o kim mówisz. – Zamknęła oczy.

Hayden spojrzał na ulicę.

– Widzę kobietę – zaczął. – Chyba nie ma dzieci. Nie lubi ich, ale one, na jej nieszczęście, bardzo lubią ją. Nigdy nie była zakochana. Uważa, że kariera ma większe znaczenie. Dzięki niej w młodym wieku kupiła pierwsze mieszkanie. Ma kota, któremu dała dziwne francuskie imię, mimo że nigdy nie była we Francji i nie przepada za croissantami. Mimo że na co dzień wydaje się zimna, ma dobre serce. Zawsze udziela pomocy tym, którzy jej potrzebują.

Flora otworzyła oczy.

– Mówisz o kobiecie, która stoi przy głównej bramie Central Parku. W czarnym płaszczu i w kapeluszu, z kubkiem kawy w dłoni.

– Tak.

– Wydaje mi się, że ma na imię Monice. Pasuje do niej. – Uśmiechnęła się. – Okej. Teraz moja kolej. Zamknij oczy.

– Sharman, to nie…

– Po prostu zamknij oczy. Daj mi spróbować.

Hayden niechętnie spełnił polecenie.

Kilka sekund później przyjemne brzmienie głosu dziewczyny zmieszało się z odgłosami tętniącego życiem miasta:

– Widzę mężczyznę. Właściwie chłopaka. Wydaje mi się, że w dzieciństwie nie lubił jeść warzyw i nie chciał zbyt szybko dorosnąć. Nie potrafił zasnąć bez ulubionej przytulanki. Chyba była w kształcie zwierzęcia, ale na pewno nie kota. On nie przepada za kotami. Lubi czarną kawę, stare, dobre książki i odgłos deszczu uderzającego o betonowy chodnik. Lubi być sam, choć udaje, że nie przeszkadzają mu ludzie, którymi nieustannie się otacza. Za wszelką cenę stara się być tym, kogo widzą w nim inni. Ma ogromny talent, ale nie chce pokazać go światu… – Zawiesiła głos.

Hayden uchylił powieki i natrafił na spojrzenie bystrych oczu Flory Sharman.

– O kim mówię, Haydenie? – zapytała tak cicho, że pośród szumu wiatru ledwo był w stanie usłyszeć wypowiedziane przez nią słowa.

Sanclair przełknął z trudem.

– Teraz moja kolej, Sharman.

– Nie odpowiedziałeś…

– Widzę dziewczynę, która ma w sobie tyle samo dobra, co naiwności. Wciąż nie

rozpakowała swoich rzeczy z kartonów, bo nie potrafi pogodzić się z tym, że nie jest już dzieckiem i że nadszedł czas, by w końcu dorosła. Przywiązuje się do miejsc i ludzi znacznie bardziej, niż by tego pragnęła. Jest uzależniona od kawy, a nocami nie potrafi zasnąć, rozmyślając o tym, co właściwie nie ma większego znaczenia. Uśmiecha się nawet wtedy, gdy jest smutna, mając nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Ale nie ma pojęcia, że ten smutek tak wyraźnie widać w jej oczach.

Flora wzięła drżący oddech, a potem odwróciła się, zaciskając dłonie na metalowej barierce i powiedziała:

– Tak naprawdę nie znoszę smaku kawy, ale jest zdrowsza niż napoje energetyczne. No i dzięki niej mogę choć przez chwilę oszukać zmęczenie.

Hayden również spojrzał w kierunku ulicy.

– To był ogórek – dodał po chwili.

Flora zerknęła na niego z boku.

Wtedy wyjaśnił:

– Zabawka, którą miałem w dzieciństwie, nie była żadnym zwierzęciem. To był Pan Ogórek. Gdy miałem cztery lata, wygrałem go w wesołym miasteczku.

Dziewczyna ze wszystkich sił walczyła z pragnieniem, aby się nie roześmiać, lecz szybko przegrała tę nierówną walkę i parsknęła śmiechem.

Hayden również się uśmiechnął.

– Co się z nim stało? – zapytała.

– Pewnego razu był już tak brudny, że mama postanowiła go wyprać. Gdy wyjęła go z pralki… Cóż, do niczego się nie nadawał.

– Biedny Pan Ogórek. – Zaśmiała się. – Przepraszam.

Nagle znów wdarło się pomiędzy nich milczenie. Nie było jednak nieprzyjemne czy uciążliwe. Było… w jakiś niewyjaśniony sposób przyjemne i kojące.

Na twarzy Flory wciąż błąkał się uśmiech.

Hayden natomiast uciekł myślami gdzieś daleko, a po chwili niespodziewanie wyznał:

– Nie potrafię niczego zagrać.

Dziewczyna odwróciła głowę i zerknęła na jego profil. Chłodny powiew wiatru sprawił, że kosmyki czarnych włosów muskały jego czoło i skronie. Mięśnie jego szczęki znów wyraźnie się napięły, gdy zacisnął zęby.

– To niemożliwe. Dla ciebie to jak oddychanie, prawda? Robisz to, nawet się nad tym nie zastanawiając.

– To nie o to chodzi. Nie potrafię grać na tym fortepianie, choć niczym się nie różni od tego, który stoi w *Sleepy Hollow*.

– Może wcale nie chodzi o fortepian? – podsunęła, sprawiając, że w końcu na nią spojrzał. – Może chodzi o ciebie? Może po prostu uparcie chcesz wierzyć w to, że nie zasługujesz na to, co najlepsze? Dlatego potrafisz bez trudu zagrać na starym fortepianie, ale nie jesteś w stanie dotknąć nowego. Mimo że jest taki sam, prawda? Ma tyle samo strun, klawiszy i pedałów. Wydaje te same dźwięki.

Hayden przeniósł wzrok na stojący w salonie instrument.

– Masz rację. Uśmiecham się zwłaszcza wtedy, kiedy jestem smutna. I nie rozpakowałam kartonów, bo nadal nie potrafię pogodzić się z tym, że nie ma przy mnie rodziców. Ale ja też mam rację. Starasz się być tym, kogo widzą w tobie inni, często zapominając o tym, kim sam chcesz być. Nie zapytam, jaki powód sprawił, że tutaj wróciłeś. Po prostu cieszę się, że jakiś się znalazł.

Sanclair skupił na niej uwagę.

Chciał coś powiedzieć, jednak kiedy otworzył usta, pojął, że nie wiedział co. Żadne słowa nie wydawały się odpowiednie.

– Być może moje zdanie nie ma dla ciebie większego znaczenia, ale uważam, że w całym tym mieście nie znalazłabym nikogo bardziej godnego, by zagrać na takim fortepianie. Po prostu nikt nie zrobiłby tego lepiej od ciebie.

Choć Flora Sharman nie mogła o tym wiedzieć, była w błędzie – dla Haydena jej słowa miały ogromne znaczenie. Być może nawet większe, niż chciałby przyznać.

– A może chodzi o mnie? Może to ja po prostu nie chciałabym słuchać nikogo innego? – Wzruszyła ramionami, a potem rozejrzała się dookoła. – Wracam do środka. Zrobiło się strasznie zimno. Nie stój tutaj za długo, dobrze?

Hayden odprowadził ją wzrokiem, gdy przechodziła przez szklane drzwi. Nie odrywał od niej spojrzenia, dopóki nie zniknęła w głębi mieszkania. Dopiero wtedy popatrzył przez ramię, w stronę ulicy.

Młody mężczyzna w garniturze nie złapał taksówki. Podszedł do kobiety w kapeluszu, by poprosić ją o pomoc. Ta, jak to miała w naturze, z chęcią mu jej udzieliła.

*

Flora wróciła do kuchni, do zniszczonych skrzypiec, które czekały na nią na blacie. Prezentowały się marnie i choć wiedziała, że doprowadzenie ich do dobrego stanu zajmie wiele godzin żmudnej pracy, postanowiła je naprawić.

Nie była pewna, co było tego powodem, lecz miała przeczucie, że ten instrument zasługiwał na kolejną szansę. Na kolejne życie. Na kolejne utalentowane ręce, które wydobędą z niego piękne melodie.

Gdy sięgnęła po ścierkę, z salonu dobiegł dźwięk fortepianu.

Flora uśmiechnęła się pod nosem.

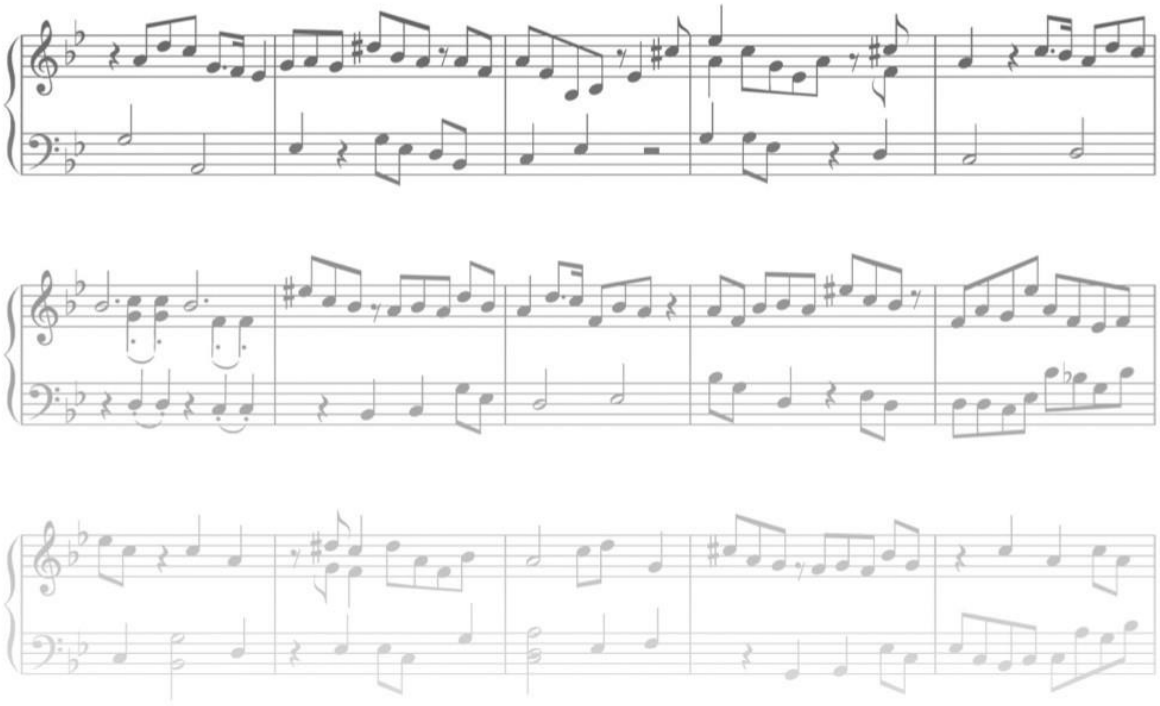

Rozdział 16

Smutny los chopinowskiego serca

Profesor Floyd, znany z zamiłowania do kraciastych marynarek i ziołowej herbaty, której intensywny zapach nieustannie roznosił się w sali, gdzie mężczyzna prowadził wykłady z łacińskiej terminologii prawniczej, zatrzymał Florę tuż po zajęciach.

Było późne wtorkowe popołudnie i większość studentów rzuciła się do wyjścia, aby zdążyć na metro i jak najszybciej wrócić do domu.

– Panno Sharman, mogę prosić panią na słowo?

Flora podeszła do biurka profesora, przerzucając torbę z podręcznikami przez ramię.

– Jeżeli chodzi o to, że spóźniłam się na zajęcia… – zaczęła, lecz profesor niemal natychmiast pokręcił głową.

– Ależ nie! Szczerze mówiąc, gdybyś nie potknęła się, idąc do ławki, zapewne nie zauważyłbym, że wkradłaś się do sali niemal kwadrans po rozpoczęciu zajęć. – Machnął dłonią.

Dziewczyna lekko się skrzywiła. Wówczas profesor Floyd uważnie jej się przyjrzał.

– Nie przeczytałem jeszcze wszystkich prac, które pisaliście w ubiegłym tygodniu, ale jestem już właściwie pewien, że pobiłaś swoich kolegów, Floro. Dawno nie czytałem czegoś równie dobrego, a uwierz mi, przez trzydzieści cztery lata pracy naczytałem się naprawdę wiele wypocin studentów.

Choć Flora spędziła nad tym tekstem wiele godzin, nie potrafiła ukryć zdziwienia.

– Dziękuję. Nie spodziewałam się, że…

– Profesor Sanclair miał co do ciebie rację – wtrącił.

Dziewczyna uniosła brwi. Nie była pewna, czy po prostu się nie przesłyszała.

– Słucham?

– Podczas rozmowy, którą odbyliśmy kilka tygodni temu, wspomniał twoje nazwisko. Powiedział, że powinienem zwrócić na ciebie uwagę, bo masz potencjał. Nie mylił się. – Pokręcił głową z lekkim uśmiechem. – Ten drań nigdy się nie myli. – Profesor wstał, poprawiając marynarkę. – No nic, nie będę dłużej cię zatrzymywał, moja droga. Jeszcze raz gratuluję, oby tak dalej!

Flora zdobyła się na niewyraźny uśmiech.

Nawet po opuszczeniu budynku uczelni wciąż miała wrażenie, że wszystko, co ją spotkało, było jedynie snem. Bardzo nierealnym, dziwacznym snem.

Na niewielkim parkingu wyznaczonym dla studentów bez trudu odnalazła ciemnozielony samochód Haydena. Wsiadła do środka, nadal nie potrafiąc się otrząsnąć.

– Spóźniłaś się, Sharman – rzucił zamiast powitania.

– Właśnie wydarzyło się coś bardzo dziwnego – mruknęła, mrużąc powieki. Następnie odwróciła głowę i zerknęła na Sanclaira, który zajmował miejsce za kierownicą. – Wydaje mi się, że twój ojciec chyba mnie lubi.

Prawy kącik ust chłopaka drgnął w kpiącym uśmiechu.

– On nikogo nie lubi – odpowiedział, odpalając silnik. – A już z pewnością nie swoich studentów.

Mimo tych słów na twarzy Flory zagościł pełen nadziei uśmiech. Spojrzała przed siebie, odnosząc wrażenie, że być może wszystko w końcu zacznie się układać.

– Moglibyśmy wstąpić w jedno miejsce? – zapytała, sprawiając, że Hayden obdarzył ją pytającym wzrokiem. Nie wyjaśniając nic więcej, dodała: – Obiecuję, że to nie zajmie dłużej niż pół godziny.

*

Sklep, którego adres poprzedniego wieczoru Flora znalazła w internecie, mieścił się na rogu Jefferson Ave i Claver Pl w sercu Brooklynu. Był małym lokalem upchniętym pomiędzy dwa wysokie wieżowce, a czasy świetności zdecydowanie miał już dawno za sobą.

Stary dzwonek zadzwonił nad ich głowami, gdy popchnęli drzwi opatrzone startym już napisem: *Akcesoria muzyczne i księgarnia muzyczna.* Niemal natychmiast poczuli zapach kurzu i pasty do podłóg.

Z upchniętego w kącie gramofonu stylizowanego na te z lat siedemdziesiątych płynęły smętne dźwięki przebojów Elvisa Presleya. Na ustawionych w równym rzędzie drewnianych regałach stały instrumenty i przedmioty różnego rodzaju: skrzypce, kilka starych magnetowidów, kolekcja płyt winylowych, a także całkiem nieźle zachowany zbiór nut z muzyką z popularnych amerykańskich filmów.

Za blatem długiej lady pojawił się starszy, niski mężczyzna. Miał na sobie wełniany sweter, spod którego wystawał kołnierzyk eleganckiej koszuli i kawałek krawata.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

– Chciałabym kupić struny do skrzypiec. – Flora odszukała w kieszeni płaszcza telefon i na jego ekranie pokazała właścicielowi sklepu model instrumentu.

– Powinienem mieć jeden komplet na zapleczu. – Poprawił okulary, które uciążliwie zsuwały mu się z nosa. – Proszę dać mi chwilę.

Kiedy mężczyzna zniknął za zrobioną z koralików zasłoną, Flora odwróciła się, ale nigdzie nie dostrzegła Haydena. Odnalazła go dopiero chwilę później, gdy odważyła się wkroczyć pomiędzy labirynt regałów i staroci.

Stał nieopodal zaklejonego gazetami okna, przez które do sklepu z trudem przedzierało

się jesienne, blade słońce. Trzymał w dłoni coś, co na pierwszy rzut oka przypominało książkę. Miało kształt prostokąta i czarną, podartą w niektórych miejscach, papierową obwolutę.

– Co robisz? – zapytała.

– To program VII Konkursu Chopinowskiego – wyjaśnił, pokazując dziewczynie okładkę, która nic jej nie mówiła.

Flora podeszła bliżej. Drewniane deski przy każdym postawionym przez nią kroku wydawały złowieszcze skrzypnięcie. W tle oprócz głosu Elvisa Presleya śpiewającego *Always On My Mind* usłyszeć można było tykanie zabytkowego zegara.

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty piąty? – Odczytała widniejącą na okładce datę. – Nieźle.

– To jeden z najstarszych i najbardziej prestiżowych konkursów muzycznych na świecie. Odbywa się co pięć lat w Warszawie.

– W Warszawie? – dopytała z zaciekawieniem, zerkając na Haydena, który wydawał się zafascynowany tym, co trzymał w dłoniach.

– Chopin był Polakiem – wyjaśnił. – Mimo że się tam urodził, większość życia spędził we Francji. Kochał swój kraj jednak na tyle mocno, że jednym z jego ostatnich życzeń tuż przed śmiercią było to, aby jego serce wróciło do Warszawy.

– Ktoś je spełnił?

Skinął głową, nie odrywając wzroku od kartek, które przelatywały mu przez palce. Na każdej z nich widniały czarno-białe fotografie uczestników konkursu, a także kilka zdań na ich temat w dwóch językach – po polsku i francusku.

– Tuż po śmierci wycięto jego serce, a potem zgodnie z jego wolą przewieziono je nielegalnie do Warszawy. W słoju wypełnionym alkoholem. Potem przez dwadzieścia lat leżało wśród rupieci w jednym z kościołów, gdzie przetrwało między innymi drugą wojnę światową i kilka innych nieszczęść.

Flora skrzywiła się pod nosem.

– To w pewien sposób okropne i niesamowite.

– Tak – zgodził się, zamykając program. – Chopin był niesamowity. Skomponował pierwszy utwór, gdy miał zaledwie siedem lat. Ja w wieku siedmiu lat nie potrafiłem nawet zapamiętać tabliczki mnożenia.

– Ja mam dziewiętnaście lat i wciąż nie znam jej całej.

Hayden spojrzał na nią z góry.

Wymienili się uśmiechami w tym samym momencie, a do głowy Flory wpadła myśl, która szybko spłynęła na jej usta i wydostała się na powierzchnię:

– Gdyby ktoś kilka tygodni temu powiedział mi, że będę w stanie wywołać twój szczery uśmiech, chyba bym go wyśmiała. Ale spójrz tylko na siebie, naprawdę się uśmiechasz. I wbrew temu, co zapewne sądzisz, bardzo ci z tym do twarzy.

Kąciki ust Sanclaira zadrżały. Nagle poczuł silną potrzebę, aby znów przybrać na twarz poważny, obojętny wyraz, skrzywić się lub choćby kpiąco zaśmiać. Zamiast jednak zrobić którąkolwiek z rzeczy, które wydawały się tak bardzo w jego stylu, uśmiechnął się odrobinę szerzej, bo naprawdę miał na to ochotę.

I czuł się cholernie dziwnie z faktem, że powodem tego wszystkiego był nie kto inny, jak Flora Sharman.

Na domiar złego, jakby los znów postanowił z niego zadrwić, właśnie w tej chwili, w zakurzonym kącie zapomnianego sklepu ze starociami, gdzieś pomiędzy Elvisem Presleyem śpiewającym o miłości a ciszą, zdającą się na dobre zagościć w tym miejscu, Hayden uświadomił sobie coś doprawdy przerażającego. Lubił jej uśmiech.

Lubił to, jak rozjaśniały się wtedy jej oczy. Lubił prawie niezauważalne dołeczki w jej policzkach, a nawet to, w jak dziwaczny, niemal dziecinny, sposób delikatnie marszczyła piegowaty nos.

Lubił…

Cholera, lubił w niej tak wiele cech, których w innych szczerze nienawidził.

– Sharman, posłuchaj…

Pomiędzy regałami niespodziewanie pojawił się właściciel sklepu. Mężczyzna z uśmiechem poinformował:

– Znalazłem struny.

Flora natychmiast się rozpromieniła.

– Świetnie. – Gestem dłoni wskazała na program konkursu pianistycznego, który wciąż spoczywał w rękach Haydena. – Weźmiemy jeszcze to.

*

Każdy, kto tego wtorkowego wieczoru minął drzwi opatrzone numerem 377, mógł usłyszeć któryś z granych w tym mieszkaniu utworów: *Dla Elizy* Beethovena, motyw przewodni z filmu *Interstellar* Christophera Nolana, czy nieco spowolnioną wersję *River Flows In You.*

Nikt nie mógł jednak usłyszeć pełnych irytacji westchnień, które co jakiś czas uciekały z ust Flory, gdy brudziła sobie palce podczas lakierowania skrzypiec. Po blisko godzinie dała za wygraną, wyprostowała obolałe od nieustannego pochylania się plecy i wstała.

Z szafki wyjęła dwa kubki, a kilka minut później napełniła je ciepłą herbatą. Trzymając je w dłoniach, stanęła w przejściu pomiędzy kuchnią a salonem. Spojrzała na Haydena. Siedział przy fortepianie, z jedną dłonią wspartą na jego obudowie, drugą natomiast przyciśniętą do kartki z nutami. Złamanym ołówkiem zapisywał coś nad pięciolinią, marszcząc ciemne brwi.

Z czarnymi włosami w nieładzie, z podwiniętym rękawem koszuli i z wykrzywioną w grymasie zamyślenia twarzą, zdawało się, że tkwił w odległym miejscu. Z całą pewnością nie było go jednak tutaj. Flora była tego absolutnie pewna.

Nie odrywała od niego wzroku, gdy delikatnie się odchylił, zamknął oczy i odłożył ołówek, po czym zaczerpnął głęboko powietrza i przybliżył dłonie do klawiszy. Kiedy po chwili ich dotknął, salon znów wypełniła melodia. Przepędziła ciszę, zagłuszyła szum ulicy tlący się gdzieś za oknami. Z niczego stworzyła coś unikatowego i poruszającego.

Nagle muzyka ucichła, urwana w połowie. Hayden zaklął pod nosem i otworzył oczy, krzywiąc się z niezadowoleniem. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z obecności Flory, która drgnęła, udając, że wcale mu się nie przyglądała.

– Zaparzyłam herbaty. – Uniosła kubki i ruszyła w stronę fortepianu. – Pomyślałam, że przerwa dobrze nam zrobi. Nie mogę już patrzeć na te skrzypce.

– Dlaczego właściwie je naprawiasz? – zapytał, odbierając od niej herbatę. – Nie prościej byłoby kupić nowe?

Dziewczyna przysiadła na oparciu kanapy.

– Pewnie tak, ale złamałam prawo, żeby je mieć, więc chyba mam do nich sentyment. – Wzruszyła ramionami. – Nie jesteś zmęczony? Grasz bez przerwy od trzech godzin. Nie bolą cię palce?

– Jeżeli chcę mieć szansę na egzaminach wstępnych, nie mogę zwracać uwagi na bolące palce.

– No tak. – Omiotła wzrokiem fortepian i zatrzymała się na kartce z nutami. – Grałeś Chopina?

Hayden skinął głową, po czym upił łyk herbaty.

– Co o tym sądzisz? – zapytał.

– O Chopinie?

– Tak. Słuchasz go od trzech godzin. Musisz mieć jakieś zdanie.

– Sama nie wiem. Jak dla mnie jest trochę zbyt… – Zmrużyła powieki. – Zbyt smętny.

Sanclair niemal zachłysnął się napojem. Odsuwając kubek od ust, spojrzał na nią spod wachlarza długich rzęs.

– Zbyt… smętny? Chopin? Jeden z najwybitniejszych kompozytorów w dziejach ludzkości? Boże, gdyby mógł to usłyszeć, pękłoby mu serce.

– W takim razie chyba dobrze, że znajduje się tak daleko stąd, prawda? – zażartowała, lecz Hayden się nie uśmiechnął.

Od tamtej chwili Flora już zawsze miała pamiętać o tym, aby nie żartować ze sławnych kompozytorów w obecności innych muzyków.

– Nie wiem, czy jestem odpowiednią osobą do wyrażania opinii na temat tych utworów. Nie znam się… no wiesz, na muzyce klasycznej. Nie wiem nawet, do czego służą wszystkie te pedały…

– Usiądź obok mnie, Sharman – polecił.

– Co?

Odstawił kubek na podłogę, zwrócił się przodem do fortepianu i przez ramię zerknął na dziewczynę.

– Siadaj, zanim zmienię zdanie.

Flora również pozbyła się herbaty i zerwała się na równe nogi. Dopiero wtedy spojrzała na stołek, który stał przed instrumentem. Był zbyt mały, aby zmieściły się na nim dwie osoby.

– No dalej – ponaglił, robiąc trochę wolnej przestrzeni obok siebie.

W końcu niepewnie zajęła miejsce przed fortepianem. By wygodnie usiąść, musiała przysunąć się tak blisko Haydena, że ich ramiona przy każdym ruchu skazane były na ocieranie się o siebie.

– Dotknij któregoś z klawiszy – polecił.

Dziewczyna uniosła dłoń i opuszką palca wcisnęła jeden z białych klawiszy. Dźwięk, który rozbrzmiał, był tak głęboki, że przyprawił ją o dreszcz.

– A teraz zrób to samo, dociskając przy tym prawy pedał.

Palce Flory znów niepewnie uderzyły w jeden z klawiszy.

– Słyszysz różnicę? – zapytał.

– Tak. Z pedałem brzmi jakoś… ładniej i chyba dłużej.

Hayden przyznał jej rację.

– Prawy pedał wydłuża czas trwania dźwięku. Unosi tłumiki, dzięki czemu struny dłużej wybrzmiewają, pozwalając na łagodne połączenie nut i uzyskanie, jak to nazwałaś, „ładniejszej" gry. Jest używany dużo częściej niż lewy pedał, który sprawia, że młotek, zamiast uderzać, jak to zwykle bywa, w trzy struny, uderza tylko w jedną. Spróbuj.

Wcisnęła lewy pedał. Otworzyła nieco szerzej oczy, gdy klawiatura delikatnie się przesunęła.

– Wow. – Spojrzała z uśmiechem na Haydena. – Co ze środkowym pedałem?

– Jest najbardziej zapomniany ze wszystkich trzech – wyjaśnił. – Pełni różne funkcje, ale w niektórych fortepianach czy pianinach nawet się go nie zamieszcza. Działa trochę jak prawy pedał, ale zamiast podnosić tłumiki, unieruchamia te, które już są podniesione.

Flora zerknęła na chłopaka, nie kryjąc podziwu. Mówił o tym wszystkim z taką łatwością, jakby literował swoje imię i nazwisko. Na dodatek w sposób tak nieprawdopodobnie przejmujący, że mogłaby słuchać go godzinami. Nawet gdyby recytował jedną ze

znienawidzonych przez nią książek historycznych.

– Sam się tego wszystkiego nauczyłeś? – zapytała.

– To łatwiejsze, niż się wydaje – zapewnił, wzruszając ramionami.

– Jesteś w stanie… zagrać każdy utwór?

– Nie wiem, czy istnieje na tym świecie ktokolwiek, kto to potrafi, ale jeżeli mam przed sobą nuty lub znam jakąś melodię, raczej nie powinienem mieć z tym większego problemu.

Flora znów popatrzyła na fortepian.

Za oknami rozciągała się panorama skąpanego w wieczornym mroku miasta. Na szybach odznaczały się pierwsze krople deszczu. Wszystko toczyło się w takim samym tempie jak zawsze, dopóki z ust dziewczyny nie padły te słowa:

– Oglądałeś *Gnijącą Pannę Młodą* Tima Burtona? Gdy Victor zjawia się w posiadłości Everglotów, by po raz pierwszy zobaczyć Victorię, siada przy fortepianie stojącym tuż obok schodów i zaczyna…

Jej słowa zagłuszyła melodia, która – jakby w ogóle była do tego zdolna – wypłynęła wprost z umysłu dziewczyny do prawdziwego świata. Była jednak o wiele piękniejsza od tego, co próbowała sobie wyobrazić.

Flora patrzyła na dłonie Haydena, które w tak naturalny sposób dotykały czarno-białych klawiszy. Na to, z jaką gracją poruszały się jego nadgarstki. Jakby zostały stworzone właśnie w tym celu.

Jakby Hayden Sanclair urodził się po to, aby karmić ludzkie serca pięknem tego, co potrafił tworzyć.

Uśmiechnęła się, gdy skończył grać i zwrócił ku niej spojrzenie ciemnych oczu. Tak ciemnych jak niebo za oknami. Jak fortepian, przy którym się znajdowali. Jak kilka tajemnic, które dzielili.

– O czym myślisz? – zapytał cicho.

Flora odpowiedziała również szeptem:

– O tym, dlaczego jej nie wybrał. – Zamrugała. – Emily. Dlaczego Victor nie wybrał Emily, tylko Victorię.

Hayden omiótł wzrokiem jej twarz. Znajdowała się tak blisko, że mógł dostrzec plamki w jej tęczówkach. Mógł nawet policzyć ciemne piegi zdobiące jej bladą skórę. Mimo to skupił uwagę wyłącznie na jej ustach – wykrzywionych w grymasie trwogi, naznaczonych odrobiną smutku.

– Bo gdyby ją wybrał, musiałby umrzeć. Może nie kochał jej dostatecznie mocno, by zdobyć się na podobne poświęcenie? – Odsunął dłonie od fortepianu. – Może wolał żyć z Victorią niż umrzeć dla Emily? A może po prostu Tim Burton lubi sprawiać widzom cierpienie?

– Tak. Pewnie masz rację. – Rozejrzała się dookoła. – Chyba powinnam wracać do moich skrzypiec. Wypij herbatę. Gdybyś potrzebował czegoś jeszcze, będę w kuchni. – Wstając, wskazała przestrzeń za swoimi plecami, a następnie zgarnęła kubek zostawiony wcześniej na szklanym stoliku. Zdołała postawić tylko kilka kroków w stronę korytarza, zanim gwałtownie przystanęła. Odwróciła się w tym samym momencie, w którym Hayden sięgnął po ołówek, aby znów zaznaczyć coś w nutach. – W piątek w starym teatrze odbędzie się impreza z okazji Halloween. Jocelyn nie dała mi większego wyboru i muszę na nią iść. Zastanawiałam się, czy też się tam wybierasz…

– Przebieranki raczej nie są w moim stylu – odparł.

– No tak. Masz rację, to trochę… – Pokręciła głową, cofając się o krok. – Nieważne, wracam do skrzypiec.

Zniknęła w mroku, krzywiąc się pod nosem na własną głupotę.

*

Kiedy zegar wybił kwadrans po dziesiątej, a w budynku rozpoczęła się cisza nocna, Hayden po raz pierwszy od wielu godzin wstał od fortepianu. Pozbierał nuty, które przyniósł, a potem włożył płaszcz i przeszedł do kuchni.

– Sharman, jest już późno, więc…

Przystanął, dostrzegając ją w blasku świeczki stojącej na blacie kuchennej wyspy. Flora spała, z policzkiem przyciśniętym do przedramienia i z pędzelkiem utkwionym między palcami prawej dłoni. Tuż przed nią leżały skrzypce oraz puszka z lakierem.

Sanclair wiedział, że powinien ją tak zostawić. Przy odrobinie szczęścia następnego dnia obudziłaby się niewyspana i obolała. Gdyby szczęście jej jednak nie dopisało, spadłaby na podłogę, zaliczając dość bolesne spotkanie z nią. Choć ta wizja wydawała mu się niezwykle kusząca, podjął inną decyzję – podszedł do dziewczyny, delikatnie dotknął jej ramienia i powiedział:

– Sharman.

Mruknęła coś niezrozumiałego pod nosem i poruszyła spiętymi ramionami. Potem zmrużyła oczy i spojrzała na niego półprzytomnie.

– Co?

– Idź do łóżka – polecił. – Jest już późno.

– Mhm. – Odłożyła pędzelek do puszki. Wciąż tkwiąc jedną nogą we śnie, a jedną na jawie, spróbowała zejść ze stołka, na którym siedziała.

Hayden złapał ją, gdy potknęła się o własne nogi i praktycznie zderzyła z bokiem blatu.

– Chcesz się zabić, Sharman?

Uniosła głowę, niemal trafiając czołem w podbródek chłopaka. Odnalezienie jego spojrzenia zajęło jej chwilę. Zmrużyła oczy.

– To pytanie czy propozycja?

Chłopak westchnął.

– Musisz iść do łóżka.

– Tu mi dobrze…

Nie pozwolił jej się odsunąć. Zamiast tego położył dłoń u dołu jej pleców i zatrzymał ją przy sobie. Nie musiał wkładać w to zbyt wiele siły, bo nie próbowała z nim walczyć.

– Tym razem to nie było pytanie – odparł, gdy znów na niego spojrzała.

Pochylił się, wsunął rękę pod jej kolana i uniósł z taką łatwością, jakby nic nie ważyła. W istocie tak właśnie było – była lekka jak piórko. Ignorując malujące się na twarzy dziewczyny zaskoczenie, przeszedł do salonu, który musiał pokonać, aby dotrzeć do znajdującej się na końcu korytarza sypialni.

Starał się nie zwracać uwagi na to, jak ciepła była dłoń Flory, kiedy ta odruchowo oparła ją na jego torsie. Czuł to nawet przez materiał koszuli, na którym delikatnie zacisnęły się jej palce, gdy położył ją na miękkim materacu.

– Jeżeli to któryś z moich pokręconych snów…

– Aż tak często o mnie śnisz, Sharman? – wtrącił. Pochylił się i sięgnął po pościel, którą następnie ją nakrył.

Flora, już niemal w pełni rozbudzona, zmarszczyła gniewnie brwi.

– Nie. Już na jawie przypominasz koszmar. Nie potrzebuję snów do tego, żeby… – Zamilkła, kiedy twarz Haydena zawisła tuż nad jej twarzą.

Poczuła jego ciepły oddech na rozchylonych wargach i nagle nie była w stanie wydusić

z siebie słowa. Omiotła wciąż odrobinę zaspanym wzrokiem jego twarz. Dotknęła spojrzeniem jego kości policzkowych i kosmyków ciemnych włosów, które osunęły mu się na skronie.

W mroku, w którym tonęła jej sypialnia, Hayden Sanclair przypominał…

Zamiast zachować te myśli jedynie dla siebie, niespodziewanie wypowiedziała je na głos:

– Przypominasz go.

Chłopak zmarszczył brwi.

– Kogo?

– Victora – wyjaśniła.

Hayden oparł rękę tuż obok głowy Flory, zamykając ją w potrzasku, z którego nie potrafiła i – ku własnemu przerażeniu – nie chciała uciec. Następnie pochylił się jeszcze bardziej, dręcząc ją swoją bliskością, zapachem i tym, że tak prostą czynnością potrafił doprowadzić jej serce do podobnego stanu.

Dziewczyna tłumaczyła to sobie tym, że została tak nagle wyrwana ze snu. W takich chwilach nigdy nie przypominała samej siebie. Przełknęła z trudem, kiedy jego wargi zatrzymały się zaledwie kilka milimetrów od jej ust.

– Dobranoc, Sharman – szepnął z błyskiem w ciemnych oczach. – Oby tej nocy przyśnił ci się jakiś koszmar z moim udziałem. – Odsunął się, po raz pierwszy od dłuższej chwili pozwalając jej głębiej zaczerpnąć powietrza.

– Dupek! – zawołała za nim, gdy zniknął w ciemnościach korytarza.

Ostatnim, co usłyszała, zanim w mieszkaniu zapanowała cisza, był jego śmiech.

Na wszystkie diabły, śmiał się jeszcze piękniej, niż się uśmiechał.

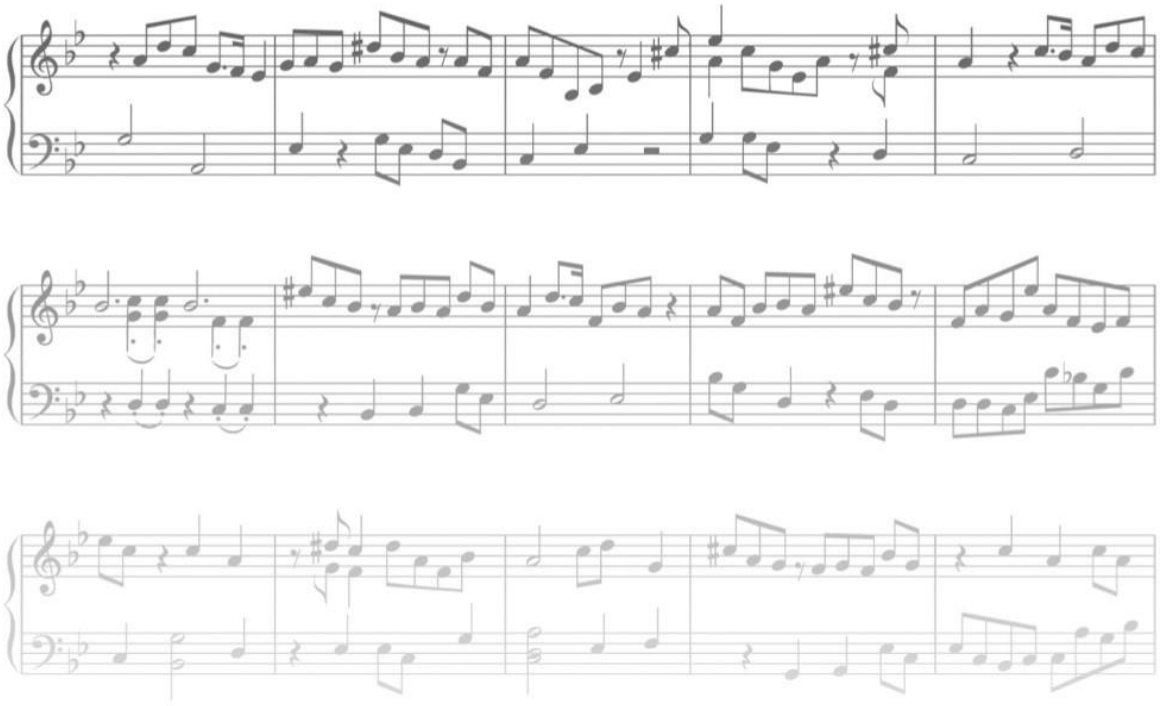

Rozdział 17

Cukierek albo psikus!

Jocelyn wyłoniła się z przymierzalni. Tym razem miała na sobie kostium z czarnego lateksu, który połyskiwał w świetle sklepowych lamp. Była kotem albo postacią z pierwszego sezonu *American Horror Story* – Flora nie miała pewności.

– Jak wyglądam? – zapytała, obracając się wokół własnej osi.

Bliźniaczki pośpieszyły z odpowiedzią, niemal w tym samym momencie rzucając:

– Odjazdowo!

Potem gniewnie na siebie spojrzały, wściekłe o to, że znów nie różniły się od siebie tak, jakby tego chciały.

Jocelyn przewróciła oczami na ich dziecinne zachowanie i zwróciła się do stojącej tuż obok nich Flory:

– I jak?

– Wyglądasz pięknie, Joce – odpowiedziała.

Jocelyn wyglądała pięknie w stroju kota, a także w każdym innym z siedmiu przebrań, które przymierzyła w ciągu ostatniej godziny. Po słowach Sharman na jej twarzy zagościł jednak grymas. Zwróciła się w stronę lustra i pokręciła głową, mierząc swoje odbicie krytycznym wzrokiem.

Właśnie wtedy Flora, nieco znużona ocenianiem halloweenowych wcieleń Jocelyn oraz niekończącymi się kłótniami między dogryzającymi sobie bliźniaczkami, rozejrzała się i weszła w głąb sklepu. Myślała o tym, jaka wymówka byłaby dość dobra i dość wiarygodna, aby mogła wykręcić się z dzisiejszej imprezy.

Choć halloweenowe przyjęcie organizowane w opuszczonym teatrze – według krążących między studentami plotek nawiedzanym przez najprawdziwsze duchy – wydawało się okazją do świetnej zabawy, Flora z każdą minutą wyraźniej uświadamiała sobie, że o wiele bardziej wolałaby tego wieczoru zostać w domu.

Niespodziewanie jej mieszkanie przestało być jedynie kilkoma pokojami, korytarzem zagraconym przez nierozpakowane kartony i ładnym widokiem rozciągającym się za oknami. Stało się miejscem, do którego lubiła wracać.

Wiedziała, że powodem tej nieoczekiwanej zmiany był Hayden Sanclair.

Flora lubiła wieczory, które wspólnie spędzali. Lubiła, gdy grał, nawet jeżeli nie robił tego z myślą o niej. Lubiła świadomość tego, że jeśli tylko wychyli głowę z kuchni, dostrzeże go siedzącego przy fortepianie.

Lubiła nie być sama.

A może – wbrew wszystkiemu, w co pragnęła wierzyć – naprawdę lubiła być właśnie z nim?

Minęła dział z perukami w kolorach tak wymyślnych, że nie potrafiłaby nazwać większości z nich. Po przejściu obok akcesoriów do charakteryzacji trafiła pomiędzy ciągnące się bez końca wieszaki z barwnymi przebraniami.

Przesunęła opuszkami palców po miękkich materiałach, uśmiechając się na wspomnienie tego, jak zaledwie kilka dni wcześniej Hayden zagrał utwór, który tak bardzo kojarzył jej się z dzieciństwem. Jej mama była największą fanką Tima Burtona i zaraziła tą miłością także Florę.

W każde Halloween urządzały maraton jego filmów, zaczynając od słynnego *Jeźdźca bez głowy* i kończąc na ich ukochanej *Gnijącej Pannie Młodej.*

Było to pierwsze Halloween, które Flora miała spędzić bez mamy.

Podskoczyła, kiedy czyjeś ciepłe dłonie wylądowały na jej ramionach, wyrywając ją z zamyślenia. Kilka sekund później tuż obok ucha dziewczyny rozbrzmiał radosny głos Jocelyn:

– O czym tak zawzięcie myślisz, Sharman?

– O nikim – odpowiedziała, po czym pośpiesznie się poprawiła: – o niczym.

Jocelyn wyminęła ją, nie spuszczając z niej podejrzliwego spojrzenia.

– Wybrałaś już strój? – zapytała.

Na twarzy Flory pojawił się grymas. Kompletnie zapomniała o tym, że też musiała się przebrać.

– Bliźniaczki przebierają się za Velmę i Daphne[21], a ja chyba zostanę przy Kobiecie-Kocie. Jeżeli idziemy razem, może będziesz Wonder Woman? – zaproponowała. – Widziałam świetny strój, który bosko by na tobie wyglądał. – Chwyciła dłoń Flory i pociągnęła ją za sobą do kolejnej alejki z ubraniami.

Jednak to nie przebranie Wonder Woman przykuło uwagę Flory. Zrobiła to podarta suknia ślubna upchnięta pomiędzy uniformem pielęgniarki a bordowym płaszczem Willy'ego Wonki.

*

Drewniana podłoga w oddalonym kącie zaciemnionego korytarza skrzypnęła, sprawiając, że Hayden zatrzymał się przed drzwiami wyjściowymi. Nie odwrócił się od razu, zamiast tego zmarszczył brwi, dając skradającemu się za jego plecami małemu potworowi moment tryumfu.

Po chwili jednak rzucił przez ramię:

– Nie tym razem, Julie.

Tuż za sobą usłyszał pełne irytacji westchnienie. Kiedy nacisnął klamkę, w ciszy rozległo się pytanie:

– Podoba ci się moje przebranie?

Hayden odwrócił się i dopiero po upływie kilku sekund udało mu się w ciemności dostrzec twarz siostry.

Julie zaplotła długie, czarne jak noc włosy w dwa warkocze, które okalały jej blade policzki. Miała na sobie ciemną sukienkę, spod której wystawał biały kołnierzyk. W prawej dłoni trzymała smyczek od wiolonczeli, w lewej sztuczną, ludzką czaszkę – kolejny przedmiot, który zapewne wykradła z gabinetu ojca.

– Przebrałaś się? – zapytał. – Wyglądasz tak jak zwykle…

– To Wednesday Addams – wtrąciła mrukliwie.

Hayden uśmiechnął się kącikiem ust na widok jej twarzy – wykrzywionej w grymasie niezadowolenia.

– Wiem, Julie – powiedział. – Wyglądasz upiornie.

Co raczej nie odbiega od codzienności, dodał w myślach.

Dziewczynka skrzyżowała ramiona na piersi, w zamyśleniu marszcząc ciemne brwi. Niewzruszony wyraz jej twarzy idealnie pasował do postaci, w jaką zdecydowała się wcielić.

– A gdzie twoje przebranie?

– Sam w sobie jestem wystarczająco straszny – odparł, odwracając się w stronę drzwi, i rzucił na pożegnanie: – Nie zjedz wszystkich cukierków, które uda ci się uzbierać, bo wypadną ci zęby.

Julie prychnęła pod nosem, a następnie zniknęła gdzieś w mroku spowijającym tego wieczoru mieszkanie Sanclairów.

Kiedy Hayden wydostał się na ulicę, minął tłumy dzieciaków w bardziej lub mniej strasznych przebraniach. Na ten dzień Manhattan stał się miejscem idealnym dla miłośników Halloween. Domy, które mijał, zdobiły kolorowe lampki, plastikowe nagrobki i sztuczne szkielety, a także – gdy ktoś zapomniał kupić cukierki – papier toaletowy i rozbite jajka.

Hayden nie potrafił doszukać się niczego urokliwego w tym dziwacznym święcie. Nawet kiedy był dzieckiem, nie wydawało mu się czymś interesującym. Być może dlatego, że nie przepadał za słodyczami? A może przebieranki od zawsze wydawały mu się niedorzeczne? Ludzie przebierali się za potwory, podczas gdy większość z nich była nimi na co dzień.

Nawet *Sleepy Hollow*, które – jak Hayden śmiał sądzić – było ostatnim miejscem, gdzie mógłby odnaleźć namiastkę Halloween, nieprzyjemnie go rozczarowało, gdy zjawił się tam późnym wieczorem.

Loren stała za barem przebrana za jedną z wiedźm z filmu *Hokus Pokus,* a nad jej głową wisiało kilka papierowych nietoperzy. Nie kryła zaskoczenia na widok Haydena.

– Co ty tu robisz? – zapytała, sięgając po kufel, aby napełnić go piwem.

– Jest piątek – przypomniał.

Choć nie miał ustalonego grafiku, według którego pojawiał się w *Sleepy Hollow*, piątki były dniem, kiedy klienci mogli upić się do nieprzytomności przy akompaniamencie jednej z etiud Chopina.

– Jest Halloween – poprawiła go. – Myślałam, że weźmiesz wolne i spędzisz trochę czasu ze znajomymi. Ten bar nie upadnie, jeśli przez jeden wieczór spróbujesz dobrze się bawić.

Hayden posłał kobiecie lekki grymas i pozbywając się płaszcza, ruszył w stronę zaplecza.

– Halloween mnie nie bawi – wyjaśnił.

– Flora ma na ten temat chyba nieco inne zdanie.

Chłopak przystanął na dźwięk tych słów. Na dźwięk imienia, które padło. Następnie zerknął na Loren.

– Była tutaj godzinę temu – wyjaśniła. – Chyba liczyła, że cię spotka. Gdy powiedziałam,

że dzisiaj raczej cię tu nie będzie, kazała mi przekazać, że gdybyś jednak zmienił zdanie, wiesz, gdzie ją znaleźć. Wyglądała na trochę smutną…

W głębi lokalu rozbrzmiał dźwięk tłuczonego szkła.

Loren zaklęła pod nosem.

– Staniesz na moment za barem? – zapytała. – Muszę wyrzucić kilku klientów za drzwi. – Wcisnęła w ręce Haydena pusty kufel i nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę miejsca, z którego dobiegł hałas. Zostawiła go samego z całym tym bałaganem.

Sanclair, wciąż mając w głowie to, co powiedziała Loren, stanął za barem.

– Popełniasz błąd, chłopcze.

Zerknął na siedzącego po drugiej stronie blatu starszego człowieka w zbyt dużym, przemokniętym od deszczu płaszczu, który okrywał jego szczupłe ramiona. Siwa, gęsta broda zasłaniała znaczną część jego twarzy, oprócz oczu. Ich nieprzeniknione spojrzenie ciążyło na chłopaku.

– Ogromny błąd – dodał.

– Nie potrzebuję rady – odparł zdawkowo, podsuwając kufel pod stary, zardzewiały kran z piwem.

– W twoim wieku nikt ich nie potrzebuje. – Nieznajomy wzruszył ramionami. – A przynajmniej z całych waszych młodych serc pragniecie w to wierzyć.

Hayden, ignorując mężczyznę, zerknął w głąb lokalu. Miał nadzieję, że Loren niebawem wróci, a on będzie mógł zasiąść do fortepianu i jakoś przetrwać ten uporczywie dłużący się wieczór.

– Ale to, co ci powiem, to nie rada, mój drogi. To smutny fakt, przed którym nie sposób uciec. Jeżeli nie chcesz pewnego dnia skończyć tak jak ja, lepiej nie zastanawiaj się dwa razy. Kobiety mają to do siebie, że nie czekają na nikogo dwa razy.

Sanclair skupił spojrzenie na nieznajomym, krzywiąc się, wyraźnie zirytowany.

– I zapewniam cię, że ona też nie poczeka – dodał. – Bez względu na to, jak dobre by miała serce, w końcu każda z nich odpuszcza. Przecież nie można o kogoś walczyć przez wieczność, prawda?

– Ja…

– No, chyba że wolisz obsługiwać starych, pijanych samotników takich jak ja – przerwał mu z uśmiechem, który wyłonił się spod gęstej brody. – Twój wybór, chłopcze, ale uważaj, by kiedyś nie stać się jednym z nich. Na miłość nigdy nie jest za późno, jednak na samotność zawsze jest za wcześnie…

Hayden w milczeniu patrzył, jak mężczyzna chwyta kufel z resztką piwa, a potem posyła mu kolejny uśmiech, pełen smutku i czegoś, co tak trudno było nazwać. Być może była to resztka nadziei, która umarła bardzo dawno temu. Może odrobina nostalgii, bo nieznajomy dostrzegł w nim kogoś, kim sam niegdyś był. A może tylko skutek kilku piw, które wypił wcześniej?

Czymkolwiek to było, sprawiło, że Hayden uświadomił sobie, jak bardzo nie chciał tu teraz być. Wiedział to już wcześniej. Być może jeszcze zanim tego dnia po raz pierwszy otworzył oczy? Ukrył jednak tę świadomość za kurczowym przekonaniem, że Flora Sharman nie mogła go aż tak zmienić – nie mogła sprawić, że nagle zapragnął spróbować wszystkich tych rzeczy, którymi niegdyś gardził.

Lecz – wbrew temu, co uparcie sobie wmawiał – naprawdę jej się to udało.

Nieznajomy zniknął, mijając kręcącą głową Loren, która wróciła za bar.

– Jeżeli tak dalej pójdzie, będę musiała dokupić więcej szklanek albo przestać sprzedawać alkohol tym, którzy wlali go w siebie już za dużo…

– Loren? – przerwał jej Hayden.

– Tak?

– Chyba… – Zmarszczył brwi. – Chyba muszę już iść.

Na twarzy właścicielki *Sleepy Hollow* zagościł uśmiech.

– Baw się dobrze. Och, i pozdrów ode mnie Florę.

*

Cokolwiek pływało w ogromnej misce – przypominało oranżadę, którą Flora w dzieciństwie sprzedawała za dolara na prowizorycznie zrobionym stoisku przed swoim domem. Wciąż pamiętała zbyt słodki smak chemicznej truskawki, od jakiego przez kilka dni bolał ją brzuch.

– To wódka – odezwał się ktoś tuż za jej plecami.

Dziewczyna zerknęła przez ramię na jedną z bliźniaczek ubraną w fioletową sukienkę i perukę w odcieniu tak intensywnie pomarańczowym, że wyróżniała się na tle ciemności wypełniającej opuszczony teatr.

– Po prostu dolali do niej czerwonego barwnika, żeby przypominała krew. To pewnie pomysł tych z ostatniego roku. Są trochę stuknięci, ale po trzech latach na tej uczelni chyba nie ma się co dziwić. Nas też to czeka. – Imogen rozejrzała się dookoła. – Widziałaś moją brzydszą siostrę?

Flora zachowała dla siebie uwagę, że były niemal identyczne, i tylko pokręciła głową.

Imogen mruknęła coś pod nosem, po czym zniknęła w tłumie.

Tego wieczoru teatr nawiedziło zapewne więcej osób niż w latach jego świetności. Flora z trudem przepchnęła się do stołu, mając nadzieję, że odnajdzie na nim coś prócz alkoholu różnej maści i jakości, ale nadzieja szybko zgasła.

Stała więc z pustym, plastikowym kubkiem, który Jocelyn wcisnęła jej w dłonie, zanim zniknęła gdzieś jak bliźniaczki. Trudno było tu kogokolwiek odnaleźć. Wszyscy byli przebrani, przez co nikt nie przypominał samego siebie.

Flora starała się dobrze bawić, lecz nie potrafiła zbyt długo i zbyt wiarygodnie udawać, że nie marzyła o powrocie do domu. Albo po prostu o znalezieniu się gdzieś, gdzie przy każdym ruchu nie ocierałaby się o zupełnie obcą osobę.

Spojrzała do wnętrza pustego kubka, zastanawiając się, czy ktokolwiek by zauważył, gdyby postanowiła niepostrzeżenie się wymknąć.

Jakby w odpowiedzi na niezadane pytanie tuż obok niespodziewanie pojawiła się Jocelyn.

– Wszędzie cię szukałam! – krzyknęła do ucha Flory, starając się przedrzeć przez muzykę.

Dziewczyna zmusiła się do uśmiechu i odpowiedziała:

– Znalazłaś mnie.

– To właściwie nic trudnego. – Machnęła ręką. – Pośród kilkunastu aniołków, tuzina Barbie i co najmniej dwudziestu pielęgniarek jesteś jedyną Gnijącą Panną Młodą, Sharman. Chodźmy. – Chwyciła jej dłoń.

Zanim Flora zdołała zaprotestować, Jocelyn pociągnęła ją w stronę tańczącego tłumu.

– Przecież nie będziesz tak tutaj stać, prawda? – rzuciła przez ramię, układając umalowane czerwoną szminką usta w szeroki uśmiech.

Z rozstawionych w różnych miejscach głośników popłynęły pierwsze dźwięki utworu *Thriller* Michaela Jacksona.

Palce Jocelyn ześlizgnęły się z nadgarstka Flory. Obie dziewczyny utonęły w mroku, poruszających się ciałach, kolorowych przebraniach i umalowanych twarzach. W hałasie, krzykach i śmiechach.

Ktoś trącił Florę ramieniem, gdy stanęła w miejscu i zaczęła się rozglądać, próbując dostrzec kocie uszy Jocelyn, rude włosy Imogen lub krótką grzywkę Izzy. Nie widziała jednak niczego prócz blasku kolorowych świateł, kilku blond peruk i uniesionych czerwonych kubków z zabarwioną wódką przypominającą oranżadę.

Jej serce ścisnęło się w nieopisanej panice, kiedy odniosła wrażenie, że ma coraz mniej miejsca, że nie ma czym oddychać, że ludzie na nią napierają, jakby chcieli ją zgnieść.

Ktoś znów popchnął Florę, wyrywając z jej gardła krzyk, który zniknął pomiędzy głosem Michaela Jacksona a śmiechem tańczącej nieco dalej Barbie.

Sharman zachwiała się i zapewne by upadła, gdyby nie czyjaś ciepła, silna dłoń, która zdołała odnaleźć jej nadgarstek.

Jocelyn, pomyślała z ulgą, *dzięki Bogu.*

Wbrew temu, co sądziła, to nie Jocelyn ją uratowała.

Gdy odwróciła głowę i odrobinę ją uniosła, pośród kolorowych świateł odnalazła nie twarz przyjaciółki, a znajome, czarne oczy. W jednej chwili poczuła ulgę tak przejmującą, że zapragnęła się rozpłakać.

– Przyszedłeś – powiedziała.

Hayden Sanclair obdarzył ją uśmiechem. Najpiękniejszym uśmiechem, jaki dane jej było kiedykolwiek ujrzeć.

– Stęskniłaś się, Sharman? – zapytał, a następnie przyciągnął ją do siebie, dzięki czemu ponownie stanęła pewnie na własnych nogach.

Zmierzyła go spojrzeniem.

Miał na sobie szary płaszcz, spod którego wystawały kamizelka w podobnym odcieniu, fragment białej koszuli i jasny krawat. Kosmyki czarnych włosów opadały swobodnie na jego blade czoło. Wyglądał jak…

– Victor Van Dort – wymówiła na głos.

– Pewna pyskata dziewczyna powiedziała mi kiedyś, że go przypominam – odparł.

Flora uśmiechnęła się pod nosem, a potem zerknęła na ich wciąż złączone dłonie. Jej palec zdobiła replika pierścionka, który w animacji Tima Burtona Victor przez przypadek umieścił na palcu Emily, wiążąc z nią swój los.

Kiedy ponownie uniosła głowę, zauważyła, że Hayden rozejrzał się dookoła. Gdy ich spojrzenia znów się spotkały, zaproponował to, o czym myślała:

– Chcesz się stąd wyrwać?

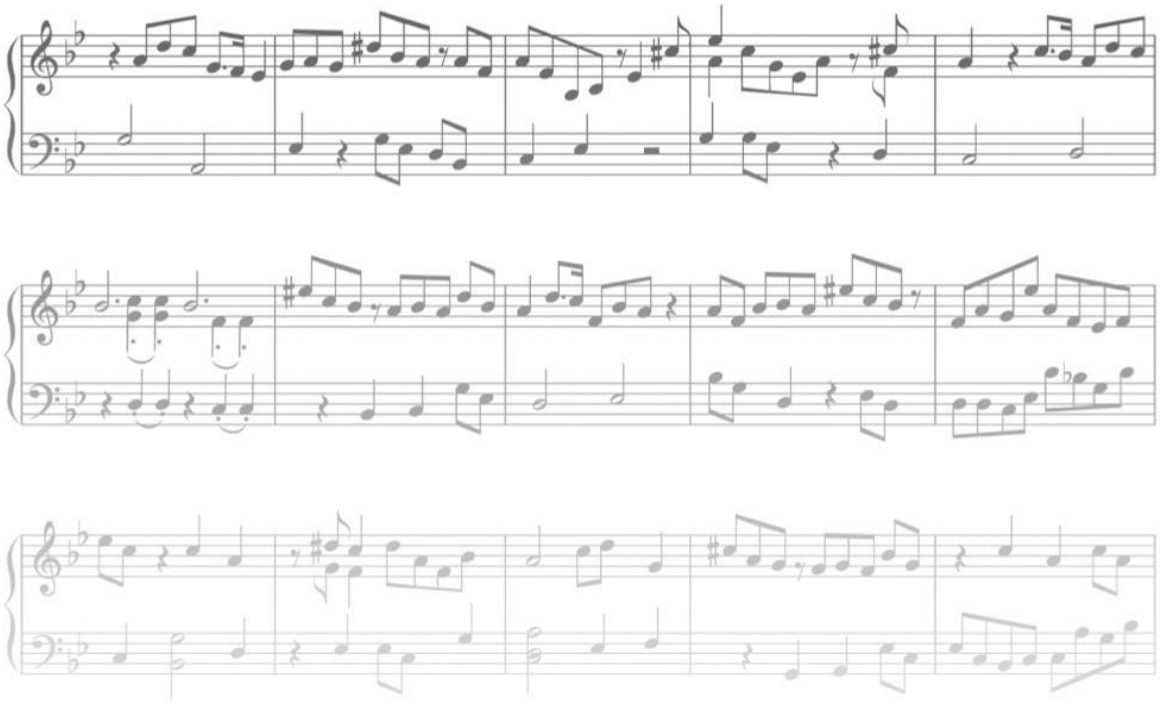

Rozdział 18

I’ll be there for you

Hayden nawet na moment nie puścił dłoni Flory, gdy w pośpiechu przemierzali wąskie korytarze opuszczonego teatru. Mijali pary, które skryte w mroku, starały się znaleźć dla siebie nieco prywatności. Ich przyciśnięte do siebie ciała zlewały się ze sobą, przypominając zaklęte w marmur rzeźby.

Nie puścił jej nawet wtedy, kiedy udało im się wydostać ze zniszczonego budynku. Nie zmieniło się to też wtedy, gdy biegnąc przez zapomniany park, oświetleni bladym blaskiem księżyca, uciekali, choć nie mieli pojęcia przed czym.

Nikt ich nie gonił. Nie podążał za nimi nikt, prócz ich cieni, przyśpieszonych oddechów i szelestu liści poruszanych przez coraz gwałtowniejsze podmuchy wiatru.

Przez dziurę w płocie wymknęli się na kamienną uliczkę wciśniętą pomiędzy fabrykę szkła a wysoki budynek mieszkalny. Grupka przebranych za duchy dzieci spojrzała na nich jak na szaleńców, po czym odbiegła, aby zapukać do kolejnych drzwi i wesoło zawołać: *Cukierek albo psikus!*

Flora przystanęła i pomiędzy jednym ciężkim oddechem a drugim poprosiła:

– Poczekaj.

Hayden spojrzał na nią, marszcząc brwi. Wciąż trzymał jej drobną dłoń swoją – dużą i przyjemnie ciepłą.

– Zaraz zacznie padać – powiedział. – Zaparkowałem samochód kilka…

– Tańczyłeś kiedyś w deszczu? – zapytała.

Popatrzył na nią podobnie jak patrzy się na ludzi mówiących w obcym języku,

próbujących z przejmującym zapałem przekazać nam wiadomość, której nie jesteśmy w stanie zrozumieć.

– Co?

– Tańczyłeś kiedyś w deszczu, Haydenie? – powtórzyła z zadziwiającą lekkością i swobodą, jakby nie doszukiwała się w tym pytaniu niczego nadzwyczajnego.

– Nie – odparł.

– Ja też nie, ale zawsze chciałam spróbować. – Zerknęła na pokrywające nocne niebo ciemne chmury. Gdy na jej policzki spadła zimna kropla, uśmiechnęła się szerzej, przeniosła wzrok na chłopaka i poprosiła: – Zatańcz ze mną.

Sanclair nieznacznie pokręcił głową. Zanim zdołał wydobyć z siebie najcichszy dźwięk, Flora postawiła ku niemu krok, po czym zadarła podbródek i wyszeptała, jakby powierzała mu jeden z najskrytszych sekretów:

– Wiesz, co robię, gdy mam na coś ochotę, ale wydaje mi się to strasznie szalone? – zapytała. – Myślę o tym, że w życiu o wiele lepiej być szalonym i szczęśliwym niż normalnym i smutnym. Potem zamykam oczy i udaję, że nikt nie patrzy.

– Nie potrafię tańczyć – zdradził.

Flora tylko szczerze się uśmiechnęła.

– To nie ma znaczenia. – Wzruszyła ramionami, po czym się rozejrzała. – Przecież nikt nie patrzy, prawda?

Odrobinę mocniej ścisnęła jego dłoń i cofnęła się o krok, ciągnąc chłopaka za sobą, aż objął ich słaby blask starej latarni. Deszcz, który na początku tylko kilkoma kroplami spadł na kamienną drogę, zmienił się w delikatną mżawkę. Muskał ich twarze w nieśmiałej zapowiedzi tego, co miało nadejść.

– Floro…

Nie słuchała słów Haydena. Zamiast tego z szerokim uśmiechem uniosła jego dłoń, a potem obróciła się wokół własnej osi, rozdzielając ich ręce. Podarta suknia ślubna, którą miała na sobie, zawirowała na wietrze.

Sanclair nie odrywał od dziewczyny wzroku. Nie potrafił. Nie chciał przestać na nią patrzeć.

Za każdym razem, kiedy był pewien, że poznał wszystkie jej najbardziej szalone strony, Flora Sharman zaskakiwała go czymś nowym, pokazując mu, w jak wielkim błędzie tkwił. I jak wiele jeszcze szaleństwa w sobie skrywała.

Zapewne każdy, kto miałby okazję teraz ujrzeć dziewczynę, uznałby ją za wariatkę, jednak on wiedział, że była po prostu szczęśliwa. Bezgranicznie. Tak, jak powinno się pozwalać sobie na szczęście – jakby w danym momencie nic innego nie miało znaczenia. Jakby świat nie istniał.

– No dalej! – zawołała. – Czego tak bardzo się boisz?

Hayden rozchylił wargi, które zadrżały w niemej odpowiedzi. Słowa zamarły mu na ustach, nieprzyjemnie gorzkie i cierpkie. Nie potrafił ich wypowiedzieć ani przełknąć.

Mżawka zmieniła się w ulewę, a wraz z nią przyszło chłodne otrzeźwienie.

– Musimy iść! – Chłopak próbował przedrzeć się przez szum deszczu.

Flora przestała tańczyć.

W białej sukience, z ciemnymi włosami przyklejonymi do zaróżowionych od zimna policzków, pośród ulewy, której krople lśniły w żółtym blasku ulicznej latarni, przypominała coś nierzeczywistego. Zasłyszaną przypadkiem melodię, która miała na zawsze utkwić w pamięci, jednocześnie na tyle niewyraźną, że nie sposób było ją powtórzyć. Tliła się więc gdzieś pośród myśli – nienazwana i tak piękna, że ilekroć wraca się do niej pamięcią, rozbudza ciepło w sercu.

I ten uśmiech. Dobry Boże, był jak promyk światła pośród ciemności.

Patrzył na nią, gdy powoli do niego podeszła, nie przejmując się tym, jak była przemoknięta. Chwyciła jego dłoń, sprawiając, że chłopak drgnął, jakby wyrwany spod ciężaru własnych myśli.

Kiedy przybliżyła ku niemu twarz, spojrzał na jej usta – wykrzywione w uśmiechu, błyszczące od kropel deszczu. Przełknął z trudem, czując nieprzyjemną i dokuczliwą suchość w gardle. Nagle wydawało się, że każdy oddech smakuje słodkim zapachem jej perfum, których woń otuliła Haydena z każdej strony.

– O czym myślisz? – zapytała.

O tobie.

O twoich ustach.

O tym, jak bardzo chciałbym…

Zmarszczył brwi, gdy kolejna kropla deszczu spadła mu na policzek, a powiew wiatru wdarł się pod materiał marynarki, wytrącając z jego umysłu te pełne śmiałości i niedorzeczności myśli.

Znów spojrzał na iskrzące się radością oczy Flory. Przez ułamek sekundy odniósł wrażenie, że jakimś cudem dopatrzył się w nich własnego odbicia. Niewyraźnego cienia pośród błysku radości.

Kiedy otworzył usta, aby przerwać niewygodną dla niego ciszę, wypowiedział pierwsze słowa, jakie podsunął mu rozum:

– Loren potrzebuje pomocy w *Sleepy Hollow*. Jeżeli chcesz, moglibyśmy… – Zamilkł, gdy znów obdarzyła go uśmiechem.

Miał wrażenie, jakby celowo tak się nad nim znęcała, choć wiedział, że nie miała pojęcia, jak bardzo uwielbiał jej uśmiech.

Cholera, do niedawna sam o tym nie wiedział.

– W takim razie powinniśmy ruszać – stwierdziła.

Dopiero kiedy puściła jego dłoń i ruszyła kamienną uliczką w stronę samochodu, Hayden poczuł się tak, jakby coś zostało mu odebrane. Krzywiąc się na tę absurdalną myśl, podążył śladem dziewczyny.

Gdy znaleźli się w ciepłym wnętrzu auta, oboje byli już kompletnie przemoczeni. Deszcz w miarowym tempie uderzał w przednią szybę, zakłócając płynący z radia głos reportera, który z przesadnym optymizmem zapowiadał, że w ciągu najbliższych dni pogoda nie ulegnie zmianie.

Cisza między nimi panowała nie dłużej niż kilkanaście sekund, po których Flora zaproponowała:

– Skoro ja jestem Emily, a ty Victorem, powinniśmy odegrać jakiś dialog z…

– Nie, Sharman – wtrącił.

– Daj spokój, przecież to tylko zabawa. Jest Halloween…

Ponownie nie pozwolił jej dokończyć, twardo obstając przy swoim:

– Nie.

– Pewnie nawet nie oglądałeś tego filmu – mruknęła. Skrzywiła się pod nosem i odwróciła twarz w stronę bocznej szyby. Przez deszcz trudno było jej coś wyraźnie dostrzec, ale Manhattan zdawał się malować w oddali, jako jasny punkt tuż za Mostem Brooklińskim. Podpierając podbródek na dłoni, westchnęła.

Niespodziewanie kilka chwil później pomiędzy szumem deszczu a ciszą, rozbrzmiały słowa:

– „Złożyłem obietnicę”.

Flora uniosła głowę, a następnie spojrzała na Haydena i odparła:

– „I dotrzymałeś słowa. Zwróciłeś mi wolność. Teraz mogę ci odpłacić tym samym”. – Kącik jej ust drgnął ku górze. – Czy to aż takie straszne? Przez moment pozwolić sobie na bycie dzieckiem? – zapytała.

Hayden odpowiedział dopiero, gdy znów wyjrzała za okno. Wymówił to słowo na tyle cicho, aby nikt oprócz niego nie był w stanie go usłyszeć:

– Nie.

*

Kiedy kilkanaście minut później przekroczyli próg *Sleepy Hollow*, na ich widok na twarzy Loren zagościł grymas ulgi.

Flora zwróciła Haydenowi marynarkę, którą ofiarował jej w samochodzie, gdy na własnej skórze odczuła, że taniec w deszczu wydawał się świetnym pomysłem, lecz równał się z potwornym wychłodzeniem.

– Podobno potrzebujesz pomocy.

– Potrafisz unieść cztery kufle piwa za jednym razem? – zapytała Loren, sprawiając, że dziewczyna zmarszczyła brwi w trwodze. – Nieważne, każda para rąk przyda się do pracy. Mam tu dzisiaj prawdziwe urwanie głowy! – Wychodząc zza baru, wcisnęła w dłonie Flory dwa kufle z ciemnym piwem. – Zanieś to do stolika w głębi lokalu. Siedzi przy nim Roger, ma długą, siwą brodę i zapewne pali jedno ze swoich śmierdzących cygar. Jego kolega to Denny.

– Tak jest.

Loren spojrzała na Haydena.

– Na co czekasz, chłopcze? Wskakuj za fortepian. Co najmniej dwa tuziny klientów potrzebuje rozrywki! – Potem odeszła, zawołana przez siedzącego przy barze mężczyznę, który domagał się swojego zamówienia.

Hayden spojrzał na Florę, która z uśmiechem odwróciła się w stronę głównej sali.

– Poradzisz sobie? – zapytał.

Sharman zerknęła na niego z boku.

– Czyżbyś we mnie wątpił?

– Nie, po prostu…

– Jasne, rozumiem – wtrąciła. – Ale nie martw się. Gdy byłam dzieckiem, sprzedawałam lemoniadę przed domem. To nie może być trudniejsze, prawda?

Hayden się nie martwił, a przynajmniej uparcie próbował to sobie wmówić. Flora nie miała jednak pojęcia, jak w rzeczywistości wyglądały miejsca takie jak to – pełne na wpół pijanych, znudzonych życiem mężczyzn. Pełne alkoholu, tonącego w nim żalu, zmarnowanych lat, przegranych pieniędzy i partii pokera, gdzie stawką było to, kto postawi następną kolejkę. Praca tutaj w niczym nie przypominała sprzedawania lemoniady w słoneczne popołudnie.

– Gdyby któryś z klientów był dla ciebie niemiły albo…

– Jestem już dużą dziewczynką – zapewniła. – No i gdy miałam dwanaście lat, tata zapisał mnie na kurs samoobrony. Wytrwałam tam tylko kilka tygodni, ale wciąż pamiętam kilka podstawowych technik.

Hayden poczuł, jak kącik jego ust drgnął ku górze, zanim uświadomił sobie, że rzeczywiście się uśmiechnął.

– Czy jest jeszcze coś, czym mnie zaskoczysz, Sharman? – zapytał.

Flora wzruszyła ramionami.

– Czasami przez sen recytuję fragmenty *Małego Księcia,* a mój rekord w kichaniu z rzędu to trzynaście. – Uśmiechnęła się, stawiając ku niemu niewielki krok. – Dam radę. Jeżeli coś będzie nie tak, przecież przez cały czas będziesz tuż obok, prawda?

– Tak – odparł, być może zbyt szybko i gwałtownie. Powtórzył więc nieco ciszej: – Tak.

– Świetnie. W takim razie na co czekasz, chłopcze? – zapytała, próbując naśladować poważny ton Loren. – Wskakuj za fortepian.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła pomiędzy stolikami, z uśmiechem niosąc kufle po brzegi wypełnione piwem. Hayden przez moment na nią patrzył, po czym przypomniał sobie, że wcale się o nią nie martwił, i zasiadł za fortepianem.

Podczas gdy *Sleepy Hollow* wypełniły pierwsze dźwięki, Flora odnalazła stolik, o którym mówiła Loren. Roger przywitał dziewczynę ciepłym uśmiechem. Choć na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia kogoś, w kogo towarzystwie chciałoby się spędzić czas, uprzejmie podziękował za dostarczenie zamówienia.

– Smacznego – odpowiedziała Flora, przyciskając do piersi pustą tacę.

– Skoro przyniosła je taka śliczna dziewczyna jak ty, nie może mi nie zasmakować, prawda? – Uniósł kufel z piwem, puszczając jej oczko.

– Nie przejmuj się nim – zwrócił się do niej Denny, który przez wyjątkowo drobną sylwetkę przypominał kilkunastoletniego chłopca, a nie dorosłego mężczyznę. Jego prawdziwy wiek zdradzały zmarszczki wokół wąskich oczu i zachrypnięty głos. – Roger podrywa każdą kobietę, na którą ma szczęście trafić, ale jego serce od zawsze należy wyłącznie do Loren.

Roger skrzywił się na dźwięk słów przyjaciela. Wydawało się, że nagle stracił entuzjazm, który jeszcze chwilę wcześniej tak od niego bił.

– To prawda? – zapytała.

Denny wtrącił:

– Jest zakochany jak w siedemdziesiątym piątym w Lisie McKenzie. – Zwrócił się do Flory, dodając szeptem: – Obaj byliśmy wtedy w wojsku, a ona była córką naszego dowódcy. Wszyscy się w niej w tamtych czasach kochaliśmy.

Flora zerknęła przez ramię. Loren wciąż stała za barem.

– Dlaczego nie poprosi jej pan do tańca? – zaproponowała.

Roger znów się skrzywił.

– Mam tańczyć przy tych smętach? – Ruchem głowy wskazał w stronę fortepianu. – Cholera, czułbym się jak na własnym pogrzebie.

Dziewczyna zmrużyła oczy w zamyśleniu.

– Chyba dam radę coś z tym zrobić – powiedziała. – Tylko proszę nie stchórzyć, jasne?

– Nie jak w siedemdziesiątym piątym – dodał Denny.

Flora sprawnie przedostała się pomiędzy stolikami. Kiedy zbliżyła się do podestu, na którym stał instrument, Hayden uniósł wzrok znad kartki z nutami i na moment przestał grać.

– Oglądałeś kiedyś *Przyjaciół*? – zapytała.

– Tak. Dlaczego…

– Kojarzysz piosenkę, którą zaczynał się każdy odcinek? Chodzi mi o… – Wyprostowała się i zaczęła cicho śpiewać: – *So no one told you life was gonna be this way…*[22]

Sanclair zerknął na fortepian, a jego palce same odnalazły odpowiednie klawisze. Kiedy melodia dopasowała się do słów opuszczających usta Flory, na twarzy dziewczyny rozkwitł uśmiech. Hayden nie mógł jednak cieszyć się nim tak długo, jakby tego pragnął, bo odwróciła się, wciąż nucąc pod nosem:

– *I'll be there for you. When the rain starts to pour…*

Dopiero kilka sekund później zrozumiał, na co patrzyła. Roger, jeden ze stałych bywalców *Sleepy Hollow*, wyciągnął Loren zza baru i mimo protestów kobiety zaciągnął ją na środek sali, gdzie pomiędzy stolikami znalazło się trochę przestrzeni. Zaczęli tańczyć, zmuszając do ruszenia się z miejsc także innych klientów.

Hayden patrzył na nich wszystkich – śmiejących się, wstających z miejsc, odnajdujących kogoś, kogo mogliby zaprosić do tańca.

Flora zerknęła na chłopaka z uśmiechem.

– To niesamowite, prawda? – zapytała.

Nie odpowiedział. Jego palce wciąż sprawiały, że z fortepianu wydobywały się kolejne dźwięki. Myśli natomiast podsunęły mu fakt, który rzeczywiście był niesamowity – po raz pierwszy jego muzyka poderwała z miejsc tak wielu ludzi.

Po raz pierwszy ktoś go słuchał.

Po raz pierwszy grał dla kogoś, a nie dla zaciemnionego kąta, w którym kiedyś postawiono stary fortepian.

Po raz pierwszy od wielu lat, które spędził w *Sleepy Hollow*, jego muzyka nie była tylko tłem mającym za zadanie zakłócić ciszę. Była czymś więcej. Czymś istotnym. Czymś ważnym.

I, Chryste, to uczucie było lepsze, niż mógłby podejrzewać.

Zamknął oczy, pozwalając, aby jego palce robiły to, co potrafiły robić najlepiej – sunęły po czarno-białych klawiszach, poruszając młoteczkami, które następnie uderzały w struny.

Niespodziewanie gdzieś pośród melodii, radosnych gwizdów i śmiechu Loren w jego umyśle rozbrzmiał głos Flory: *Czego tak bardzo się boisz?*

Hayden bał się wielu rzeczy.

Bał się, że ciężar sekretu, który dźwigał od tak wielu lat, w końcu stanie się nie do zniesienia.

Bał się, że stary fortepian w *Sleepy Hollow* pewnego dnia przegra walkę z czasem i nie będzie zdolny wydać z siebie ani jednego dźwięku. Bo przecież nic nie było wieczne.

Bał się przyszłości. Teraźniejszości i przeszłości.

Bał się rozczarowania, niespełnionych marzeń i samotności.

Bał się tego, że gdy pewnego dnia za wiele lat spojrzy wstecz, będzie żałował wszystkiego, czego nie miał odwagi zrobić.

Ale przede wszystkim bał się tego, że Flora Sharman kiedyś w końcu odejdzie, a on nie będzie potrafił jej zatrzymać. Odejdzie, zabierając ze sobą to przyjemne ciepło, które czuł na jej widok. Uśmiech, który tak bardzo uwielbiał. Szalone pomysły, dobre serce i wiarę, jaką tak uparcie w nim pokładała.

Odwrócił wzrok i odnalazł ją wśród gości, co nie stanowiło większego problemu. Była jedynym jasnym punktem pośród tego nieprzejednanego mroku. Jedynym uśmiechem pośród wielu grymasów. Jedynym, co potrafiło całkowicie skraść jego uwagę.

Stała tam. W bladym blasku kilku zawieszonych na suficie lamp, dopóki jeden z klientów nie porwał dziewczyny do tańca, sprawiając, że z jej ust uleciał pełen radości śmiech.

Hayden poczuł nieprzyjemny ucisk w sercu.

Ona odejdzie.

Bo nie potrafił zatańczyć z nią w deszczu, nie był w stanie sprawić, aby śmiała się równie mocno, jak w tym momencie.

Bo był ciemnością, której nawet ona nie była w stanie rozjaśnić.

Odejdzie, a on znów zostanie zupełnie sam.

Odsunął dłonie od fortepianu. Choć muzyka gwałtownie ucichła, zdawało się, że nikt tego nie zauważył – ludzie wciąż tańczyli, gwiżdżąc, tupiąc i się śmiejąc. W ten halloweenowy wieczór *Sleepy Hollow* tętniło życiem bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. I to za sprawą pewnej uśmiechniętej nastolatki.

Hayden wstał i zszedł z podestu, zostawiając ukochany instrument w zaciemnionym, zapomnianym kącie. Porzucając go na ten jeden moment. Minął tańczącą Loren i wszystkich

ludzi, którzy teraz nie mieli żadnego znaczenia. Gdzieś pośród tłumu pijanych mężczyzn i śmiejących się do utraty tchu kobiet odszukał Florę Sharman.

Minęła chwila, zanim i ona w końcu go dostrzegła. Na widok Haydena uśmiechnęła się jeszcze radośniej, krusząc twardy kamień, którym przez lata obrosło jego serce. Wdarła się do niego tak niespodziewanie, że uderzenie ciepła, jakie poczuł, wyrwało z jego ściśniętego gardła ciężkie westchnienie.

Hayden wiedział, że Flora była jego przeciwieństwem w każdym znaczeniu tego słowa. Być może zdawał sobie sprawę także z tego, że zasługiwała na coś więcej niż to, czym sam był.

Ale w tej chwili nie potrafił o tym myśleć. W tej chwili Flora skradła całą jego uwagę.

I, na wszystkie diabły, miał gdzieś to, czy następnego ranka mógł tego wszystkiego żałować.

Ruszył ku niej, przedzierając się przez tłum gości. Jej biała sukienka odznaczała się na tle drewnianych ścian, dymu papierosowego i panującego dookoła półmroku. Z każdym krokiem przybliżającym go do Flory serce biło mu coraz mocniej w piersi, świat natomiast – znikał. Rozlewał się, bladł, stając się tylko niewyraźnym tłem.

Bo tym właśnie teraz był – cichym akompaniamentem dla głównej melodii.

Flora odwróciła się do niego, czekając, aż podejdzie bliżej, a gdy tak się stało, delikatnie rozchyliła wargi. Być może chciała zapytać, czy z nią zatańczy, może poprosić, by zagrał inny utwór, który porwie klientów baru.

Hayden nie pozwolił jej jednak wymówić żadnego ze słów, jakie chciała powiedzieć. Podszedł do dziewczyny pewnym krokiem, zatrzymał się tuż obok niej, a następnie objął jej ciepłe policzki własnymi dłońmi – nieprzyjemnie chłodnymi i wciąż lekko drżącymi. Nie zważając na to, co działo się wokół, ani tym bardziej na to, co miało nadejść jutro, przyciągnął jej twarz ku swojej i w końcu zrobił to, co pragnął uczynić wtedy, gdy stali w deszczu – pocałował ją.

Jakby konsekwencje tego czynu nie czaiły się tuż za rogiem.

Jakby w tej chwili nie pragnął niczego ponadto.

Bo jeżeli miał pocałować ją tylko raz, w ten pełen zapomnienia wieczór, chciał zrobić to jak należy.

*

Violet McMillan była w trakcie spotkania z nową klientką, kiedy dostała telefon z komisariatu policji. Nie wdając się w szczegóły, przeprosiła Norę Robertson, która próbowała wywalczyć w sądzie należny jej spadek po matce, i czym prędzej opuściła budynek kancelarii.

Po drodze złamała co najmniej trzy przepisy ruchu drogowego i dwa razy przekroczyła dozwoloną prędkość. Kiedy późnym wieczorem dotarła do budynku policji, Jerry Larson czekał na nią za szklanymi drzwiami.

– Nic jej nie jest? – zapytała w pierwszej kolejności.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Chciałbym to samo powiedzieć o domach, które twoja córka postanowiła obrzucić jajkami i papierem toaletowym. Chyba nie muszę ci mówić, że to podchodzi pod wandalizm, prawda?

Kobieta wykrzywiła twarz w grymasie. Była prawnikiem wystarczająco długo, by wiedzieć, z czym to się wiązało.

– Masz szczęście, że Henry miał dzisiaj dyżur i w porę dał mi znać.

Jerry poprowadził ją wąskim korytarzem do pokoju, gdzie przebrana w czarną sukienkę Julie w towarzystwie policjantki popijała herbatę z papierowego kubeczka.

Wbrew zaistniałym okolicznościom wyglądała na zadziwiająco spokojną.

– Chryste, Julie. – Violet podeszła do córki, kucnęła tuż przed nią i upewniła się, że była cała i zdrowa. – Masz pojęcie, jakiego stracha mi napędziłaś?

– Nic mi nie jest, mamo.

Kobieta odgarnęła ciemne włosy z policzka dziewczynki, po czym zwróciła się do młodej policjantki:

– Dziękuję, że się nią zajęłaś.

– To żaden kłopot. Miło spędziłyśmy czas, prawda, Julie? – Obdarzyła dziewczynkę uśmiechem.

Julie skinęła głową, po czym zeskoczyła z krzesła, wciąż trzymając kubek z herbatą zimową w dłoni.

– Czy możemy już wrócić do domu, mamo? – zapytała.

– Tak, oczywiście.

Violet McMillan chwyciła dłoń córki. W korytarzu jeszcze raz podziękowała Jerry'emu.

– Obiecuję, że to się nie powtórzy. Nie wiem, skąd wpadła na ten pomysł. Na co dzień raczej nie sprawia kłopotów. Powinnam lepiej jej pilnować.

Mężczyzna odprowadził je do wyjścia.

– Myślę, że po dzisiejszym wieczorze pomyśli przynajmniej trzy razy, zanim znów postanowi obrzucić czyjś dom jajkami. – Dotknął ramienia Violet. – Nie zadręczaj się. Julie to jeszcze dziecko. Henry w jej wieku czasami nie potrafił nawet założyć koszulki na właściwą stronę.

– Podziękuj mu ode mnie – poprosiła. – I pozdrów Jodie.

– Pozdrowię – obiecał, spoglądając na Julie, która przystanęła nieco dalej, tuż obok automatu ze słodyczami. – Wracajcie do domu. Już późno. Chyba obie macie za sobą ciężki dzień.

Violet obdarzyła przyjaciela uśmiechem. Kiedy mężczyzna odszedł, zamknęła oczy i głęboko odetchnęła, ignorując uporczywe pulsowanie w skroniach. Chwilę zajęło jej przepędzenie zmęczenia. Dopiero wtedy uniosła powieki i podeszła do córki.

– Chyba wystarczy ci słodyczy jak na jeden wieczór, prawda, młoda damo? – zapytała.

Julie wykrzywiła twarz w grymasie. Nie lubiła, gdy mama zwracała się do niej w taki sposób, bo to nigdy nie zwiastowało niczego dobrego.

– Masz mi coś do powiedzenia?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Nie.

– Julie… – Skrzyżowała ręce na piersi. – Obrzuciłaś dom państwa Taylorów jajkami.

– To tradycja, mamo. – Wzruszyła ramionami. – Przecież jest Halloween. Trzeba karać tych, którzy nie rozdają słodyczy.

– Państwo Taylorowie zawsze rozdają słodycze w Halloween – zauważyła.

– Tak. Więc po prostu ich nie lubię…

– Julie – ucięła.

Dziewczynka ciężko westchnęła.

– Okej. Przepraszam. – Znów się skrzywiła, jakby przyznanie się do winy było czymś ponad jej siły. – Widziałam, jak pan Taylor kopnął kota na ulicy, a przecież zawsze powtarzasz, że jeżeli ktoś krzywdzi zwierzęta, nie może być dobrym człowiekiem.

Violet McMillan pochyliła się, aby zrównać twarz z twarzą córki.

– Kochanie… – zaczęła. – Jeżeli widzisz, że ktoś robi krzywdę zwierzęciu, powinnaś przyjść z tym do mnie albo do taty, w porządku? Nie możesz sama wymierzać sprawiedliwości.

– Wiem. Przepraszam. Chociaż wcale nie żałuję. Pan Taylor to ku…

– Julie.

– Tata go tak nazywa – oburzyła się. – On też go nie lubi.

– Twój tata nikogo nie lubi. I lepiej nie wspominajmy mu o tym, co się dzisiaj wydarzyło, dobrze?

Violet znała swojego męża wystarczająco dobrze, by wiedzieć, jak to wszystko mogłoby się potoczyć, gdyby Jerry postanowił zadzwonić do niego, a nie do niej. Pan Taylor zapewne skończyłby z pozwem albo podbitym okiem za to, że odważył się krzywo spojrzeć na jego ukochaną córkę.

Oliver zawsze stawał po stronie swoich dzieci, nawet wtedy, kiedy ponosiły znaczną część winy. Z ich dwojga to Violet miała większy dar do rozwiązywania konfliktów i problemów. Może właśnie dzięki temu tak doskonale się dopełniali?

Jak słońce i księżyc – zupełnie odmienni, ale związani ze sobą bardziej niż cokolwiek innego.

Kiedy obie opuściły komisariat, kobieta zapytała:

– Czy Hayden nie miał dzisiaj zostać w domu? Powinien mieć na ciebie oko…

– Wyszedł spotkać się z Henrym – odparła, wzruszając ramionami.

Violet zmarszczyła brwi.

– Henry ma dzisiaj dyżur.

Dziewczynka przystanęła, a jej szczupłe, okryte czarnym materiałem ramiona uniosły się i opadły. Jeden oddech – właśnie tyle potrzebowała, by przybrać niewzruszony wyraz twarzy, odwrócić się i dodać:

– Więc pewnie robi jakąś inną nudną rzecz.

Violet McMillan lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, kiedy któreś z jej dzieci kłamało. Podeszła do córki.

– Julie… – zaczęła. – Gdzie jest twój brat?

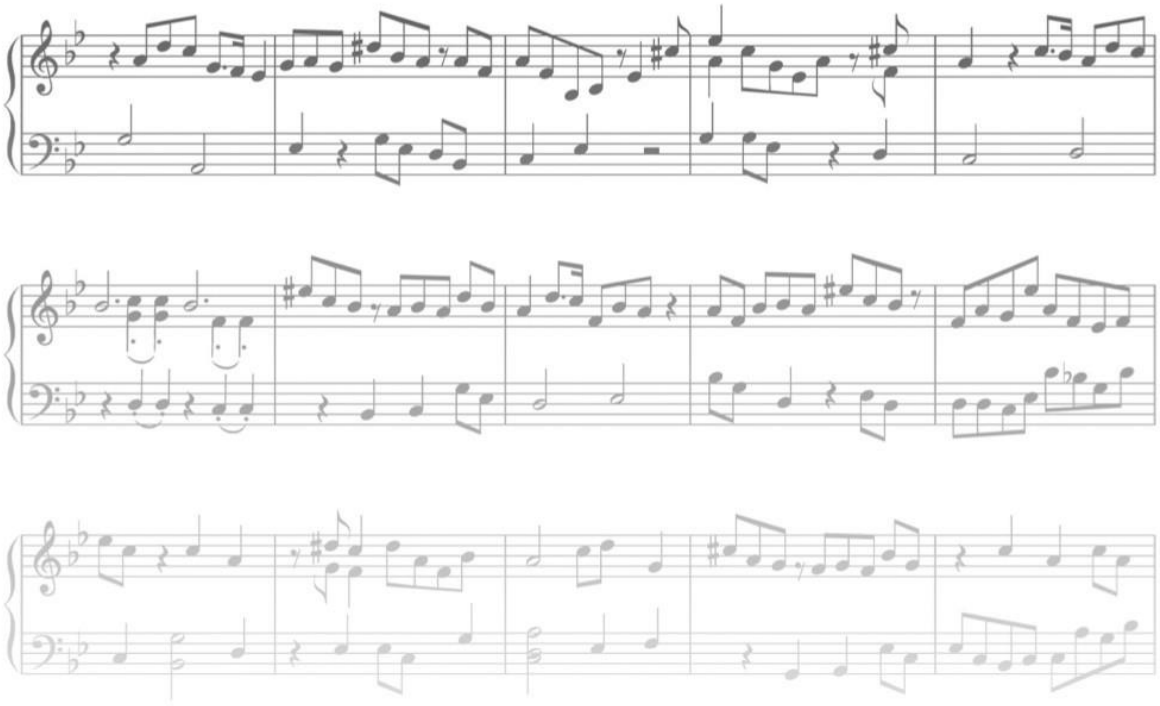

Rozdział 19

Cena wszystkich moich kłamstw

Hayden Sanclair smakował jak wszystkie grzechy, których nigdy nie powinna popełnić. Jak senny koszmar, który – choć wydawał się przerażający – kusił tak mocno, że Flora wbrew rozsądkowi pragnęła dobrowolnie oddać mu duszę, serce i tych kilka pocałunków, jakie zdecydował się skraść z jej ust.

Choć już wtedy, gdy dostrzegła w jego ciemnych oczach ten niepokojący błysk, powinna była zrozumieć, że Hayden był wszystkim, przed czym ostrzegał ją dziadek, potrafiła myśleć tylko o tym, że nikt nigdy wcześniej jej tak nie całował. Jakby pragnął skraść z jej ust każdy oddech. Spić wszystkie niewypowiedziane słowa. Zawładnąć tym niewielkim fragmentem jej serca, którego nie posiadł do tej pory.

Te same smukłe palce, które z kilkudziesięciu czarno-białych klawiszy potrafiły wydobyć najpiękniejsze dźwięki, zacisnęły się na jej karku. Odchylił jej głowę, pogłębiając pocałunek i wyrywając ze ściśniętego gardła dziewczyny jęk, który zaginął pośród panującego w *Sleepy Hollow* rozgardiaszu.

Flora odniosła wrażenie, jakby świat nagle zaczął się kurczyć. Jakby ludzie znikali, podłoga w dziwny sposób stawała się mniej twarda, a sufit niebezpiecznie bliski. Zacisnęła drżące palce na białej koszuli Haydena i odwzajemniła pocałunek. Pozwoliła, aby przejął nad nim kontrolę i poprowadził ją wprost w ten otumaniający rodzaj rozkoszy, jakiego jeszcze nigdy nie dane jej było zaznać.

Wszystko inne zniknęło. Zostali zupełnie sami.

Hayden przerwał pocałunek, by zaledwie kilka sekund później znów odnaleźć drogę do

ust dziewczyny. Jego palce przesunęły się ku górze i objęły jej rozpalone policzki. Zwolnił. Całował ją delikatniej, sprawiając, że wszystko w niej zdawało się błagać o więcej.

Kiedy ten słodki rodzaj upojenia niespodziewanie minął, Flora miała wrażenie, jakby zaczerpnięcie tchu kosztowało ją więcej sił, niż była w stanie poświęcić. Jej wargi znów zadrżały, gdy rozchyliła je, unosząc powieki.

Chłopak jednak się nie odsunął. Wciąż dzieliła ich odległość tak niewielka, że dziewczyna czuła na ustach ciepło jego oddechu.

Gdy odważyła się unieść spojrzenie i natrafiła na czerń jego oczu, jej serce ścisnęło się w bolesnej rozpaczy – być może prędzej niż umysł uświadamiając sobie, że człowiek, który nadał mu tak szybkie bicie, był tym samym, który miał je złamać.

Kciuki Haydena sunęły wzdłuż linii szczęki Flory, a jego wzrok błąkał się po jej twarzy. Ich oddechy mieszały się ze sobą.

Świat zaczął powoli wracać na miejsce. Ciszę znów wypełniły śmiechy, radosne śpiewy i gwizdy. Wokół nich znów krążyli tańczący ludzie. Dokądkolwiek zawędrowali w ciągu tej krótkiej chwili, właśnie powrócili do rzeczywistości.

Flora jako pierwsza zdecydowała się coś powiedzieć:

– Biorąc pod uwagę fakt, kim dzisiaj jesteśmy… – Przełknęła, czując uporczywą suchość w gardle. Miała na myśli ich halloweenowe przebrania. – Chyba nie jest pisane nam szczęśliwe zakończenie.

Hayden się uśmiechnął, a ona poczuła ten uśmiech na swoich wargach. Oparł czoło o jej czoło i dał im kolejną, jakże złudną chwilę, podczas której konsekwencje tego, co zrobili, wciąż wydawały się zbyt odległe, aby musieli się nimi przejmować.

Tego pamiętnego wieczora w *Sleepy Hollow* miało miejsce wiele niezwykłych zdarzeń.

Stary fortepian i towarzyszący mu młody pianista w końcu zostali dostrzeżeni.

Goście poderwali się z miejsc, aby tańczyć, śmiać się i radować, jakby troski nie miały znaczenia.

Chłopak o zimnym sercu pocałował dziewczynę o pięknym uśmiechu.

A pewien długo skrywany sekret w końcu wyszedł na jaw.

– Floro… – Jej imię smakowało czymś rozkosznie słodkim i wypowiedziane ustami Haydena brzmiało niczym najpiękniejsza melodia.

Dziewczyna uniosła głowę, ale zamiast odwzajemnić jego spojrzenie, skupiła uwagę na czymś kryjącym się w oddali, wśród półmroku spowijającego lokal. Na czymś na tyle strasznym albo niespodziewanym, że zmyło uśmiech z jej twarzy, pozostawiając na niej jedynie konsternację.

– Julie?

Sanclair zmarszczył brwi.

– Co? – Spojrzał przez ramię na tłum gości, na wciąż tańczącą pośród nich Loren oraz na swoją matkę, która stała za nimi i patrzyła na niego, trzymając drobną dłoń jego młodszej siostry.

Bo tajemnice, nawet najpilniej strzeżone, w pewnym momencie o sobie przypomną i domagając się więcej uwagi, wydostaną się na powierzchnię w najmniej spodziewanym momencie.

*

Flora zaproponowała, że zajmie się Julie, dając Haydenowi sposobność, aby mógł porozmawiać z mamą. Chłopak zabrał kobietę do jedynego w *Sleepy Hollow* miejsca, gdzie ktokolwiek mógł liczyć na namiastkę prywatności. Choć ukryty za barem schowek był zagracony przez stare stoły, Violet McMillan zdołała znaleźć odrobinę przestrzeni, aby usiąść.

Z lekkim grymasem strzepała dłonią kurz z krzesła, które lata temu podczas bójki straciło oparcie, a następnie się rozejrzała. Jej jasny płaszcz wyróżniał się na tle wszystkich tych staroci.

Choć przez kilka chwil żadne z nich nie zdecydowało się niczego powiedzieć, w schowku nie gościła cisza. Przez cienkie ściany przebijały się dźwięki muzyki, śpiewów i krzyków.

Hayden wciąż stał przy wejściu, jakby bał się, że najmniejszy ruch mógłby sprowadzić na niego katastrofę.

– Mamo, posłuchaj…

– Od jak dawna to trwa? – zapytała głosem zbyt łagodnym i cichym, by współgrał ze stanowczymi słowami, które wypowiedziała. – Od jak dawna tu przychodzisz?

Nie wahał się z odpowiedzią. Nie było sensu wymyślać kolejnych kłamstw.

– Od kilku lat.

Kąciki ust Violet drgnęły w smutnym uśmiechu, a jej szczupłe palce zacisnęły się na torebce, którą kurczowo trzymała przy sobie. Z jej płuc uleciał drżący oddech, sprawiając, że ramiona kobiety nieznacznie się przygarbiły, przygniecione ciężarem winy.

Hayden nie potrafił niczego wyczytać z jej twarzy, choć w przeciwieństwie do jego ojca zawsze była jak otwarta księga. Ale teraz… Wpatrywała się w jedną z obdrapanych ścian. Nie pasowała do tego miejsca. Była zbyt elegancka. Zbyt łagodna wśród tej brutalnej, surowej przestrzeni. Przypominała piękny kwiat, który przez przypadek wyrósł pomiędzy ciernistymi krzewami.

– Nie chciałam uwierzyć – szepnęła, sprawiając, że chłopak skupił na niej uwagę. – Gdy Julie w samochodzie w końcu powiedziała mi, gdzie jesteś – dodała głosem tak cichym, że gdyby Hayden stał krok dalej, nie zdołałby usłyszeć – myślałam, że to jeden z jej dziwacznych żartów. Sam wiesz, że poczucie humoru odziedziczyła po waszym ojcu.

Choć chłopak poczuł chęć, aby się uśmiechnąć, nie był w stanie tego zrobić. Nie teraz.

– Mamo…

– Nie mogłam uwierzyć, że przez tak długi czas byłam równie ślepa. – W końcu na niego spojrzała, a następnie podniosła się i stanęła tuż przed synem. W jej oczach kryło się tak wiele troski. – Nie mogłam uwierzyć, jak złą matką jestem. Bo jak inaczej można wytłumaczyć fakt, że przez te lata mój syn każdego wieczoru wymykał się z domu, by w takim miejscu – jeszcze raz się rozejrzała – robić coś, o czym bał się powiedzieć własnym rodzicom?

Hayden pokręcił głową.

Choć od tak dawna skrywał swój sekret, nigdy nie uważał, że jego rodzice byli źli. Nigdy nie przestał ich kochać. Był pewien, że oni także wciąż go kochali. Wiedział, że robili to wszystko z myślą o nim i o Julie. Pracowali przez całe dnie, aby opłacać ich szkoły i uczelnie. By zapewnić im wszystko, czego było im trzeba. Mimo że przez większość czasu wydawali się nieobecni, w tych krótkich chwilach, kiedy byli obok, miał świadomość, że mógł na nich liczyć.

Wiedział, że gdyby jego serce przestało bić, rodzice bez wahania oddaliby mu własne.

Poczuł ukłucie bólu, kiedy dostrzegł łzy w oczach mamy. Po raz pierwszy zrozumiał, że sekrety raniły obie strony, a nie tylko jedną. Może właśnie to było ceną wszystkich jego kłamstw?

– Kiedy byłam niewiele starsza od ciebie – zaczęła – mój ojciec z całych sił próbował pokazać mi, że właściwa droga to wyłącznie ta, którą on sam podąża. Chryste, ciesz się, że nie miałeś okazji go poznać. Był okropnym marudą. – Uśmiechnęła się smutno.

– To straszne, kiedy nie znosimy tego, co robią nasi rodzice, a wiele lat później uświadamiamy sobie, że w gruncie rzeczy nie jesteśmy od nich lepsi…

– Nie jesteś taka jak on, mamo – wtrącił. – Nigdy nie byłaś. I nigdy nie będziesz.

– Czuję się, jakby było wręcz przeciwnie. – Odetchnęła głęboko, po czym cofnęła się

o krok i jeszcze raz rozejrzała dookoła.

Hayden wiedział, że próbowała powstrzymać grymas. *Sleepy Hollow* nie było dla żadnej matki wymarzonym miejscem, w którym jej dziecko mogłoby spędzać wieczory. Obskurne, zimne, zapomniane.

– Więc to tutaj… – Zawiesiła głos, jakby tych kilka słów nie było w stanie przejść jej przez gardło. Jakby wypowiedzenie tego na głos było równoznaczne z przyznaniem się do winy.

– Tak – odparł, również się rozglądając. Ten widok już go nie szokował. Przywyknął do tego miejsca. Polubił je. – Nie jest tak źle, jak myślisz. Loren, właścicielka, wyrzuca za drzwi każdego, kto za dużo wypije, więc właściwie nie ma tu bójek.

Violet McMillan lekko się uśmiechnęła, choć te słowa wcale nie odebrały jej zmartwień.

– A ta dziewczyna? – zapytała. – Pracuje tutaj?

– Nie. Flora jest… – Zamilkł. – Jest…

– Na tyle ważna, że poznała prawdę wcześniej niż ja – dokończyła, choć w jej głosie na próżno było szukać żalu czy wyrzutów.

– Mamo...

– W porządku – zapewniła. – Wygląda na to, że mam sporo do nadrobienia. – Stanęła przed synem i poprawiła kołnierzyk jego koszuli. – Zacznijmy więc od najważniejszego. Zagraj coś dla mnie.

*

Flora próbowała pod ladą baru znaleźć coś, co nie było piwem, whisky ani innym procentowym trunkiem, gdy dobiegł do niej cichy głos Julie:

– Hayden będzie miał przeze mnie kłopoty, prawda?

Spojrzała na dziewczynkę, której nogi zwisały z wysokiego stołka. Dostrzegłszy na jej twarzy grymas, podeszła bliżej i ukucnęła tuż przed nią.

– Nie martw się tym teraz, dobrze?

– Mogłabyś powiedzieć mu, że nie chciałam zdradzić jego sekretu i że mi przykro?

– Dlaczego sama mu tego nie powiesz? – zapytała.

– Nie będzie chciał mnie słuchać. Tak jak wtedy, gdy wrócił do domu pijany po imprezie, na którą namówił go Henry, a ja naskarżyłam na niego rodzicom. Przez dwa tygodnie zachowywał się tak, jakbym była niewidzialna.

Flora omiotła wzrokiem twarz Julie. Grymas smutku ani trochę do niej nie pasował.

– To coś trochę innego, wiesz? Jestem pewna, że Hayden zrozumie. – Przybliżyła się do niej, by dodać szeptem: – Jeżeli nie, sama przemówię mu do rozsądku, jasne?

– Obiecujesz?

Dziewczyna uniosła prawą dłoń.

– Na mały palec – odpowiedziała.

Kąciki ust Julie powędrowały ku górze, gdy Flora splotła ze sobą ich najmniejsze palce.

– Niestety obawiam się, że nie znajdę dla ciebie niczego, czego mogłabyś się napić. Chyba że jakimś cudem masz dwadzieścia jeden lat i po prostu nie urosłaś.

– To nic. Powinnam poszukać mamy. – Dziewczynka zeskoczyła z krzesła, poprawiając materiał czarnej sukienki. Zdołała odejść zaledwie kilka kroków, po czym nagle przystanęła, ponownie odwróciła się w stronę nastolatki i zapytała: – Jak podoba ci się moje przebranie?

Flora zmierzyła ją wzrokiem, mrużąc oczy w zamyśleniu.

– Jest doprawdy straszliwe i upiorne – skomentowała.

Julie posłała jej uśmiech.

– Miałam rację.

– Słucham?

– Miałam rację, że cię polubiłam – wyjaśniła. – Tamtego dnia, gdy się mną opiekowałaś, powiedziałam Haydenowi, że jeżeli postanowi się w tobie zakochać, dam wam swoje błogosławieństwo. Teraz wiem, że to była dobra decyzja. Jesteś fajna. Na tyle fajna, żeby zostać dziewczyną mojego brata.

Flora chciała coś odpowiedzieć, lecz zanim udało jej się zebrać myśli, usłyszała fortepian. Kilka znajomych dźwięków, które z łatwością można było odnaleźć pośród śmiechu i hałasu. Były zbyt piękne, aby jakikolwiek umysł zdołał przejść obok nich obojętnie.

A może to jej serce potrafiłoby odnaleźć je niemal wszędzie?

Przeszły z Julie do głównej sali i stanęły obok Violet, która ze łzami wzruszenia w oczach patrzyła, jak jej ukochany syn robi to, co kochał najbardziej.

Flora wiedziała, że kobieta dostrzegła w Haydenie to, co ona ujrzała w nim tamtego pamiętnego wieczoru, gdy przez przypadek zabłądziła w to zgubne miejsce. Coś więcej niż talent i ciężką pracę. Widziała pasję, oddanie i serce gotowe poświęcić wszystko, aby muzyka, którą grał, była do bólu prawdziwa.

Widziała człowieka, który kochał to, co robił, ponad życie.

Flora widziała to wszystko w wyrazie twarzy kobiety. W błysku kryjącym się w jej oczach. W lekkim, pełnym dumy uśmiechu zdobiącym jej usta.

Poczuła ulgę. Hayden Sanclair bardziej niż ktokolwiek inny zasługiwał na to, by ktoś był z niego dumny. Aby patrzył na niego tak, jak teraz patrzyła na niego jego mama.

Tak, ten halloweenowy wieczór w *Sleepy Hollow* z pewnością miał przejść do historii. Oprócz kilku uśmiechów, wielu radości i jednego sekretu, który wyszedł na jaw, zdarzył się tu prawdziwy cud.

– Jest niesamowity, prawda? – zapytała Flora, sprawiając, że kobieta odwróciła ku niej wzrok.

Na twarzy Violet zagościł uśmiech.

– Tak – zgodziła się, znów zerkając na syna. Po jej policzku spłynęła samotna łza. – Mój syn jest niesamowity.

*

Wszystko, co piękne, jest także ulotne.

Kiedy wieczór zbliżał się ku końcowi, napełniwszy kilka serc dumą, kilka ulgą, a jedno szczególne – to, które wydawało się najmniej skłonne do wzruszeń – uczuciem, którego nie sposób było przewidzieć, nad Nowym Jorkiem znów zebrały się deszczowe chmury.

– Wskakuj do środka, Julie – poleciła Violet McMillan, otwierając drzwi od strony pasażera, a potem zwróciła się do syna: – Pojedziesz za nami?

– Nie. Najpierw odwiozę Florę. Wrócę trochę później.

Kobieta dotknęła policzka Haydena ciepłą dłonią.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem z ciebie dumna – powiedziała.

– Mamo?

– Tak, kochanie?

– Jeżeli chodzi o tatę…

– Nie martw się – wtrąciła. – O niczym mu nie powiem – obiecała. – To nie ode mnie powinien o tym usłyszeć.

Hayden skinął głową. Wiedział, że mama miała rację. Ta jedna kwestia ciążyła mu bardziej niż cokolwiek innego. Była jak nieprzyjemna blizna, która nieustannie o sobie przypominała.

– Idź już – poleciła, zerkając ponad jego ramieniem. – Ktoś na ciebie czeka.

Chłopak spojrzał za siebie.

Flora stała nieco dalej. Kiedy do niej podszedł, obdarzyła go jednym ze swoich idealnych uśmiechów, które z zadziwiającą łatwością potrafiły wedrzeć się do jego serca, wbrew temu, w co pragnął wierzyć.

– Chciałam się pożegnać, zanim pojedziesz…

– Żartujesz? – przerwał jej, chowając dłonie do kieszeni. – Nawet nie myśl o tym, że o tej godzinie pozwolę ci wracać do domu zupełnie samej.

– To tylko kawałek.

– To nie podlega dyskusji, Sharman. – Odwrócił się, rzucając przez ramię: – Odwiozę cię.

– Właściwie… – Zatrzymała go. – Co powiesz na spacer? Myślę, że obojgu nam dobrze zrobi.

Zerknął najpierw na nią, a potem na wiszące nad ich głowami niebo. Powiew zimnego wiatru sprawił, że kilka kosmyków osunęło mu się na czoło i skronie.

– Zaraz zacznie padać – oznajmił.

Flora wzruszyła ramionami, a on mimowolnie pomyślał o tym, że wyglądała pięknie nawet podczas tak prostych czynności. Nawet teraz, na opustoszałym chodniku, w podartej sukience i lekko potarganych włosach.

– Nie szkodzi. Lubię deszcz. Jak się okazuje, czasami potrafi przynieść coś dobrego.

– Coś dobrego? – powtórzył.

– Tak. Gdyby tamtego wieczoru nie zaczęło padać, nie weszłabym do *Sleepy Hollow* i nie poznałabym twojego sekretu. A ty… Cóż, nigdy nie zrozumiałbyś, jak bardzo lubisz, gdy słucham, jak grasz.

Hayden uśmiechnął się pod nosem.

– Nie schlebiaj sobie, Sharman.

– Flora – poprawiła go. – Aż tak bardzo nie lubisz mojego imienia?

Uwielbiam je, pomyślał.

Ta myśl, podobnie jak wiele innych, miała pozostać tylko w jego głowie.

– Chodźmy – rzucił, wymijając dziewczynę.

Ruszyła za nim, chwytając nieco zbyt długi materiał sukienki. Nie pozwoliła, aby cisza zagościła pomiędzy nimi na zbyt długo.

– Przykro mi, że twoja mama dowiedziała się o tym w taki sposób. Pewnie inaczej to sobie wyobrażałeś.

– Właściwie… chyba wcale sobie tego nie wyobrażałem – oznajmił. – To zawsze wydawało się zbyt odległe albo po prostu chciałem w to wierzyć. Sam nie wiem.

– Była z ciebie bardzo dumna, wiesz? Nie potrafiła oderwać od ciebie wzroku, zupełnie jakby… jakby widziała cię po raz pierwszy w życiu. – Flora uśmiechnęła się na to wspomnienie.

Z tymi słowami przyszło coś jeszcze. Coś, co zawsze w końcu powraca, bez względu na to, jak długo staramy się to od siebie odpychać – tęsknota.

Flora tęskniła za domem i za swoją mamą.

Zwolniła kroku, aż w końcu przystanęła pośrodku chodnika. Spojrzała na nocne niebo i głęboko odetchnęła.

Hayden również się zatrzymał. Zerknął na dziewczynę, chcąc coś powiedzieć, lecz zanim się na to zdobył, z jej ust uciekło tych kilka słów:

– Nie ma ich.

– O czym mówisz? – zapytał.

– Zanim wyprowadziłam się z domu, tata powiedział mi, że w Nowym Jorku nie widać

gwiazd. Wtedy się tym nie przejęłam, ale teraz… Każdej nocy patrzę w niebo z nadzieją, że dostrzegę choćby jeden jasny punkt. Nie musi być duży ani dobrze widoczny. Chciałabym, żeby po prostu tam był. – Pokręciła głową. – Ale tutaj niczego nie ma. Czy można aż tak bardzo za czymś tęsknić?

– Nie wiem – odparł, podchodząc do niej. – Nigdy nie widziałem gwiazd.

Flora spojrzała na Haydena, gdy zdjął szarą marynarkę, aby okryć nią jej nagie ramiona. W jednej chwili otuliły ją ciepło, zapach jego perfum i miękki materiał.

– Nigdy? – powtórzyła, na co pokręcił głową.

– Nigdy.

Śledziła go wzrokiem, gdy cofnął się o krok, poprawiając marynarkę tak, by jak najlepiej chroniła dziewczynę przed zimnem. Łagodny dotyk jego dłoni niemal przyprawił ją o dreszcz.

– Pewnego dnia… pokażę ci, jak piękne potrafią być. To obietnica, Haydenie.

– Uważaj. – Odwzajemnił jej spojrzenie. – Czasami niektórych obietnic nie da się spełnić.

Odpowiedziała na te słowa uśmiechem, zapewne nie mając pojęcia, co wyprawiała z jego sercem.

– Ja dotrzymam swojej – zapewniła. – Pokażę ci gwiazdy.

Sanclair powoli się odsunął.

– Chodźmy. Jeżeli znów zmokniesz i się przeziębisz, raczej nici z oglądania gwiazd.

*

Krótko przed północą Hayden bezszelestnie wrócił do domu, nie zapalając światła. W mieszkaniu panowały mrok i cisza. W korytarzu pozbył się marynarki i butów, a także poluźnił krawat, który oplatał jego szyję. Kiedy miał ruszyć do swojego pokoju, w wejściu do kuchni pojawiła się jego mama.

– Nie śpisz? – zapytał.

– Chciałam mieć pewność, że wrócisz do domu – odparła. – To był długi dzień. Chyba nie uda mi się tak szybko zasnąć, ale ty powinieneś się położyć. Już późno.

– Taty jeszcze nie ma?

– Nie. Wróci dopiero jutro. Spotkanie z klientem się przedłużyło i uznaliśmy, że lepiej, żeby nie jechał po nocy. Zatrzymał się w hotelu.

Hayden skinął głową. Kiedy dotarł do drzwi sypialni, zatrzymał go głos mamy:

– Pomyślałam, że – zawahała się, gdy zerknął na nią przez ramię – może mogłabym czasami wpadać do tego miejsca…

– *Sleepy Hollow* – podsunął.

– Tak. Chciałabym posłuchać, jak grasz. Oczywiście, jeżeli nie masz nic przeciwko.

Chłopak uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie, mamo.

Violet McMillan również się uśmiechnęła.

– Dobranoc, synku.

– Dobranoc.

Hayden wszedł w mrok wypełniający jego pokój. Opadł na materac łóżka, utkwił wzrok w suficie, po czym głęboko odetchnął i pozwolił, aby jego powieki opadły.

Po chwili drzwi niespodziewanie skrzypnęły.

Julie potrafiła skradać się tak, aby nikt jej nie usłyszał, jeśli tego chciała. Tym razem było jednak inaczej.

Nie otwierając oczu, chłopak zapytał:

– Nie powinnaś już spać?

Odgłos jej bosych stóp na podłodze zakłócił ciszę.

– Gniewasz się na mnie?

– Nie, Julie – odpowiedział. – Nie gniewam się.

Po chwili ciszy znów dotarł do niego jej głos:

– A mogłabym…

Hayden odsunął się w stronę okna, pozostawiając nieco wolnej przestrzeni na materacu.

– Wskakuj – polecił, a kilka sekund później poczuł, jak łóżko ugięło się pod ciężarem drugiego ciała.

Gdy Julie miała kilka lat, w burzowe, deszczowe noce zakradała się do jego pokoju. Nigdy otwarcie nie przyznawała się do strachu. Nawet jako małe dziecko była na to zbyt dumna. Hayden jednak nie pytał. Po prostu pozwalał, by zostawała z nim i czuła się bezpiecznie.

– Naprawdę ją lubię – zdradziła. – I mama też ją lubi. Powiedziała mi o tym w samochodzie, gdy wracałyśmy do domu.

Chłopak milczał. Założył ręce za głowę i odtwarzając w myślach uśmiech Flory Sharman, pomyślał o tym, że on także ją lubił.

O wiele bardziej, niż powinien.

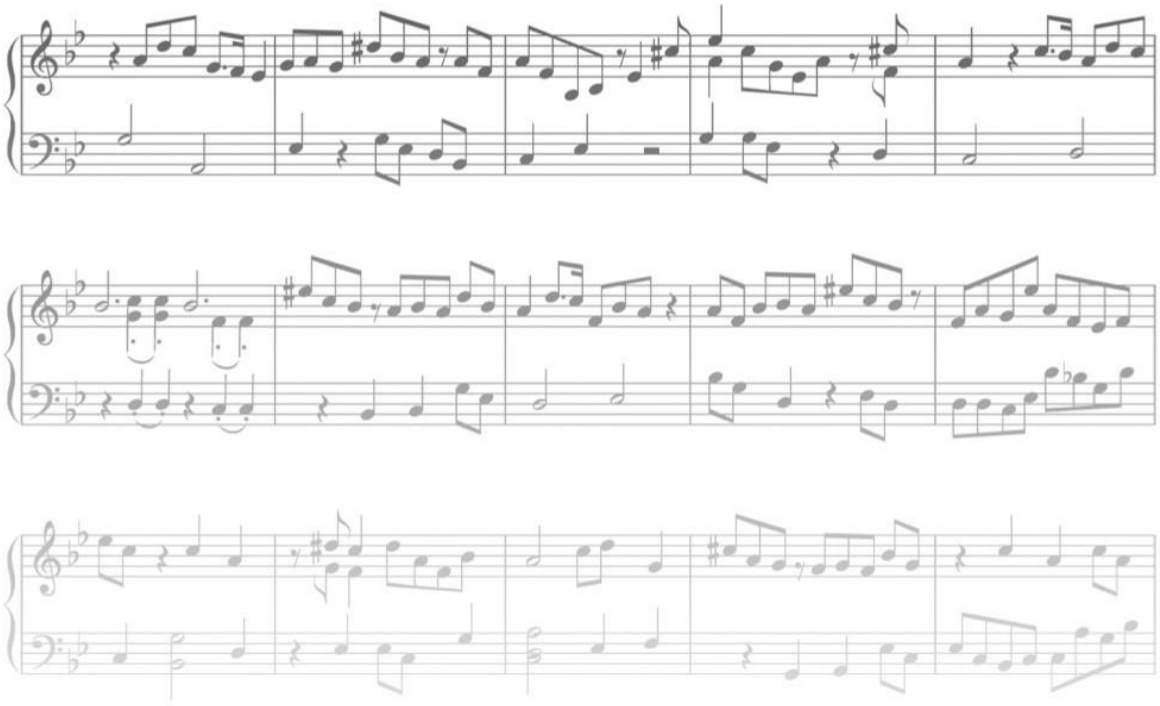

Rozdział 20

Mleko i miód

Zbudzona w środku nocy gorączką Flora na własnej skórze przekonała się, jakie konsekwencje niósł taniec w deszczu. Był, co prawda, przeżyciem niezapomnianym i godnym poświęceń, ale gdyby znała cenę, jaką przyjdzie jej zapłacić za ten szalony pomysł, zapewne nie podjęłaby drugi raz tej decyzji tak lekkomyślnie.

Przez kilka godzin wierciła się na materacu, na zmianę czując oblewający ją pot i uderzenia uporczywego gorąca. Kiedy jakimś cudem udało jej się przetrwać do poranka, niechętnie opuściła ciepłe łóżko, założyła gruby dres i w nieśpiesznym tempie przeszła do kuchni. Potrzebowała kubka gorącej herbaty, równie gorącej kąpieli i czegokolwiek, co odrobinę zniwelowałoby pulsowanie w skroniach.

Zaledwie chwilę po tym, jak udało jej się uporać z otwarciem puszki z herbatą, w mieszkaniu rozległ się dźwięk dzwonka. Gdy Flora walczyła z bólem głowy, ten dźwięk wydawał się nieprawdopodobnie irytujący.

Wzdrygnąwszy się, porzuciła myśl o zrobieniu herbaty i przeszła do korytarza. Przecierając zaspane oczy, minęła kartony i dotarła do drzwi.

Zanim na dobre zdołała zorientować się, kto stał po drugiej stronie, Hayden rzucił zamiast powitania:

– Wyglądasz jak definicja cierpienia i rozpaczy.

– I tak właśnie się czuję – odparła, po czym otworzyła szerzej drzwi, ziewając. – Wejdź.

Sanclair nie odrywał od niej wzroku. W korytarzu pozbył się płaszcza, zostając tylko w czarnych spodniach i luźnym T-shircie z logiem futbolowej drużyny, której Flora nie

kojarzyła. Nigdy nie była dobra w sporcie – w jego uprawianiu ani tym bardziej w znajomości teorii.

– Może następnym razem pomyślisz dwa razy, zanim znów wpadniesz na jeden z tych swoich szalonych pomysłów, co, Sharman? – zapytał, jakby posiadł zdolność czytania w myślach.

Dziewczyna zamknęła za nim drzwi.

– Mimo wszystko było warto – stwierdziła. Nawet teraz, choć ledwo stała na nogach, nie zamierzała przyznać mu racji. – Fortepian stoi tam, gdzie zawsze. Gdybyś czegoś potrzebował, będę w… – kichnęła, a po chwili znów się wzdrygnęła – …w kuchni.

– Może powinnaś się położyć?

– Nic mi nie jest – zapewniła. Zdobyła się na blady uśmiech, mocniej otuliła się bluzą, po czym zniknęła w kuchni, gdzie dokończyła zaparzać herbatę. W końcu z kubkiem rozkosznie ciepłego napoju w dłoniach usiadła przy wyspie, wracając do skrzypiec.

Wyglądały o wiele lepiej niż w dniu, gdy wykradła je z filharmonii. Pęknięcie wzdłuż obudowy było już praktycznie niewidoczne, podobnie jak otarcia czy ślady brudu i kurzu. Nie sprawiały, co prawda, wrażenia nowych, lecz nie przypominały już starocia, którego ktoś spisał na straty, a potem wepchnął między inne zapomniane i porzucone instrumenty, by doczekał tam końca swojej świetności, nie wydając już ani jednego dźwięku.

Flora zanurzyła pędzelek w puszce z lakierem, a następnie pochyliła się nad skrzypcami i znów kichnęła. Jej ciałem wstrząsnął zimny dreszcz. Zanim zdołała się z niego otrząsnąć, kichnęła po raz drugi, a potem trzeci. Czuła, jak jej mięśnie się napięły, wyrywając z jej gardła westchnienie.

Hayden pojawił się w wejściu do kuchni.

– W porządku. Wystarczy, Sharman.

– Naprawdę nic mi nie jest. To tylko… – Znów kichnęła.

Sanclair westchnął, a następnie bez słowa podszedł do szafki i wyjął z niej kubek.

– Gdzie trzymasz miód? – zapytał.

Flora wstała, sięgnęła po chusteczkę i obdarzając chłopaka spojrzeniem, powiedziała:

– Nie musisz… – Kolejne kichnięcie.

– Wciąż uważasz, że taniec w deszczu w środku jesieni to taki świetny pomysł?

– Tak.

Hayden po raz kolejny westchnął, zwrócił się w stronę dziewczyny i odparł:

– Nawet teraz musisz być aż tak cholernie uparta?

Flora odwróciła wzrok, sprawiając, że Sanclair znów ciężko westchnął. Sekundę później dotarł do niej odgłos jego kroków. Zanim zdążyła pojąć, co zamierzał zrobić, poczuła jego dłonie na talii. Posadził ją na blacie kuchennej wyspy z taką łatwością, jakby właściwie nic nie ważyła. Gdy uniosła podbródek, spojrzenie jego ciemnych oczu nie pozwoliło jej wydobyć z siebie słowa.

– Nie chcę, żebyś była chora – oznajmił spokojnie.

– Bo boisz się, że wtedy jestem bardziej nieznośna, czy…

– Bo się o ciebie martwię – wtrącił.

Och.

Ciepło odnalazło drogę do serca dziewczyny. I było tak rozkoszne, że z trudem mogła je zignorować. A może był to po prostu kolejny ze skutków gorączki? Cóż, ta wersja wydawała się o wiele bezpieczniejsza.

– Mała szafka obok lodówki – mruknęła. – Tam trzymam miód.

Hayden cofnął się o krok, a ona śledziła każdy jego ruch, gdy postawił na blacie karton

mleka i mały garnek. Nie potrafiła powstrzymać nieznacznego uśmiechu, który wypełznął jej na usta.

W obrazie malującym się przed jej oczami kryło się coś niedorzecznego i zdumiewającego zarazem. Hayden Sanclair, ten sam chłopak, który kilka tygodni wcześniej szczerze jej nie znosił – z równie przejmującą wzajemnością – stał w kuchni, przygotowując dla niej mleko z miodem.

Jak mogłaby się temu przyglądać bez uśmiechu?

Kiedy wręczył jej kubek z ciepłym napojem, przygryzła dolną wargę, starając się, aby tego nie dostrzegł.

– To powinno szybko postawić cię na nogi – poinformował. – Gdy byłem małym chłopcem, mama zawsze robiła mi mleko z miodem, kiedy byłem chory. Może nie smakuje najlepiej, ale działa cuda.

Flora z zaskoczeniem odkryła, że wyobrażenie sobie Haydena jako słodkiego, małego chłopca nie było właściwie tak trudne, jak mogłaby zakładać.

– Wypij wszystko, a potem pójdziesz do łóżka.

– To nie będzie konieczne. Muszę dokończyć naprawiać skrzypce. Właściwie już czuję się lepiej…

Chłopak nie pozwolił jej się ruszyć. Oparł dłonie na blacie po obu jej stronach, skutecznie ograniczając Florze wszystkie możliwości. Zamknął ją w pułapce własnych ramion, wypełniając przestrzeń pomiędzy jej udami swoimi biodrami.

– Sharman.

Flora niechętnie odwzajemniła spojrzenie, nieświadomie przybliżając ku Haydenowi twarz. Nagle znaleźli się tak blisko, że poczuła, jak jego oddech muska jej rozchylone wargi. Przełknęła z trudem. Jeżeli myślała, że wyrzucenie z pamięci tego, co zaszło poprzedniego wieczoru, będzie proste, boleśnie przekonała się, w jak wielkim błędzie tkwiła.

Naiwne serce dziewczyny zaczęło mocniej bić, gdy Hayden omiótł wzrokiem jej twarz, powoli przesuwając nim po policzkach, nosie, ustach. Gdy w końcu dotarł do jej oczu, poświęcił im całą uwagę.

Flora odrobinę mocniej zacisnęła dłonie na porcelanowym kubku. Ciepło parzyło ją w palce. Serce tłukło o żebra, oddech niebezpiecznie przyspieszył.

– Naprawdę musisz aż tak bardzo mi to utrudniać? – zapytał.

Nie miała pojęcia, co miał na myśli.

– Co… – Słowa utknęły w połowie drogi do jej ust. Kichnęła, zbyt późno przypominając sobie, co trzymała w rękach.

Zawartość kubka wylądowała na czarnej koszulce Haydena, sprawiając, że chłopak gwałtownie się cofnął.

Flora szeroko otworzyła oczy.

– O mój Boże! – Zeskoczyła z blatu i gorączkowo się rozejrzała, ignorując to, jak jej palce lepiły się od mleka i miodu. W końcu zwróciła się do Haydena: – Zdejmij koszulkę.

Gdy Sanclair poderwał głowę, stał w kuchni już zupełnie sam.

– Cholera. – Skrzywił się, czując, jak ciepły materiał przy każdym ruchu mocniej przywierał do jego torsu. Nie mając zbyt wielu możliwości, ściągnął koszulkę przez głowę, a następnie spojrzał w dół. Stał w kałuży ciepłego mleka. Znów zaklął pod nosem. Wychodząc z kuchni, ubrany jedynie w spodnie i buty, zawołał: – Sharman, gdzie…

Od ścian odbił się dźwięk dzwonka.

– Mógłbyś otworzyć? – Jej głos dobiegał gdzieś z głębi mieszkania. – To na pewno mój sąsiad Ralph. Jeżeli znowu przyszedł po wino, powiedz mu, że żadnego już nie mam!

Hayden skrzywił się, po czym ruszył w kierunku drzwi, niewiele myśląc. Otworzył je i stanął twarzą w twarz z mężczyzną w czarnym garniturze.

Na pierwszy rzut oka przypominał jednego z prokuratorów, których tak nie znosił jego ojciec – był wysoki, sprawiał wrażenie nad wyraz eleganckiego, a jego ciemne włosy ledwie zauważalnie naznaczała siwizna. Z tą drobną różnicą, że żaden prokurator nigdy się nie uśmiechał. Uśmiech mężczyzny wyraźnie zbladł, gdy ten dostrzegł, że Hayden nie ma na sobie koszulki.

– Przykro mi, ale jeżeli przyszedł pan po… – Chłopak zamilkł, zauważając, że nieznajomy ściągnął ciemne w brwi w grymasie.

Nie wyglądał na sympatycznego sąsiada geja, o którym tak wiele opowiadała mu Flora.

– Tato?

Na dźwięk przepełnionego zaskoczeniem głosu dziewczyny Sanclair odwrócił głowę i spojrzał na nią przez ramię. Stała na końcu korytarza, z czystą koszulką w dłoni i z szeroko otwartymi oczami. Potem Hayden znów przeniósł wzrok na nieznajomego.

Tato?

Kolejne niemiłosiernie długie sekundy przepełniała cisza tak niekomfortowa i cierpka, że zdawały się trwać nieprawdopodobnie długo. W końcu Flora oprzytomniała, zerwała się z miejsca i podeszła do drzwi. Wcisnęła się w wolną przestrzeń pomiędzy Haydenem a ojcem i z nerwowym uśmiechem zapytała:

– Nie miałeś przyjechać w sobotę?

– Dzisiaj jest sobota – poinformował.

Flora się skrzywiła.

– No tak.

Znów zagościła pomiędzy nimi ta nieznośna cisza. Jeżeli istniał jakiś ranking najbardziej niekomfortowych sytuacji, w jakich można było się znaleźć, ten poranek zasługiwał na miejsce w pierwszej trójce.

Victor Sharman odchrząknął.

– Nie wiedziałem, że masz gościa.

– Och, nie, to… – Wskazała na Haydena, gestykulując w dziwaczny sposób. Słowa plątały jej się w ustach. – To…

– Hayden – wtrącił chłopak, sprawiając, że mężczyzna znów na niego spojrzał, mrużąc oczy. – Hayden Sanclair. Jestem…

– Jest… – zawtórowała Flora.

– …nieubrany – dokończył pan Sharman. – Tak, widzę. – Ponownie spojrzał na córkę, a na jego twarzy zagościł lekki uśmiech, choć w jego głosie wciąż można było doszukać się wyraźnego napięcia. – Chyba powinienem był zadzwonić, zanim przyszedłem.

Dziewczyna poruszyła ustami, wydając z siebie zbitek różnych słów:

– Nie, tato… To… My tylko…

– Za godzinę mam spotkanie z klientem – przerwał jej łagodnie. – Może spotkamy się podczas lunchu? – zaproponował.

Hayden dostrzegł, że kąciki ust Flory zadrżały, jakby za wszelką cenę zmuszała się do uśmiechu. Zaciskała jednak palce na szarej koszulce, którą dla niego przyniosła. Trzymała ją tak mocno, że knykcie jej pobielały.

– Tak. Jasne. To świetny pomysł, tato.

– Miło było pana poznać! – dodał Sanclair, wychylając się zza Flory.

Victor Sharman obdarzył go spojrzeniem, któremu daleko było do sympatii. Zdobył się jednak na nieznaczny uśmiech, zanim ruszył w stronę windy.

Flora zamknęła drzwi, oparła się o ich powierzchnię i wydała z siebie żałosny jęk. Schowała twarz w dłoniach i poklepała się po policzkach, jakby dzięki temu mogła cofnąć czas albo obudzić się z tego koszmaru.

– Chyba mnie nie polubił.

Słysząc głos Haydena, posłała mu cierpkie spojrzenie. Po chwili wcisnęła mu w dłonie koszulkę i przeszła do salonu.

– Jak mogłam zapomnieć, że to dzisiaj? Co ja mu teraz powiem… – rzuciła przez ramię.

– Że oblałaś mnie mlekiem, a potem sama kazałaś mi się rozebrać? – podsunął.

Dziewczyna przysiadła na brzegu kanapy, rozmasowując obolałe skronie.

– To nie czas na żarty.

Sanclair założył koszulkę, zatrzymał się na końcu korytarza i wzruszył ramionami.

– Daj spokój. Przecież nie zrobiliśmy nic złego.

– On tego nie zrozumie. Jest strasznie nadopiekuńczy. Na pewno już ułożył sobie w głowie najgorszy możliwy scenariusz i każe mi wracać do domu, powtarzając, że miał rację i że nie powinnam była wyjeżdżać…

– Sharman – przerwał jej, po czym polecił: – Oddychaj.

Flora głęboko odetchnęła.

– Przepraszam. Może przesadzam, ale po prostu… – Chwyciła się oparcia kanapy, a kiedy spróbowała wstać, obraz przed jej oczami na moment stał się rozmazaną plamą pełną różnych barw. Opadła na poduszki, a jej twarz wykrzywił grymas. Zdołała tylko dostrzec, że Hayden ruszył ku niej, zanim wybełkotała: – Chyba zwymiotuję.

*

Istniały tylko trzy rzeczy cenione przez Olivera Sanclaira ponad wszystko inne – czarna kawa o poranku, ludzie, którzy nie marnowali jego czasu, i chwila świętego spokoju, gdy pomiędzy kolejnymi spotkaniami zaszywał się w gabinecie, siadał za biurkiem, poluzowywał elegancki krawat i starał się wyciszyć myśli.

Cholernie mocno nie znosił, gdy ktoś wtedy czegoś od niego chciał.

Molly pracowała dla niego na tyle długo, aby doskonale zdawać sobie z tego sprawę. Gdy więc krótko przed południem drzwi do jego gabinetu skrzypnęły, a do środka wsunęła się twarz rudowłosej dziewczyny, Oliver wiedział, że stało się coś bardzo złego albo jeszcze gorszego.

Nie unosząc powiek, rzucił:

– Czy świat się kończy?

Molly zapytała:

– Słucham?

Mężczyzna westchnął.

– Pytam, czy świat się kończy, Molly. Bo nie widzę innego sensownego powodu, dla którego miałabyś zakłócać jedyną wolną chwilę, jaką udało mi się znaleźć od blisko sześciu godzin przebywania w towarzystwie innych ludzi.

– Nie, szefie, ale przyszedł Victor Sharman.

Oliver otworzył oczy. Nie pamiętał, by któryś z jego klientów nosił takie nazwisko.

– Kto?

– Victor Sharman – powtórzyła. – Jego firma pięć lat z rzędu została najlepszym przedsiębiorstwem w kraju. No wie pan, to ten przystojniak, który był na okładce magazynu biznesowego i…

– Molly – przerwał jej. – Do rzeczy.

– Och, tak, przepraszam. Pan Sharman chciałby się z panem widzieć.

– Jeżeli nie był umówiony…

– Podobno chodzi o Haydena.

Na dźwięk imienia syna Oliver poczuł, że doskwierająca mu irytacja zaczęła stopniowo maleć. Zastąpiło ją zmartwienie.

– Mam kazać mu przyjść na najbliższy wolny termin? – zapytała Molly.

– Nie – odparł. – Porozmawiam z nim.

Kiedy kobieta skinęła głową i wyszła z gabinetu, Oliver przycisnął palce do nasady nosa. Ignorując uporczywy ból w skroniach i tlące się gdzieś tuż za nim zmęczenie, pogodził się z faktem, że na następną chwilę spokoju będzie musiał poczekać kilka godzin.

Gdy drzwi znów skrzypnęły, stanął w nich człowiek w ciemnym garniturze o twarzy, w której Oliver Sanclair nie potrafił doszukać się podobieństwa do kogokolwiek, kogo spotkał wcześniej.

Wstał, zapiął guzik szarej marynarki, podał nieznajomemu rękę i się przedstawił:

– Oliver Sanclair. W czym mogę panu pomóc?

– Victor Sharman – odpowiedział, odwzajemniając uścisk. – Jestem ojcem Flory Sharman.

Dopiero w tej chwili to nazwisko stało się dla Olivera nieco bardziej znajome.

– Och, no tak. Zwykle rozmawiam z rodzicami moich studentów na uczelni, ale skoro już się pan pofatygował… – Wskazał na jeden ze skórzanych foteli stojących przed biurkiem. – Proszę usiąść.

– To nie zajmie nam zbyt wiele czasu – odparł. – Chcę, by pański syn przestał widywać się z moją córką.

Na surowej twarzy Olivera błysnął pełen rozbawienia uśmiech.

– Słucham?

– Sprawia pan wrażenie człowieka pojętnego, panie Sanclair, więc wydaje mi się, że doskonale pan zrozumiał, co miałem na myśli.

– Znam swojego syna i zapewniam, że on i pańska córka nigdy…

– Więc jak wytłumaczy pan fakt, że pół godziny temu w mieszkaniu Flory spotkałem pańskiego syna, na dodatek bez koszulki? – wtrącił.

Kpiący uśmiech na twarzy prawnika zbladł. Mężczyzna wziął głęboki wdech i dokładnie przyjrzał się Sharmanowi, doszukując się w nim oznak szaleństwa. Jednak ten człowiek przypominał raczej jednego z tych eleganckich, wymuskanych prokuratorów, którym najchętniej naplułby do kawy. Nie potrafił uwierzyć w nic z tego, co właśnie usłyszał. Znał Haydena.

– Flora ma dopiero dziewiętnaście lat. Powinna skupić się na nauce, a nie na…

– Z całym szacunkiem, panie Sharman – przerwał mu, powoli tracąc cierpliwość – ale musiał się pan pomylić. Kogokolwiek widział pan w mieszkaniu córki, to nie mógł być mój syn.

Victor uniósł ciemną brew.

– Sugeruje pan, że moja córka…

– Niczego nie sugeruję – zaprzeczył. – To pan wpadł tutaj i oskarżył mojego syna.

– Może pan po prostu nie zna go tak dobrze, jak myśli?

Sanclair poczuł ukłucie wściekłości. Aby się jej pozbyć albo ją zniwelować, ściągnął wargi w wąską linię. Mięśnie jego szczęki wyraźnie się napięły, sprawiając, że dotąd niewzruszona twarz zaczęła sprawiać wrażenie potwornie chłodnej. Był zbyt poważnym człowiekiem, by tak łatwo pozwalać emocjom przejmować nad sobą kontrolę.

Cóż, przynajmniej do czasu, aż ktoś nie wciągał w to jego syna.

– Proszę posłuchać… – zaczął.

W gabinecie rozbrzmiał dźwięk telefonu.

Victor wyjął urządzenie z kieszeni płaszcza. Zamierzał je wyłączyć, ale gdy zerknął na ekran i na imię, które się na nim wyświetliło, bez wahania wcisnął zieloną słuchawkę, po czym przycisnął komórkę do ucha.

– Flora?

Sekundę później spojrzał na Olivera.

– Tak, oczywiście. Zaraz tam będę. – Odsunął telefon od twarzy, zerknął na jego ekran i zmarszczył brwi. – To Hayden. Moja córka jest w szpitalu.

*

Minęło wiele lat, odkąd Victor Sharman po raz ostatni czuł ten nieprzyjemny, wręcz morderczy ucisk, który oplatał w tej chwili jego serce. Wiele lat temu stracił brata i podjął dużo lekkomyślnych decyzji, pragnąc skraść serce kobiety, która ostatecznie sama zdecydowała się mu je oddać.

Ale, dobry Boże, nigdy wcześniej tak bardzo niczego się nie bał.

Wpadł do Mount Sinai Hospital[23], mając wrażenie, jakby świat walił mu się u stóp. Jedna z pielęgniarek uprzejmie wskazała na drogę na odpowiednie piętro, jakby zdenerwowani ojcowie byli dla niej normą. W windzie spotkał Olivera Sanclaira.

Spojrzeli na siebie i niczego nie mówiąc, pozwolili, by metalowe drzwi się zamknęły. Przez moment jedynym towarzyszącym im dźwiękiem była irytująca melodia płynąca z głośników.

Obaj myśleli w tej chwili o czymś zupełnie innym.

Victor Sharman o Florze. O tym, że gdyby stało jej się coś złego, jego serce nie zdołałoby sobie z tym poradzić.

Oliver Sanclair o pomyłce. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko mogłoby okazać się prawdą.

Gdy dotarli na siódme piętro, ruszyli w kierunku sali, której numer podał im Hayden. W drzwiach spotkali starszego lekarza.

– Moja córka została tu przywieziona – zaczął Victor.

– Przez mojego syna – dodał Sanclair.

Lekarz skinął głową, po czym wsunął długopis do kieszeni białego fartucha i spokojnie wyjaśnił:

– Przeprowadziliśmy już wstępne badania. Jak się okazało, to tylko omdlenie. W jej stanie to raczej nic nadzwyczajnie niepokojącego.

Victor poczuł namiastkę ulgi. Miał wrażenie, jakby poluzowała się obręcz, która coraz mocniej zaciskała się wokół jego gardła, odkąd wybiegł z kancelarii. Wziął w płuca drżący oddech.

– Mogę ją zobaczyć? – zapytał.

– Nie teraz. Powinna odpocząć. Podaliśmy jej leki na wzmocnienie. Gdy skończy się kroplówka, będziemy mogli wypisać ją do domu. Od teraz kluczowy będzie odpoczynek, zero stresu i zdrowa dieta.

Oliver wtrącił:

– Mój syn…

– Ach tak. On też zemdlał, ale proszę się nie martwić, w tej sytuacji to norma. Większość mężczyzn na wieść, że zostanie ojcem, reaguje w bardzo emocjonalny sposób.

Victor Sharman i Oliver Sanclair po raz pierwszy pomyśleli o tym samym – o pomyłce. Żaden z nich nawet w najczarniejszych koszmarach nie mógłby sobie wyobrazić czegoś równie potwornego i niedorzecznego.

Lekarz, dostrzegłszy szok wymalowany na twarzach mężczyzn, obdarzył ich uśmiechem. Nosił biały fartuch od ponad trzydziestu lat. Przekazał tysiące podobnych radosnych nowin, widział wiele takich samych zaskoczeń, wzruszeń i niedowierzań.

– Moje gratulacje – oznajmił. – Będą panowie dziadkami. – Lekarz odszedł, zostawiając ich z tą nowiną zupełnie samych.

Victor poruszył się jako pierwszy, choć miał wrażenie, że jego umysł spowiła gęsta mgła. Wziął kolejny wdech, a następnie powiedział:

– Twój syn zrobił dziecko mojej córce.

Oliver drgnął na dźwięk tych słów. Zanim zdołał zareagować, Sharman przycisnął go do ściany, zaciskając dłonie na jego marynarce, a potem powtórnie wycedził mu prosto w twarz:

– Twój syn zrobił dziecko mojej córce.

To brzmiało jak absurd. Jak kiepski żart albo kwestia z marnej komedii, które tak uwielbiała Violet. Ale Oliver nawet teraz zamierzał stanąć po stronie Haydena.

– Obaj jesteśmy na tyle dorośli, by wiedzieć, że do tego potrzebne są dwie osoby, prawda, Sharman? – odparł cierpko.

– Jak śmiesz, ty…

– Radzę zważać na słowa – wtrącił. – I te kierowane do mnie, i te, które wypowiada pan z myślą o moim synu. Moja żona jest najlepszym prawnikiem w tym mieście.

Dłonie Victora mocniej zacisnęły się na marynarce Olivera.

– Zapewniam, że żaden prawnik panu nie pomoże, gdy…

– Tato?

Ten cichy głos podziałał na niego jak kubeł zimnej wody. Przypomniał mu wszystkie burzowe noce, kiedy przestraszona Flora przychodziła do sypialni jego i Hailey, zbudzona przez hałas i deszcz uderzający o dach ich domu.

Zerknął na nią przez ramię. Stała na szpitalnym korytarzu, odrobinę bledsza niż zwykle, w towarzystwie chłopaka, którego ojca omal nie pobił. Odetchnął głęboko, wygładził marynarkę Sanclaira, a następnie się cofnął. Ponownie spojrzał na córkę.

– Nie martw się – powiedział, zdobywając się na niewyraźny uśmiech. – Ja i mama we wszystkim ci pomożemy.

– Tato, ja…

– Będziesz mogła dokończyć studia…

– Tato – przerwała mu. – O czym ty mówisz?

– O… – Przełknął, bo to słowo nie chciało przejść mu przez gardło. – O dziecku.

Na twarzy Flory pojawił się grymas zaskoczenia.

– O jakim dziecku? – zapytała.

– Nie… Nie jesteś w ciąży?

– Ciąży? – Kącik jej ust drgnął ku górze. – Po tym, jak wyszedłeś, kiepsko się poczułam. Mówiłam Haydenowi, że to nic takiego, ale on uparł się, że powinien obejrzeć mnie lekarz. Okazało się, że to tylko wynik gorączki.

Victor Sharman poruszył bezgłośnie ustami.

– Ale…

– Przed chwilą przenieśli nas do innej sali – poinformowała.

Oliver stanął tuż obok Sharmana, wsunął dłonie do kieszeni garniturowych spodni i powiedział:

– Cóż, to wiele wyjaśnia, prawda? – Zerknął na swojego towarzysza.

Hayden zmarszczył brwi.

– Tato, co ty…

– To długa historia – odparł. – Bardzo długa, ale obawiam się, że nikt z nas nie ma czasu, aby jej wysłuchać.

Sharman wtrącił:

– Powinienem zabrać Florę do domu. – Podszedł do córki, zerknął na Haydena i dodał: – Dziękuję, że ją tutaj przywiozłeś. – Położył dłonie na ramionach Flory. – Chodźmy. Musisz jak najszybciej położyć się do łóżka.

Kiedy ruszyli w stronę wind, Hayden ich zatrzymał:

– Panie Sharman…

– Tak?

– Flora powinna coś zjeść. Nie jadła śniadania.

Victor obdarzył chłopaka lekkim uśmiechem i skinął głową.

– Oczywiście. Dziękuję.

Hayden patrzył, jak oboje odchodzą. Drgnął dopiero, gdy stanął obok niego ojciec.

– Podrzucę cię do domu – oznajmił.

– Mogę jechać metrem.

Oliver Sanclair pokręcił głową

– Nie, mój drogi. Chyba czeka nas rozmowa, prawda?

*

Oliver ani Hayden nie byli dobrzy w ojcowskich rozmowach. Gdy wsiedli do samochodu, żaden z nich nie wiedział, co tak właściwie powinien powiedzieć. Choć istniało doprawdy wiele słów i pytań, żadne z nich ostatecznie nie padło.

Hayden martwił się o Florę. Wiedział, że była bezpieczna pod opieką taty, ale gdy zobaczył ją wtedy w salonie – potwornie bladą, niemogącą ustać na własnych nogach – wystraszył się tak bardzo, że jego serce aż dotąd nie potrafiło się z tego otrząsnąć.

Oliver myślał natomiast o tym, że Sharman miał rację – jak się okazało, nie znał syna tak dobrze, jak zakładał. Chciał zapytać, jakim cudem znalazł się w mieszkaniu Flory Sharman półnagi. Co tak naprawdę łączyło go z tą dziewczyną. Dlaczego i od jak dawna się z tym krył. Zacisnął palce na kierownicy. Nie zapytał o żadną z tych kwestii. Nagle odniósł wrażenie, że nie zasługiwał, by otrzymać odpowiedzi. To uczucie było o wiele gorsze niż doskwierające mu zmęczenie, niż pulsowanie w skroniach, niż fakt, że pieprzony Victor Sharman miał rację.

Starał się być dobrym ojcem.

Starał się dać swoim dzieciom wszystko, czego on nie otrzymał od ojca – możliwość skończenia dobrej szkoły, ciepły dom, czyste ubrania, zajęcia dodatkowe, o których on w dzieciństwie nie mógł nawet marzyć.

Świadomość, że jego jedyny syn zdecydował się ukryć przed nim tak istotny fakt, potwornie go bolała. Nie zamierzał prawić mu kazań. Chciał zrobić coś, czego nie zrobiłby jego własny ojciec.

– Powinniśmy zjeść wspólnie kolację.

Hayden oderwał spojrzenie od okna.

– Co?

– Ja, ty, mama, Julie i… Flora Sharman. – Zerknął w stronę syna. – Skoro jest dla ciebie ważna, chciałbym lepiej ją poznać.

*

Flora nigdy wcześniej nie podejrzewała, że ciepłe łóżko może przynieść jej aż tak wiele radości. Gdy po długiej, gorącej kąpieli zakopała się w pościeli, poczuła tak obezwładniającą

ulgę, że zapragnęła się rozpłakać.

Jej tata pojawił się w progu sypialni i zapukał w otwarte drzwi.

– Mogę? – zapytał.

– Tak.

– Zaparzyłem dla ciebie herbatę.

Dziewczyna usiadła na materacu, odebrała od taty kubek i upiła spory łyk ciepłego napoju.

Victor przysiadł na brzegu łóżka. Pozbył się marynarki i został w samej koszuli, której rękawy podwinął na wysokość łokci.

– Bardzo mnie dzisiaj przestraszyłaś, wiesz?

– Hayden trochę przesadził. – Wzruszyła ramionami. – Nie czułam się aż tak źle, po prostu trochę zbyt długo tańczyłam w deszczu.

– Taniec w deszczu? – powtórzył z lekkim uśmiechem. – Chryste, czasami tak bardzo przypominasz swoją mamę…

Flora również się uśmiechnęła. W ustach jej ojca nie istniał piękniejszy komplement niż ten.

– Tato, jeżeli chodzi o to, co wydarzyło się rano… – zaczęła. – Ja i Hayden…

– Nie musisz się tłumaczyć – wtrącił. – Ufam ci. Wiem, że nie zrobiłabyś niczego głupiego. Po prostu chyba zbyt często zapominam, że nie masz już pięciu lat.

– Tak. Prawie pobiłeś jego ojca i mojego profesora.

– Był dupkiem.

Flora nie mogła się z nim nie zgodzić.

– To prawda.

Oboje szczerze się uśmiechnęli, myśląc o tym, jak bardzo im tego brakowało – wieczorów, kiedy rozmawiali o wszystkim i o niczym, swojej obecności, uśmiechów, wspólnego oglądania gwiazd.

Pan Sharman omiótł wzrokiem twarz córki.

– Wypij herbatę. Ja w tym czasie zamówię coś dobrego. Musisz coś zjeść, żeby szybko stanąć na nogi.

– Jasne.

Flora odstawiła kubek na nocną szafkę i wróciła pod pościel.

Tata zatrzymał się w drzwiach, spojrzał na dziewczynę i zapytał:

– Te kartony, które stoją na korytarzu…

– Rozpakuję je – zapewniła. – Chyba już czas, żebym się za to zabrała.

Mężczyzna skinął głową.

– Odpocznij, skarbie.

Gdy została sama, przyłożyła twarz do poduszki, zakopała się w pościeli i odwróciła się w kierunku okien. Za nimi rozciągała się panorama Nowego Jorku. Dochodziło późne popołudnie, niebo nad miastem zaczynało przybierać bardziej ponurych odcieni. Ten widok napawał spokojem.

Flora poczuła, że jej powieki stały się nieznośnie ciężkie. Zanim pozwoliła im opaść, dotarł do niej dźwięk przychodzącej wiadomości. Odszukała telefon pod poduszką, zbliżyła ekran do twarzy i odczytała widniejącą na nim wiadomość.

Hayden: *Zjadłaś?*

Uśmiechając się pod nosem, odpisała:

Flora: *Aż tak bardzo się o mnie martwisz? Nie potrafię przywyknąć do twojej milszej wersji.*

Odpowiedź nadeszła zadziwiająco szybko:

Hayden: *Nie schlebiaj sobie.*

Zanim zdołała odblokować ekran, nadeszła kolejna wiadomość:

Hayden: *Mój ojciec chce zjeść z tobą kolację. Jesteś gotowa zasiąść do stołu z samym diabłem, Sharman?*

Flora uśmiechnęła się pod nosem.

Flora: *Zawsze.*

Hayden: *Czwartek?*

Flora: *Tak. Brzmi nieźle.*

Hayden: *Odpocznij, Sharman. I zjedz coś.*

Flora: *Chryste, jesteś gorszy nawet od mojego taty.*

Gdy przez chwilę nie nadeszła odpowiedź zwrotna, Flora odłożyła telefon i znów spojrzała w kierunku okna. Delikatny uśmiech nie chciał zejść z jej warg. Szybko przegrała walkę ze zmęczeniem.

Ekran jej telefonu rozświetlił się kilka minut po tym, jak zasnęła.

Hayden: *Martwię się o ciebie. Bardziej, niż myślisz.*

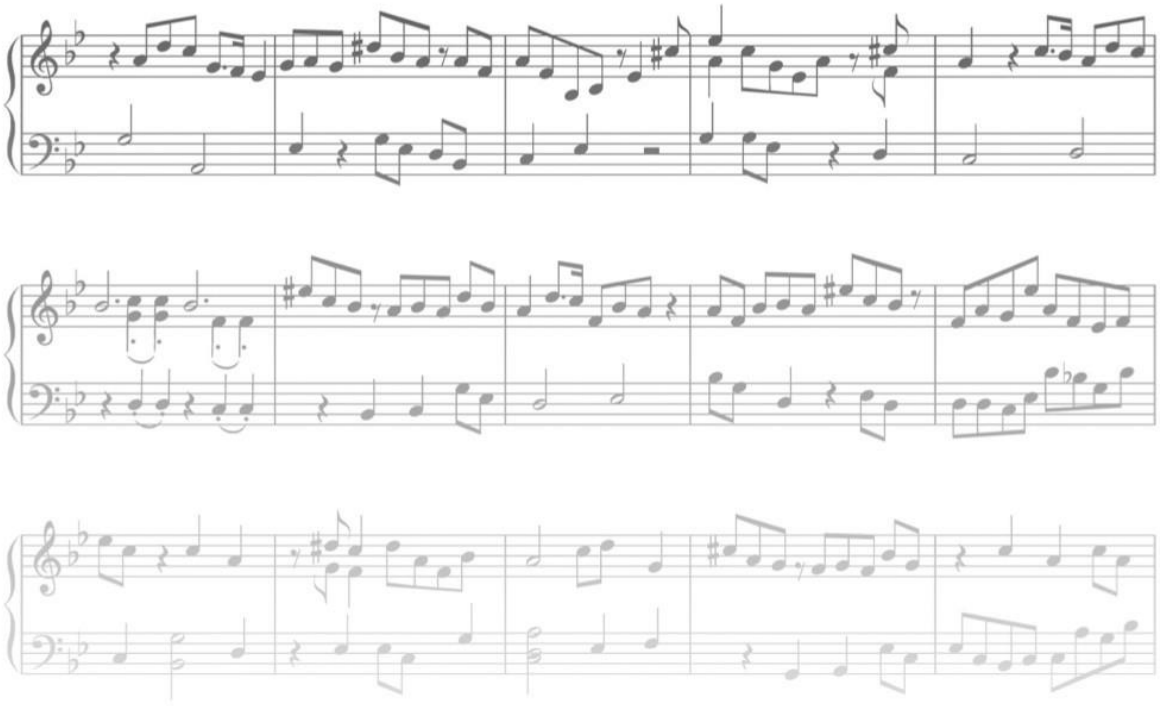

Rozdział 21

Kolacja z diabłem

Po weekendzie wszystko wróciło do normalności – Flora wyzdrowiała, dzięki czemu mogła spędzić z tatą nieco czasu, zanim ten wyjechał do Filadelfii. Gdy we wtorkowy wieczór odprowadzała go na lotnisko, starała się nie myśleć o tym, że zobaczą się dopiero podczas świąt.

Kiedy się z nim żegnała, ze wszystkich sił starała się nie rozpłakać.

Uwięziona w samym sercu nowojorskich korków, gdy wracała do mieszkania taksówką, starała się nie tęsknić, dopóki nie pojęła, że tęsknota nie była czymś chwilowym. Towarzyszyła człowiekowi w każdej chwili, czasami uśpiona, kiedy indziej nieco bardziej żywa.

Flora tęskniła, ale z zaskoczeniem odkryła – właśnie tam, na tylnym siedzeniu żółtej taksówki – że mimo tęsknoty nie potrafiła wyobrazić sobie powrotu do domu. Lubiła to, jak teraz wyglądało jej życie. Choć nie było idealne, miało w sobie namiastkę uroku, która skradła jej serce.

Lubiła swoje puste mieszkanie, uśmiech, którym każdego ranka obdarzał ją Edwin, niespodziewane odwiedziny ekscentrycznego sąsiada, rozmowy przy lampce martini i widok rozciągający się z okien. Lubiła Jocelyn i wiecznie spierające się bliźniaczki. Lubiła stojący w salonie fortepian. I chłopaka, który na nim grał.

Uśmiechnęła się pod nosem. Polubiła to wszystko o wiele bardziej, niż mogłaby podejrzewać. Ta myśl w niewyjaśniony sposób napawała ją spokojem. Dawała nadzieję, że odtąd wszystko miało toczyć się tak, jak powinno.

W czwartek, tuż po ostatnich tego dnia zajęciach, zatrzymał ją głos profesora Sanclaira. Flora na własnej skórze przekonała się, że los przygotował dla niej jeszcze kilka niespodzianek.

Wyjątkowo zaskakujących niespodzianek.

– Panno Sharman, możemy zamienić słowo? – zapytał mężczyzna.

Dziewczyna zdobyła się na uśmiech i, czując na sobie spojrzenia studentów w pośpiechu kierujących się do wyjścia, podeszła do biurka profesora. Nie spóźniła się na zajęcia, a ostatni egzamin poszedł jej całkiem dobrze, więc nie potrafiła doszukać się logicznego powodu, dla którego mężczyzna miał znów zepsuć jej nastrój.

Oliver Sanclair, ku jej zaskoczeniu, nie poruszył jednak tematu zajęć ani studiów. Zamiast tego powiedział:

– Chciałem się upewnić, że pamiętasz o dzisiejszej kolacji.

Och.

– Tak, oczywiście.

Jak mogłaby o tym zapomnieć?

– Świetnie. Moja żona przygotowała… Cóż, coś włoskiego, jak mniemam. Ta kuchnia to jej specjalność. Zresztą, dzisiaj sama będziesz miała okazję się o tym przekonać.

Flora zdobyła się na uśmiech, choć poczuła dotkliwy ucisk wokół żołądka. Wiedziała, że to tylko kolacja, ale myśl, że miała spędzić w towarzystwie Olivera Sanclaira kilka godzin, napawała ją niepokojem.

– Nie spóźnij się, proszę – dodał.

– Tak, panie profesorze.

– Nie będę już dłużej cię zatrzymywał. Do zobaczenia wieczorem.

Potem wydarzyło się coś, co uświadomiło Florze, że nic tak naprawdę nie wróciło do normalności – Oliver Sanclair obdarzył ją uśmiechem. Niewiele większym od zwykłego drgnięcia kącików ust, jednak nie sposób było pomylić tego z czymkolwiek innym.

Choć próbowała odpowiedzieć mu tym samym, zaskoczenie niemal ją sparaliżowało. Zdobyła się więc na grymas, który tylko z oddali mógł przypominać uśmiech. Opuszczając salę, myślała o tym, czy to świat zwariował, czy może ona postradała zmysły.

Był to jednak dopiero początek serii dziwacznych zdarzeń, które miały jej się tego dnia przytrafić.

W metrze zdołała znaleźć wolne miejsce, co w godzinach komunikacyjnego szczytu można było określić mianem cudu. Przez kilkanaście minut, zamiast tkwić ściśnięta pomiędzy nowojorczykami, mogła w spokoju usiąść i odpocząć.

Edwin przywitał ją pogodnym uśmiechem.

Cóż, przynajmniej ta kwestia pozostała taka sama.

W windzie spotkała Ralpha. Co wydawało się dość niespotykane, nie miał na sobie satynowej piżamy, a eleganckie spodnie i luźną koszulę, na którą narzucił sztuczne futro. W dłoniach trzymał papierową torbę z zakupami.

– Właśnie o tobie myślałem! – Uśmiechnął się. – Wracam z zakupów. Mam dla ciebie wino, które mi pożyczyłaś…

– Możesz je zatrzymać – odparła. – U mnie i tak by się zmarnowało. Wydaje mi się, że zrobisz z niego znacznie lepszy użytek niż ja.

– Skoro tak twierdzisz. – Schował butelkę z powrotem do torby. – Mam dzisiaj randkę.

Flora spojrzała na niego z boku.

– To już…

– …trzecia – dokończył. – Zamierzam przygotować conchiglie[24] ze smażonym tofu i coś na deser. Chyba że nie dotrwamy do deseru, tak jak ostatnio.

Dziewczyna uśmiechnęła się, a następnie spojrzała w górę, na niewielki wyświetlacz, na którym numery pięter zmieniały się w irytująco powolnym tempie.

– Mam dzisiaj kolację. – Wypowiedziała to zdanie, zanim zdołała się zorientować, że zamierzała to zrobić.

Ralph uniósł jasne brwi.

– To świetnie…

– Z rodzicami Haydena – dodała.

– Och.

Jej ramiona zadrżały.

– Tak.

– Denerwujesz się? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała, lecz szybko się poprawiła: – Tak. Po prostu… Nawet nie wiem, o czym powinnam z nimi rozmawiać ani jak się ubrać. Czy powinnam zwracać się do jego ojca „panie profesorze”?

– Zacznijmy od tego, żebyś nie zapomniała oddychać, jasne?

Flora zaczerpnęła powietrza. Czuła się tak, jakby zaraz miała zwymiotować.

– Jeżeli chodzi o rozmowę, zacznij od pogody, żadnej polityki i spraw religijnych. Nie zakładaj sukienki, jest zbyt elegancka. Nie możesz wyglądać, jakbyś za bardzo się starała. Coś minimalistycznego, ale uroczego. Rozpuść włosy, dużo się uśmiechaj i odpowiadaj krótko na pytania. To łatwiejsze, niż myślisz.

– W takim razie dlaczego wydaje się aż tak przerażające? – Skrzywiła się.

Ralph odpowiedział, jakby była to najprostsza sprawa na świecie:

– Bo jest dla ciebie ważne. Chcesz, żeby cię polubili, bo lubisz ich syna.

Flora skrzywiła się, słysząc te słowa, bo były prawdą, do której tak trudno było jej się przyznać. Naprawdę chciała, aby Oliver Sanclair ją polubił.

Gdy winda w końcu dotarła na odpowiednie piętro, Ralph zatrzymał dziewczynę w korytarzu:

– Floro?

– Tak? – Spojrzała na niego, zatrzymując się przy drzwiach do swojego mieszkania.

– Po prostu bądź sobą – poradził. – Nic więcej nie jest ci potrzebne, by bez reszty cię pokochali. Sam wiele razy przekonałem się, że każdy, kto cię pozna, jest skazany właśnie na taki los.

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Dziękuję, Ralph.

*

Flora nie miała w szafie ani jednej sukienki. Nigdy nie była ich wielką fanką, preferowała bardziej wygodne i praktyczne rozwiązania. Dlatego tego wieczoru postawiła na klasykę – czarną spódniczkę, jasny sweter i ciemne rajstopy. Prostota i minimalizm naznaczone odrobiną nieprzesadzonej elegancji.

Mimo rad Ralpha zdecydowała się związać włosy w luźny warkocz, pozwalając, by kilka kosmyków opadało swobodnie na policzki. Kiedy późnym popołudniem stanęła w korytarzu i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze, na jej twarzy pojawił się grymas. Nie chodziło o to, jak wyglądała – nigdy nie była przesadnie krytyczna wobec siebie – chodziło o stres, który znowu dał o sobie znać.

Weź się w garść, pomyślała. *To przecież tylko kolacja.*

Krótko po piątej zjechała windą na parter.

– Udanego wieczoru, panno Sharman! – zawołał za nią Edwin.

– Wzajemnie! – odparła, po czym przystanęła przed obrotowymi drzwiami. – Mogę o coś

zapytać? – Zwróciła się w stronę ochroniarza.

– Ależ oczywiście.

– Jak wyglądam?

Edwin uważnie jej się przyjrzał, a w końcu odpowiedział:

– Idealnie, panno Sharman.

Flora obdarzyła mężczyznę uśmiechem.

– Dziękuję, Edwinie.

W tej chwili nie potrzebowała niczego więcej. Wyszła na chodnik i złapała taksówkę, która zawiozła ją do *Sleepy Hollow*.

Gdy przekroczyła próg lokalu, pod jej płaszcz wdarło się przyjemnie ciepłe powietrze. Tego wieczoru bar wrócił do normy, jakby halloweenowa noc była tylko niewyraźnym wspomnieniem. Przy stolikach znów siedzieli ludzie z grymasami na twarzach, a w tle grał fortepian.

Loren wróciła za bar.

– Hayden powinien zaraz skończyć – poinformowała, gdy Flora zajęła jedno z pustych miejsc. – Podać ci w tym czasie coś do picia?

– Nie, dziękuję.

Zerknęła przez ramię w kierunku głównej sali. Gdy jej wzrok przedarł się przez obłoki papierosowego dymu, dostrzegła stary fortepian. Zauważyła Haydena – z zamkniętymi oczami grał jeden z tych pięknych utworów, które, choć nie porywały do tańca, zakradały się niepostrzeżenie do serca, aby kompletnie je skraść.

Zapewne wielu ludzi potrafiło grać Chopina, Mozarta czy Schumanna. Ale, dobry Boże, nie tak jak on.

– Słyszałam, co dla niego zrobiłaś.

Głos Loren sprawił, że Flora na nią spojrzała.

– Opowiadał mi o egzaminie do szkoły muzycznej – dodała. – O tym, że gdyby nie ty, nigdy by się na to nie odważył.

– Nie zrobiłam nic wielkiego. Po prostu w niego uwierzyłam.

Kobieta odstawiła szklankę z piwem na blat.

– Odwaga i odrobina wiary to wszystko, czego nam trzeba – stwierdziła i, podobnie jak chwilę wcześniej Flora, zerknęła w kierunku fortepianu. – Ten chłopak zasługuje na coś więcej niż stary instrument i zakurzony kąt w barze dla zbłąkanych pijaków. Zasługuje na to, by ktoś tak jak ty postanowił w niego uwierzyć. Ciężko jest iść za marzeniami zupełnie samemu. Ta droga niekiedy jest taka trudna.

Flora odwróciła twarz w stronę Haydena. Lubiła na niego patrzeć, gdy grał. Wydawał się wtedy… kimś zupełnie innym. Zdejmował maskę, za którą za dnia kryła się jego twarz. Był do bólu prawdziwy.

– Tak – przyznała. – To prawda.

– Chyba miał szczęście, że spotkał akurat ciebie.

Szczęście, powtórzyła w myślach.

Tamtego pamiętnego wieczoru miała wrażenie, że przeżywała najgorszy dzień w życiu – była zagubiona w obcym mieście, z dala od domu i rodziny. Sama, przerażona, zmoknięta i zmęczona.

Pamiętała, jak wiele łez wypłakała, gdy w końcu dotarła do pustego i nieprzyjemnie cichego mieszkania. Pamiętała, jak bardzo chciała wtedy wsiąść w pierwszy lepszy samolot i wrócić do domu.

Teraz wiedziała, że był to jeden z najlepszych wieczorów w jej życiu. Była wdzięczna za

korki, które skłoniły ją do wyjścia z taksówki, za zepsute kółko walizki, za rozładowaną baterię w telefonie i za deszcz, który zmusił ją do przekroczenia progu *Sleepy Hollow.*

Hayden skończył grać. Kiedy uniósł powieki i natrafił na wpatrzone w niego piękne oczy, nieznacznie się uśmiechnął.

Flora poczuła, że jej serce oplotło rozkoszne ciepło. Tak, była wdzięczna za każde nieszczęście, które ją wtedy spotkało.

– Nie umawialiśmy się, że przyjadę po ciebie, wracając ze *Sleepy Hollow*? – zapytał, kiedy podszedł do baru. – Tak bardzo nie możesz się doczekać kolacji z moim ojcem?

– Nie będzie aż tak strasznie. – Wzruszyła ramionami, śledząc go uważnie, póki nie zniknął na zapleczu. Zaledwie kilka chwil później ponownie stanął w przejściu. – W końcu ty i on jesteście do siebie bardzo podobni.

Chłopak zmarszczył brwi, narzucając na ramiona czarny płaszcz.

– Czy to znaczy, że jestem aż tak zły?

– Nie. To znaczy, że on nie może być aż tak zły – poprawiła go, zeskakując ze stołka. – Idziemy?

– Tak.

Gdy ruszyli w stronę drzwi, Loren zawołała za nimi:

– Bawcie się dobrze, dzieciaki!

Wydostali się na ulicę. Samochód Haydena stał zaparkowany kilkanaście metrów dalej.

– Zaprosiłem Henry'ego na kolację – oznajmił, kiedy znaleźli się w środku.

– Henry'ego? – Flora nie kryła zdziwienia.

– To mój kuzyn. Wychowywaliśmy się razem. Potrafi… cóż, rozładować napiętą atmosferę.

– Naprawdę myślisz, że będzie aż tak źle?

Nastawienie Haydena do dzisiejszej kolacji nieco ją bawiło.

– Nie znasz mojego ojca tak dobrze, jak myślisz – stwierdził, po czym odpalił auto i zerknął na dziewczynę. – Uznałem, że przyda nam się as w rękawie.

Flora zareagowała na te słowa uśmiechem.

– Poradzę sobie. To przecież tylko kolacja, prawda? Co złego może się wydarzyć?

Hayden nie odpowiedział. Wolał, aby Flora przekonała się o tym na własnej skórze.

*

Mieszkanie państwa Sanclair mieściło się na najwyższym piętrze jednego z tych zapierających dech w piersi wieżowców, które Flora mijała w drodze na uczelnię. Zbudowane z błyszczącego szkła, przypominały bardziej rzeźbę niż budynek mieszkalny.

– Jakie to uczucie mieszkać w chmurach? – zapytała, kiedy wsiedli do windy. Nawet z niej było widać zatłoczone ulice Nowego Jorku.

Hayden wzruszył ramionami. W przeciwieństwie do dziewczyny nie potrafił doszukać się w tym miejscu niczego niezwykłego. Było tylko kilkoma ścianami, masą pięter i sąsiadami, którzy nigdy nie mówili sobie „dzień dobry".

– Czasami przypominasz mi Julie – wyznał, zanim zdążył ugryźć się w język.

Flora oderwała wzrok od okien i zerknęła na chłopaka z zaciekawieniem.

– Julie? – powtórzyła.

– Tak. Macie wiele wspólnego. Ona też wpada na szalone pomysły, przez które pakuje się w kłopoty.

I podobnie jak ty potrafi czerpać radość z najmniejszych rzeczy, obok których zwykli ludzie przechodzą obojętnie, dodał w myślach. Kiedyś bardzo zazdrościł jej tej cechy.

– Uznam to za komplement. Bardzo lubię twoją siostrę. Jest urocza.

– I straszna – dopowiedział.

Winda zatrzymała się na odpowiednim piętrze.

– Jesteś gotowa na kolację z diabłem? – zapytał Hayden, gdy dotarli do drzwi apartamentu.

Flora posłała mu lekki uśmiech, a następnie skinęła głową.

Gdy tylko przekroczyła próg mieszkania, doleciał do niej przyjemny zapach przygotowywanego jedzenia. Z jednego z pokoi wyłoniła się ciemna czupryna Julie:

– Flora! – krzyknęła dziewczynka, ruszając w jej kierunku, aby wpaść jej w ramiona.

Henry, który pojawił się w progu salonu, zwrócił się szeptem do Haydena:

– Jeżeli ten mały potwór aż tak ją polubił, chyba się w niej zakocham.

Sanclair zareagował na słowa kuzyna lekkim kręceniem głowy, choć w głębi serca naprawdę chciał, by Henry polubił Florę. Chciał, żeby wszyscy ją polubili. Ale czy w ogóle istniała możliwość, by stało się inaczej?

– Odwieszę twój płaszcz – powiedział, odbierając od dziewczyny okrycie.

– Zajęłam dla ciebie miejsce przy stole – poinformowała Julie. – Będziesz siedziała obok mnie! – Popędziła do salonu, mijając Henry'ego, który odprowadził ją zaskoczonym spojrzeniem, a potem zerknął na Florę.

– To ty musisz być tą tajemniczą dziewczyną, która skradła zimne serce mojego kuzyna…

– Henry – wtrącił Hayden.

Chłopak pokręcił głową, puszczając Florze oczko.

– Chociaż trudno w to uwierzyć, gdy byliśmy dziećmi, nie był aż tak marudny. Jestem Henry.

– Flora – odpowiedziała, podając mu rękę.

Miał łagodny, lecz pewny uścisk. Na jego przystojnej twarzy o lekko azjatyckim zabarwieniu malował się przyjazny uśmiech. Z ich trojga sprawiał wrażenie najbardziej wyluzowanego.

Julie pojawiła się w korytarzu z grymasem zniecierpliwienia wyrysowanym na twarzy.

– Pośpieszcie się! – Chwyciła dłoń Flory i pociągnęła dziewczynę za sobą do salonu.

Wnętrze mieszkania państwa Sanclair okazało się… zadziwiająco przytulne. Flora nie wiedziała, czego właściwie się spodziewała – szarych ścian, kilku nowoczesnych mebli i zdjęć ofiar profesora na ścianach?

Wyrzuciła tę niedorzeczną myśl z głowy, gdy dotarł do niej łagodny głos Violet McMillan:

– Jesteście wreszcie!

Znajdowała się za blatem kuchennej wyspy, ubrana w kolorowy fartuszek. W powietrzu roznosił się apetyczny zapach tego, co wyjęła z piekarnika.

Oliver Sanclair stał natomiast tuż obok i, ku niedowierzaniu Flory, także miał na sobie barwny fartuch. Prawie go nie poznała bez eleganckiego garnituru, jedynie w koszuli, której rękawy podwinął na wysokość łokci. Wyglądał o wiele bardziej… ludzko. Niemal zabawnie.

– Siadajcie do stołu, zapiekanka zaraz będzie gotowa! – poleciła pani McMillan.

– Chodźmy. – Julie pociągnęła Florę za sobą.

Stół stał nieopodal ogromnej kanapy, niemal z każdej strony otoczony przez sięgające sufitu ciemne okna. Rozciągał się z nich tak piękny widok, że Flora mimowolnie utkwiła w nim spojrzenie. Z okien własnego mieszkania mogła dostrzec fragment Central Parku i spacerujących w nim ludzi, jednak z takiej wysokości nawet samochody wydawały się malutkimi punktami

pośród ciemności.

Ale nawet tu nie było widać gwiazd.

Usiadła na miejscu, które wybrała dla niej Julie. Blat był niemal całkowicie zastawiony różnymi potrawami.

– Nie wiedziałam, co lubisz, więc przygotowałam właściwie wszystko. – Violet podeszła do stołu i w jego centralnym punkcie postawiła smakowicie wyglądającą zapiekankę. – Gnocchi w sosie serowym, ragu w stylu bolońskim, arancini…

– To takie kulki z ryżu – wyjaśnił pan Sanclair, stawiając na blacie butelkę wytrawnego wina, a po chwili zwrócił się do żony: – Nie wszyscy są pasjonatami włoskiej kuchni w równym stopniu jak ty, kochanie.

Dziewczyna nie potrafiła oderwać wzroku od obrazu, który się przed nią malował. Oliver spojrzał na żonę w taki sposób, w jaki tata Flory patrzył na jej mamę. W taki sposób, o jakim ona marzyła, aby ktoś na nią spojrzał.

Jeżeli Flora kiedykolwiek pragnęła zaznać miłości, to tylko takiej.

– Na deser mam dla was tiramisu – oznajmiła Violet.

– Nie musiała pani sprawiać sobie aż takiego kłopotu…

– Och, ależ to żaden kłopot! Uwielbiam gotować!

– Gdy się poznaliśmy, jedynym, co potrafiła przyrządzić, było mleko z miodem – wtrącił mężczyzna.

Violet obdarzyła go morderczym spojrzeniem.

– Jesteś na najlepszej drodze do tego, by spać dzisiaj na kanapie.

– Czy mogę dostać deser już teraz? – Julie ze swojego miejsca przy stole wtrąciła się w rozmowę rodziców.

– Najpierw kolacja, moja droga panno – odpowiedział pan Sanclair, sprawiając, że na twarzy jego córki znów zagościł grymas, który zdobił ją też chwilę wcześniej. – Znasz zasady.

Dziewczynka przewróciła oczami.

Flora zerknęła na Haydena, który usiadł naprzeciw niej, tuż obok Henry'ego. Obdarzyła go lekkim uśmiechem. Kiedy wszyscy zasiedli do stołu, życząc sobie nawzajem smacznego, odkryła, że to, czego tak się obawiała, nie było niczym więcej niż wytworem wyobraźni.

Profesor Sanclair nie wyglądał, jakby chciał wyssać z niej duszę. Zajmował miejsce u szczytu stołu, nie przypominając człowieka, którym był na uczelni. Uśmiechał się, zerkając na dzieci i żonę.

Być może tak właśnie działał na ludzi dom? Sprawiał, że wydawali się mniej straszni i odrobinę bardziej… prawdziwi?

– Musisz koniecznie spróbować zapiekanki. To moja specjalność. – Violet chwyciła talerz Flory, by napełnić go porcją jedzenia, która wystarczyłaby na posiłek dla dwóch osób.

Dziewczyna nie miała jednak serca odmówić, więc uprzejmie podziękowała.

Henry podsunął także swój talerz.

– Ja też poproszę. Grzechem byłoby jej nie spróbować.

Pani McMillan zareagowała na te słowa ciepłym uśmiechem.

Flora sięgnęła po szklankę z wodą, gdy nagle dotarł do niej głos profesora:

– Floro.

Znieruchomiała, czując, jak jej mięśnie gwałtownie się spięły. Przełknęła z trudem i zaciskając palce na szklance, spojrzała na mężczyznę.

– Mogę tak do ciebie mówić? – zapytał. – Skoro nie jesteśmy już na uczelni, możemy porzucić zbędne formalności.

– Tak. Oczywiście. – Poczuła na sobie ciężar spojrzenia Haydena. Nie odrywała jednak

wzroku od jego ojca, gdy ten zapytał:

– Zastanawia mnie… skąd pomysł na prawo?

– Cóż… – Powstrzymała się przed wzruszeniem ramionami. – Jeżeli mam być szczera, sama do końca nie wiem. Czasami serce podejmuje decyzję za nas, sprawiając, że rozum nie jest w stanie logicznie jej wytłumaczyć.

– Ale to nie znaczy, że nie jest słuszna – podsunął Hayden.

Flora zerknęła na niego i z uśmiechem przytaknęła.

– Tak. – Znów zwróciła się do profesora. – Wiem, że w pana oczach raczej nie jestem idealnym materiałem na prawnika, ale…

– Czy kiedykolwiek dałem ci to odczuć? – wtrącił, sięgając po kieliszek z winem.

Zapragnęła uśmiechnąć się z rozbawieniem.

– Cóż, jakieś… trzynaście razy – odparła, nieoczekiwanie wywołując uśmiech mężczyzny.

Pani McMillan wyjaśniła:

– Och, skarbie, mój mąż zawsze wymaga znacznie więcej od tych, w których dostrzega potencjał. Jest przy tym nieco niedelikatny, o czym sama kiedyś miałam okazję się przekonać. Zanim zorientował się, że jestem miłością jego życia, był moim szefem.

– Naprawdę? – zaciekawiła się dziewczyna.

– Och, tak. I szczerze mnie wtedy nie znosił.

– Była moim największym utrapieniem – przyznał z westchnieniem pan Sanclair. – I choć co rusz pakowała się w kłopoty swoją nieposkromioną odwagą, nie mogłem odmówić jej talentu. Szybko zorientowałem się, że w przyszłości będzie świetnym prawnikiem.

– Aż w pewnym momencie stałam się lepsza nawet od niego.

– Uczeń przerósł mistrza – dodał, po czym zerknął na Florę. – Jak więc widzisz, nie zaprzątam sobie głowy ludźmi, w których nie dostrzegam potencjału, a w tobie widzę go naprawdę wiele.

– Czy to znaczy, że od teraz trochę mi pan odpuści?

– Ależ skąd! Będę uprzykrzał ci życie aż do ostatniego dnia, jaki spędzisz na tej uczelni.

Flora się uśmiechnęła.

– Ja też zostanę kiedyś prawnikiem! – zawołała Julie.

Henry mruknął pod nosem, również sięgając po wodę:

– Raczej seryjnym mordercą.

Dziewczynka posłała mu chłodne spojrzenie.

– Wygląda na to, że podjęłam słuszną decyzję, gdy zdecydowałam się napluć do twojej szklanki.

Henry zachłysnął się wodą.

– Chryste, Julie! – krzyknęła Violet.

Kąciki ust dziewczynki uniosły się w przerażającym uśmiechu.

– Przecież żartowałam – westchnęła, przewracając oczami.

Flora pochwyciła spojrzenie Haydena. Tego wieczoru niewiele mówił, co wydawało się do niego niepodobne.

– Powinnam zacząć przygotowywać deser. – Pani McMillan podniosła się z miejsca.

– Pomogę pani – zaproponowała dziewczyna.

– Och, nie musisz. Robiłam to tak wiele razy, że poradziłabym sobie nawet z zamkniętymi oczami.

– Proszę – wtrąciła. Chciała jakoś odwdzięczyć się za kolację. Nie przywykła do tego, by tylko brać, nie dając nic w zamian.

– No dobrze. Chodźmy.

Gdy znalazły się w kuchni zupełnie same, Violet wyjęła z lodówki kilka eleganckich pucharków.

– Właściwie wystarczy tylko posypać je kakao, ozdobić malinami i cała robota z głowy. – Wręczyła Florze opakowanie owoców.

– Nigdy wcześniej nie jadłam tiramisu – zdradziła.

Kobieta odwróciła się ku niej z opakowaniem kakao w ręce.

– Nigdy? – powtórzyła.

– Jeżeli chodzi o gotowanie i pieczenie, moja mama nie jest w tym mistrzem – przyznała, wkładając maliny do pierwszej porcji deseru. – Przypala właściwie wszystko, za co się zabierze.

Tego też jej brakowało – spalonych i przesolonych dań mamy. I taty, który zawsze jadł je ze smakiem, prosząc o dokładkę, by nie sprawić żonie przykrości.

– Chyba odziedziczyłam to po niej. Potrafię robić tylko tosty i herbatę.

– To całkiem dobry początek. Nie zniechęcaj się.

Flora uśmiechnęła się pod nosem.

Po krótkiej chwili pani McMillan znów przerwała ciszę:

– Musi być ci bardzo trudno. Tak daleko od domu, bez rodziców. Sama kiedyś byłam na twoim miejscu. Nowy Jork jest niezwykły, ale łatwo poczuć się tu samotnym i zagubionym.

– Było mi ciężko – przyznała. – Na początku. Nie będę ukrywać, że pani mąż trochę się do tego przyczynił.

– Tak. Nie jest zbyt dobry w obchodzeniu się z ludzkimi emocjami, ale zna się na ludziach.

Flora dokończyła ozdabiać desery i odważyła się powiedzieć:

– To dzięki Haydenowi. – Kiedy uniosła wzrok, napotkała spojrzenie Violet. – Sprawia, że czuję się tu mniej obco. Miałam szczęście, że go spotkałam.

– Och, Floro… – Kobieta chwyciła jej dłoń. – Myślę, że oboje mieliście równie dużo szczęścia.

Dziewczyna spojrzała w stronę salonu – na Haydena, który rozmawiał o czymś z Henrym. I po raz pierwszy pomyślała o tym, że być może błądząc, dotarła tam, gdzie było jej miejsce.

*

Kolejne dwie godziny upłynęły w tak miłej atmosferze, że zanim Flora zdołała się zorientować, kolacja dobiegła końca, pozostawiając na jej twarzy uśmiech, którego jeszcze kilka godzin wcześniej się nie spodziewała.

Podziękowała pani McMillan za kolację, pożegnała się z panem Sanclairem, a także z Henrym. Zanim opuściła mieszkanie, musiała dwa razy obiecać Julie, że niebawem znów do nich wpadnie.

– Wiesz, że mógłbym odwieźć cię do domu, prawda? – zapytał Hayden, gdy znaleźli się w windzie.

– Ostatnio polubiłam taksówki – odparła. – Powinieneś spędzić ten czas z rodzicami, a nie ze mną.

Hayden się skrzywił, lecz postanowił nie wypowiadać żadnej z myśli, jakie pojawiły się w jego umyśle.

Kiedy wydostali się przed budynek, żółty samochód stał już przy chodniku.

– To chyba moja taksówka. – Flora odwróciła się do chłopaka. – Wszystko w porządku? – zapytała. – Byłeś dzisiaj dziwnie milczący. Nie wiedziałam, że jesteś w stanie wytrzymać więcej

niż godzinę bez rzucania sarkastycznych komentarzy i nazywania mnie „Sharman".

Chłopak schował dłonie do kieszeni płaszcza i lekko wzruszył ramionami. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Znów była maską – obojętną i niewzruszoną.

– Chyba po prostu dawno nie miałem okazji zjeść rodzinnej kolacji – przyznał.

– Mam nadzieję, że to była miła odmiana.

– Tak. Było całkiem… – zmarszczył brwi – nieźle. Nawet as w rękawie nie okazał się potrzebny.

Flora uważnie mu się przyjrzała. Niespodziewanie w jej głowie rozbrzmiały słowa pani McMillan: „Myślę, że oboje mieliście równie dużo szczęścia".

– Mógłbyś w końcu to zrobić – stwierdziła, sprawiając, że na twarzy Haydena błysnęła konsternacja.

– Co?

Nie odpowiedziała od razu, zamiast tego przybliżyła się o krok, również chowając ręce w płaszczu. Zdawało się, że tego wieczoru chłód doskwiera odrobinę mocniej niż zazwyczaj. Blade policzki Flory pokrywał lekki rumieniec.

– Zaprosić mnie na randkę – wyjaśniła.

Wypowiadając te słowa, próbowała wyczytać coś z jego twarzy. Cokolwiek. Choćby najmniejszą oznakę emocji. Dopiero gdy spojrzała mu w oczy, odnalazła tam to, czego szukała.

Hayden Sanclair postawił krok w stronę dziewczyny, omiótł wzrokiem jej twarz, po czym powiedział:

– Zapraszam cię na randkę, Sharman.

– Nie tak zaprasza się kobiety na randkę, panie Sanclair. – Pokręciła głową.

Chłopak zacisnął wargi w wąską linię, przez co mięśnie jego szczęki wyraźnie się napięły. Spróbował jeszcze raz:

– Czy uczynisz mi ten zaszczyt, panno Sharman, i zgodzisz się pójść ze mną na randkę?

Flora zmrużyła oczy, udając zamyślenie. Walczyła z uśmiechem, który próbował wkraść się na jej usta. Po chwili delikatnie się pochyliła.

– Co, jeżeli odmówię? – zapytała.

Hayden odpowiedział bez namysłu:

– Obawiam się, że w takim wypadku resztę wieczoru spędzę, płacząc w poduszkę.

Tym razem nie zdołała wygrać. Uśmiech samoistnie zagościł na jej twarzy, dotknął jasnych oczu i zaróżowionych policzków. Dziewczyna pokonała niewielką odległość, która ich dzieliła, po czym stanęła na palcach i musnęła zimnymi wargami równie chłodny policzek Haydena. Odsuwając się od niego, napotkała spojrzenie ciemnych oczu.

– Dziękuję za ten wieczór. Naprawdę świetnie się bawiłam. – Cofnęła się o krok. – Powinnam już iść. Pan z taksówki zaraz naliczy sobie kilka dodatkowych dolarów za zwłokę.

– Sharman? – zatrzymał ją.

– Tak?

– Nie żartowałem – stwierdził.

– Ja też nie. Miłego płakania w poduszkę, panie Sanclair! – zawołała. Nie dodała nic więcej, po prostu wsiadła do taksówki, zostawiając go samego na chodniku.

Hayden nie przestał się uśmiechać, nawet gdy wrócił już do mieszkania.

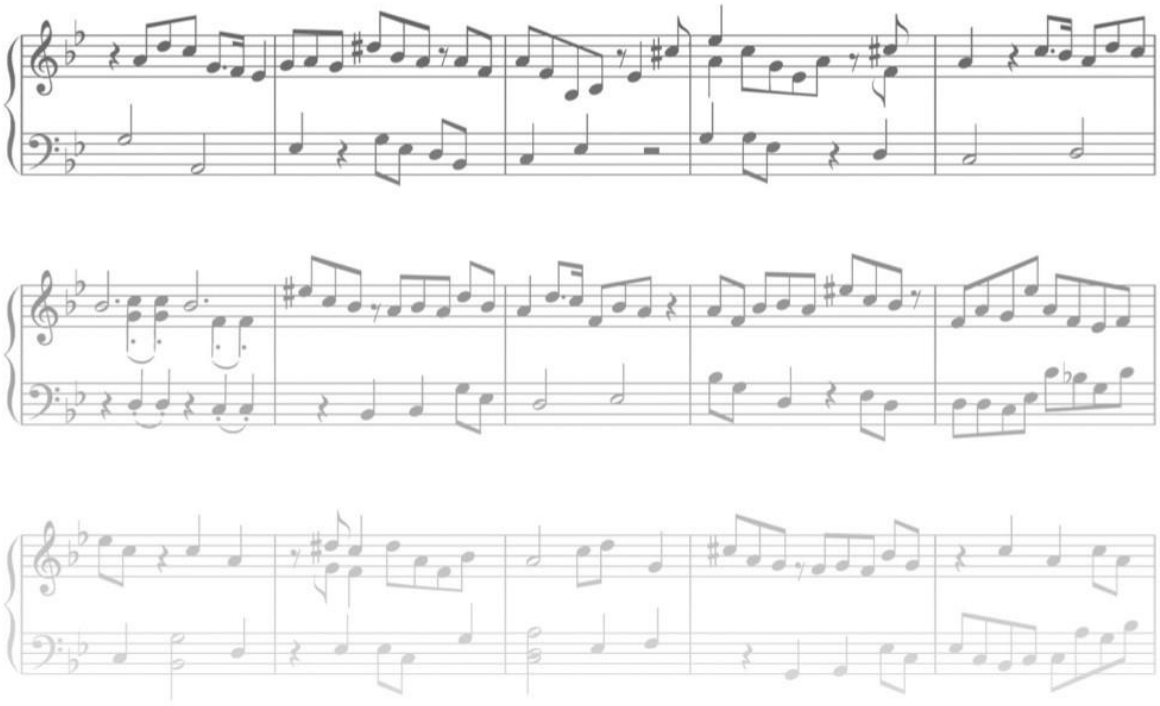

Rozdział 22

Przecież nikt nie patrzy

Spokojny czas, szczególnie w przypadku studiów, nigdy nie trwał zbyt długo. Kiedy Flora częściowo uporała się z profesorem Sanclairem, zza rogu zaczęło wyłaniać się kolejne zmartwienie – zbliżające się wielkimi krokami egzaminy. Były niczym wiszące tuż nad głową burzowe chmury – choć jeszcze nie padał z nich deszcz, za każdym razem, kiedy chciała spojrzeć w niebo, przysłaniały słońce.

Ciężka książka wylądowała na blacie długiego stołu z trzaskiem, który odbił się od ścian. Kilku studentów zwróciło głowy w kierunku Flory i kolejnego nieszczęścia, jakie zdecydowało się ją dopaść – Jocelyn.

Na bladej, usypanej piegami twarzy dziewczyny widniał grymas stanowiący mieszankę konsternacji i gniewu.

– Przejrzałam cię, Sharman – oznajmiła, krzyżując ramiona na piersiach. Jej rude włosy odznaczały się na tle jednolitych ścian, a kolorowy sweter i wyłaniające się spod rękawów tatuaże zdawały się tak bardzo nie pasować do tego miejsca. Przypominała barwną plamę na tle smutnej szarości.

– Chryste, możesz być trochę ciszej? – zapytała z grymasem Flora. – Ta ponura bibliotekarka już i tak za mną nie przepada…

– Ty i Sanclair – wtrąciła.

Flora ze wszystkich sił starała się, aby panika nie odmalowała się na jej twarzy. Od zawsze była jednak wyjątkowo kiepską aktorką. Przełknęła z trudem.

– Co? O czym ty…

– Nie uwierzyłam, kiedy bliźniaczki mi o tym powiedziały. – Jocelyn znów nie pozwoliła jej dokończyć. – Nie mam pojęcia, skąd o tym wiedziały. Może użyły swoich wiedźmińskich umiejętności. Po prostu uznałam, że przesadziły z szejkami proteinowymi i gadają głupoty. Ale miały rację! – Wskazała na nią palcem. – Ty i Sanclair.

– Jocelyn, proszę, bądź ciszej – szepnęła, czując na sobie zirytowane spojrzenia.

Dziewczyna jednak nie chciała słuchać.

– Jak mogłaś mi o tym nie powiedzieć? – oburzyła się. – Mi?! Oddałabym za ciebie duszę, Sharman.

– Nie powiedziałam ci, bo nie ma o czym mówić. Nie wiem, co powiedziały ci bliźniaczki, ale najwidoczniej poniosła je wyobraźnia.

Jocelyn zmrużyła podejrzliwie oczy, a następnie pokręciła głową, cmokając.

– Możesz dalej wciskać mi kit – odparła, wzruszając ramionami. – Jak wolisz.

– Jocelyn…

Rudowłosa uniosła dłonie, po czym wstała, teatralnym gestem zgarniając z blatu książkę, którą wcześniej z impetem na niego rzuciła.

– Wiedz, że się na ciebie nie gniewam. Miłość potrafi uczynić nawet z najmądrzejszego człowieka kompletnego idiotę. Dlatego wybaczam ci, Floro Sharman. – Odwróciła się, lecz przystanęła po postawieniu zaledwie kroku w stronę wyjścia. Następnie zerknęła na koleżankę przez ramię, uśmiechając się zwycięsko. – Och, zapomniałam wspomnieć. Twój książę z bajki właśnie cię szuka.

Potem odeszła, odprowadzona przez ciekawskie spojrzenia studentów, dla których wszystko wydawało się bardziej godne uwagi niż książki i notatki.

Flora zerknęła na podręcznik, lecz po chwili znów się skrzywiła, zamknęła go i wcisnęła na dno torby, a potem wstała na równe nogi. W pośpiechu chwyciła płaszcz i popędziła w kierunku drzwi.

Bibliotekarka posłała jej cierpkie spojrzenie, gdy wypadła z głównej sali prosto na korytarz.

– Panno Sherman, to nie boisko – upomniała ją.

Sharman, poprawiła ją w myślach Flora. Nie zdecydowała się jednak wypowiedzieć tego na głos. Milczenie – szczególnie w sytuacjach takich jak ta – okazywało się najrozsądniejszym rozwiązaniem.

– Przepraszam. Bardzo się śpieszę…

– Jeżeli dalej tak rzetelnie będzie pani mijać się z zasadami panującymi w tym miejscu, będę zmuszona cofnąć pani kartę wstępu do biblioteki – ucięła kobieta.

– Ale…

– Wszystko w porządku?

Na dźwięk znajomego głosu Flora zerknęła za siebie. Hayden stał kilka metrów dalej. Od góry do dołu ubrany w nienaganną czerń, wyglądał niemal upiornie.

– Tak, właśnie… – Wskazała za siebie.

– Pozwól mi się tym zająć – poprosił, po czym przeniósł wzrok na bibliotekarkę – Pani Marlov.

Kobieta podniosła głowę. Okrągłe okulary z grubymi oprawkami zsunęły się niemal na czubek jej nosa. Na widok Haydena jej siwa brew powędrowała ku górze, twarz natomiast wyraźnie złagodniała. O wiele bardziej niż chwilę wcześniej przypominała człowieka, a nie postać żywcem wyjętą z koszmaru.

– Panie Sanclair, w czym mogę pomóc?

Hayden oparł się ramieniem o krawędź biurka.

– Panna Sharman tak bardzo się śpieszyła, bo nie mogła się doczekać, kiedy znów mnie zobaczy – powiedział, nakładając na twarz zawadiacki uśmiech.

Stojąca nieco dalej Flora prychnęła pod nosem, jednak nie odważyła się wtrącić.

Tymczasem Sanclair pochylił się w kierunku bibliotekarki, puścił jej oczko i dodał:

– Chyba może pani ten raz jej wybaczyć, prawda?

– Och, no nie wiem. To już nie pierwszy raz, kiedy…

– Dla mnie, pani Marlov – przerwał uprzejmie, sprawiając, że resztki grymasu, jakie jeszcze odznaczały się na jej twarzy, przepadły, zastąpione czymś o wiele bardziej ludzkim i przyjaznym.

Potem stało się coś, w czego prawdziwość Flora nie była w stanie w pierwszej chwili uwierzyć. Pani Marlov, ta straszna, wiecznie naburmuszona bibliotekarka, która w momentach wolnych od pracy z pewnością pasjonowała się wysysaniem szczęścia z innych ludzi, ciepło się uśmiechnęła. Nie był to ledwie dostrzegalny uśmiech, czy grymas, który mógłby go przypominać. Dziewczyna na widok tej nieprawdopodobnej sceny rozgrywającej się na jej oczach musiała kilka razy zamrugać, nim w końcu zorientowała się, że nie była ona tylko przywidzeniem.

Pani Marlov dała za wygraną.

– Niech będzie. Puszczę to w niepamięć, ale jeżeli jeszcze choć raz…

– Zapewniam, że to się nie powtórzy – obiecał. – Dopilnuję, by panna Sharman już więcej pani nie niepokoiła.

Gdy bibliotekarka zerknęła w stronę Flory, dziewczyna zdobyła się na uśmiech i skinęła głową.

– Tak. Jeszcze raz przepraszam – powiedziała.

Kobieta westchnęła, po czym machnęła dłonią.

– No dobrze. A teraz zejdźcie mi z oczu, zanim zmienię zdanie.

Hayden znów posłał jej lekki uśmiech, który podobnie jak chwilę wcześniej kompletnie ją ujął. Kiedy chłopak ruszył w stronę wyjścia, Flora otrząsnęła się ze zdumienia i popędziła za nim.

– Jakim cudem? – zapytała.

– To nie cud – odparł, przepuszczając ją w drzwiach. – To urok osobisty, Sharman.

Ruszyła za nim w kierunku zaparkowanego nieopodal zielonego range rovera.

– Lepiej więcej nie niepokój pani Marlov, jeżeli chcesz jeszcze kiedykolwiek przestąpić próg jej biblioteki – poradził. – Nie będę za każdym razem przychodził ci na ratunek.

– To biblioteka uczelni, nie należy do niej.

– Wszystko należy do niej – odpowiedział. – Ta kobieta pracowała w tym miejscu na długo przed tym, jak którekolwiek z nas przyszło na świat.

Flora skrzywiła się pod nosem.

– Podobno mnie szukałeś – rzuciła.

Chłopak zatrzymał się tuż obok samochodu.

– Tak. – Otworzył drzwi od strony pasażera i polecił: – Wsiadaj. Porywam cię na kilka godzin.

Dziewczyna zajrzała do wnętrza auta, po czym znów spojrzała na Haydena.

– Teraz? – zapytała.

– Tak.

Och.

– Ale… – Potrząsnęła głową. – Mogę się chociaż przebrać?

– Obawiam się, że nie mamy na to czasu, ale nie martw się, nieważne, co masz na sobie,

i tak wyglądasz pięknie. – Wypowiedział te słowa z zadziwiającą łatwością i swobodą. Zupełnie jakby opuściły jego usta, zanim na dobre zdołał się nad nimi zastanowić.

Cholera, pomyślała. *Naprawdę był dobry w ujmowaniu słowami. Nawet tymi najprostszymi.*

Flora postawiła ku niemu krok, zadzierając podbródek.

– Mogę wiedzieć, dokąd chcesz mnie zabrać?

Hayden omiótł wzrokiem jej twarz. Spokojnie dotknął policzków, ust, aż w końcu dotarł do oczu.

– Nie.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Naprawdę to było wszystko, co miał jej do powiedzenia?

– Nie wiem, czy powinnam. Muszę przygotowywać się do egzaminów…

– Egzaminy nie uciekną, Sharman, a niepowtarzalna okazja, by spędzić popołudnie w tak wybornym towarzystwie jak moje, owszem.

Flora poczuła, że kąciki jej ust drgnęły nieznacznie ku górze.

– Obiecuję, że wieczorem odstawię cię do domu i będziesz mogła wrócić do książek – dodał.

Nie musiał dłużej jej namawiać.

– W porządku. – Zdecydowała się powiedzieć tylko tyle, a potem cofnęła się o krok i wsiadła do auta, zajmując miejsce pasażera.

Hayden uśmiechnął się pod nosem, po czym zamknął za nią drzwi i usiadł za kierownicą.

– Więc… – zaczęła. – Naprawdę nie powiesz mi, dokąd mnie zabierasz?

– To niespodzianka, Sharman. Musisz być cierpliwa.

Flora wyjrzała za okno.

Cóż, cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną, ale ta myśl nie zaprzątała jej głowy zbyt długo. Zastąpiły ją słowa, które kilkanaście minut wcześniej padły z ust Jocelyn.

Ty i Sanclair.

Na ich wspomnienie poczuła ciepło rozlewające się w piersi. Wiedziała, że były to tylko słowa. Zbitek kilkunastu liter. Nic ponadto. Ale skoro nic nie znaczyły, dlaczego nie potrafiła po prostu o nich zapomnieć?

– O czym myślisz?

Drgnęła na dźwięk jego głosu. Dopiero wtedy zorientowała się, że na jej twarzy widniał uśmiech. Pozbyła się go, potrząsając głową.

– O niczym – skłamała. – O niczym szczególnie ważnym…

Znów wyjrzała za okno, tym razem uśmiechając się tak, aby nikt oprócz jej odbicia nie mógł tego dostrzec.

*

Po kilku minutach drogi Hayden zaparkował samochód nieopodal bramy prowadzącej do Central Parku. Wciąż nie chciał zdradzić Florze, dokąd zamierzał ją zabrać. Wyraźnie bawił go jej naburmuszony wyraz twarzy.

– Znasz definicję słowa „niespodzianka", Sharman? – rzucił, kiedy szli jedną z szerokich ścieżek parku, chwilę po tym, jak po raz kolejny zapytała, dokąd ją prowadził.

Późnym wieczorem to miejsce stanowiło serce nowojorskiej społeczności, więc fakt, jak wiele osób minęli po drodze, w pierwszej chwili nie wydał się Florze niczym nadzwyczajnym. O wiele mocniej skupiała się na tym, aby nadążyć za Haydenem, który stawiał tak duże kroki, że musiała niemal biec.

– Nie lubię niespodzianek – mruknęła. – Skąd mam mieć pewność, że mi się spodobają?

Tak jak tamtego pamiętnego dnia, wiele lat temu, gdy mama wyciągnęła ją z domu podczas wakacji, tłumacząc się niespodzianką i zapewniając, że spędzą razem świetne popołudnie. Ostatecznie Flora skończyła na wodnym aerobiku, pośród pań w podeszłym wieku, które wymieniały dwuznaczne komentarze.

Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Choć od tamtej chwili minęło tak wiele lat, wciąż nie była w stanie o tym zapomnieć.

Hayden uśmiechnął się pod nosem.

– Czy ktoś już kiedyś powiedział ci, że czasami zbyt wiele mówisz? I że jesteś cholernie niecierpliwa?

– Mógłbyś iść trochę wolniej? – zapytała, ignorując jego słowa.

Sanclair zerknął na nią przez ramię. Chciał rzucić kolejny sarkastyczny komentarz, jednak posłusznie zwolnił kroku, kiedy dostrzegł grymas zmęczenia malujący się na jej twarzy.

– Dziękuję – westchnęła z ulgą. – Ale naprawdę wolałabym, żebyś powiedział mi, dokąd właściwie idziemy. Powinnam siedzieć zakopana w książkach i uczyć się teorii o…

– Odwróć się – przerwał jej.

– Co?

– Odwróć się – powtórzył.

Flora zmarszczyła brwi, ale nie pytając o nic więcej, spełniła polecenie. Niemal wpadła przy tym na stojącą tuż za nią kobietę.

Pierwszym, co ujrzała, był spory tłum. Dopiero kilka sekund później, gdy zorientowała się, że wszyscy patrzyli w górę, i sama również podniosła głowę, dostrzegła, co przykuło ich uwagę – choinka. Nie byle jaka. Nieprawdopodobnie wysoka choinka, mająca ponad dwadzieścia metrów, która zasłaniała znaczną część Rockefeller Center[25].

Niespodziewanie rozległy się głosy innych ludzi:

– Dziesięć!

– Co…

– Dziewięć!

Flora powiodła spojrzeniem dookoła.

– Osiem!

Zerknęła na rozradowane dzieci, na trzymające się za ręce pary staruszków, na całe rodziny, samotników i zakochanych.

– Siedem!

Poczuła, że jej serce zaczęło odrobinę mocniej bić.

– Sześć!

Świat zwolnił.

– Pięć!

Gwałtowny powiew chłodnego wiatru poruszył gałęziami u szczytu choinki, wdarł się pod poły płaszcza Flory i rozwiał jej ciemne włosy.

– Cztery!

Jej oddech stał się cięższy.

– Trzy!

Otworzyła usta, chcąc krzyczeć razem z nimi, ale słowa utknęły jej w gardle.

– Dwa!

Poczuła obecność Haydena tuż za sobą.

– Jeden!

Spojrzała w górę w tej samej chwili, w której drzewko rozświetliło się tysiącem różnobarwnych światełek, zwieńczonych zdobiącą je gwiazdą. Jej blask rozświetlał ciemne niebo

i jakimś cudem sprowadzał do serc tych ludzi namiastkę ciepła. Czasami nie potrzeba było niczego więcej.

Wśród zgromadzonego tłumu rozniosły się pełne radości okrzyki, gwizdy i oklaski. Niektórzy zaczęli śpiewać świąteczne piosenki, inni życzyć sobie pomyślności w nadchodzącym czasie.

Przez ten jeden moment miasto przestało być metropolią pełną nieustannie śpieszących się ludzi, z twarzami skrytymi pod czarnymi parasolami, z grymasami na ustach i z kubkami ciepłej kawy w dłoniach. Wszyscy posyłali sobie uśmiechy, jak gdyby znali się od dawna. Jakby łączyło ich coś więcej niż ta ulotna chwila.

Czas zwolnił, wydawało się, że nawet zimno nie doskwiera już tak bardzo, zupełnie jakby nie miało dość śmiałości, aby przerwać ten magiczny moment. O wiele bardziej niż cokolwiek innego przypominał Florze jej rodzinny dom.

Poczuła, że Hayden stanął tuż za nią na ułamek sekundy przed tym, jak jego ciepły oddech omiótł płatek jej ucha.

– Przyznaj, że to o wiele lepsze niż podręczniki – odezwał się cichym głosem.

Odpowiedziała bez chwili namysłu:

– Tak.

Jakimś cudem zdołała zapomnieć o tym, jak wiele nauki ją czekało. Nie myślała właściwie o niczym oprócz pięknego drzewka, którego kolorowy blask oświetlał jej twarz.

– To jedyna gwiazda, jaką kiedykolwiek tu zobaczysz. Wiem, że to zapewne nie to samo, co w Filadelfii, ale… – Zamilkł, gdy Flora odwróciła się w jego stronę.

W jej pięknych oczach dostrzegł ślady wzruszenia. Obdarzyła go uśmiechem. Tym pięknym uśmiechem, który wart był niemal każdego poświęcenia.

– Masz pojęcie, że zrobiłeś dla mnie coś bardzo miłego?

Hayden udawał, że się krzywi.

– Cóż, wygląda na to, że będę musiał wyrównać to kilkoma niecnymi uczynkami albo… – Znów nie był w stanie wydusić z siebie słowa, gdy dostrzegł łzę na jej bladym policzku. Była niemal niedostrzegalna. – Dlaczego płaczesz? – zapytał.

Flora drgnęła, jakby nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Och. – Wierzchem dłoni wytarła policzek. – To tylko…

– Tęsknisz za domem – dokończył, na co pokręciła głową.

– Nie. – Pociągnęła nosem. – Chyba chodzi właśnie o to, że już nie tęsknię. Nie tak jak dawniej. Brakuje mi rodziców, ale… – Odwzajemniła jego spojrzenie. – Chyba nie mogłabym tak po prostu tam teraz wrócić.

Hayden nie odrywał od niej wzroku.

– Dlaczego?

– Po prostu – rozejrzała się dookoła – jest tu zbyt wiele rzeczy, które lubię. Zbyt wielu ludzi, za którymi bym tęskniła. – Znów skupiła na nim uwagę. – Zbyt… – Jej głos stracił na sile. – Ty.

Sanclair nawet nie drgnął. Po prostu na nią patrzył, słuchając każdego słowa, jakie opuszczało jej usta.

– Ty tutaj jesteś – dodała. – I chyba naprawdę bym za tobą tęskniła…

– Ja też bym za tobą tęsknił – wtrącił, zanim zdołał pojąć, że zamierzał to powiedzieć. – Gdzie znalazłbym równie upartą, szaloną i pokręconą dziewczynę, która notorycznie uprzykrzałaby mi życie?

Flora cicho się zaśmiała.

– Przyznaj, że to lubisz.

Chryste, uwielbiał to.

Gdy miał powiedzieć to na głos, Flora się rozejrzała, wsuwając dłonie do kieszeni płaszcza.

– Ale dzisiaj zimno.

– Wracajmy – zaproponował. – Jeżeli obiecasz mi, że przez całą drogę nie będziesz tak dużo mówiła, może nawet kupię ci gorącą czekoladę.

Dziewczyna znów zrobiła naburmuszoną minę.

Choć wypowiedziała co najmniej kilka zdań, zanim ruszyli w drogę powrotną do samochodu, Hayden i tak kupił jej obiecaną czekoladę. Uśmiech, którym go obdarzyła, gdy podał jej papierowy kubeczek z gorącym napojem, naprawdę był tego wart.

– Moja mama miała rację – powiedziała nagle.

– Co?

Zerknęła na niego, wyjaśniając:

– Kiedyś powiedziała mi, że to miasto zaczyna żyć dopiero po zmroku. Miała rację. Spójrz tylko. – Uniosła wzrok.

Hayden po chwili uczynił to samo. Ujrzał nad sobą rozłożyste konary drzew, które pokrywały jesienne liście. Przedzierał się przez nie niewyraźny obraz sięgających czarnego nieba szklanych wieżowców. W niemal wszystkich oknach tliło się światło – nieśmiały symbol tego, że gdzieś tam toczyło się życie.

Ktoś właśnie w tej chwili oglądał ulubiony serial, przyrządzał kolację dla dzieci lub wypijał lampkę wina po wyjątkowo ciężkim dniu.

– Widzisz? – zapytała.

Chłopak nie wiedział, co miała na myśli – ogromne budynki, światła, czy może szum ulicy przedzierający się do Central Parku przez otaczający go mur. Gdy tylko na nią spojrzał i znów dostrzegł uśmiech błąkający się w kącikach jej ust, nic innego nie miało już znaczenia.

Flora drgnęła, kiedy na jej policzek spadła pierwsza kropla deszczu.

– Och. – Zmarszczyła brwi. – Znów pada. Chyba rzeczywiście powinniśmy wracać.

Sanclair zatrzymał ją, gdy chwyciła klamkę samochodu:

– Zatańcz ze mną – zaproponował.

Znieruchomiała, a kilka sekund później spojrzała na niego tak, jak zapewne on musiał patrzeć na nią tamtej nocy, gdy poprosiła go o to samo – jak na człowieka, który postradał zmysły.

– Co powiedziałeś? – zapytała cicho.

Choć otrzymał szansę, aby cofnąć wypowiedziane słowa, nie zrobił tego. Po prostu powtórzył:

– Zatańcz ze mną.

Flora rozejrzała się dookoła.

– Teraz?

– Tak.

Na jej twarz wkradł się lekki uśmiech.

– Tutaj?

Hayden skinął głową.

Flora cofnęła dłoń, puszczając klamkę.

– W porządku – odparła. – Zatańczę z tobą.

Kilka kropel zamieniło się w mżawkę.

Sanclair spojrzał w górę, a potem znów na dziewczynę, po czym poprosił:

– Daj mi chwilę.

Nie dodał nic więcej, po prostu podszedł do samochodu i z tylnego siedzenia wyjął czarny parasol. Flora uśmiechnęła się odrobinę szerzej. Nie odrywała od chłopaka wzroku, gdy wrócił do niej i rozłożył nad ich głowami parasol.

– Nie chcę, żebyś znów była chora – wyjaśnił.

– Bo się o mnie martwisz?

– Bo jesteś wtedy nad wyraz nieznośna – poprawił, sprawiając, że z jej ust uciekł cichy śmiech.

Pozwoliła, aby ją objął, podczas gdy sama położyła rękę na jego ramieniu. Musiała wysoko unieść podbródek, by spojrzeć na jego twarz.

– Mówiłem ci już, że właściwie nie potrafię tańczyć? – zapytał.

– Nie martw się – szepnęła, pochylając się ku niemu. – Przecież nikt nie patrzy.

Deszcz zaczął uderzać o parasol nad ich głowami. Inni ludzie przyśpieszyli kroku, mijając ich i nie zwracając na nich większej uwagi.

Nikt nie patrzył.

Hayden chwycił zimną dłoń Flory, splótł razem ich palce, zaczerpnął powietrza i popatrzył jej w oczy.

Zaczęli tańczyć, stawiając niewielkie kroki na mokrym chodniku, wśród ludzi, którzy uciekali przed deszczem, jakby nie mogło spotkać ich nic straszniejszego.

Zanim Hayden zdołał to poczuć, uśmiech wkradł się na jego twarz.

– Czy to aż takie straszne? – zapytała dziewczyna. – Być innym, gdy wszyscy wokół są tacy sami?

Nie, pomyślał.

A potem wraz z Florą Sharman tańczył w deszczu. Bo przecież nikt nie patrzył.

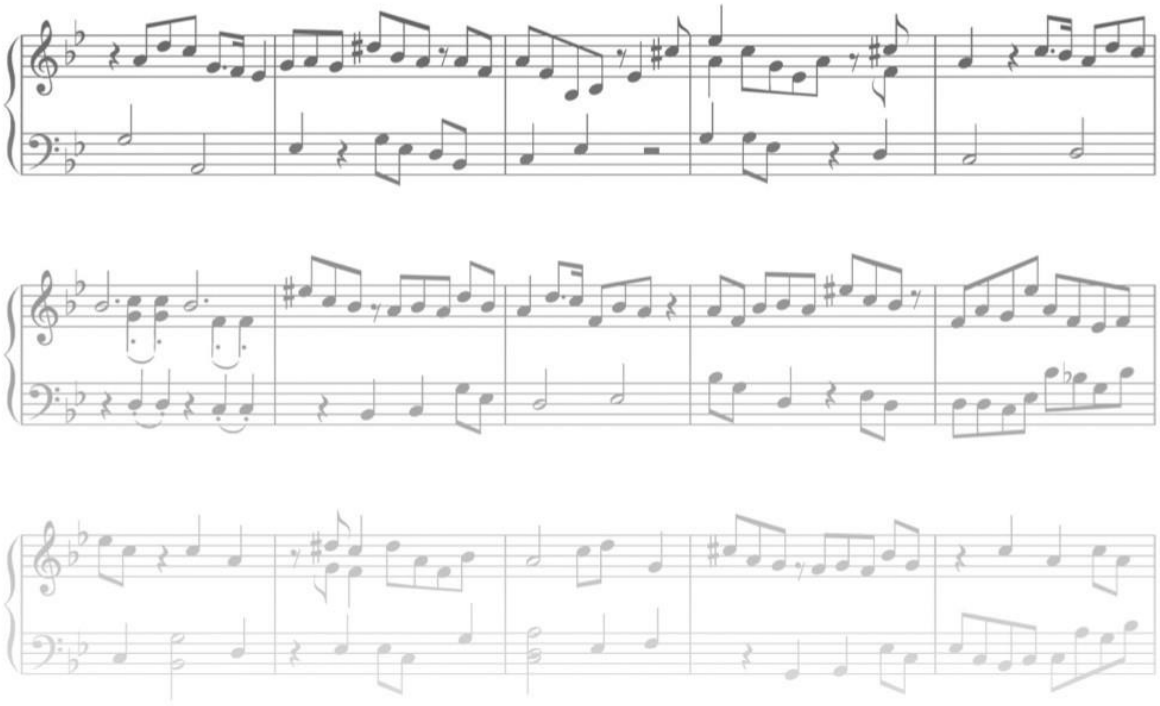

Rozdział 23

Pomiędzy mrokiem a ciszą, gdzie wszystko

wydaje się odrobinę piękniejsze

Na samym dnie kieszeni płaszcza Haydena spoczywała biała koperta. Znaczną część jej powierzchni zdobiło jego nazwisko napisane lekko pochyłą, bardzo elegancką czcionką – *Sanclair*.

W kopercie znajdowało się coś, co nie dawało mu spokoju. Było jak wirus, którego nie potrafił pozbyć się z myśli. Przypominało o sobie za każdym razem, gdy chłopak choć na moment stracił czujność – kiedy w samochodzie słuchał, jak Flora nuciła pod nosem świąteczne piosenki, wciąż ekscytując się rozświetleniem choinki na Rockeffeler Center i opowiadając mu, jak bardzo nie może doczekać się nadchodzących świąt.

Myślał o tym także wtedy, gdy bezpiecznie odprowadził ją przed drzwi jej mieszkania. Szczególnie wtedy. Nie miał pojęcia, jakim cudem kawałek papieru mógł wydawać się aż tak ciężki.

– Zgodnie z umową – powiedział.

Flora wyjęła klucze z torebki, po czym spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

– Dziękuję za dzisiaj. Chyba naprawdę potrzebowałam czegoś, co pozwoliłoby mi na chwilę przestać myśleć o egzaminach. – Przestąpiła z nogi na nogę. – I przepraszam, że na początku nie pokładałam wiary w twoje zdolności do robienia niespodzianek. Obiecuję, że już nigdy więcej w ciebie nie zwątpię.

– Gdy następnym razem znów postanowię zabrać cię na randkę, nie będziesz już aż tak irytująco niecierpliwa?

Dziewczyna uważnie mu się przyjrzała.

– Randkę? – powtórzyła. – Co prawda pamiętam twoje nieudolne próby zaproszenia mnie na randkę, ale nie potrafię przypomnieć sobie momentu, w którym odpowiedziałam na którąkolwiek z nich „tak".

Hayden głęboko odetchnął, po czym bez słowa postawił ku niej na tyle duży krok, że dzieląca ich odległość nagle stała się nieznośnie odurzająca. Następnie omiótł wzrokiem jej twarz i się pochylił.

– Postanowiłem pokazać ci, jak wielki popełniłaś błąd. Nie jestem człowiekiem, któremu rozsądnie jest odmawiać.

Flora delikatnie się uśmiechnęła. Uwielbiała ich słowne przepychanki bardziej niż cokolwiek innego.

– Powiedz mi… – Ściszyła głos niemal do szeptu, choć na korytarzu oprócz nich nie było żywej duszy. – Jak długo płakałeś w poduszkę, gdy złamałam ci wtedy serce?

– Nie próbuj ze mną flirtować, Sharman – ostrzegł ją. – Zapewniam, że dla żadnego z nas nie skończy się to dobrze.

Poczuła ciężar jego spojrzenia na ustach – palący i tak bezwstydny, że jej żołądek mimowolnie się ścisnął. Odniosła wrażenie, że zbliżyła dłoń do ognia. Choć wiedziała, że to mogło zakończyć się w tylko jeden sposób, nie zdecydowała się jej cofnąć.

– Nie igraj z tym, czego nie jesteś w stanie znieść – dodał.

– Skąd wiesz, jak wiele jestem w stanie znieść? – odparła, sprawiając, że na jego twarz wkradł się leniwy uśmiech.

Hayden pochylił się i dotknął swoim oddechem jej warg. Kiedy otworzył usta, nie chcąc pozwolić ciszy zagościć między nimi na zbyt długo, znów poczuł ciężar w kieszeni płaszcza.

Wydawał się o wiele bardziej dotkliwy niż chwilę wcześniej i na powrót sprowadził do serca chłopaka ten dokuczliwy niepokój.

Nie był w stanie go zignorować. Skrzywił się nieznacznie, po czym powoli się odsunął, wiedząc, że Flora powiodła za nim spojrzeniem. Kiedy je odwzajemnił, zdecydował się powiedzieć:

– Chyba powinienem już iść.

Postawiła krok w przód, jakby chciała go zatrzymać, ale wtedy dodał:

– Dobranoc, Sharman. – Następnie odwrócił się, zaciskając pięści. Poczuł, że na jego usta wkradł się grymas.

Koperta na dnie kieszeni płaszcza znów dała o sobie znać, a on pomyślał o tym, że powinien był ją wyrzucić, gdy tylko ją dostał. Nie wiedział, dlaczego w ogóle rozważał inną możliwość.

Zdołał postawić zaledwie kilka kroków w kierunku windy, zanim zatrzymał go głos Flory:

– Zostaniesz?

Przystanął na środku wyłożonego czerwonym dywanem korytarza, a z jego płuc wyrwał się niemiarowy oddech. Zanim zdecydował się poruszyć, policzył w myślach do trzech:

Raz.

Dwa.

Trzy.

Zaledwie sekundę po tym, jak się na to zdobył, zrozumiał, że spojrzenie na dziewczynę było największym błędem, jaki mógł popełnić. Flora Sharman stała przed drzwiami prowadzącymi do jej mieszkania i z bezwstydną śmiałością prosiła, aby nie odchodził. Odważyła się na to nawet pomimo świadomości, jak wiele niebezpieczeństwa się z tym wiązało.

– Ostrzegałem cię – powiedział.

– Wiem – odparła bez wahania. – Ale czy nie zorientowałeś się jeszcze, że raczej nie przejmuję się ostrzeżeniami?

Hayden nie był pewien, czy pragnął, by cofnęła wcześniej wypowiedziane słowa, czy wypowiedziała je ponownie. W przeciwieństwie do niej naprawdę bał się tego, co się wydarzy, jeżeli postawią krok w stronę przepaści.

Nie mógł wiedzieć, że Flora również się tego bała. Ale silniejsze od strachu było pragnienie, by przypomnieć sobie, jak smakują jego usta. Pragnęła zatopić się bez reszty w tych ciemnych oczach. Pragnęła, aby dotknął jej tak jak wtedy, gdy w *Sleepy Hollow*, skryci pomiędzy mrokiem a ciszą, pozwolili sobie na moment zapomnienia.

Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, otumaniona biciem własnego serca, po prostu na niego patrzyła, zanim w końcu podjęła śmiałą decyzję. Nie tylko pokusiła się o to, aby zbliżyć palce do ognia. Postanowiła go dotknąć, nie zważając na konsekwencje.

Z jej ust uciekło tylko jedno słowo:

– Zostań.

Hayden przełknął z trudem.

– Sharman…

– Proszę.

W tym momencie chłopak zrozumiał, jak bardzo był słaby – bo to słowo i jedno spojrzenie jej oczu wystarczyły, aby postanowił przekroczyć tę niebywale cienką granicę.

Z drżeniem wypuścił z płuc powietrze, a potem ruszył ku dziewczynie, stawiając krok dzielący go od przepaści. Ujął twarz Flory dłońmi i odnalazł drogę do jej ust, doskonale wiedząc, jaką cenę miał za to zapłacić.

Pocałował ją mocno i rozpaczliwie. Naparł na jej drobne ciało, sprawiając, że po korytarzu rozniósł się stłumiony huk, gdy jej plecy natrafiły na twardą powierzchnię drzwi.

Flora zamarła, ale tylko na chwilę, po której zacisnęła palce lewej ręki na jego koszuli i odwzajemniła pocałunek. Prawą dłonią odszukała klamkę i nacisnęła ją, otwierając drzwi.

Hayden odruchowo chwycił dziewczynę w talii i przytrzymał, kiedy wpadli do mieszkania. Pchając ją w głąb zaciemnionego korytarza, zdołał z trzaskiem zamknąć drzwi. Poczuł pod palcami, że zadrżała, kiedy pogłębił pocałunek, dociskając dłoń do miejsca u dołu jej pleców.

Niemal natychmiast odpowiedziała na ten śmiały ruch. Rozchyliła usta, dając mu wszystko to, czego potrzebował, aby kompletnie się pogubić. Jęknęła, gdy dotknął językiem jej dolnej wargi. Natarczywie i bezwstydnie, zupełnie jakby w głębi serca obawiał się, że ta chwila niebawem minie, że oboje oprzytomnieją, pojmując, że ta rozkosz miała zaprowadzić ich na drogę, z której nie było odwrotu.

Mogli kłamać. Wmawiać sobie, że te drobne gesty nic nie znaczyły. Że uśmiechy nie zwodziły ich serc, a dotyk nie rozpalał zmysłów. Mogli kłamać, bo być może oboje pragnęli wierzyć, że kłamstwo powtarzane dostatecznie wiele razy w końcu stanie się prawdą.

Ale nie teraz.

Teraz każde z kłamstw, którymi karmili się w ciągu ostatnich tygodni, wydawało się żałośnie marne.

Gdy smukłe palce Haydena wsunęły się we włosy Flory, a ich języki się ze sobą zetknęły, dziewczyna poczuła, że jej mięśnie stały się nieznośnie miękkie. Nie była pewna, jakim cudem potrafiła ustać na własnych nogach. Gdyby nie silna dłoń mocno dotykająca jej talii, zapewne runęłaby w dół. Jednak on ją trzymał – pewnie i mocno. Jakby nie chciał pozwolić, by dzieliła ich jakakolwiek większa odległość.

Byli tak blisko, że mogła wyczuć każde uderzenie jego serca. Biło tak samo jak jej własne – zgubnie i desperacko.

Nagle pomiędzy ich przyśpieszone oddechy wdarł się stłumiony trzask, gdy wpadli na coś pośród ciemności.

Hayden przerwał pocałunek, po czym zmarszczył brwi i spojrzał w dół na to, w co uderzył jego but. Dostrzegł karton.

– Jest… – Zerknął na Florę, oddychając ciężko.

– …pusty – dokończyła. – Rozpakowałam wszystkie kartony. Uznałam, że już czas, bym uczyniła z tego miejsca swój dom.

Był to pierwszy raz, kiedy określiła to mieszkanie właśnie tym słowem – dom.

Kiedy Hayden dostrzegł błysk w jej oczach, poczuł, że kąciki jego ust powędrowały w górę. Znów objął dłonią policzek dziewczyny, tym razem całując ją mniej natarczywie. Zwolnił, leniwie dotykając jej warg, jakby obawa, że oboje jeszcze się opamiętają, zaginęła gdzieś po drodze.

Przechodząc z korytarza do salonu, zsunął z jej ramion jasny płaszcz i pozwolił, aby materiał z szelestem opadł na podłogę. Potem pozbył się własnego płaszcza, który pozostawił kilka kroków dalej.

Ich usta goniły się w tym powolnym tańcu, gdy krocząc pośród ciemności spowijającej pomieszczenie, dotarli do fortepianu. Flora poczuła, jak jej biodra napierają na bok instrumentu, kiedy Hayden ponownie chwycił jej zaróżowione policzki. Odchylił głowę dziewczyny i pogłębił pocałunek, wyrywając z jej ściśniętego gardła cichy jęk.

Dobry Boże, całował ją tak, jakby chciał skraść jej każdy oddech, spić z ust wszystkie słowa, zawładnąć każdą myślą, która miała wedrzeć się do jej umysłu. A ona bez oporu pozwalała mu na to wszystko.

Jego dłonie przesunęły się niżej. Smukłe palce dotknęły linii szczęki, szyi, ramion, talii, aż dotarły do bioder i wbiły się zaborczo w skórę. Podniósł Florę i posadził na klapie fortepianu, trącając zębami jej dolną wargę. Następnie wypełnił wolną przestrzeń pomiędzy jej udami, kładąc dłonie po obu jej stronach.

Dziewczyna znów wydała z siebie miarowy pomruk. Tkwiła w potrzasku jego ramion, pomiędzy jego ustami a roztaczającym się wokół mrokiem. Pomiędzy ciszą a gwałtownymi uderzeniami serca. Pomiędzy tym, co nakazywał rozum, a szeptami pragnienia.

Poddając się całkowicie temu drugiemu, powiodła opuszkami palców w górę. Kiedy dotarła do pierwszego guzika czarnej koszuli i jakimś cudem zdołała go rozpiąć, polegając jedynie na zmyśle dotyku, Hayden zamarł. Poczuła, jak jego mięśnie gwałtownie się spięły.

Choć przerwał pocałunek, właściwie się od niej nie odsunął. Jego ciepły oddech muskał jej usta, gdy po chwili powiedział pomiędzy jednym a drugim oddechem:

– Powinnaś kazać mi przestać, Floro…

Uwielbiała sposób, w jaki wypowiadał jej imię. W jego ustach brzmiało jak coś więcej niż kilka złączonych ze sobą liter.

– Dlaczego? – ośmieliła się zapytać.

Odpowiedź nie nadeszła od razu. Minęło kilka długich sekund, zanim dotarły do niej jego słowa.

– Powinnaś kazać mi przestać… – powtórzył. – Dopóki jestem jeszcze w stanie zachować się jak dżentelmen.

Flora poczuła, że zaschło jej w gardle, a żołądek ścisnął się tak mocno, że zakręciło jej się w głowie.

– Co się stanie, gdy przestaniesz nim być? – szepnęła.

Hayden uśmiechnął się tuż przy jej skórze. Mimo że w ciemności trudno było cokolwiek dostrzec, była tego pewna. Nie mogłaby pomylić jego uśmiechu z niczym innym.

Nie odsunął się od niej, bo tak naprawdę wcale tego nie chciał. Cholera, ze wszystkich rzeczy, jakich w tej chwili pragnął, dotknięcie jej mocniej wydawało się ważniejsze niż cokolwiek innego.

Flora zadrżała, kiedy jego wargi znalazły się przy jej uchu, a gorący oddech dotknął skóry. Ucisk pomiędzy jej udami stawał się nie do zniesienia. Domagał się zaspokojenia.

– Będziesz błagała o więcej. – Złożył delikatny niczym piórko pocałunek na linii jej szczęki. – A ja nie będę w stanie ci odmówić. – Chwycił zębami płatek jej ucha, wprawiając jej ciało w drżenie.

Flora trzęsącymi się palcami rozpięła drugi guzik jego koszuli, podejmując decyzję.

– To dobrze – szepnęła. – Bo ja nie zamierzam być dzisiaj damą. – Dotknęła jego ust, sprawiając, że ręce Haydena ponownie odnalazły drogę do jej talii. Uśmiechnął się. Teraz poczuła to na wargach. Znów zakręciło jej się w głowie.

– Do góry – nakazał, łapiąc powietrze. – Podnieś ręce.

Gdy spełniła polecenie, chwycił palcami brzeg swetra i sprawnie zdjął jej go przez głowę. Potem znów jej dotknął. Jego ciepłe, duże dłonie zetknęły się z nagą skórą, a palce przesunęły się w górę kręgosłupa, dotykając go z taką samą gracją, z jaką dotykał klawiszy fortepianu.

Flora zsunęła z ramion Haydena czarną koszulę, która cicho opadła na podłogę u jego stóp. Potem przesunęła dłońmi po miękkiej skórze, wyrywając z gardła chłopaka pomruk, który jedynie nasilił bezkresne pragnienie, aby poczuć go bardziej. Bliżej. Mocniej.

Wplotła palce w jego włosy i przywarła do niego kurczowo, niemal rozpaczliwie, jakby potrzebowała jego bliskości równie mocno jak powietrza. Oszołomiona dotykiem jego nagiej skóry tuż przy swojej skórze, nie była w stanie oderwać od niego myśli. Od jego dłoni błądzących po jej ciele, od pocałunków, którymi wyznaczał drogę wzdłuż szyi aż do policzka. Od sposobu, w jaki przyciskał ją do fortepianu, jakby bał się, że mu ucieknie.

– Haydenie… – Wypowiedziała jego imię, nie wiedząc, czy chciała go tym ponaglić, czy dać mu do zrozumienia, że zaraz zwariuje, jeżeli dalej będzie tak ją dręczył.

Wydawało się, że to zrozumiał. Umieścił dłonie na jej kolanach, po czym zaczął sunąć nimi w górę, nie przestając obsypywać skóry mokrymi pocałunkami. Wsunął rękę pod materiał jej spódniczki, docierając do krawędzi bielizny.

Kiedy jego palce znalazły się tam, gdzie pragnęła je poczuć, jej oddech stał się znacznie cięższy. Odchyliła głowę i zamknęła oczy. Naparła zębami na dolną wargę tak mocno, że zapiekła ją nieznośnym bólem, po czym wydała z siebie cichy jęk.

Hayden odnalazł w jej ciele wszystkie wrażliwe punkty. Nawet takie, o których istnieniu nie miała pojęcia. I torturował ją w najprzyjemniejszy sposób, jakiego kiedykolwiek miała doświadczyć.

– Otwórz oczy – polecił. – Spójrz na mnie, Floro.

Gardłowy głos, którym to powiedział, i ruchy jego palców przyprawiły dziewczynę o gwałtowny dreszcz. Zrobiła to, co kazał, leniwie unosząc powieki. Wystarczyło tylko jedno spojrzenie w jego ciemne oczy, aby wszystko się w niej napięło: każdy mięsień, każda komórka w ciele. Jej biodra zadrżały, a ona doszła z głośnym jękiem, desperacko wspierając dłonie na fortepianie.

Na kilka długich sekund obraz przed jej oczami stał się rozmazaną paletą pełną czerni i szarości. Jedynym odgłosem, który słyszała, był własny nierówny oddech. Pierwszym bodźcem, który zdołał przebić się przez falę otumanienia, były ciepłe wargi Haydena dotykające jej ucha.

– Chryste, od dzisiaj to zdecydowanie będzie mój ulubiony ze wszystkich dźwięków.

Dysząc ciężko, Flora odnalazła pośród ciemności jego spojrzenie. Powoli wyprostowała dotąd zgięte w łokciach ręce, którymi wciąż kurczowo trzymała się fortepianu. Jej wargi zatrzymały się tuż przed jego ustami. Pocałowała go delikatnie, myśląc tylko o tym, że jeżeli wszystkie grzechy smakowały tak jak Hayden Sanclair, pragnęła popełniać je bez wyrzutów sumienia.

Delikatność nie trwała zbyt długo. Hayden przejął kontrolę nad pocałunkiem, chwytając dziewczynę w talii i przyciągając do siebie. Flora objęła nogami jego biodra, nie protestując, kiedy ją podniósł.

Położył dziewczynę na kanapie, dociskając jej drżące ciało do miękkiego materiału. Zawisnął tuż nad nią – usta przy ustach, biodro przy biodrze. Tak blisko, że gdy Flora zjechała dłońmi przez napięte mięśnie jego ramion w dół pleców, z trudem zdołała wcisnąć zachłanne palce pomiędzy ich ciała i dostać się do zamka jego spodni.

Hayden nie pozwolił na nic więcej. Chwycił ręce Flory, umieścił je tuż nad jej głową, skrzyżował w nadgarstkach i skutecznie unieruchomił. Potem wrócił do tego, co uwielbiał najbardziej – do słodkich tortur. Pocałował kącik jej ust, podbródek, linię szczęki, każdy spragniony uwagi fragment szyi, przestrzeń pomiędzy obojczykami i mostek.

Plecy Flory wygięły się w łuk, gdy jego ciepłe wargi dotarły do pępka. Chłopak nie zamierzał jednak zaprzestać tam wędrówki.

– Proszę – szepnęła.

Hayden uniósł wzrok, wciąż trzymając usta tuż nad jej skórą. Ciemne kosmyki opadły mu na skronie i czoło w cholernie pociągającym nieładzie. Uśmiechnął się, tak jak zapewne uśmiecha się diabeł, zanim zwiedzie kogoś na pokuszenie.

Ostrzegał ją przed tym – ostrzegał, że będzie błagać o więcej. I że on z rozkoszą spełni każdą z jej próśb.

Flora nie odrywała od niego spojrzenia, gdy podniósł się, aby dokończyć to, co zaczęła, i rozpiął zamek spodni. Błądziła wzrokiem po jego ciele. Dotykała każdego skrawka bladej skóry, każdego wgłębienia pomiędzy mięśniami brzucha, nawet małej blizny tuż pod lewym obojczykiem.

Kiedy znów przybliżył usta do jej ust, odniosła wrażenie, że lada moment się rozpadnie.

– To twoja ostatnia szansa – powiedział. – Każ mi przestać.

Ta decyzja powinna być trudniejsza. Powinna zająć jej umysł na choć kilka długich sekund. Ale odpowiedź padła znacznie szybciej, niż mogłaby sądzić:

– Nie.

– Floro…

Objęła drobnymi dłońmi jego piękną twarz, sprawiając, że zamilkł. Cokolwiek chciał powiedzieć, nagle przestało mieć to znaczenie.

– Kochaj się ze mną – poprosiła.

– Jesteś – omiótł wzrokiem jej twarz – najsłodszym ze wszystkich grzechów, jakie popełniłem.

Tym razem to ona odnalazła drogę do jego ust i połknęła gardłowy jęk, który uciekł z jego gardła, gdy uniosła biodra.

Dłoń Haydena zacisnęła się na jej udzie, palce wbiły się w miękką skórę. Chwilę później poczuła go w sobie. Jej mięśnie znów się spięły, plecy wygięły w łuk, a serce zabiło tak mocno, że przez chwilę pomyślała, że tego nie zniesie.

A potem nadeszła rozkosz. Słodka jak miód. Grzeszna niczym wszystkie bezwstydne myśli, które nie chciały odejść. Obezwładniająca, upajająca i wyniszczająca. Jeżeli wcześniej Flora myślała, że się rozpadnie, teraz z całą pewnością tak właśnie się stało – wszystko w niej

drżało, bezgłośnie błagając o więcej.

Czy cokolwiek mogło być jednocześnie przerażające i uzależniające?

Tak.

Hayden Sanclair taki właśnie był.

Gdy tylko uwolnił jej dłonie, Flora palcami dotknęła jego napiętych ramion. Połknęła jęk, który z siebie wydał, gdy wbiła paznokcie w jego plecy, sunąc nimi w górę, aż do karku.

Ich biodra poruszały się w równym rytmie, pomruki mieszały się ze sobą, wargi odnajdywały się pośród mroku, kilku niewypowiedzianych słów i świadomości czającej się gdzieś za rogiem. Była jednak zbyt odległa, aby już mogli ją dostrzec – zdecydowali się kroczyć drogą, z której nie istniała żadna możliwość powrotu.

Kiedy spełnienie nadeszło, pchając ich w morze rozkoszy i słodkiego złudzenia, że wszystko, co piękne, musiało trwać wiecznie, Flora ani Hayden nie myśleli o tym, że nawet najdoskonalsze złudzenie wciąż nie było niczym więcej niż kłamstwem.

*

Przez szerokie okna do wnętrza sypialni wdzierał się blady blask księżyca. Snop chłodnego światła padał na drewnianą podłogę, krawędź łóżka i nieśmiało muskał twarz Flory, która obudziła się w środku nocy.

Gdy jej wzrok przywyknął do ciemności, zauważyła, że stojący na nocnej szafce zegarek wskazywał 3:12. Kolejną chwilę zajęło jej dostrzeżenie, że druga połowa łóżka była pusta.

Opuszkami palców przesunęła po wygniecionym prześcieradle, zanim zdecydowała się wstać. Chłód podłogi zakłuł ją w bose stopy, kiedy ruszyła w stronę szafy. Wyjęła z niej czystą bieliznę i luźną koszulkę ze spranym logiem filmu z lat osiemdziesiątych.

Związując włosy w luźny kok, skierowała się w stronę drzwi. Gdy dotarła mniej więcej do połowy korytarza, dobiegły do niej dźwięki płynące z fortepianu. Przypominały pełen nieśmiałości szept.

Odnalazła Haydena w salonie. Siedział przy instrumencie, pomiędzy mrokiem a blaskiem, który nieproszony wkradał się do mieszkania. Na ramiona narzucił czarną koszulę. Oprócz niej miał na sobie ciemne spodnie. Delikatnie pochylony nad instrumentem, z dłonią wspartą na jego błyszczącej obudowie, smukłymi palcami dotykał białych klawiszy z taką gracją i swobodą, jakby znał każdy z tych ruchów na pamięć.

Flora poczuła ucisk w żołądku na wspomnienie jego dotyku na skórze. Patrząc, jak jego palce dotykają fortepianu, nie potrafiła skupić uwagi na czymkolwiek innym. Nieważne, dokąd uciekał, gdy zaczynał grać, pragnęła choć raz udać się w to magiczne miejsce. Choćby na moment nie dłuższy niż uderzenie serca. Nie potrzebowała niczego więcej.

– Jesteś doprawdy beznadziejna w skradaniu się, Sharman – przerwał ciszę. – Jak długo zamierzasz jeszcze mi się przyglądać?

Flora uśmiechnęła się pod nosem.

– Tylko przez chwilę. – Odepchnęła się od ściany i ruszyła w stronę fortepianu.

Odgłos jej kroków mieszał się z pojedynczymi dźwiękami tej nienazwanej melodii. Nie przypominała niczego konkretnego, ale i tak wydawała się nadzwyczajnie poruszająca.

Dziewczyna dotknęła ramienia Haydena i usiadła tuż obok niego na wyścielanym welurem stołku.

– Nie możesz spać? – zapytała, na co w milczeniu skinął głową. – Wiesz, co pomaga na bezsenność? Kubek ciepłej herbaty. Mogę…

Zatrzymał ją, delikatnie chwytając jej dłoń.

– Nie odchodź – poprosił.

Flora spojrzała na jego brutalnie piękną twarz, którą zdobił ledwie dostrzegalny grymas.

– To nie zajmie więcej niż kilka minut – zapewniła, ostrożnie wyswobadzając rękę z uścisku.

Ruszyła przez mrok w kierunku kuchni, lecz zatrzymał ją jego głos:

– Pragnąłem skłamać.

Przystanęła w słabym blasku wiszącego na niebie księżyca. Pośród ciszy, niewypowiedzianych słów i miarowego bicia własnego serca. Gdy odwróciła głowę i spojrzała na chłopaka przez ramię, grymas zdobiący jego twarz zdawał się odrobinę wyraźniejszy. Choć był lepszy niż maska, jaką nosił na co dzień, wydawało się, że tak bardzo nie pasuje do chłopaka, którego poznała.

– Tamtego wieczoru, gdy tańczyłaś w deszczu i zapytałaś mnie, czego tak właściwie się boję, chciałem skłamać, Floro.

Jej imię w jego ustach sprawiało wrażenie czegoś nad wyraz słodkiego. Brzmiało jak coś o wiele piękniejszego niż w rzeczywistości.

Odwzajemnił jej spojrzenie, sprawiając, że coś w niej drgnęło.

– Haydenie…

– Chciałem powiedzieć, że boję się ciemności – przerwał jej łagodnie – pająków, wysokości albo bólu. – Jego głos zadrżał, stracił na sile, załamał się. – Ale najbardziej boję się tego, że pewnego dnia spojrzysz na mnie w sposób, w jaki ja na siebie patrzę.

Aż dotąd, do tych kilku wyszeptanych pośród ciszy słów, Flora Sharman nie wiedziała, co oznacza kochać kogoś tak bardzo, że przyjmuje się za niego każdy cios, każdą namiastkę bólu, każdą sekundę cierpienia, odczuwając to wszystko dwa razy mocniej.

Nigdy wcześniej nie doświadczyła takiego rodzaju miłości, przy którym podobne słowa mogły z taką łatwością złamać jej serce. Rozgnieść je, jakby było tak naprawdę nic niewarte.

Ciężar łez zapiekł ją w oczy. Wszystko, co chciała powiedzieć, osiadło jej na ustach, mając wyjątkowo gorzki smak. Rozchyliła drżące wargi, ale na próżno. Nie wydobył się z nich nawet najżałośniejszy odgłos. Pragnęła zaprzeczyć. Powiedzieć mu prosto w oczy, że był w błędzie. Że oceniał samego siebie zbyt surowo.

Chciała obiecać mu, że pewnego dnia nauczy go dostrzegać w sobie to, co ona w nim widziała – wspaniałego pianistę, dobrego syna. Człowieka, który z zadziwiającą łatwością potrafił wywoływać uśmiech na jej twarzy.

Ale w niektórych momentach tej dziwacznej drogi, którą niektórzy nazywali życiem, żadne słowa nie wydawały się wystarczające. Niekiedy cisza była najlepszą z możliwych odpowiedzi.

Niewiele myśląc, Flora zerwała się z miejsca i w kilku krokach pokonała tę niewielką odległość, jaka ich dzieliła. Podeszła bliżej i zrobiła jedyne, co mogła zrobić – przytuliła go najmocniej, jak tylko była w stanie.

Objęła szczupłymi ramionami jego twardy tors, ciepłymi dłońmi dotknęła nagiej skóry. Poczuła, że zadrżał, kiedy przycisnęła policzek do jego ramienia. Wtedy przytuliła go odrobinę mocniej, nie mówiąc nic, bo żadne z nich nie potrzebowało w tej chwili słów.

Minęło kilka długich sekund, zanim poczuła, że odrobinę się rozluźnił. Przestał z nią walczyć.

Silnymi ramionami objął jej talię, ostatecznie niwelując dzielącą ich odległość. Posadził ją sobie na kolanach, sprawiając, że Flora znalazła się w potrzasku między jego ciałem a fortepianem.

Trwali w takiej pozycji, uwięzieni wśród ciszy, ciemności i wszystkiego, czego nie zamierzali powiedzieć na głos. Tak blisko siebie, że czuli bicie własnych serc.

Flora zadrżała, gdy zimne palce Haydena wkradły się pod jej koszulkę i swobodnie przesunęły się w górę. Dotykał jej talii tak, jak przed chwilą dotykał fortepianu – jakby znał układ klawiszy na pamięć. Kreślił tylko sobie znane wzory na jej plecach. Te słodkie tortury przyprawiły ją o zimny dreszcz, który przebiegł wzdłuż kręgosłupa, wyrywając z jej ściśniętego gardła cichy jęk.

– Czasami myślę, że na ciebie nie zasługuję – szepnął nieoczekiwanie.

Flora delikatnie się od niego odsunęła.

– Jeżeli jeszcze raz powiesz coś równie głupiego, na własnej skórze przekonasz się, że nie żartowałam, gdy wspomniałam o zajęciach z samoobrony.

Hayden się uśmiechnął.

A ona dopiero wtedy dostrzegła, że czarna plamka pod jego lewym obojczykiem nie była blizną czy znamieniem. Była tatuażem. Niewielką nutą na bladej skórze.

– Mam coś dla ciebie – zdradził.

Dziewczyna zsunęła się na siedzisko i przyciągnęła kolana do piersi, nie odrywając od niego wzroku, gdy odszedł od fortepianu. Z kieszeni płaszcza leżącego na kanapie wyjął coś, co gdy podszedł bliżej, okazało się kopertą.

– Otwórz – polecił, znów siadając tuż obok niej.

Flora przesunęła opuszkami palców po pochyłych literach układających się w nazwisko Sanclair. Potem rozerwała papier i z ciężko bijącym sercem przeczytała zawartość.

Hayden wyjaśnił:

– Każdy z uczestników przesłuchania dostał jedno zaproszenie dla kogoś bliskiego… – Zamilkł, gdy na niego spojrzała.

– Nie mogę tego przyjąć – odparła. – Jeżeli to jedyne zaproszenie, powinieneś dać je komuś innemu. Swojej mamie albo…

– Floro – wtrącił.

Jej serce zabiło mocniej, kiedy napotkała jego spojrzenie wśród ciemności.

– Jeżeli ktokolwiek ma siedzieć na widowni, gdy będę walczył o swoje marzenia, powinna to być ta sama osoba, dzięki której w końcu się na to odważyłem. Kiedy skończę grać i uniosę wzrok, żeby się rozejrzeć, nie chcę zobaczyć tam nikogo innego. Tylko ciebie.

Flora spojrzała na zaproszenie.

– W takim razie będę tam – obiecała. – I narobię ci trochę wstydu, głośno klaszcząc, gdy zagrasz tak, że będą błagać, byś uczył się właśnie w ich szkole.

Hayden uśmiechnął się, słysząc te słowa.

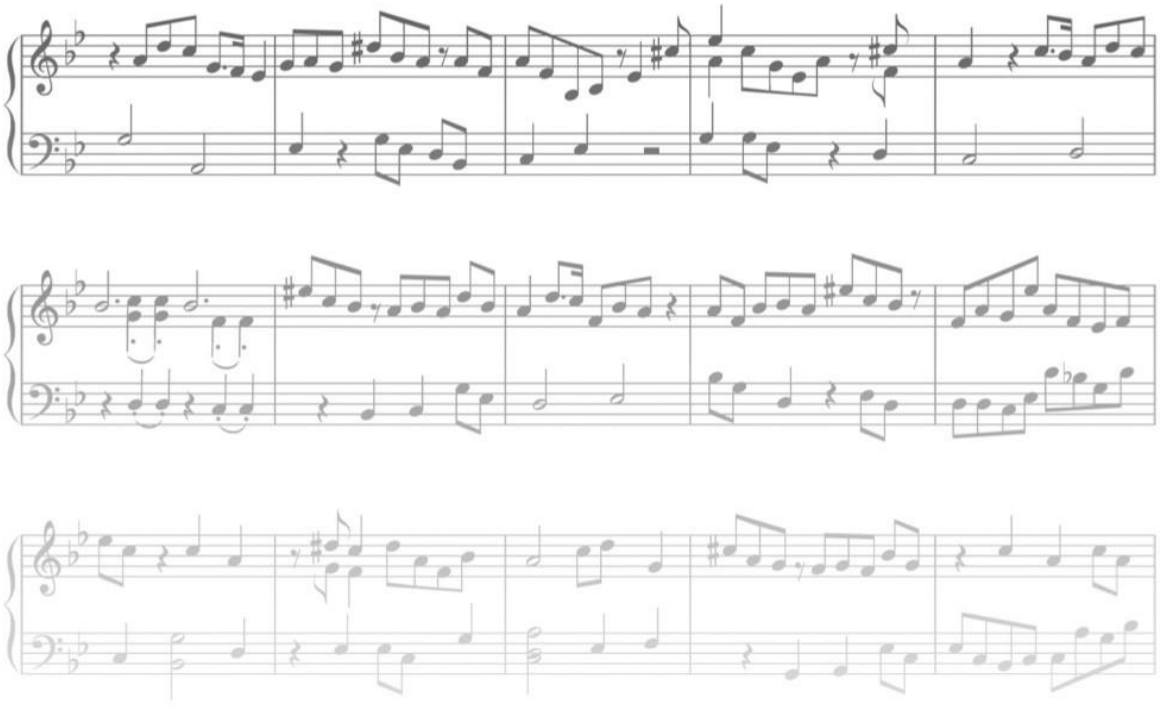

Rozdział 24

Świat nie potrzebuje drugiego Chopina

Był wczesny piątkowy wieczór – gdy niebo nie było jeszcze przesiąknięte czernią nocy, choć jego błękit z każdą chwilą coraz bardziej blednął. Po ulicach Nowego Jorku w powolnym tempie ciągnęły się kolejki aut. Na chodnikach dostrzec można było pędzących w pośpiechu ludzi, którzy marzyli o tym, aby po ciężkim dniu jak najszybciej znaleźć się w domach, myśląc już o zbliżającym się wielkimi krokami weekendzie.

W jednym z apartamentowców przy Greenwich Street, za drzwiami mieszkania o numerze 377, Flora Sharman szeroko się uśmiechnęła. Odłożyła pędzel do pustej puszki, cofnęła się o krok i zerknęła na efekt swojej pracy.

Skrzypce wreszcie były gotowe.

Po wszystkich tygodniach, które poświęciła, aby je naprawić, w końcu miała przed sobą efekt swoich starań. Biorąc pod uwagę jej znikome umiejętności w pracach manualnych, był on naprawdę imponujący. Instrument może nie wyglądał jak dopiero ściągnięty ze sklepowej wystawy, ale prezentował się całkiem nieźle.

I – co miało największe znaczenie – znów można było na nim grać.

Musiała powiedzieć o tym Haydenowi. Podążając za tą myślą, przeszła z kuchni do salonu.

– Nie uwierzysz! Właśnie skończyłam… – Zamilkła, gdy dostrzegła puste miejsce przy fortepianie.

W mieszkaniu panowała niemal absolutna cisza. Przerywał ją tylko szum ulicy wpadający do środka przez delikatnie uchylone drzwi.

Dopiero kiedy Flora się rozejrzała, zdołała go odnaleźć. Stał na balkonie, opierając dłonie na metalowej barierce, i patrzył w dół, na ulicę oraz na pędzących ludzi. Nawet nie drgnął, gdy dziewczyna rozsunęła szklane drzwi i postanowiła do niego dołączyć, otulając się bluzą.

Nie zapytała, dlaczego w ciągu ostatnich kilku godzin praktycznie nie dotknął fortepianu. Nie musiała pytać. Doskonale znała powód.

Do egzaminu wstępnego pozostało tak niewiele czasu, że sama nie wiedziała, jakim cudem te dni zdołały tak szybko minąć. Godziny, minuty i sekundy pędziły, nie chcąc nawet na moment się zatrzymać. Przelatywały przez palce, naznaczone próbami, przygotowaniami do końcowych egzaminów pierwszej połowy roku akademickiego i wszystkimi wieczorami, które spędzili w swoim towarzystwie. On – grając piękne melodie. Ona – dopieszczając stare skrzypce.

Hayden się martwił, choć za wszelką cenę starał się tego nie okazywać. Wyraz jego twarzy zdradzał tylko namiastkę emocji – lekko ściągnięte brwi, napięta linia szczęki i ledwie dostrzegalne zmęczenie w oczach.

Zmartwienia były niczym wirus. Pojawiały się niespodziewanie, czasem bez większej przyczyny, by w jednej chwili odebrać wszystko, co najcenniejsze – sen, apetyt i wiarę w siebie.

Flora doskonale o tym wiedziała i nie mogła tak po prostu stać tuż obok Haydena, wiedząc, jaka bitwa się w nim toczyła.

– Wiesz, jaki był najbardziej żenujący moment w moim dotychczasowym życiu? – zapytała, sprawiając, że na nią spojrzał.

Mogła przytoczyć podnoszące na duchu zdanie, zacytować mądrego człowieka albo po prostu powiedzieć, że sobie poradzi. Ale były to tylko słowa i choć z pewnością działały, ich efekt nie trwał zbyt długo.

Pragnęła dać mu coś, co zostanie z nim odrobinę dłużej. Coś, do czego będzie mógł wrócić, gdy mrok znów spowije jego myśli.

– Miałam pięć lat i występowałam w przedstawieniu – zaczęła. – Przypadła mi niefortunna rola królika, mimo że bardzo chciałam być jedną z leśnych wróżek i włożyć sukienkę i skrzydełka. Ale zostałam królikiem, co dla pięciolatki było naprawdę sporym ciosem. Mama przyszyła do moich spodni duży pompon z białej zimowej czapki. Wyglądałam i czułam się okropnie, ale żadna z nauczycielek nie zamierzała mnie słuchać, gdy mówiłam, że nie chcę być królikiem. Kiedy zaciągnęły mnie na scenę i nadszedł czas, bym wypowiedziała kwestię, która nie należała do szczególnie skomplikowanych, rozejrzałam się, skrzywiłam, po czym na oczach wszystkich rodziców ściągnęłam te przeklęte spodnie. Ponad sto osób zobaczyło mnie w samych majtkach.

Kącik ust Haydena drgnął ku górze.

– Możesz wyobrazić sobie tę scenę, gdy poczujesz, że zaczynasz się stresować. Pomyśl wtedy o tym, że przynajmniej masz na sobie spodnie.

Wymienili się lekkimi uśmiechami, po czym oboje spojrzeli w dół – na życie toczące się na zatłoczonych ulicach. Choć dzieliło ich od niego zaledwie kilkadziesiąt metrów, wydawało się w niewyjaśniony sposób bardzo odległe.

– Wciąż nie zdecydowałem, jaki utwór zagram – przyznał, przerywając ciszę.

– Masz jeszcze trzy dni na podjęcie decyzji. To wcale nie tak mało czasu.

Pokręcił głową, znów marszcząc brwi.

– Nie wiem, czy powinienem wybrać Chopina, Debussy'ego czy może Mozarta.

– Z szacunkiem dla całej trójki, bo z pewnością byli świetni, ale czy to nie jest zbyt… proste?

– Chopin? – powtórzył, nie kryjąc zdumienia. – Zbyt prosty?

– Nie on – zaprzeczyła. – Jak myślisz, ilu z tych, którzy będą przed tobą, zagra Chopina,

Mozarta czy innego sławnego pianistę? – zapytała, wzruszając ramionami. – Spraw, by zobaczyli Haydena Sanclaira, a nie drugiego Chopina. Zagraj coś, co będzie tylko twoje. Czy wybór nie wydaje się wtedy prostszy?

Hayden przyjrzał jej się uważnie, gdy znów zwróciła twarz w stronę ulicy. Jej policzki oświetlił blask odbijający się od ścian budynku.

– Gdzie byłaś przez całe moje życie? – zapytał cicho.

– Sto pięćdziesiąt kilometrów stąd[26] – odparła, wywołując u niego kolejny uśmiech.

Chłopak spojrzał na to, na co patrzyła ona. Przed jedną z bram prowadzących do Central Parku staruszka sprzedawała gorącą herbatę z małego wózka.

– Skończyłam naprawiać skrzypce – oznajmiła dziewczyna. – Dzisiaj dam je Edwinowi. I mam szczerą nadzieję, że dzięki temu będzie mógł wziąć choć jeden dzień wolnego.

Jej ramiona nieznacznie opadły. Wzrok natomiast wciąż utrzymywała na starszej kobiecie, która stała w zimnie i deszczu, ciepłym uśmiechem zapraszając mijających ją w pośpiechu ludzi na kubek herbaty.

– Boże, czasami chciałabym, żeby życie było trochę mniej okrutne. Szczególnie dla tych, którzy na to okrucieństwo nie zasługują.

– Wiesz, że nie dasz rady naprawić całego świata, prawda? – zapytał.

Odpowiedź nadeszła chwilę później i przypominała słaby szept:

– Tak, ale to nie oznacza, że nie mogę spróbować. – Zdobyła się na uśmiech. – Zamierzasz... – Zawahała się, nie wiedząc, czy powinna o to pytać.

Ale Hayden wiedział.

– …powiedzieć ojcu? – dokończył.

– Tak.

– Nie – zaprzeczył. – Nie przed egzaminem. Jeżeli mi się nie uda, właściwie nie będzie o czym mówić.

Flora zrozumiała, że Hayden nie bał się porażki. Bał się tego, że gdy wreszcie odważył się wyjść z cienia, nie okaże się wystarczająco dobry. Bał się tego, że ktoś to zobaczy.

Właśnie dlatego tak długo wahał się przed wręczeniem jej zaproszenia. Być może nie chciał rozczarować jedynej osoby, która zdecydowała się w niego uwierzyć.

– Muszę się już zbierać. – Odetchnął, odsuwając się od barierek. – Obiecałem Loren, że dzisiaj zagram w *Sleepy Hollow*.

– Haydenie? – zatrzymała go.

– Tak?

Choć wiedziała, że słowa tak naprawdę niewiele znaczyły, i tak zdecydowała się je wypowiedzieć:

– Nie musisz w siebie wierzyć, ale ja w ciebie wierzę… Bardziej niż w kogokolwiek innego. Czy to wystarczy?

Jeżeli istniało coś, co było w stanie sprowadzić do serca ciepło skuteczniej niż szczery uśmiech, był to widok ciemnych oczu Haydena i blednącego w nich zmartwienia.

Tak. Słowa może rzeczywiście działały tylko na chwilę. Jednak niekiedy nawet ta ulotna chwila była sporo warta.

– Tak – odparł.

Flora obdarzyła go uśmiechem.

– W takim razie będę dalej w ciebie wierzyć. Ze wszystkich sił.

On także się uśmiechnął – tym pięknym rodzajem uśmiechu, który dostrzec można było tylko kilka razy w całym życiu. Takim, który bez ostrzeżenia wdzierał się do serca, karmiąc je tym, za czym potem mieliśmy rozpaczliwie tęsknić.

Kiedy chwilę później Hayden zniknął w mroku zalewającym wnętrze mieszkania, Flora odwróciła się i jeszcze raz zerknęła w stronę ulicy.

Starsza kobieta wciąż stała na chodniku. Nie sprzedała ani jednego kubka herbaty.

Przecież nie naprawisz całego świata, przypomniała sobie dziewczyna.

Głęboko odetchnęła i drżąc z zimna, wróciła do mieszkania. Zdołała zamknąć za sobą szklane drzwi prowadzące na balkon, zanim niespodziewanie z korytarza dobiegły trzask i kroki.

Hayden pojawił się w salonie, a jego ramiona okrywał ciemny płaszcz.

– Co…

– Zapomniałem o czymś – wtrącił i w końcu zerwał się z miejsca.

Zanim Flora zdołała zapytać o coś więcej, jego ciepłe dłonie odnalazły drogę do jej zimnych policzków. Ujął jej twarz z zadziwiającą delikatnością i pocałował, znów sprawiając, że serce dziewczyny zatłukło mocno o żebra. Niemal rozpaczliwie, jakby już teraz wiedziało, że ta chwila minie niczym mgnienie oka.

Odwzajemniła pieszczotę, uniosła ręce i splotła palce na jego karku. Był taki ciepły.

Kiedy niespodziewanie przerwał pocałunek i, wciąż trzymając twarz dziewczyny w dłoniach, przycisnął wargi do przestrzeni pomiędzy jej brwiami, a potem przesunął się na czoło, Flora odniosła wrażenie, że nie zdoła tego znieść.

– Dziękuję za opowieść o króliku – szepnął. – Jeśli podczas przesłuchania zacznę się śmiać, to będzie twoja wina, Sharman. Nie mogę przestać wyobrażać sobie ciebie bez spodni.

Poczuła, że uśmiechnął się przy jej skórze. Ona też się uśmiechnęła, zerkając na niego, gdy w końcu powoli się odsunął.

– Naprawdę muszę już iść. Loren mnie zabije, jeżeli znowu się spóźnię.

– Wątpię. Kocha cię jak własnego syna.

Hayden omiótł wzrokiem twarz Flory, sunąc kciukami po jej policzkach. Zanim wyszedł, ponownie się pochylił i złożył na jej ustach szybki pocałunek, pozostawiając na nich cień błąkającego się uśmiechu, który nie chciał zniknąć nawet długo po tym, jak została w mieszkaniu zupełnie sama.

Dziewczyna wróciła do skrzypiec i jeszcze raz dokładnie im się przyjrzała. Nie przypominały instrumentu, który wykradła z graciarni nowojorskiej filharmonii. Obudowa z ciemnego drewna pięknie połyskiwała, podobnie jak nowe struny.

Były gotowe, aby trafić do nowego właściciela.

Flora jeszcze raz dokładnie je wytarła, nawet jeśli wiedziała, że nie mogły być już bardziej czyste. Następnie umieściła instrument w futerale, który kilka dni wcześniej zamówiła przez internet.

Dokładnie pięć minut po Haydenie zjechała na parter tą samą windą.

Edwin stał nieopodal drzwi i wpatrywał się w obraz malujący się za szklanymi drzwiami budynku – skąpane w deszczu ulice, ludzi pod parasolami i pędzące żółte taksówki. Kiedy dostrzegł Florę, na jego twarzy pojawił się pogodny uśmiech. Ten sam, który tak wiele razy w ciągu ostatnich tygodni podnosił ją na duchu.

– Panienka Sharman. Wybierasz się dokądś? Bez płaszcza? – Zmierzył ją spojrzeniem. – Strasznie dzisiaj zimno…

– Nie wychodzę – odparła. – Przyszłam do pana.

Staruszek nie krył zdziwienia. Jego siwe brwi powędrowały do góry.

– Do mnie? Jeżeli pan Dunkins spod trzysta trzy znów ogląda zbyt głośno telewizję, mogę jeszcze raz z nim porozmawiać…

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie chodzi o to.

Wyjęła futerał na skrzypce, który trzymała schowany za plecami, i wręczyła go

mężczyźnie.

– Proszę… – powiedziała.

Pan Edwin zajrzał do środka. Na widok skrzypiec nieco szerzej otworzył oczy.

– Czy to…

– Skrzypce – dokończyła. – Proszę dać je wnukowi i wziąć dzień wolny. Powinien pan odpocząć.

– Ja… – Staruszek poruszył bezgłośnie ustami. Kiedy w nieznacznym stopniu udało mu się przełknąć zaskoczenie, spojrzał na Florę. – Ja… nie mogę ich przyjąć. Musiały być strasznie drogie.

– Nie są drogie, ale bardzo cenne – poprawiła go. – Jeżeli mi je pan odda, znów trafią do kąta, skazane na ciszę. – Uśmiechnęła się. – Myślę, że zasługują na znacznie lepszy los.

Edwin ponownie popatrzył na skrzypce. Dotknął ich opuszkami drżących, pokrytych zmarszczkami palców, a w jego oczach pojawiły się łzy – wzruszenia i może odrobiny smutku.

– Obawiam się, że nie będę w stanie się odwdzięczyć.

Flora znów wróciła do słów, jakie wypowiedział Hayden: „Wiesz, że nie dasz rady naprawić całego świata, prawda?". Może miał wiele racji, ale przecież mogła sprawić, że świat choć na moment stanie się odrobinę mniej ponury przynajmniej dla kilku osób.

– Właściwie… jest coś, co mógłby pan dla mnie zrobić.

*

Tego wieczoru za drzwiami mieszkania o numerze 378 pewien mężczyzna kończył drugą lampkę ulubionego wina. Przeglądając się w lustrze, próbował oszacować, czy zmarszczki pod jego oczami były większe niż tydzień wcześniej. Na zmianę popadał w marazm lub kręcił z rozbawieniem głową, gdy dochodził do wniosku, że było to tylko nadzwyczaj realistyczne przywidzenie, zapewne spowodowane zbyt dużą ilością czerwonego trunku. Kiedy jednak po chwili znów zerkał na własne odbicie, ponownie się krzywił, zadając sobie to samo pytanie. W którym dokładnie momencie czas przestał być dla niego tak łaskawy jak w czasach, gdy bliżej mu było do dwudziestki niż do czterdziestki?

Sięgnął po stojący nieopodal kieliszek, kiedy w jego mieszkaniu rozbrzmiał dźwięk dzwonka. Niespodziewany odgłos przyprawił go o dreszcz. Nie przepadał za niezapowiedzianymi gośćmi, chyba że tym gościem była jego ulubiona sąsiadka, tak jak w tym przypadku.

Kiedy otworzył drzwi i dostrzegł na korytarzu uśmiechniętą Florę, sam również zapragnął się uśmiechnąć. I zrobił to.

– Co sprowadza cię w moje progi, skarbie?

– Przyszłam zapytać, czy masz jakieś plany na wieczór?

Ralph uśmiechnął się odrobinę mocniej.

Ależ on uwielbiał tę dziewczynę!

*

Kiedy późnym wieczorem Hayden usiadł za fortepianem, nawet nie śmiał podejrzewać, że nie będzie to jedna ze zwykłych nocy w *Sleepy Hollow*, do których w ciągu ostatnich lat zdołał przywyknąć.

Wszystko zaczęło się tak jak zawsze – w progu przywitał go uśmiech Loren i kilka słów narzekania na uporczywych klientów. Na zapleczu pozbył się płaszcza i z zakurzonej szafki wyjął komplet nut. Potem przywitał się ze starym przyjacielem, ścierając z jego drewnianej powierzchni resztki brudu i dymu papierosowego. Umieścił pogniecione i poplamione kartki

z nutami na właściwym miejscu, po czym zerknął na widniejące u góry imię i nazwisko Fryderyka Chopina.

Pomyślał o tym, że być może Flora miała rację. Może świat wcale nie potrzebował drugiego Chopina?

Kiedy przybliżył dłonie do klawiszy, poczuł, że jego palce delikatnie się spięły. Ucisk w żołądku wezbrał na sile. Zmartwienia zawsze wracały, i to w najmniej dogodnym momencie, gdy człowiek pozostawał samotny, zdany tylko na siebie.

Hayden martwił się wieloma rzeczami: zbliżającym się przesłuchaniem do szkoły muzycznej, utworem, którego wciąż nie wybrał, i swoim ojcem.

Zamknął oczy, zaczerpnął głęboko powietrza i wyobraził sobie Florę. Miała pięć lat i przebrana za królika ściągnęła spodnie przed rodzicami na szkolnym przedstawieniu.

Kilka sekund później poczuł, że kąciki jego ust drgnęły ku górze w ledwie dostrzegalnym uśmiechu. Nawet jeżeli ulga nie miała trwać dłużej niż chwilę, zamierzał nacieszyć się nią tak bardzo, jak było to możliwe.

Przynajmniej do czasu, gdy dotarł do niego obcy głos:

– Przepraszam…

Hayden powoli uniósł powieki.

Sleepy Hollow z pewnością nie było miejscem, do którego często zaglądał ktoś, kto nie był mężczyzną. Nie wspominając już o dzieciach. Przez wszystkie lata, które spędził, grając w tym barze, nie spotkał tu żadnego dziecka.

Aż dotąd.

Chłopiec stał tuż obok podwyższenia, na którym ustawiono fortepian. Mógł mieć nie więcej niż dziesięć czy jedenaście lat. Roztrzepane rude włosy osuwały się na jego blade, usypane piegami czoło. Miał na sobie zwyczajne dżinsy i bluzę z logiem Spider-Mana.

Zanim Hayden zdołał rozejrzeć się w poszukiwaniu spanikowanego rodzica, który wypatrywał zagubionego syna, chłopiec zapytał:

– Potrafi pan zagrać *River Flows In You*?

– Tak.

– Czy mógłby pan to zagrać? – poprosił.

Był to pierwszy raz, kiedy ktoś obcy poprosił go o coś podobnego. Dlatego, zamiast zapytać chłopca, co robił w podobnym miejscu, jedynie skinął głową. W końcu wygrał walkę z tym, co nie pozwalało mu poruszyć palcami, i dotknął fortepianu, sprawiając, że wnętrze lokalu wypełniły pierwsze dźwięki.

Zaledwie kilka sekund później dołączył do nich odgłos skrzypiec.

Hayden zerknął na chłopca. Gdy zauważył w jego dłoniach te same skrzypce, które kilka tygodni wcześniej Flora wykradła z filharmonii, poderwał głowę i rozejrzał się dookoła, nie przestając grać.

Dostrzegł uśmiechniętego staruszka, którego widywał za każdym razem, gdy wchodził do budynku, gdzie mieściło się mieszkanie dziewczyny.

Dostrzegł ubranego w kolorowy płaszcz mężczyznę, który wręczył towarzyszowi kieliszek taniego wina. W *Sleepy Hollow* raczej nie można było liczyć na coś lepszego.

Dostrzegł starszą kobietę, która godzinę wcześniej sprzedawała herbatę przed wejściem do Central Parku, moknąc w deszczu i marznąc w zimnie.

Dostrzegł swoją mamę radośnie plotkującą z Loren.

Dostrzegł Henry'ego i towarzyszącą mu Margot.

W końcu dostrzegł także osobę, której szukał. Flora Sharman stała nieopodal baru i uśmiechała się radośnie, patrząc prosto na niego.

Wszyscy ci, których widział, przyszli tu tego wieczoru właśnie dla niego.

I spośród wszystkich tych osób on patrzył tylko na jedną.

*

Późnym wieczorem Flora wyszła ze *Sleepy Hollow* na opustoszały chodnik. Temperatura na zewnątrz spadła niemal do zera, więc dziewczyna mocniej otuliła się płaszczem i wcisnęła nos w miękki szalik.

Zdołała postawić zaledwie kilka kroków na mokrym od deszczu betonie, gdy nagle zatrzymało ją charakterystyczne skrzypnięcie starych drzwi.

– Uciekasz, zanim będę miał okazję ci podziękować, Sharman?

Uśmiechnęła się, odwróciła i spojrzała na Haydena, który stał na najwyższym stopniu krzywych schodów prowadzących do baru.

– W poniedziałek ostatni egzamin – powiedziała, chowając dłonie do ciepłych kieszeni. – Chciałabym zostać, ale czeka mnie jeszcze kilkugodzinna randka z teorią prawa. Ale ty powinieneś wracać. Wszyscy na ciebie czekają. Jesteś dzisiaj gwiazdą.

Hayden pokonał schody, zatrzymał się tuż przed dziewczyną i omiótł wzrokiem jej twarz. Kąciki jego ust układały się w lekki uśmiech.

– Jakim cudem udało ci się ich wszystkich namówić? – zapytał.

– Nie musiałam nikogo namawiać. – Wzruszyła ramionami. – Kiedy powiedziałam, że pewien utalentowany pianista będzie grał dzisiaj w zapomnianym barze, każdy chciał tu przyjść i cię posłuchać.

Z wnętrza *Sleepy Hollow* dobiegł śmiech pani McMillan, na dźwięk którego Hayden i Flora się uśmiechnęli. Gdy ich spojrzenia znów się spotkały, uśmiechy te odrobinę przygasły. Stali w zaułku, oświetleni jedynie ubogim blaskiem starej, migającej co kilka sekund latarni.

– Floro…

– Chciałam pokazać ci, że jesteś wart więcej, niż sądzisz – przerwała mu, sprawiając, że zamilkł. – Spójrz na siebie. Masz tylko stary fortepian, poplamione nuty i własne dłonie. Nic więcej. Zdołałeś jednak sprawić, że tych kilka osób, które dzisiaj tu przyszło, świetnie się bawi, zamiast spędzać samotny wieczór. Nie potrzebujesz do tego zdanego egzaminu ani aprobaty ojca.

Hayden poczuł ucisk w sercu.

– Mój dziadek powtarza, że każdy urodził się w jakimś celu – dodała. – Myślę, że ty urodziłeś się po to, by grać. By kraść ludzkie serca tymi kilkoma dźwiękami. Jeżeli mam być szczera, nieważne, czy w poniedziałek zagrasz Chopina, Mozarta czy kogokolwiek innego. Oni i tak dostrzegą w tobie to, co widzę ja. Po prostu im na to pozwól. Usiądź przy fortepianie, tak jak robisz to zawsze. I zacznij grać, jakby nikt nie patrzył. Uwierz mi, nie potrzebujesz niczego więcej.

– Byłem w błędzie – przyznał. – Jeżeli ktokolwiek jest w stanie naprawić ten świat, to tylko takie osoby jak ty.

– Nie. – Pokręciła głową. – Miałeś rację. Nie zdołam naprawić całego świata, ale mogę naprawić cały świat kilku osób. Może to niewiele, ale…

– To więcej, niż inni ludzie robią przez całe życie – wtrącił.

– Tak. Może masz rację. – Rozejrzała się dookoła. – Pora na mnie, a ty wracaj i baw się dobrze.

Hayden pomyślał, że miłość była dziwnym zjawiskiem. Przypominała melodię. Tę samą, którą jako dziecko usłyszał pamiętnego wieczoru, gdy ojciec zabrał go do filharmonii. Na początku była tylko fragmentem, ulotną chwilą, do której nie przywiązywał wagi. Nawet nie starał się, aby ją zapamiętać. Ona sama podjęła decyzję i postanowiła z nim pozostać. Choć przez

większość czasu tkwiła ukryta pośród ciszy, kiedy decydowała się o sobie przypomnieć, nie sposób byłoby znaleźć w tej chwili czegokolwiek innego równie pięknego.

Przez moment patrzył, jak Flora Sharman odchodzi, powoli znikając w mroku uliczki, zanim zerwał się z miejsca i ruszył za nią. Zatrzymał ją na chodniku jednej z głównych ulic, delikatnie łapiąc jej nadgarstek.

– Floro, poczekaj.

Gdy na niego zerknęła, słowa osiadły mu na wargach, nie chcąc wydostać się na powierzchnię.

– Posłuchaj, ja…

– Hayden?

Chłopak zamarł, podobnie jak stojąca tuż przed nim Flora. Głos, który do nich dotarł, nie był obcy. Kiedy Sanclair spojrzał za siebie, pierwszym, co ujrzał, była wykrzywiona w zdumieniu twarz Bree Bundy.

– Co ty tu… – Dziewczyna zamilkła, dostrzegając Florę. – Sharman? – Nie kryła zdziwienia i konsternacji. – Jesteście tutaj razem?

Hayden puścił rękę Flory, sprawiając, że ta spojrzała w dół. Zdołała tylko dostrzec, jak jego palce w pośpiechu zsuwają się z materiału jej płaszcza. Potem przeniosła wzrok na jego twarz. Nie była pewna, czy właśnie w tamtej chwili – kiedy chłopak nie odpowiedział na zadane pytanie – po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że mimo wszystkiego, w co pragnęła wierzyć, nie dane im będzie doczekać się szczęśliwego zakończenia. Nie wiedziała nawet, czy to, co poczuła, było bolesnym rozczarowaniem, czy może brutalnym przypomnieniem tego, co przed wyjazdem powiedział jej dziadek.

Czymkolwiek jednak było, bardzo bolało.

Hayden nie odpowiedział. W milczeniu patrzył na Bree Bundy, która stała na chodniku ubrana jak modelka żywcem wyjęta z okładki magazynu i z lekkim grymasem obrzydzenia wymalowanym na twarzy zadawała mu proste pytanie.

Ale on nie odpowiedział, choć w tym wypadku milczenie zdawało się mówić samo za siebie.

Flora przełknęła ból i odezwała się drżącym głosem:

– Nie. Po prostu… – Zerknęła na Haydena. – Wpadliśmy na siebie, prawda?

Sanclair również na nią spojrzał.

Nie zaprzeczył. Nie powiedział żadnej z rzeczy, które Flora pragnęła usłyszeć.

– Tak – przyznał.

Na twarzy Bree błysnął uśmiech, a w następnej sekundzie pojawiła się obok Haydena.

– Miałam szczęście, że cię spotkałam. Mógłbyś podrzucić mnie do domu? Mogłabym wziąć taksówkę, ale sam wiesz, że większość kierowców o tej porze to straszne zboki. Chyba nie pozwolisz mi wracać samej, prawda?

Chłopak nie odrywał wzroku od Flory, nawet gdy Bree oplotła palcami jego przedramię, rzucając w stronę dziewczyny kąśliwe pytanie:

– Na co się tak patrzysz, Sharman? Czy takie dzieciaki jak ty nie powinny o tej porze już spać?

Flora drgnęła, zdobywając się na blady uśmiech.

Był to pierwszy brzydki uśmiech, jaki Hayden miał okazję ujrzeć na jej twarzy. Niewyraźny, słaby i tak bardzo nieprawdziwy.

– Tak. Chyba rzeczywiście powinnam już iść. – Były to ostatnie słowa, które opuściły jej usta, zanim odwróciła się i ruszyła chodnikiem.

A on nie potrafił się ruszyć. Chciał ją zatrzymać, wypowiedzieć jej imię, zrobić

cokolwiek, aby została. Mógł jednak tylko patrzeć, jak jej sylwetka znika w mroku ulicy, i z ciężko bijącym sercem myśleć o tym, że stało się to, czego najbardziej się bał.

Flora Sharman spojrzała na niego tak, jak on patrzył na siebie każdego dnia.

IV

If music is not beautiful what is the purpose?

– Eric Christian

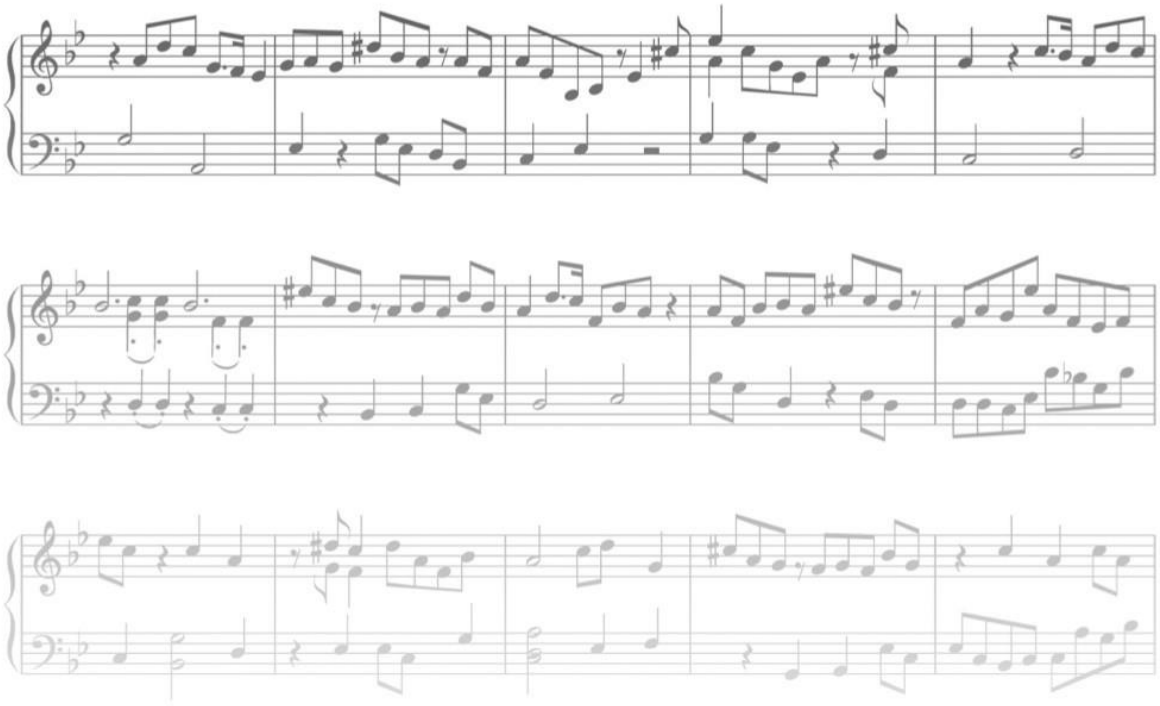

Rozdział 25

Miejsce w pierwszym rzędzie

Istniał pewien dziwaczny, niespotykany wręcz, fakt, którego istnienie docierało do umysłu dopiero z czasem – serce nie było w stanie pęknąć, rozpaść się, ani złamać. Z całą jednak pewnością potrafiło boleć tak bardzo, że człowiek uparcie pragnął wierzyć, że każda z tych rzeczy była możliwa.

Minęły dwa dni, zanim Flora zrozumiała, że jej serce było całe i zdrowe. Tyle samo czasu potrzebowała, aby uświadomić sobie, że nawet najpiękniejsze złudzenie wciąż było tylko złudzeniem.

Nie myślała o Haydenie.

Starała się o nim nie myśleć.

Aż do poniedziałkowego poranka, gdy po raz pierwszy od kilku dni zdecydowała się wyjść z domu. Choć gdyby nie ostatni egzamin, zapewne nie opuściłaby łóżka, wciąż obserwując przez okna sypialni, jak do Nowego Jorku zakrada się zima.

Padał śnieg. Sypał z nieba białymi płatkami, sprawiając, że kwadrans przed ósmą rano miasto wydawało się nadzwyczaj urokliwe. Zniknęły czarne parasolki, zastąpiły je czapki i szaliki. Ludzie, zamiast wpatrywać się w ekrany telefonów, patrzyli w górę, z uśmiechami obserwując pierwsze opady śniegu.

W holu Flora spotkała Edwina.

– Dzień dobry, panienko Sharman – przywitał ją z szerokim uśmiechem.

– Pierwszy dzień w pracy po urlopie? – zapytała. – Mam nadzieję, że pan wypoczął.

– Tak. Już zapomniałem, jak dobrze mieć wolny weekend. Odwiedziliśmy z żoną rodzinę

i resztę naszych wnuków w Kalifornii.

Flora się uśmiechnęła.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo mnie to cieszy. Choć z całego serca pana uwielbiam, mam nadzieję, że nie będziemy się już tak często tu widywać.

– Och, nie. Od dzisiaj będę pracował tylko kilka dni w tygodniu. Zrezygnowałem z nocnych zmian. Przejął je Roger. Jest młody i trochę gapowaty, ale z pewnością go panienka polubi! Zapomniałbym! – Machnął dłonią. – Ktoś na panienkę czeka.

Flora zerknęła w kierunku szklanych drzwi. Na ulicy, pomiędzy tłumem idących na metro ludzi a sypiącym z nieba śniegiem, dostrzegła Haydena. Na jego widok poczuła nieprzyjemny ucisk oplatający serce. Bardziej niż strach przypominał on jednak smutek.

– Stoi tutaj od dobrych piętnastu minut. Zaproponowałem mu nawet, żeby wszedł do środka, bo strasznie dzisiaj zimno, ale odmówił.

– Dziękuję, Edwinie – powiedziała, po czym obdarzyła mężczyznę ostatnim nikłym uśmiechem i ruszyła przez hol w kierunku wyjścia.

Popchnęła szklane drzwi i zatrzymała się dwa kroki za nimi, bo Hayden uniósł głowę i na nią spojrzał. W ułamku sekundy cała pewność Flory gdzieś uleciała. Dziewczyna pogubiła słowa, które chciała wypowiedzieć, a z jej gardła wydostał się urywany oddech.

Sanclair, od góry do dołu ubrany w czerń, która odznaczała się na tle sypiącej z nieba bieli, powoli odepchnął się od boku samochodu. Z dłońmi schowanymi do kieszeni płaszcza, nie zdążył postawić ani jednego kroku w jej stronę, bo Flora niespodziewanie ku niemu ruszyła.

Nie odrywał od niej wzroku… Od jej bladej twarzy, częściowo skrytej pod wełnianą czapką. Od ściśniętych w wąską linię ust, których kąciki delikatnie zadrżały, gdy zatrzymała się tuż przed nim, uniosła podbródek i wypowiedziała tych kilka słów:

– Nie musiałeś przyjeżdżać.

– Mylisz się – zaprzeczył. – Musiałem. Od dwóch dni nie odbierasz moich telefonów i nie odpisujesz na wiadomości, które ci wysyłam.

Flora wzięła głęboki wdech.

– Floro, posłuchaj…

– „Przepraszam” – wtrąciła, sprawiając, że Hayden zamilkł. – „Byłem idiotą”, „Zachowałem się jak kretyn”, „Popełniłem błąd”, „Nie chciałem”. Które z tych zdań zamierzałeś mi powiedzieć? – zapytała. – Oszczędzę czasu nam obojgu. Nie chcę słyszeć żadnego z nich. Po prostu wyjaśnij, dlaczego, gdy Bree zapytała, czy byliśmy wtedy razem, nie odpowiedziałeś?

– Naprawdę chciałem…

– W takim razie dlaczego tego nie zrobiłeś? – przerwała mu, choć w jej głosie z trudem można było dosłyszeć cokolwiek poza delikatnym drżeniem.

Hayden rozchylił wargi, lecz szybko znów je zamknął. Dostrzegł w jej pięknych oczach nie tylko smutek i złość. Ujrzał w nich rozczarowanie, które okazało się znacznie gorsze niż cokolwiek innego.

Powinna go nienawidzić, szczerze nim gardzić. I fakt, że nie była do tego zdolna, stanowił niewyobrażalny ciężar, który osiadł na jego sercu, na moment odbierając mu zdolność mówienia.

– Nie wiesz, prawda? – zapytała. – Więc pozwól, że ci powiem. – Postawiła ku niemu niewielki krok, by wypowiedzieć tych kilka słów prosto w jego twarz: – Nie odpowiedziałeś, bo się wstydzisz.

Hayden się nie poruszył. Nawet nie drgnął. Po prostu patrzył jej w oczy, próbując za wszelką cenę dostrzec w nich coś oprócz tej przejmującej pustki. Była tak bardzo do siebie niepodobna, że nie mógł pozbyć się wrażenia, że miał przed sobą kogoś zupełnie obcego.

Nie uśmiechała się tak jak zawsze.

A on wiedział, że to była jego wina. I tego jednego nie potrafił w żaden sposób usprawiedliwić ani tym bardziej sobie wybaczyć.

– Nie jestem tylko pewna – dodała głosem tak cichym, że ledwie był w stanie ją usłyszeć – czy bardziej wstydzisz się mnie, czy może samego siebie. Chyba zgodzimy się, że oboje zasługujemy na coś lepszego, prawda?

Poczuł, że jego ramiona się przygarbiły. Chciał powiedzieć cokolwiek, dzięki czemu mogłaby wszystko zrozumieć. Jednak żadne słowa, które przyszły mu na myśl, nie wydawały się w tej chwili wystarczające.

– Floro…

– Wyjeżdżam.

Hayden zamilkł. Przez kilka złudnych sekund miał nadzieję, że jedynie się przesłyszał, lecz rzeczywistość okazała się równie okrutna jak jego najczarniejsze myśli. Flora Sharman odchodziła, a on nie potrafił jej zatrzymać.

– Gdy tylko napiszę ostatni egzamin, mam samolot do Filadelfii. Spędzę tam resztę grudnia, święta i Nowy Rok. Wrócę dopiero przed rozpoczęciem drugiego semestru. – Cofnęła się o krok, chowając dłonie w kieszeniach płaszcza. – Nie pojawię się na twoim przesłuchaniu, ale mimo wszystkiego, co zaszło, wiem, że świetnie sobie poradzisz. Będę bardzo mocno trzymała za ciebie kciuki.

Wszystkie słowa opuszczające jej usta przypominały niepewny szept, jednak raniły mocniej niż cokolwiek innego.

– Musimy w końcu przyznać, że to wszystko było tylko chwilą. Piękną i trochę szaloną, ale wciąż tylko chwilą. Chyba nadszedł czas, by każde z nas ruszyło w swoją stronę. Ja powinnam skupić się na studiach, a ty… – Uśmiechnęła się odrobinę szczerzej, choć nie był to ten sam uśmiech, jaki zwykle pojawiał się na jej twarzy. Był tylko marnym cieniem. Niczym więcej. – A ty na tym, co potrafisz robić najlepiej. Świat powinien cię usłyszeć i docenić. Tak samo jak ja.

Kiedy postawiła kolejny krok w tył, Hayden pojął, że nie był w stanie odnaleźć słów, które byłyby w stanie ją zatrzymać.

Miała rację – zasługiwała na coś lepszego, a on nie potrafił jej tego dać. Nieważne, jak bardzo by tego pragnął, jak mocno by się starał, była zbyt dobra na wszystkie te marne rzeczy, które miał do zaoferowania.

– Muszę już iść. Nie powinnam spóźnić się na egzamin.

– Podwiozę cię – zaproponował.

Z każdą kolejną minutą śnieg padał coraz mocniej, temperatura spadała, a wiatr się nasilał.

– Nie. – Pokręciła głową. – Mówiłam poważnie. Ta chwila minęła. Nie powinniśmy więcej do niej wracać. Tak będzie po prostu lepiej.

Potem odeszła, na pożegnanie obdarzając go ostatnim uśmiechem. Zostawiła go na środku chodnika i choć z każdej strony otaczali go ludzie, Hayden poczuł się samotny bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

*

Wizja powrotu do domu napawała Florę jednocześnie ulgą i smutkiem. Cieszyła się, że w końcu zobaczy rodzinę i spędzi z nimi trochę czasu, tak jak dawniej. Z drugiej jednak strony myśl, że miała opuścić Nowy Jork na tak długo, wydawała się nieprawdopodobnie ciążąca.

Najgorsze okazały się właśnie pożegnania.

– Jak świetnie, że wpadłaś! – Ralph obdarzył ją uśmiechem, szerzej otwierając dla niej drzwi. – Nie miałem z kim poplotkować. W lodówce mam chyba nawet jeszcze trochę soku bananowego…

– Obawiam się, że nie mam na to czasu – przerwała mu. – Chciałam tylko się z tobą pożegnać, zanim wyjadę.

Mężczyzna przystanął w korytarzu mieszkania i obdarzył dziewczynę zaskoczonym spojrzeniem.

– Wyjeżdżasz? – powtórzył. – Kiedy?

– Mam samolot za trzy godziny – poinformowała. – Napisałam dzisiaj ostatni egzamin na studiach, a resztę zajęć mogę odbyć online, więc chyba nie ma zbyt wielu powodów, dla których miałabym tu zostać. Wrócę dopiero na początku stycznia.

Ralph w teatralnym geście przyłożył dłoń do serca, w drugiej ręce trzymając lampkę martini.

– Dobry Boże. – Na jego twarzy odmalowało się zmartwienie. – Jak ja zdołam tak długo bez ciebie wytrzymać? Jesteś jedyną osobą w tym budynku, która w ogóle chce ze mną rozmawiać. Masz pojęcie, że uschnę z tęsknoty, zanim tutaj wrócisz?

Flora lekko się uśmiechnęła.

– Ja też będę za tobą tęsknić – odparła.

Wiedziała, że Ralph był jednym z powodów, dla których na myśl o powrocie do domu czuła smutek.

– Och. – Mężczyzna szeroko rozłożył ramiona, a następnie pokonał dzielącą ich odległość i z całej siły przytulił dziewczynę, niemal rozlewając przy tym martini. Trzymał ją w objęciach tak długo, aż szepnęła drżącym głosem:

– Jeżeli mnie nie puścisz, spóźnię się na samolot.

– Więc może wcale nie powinienem cię puszczać? – zapytał i delikatnie się od niej odsunął. – Może dzięki temu nie musiałabyś wyjeżdżać?

– Muszę.

Ralph również się uśmiechnął.

– Wiem. Nie ma to jak w domu, prawda? – Cofnął się o krok. – Odpocznij i postaraj się nie zamartwiać zbyt mocno, okej? Obiecaj mi to.

Flora chwyciła rączkę stojącej na korytarzu walizki.

– Jasne. Mam nadzieję, że gdy wrócę, będziesz miał mi do opowiedzenia wiele plotek o tobie i przystojnym panu kurierze.

Ralph pokręcił głową z grymasem wzruszenia.

– Chryste, mówiłem ci już, jak bardzo cię kocham?

– Naprawdę muszę już iść.

– Będę miał oko na twoje mieszkanie. Mam podlewać kwiatki? – zapytał.

– Nie mam kwiatków.

– No tak.

Flora jeszcze raz się uśmiechnęła, po czym kręcąc głową, ruszyła korytarzem w kierunku windy. Tuż przed nią zatrzymał ją głos Ralpha:

– Floro?

Zerknęła na niego.

– Tak?

– Mogę dać ci jedną radę na złamane serce? – zaproponował.

– Skąd…

– Och, skarbie – przerwał jej łagodnie. – Miałem tyle razy złamane serce, że potrafię

rozpoznać je z oddali. Nic równie mocno nie wysysa z człowieka radości. To boli, ale minie. Obiecuję. Wszystko w końcu przecież mija, prawda?

Tak, pomyślała. *Wszystko.*

– Wesołych Świąt – powiedziała.

– Wesołych Świąt, Floro Sharman.

Metalowe drzwi windy rozsunęły się z charakterystycznym krótkim dźwiękiem. Gdy dziewczyna weszła do środka i oparła się o ścianę z ciemnego drewna, poczuła, jak po jej policzku niespodziewanie spłynęła samotna łza. Starła ją rękawem płaszcza, a wolną dłonią sięgnęła do jego lewej kieszeni. Wyjęła z niej białą kopertę ozdobioną nazwiskiem *Sanclair*.

Musiała zrobić jeszcze jedno, zanim opuści Nowy Jork.

*

Było późne popołudnie, gdy Molly w końcu wyłączyła komputer i z ulgą wstała zza biurka. Poruszając obolałymi od kilkugodzinnego siedzenia barkami, sięgnęła po torebkę i wrzuciła do niej telefon. Ze stojącego w korytarzu wieszaka ściągnęła płaszcz, myśląc jedynie o tym, że od powrotu do domu dzieliło ją tylko przebicie się przez korki, kilkunastominutowa jazda metrem i wdrapanie się po schodach na czwarte piętro, na którym mieściło się mieszkanie jej i Harry'ego. Potem będzie mogła wziąć ciepłą kąpiel, zamówić ulubiony makaron i włączyć kolejny odcinek durnego serialu, czekając, aż jej ukochany wróci z siłowni.

W korytarzu natrafiła na Olivera Sanclaira, który nie wyglądał, jakby miał na wieczór podobne plany jak ona. Ubrany w ciemny garnitur, ze wzrokiem utkwionym w aktach kolejnej sprawy, którą zajmowała się kancelaria, i z okrągłymi okularami zsuwającymi się z nosa, wyglądał tak samo jak kilkanaście godzin wcześniej, gdy zjawił się w pracy.

– Nie wraca pan do domu? – zapytała. – Kancelaria jest zamknięta od ponad godziny. Raczej nikt już nie przyjdzie.

– Mam jeszcze trochę papierkowej roboty – odparł, mijając ją.

– Wie pan, że brak snu może prowadzić do depresji?

Oliver uśmiechnął się pod nosem.

– Doceniam twoją troskę, Molly, ale czuję się całkiem nieźle – rzucił przez ramię.

Popchnął ciemne drzwi i wszedł do gabinetu, przez co nie mógł widzieć, że Molly z grymasem pokręciła głową. Nie znała drugiej osoby, która pracowałaby równie dużo.

W pomieszczeniu panował subtelny półmrok, który rozświetlała tylko stojąca w rogu biurka lampka. Wiszący na ścianie obraz *Syna Człowieczego*[27] wydawał się przez to o wiele bardziej upiorny niż za dnia.

Poza tym w kancelarii panowała cisza, którą Oliver cenił ponad wszystko inne. Dlatego tak bardzo lubił pracować po godzinach. Nikt nie zawracał mu wtedy głowy, nie zadawał głupich pytań i nie przeszkadzał, gdy próbował się skupić.

W chwili, w której ta myśl zagościła w umyśle mężczyzny, znajdujące się za jego plecami drzwi cicho skrzypnęły.

Sanclair zatrzymał się nieopodal biurka i ciężko westchnął.

– Molly, czy nie powinnaś już… – Odwrócił się i zamilkł, kiedy nie dostrzegł podwładnej. – Floro? – Nie krył zdziwienia. – Co ty tutaj robisz?

Dziewczyna stała w drzwiach, a materiał jej płaszcza błyszczał od roztapiającego się śniegu.

– Z tego, co wiem, wszyscy studenci świętują koniec egzaminów. – Okrążył biurko, po czym dodał: – Nie ma jeszcze, co prawda, oficjalnych wyników, ale śmiem sądzić, że poszło ci świetnie, więc…

– Chodzi o Haydena – wtrąciła.

Oliver zamilkł, po czym podniósł głowę i uważnie przyjrzał się nastolatce. Dopiero wtedy dostrzegł stojącą obok niej walizkę i nieprawdopodobną bladość jej twarzy.

– O Haydena? – powtórzył. – Coś się stało?

Flora skinęła głową, a następnie zerknęła na to, co trzymała w dłoniach, choć mężczyzna nie mógł tego dostrzec przez panującą wokół niej ciemność.

– Pana syn to najbardziej utalentowany człowiek, jakiego spotkałam – dodała, unosząc wzrok. – Powinien pan o tym wiedzieć.

– Floro, o czym ty…

– Wiele lat temu Hayden powiedział panu, że kiedyś zostanie pianistą – przerwała mu cichym głosem. – Pamięta pan to?

Oliver zmarszczył brwi.

Minął moment, nim w gabinecie rozbrzmiał jego głos:

– Tak. Oczywiście, że pamiętam.

Każda chwila, którą spędził ze swoimi dziećmi, doskonale zachowała się w jego pamięci. Pamiętał je lepiej niż wszystkie przepisy kodeksu karnego.

Flora Sharman ruszyła w jego kierunku, a potem ostrożnie położyła na blacie ciemnego biurka to, co trzymała w dłoniach – białą kopertę, którą zdobiła pochyła, elegancka czcionka. Jej litery układały się w nazwisko: *Sanclair*.

– Nadszedł czas, by spełnił pan obietnicę, którą tamtego dnia pan złożył.

*

Hayden patrzył na swoje nuty. Jego palce zaciskały się na brzegach białej kartki, a wzrok błądził po pięcioliniach. Nie starał się ich zapamiętać. Znał ułożenie każdej z nut. Znał je tak dobrze, że mógłby zagrać ten utwór z zamkniętymi oczami.

Wybrał Chopina. *Etiuda Op. 25 No. 11*.

Grał to tak wiele razy, że był w stanie odtworzyć z pamięci każdą sekundę tego utworu. Mimo to poczuł ucisk w żołądku, gdy młody chłopak się do niego zwrócił:

– Hayden Sanclair? Twoja kolej.

Marzenia wydawały się czymś wspaniałym, lecz gdy nadchodził czas, aby wreszcie się z nimi zmierzyć, człowiek z zaskoczeniem odkrywał, że skrywały w sobie także coś przerażającego.

Być może najbardziej straszna okazywała się wizja tego, że kiedy w końcu uda się je spełnić, z rozczarowaniem odkryjemy, że marzyliśmy o czymś, czego tak naprawdę nie pragniemy?

Ale nie było już odwrotu. I Hayden dobrze o tym wiedział.

Gdy wyszedł na scenę i zobaczył stojący na niej fortepian, po raz pierwszy to do niego dotarło. Od tej chwili – nieważne, jak miała się ona potoczyć – ostatnie lata jego życia przestaną być tylko słodkim sekretem.

Usiadł przy instrumencie, umieścił nuty na odpowiednim miejscu i poruszył nadgarstkami, lekko je rozgrzewając.

Teraz wystarczyło tylko jedno. Musiał zrobić to, co potrafił robić najlepiej, prawda?

Musiał tylko…

Jego palce zatrzymały się kilka milimetrów nad klawiszami i delikatnie zadrżały, gdy spróbował zmusić je do pracy. Nie był w stanie dotknąć fortepianu. Nie potrafił choć odrobinę bardziej się do niego przybliżyć.

Zza stołu, przy którym zasiadali członkowie oceniającego go grona, dobiegł męski głos:

– Proszę zaczynać, panie Sanclair.

Hayden zamknął oczy. Wyobraził sobie szkolne przedstawienie: pięcioletnie dzieci przebrane za wróżki i elfy, biegające i tańczące radośnie pośród tekturowych drzew. Wyobraził sobie małą Florę Sharman w stroju królika, z grymasem niezadowolenia na twarzy. I…

Poczuł, jak jego ramiona opadły z rezygnacją.

Pojął, że nie chodziło o zdenerwowanie, o fortepian, o sztywność jego palców. Nie chodziło nawet o utkwione w nim spojrzenia oceniających go ludzi, o Chopina, idealnie czystą kartkę z nutami, czy wszystkie wady spełniania marzeń.

Nie potrafił zagrać, bo tu nie było jej – jedynej osoby, która kiedykolwiek tak mocno w niego uwierzyła. Jedynej osoby, którą pragnął teraz mieć przy sobie.

Szkoła muzyczna, marzenia, piękny fortepian – żadna z tych rzeczy nie była zbyt wiele warta, kiedy miał cieszyć się nią w samotności. Bez niej.

Czy naprawdę musiał ją stracić, aby w końcu to zrozumieć?

Uniósł powieki i spojrzał w dół: na czarno-białe klawisze, na lekko drżące, bezużyteczne dłonie. Wreszcie odsunął je od fortepianu, wypuszczając z płuc niepewny wydech.

Następnie popatrzył w kierunku widowni i właśnie wtedy ujrzał swojego ojca siedzącego w pierwszym rzędzie. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, mężczyzna uniósł podbródek, obdarzając syna lekkim uśmiechem.

W tamtej chwili stało się to, na co nie zdołał się przygotować – sekret, który przez wszystkie te lata skrupulatnie skrywał przed światem, przestał być sekretem.

– Panie Sanclair.

Hayden drgnął.

– Ja… – Powoli wstał. – Przepraszam, ale nie mogę…

– Zdaje pan sobie sprawę z tego, że jeżeli teraz pan wyjdzie, straci pan swoją szansę, prawda?

– Tak. Wiem.

I ani trochę go to nie obchodziło.

Zbiegł ze sceny, pokonując ciężką kotarę. Nie zważając na zerkających na niego kandydatów, którzy wciąż czekali na swoją kolej, odnalazł płaszcz. Chwycił go, narzucił na ramiona i skierował się do wyjścia. Gdy tylko popchnął dwuskrzydłowe drzwi i wydostał się na korytarz, szybko się zatrzymał.

Oliver Sanclair obdarzył syna spojrzeniem.

Obaj pomyśleli wtedy o tym samym – ostatni raz odwiedzili to miejsce razem wiele lat temu, pamiętnego wieczoru, gdy ojciec złożył synkowi obietnicę.

– Tato, ja…

– Chciałem być idealnym ojcem – wtrącił. – Dla ciebie i dla Julie. Chciałem dać wam wszystko to, czego sam nie dostałem od ojca… najlepszą szkołę, zajęcia pozalekcyjne, świetne perspektywy na przyszłość. A nie zdołałem dać ci tego, czego mi najbardziej brakowało, gdy byłem w twoim wieku, Haydenie. Wsparcia i odrobiny wiary.

Chłopak otworzył usta, lecz zanim zdołał coś powiedzieć, zobaczył, jak ojciec wyjął z płaszcza białą kopertę.

– Gdy Flora Sharman zjawiła się w kancelarii i dała mi to – zerknął na zaproszenie – zrozumiałem, że nie jestem idealnym ojcem. Nie jestem nawet dobrym ojcem. I chyba nie istnieje sposób, bym kiedykolwiek zdołał cię za to przeprosić. Postanowiłem jednak spełnić daną ci obietnicę. – Przeniósł wzrok na syna. – W całym życiu nigdy nie byłem z nikogo ani z niczego tak dumny, jak właśnie jestem dumny z ciebie.

– Przecież nawet nie dotknąłem fortepianu…

– Nie chodzi o fortepian, Haydenie. – Odetchnął głęboko. – Chodzi o to, że sobie poradziłeś. Bez mojej pomocy. I lepiej niż ktokolwiek inny udowodniłeś mi, że byłem w błędzie, obarczając cię własnymi marzeniami. Wiem, że to teraz nic nie znaczy, ale przepraszam. Przepraszam, że nie potrafiłem być dla ciebie tym, kim była Flora Sharman.

– Przeprosiny… – zaczął Hayden. – To całkiem dobry początek, tato.

Oliver lekko się uśmiechnął, po czym wyjął z kieszeni płaszcza kluczyki do swojego samochodu i rzucił je w stronę syna.

– Trzymaj. Obyś zdążył ją jeszcze dogonić.

Hayden również się uśmiechnął, po czym pośpiesznie ruszył w kierunku wyjścia. Zatrzymał się jednak, zanim zdołał postawić więcej niż kilka kroków. Następnie odwrócił się w stronę ojca.

– Tato?

– Tak?

– Nie jesteś złym ojcem – powiedział. – A ja nie byłem najlepszym synem. Nie zawsze.

– Myślisz, że jeszcze mamy szansę to naprawić? – zapytał.

Hayden skinął głową.

– Tak.

Oliver Sanclair znów się uśmiechnął.

– Idź już, zanim kobieta twojego życia ucieknie ci sprzed nosa.

*

Port lotniczy Johna F. Kennedy'ego i centrum Manhattanu dzieliło dokładnie dwadzieścia kilometrów, które Hayden – dzięki złamaniu kilku przepisów – zdołał pokonać w nieco ponad kwadrans.

Zostawił samochód ojca najbliżej wejścia, jak było to możliwe, i rzucił się biegiem w kierunku hali odlotów. Wpadł do środka przez szklane drzwi, uderzając o walizkę starszej kobiety.

– Na Boga, chłopcze, uważaj, jak chodzisz! – zawołała za nim, gdy posłał jej krótkie „przepraszam" i ruszył dalej przez lotnisko.

Biegł przed siebie, mijając zerkających na niego pasażerów, aż w końcu dotarł do miejsca odpraw.

Oddychając ciężko, spojrzał na zawieszoną pod sufitem ogromną tablicę z informacjami dotyczącymi odlotów. Przesunął wzrokiem po migoczących literkach, szukając lotu między Nowym Jorkiem a Filadelfią.

W następnej chwili jego ramiona opadły.

Nie zdążył.

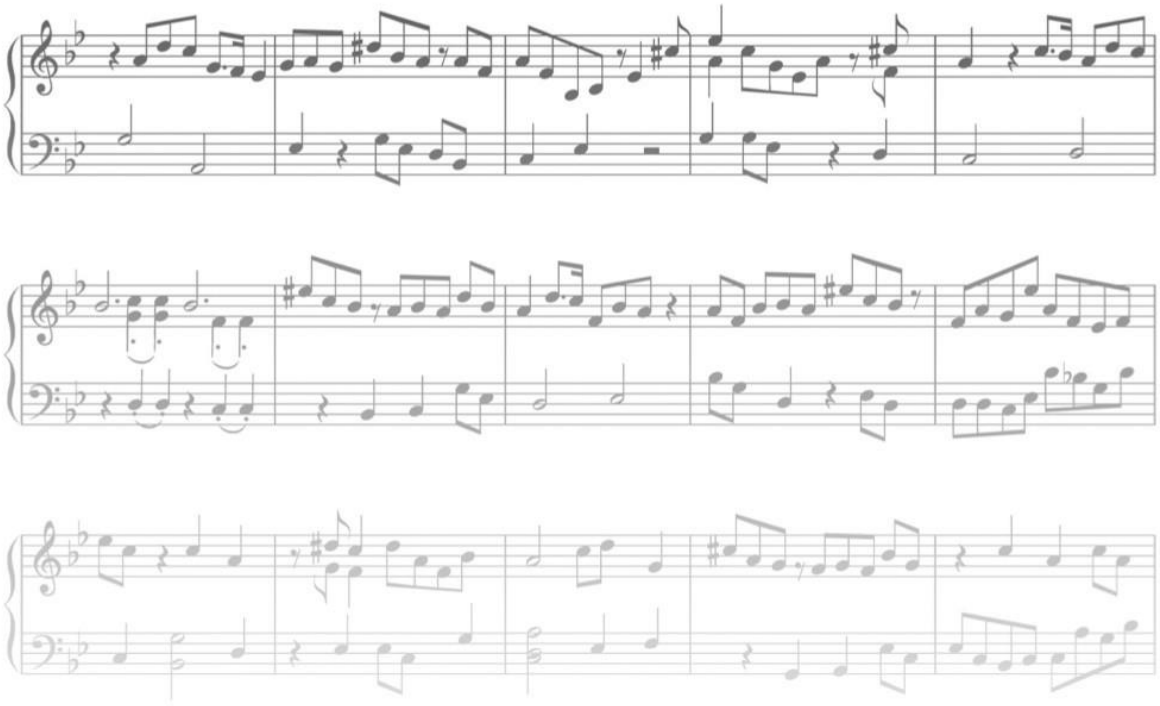

Rozdział 26

Melodie nigdy nie umierają

Flora poczuła, że ktoś usiadł na brzegu jej łóżka kilka sekund przed tym, nim w pełni zdołała się wybudzić. Niemal natychmiast zaatakował ją ból mięśni. Kiedy po chwili z lekkim grymasem zdecydowała się w końcu unieść ciężkie powieki, pierwszym, co ujrzała, był łagodny uśmiech mamy.

– Nie chciałam cię budzić, ale dochodzi trzecia – poinformowała kobieta. – Zaraz przyjadą dziadkowie, a powinnaś jeszcze coś zjeść, zanim wyjdziemy.

Dziewczyna odgarnęła splątane włosy z policzka.

– Chyba zostanę w domu, mamo.

– Wykluczone. – Hailey pochyliła się ku niej, kręcąc głową. – Myślę, że trochę czasu spędzonego wśród ludzi dobrze ci zrobi. Przecież zawsze lubiłaś przedświąteczne koncerty. Nigdy nie ominęłaś żadnego z nich.

– Wiem, ale…

– Źle się czujesz? Wczoraj, gdy tylko tata przywiózł cię z lotniska, praktycznie od razu poszłaś do łóżka.

Słysząc zmartwienie w głosie mamy, Flora usiadła na łóżku.

– Nie. Po prostu… – Zdobyła się na uśmiech. – Cieszę się, że wróciłam do domu. Daj mi piętnaście minut. Zaraz przyjdę do kuchni.

Pani Sharman dotknęła policzka córki.

– Zrobię twoje ulubione francuskie tosty.

Kiedy Flora została w pokoju sama, z ciężkim westchnieniem opadła z powrotem na

miękkie poduszki. Utkwiła wzrok w suficie, czując w ustach nieprzyjemny posmak kłamstwa.

Nie cieszyła się z powrotu do domu. Nie tak, jak powinna się z niego cieszyć. Kiedy poprzedniego wieczoru tata przywiózł ją z lotniska i po raz pierwszy od tak wielu tygodni uściskała mamę oraz ukochanego psa, nie potrafiła zbyt wiarygodnie udawać, że była bezgranicznie szczęśliwa. I czuła się z tego powodu tak okropnie, że niemal natychmiast zaszyła się w pokoju.

Nie chodziło o to, że nie tęskniła za tym wszystkim. Chodziło o to, że…

Książę małymi łapkami popchnął przymknięte drzwi i podreptał prosto pod łóżko dziewczyny, radośnie merdając ogonkiem. Był za mały, aby na nie wskoczyć, więc Flora mu z tym pomogła. Gdy tylko pies znalazł się w jej ramionach, szorstkim język polizał jej ręce.

A ona po raz kolejny poczuła się tak bardzo niewdzięczna. Przecież powinna być szczęśliwa, prawda?

Pies zaszczekał radośnie, sprawiając, że Flora obdarzył go lekkim uśmiechem.

– Nowy Jork bardzo by ci się spodobał, wiesz? – powiedziała, głaszcząc go za uchem. – Jest tam naprawdę wiele rzeczy, których… – zamilkła.

Których mi brakuje, pomyślała.

Potrząsnęła głową, po czym w końcu postanowiła wyjść z łóżka. Wzięła prysznic, który skutecznie zniwelował efekty uboczne tak długiego snu, a potem zmieniła piżamę na ciemne spodnie i ciepły sweter.

Gdy kilka minut później wyszła z sypialni w towarzystwie wiernie idącego za nią psa, poczuła dobiegający z kuchni swąd spalenizny.

– Wszystko w porządku, mamo?

– Tak! – zawołała. – To nic, zaraz przygotuję kolejne tosty! Proszę, przywitaj dziadków, chyba słyszałam, że wjechali na podjazd!

Flora uśmiechnęła się pod nosem, chwyciła za płaszcz, narzuciła go na ramiona, a następnie wyszła na ganek. Samochód dziadków rzeczywiście stał na podjeździe. Babcia porwała dziewczynę w ramiona, gdy tylko ją ujrzała.

– Chryste, Kris, zaraz ją udusisz! – oburzył się dziadek.

Kobieta, nic sobie nie robiąc ze słów męża, dokładnie przyjrzała się wnuczce.

– Schudłaś – zauważyła.

– Nie, babciu. Jestem pewna, że ważę tyle samo, co przed wyjazdem.

– Edwardzie, spójrz tylko na nią! No, dobre pięć kilo mniej! Czym was tam karmią w tym Nowym Jorku?

– Mama potrzebuje pomocy w kuchni – poinformowała Flora. – Chyba sobie nie radzi.

Kris Warren pokręciła głową, po czym mrucząc coś pod nosem, wdrapała się na ganek, a po chwili zniknęła za drzwiami.

Wtedy Flora popatrzyła na dziadka.

– Tęskniłam – powiedziała, a następnie zerwała się z miejsca i wpadła w jego objęcia. – Bardzo.

– Ja też. Twoja babcia doprowadza mnie do szału. Jeżeli tak dalej pójdzie, jeszcze w tym roku dostanę drugi zawał.

Dziewczyna posłała mężczyźnie wymowne spojrzenie. Nie lubiła, gdy żartował ze swojego zdrowia.

– Niech zgadnę… Twoja mama znów coś przypaliła.

– Tosty – odparła. – Chyba lepiej tam na razie nie wchodzić.

– Och, do miejsca, gdzie jednocześnie znajdują się twoja mama i moja żona? Z całą pewnością!

Dziadek Flory usiadł na najwyższym stopniu drewnianych schodów i poklepał puste miejsce tuż obok siebie.

– Usiądź. Pewnie masz mi dużo do opowiedzenia, prawda?

– Właściwie… nie ma tego wcale aż tak dużo – przyznała, siadając obok niego.

– Och, gdy twoja mama wróciła z Nowego Jorku, przez tydzień nie mogła przestać mówić! Doprawdy nie wiem, co to miasto ma w sobie takiego niezwykłego, ale jestem pewien, że spotkało cię tam co najmniej kilka niesamowitych rzeczy, prawda?

– Uciekałam przed policją.

– Złapali cię? – zapytał.

– Nie.

Dziadek uśmiechnął się z dumą.

– Zuch dziewczyna.

Flora popatrzyła przed siebie, na pustą ulicę, i poczuła, że kąciki jej ust zaczęły opadać, a do serca wkradło się to samo zwodnicze uczucie, które znalazło do niego drogę także wczoraj – tęsknota. Tak obezwładniająca, że nie potrafiła dłużej pozostać na nią obojętna.

– Dziadku?

– Tak?

– Pamiętasz, co powiedziałeś mi tuż przed tym, jak wyjechałam do Nowego Jorku? Wtedy, kiedy żegnaliśmy się na lotnisku? – Jej głos był niewiele głośniejszy od łamliwego szeptu.

– Ostrzegłem cię, Floro. Prosiłem, byś nie oddawała serca człowiekowi, który je złamie.

Flora skinęła głową, czując, jak po jej policzku spływa samotna łza, a potem przeniosła wzrok na dziadka.

– Nie posłuchałam twojego ostrzeżenia – przyznała. – Gdybym to zrobiła, może tak mocno by nie bolało.

– Och, kochanie. Wszystko, co jest najcenniejsze w życiu, zawsze niesie za sobą cierpienie. Jak myślisz, dlaczego od ponad pięćdziesięciu lat jestem mężem twojej babci?

Flora cicho się zaśmiała, ścierając łzę z policzka.

– Po prostu nie sądziłam, że…

– Że człowiek, który wprawi twoje serce w szybsze bicie, może być jednocześnie tym samym człowiekiem, który je złamie? – dokończył.

– Tak.

– To największa wada miłości. Gdy odważymy się sądzić, że poznaliśmy ją na wylot, ona boleśnie przypomina nam, że tak naprawdę nic o niej nie wiemy. Chcesz usłyszeć radę?

– To minie? – zapytała.

– Nie, Floro. – Mężczyzna pokręcił głową. – Lody czekoladowe. Nic nie działa równie dobrze na złamane serce jak lody czekoladowe. – Dotknął ramienia wnuczki. – Sprawdzę, czy twoja mama nie ma ich w lodówce.

Flora obdarzyła dziadka uśmiechem. Gdy po chwili została na ganku sama, jeszcze raz popatrzyła na ulicę, a potem na wiszące nad nią niebo. Na myśl, że tej nocy pierwszy raz od wielu tygodni miała w końcu ujrzeć gwiazdy, poczuła ciepło w sercu.

Może nie potrzebowała niczego więcej?

Wstała na równe nogi, jednak zanim zdołała się odwrócić, dotarł do niej dźwięk skrzypiec. Melodia zbyt znajoma, aby Flora mogła pomylić ją z czymkolwiek innym.

Zerknęła na dom po drugiej stronie ulicy. Nie dając sobie czasu, by dobrze to przemyśleć, pokonała trawnik, wąską ścieżkę prowadzącą do chodnika, a także całą szerokość jezdni. Następnie weszła na ganek i popchnęła drzwi.

Przeszła przez wąski korytarz, na którego ścianach zawieszono mnóstwo czarno-białych zdjęć, aż w końcu dotarła do niewielkiego salonu. W jego rogu, tuż obok wyjścia do ogrodu, pan Daniels grał na skrzypcach melodię, którą Flora miała okazję słyszeć pewnego wyjątkowo deszczowego wieczoru w Nowym Jorku. Okrutnie piękną. Do bólu prawdziwą. I zbyt znajomą, aby dziewczyna mogła pozostać na nią całkowicie obojętna.

Flora postawiła krok w przód, sprawiając, że drewniana podłoga skrzypnęła pod naciskiem jej buta.

Pan Daniels otworzył oczy i na widok dziewczyny odsunął smyczek od strun.

– Floro?

– Tak. Przepraszam, że weszłam bez pukania. Nie powinnam…

– Nie szkodzi. Po prostu jestem zaskoczony, bo nie wiedziałem, że wróciłaś do domu. – Mężczyzna obdarzył ją uśmiechem, po czym podszedł do leżącego nieopodal futerału, aby schować do niego skrzypce. – Coś się stało?

– Nie, ja tylko… Słyszałam, jak pan grał, i…

– Gram tę samą melodię od wielu lat.

– Tak, ale… wcześniej chyba nie potrafiłam zrozumieć, jaka jest piękna.

– To prawda – zgodził się, zamykając futerał. – Moja żona bardzo ją lubiła. Dlatego gram ją dla niej codziennie. Zanim coś powiesz, wiem, że to szalone. Moje dzieci i wnuki nieustannie powtarzają to samo, ale… – Spojrzał z sentymentalnym uśmiechem na skrzypce. – Muzyka żyje wiecznie. Możesz do niej wracać, ilekroć tylko zechcesz. Możesz jej słuchać, kiedy najdzie cię na to ochota. Nie możesz jednak wypowiedzieć wszystkich słów, jakie pragnęłaś powiedzieć do osoby, której już nie ma. Bo, w przeciwieństwie do muzyki, Floro, ludzie umierają. Choć tak często zdajemy się o tym zapominać.

Flora uśmiechnęła się, słysząc te słowa.

– Nie uważam, że to szalone – stwierdziła. – Dla mnie to dowód.

– Dowód? – zaciekawił się.

– Że kochał pan żonę ponad życie. Że wciąż ją pan tak kocha. I nawet jeżeli istnieje tylko cień szansy, że ona może usłyszeć, jak codziennie pan dla niej gra, i tak chce pan spróbować.

Pan Daniels również się uśmiechnął.

– Cieszę się, że wróciłaś, Floro.

– Tak – odparła. – Ja też.

*

Przed głównym wejściem do ratusza co roku szóstego grudnia ustawiano wysoką na kilkanaście metrów choinkę, a także kilka instrumentów, prowizoryczną scenę i rzędy krzeseł. Koncert odbywający się tego dnia był dla mieszkańców Filadelfii początkiem okresu świątecznego. A dla Flory – wspomnieniem, które już zawsze miało kojarzyć jej się z dzieciństwem.

Pierwszy raz rodzice zabrali ją w to miejsce, gdy miała zaledwie cztery lata i od tamtej chwili nie opuściła ani jednego koncertu. Mimo to gdy tego dnia zajęła miejsce w środkowym rzędzie razem z narzekającą na wszystko babcią, przewracającym oczami dziadkiem, rozradowaną mamą i nieco spóźnionym tatą, po raz pierwszy nie czuła radości.

Pół pudełka lodów czekoladowych, które zjadła z dziadkiem, wbrew temu, co powiedział mężczyzna, wcale nie działało aż tak świetnie na złamane serce.

– Wszystko w porządku?

Flora oderwała wzrok od choinki i spojrzała na tatę, który zajął miejsce tuż obok niej.

– Tak – odparła.

– Mama powiedziała mi, że nie chciałaś iść na koncert.

– Wczorajszy egzamin chyba za bardzo mnie wymęczył. To nic takiego. – Znów skierowała wzrok przed siebie. Większość miejsc była już zajęta.

– Wiesz, jaka jest największa wada bycia twoim ojcem? – zapytał, przykuwając uwagę córki. – Nie mogę ochronić cię przed całym złem tego świata, nieważne, jak bardzo się staram. I nie mogę zmusić cię do mówienia prawdy, gdy kłamiesz.

– Ja…

– Pod tym względem jesteśmy do siebie bardzo podobni – przerwał jej cicho. – Uparcie wierzymy, że prawda zniknie, jeśli będziemy udawać, że jej nie dostrzegamy. Ale ona nigdy nie znika, kochanie. Im dłużej będziesz ją ignorować, tym cięższa się stanie.

Flora przełknęła z trudem.

Na scenie, tuż przed fortepianem, pojawił się ubrany w garnitur mężczyzna. Zapowiedział gwiazdę, która w tym roku miała oficjalnie rozpocząć świąteczny okres. Była nią Loren Allred, jedna z finalistek tegorocznej edycji brytyjskiego *Mam Talent*.

Po chwili pojawiła się na scenie, ubrana w piękną złotą sukienkę i przy akompaniamencie snującej się wokół melodii, zaśpiewała pierwsze słowa utworu *Never Enough*.

– *I'm tryin' to hold my breath.*

Flora spojrzała na ciemniejące powoli niebo.

– *Let it stay this way.*

Poczuła łzy, które zgromadziły się pod powiekami.

– *Can't let this moment end.*

– Zakochałam się, tato. – Gdy wypowiedziała ten sekret na głos, nie poczuła ulgi, jakiej się spodziewała. Wręcz przeciwnie, odniosła wrażenie, że ciężar stał się jeszcze bardziej dotkliwy. – I nie mam pojęcia, dlaczego to tak bardzo boli.

– Bo jest prawdziwe – odparł, sprawiając, że znów na niego zerknęła.

– Ale minie, prawda?

– Nie, kochanie. Po prostu nauczysz się z tym żyć. Tak jak z blizną, którą masz nad kolanem po tym, jak w dzieciństwie spadłaś z roweru.

Flora uśmiechnęła się przez łzy, chwyciła ciepłą dłoń taty i zerknęła w kierunku sceny, gdy z ust piosenkarki padły kolejne wersy utworu:

– *Towers of gold are still too little*
These hands could hold the world but it'll
Never be enough!
Never be enough!

Flora uniosła podbródek i jeszcze raz spojrzała na niebo, na którym kilka chwil później odznaczyła się kolorowa poświata, gdy choinka przed ratuszem pierwszy raz w tym roku tak pięknie się rozświetliła.

Dziewczyna zamknęła oczy, by przez kolejne minuty słuchać dźwięków fortepianu, który przebijał się pomiędzy głosem a słowami.

Kiedy koncert dobiegł końca, niebo było już niemal zupełnie czarne. Właśnie zaczęły pojawiać się na nim pierwsze gwiazdy.

Flora uśmiechnęła się na ich widok. Właśnie tak wyglądał dom.

Gdy wszyscy zaczęli się zbierać, pani Sharman powiedziała:

– Zapraszam was na kolację. Przygotowałam pieczeń!

– I jest tylko trochę spalona – mruknął pod nosem dziadek.

Dziewczyna znów się uśmiechnęła, schowała zmarznięte ręce w kieszeniach płaszcza i patrzyła, jak mama posyła dziadkowi mordercze spojrzenie.

Babcia również dodała coś od siebie:

– Te koncerty z roku na rok są coraz krótsze. Doprawdy mogliby…

Flora przystanęła, przez ułamek sekundy nie mogąc pozbyć się wrażenia, że pomiędzy głosem babci a echem rozmów mijających ją ludzi, dosłyszała coś jeszcze. Kiedy była już pewna, że rzeczywiście się przesłyszała, ten dźwięk dotarł do niej raz jeszcze. A potem kolejny. I tak z paru marnych, ledwie słyszalnych, fragmentów powstała melodia.

Melodia, którą Flora znała.

Dziewczyna popatrzyła na oddalającą się rodzinę, a w następnej chwili odwróciła się i z ciężko bijącym sercem ruszyła w stronę przeciwną do tej, w którą podążał tłum. Przeciskała się przez ludzi, ignorując posyłane jej spojrzenia.

Z każdym kolejnym krokiem słyszała to, za czym podążała, coraz wyraźniej. W końcu zbliżyła się do sceny na tyle, że była w stanie nie tylko go usłyszeć, ale także zobaczyć.

Hayden Sanclair siedział za fortepianem, otoczony kolorowymi światłami choinki, i grał.

Właśnie dla niej.

Tylko dla niej.

A ona nie potrafiła przestać na niego patrzeć, czując, jak z każdą sekundą, z każdym dźwiękiem, jej serce coraz bardziej się kruszyło. Ta sama melodia, która uratowała ją w Nowym Jorku i którą kilka godzin temu usłyszała w domu pana Danielsa, znów ją do niego przyprowadziła.

Hayden skończył grać, pozwalając, aby dźwięki ucichły. Kiedy w następnej chwili odsunął dłonie od klawiszy, odwrócił głowę i spojrzał na Florę, ta nie była w stanie się poruszyć.

Stała więc, pośród pustych krzeseł, blasku świątecznej choinki i przerażającej świadomości, że dopiero teraz, gdy ponownie go zobaczyła, dręczące ją od poprzedniego wieczoru uczucie w końcu minęło. Stała i patrzyła, jak Hayden wstaje zza fortepianu, schodzi z podestu i rusza ku niej.

– Nie przyjechałem, by przeprosić – zaczął, zatrzymując się zaledwie dwa kroki przed dziewczyną. – Ani przyznać, że jestem idiotą i że spieprzyłem. Przyjechałem, bo wiem, że zasługujesz, żeby wiedzieć, dlaczego wtedy nie wyznałem Bree prawdy. Nie ze wstydu, Floro.

Zadrżała, gdy wymówił jej imię jak coś pięknego, najpiękniejszego.

– Nie powiedziałem prawdy, bo przez ostatnie lata przywykłem do tego, że wszystko, co dla mnie najcenniejsze, chroniłem kłamstwem. Fortepian. To, że gram. I ciebie. Chciałem, żebyś była jednym z moich pięknych sekretów, Floro Sharman. Właśnie dlatego tamtej nocy…

– Tęskniłam – przerwała mu cichym głosem. – Tęskniłam za tobą.

– Floro…

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – szepnęła. – Nie wiedziałam, że można aż tak bardzo za kimś tęsknić.

Hayden omiótł wzrokiem jej twarz. Nie mógł znieść widoku łez, które zaczęły spływać po policzkach Flory. Dlatego nie zdołał zbyt długo się powstrzymać. Zerwał się z miejsca, podszedł bliżej i ujął jej twarz w dłonie, ścierając kciukami każdą z łez, która naznaczyła piękną, zimną skórę.

– Wczoraj pojechałem za tobą na lotnisko, ale nie udało mi się cię dogonić – oznajmił, odnajdując jej spojrzenie. – Już nigdy więcej mi nie uciekaj, dobrze?

Flora wtuliła policzek w jego dłoń.

– Tak. Obiecuję.

Kiedy obdarzyła go tym samym uśmiechem, który tak uwielbiał, Hayden znów nie zdołał zapanować nad pragnieniem, aby jeszcze bardziej zmniejszyć dzielącą ich odległość. Dlatego pochylił się, uniósł głowę Flory i pomiędzy zimnem a kilkoma słowami, których jeszcze nie

zdołał wypowiedzieć, odnalazł jej usta.

Pocałował ją tak, jak zamierzał całować już zawsze – jakby była jego małym, pięknym sekretem, o którym chciał szeptać całemu światu. Kiedy po chwili delikatnie się od niej odsunął, wciąż jednak pozostając na tyle blisko, aby czuć jej ciepło, Flora uniosła powieki.

– Przepraszam – odezwał się. – Przepraszam, że nie potrafiłem dać nam obojgu tego, na co zasługujemy. Przepraszam, że nie byłem człowiekiem, który jest ciebie wart, Floro.

– Pamiętasz, co powiedziałam ci tamtej nocy, gdy rozmawialiśmy przy fortepianie? – zapytała. – Obiecałam, że jeżeli jeszcze raz powiesz coś równie głupiego, przekonasz się, że nie żartowałam o zajęciach z samoobrony. Trochę cię wtedy okłamałam dla bardziej teatralnego efektu. Nie pamiętam kompletnie nic z tych zajęć, ale nie martw się, znajdę inne sposoby, żeby wybić ci to z głowy.

Hayden nie zdołał powstrzymać uśmiechu, który odznaczył się na jego twarzy.

Flora poderwała głowę, nagle o czymś sobie przypominając.

– Co z egzaminem?

– Nie zagrałem – odparł.

– Och.

– Gdy usiadłem przy fortepianie, uświadomiłem sobie, że zapomniałem powiedzieć pewnej upartej dziewczynie, że do szaleństwa się w niej zakochałem.

Kąciki ust Flory drgnęły w szerokim uśmiechu. Niespodziewanie dotarł do niej dziecięcy śmiech. Gdy zerknęła za siebie, kilkanaście metrów dalej dostrzegła rodziców Haydena, a także machającą do niej Julie.

– Nie chcieli puścić mnie samego – wyjaśnił, kiedy znów na niego spojrzała.

Odnalazła jego dłoń i splotła razem ich palce.

– Moja mama przygotowała kolację. Starczy dla nas wszystkich. Oczywiście, jeżeli nie przeszkadza wam smak spalenizny – zaproponowała.

Hayden z uśmiechem pokręcił głową.

– W takim razie chodźmy do domu. Ach i postaraj się nie rozmawiać z moim dziadkiem, okej?

– Dlaczego? – zapytał.

– Cóż. Powiedziałam mu o tobie kilka brzydkich rzeczy. Może za tobą nie przepadać.

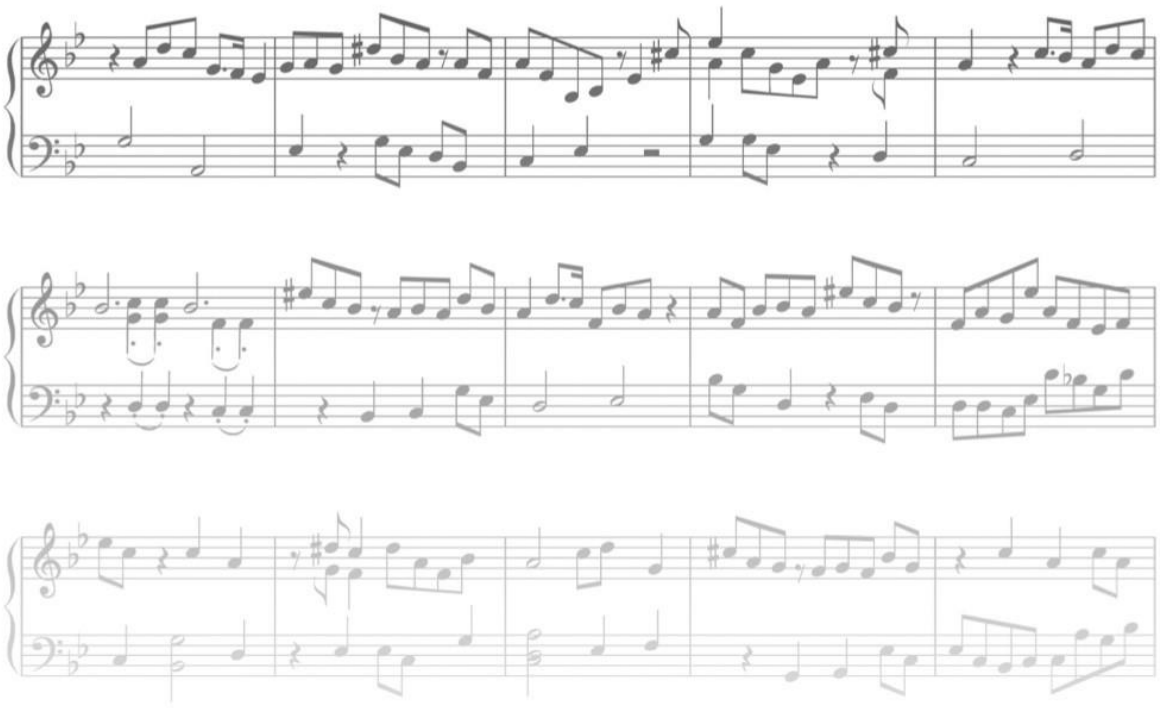

Rozdział 27

Niebo pełne gwiazd

Hayden poczuł, jak ciepłe dłonie Flory delikatnie ujmują jego ręce. Kilka sekund później jej łagodny głos przedarł się przez panującą wokół ciszę i docierające z wnętrza domu państwa Sharman śmiechy jego rodziców.

– Otwórz oczy – poleciła.

Uniósł powieki i niemal natychmiast skupił na niej całą uwagę. Stała tuż przed nim, na środku niewielkiego ogrodu, i uśmiechała się piękniej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Nie patrz na mnie – zaśmiała się. – Spójrz w górę.

Spełnił jej polecenie. Właśnie w tamtej chwili Hayden Sanclair po raz pierwszy ujrzał niebo zasypane gwiazdami.

– Tutaj, w Filadelfii, gwiazdy są piękniejsze niż w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi – powiedziała cicho, stając tuż obok niego i również unosząc wzrok. – Przypominają…

– …dom – dokończył.

– Tak. – Popatrzyła na niego, po czym dodała radośnie: – Powinieneś pomyśleć życzenie…

– Nie widzę nigdzie spadającej gwiazdy.

– To nic. Pierwsze są o wiele bardziej niezwykłe niż spadające, bo już nigdy więcej się nie powtórzą. No dalej. Pomyśl życzenie – zachęciła. – Możesz poprosić o to, by dopisało ci szczęście, gdy za rok znów podejdziesz do egzaminu.

Hayden jeszcze raz spojrzał w niebo, na wszystkie te piękne gwiazdy, i wypowiedział w myślach życzenie.

– O czym pomyślałeś? – zapytała.

– Czy jeżeli ci o tym powiem, nie przyniesie mi to pecha?

Flora cicho się zaśmiała, jednak zanim zdołała odpowiedzieć, Hayden wyjaśnił:

– O tobie. O tym, że gdy za rok znów zasiądę za tamtym fortepianem i rozejrzę się dookoła, zobaczę cię na widowni.

Zerknęła na niego z boku.

– Mogłeś zażyczyć sobie niemal wszystkiego. I ze wszystkiego zażyczyłeś sobie właśnie mnie?

– Tak.

Flora zerknęła w dół, a następnie delikatnie chwyciła jego dłoń. Właśnie wtedy usłyszała śmiech mamy.

– Nasi rodzice bardzo się polubili – stwierdziła.

– Tak, ale twój dziadek szczerze mnie nienawidzi.

– Wyjaśnię mu to. Jutro. Pozwól mi przez resztę wieczoru napawać się morderczymi spojrzeniami, które ci posyła… – Zamilkła, gdy poczuła na policzku coś zimnego.

Kiedy uniosła głowę, dostrzegła, że z nieba zaczął padać śnieg.

Był to pierwszy śnieg, który tej zimny zawitał w Filadelfii.

Hayden nie odrywał od dziewczyny wzroku, gdy powoli uniosła dłoń i pozwoliła, aby kilka płatków dotknęło jej skóry.

– Floro? – odezwał się po chwili, przykuwając jej uwagę.

– Tak?

– Tańczyłaś kiedyś w śniegu?

Kolejny uśmiech, którym go obdarzyła, wdarł się prosto do jego serca, uświadamiając Haydenowi coś, co wydawało się odrobinę nieprawdopodobne.

– Czy nie jesteś przypadkiem może trochę szalony?

– Nie. Jestem po prostu szczęśliwy.

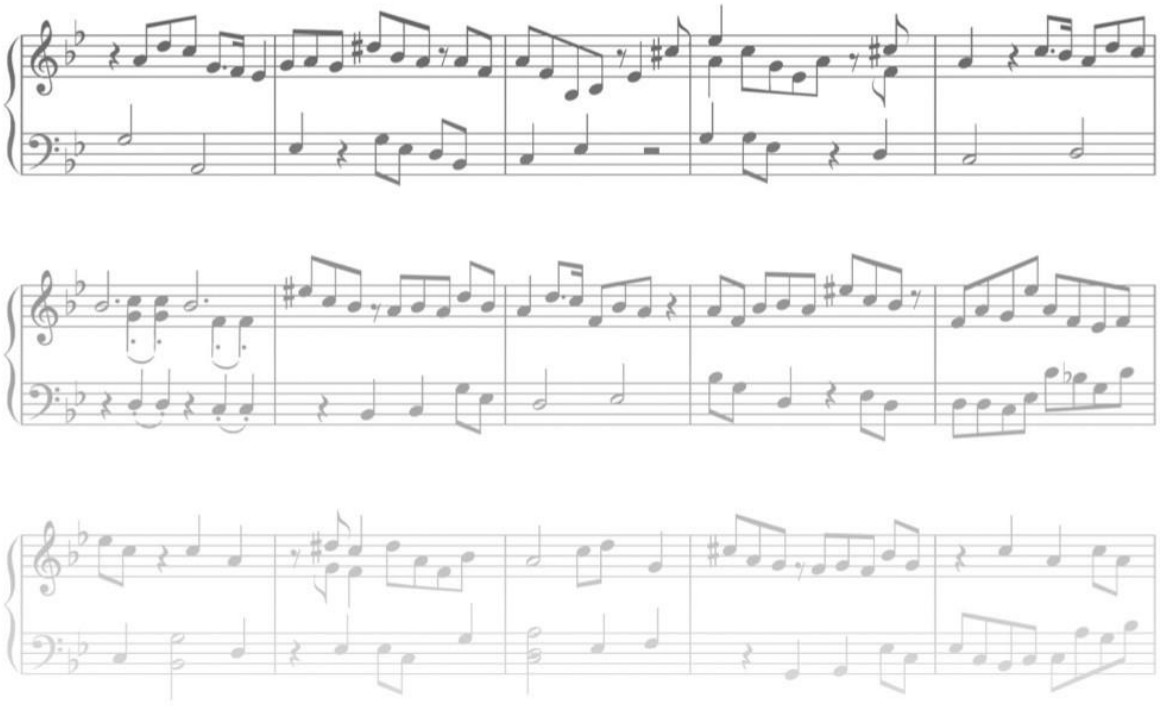

Epilog

Rok później

Dream A Little Dream Of Me

Hayden zamknął oczy i w myślach policzył do trzech.

Raz.

Dwa.

Trzy.

Uniósł dłonie i opuszkami palców odszukał wszystkie dźwięki, których potrzebował. Rozluźnił nadgarstki i ramiona. Wziął głęboki, spokojny wdech i dopiero gdy był pewien, że wszystko było tak, jak być powinno, otworzył oczy.

W sali panowała cisza.

Kiedy popatrzył w kierunku widowni, nie skupił uwagi na oceniających go egzaminatorach, którzy za kilka minut mieli podjąć być może jedną z najważniejszych decyzji w jego życiu. W tamtej chwili zdawali się nie istnieć.

Spojrzał na mamę, w której oczach błyszczały łzy, choć nawet jeszcze nie zaczął grać.

Spojrzał na tatę, który zajmował miejsce w pierwszym rzędzie. Uśmiechał się, nie kryjąc dumy.

Spojrzał na Julie, która nerwowo wierciła się na miejscu, wyraźnie zniecierpliwiona, że czas płynął tu znacznie wolniej niż gdziekolwiek indziej.

Spojrzał na Henry’ego i siedzącą tuż obok Margot. Minęło trochę czasu, zanim wuj Jerry

i ciocia Jodie w końcu ją polubili. Teraz zajmowali miejsca w tym samym rzędzie.

W końcu skierował wzrok także na Florę. Wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej poczuł, że wszystko było tak, jak należy. Jakkolwiek miał zakończyć się dla niego ten wieczór, Hayden wiedział, że wyjdzie z budynku filharmonii jako wyjątkowy szczęśliwiec.

Obdarzyła go uśmiechem – tym pięknym uśmiechem, w którym bez reszty się zakochał i który pragnął widzieć na jej twarzy każdego dnia przez resztę swojego życia.

Gdzieś pośród ciszy rozległ się głos:

– Proszę zaczynać, panie Sanclair.

Hayden popatrzył na fortepian.

Przez wiele miesięcy próbował wybrać utwór, który zamierzał zagrać. Błąkał się pomiędzy etiudami Chopina, sonatami Beethovena i walcami Shostakovicha, nim w końcu podjął właściwą decyzję.

Jak się okazało, pamięć to wyjątkowo dziwna rzecz. Nie działa tak, jak początkowo zakładał. Niekiedy ciąży na duszy, innym razem podsuwa odpowiedzi, których tak długo szukaliśmy. Dla niego okazała się drogą, którą zdecydował się podążać.

Pewnego śnieżnego wieczoru wiele lat wcześniej mały chłopiec zagubił się pośród krętych korytarzy tego budynku. Po odnalezieniu drzwi, za jakimi krył się dawno zapomniany pokój ze starym fortepianem, spotkał mężczyznę, który kilkoma prostymi słowami rozbudził w nim dość odwagi, by po raz pierwszy w życiu zdecydował się dotknąć czarno-białych klawiszy.

Kilkanaście lat później za sprawą ulewy dziewczyna zabłądziła wśród uliczek zupełnie obcego miasta. Trafiła do lokalu o dziwacznej nazwie i stała się powierniczką pewnego długo skrywanego sekretu.

Czasami błądząc, odnajdujemy jedyną właściwą drogę, którą powinniśmy podążać. Musimy tylko przebić się przez żal, smutek, a może nawet rozczarowanie i zrozumieć, że jesteśmy czymś więcej niż początkiem i końcem własnej historii.

Hayden nie wierzył, że wszystkie historie miały początki i końce. Niektóre nigdy się nie rodziły. Inne natomiast miały trwać wiecznie. Pragnął wierzyć, że i jego spotka podobny los.

Kto wie, może pewnego dnia, w odległej przyszłości, ktoś wspomni go w myślach, odnajdując w sercu fragment utworu, który zagrał? Może ktoś przypomni sobie jego imię, gdy w zagraconym pokoju gdzieś na końcu filharmonii odnajdzie stary fortepian i postanowi wydobyć z niego jeszcze kilka dźwięków?

Podobnie jak on wspominał w tej chwili Richarda, któremu nigdy nie będzie miał okazji podziękować, choć zawdzięczał mu tak wiele. Wiarę, ten drobny przypadek i odrobinę odwagi, jakiej tak bardzo było mu wtedy trzeba.

Zamknął oczy.

To, co zamierzał zagrać, kryło się głęboko w jego sercu od tak dawna, że nie potrzebował nut ani spojrzenia błądzącego po klawiszach. Potrzebował tylko starego fortepianu, odrobiny ciszy i świadomości, że kiedy ponownie uniesie powieki, ujrzy na widowni dziewczynę, którą szczerze kochał.

Znów policzył w myślach do trzech.

Raz.

Dwa.

Trzy.

Po ogromnej sali, gdzieś pośród ciszy, półmroku i wspomnienia małego chłopca, który odważył się na wielkie marzenia, rozbrzmiały pierwsze dźwięki *Dream A Little Dream Of Me.*

KONIEC

DODATEK

5 lat później

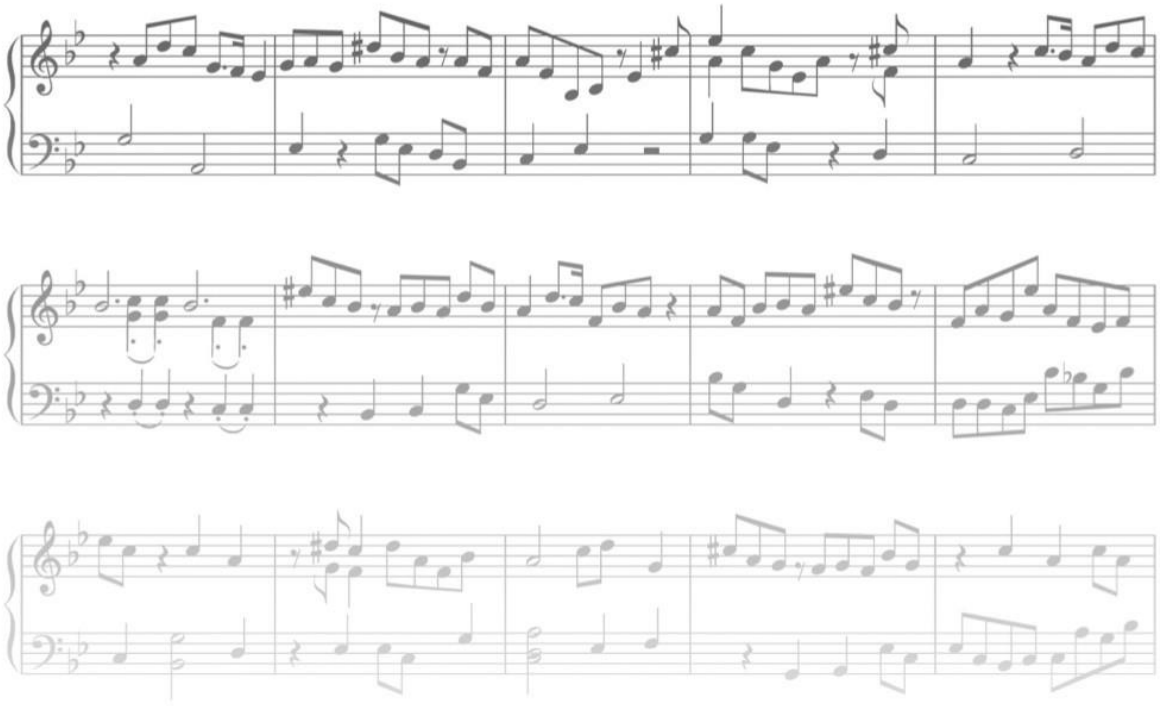

Siedem minut po północy

Detektyw Douglas lubił swoją pracę szczególnie wtedy, gdy nie musiał niepotrzebnie marnować czasu. I pić wyjątkowo niesmacznej kawy z automatu upchniętego w kącie komisariatu. Ekspres, na który złożył się z innymi funkcjonariuszami w święta kilka lat temu, w końcu odmówił współpracy, zapewne mając serdecznie dość tego, jak wiele od niego wymagano.

Tej nocy policjant skończył więc z papierowym kubkiem kawy, której nie znosił, i dwójką nastolatków, która zapragnęła pobawić się w detektywów i spieprzyć śledztwo, nad jakim pracował.

Jakby nie miał dość kłopotów. Komendant od tygodni suszył mu głowę, domagając się postępów, których, rzecz jasna, nie było. Dziennikarskie sępy z gazet każdego dnia pojawiały się przed budynkiem policji, prosząc go o komentarz. Nie kryli niezadowolenia, gdy za każdym razem karmił ich tymi samymi odpadami: *Dla dobra śledztwa wstrzymam się od jakichkolwiek publicznych komentarzy. Na ten moment śledztwo wciąż trwa. Z szacunku dla rodziny…*

Stek bzdur, którymi na polecenie przełożonych miał zakryć to, że utknął w martwym punkcie.

Był zmęczony. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatni raz spędził noc we własnym łóżku. I jeszcze te cholerne dzieciaki.

Gdy mijał recepcję, Anne posłała mu perfekcyjny uśmiech. Był to jeden z niewielu powodów, dla których chciało mu się jeszcze wstawać z łóżka i przychodzić w to upiorne miejsce.

– Ciężka noc, detektywie? – zapytała słodkim głosem, od którego świat wydawał się odrobinę mniej paskudny.

– Ciężki tydzień, Anne – odpowiedział.

To jedno, przynajmniej w najbliższym czasie, nie miało ulec zmianie.

Do pokoju przesłuchań prowadził wąski, dłużący się w nieskończoność korytarz. Jeżeli droga do piekła miała jakoś wyglądać, mogłaby wyglądać właśnie tak.

Wiszący nad wejściem zegar wskazywał siedem minut po północy, co oznaczało, że detektyw był na służbie od ponad szesnastu godzin. I wypił cztery kubki tego paskudztwa, które nijak miało się do prawdziwej kawy.

Popchnął drzwi oznaczone numerem 307 i wszedł do klaustrofobicznie małego pomieszczenia o ścianach w kolorze tak nieprzyjemnej szarości, że znów poczuł, jakby mdłości miały podejść mu do gardła.

Nie był pewien, czy to z powodu zmęczenia, irytacji, czy może kawy.

Po drugiej stronie prostego stołu siedziała dwójka dzieciaków. Powód, przez który musiał tkwić tutaj, zamiast być w drodze do domu, myśląc o tym, że na kolację znowu zje odgrzewaną pizzę. Kolejną dłużącą się godzinę z rzędu.

Bez słowa zatrzasnął za sobą drzwi, a po chwili opadł na krzesło i ciężko westchnął. Odstawił kubek z kawą na blat, przeczesał dłonią potargane, jasne włosy i zgodnie z przepisami poinformował:

– Zawiadomiliśmy już waszych rodziców. Do czasu ich przyjazdu nie musicie odpowiadać na żadne z pytań, jakie wam zadam, jasne?

– Nie zrobiliśmy nic złego – przerwał mu chłopak.

Detektyw Douglas poświęcił mu nieco uwagi. Jak na szesnastolatka wyglądał raczej mizernie – chude ramiona, piegowata, blada z przerażenia twarz i za duże, okrągłe okulary, które nieustannie zsuwały mu się z nosa. Poprawiał je gestem, który po dłuższej chwili sprawiał wrażenie nieprawdopodobnie wkurwiającego. William Emerson.

– Nie rozmawiaj z nim, Will – poleciła dziewczyna.

W przeciwieństwie do chłopaka wydawała się definicją spokoju. Wyraz jej twarzy nie zdradzał żadnych emocji. Ciemne oczy utkwione były w drzwiach. Czarne, krótkie do ramion włosy okalały jej policzki. Na pierwszy rzut oka przypominała bardziej upiora niż żywego człowieka.

Julie Sanclair. W Nowym Jorku nawet najwięksi kretyni znali to nazwisko. Jej rodzice byli świetnymi prawnikami, co oznaczało, że postawienie jakichkolwiek zarzutów tej dwójce raczej nie wchodziło w grę.

Jej brat z kolei grywał koncerty w słynnej nowojorskiej operze, gdzie bilet na kilkugodzinne widowisko kosztował pieprzone sto dolarów. Podobno chłopak był całkiem niezły, ale detektyw średnio znał się na sztuce.

Czy Anne by się zgodziła, gdyby zaprosił ją na taki koncert? Powinien to zrobić?

Potrząsając głową, wyrzucił z umysłu ten pomysł. Brak snu i nadmiar kofeiny widocznie mu nie służyły.

– Nie musicie niczego mi mówić – odezwał się. – Wasi bogaci rodzice na pewno wszystkim się zajmą, prawda?

Julie Sanclair obdarzyła go ciężkim spojrzeniem. Z pewnością była bystra i może w równym stopniu szalona. W końcu jak inaczej można było wyjaśnić fakt, że zakolegowała się z dzieciakiem wyglądającym, jakby zaraz miał zmoczyć spodnie?

Emerson powtórzył:

– Ale my naprawdę nie zrobiliśmy niczego złego…

– Zamknij się, Will – przerwała mu, po czym zwróciła się do detektywa, krzyżując ramiona na piersi, jakby chciała mu pokazać, że ani trochę się go nie bała: – Zgodnie

z przysługującymi nam prawami, nawet jako osoby nieletnie, nie musimy odpowiadać na żadne z zadanych przez pana pytań bez obecności naszego prawnika.

Douglas uśmiechnął się pod nosem. Wyglądało na to, że ani trochę się nie pomylił.

– Jesteś całkiem bystra, prawda, Sanclair?

Detektyw podejrzewał, że to był jej pomysł. Emerson raczej nie wyglądał na kogoś, kto miał w sobie dostatecznie dużo odwagi. Nie wiedział, jakim cudem dziewczyna zdołała w to wciągnąć tego trzęsącego się ze strachu dzieciaka, ale nie miało to większego znaczenia.

Teraz oboje siedzieli przed nim w pokoju przesłuchań, mokrzy od deszczu, zmęczeni i zapewne bardzo głodni. A on chciał wiedzieć tylko jedno.

Pochylił się i zapytał:

– Jakim cudem wpakowaliście się w sprawę morderstwa?

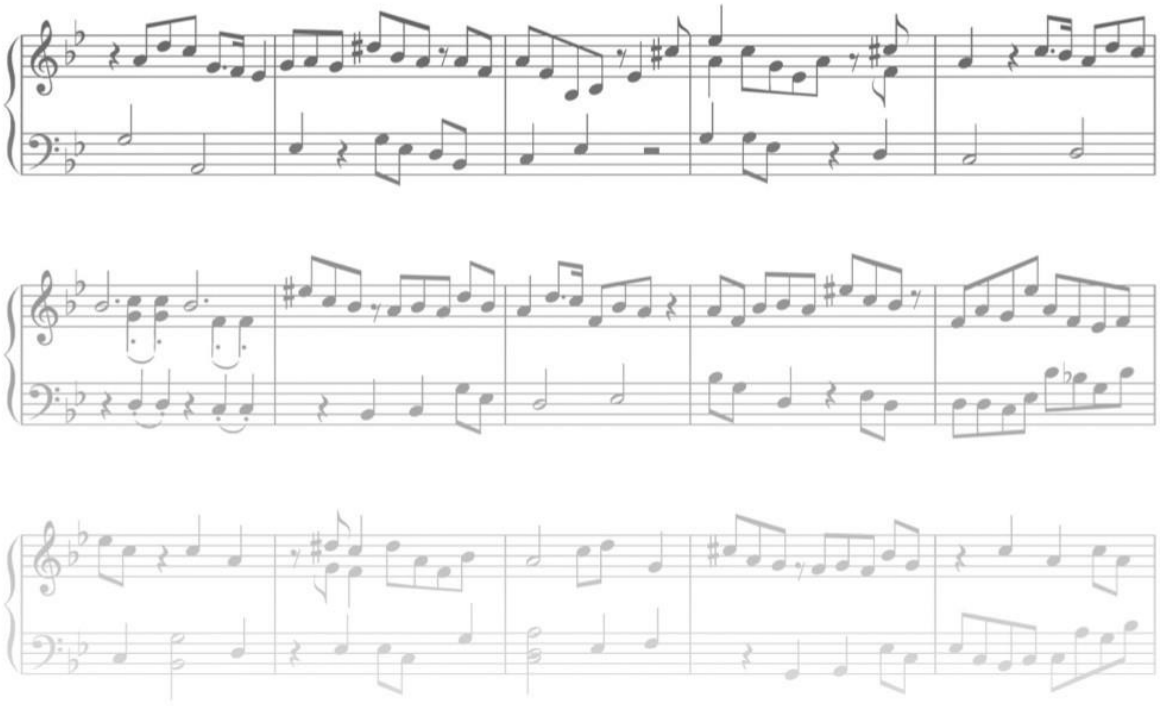

Podziękowania

Gdyby kilka lat temu ktoś powiedział mi, że w pewien czwartkowy wieczór zasiądę przed komputerem, aby napisać podziękowania do mojej dziesiątej wydanej książki, nie jestem pewna, czy te słowa zasługiwałyby nawet na cień uśmiechu.

Mimo to jestem tutaj dzisiaj i pisząc tych kilka zdań z odrobiną nostalgii w sercu, uświadamiam sobie, że ostatnie trzy lata minęły znacznie szybciej, niż bym tego chciała. Były okresem wzlotów i upadków, wielu porażek, mnóstwa sukcesów i kilku cennych lekcji.

Ponad trzy tysiące stron. Prawie milion słów. Trzydzieści sześć miesięcy. Sto pięćdziesiąt siedem tygodni. Tysiąc dziewięćdziesiąt dziewięć dni. Dwadzieścia sześć tysięcy trzysta siedemdziesiąt sześć godzin. Dziesięć książek. To wszystko przeleciało mi przez palce, zanim zdołałam w porę to pochwycić i się tym nacieszyć. I właśnie tyle było mi trzeba, by stworzyć historię, która pomiędzy fikcją a odrobiną magii kryje w sobie o wiele więcej mnie, niż jakakolwiek inna z wcześniej napisanych przeze mnie książek.

Dzisiaj oddaję ją w Twoje ręce, drogi Czytelniku, wierząc, że Flora i Hayden skradną Twoje serce w równym stopniu, w jakim skradli moje.

Dream A Little Dream Of Me powstało w mojej głowie wiele miesięcy wcześniej, w okresie, którego nie nazwałabym ani dobrym, ani jakoś szczególnie złym. Błąkałam się wówczas pomiędzy chęcią napisania kolejnej książki a rzuceniem pisania w ogóle. Książki stały się dla mnie ciężarem. Nie chciałam dłużej go dźwigać. I kiedy zdołałam już jakoś pogodzić się z nadciągającym nieuchronnie pożegnaniem, na horyzoncie pojawiła się drobna myśl, która – niczym ziarenko wepchnięte w martwą już glebę – jakimś cudem zdołała zakiełkować.

W początkowej fazie planowania tej historii Hayden miał grać na skrzypcach (umiejętność gry na tym instrumencie od bardzo dawna była moim marzeniem), ale wystarczyła

zaledwie jedna lekcja fortepianu, bym porzuciła ten pomysł. W tamtej chwili Hayden stał się pianistą. Ta historia narodziła się niespodziewanie, zawładnęła moim sercem i przywróciła mi wiarę w to, że każdego ciężaru można się w końcu pozbyć.

Dream A Little Dream Of Me bardzo mi pomogło. Chciałabym, aby to dobro powędrowało dalej, dlatego część środków ze sprzedaży książki zostanie przeznaczona na organizacje, które każdego dnia wspierają niepełnosprawne dzieci w rozwijaniu ich zdolności muzycznych.

Wiem, że żadne słowa nie wyrażą tego, jak bardzo jestem wdzięczna tym, którzy na co dzień są u mojego boku i tym, którzy pracowali ze mną podczas tworzenia *Dream A Little Dream Of Me,* ale pozwólcie, że i tak spróbuję.

Dziękuję mojej niezastąpionej redaktorce. Za wkład w tę historię, za cierpliwość i dziesięć książek, przy których miałam przyjemność z Panią współpracować.

Dziękuję korektorom za dopieszczenie każdego najdrobniejszego szczegółu, który pozwolił *Dream A Little Dream Of Me* stać się najlepszą możliwą wersją.

Dziękuję Paulinie, która idealnie odwzorowała moje wyobrażenie i stworzyła piękną okładkę, a także urzekające wnętrze tej książki.

Dziękuję patronkom za wzięcie *Dream A Little Dream Of Me* pod skrzydła i za zaangażowanie w promocję. Za czas, jaki poświęciłyście, by historia Haydena i Flory dotarła do jak największego grona odbiorców.

Dziękuję Wojtkowi za pokazanie mi, że fortepian to coś więcej niż kawałek drewna i kilkadziesiąt klawiszy.

Dziękuję moim cudownym trzem dziewczynom za to, że gdy tonęłam, za wszelką cenę utrzymywałyście mnie na powierzchni tak długo, aż nie nauczyłam się pływać. Dziękuję, że robicie to każdego dnia, nie zważając na to, że czasami nie potrafię odwdzięczyć Wam się tym samym. Ze wszystkich dobrych rzeczy, jakie podarowały mi książki – Wy jesteście najlepszą.

Dziękuję Tobie, Czytelniku. Za kawałek Twojego serca, który powierzyłeś w moje ręce na tych kilkaset stron. Mam nadzieję, że ostatecznie nie zostawiłam go w zbyt opłakanym stanie. Pragnę wierzyć, że masz u boku kogoś, kto – tak jak Flora wierzyła w Haydena – każdego dnia wierzy w Ciebie. Jeżeli nie – pozwól, że ja bezgranicznie w Ciebie uwierzę. Życie ma Ci do zaoferowania jeszcze znacznie więcej, niż podejrzewasz. Odważ się po to sięgnąć! Przecież… Nikt nie patrzy, prawda?

Dziękuję Haydenowi i Florze. Za wszystkie uśmiechy, łzy, nieprzespane noce i ciężkie poranki. Za wieczory, które spędzaliśmy razem, słuchając Chopina, pijąc wytrawne wino, spacerując po deszczowych ulicach Nowego Jorku i ośmielając się snuć marzenia, że będziemy mogli odkładać moment naszego pożegnania tak długo, jak tylko będzie to możliwe. Jednak gdy on wreszcie nadszedł, ze smutkiem przyznaję, że byliście tym najpiękniejszym ze wszystkich stworzonych przeze mnie wyobrażeń. Dziękuję za poskładanie mojego serca. Za to, że pokazaliście mi, iż czasami nie należy brać życia zbyt poważnie.

I w końcu – dziękuję muzyce. Za to, że odnalazła mnie wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebowałam. Utwory, które zawarłam na oficjalnej playliście, towarzyszyły mi każdego dnia, za każdym razem, gdy zasiadałam do komputera i otwierałam plik o tytule *Dream A Little Dream Of Me*. Uciekałam do tego małego świata, na moment zapominając o swoim własnym. Chowałam się pośród słów, zdań i liter. A teraz, kiedy nadszedł wreszcie czas, abym postawiła ostatnią kropkę, głęboko w moim sercu wciąż tli się nadzieja, że Hayden, Flora i ja, a także Ty, drogi Czytelniku, jeszcze kiedyś się spotkamy.

Playlista

♪ *Dream A Little Dream Of Me* – Yiruma

♪ *Valse Sentimentale No. 2* – Eric Christian

♪ *Piano In The Sky* – Winona Oak

♪ *Due Tramonti (Remastered 2020)* – Ludovico Einaudi, Marco Decimo

♪ *If Melancholy Were Music* – Aashi

♪ *Once Upon A December* – Gabriel Ozelame

♪ *Glimpse of Us* – Joji

♪ *As The Darkness Falls* – Maxence Cyrin

♪ *Deep End* – Birdy

♪ *Victor's Piano Solo* – Danny Elfman

♪ *River Flows In You* – Yiruma

♪ *Mockingbird (piano version)* – Kim Bo

♪ *The Night We Met* – Amber Run

♪ *I Miss That Time* – Austin Farwell

♪ *All I Want* – Kodaline

♪ *Lovely* – Billie Eilish, Khalid

♪ *Bella's Lullaby* – Maksym Rzemiński

♪ *Supercollide* – BANNERS

♪ *People Help The People* – Birdy

♪ *Arrival Of The Birds* – Jacob's Piano

♪ *Danse le noir* – Eric Christian

♪ *Dream A Little Dream Of Me* – Ella Fitzgerlad, Count Basie

[1] Sid Luckman Field – boisko futbolowe na Brooklynie, w Nowym Jorku (przy. aut.).

[2] New York Jets – zawodowy zespół futbolu amerykańskiego z siedzibą w New Jersey (przyp. aut.).

[3] Lincoln Center – kompleks budynków znajdujący się w obrębie dzielnicy Lincoln Square na Manhattanie. W jego skład wchodzą m.in.: Filharmonia Nowojorska, Metropolitan Opera i New York State Theater (przyp. aut).

[4] Takisy – popularne w Stanach bardzo ostre chrupki kukurydziane (przyp. aut.).

[5] Petrof – wywodzące się z Czech przedsiębiorstwo produkujące fortepiany, które działa od 1864 roku (przyp. aut.).

[6] Sleepy Hollow – fikcyjne miasteczko, główne miejsce akcji filmu *Jeździec bez głowy* Tima Burtona (przyp. aut.).

[7] Claude Debussy – francuski kompozytor żyjący w latach 1862-1918. Do grona najpopularniejszych skomponowanych przez niego utworów należą m.in. *Clair de Lune* i *La Mer* (przyp. aut.).

[8] West Village – tradycyjna dzielnica artystyczna w Nowym Jorku, słynąca głównie z urokliwych, wąskich uliczek zachowanych w stylu federalnym, licznych klubów jazzowych, kabaretów, a także teatrów (przy. aut.).

[9] Podscenie – inaczej orkiestron, w operze i teatrze, najczęściej muzycznym, miejsce przeznaczone dla orkiestry lub zespołu instrumentalistów (przyp. aut.).

[10] *Opowieść o Dwóch Miastach* – jedna z najsłynniejszych powieści Charlesa Dickensa. Opowiada historię losów Francuza Karola Darnaya i Anglika Sydneya Cartona, na tle dwóch miast – Paryża i Londynu (przyp. aut.).

[11] Ted Bundy – jeden z najbardziej znanych amerykańskich seryjnych morderców. Przyznał się do zabicia trzydziestu młodych kobiet, choć szacuje się, że było ich znacznie więcej (przy. aut.).

[12] Federalne Reguły Dowodowe (*Federal Rules of Evidence*) – pełnią funkcję proceduralnego prawa powszechnie obowiązującego w kwestiach dowodowych w każdym procesie na poziomie federalnym (przy. aut.).

[13] *Voir dire* – procedura pozwalająca upewnić się, czy dziecko jest w stanie zrozumieć nałożony na niego obowiązek mówienia prawdy (przyp. aut.).

[14] Harvey Specter – główny bohater serialu *W garniturach* (przyp. aut.).

[15] *Time* – utwór Hansa Zimmera stworzony na potrzeby filmu *Incepcja* Christophera Nolana (przyp. aut.).

[16] The Juilliard School – nowojorska wyższa szkoła muzyczna powstała w 1905 roku. Jest częścią Lincoln Center. W 2007 roku uczelnia otrzymała 2311 wniosków o przyjęcie, z czego zaakceptowano jedynie 149. Obecnie uczy się tam 800 studentów (przyp. aut.).

[17] Galeria Lefebvre – galeria sztuki umiejscowiona w sercu nowojorskiego Manhattanu, nieopodal wejścia do Central Parku (przyp. aut.).

[18] Steinway (Steinway & Sons) – amerykańsko-niemieckie przedsiębiorstwo, które zajmuje się ręcznym produkowaniem fortepianów. Działa od 1853 roku (przyp. aut.).

[19] *Badine De La Patache* – dobrej jakości wytrawne wino produkowane we Francji (przyp. aut.).

[20] *Beyer Ranch* – tanie, amerykańskie wino (przyp aut.).

[21] Velma i Daphne – główne postacie żeńskie z kreskówki *Scooby-Doo* (przyp. aut.).

[22] Utwór zespołu The Rembrandts pt. *I'll Be There For You*. Przez wiele lat gościł w czołówce popularnego serialu *Przyjaciele* (przyp. aut.).

[23] Mount Sinai Hospital – szpital kliniczny na Manhattanie (przyp. aut.).

[24] Conchiglie – rodzaj makaronu przypominającego małe muszelki (przyp. aut.).

[25] Rockeffeler Center – centrum handlowe w Nowym Jorku, zlokalizowane w centralnej części Manhattanu (przy. aut.).

[26] Sto pięćdziesiąt kilometrów (dziewięćdziesiąt cztery mile) – to odległość dzieląca Nowy Jork od Filadelfii (przyp. aut.).

[27] *Syn Człowieczy* – obraz belgijskiego malarza Renego Magritte'a, który powstał w 1964 roku. Przedstawia człowieka w ciemnym płaszczu i kapeluszu z twarzą zasłoniętą przez zielone jabłko (przyp. aut.).